

James Follett

Torus

Torus

Tłumaczenie

Hanna Pawlikowska



Mary Read

*Pamięci nieodżałowanego Simona Daily,
wielkiego wydawcy*

CZEŚĆ PIERWSZA

HARRY

Szczęśliwy ten, kto rozumie przyczyny rzeczy

Wergiliusz, Georgiki

1.

Orbita ziemska

Matt Gosling uśmiechnął się porozumiewawczo do Stelli Richards, odpowiedzialnej za załadunek promu kosmicznego, i wsunął się na fotel na lewej burcie. Włączył bezprzewodowy podczerwony hełmofon, po czym posłużył się odwiecznym, acz rzeczowym stereotypem, który według jego przewidywań powinien zatrzymać bicie co najmniej setki serc w ośrodku kontroli lotów.

- Houston, mamy problem.

Spod okna na rufie promu Stella spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Zupełnie zbyteczne - zauważyła lakonicznie.

Meldunek Matta odebrał w bazie Mike Connors. W jego głosie tym razem nie brzmiał ton sztucznego znudzenia, zarezerwowany na użytek specjalistycznej służby informacyjnej, szkół i licznych entuzjastów przestrzeni kosmicznej, którzy regularnie włączali się na Kanał Informacyjny NASA, specjalny kanał telewizji satelitarnej należący do agencji kosmicznej.

- „Colorado”, przyjąłem i zrozumiałem. Czy możesz to sprecyzować?

- Uważamy, że powinniście dokładniej się przyjrzeć PacSat 19 i podjąć decyzję, zanim poczynili dalsze kroki zmierzające do zdjęcia satelity. Kręci się jak wiatrak.

- Przyjąłem i zrozumiałem. „Colorado”, czy możecie skierować na niego obiektywy?

- Przyjąłem i zrozumiałem. Mike. Paul rozpoczął właśnie działalność w przestrzeni.

Gosling przełączył kanał komunikacyjny i porozumiał się z Paulem Balchinem, który prowadził działania w przestrzeni kosmicznej, poza obrębem statku, w jednostce manewrowej. Oddalony był o jakieś sto metrów od promu, na tyle blisko wirującego satelity z rozszalałymi ogniwami słonecznymi, na ile starczyło mu odwagi.

- Paul, Houston chce trochę zbliżeń do albumu.

Paul Balchin potwierdził otrzymane polecenie i uruchomił urządzenia kontrolne

jednostki manewrowej. Z miniaturowych silniczków odrzutowych umieszczonych w przypominającym krzesło urządzeniu wystrzelił gaz, co ustawiło aparaturę w taki sposób, że błyszczący srebrzysty półksiężyc Ziemi stanowił stały punkt odniesienia na dole każdego zdjęcia. Ustawivszy jednostkę manewrową w odpowiedniej pozycji, Paul nacelował kamerę telewizyjną umieszczoną ponad swoim lewym ramieniem na wirującego satelitę. Małe monitor znajdujący się w wysiężniku jednostki manewrowej pokazywał kolorowy obraz, który Paul wysyłał na Ziemię za pośrednictwem nadajnika promy kosmicznego. Radio ulokowane w kombinezonie miało połączenie z Ziemią, Paul mógł więc uczestniczyć w rozmowie Matta Goslinga z ośrodkiem kontroli lotów.

Paul nienawidził działań poza obrębem statku. Nie miał nic przeciwko czołganiu się w otwartej ładowni promu, gdzie magazynował sprowadzone z orbity nieczynne już satelity. Nie znośił jednak oddalać się od macierzystego statku. Prześladował go koszmarny sen, co udało mu się ukryć przed psychiatrami z NASA, w którym to śnie silniki raketowe jednostki manewrowej nie wyłączają się w porę, wysyłają go w przestrzeń kosmiczną i kończy na orbicie okołoziemskiej, jak ów Francuz, którego ciało sprowadził z orbity w ubiegłym roku. Nieszczęsny facet pracował w Laboratorium Europejskim, kiedy silniczki włączyły się znieacka. Jego ciało wylądowało na długiej eliptycznej orbicie, która w swym apogeum wynosiła je dokładnie do połowy drogi na księżyc. Niestety, cały program kosmiczny Hoovera polegał głównie na działalności w przestrzeni kosmicznej, poza statkiem.

- W porządku, Houston? - zapytał.
- Przytrzymaj parę sekund dla archiwum.

Balchin trzymał kamerę nacelowaną na satelitę. PacSat 19 miał wymiary niewielkiego autobusu. Pięć ton wirującego zelastwa z lat dziewięćdziesiątych, które pełniło służbę przez dziesięć lat, przesyłając bezpośrednie transmisje telewizyjne w Basen Pacyfiku, od Japonii po zachodnie wybrzeża Stanów Zjednoczonych, na trzydziestu dwóch kanałach, nie mówiąc już o dodatkowej setce magnetowidowych połączeń konferencyjnych. Nowe standardy wysokiej rozdzielczości światowej telewizji, przesyłającej szerokoekranowe obrazy w pomniejszonej skali bezpośrednio na ścianę pokoju, sprawiły, że gigantyczny satelita stał się przestarzały, jeszcze zanim jego transpondery o ogromnej mocy przestały na dobre działać przed trzema laty. Teraz był po prostu rupieciem. Kłopotliwym rupieciem.

Paul spojrział na Ziemię. Dobra pogoda nad Pacyfikiem, równoległe do równika wiatry tworzyły delikatne warkocze białych cyrrusów. Ich pozycja nad potężnym oceanem nie uległa żadnej zmianie od dwóch godzin, odkąd „zaparkowali” prom. Zmienił się jedynie zachodni fragment terminatora znaczącego granice między nocą a dniem, w miarę jak ciemność

zbliżała się do Gór Skalistych. Tutaj, na wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy kilometrów, dokładnie ponad równikiem, okrążenie Ziemi po orbicie z zachodu na wschód zajmowało dwadzieścia cztery godziny, dorównując szybkości obrotów planety dokoła własnej osi. Satelita umieszczony na takiej orbicie, zwanej orbitą Clarke'a lub geosynchroniczną, wydawał się utrzymywać nieruchomo na niebie, toteż każdy pacan mógł wycelować swój talerz w ogródku za domem na ulubiony program satelitarny i więcej się tym nie przejmować. Orbita Clarke'a była atrakcyjna nie tylko dla satelitów telewizyjnych; w wyniku niesłychanego rozwoju łączności satelitarnej w latach sześćdziesiątych niemal każdy kraj upchnął na orbicie geostacjonarnej jakiś system: satelity łączności, satelity zdalnego wykrywania, obserwatoria orbitalne i tak dalej. Po blisko pół wieku takiej nie kontrolowanej działalności orbita Clarke'a stała się gigantycznym kosmicznym złomowiskiem otaczającym Ziemię jak jeden z pierścieni Saturna.

Na tej wysokości satelity nie były narażone na zniszczenie orbitalne, jak to się działo z satelitami Ziemi na niższych orbitach, nie kończyły swego żywota konwencjonalnym powrotem w atmosferę i spłonieniem, pozostawały na miejscu. W końcu stulecia krążyło wokół Ziemi ponad dwadzieścia pięć tysięcy nieczynnych satelitów, poczynając od sputników podobnych do piłek aż po dwudziestotonowce wielkości autobusów wycieczkowych, których ogniwa słoneczne miały rozmiary kortu tenisowego; cały ten złom stwarzał zagrożenie dla nowych satelitów wprowadzanych na orbitę.

Program Hoovera odzwierciedlał międzynarodowe wysiłki zmierzające do oczyszczenia orbity Clarke'a. Stany Zjednoczone, jako jeden z najgorszych winowajców, podjęły się oczyszczenia niemal sześćdziesięciu stopni owej orbity i dlatego właśnie Paul Balchin odbywał swój czterdziesty lot na promie kosmicznym i próbował nie zwracać uwagi na swędzenie w kroczu, kiedy nacelowywał kamerę telewizyjną na wirującą, cylindryczną sześciotonową masę aluminiowo-elektronicznego złomu. Zapowiadało się to na najgorszą operację sprowadzania z orbity, w jakiej kiedykolwiek uczestniczył.

- „Colorado”, nie ma wątpliwości, że to cholerne obroty - przyznało Houston. - Trzydzieści dwa obroty na minutę. Żadnych podejrzeń co do przyczyny? Koniec.

- My nic takiego nie widzimy - odpowiedział Gosling. - Według naszych danych pokładowych w zeszłym miesiącu satelita był w pozycji stabilnej, kiedy zakwalifikowano go do zdjęcia z orbity w czasie obecnej misji. Koniec.- Przyjąłem i zrozumiałem, „Colorado”. Potwierdzamy. Koniec.

- Paul, masz jakieś podejrzenia? - zapytał Gosling.

- Nie. I nie zamierzam podchodzić bliżej, żeby sprawdzić - usłyszał w swoich

sluchawkach głos Paula.

Stella Richards przeniosła się spod okna na rufie, gdzie sprawdzała aparaturę kontrolną manipulatora Canada, i usadowiła się na siedzeniu pilota. Gosling starał się nie patrzeć na jej bujne piersi, które w stanie nieważkości nabierały jakiejś własnej fascynującej żywotności. W czasie lotów Stella najchętniej nosiła luźne koszulki trykotowe. Była typem bezpretensjonalnej brunetki i pochodziła z Bostonu. Miała trzydzieści pięć lat, odznaczała się raczej prymitywną urodą i niezwykłymi kompetencjami zawodowymi. Przez kilka minut przyglądała się wirującemu satelicie, po czym włączyła interkom.

- Houston, tu oficer załadunkowy Richards. Proponuję zaniechanie programu Hoovera w przypadku tego drania.

Ponownie odezwał się głos Mike'a Connorsa. - Przyjąłem i zrozumiałem, „Colorado”.
Czekaj na polecenia.

- Nie ma mowy, żeby to kupili - powiedział miękko Gosling wyłączając swój interkom.
Stella spojrzała obojętnie na dowódcę lotu.

- Matt, sprowadzenie tego satelity wydaje mi się zbyt niebezpieczne.

- Może raczej ryzykowne. Ale wszystko jest raczej ryzykowne. Nie wyłączając kochania się w kabinie prysznic. Jeśli zostawimy tego satelitę, ściągną go Francuzi, żeby nam udowodnić, że to możliwe.

- Kontrola lotów do „Colorado”. - Głos Mike'a Connorsa.

- Przykro mi, chłopcy, ale nie ma zgody na waszą sugestię zaniechania działań.
Spróbujcie go ściągnąć za pomocą modułu stabilizacji ładunku.

2.

Trzecia próba Paula Balchina, żeby sprowadzić satelitę za pomocą modułu stabilizacji ładunku, zakończyła się sukcesem. Tym razem użyty przez niego sterowany moduł trafił w środek pokładu satelity PacSat. W momencie gdy haki umieszczone w głowicy modułu przebiły powłokę satelity i mocno się zakotwiczyły, wydzielił się kłęb gazu. Moduł składał się ze zbiorników napędowych i pięciu miniaturowych, kontrolowanych drogą radiową wyrzutni raketowych skierowanych w różne strony.

- Mam cię - oznajmił zagadkowo Balchin.

- Pięknie - skomentował głos Goslinga w sluchawkach. - To pewnie dzięki tym polowaniom z harpunem na ryby, którym oddajesz się z taką lubością.

Balchin nie odpowiedział. Od trzech godzin ubrany był w kombinezon kosmiczny, nie

tracił więc ani chwili, by uruchomić pilota wprawiającego moduł w ruch. Komputer modułu potrzebował kilku tysięcznych części sekundy, by wymierzyć obroty satelity i obliczyć, którą z wyrzutni należy odpalić, żeby te obroty zatrzymać, i na jak długo okaże się to skuteczne. Rezultaty obliczeń rozbłysły na ekranie przed oczami Matta Goslinga.

- Moduł zakłada godzinę i dwadzieścia minut jako czas stabilizacji - przekazał Gosling Balchinowi. - Co zamierzasz zrobić? Wracasz czy będziesz się pocił na zewnątrz?

Balchin uzmysłowił sobie, ile czasu zabierze mu dekompresja w próżniowej kabynie promu, niezbędna do wypompowania z krwi nadmiaru tlenu. Zaledwie zdąży wydostać się z kosmicznego kombinezonu, trzeba będzie znowu wpełznąć w to przeklęte urządzenie. Zmęł w ustach przekleństwo i zdecydował się pozostać na zewnątrz promu.

- W porządku, Paul - oświadczył Gosling uśmiechając się do Stelli Richards. - Pewno już teraz nie pachniesz najlepiej. Więc nie mamy nic przeciwko temu, żebyś został na zewnątrz. Zaczynaj odpalanie stabilizacyjne.

Balchin przemieścił się na bezpieczną odległość od satelity, na wypadek gdyby wszystko szlag trafił i cały proces potoczył się szybciej, niż przewidywano. Tak się jednak nie stało. Po piętnastu minutach, kiedy to jeden z silników modułu wypluwał niemal niewidoczne płomienie, ośrodek kontroli lotu mógł zameldować: - „Colorado”, nieźle to wygląda. Obroty spadły teraz do dwudziestu pięciu na minutę.

Balchin w żaden sposób nie mógł dostrzec różnicy. Olbrzymi cylinder rozbłyskujący w słońcu podczas kolejnych obrotów nie wykazywał wyraźnych objawów stabilizacji. Paul wytrzymał następne trzydzieści minut, podczas których pot strumieniami spływał mu po plecach, jako że system chłodzenia kombinezonu nie wytrzymał tak długiego przebywania w przestrzeni kosmicznej. Wtedy dopiero stało się dla niego jasne, że PacSat 19 rzeczywiście zwalnia obroty.

- Dziewiętnaście przecinek pięć na minutę - donosił z Houston Mike Connors. - Ciągle nie najgorzej, chłopaki.

Balchinowi wydawało się, że dostrzega coś zdecydowanie dziwnego w zachowaniu satelity. Coś było nie w porządku. Nic jednak nie powiedział. Jeśli zawodzi go wzrok, nikt poza nim się o tym nie dowie. Nie wówczas kiedy za każdy lot inkasuje siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Wystarczy tylko wspomnieć o kłopotach ze wzrokiem, a natychmiast człowieka uziemią i zanim zdąży pisnąć, znajdzie się w rękach wojskowych okulistów.

Małe dysze odrzutowe przyczepione do satelity PacSat 19 stale odpalały gazy.

- Szesnaście przecinek trzy - meldował Connors piętnaście minut Później.

Balchin zbliżył się na odległość dziesięciu metrów do PacSat 19.

Jeżu Chryste! Cóż to znaczy?

Znał jednak odpowiedź.

Przez jeden kraniec przeklętego złomu przeświecało światło gwiazd!

Mąż Stelli był prawnikiem zarabiającym blisko milion dolarów rocznie, małżeństwo było szczęśliwe i bezpieczne, dwójka dzieci uczęszczała do college'u, gdzie osiągały dobre wyniki. W jej świecie wszystko się układało. Nie dokuczały jej zbytnio kłopoty finansowe. Stella Richards nie obawiała się, że zostanie zatrzymana na ziemi, ponieważ dostrzega dziwne rzeczy. Włączyła swój mikrofon do gniazdka łączącego wprost z ośrodkiem kontroli przez zaszyfrowany cyfrowo kanał radiowy. W razie konieczności można było posłużyć się tym kanałem bezpośrednio. Ośrodek kontroli lotów przez cały czas miał go na nasłuchu. Po cóż alarmować widzów oglądających Kanał Informacyjny NASA, że coś jest nie w porządku, zgłaszając do Houston prośbę o przejście na zaszyfrowaną częstotliwość?

- Houston. Tu oficer załadunkowy „Colorado”. Nagrywacie?

- Strzelaj, „Colorado” - powiedział Mike Connors.

- Coś dziwnego dzieje się z tym satelitą. Widzę gwiazdy poprzez sekcję w pobliżu anteny. Proponuję, żebyście przyjrzeni się dokładniej ostatnim zdjęciom, jakie wam przesłaliśmy.

- Odebrałem i zrozumiałem, „Colorado”. Bądź w pogotowiu.

Matt Gosling wychylił się do przodu ze swojego fotela, jakby zbliżenie się o kilka centymetrów do okna mogło poprawić widoczność. Dostrzegł mgławicę gwiazd w Orionie. Szpileczki światła zamigotały na krańcu PacSat 19 i zniknęły. Zobaczył je znowu i zaklął.

- Do cholery, masz rację, Stella.

3.

Titusville, Floryda

Nie było szansy, żeby Klipsofon obudził Harry'ego Dysana, aparat jednak doskonale wiedział, co należy zrobić dalej. Po sześćdziesięciu sekundach bezowocnego brzęczenia zaczął emitować niesłyszalny dźwięk, który włączył magnetowid. Głowica odtwarzania wylądowała w samym środku wyścigu rydwanów w ostatniej wersji *Ben Hura*. Ryki tłumu, muzyka, tętent kopyt i nieludzki zgrzyt kół rydwanu przeciwnika Ben Hura dokonały w końcu tego, co nie mogłoby się udać żadnemu ze śmiertelników: Harry Dysan zaczął się budzić.

Początkowo efekty dźwięku były dość mizerne i umysł Harry'ego starał się zupełnie je

wyeliminować. Było to ciężkie zadanie, musiał bowiem uporać się przede wszystkim z krwią mocno nasyconą alkoholem, którą serce Harry'ego posyłało do mózgu. Po kilku sekundach mózg zaprzestał nierównej walki i pozwolił dźwiękom zabrzmieć z pełną siłą.

Harry Dysan obudził się. Drżącą ręką wyłączył magnetowid, rozległy się więc jedynie ostre dzwonki telefonu. Harry wepchnął Klipsofon pod kołdrę.

- Tak?

- Pan Harold Dysan?

- Prawie. Kto mówi?

- Mike Connors. Ośrodek kontroli lotów NASA, Houston.

Harry przypominał sobie niejasno, że został przedstawiony Connorsowi na jakimś zebraniu. Jednakże w obecnym stanie miał jedynie niewyraźne wspomnienia wczorajszej partii pokera.

- Jeszcze spałem.

- Przykro mi, że pana niepokoję. Ale mamy kłopot.

- I z jakiego powodu chce się pan tym podzielić ze mną?

- Gdyby włączył pan swój komputer, moglibyśmy sprawdzić tożsamość - uprzejmie podsunął Connors:

- Nie można z tym poczekać?

- Wydawało nam się, że właśnie pan powinien o tym zdecydować.

Harry uznał, że dalsze narzekanie byłoby bezcelowe. Poza tym został definitywnie rozbudzony, rozbudziła się też jego ciekawość.

- W porządku, Connors, proszę mi dać dziesięć minut. Mam zupełny mętlik w głowie.

Harry odwiesił słuchawkę i wsunął stopy w kaptcie, których wygląd sugerował, że padły niedawno ofiarą stada zgłodniałych wilczyc. Zszedł na dół. Kiedy zapalił światło, olbrzymia ćma, jedna z największych znanych na Florydzie, tłukła się o siatkowe drzwi. Harry zamknął oczy, przygotował się na szok i przełknął potężny łyk nie rozcieńczonego soku cytrynowego, który wyjął z lodówki. Poczul się tak, jakby trafiła go bomba. Przez kilka sekund miał wrażenie, że ukończył właśnie ośmiogodzinną szychkę przy świdrze pneumatycznym. Ale nawet jeśli nie czuł się w pełni człowiekiem, zdolny był już podjąć ludzkie działanie. Wychodząc z kuchni zabrał za sobą kartonowy pojemnik z sokiem. W pokoju panował nieopisany bałagan: brudne kieliszki, puste puszki po coca-coli i budweiserze, popielniczki pełne niedopalków. W wyobraźni słyszał głos pani Jessamine, która raz w tygodniu przychodziła sprzątać dom i wyklądać mu życiową filozofię Bo Jessamine.

- Jak to możliwe, żeby taki człowiek jak pan grał w pokera z podobnymi brudasami?

Panie Dysan, niech pan tylko spojrzy na ten bałagan. No, niechże pan popatrzy!

Harry Dysan był dyrektorem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego do spraw kontaktów z NASA. Zabawny tytuł, ponieważ mógł dyktować jedynie samemu sobie. NASA meldowała mu o każdym niezwykłym przypadku: łódź podejrzana o szmuglowanie narkotyków, która przemknęła się pomiędzy kutrami patrolowymi Straży Przygranicznej, podejrzanie wyglądające place budowy w różnych częściach świata, naruszenie koncesji wydobywczych w kopalniach Antarktyki. Raporty na temat tysięcy niekomercyjnych operacji lądowały u Harry'ego Dysana, odkąd NASA stała się organizacją samowystarczalną finansowo i nie zajmowała się więcej podobnymi sprawami. Kiedy NASA rzucała mu na kolana jakiś pasztet, zadaniem Dysana było zdecydowanie, której z agend rządowych pasztet ten przekazać. Początkowo praca ta należała do FBI, ale grube ryby z tej instytucji przypominały sobie, że w latach sześćdziesiątych astronauta coraz to dostrzegał tajemnicze światła z okien swojej kosmicznej kapsuły. Wystarczy, by NASA zaczęła informować FBI o pojawieniu się UFO, a wszyscy natychmiast pójda w jej ślady. FBI otrzymywało wystarczająco dużo zwariowanych doniesień, nawet bez udziału entuzjastów UFO.

W 1995 roku pracę tę powierzono Harry'emu i wykonywał ją od tamtej pory. Początkowo bardzo mu się to podobało. Mógł pracować głównie w domu, posługując się końcówką komputera w takim tempie, jakie mu odpowiadało, przerywał informacje z jednego rządowego komputera do drugiego. Wspaniale. Problem polegał na tym, że przed kilkoma laty stał się właściwie ofiarą syndromu komputerowego: wykonywanie pracy w domu oznaczało możliwość niechlujnego ubioru, picia, wdychania kokainy, zanikotynowania się niemal na śmierć. Można było, krótko mówiąc, folgować wszystkim swoim słabościom, rzecz nie do pomyślenia przy pracy w biurze lub w zespole innych ludzi. Jeżeli tylko wykonywało się swoje zadania, reszta nikogo nie obchodziła. Problemem Harry'ego Dysana stał się alkohol. Potrzebne było dopiero odejście Jackie z dziećmi i długie perswazje szefa i lekarza, by przekonać go, że wypijanie codziennie czterech sześciopuszkowych kartonów budweisera jedynie pogarsza sytuację. Od tego czasu dotrzymywał postanowienia, by pić wyłącznie w towarzystwie. Nie stracił pracy, nie było jednak sposobu, by skłonić Jackie do powrotu. Początkowo widywał dzieci co tydzień, potem raz na miesiąc, a teraz prawie nigdy.

Podszedł do końcówki komputera Cray umieszczonej w kącie pokoju obok półek uginających się pod ciężarem kolekcji starych płyt jazzowych na siedemdziesiąt osiem obrotów. Włożył marynarkę od biurowego garnituru, która wisiała zwykle na oparciu obrotowego krzesła. Do starannie wyprasowanej marynarki przyszyty był na stałe przód koszuli ze stonowanym krawatem. Jeszcze tylko przejechać grzebieniem po włosach i górna

połowa ciała Harry'ego przeszłaby zwycięsko ocenę portiera Waldorf Astorii, podczas gdy dolna dałaby wystarczający powód aresztowania go pod zarzutem włóczęgostwa.

Harry opadł ciężko na obrotowe krzesło. Włączniki naciskowe pod dywanem czy też jakaś zmiana w lokalnej sile ciężenia w pobliżu komputera - naprawdę nie miał pojęcia, co sprawiało, że ten przeklęty przedmiot zawsze ożywał, ilekroć Harry zapadał w krzesło przed ekranem. Odbicie Harry'ego w szybie ekranu nie wyglądało zbyt zachęcająco: zniszczony trzydziestopięciolatek o bladej cerze zdradzającej długie przebywanie w zamkniętych pomieszczeniach - raczej duże osiągnięcie dla mieszkańca Florydy - z wielką miotłą czarnych rozwichrzonych włosów, które stanowiły dziedzictwo po matce, podobnie jak pół miliona dolarów wykorzystanych przez Harry'ego na spłacenie domu. Na górnej części wyprofilowanej obudowy monitora znajdował się napis, który brzmiał: PIŁKA TU SIĘ NIE ZATRZYMUJE. Któryś z zaprzyjaźnionych karciarzy zmienił „piłkę” na „pałkę”.

ODCISKI PALCÓW, przypomniał Harry'emu ekran.

Harry odcisnął kciuk na tabliczce identyfikacyjnej klawiatury. Rozbłysło światełko kamery, wbudowanej na górze ekranu, na którym pojawił się napis informujący, że komputer dysponuje zakodowaną magnetowidową linią konferencyjną z ośrodkiem kontroli lotów NASA w Houston.

- Jazda - powiedział zwięźle Harry na użytek pamięci komputera rozpoznającej głosy. Oszczędziło mu to konieczności posłużenia się klawiaturą.

Ekran rozjaśnił się. Pojawił się na nim młody mężczyzna o poważnym wyglądzie. Był nieprzyzwoicie czujny, jak na trzecią nad ranem. Uśmiechnął się niepewnie na widok nieogolonego Harry'ego.

- Dzień dobry, panie Dysan. Bardzo nam przykro, że pana niepokoiimy.

- Dobra, dobra, znamy to - odparował Harry machając z poirytowaniem ręką. - Na czym polega problem?

Obraz zawieszony w przestrzeni olbrzymiego cylindrycznego satelity nagle zepchnął twarz Connorsa do niewielkiego okienka w kącie ekranu. Satelita bardzo wolno obracał się wokół własnej osi.

- To jest bezpośrednia transmisja z pojazdu orbitalnego „Colorado” - wyjaśniała zminiaturyzowana głowa Connorsa. Nie patrzył w obiektyw, prawdopodobnie sprawdzał swój monitor. - Satelita, którego pan widzi, to PacSat 19. Jego stabilizację doprowadziliśmy niemal do końca przed rutynową czynnością odkurzenia.

Harry błyskawicznie przestawił się na żargon NASA. Odkurzenie oznaczało zbieranie nieczynnych już satelitów.

- W porządku - powiedział przesuwając ręką po włosach i tłumiąc ziewanie. - Ale dlaczego ja miałbym się tym pasjonować?

- Proszę się dobrze przyjrzeć satelicie. Mniej więcej w odległości metra od jego krańca, po lewej stronie monitora.

Harry spojrział na bardzo wyraźny obraz. Wyglądało to jak wielki, ale zwyczajny satelita bez ogniw słonecznych. O Chryste, ci faceci uwielbiają swoje sekrety!

- I co niby powinienem zobaczyć? - dopytywał się. - Graffiti wykonane ręką zielonego człowieczka?

- Bardzo proszę, niech się pan przyjrzy dokładnie, o, teraz. Widzi pan? *f*

Harry zauważył anomalię, nic mu to jednak nie mówiło

- Widzę uszkodzenie przez meteoryt. I co z tego?

- Żaden meteoryt nie mógł tego sprawić. Jest zbyt regularne. Czyste. Proszę, tu jest zbliżenie.

Przez kilka minut Harry studiował powiększone zdjęcie. To, co zobaczył, sprawiło, że poczuł ostre ukłucie widel swego wewnętrznego demona. Tu chodziło o coś innego. Connors miał rację dzwoniąc do niego i to właśnie Harry mu powiedział.

- Więc co pan zamierza zrobić? - naciskał Connors.

Harry z wysiłkiem skoncentrował się na problemie Connorsa. Psiakrew, teraz był to i jego problem.

- Czy widział pan kiedykolwiek coś podobnego?

- Nie - przyznał Connors. - Nikt z nas nie widział. Co mamy robić?

- W porządku, trzymajcie całą sprawę pod kloszem, dopóki nie zmuszę kogoś, żeby się temu dokładnie przyjrzał.

Connors wahał się.

- Z tym jest kłopot, wie pan. Nie planujemy sprowadzenia satelity na Ziemię. Magazynujemy je w ładowni pojazdu, zmieniamy orbitę na dwieście kilometrów i posyłamy je na tę niższą orbitę, tak że w rezultacie ulegają spaleni. To jest normalnie praktykowana procedura.

- Nie w tym przypadku - powiedział obojętnie Harry. - Tego musicie sprowadzić.

- To niemożliwe.

- Dlaczego?

- Wysłanie promu na orbitę geosynchroniczną pochłania mnóstwo paliwa. To trzydzieści siedem tysięcy kilometrów. Nie możemy sprowadzić na Ziemię satelity o masie PacSat 19 bez zasadniczej zmiany celu misji.

- To zmieńcie profil misji - powiedział Harry zgadując, co nastąpi za chwilę.

Connors wydawał się usprawiedliwiać.

- To oznaczałoby restrukturyzację kosztorysu misji.

Wciąż ten żargon NASA. Dlaczego nie mówi się po prostu o „zmianie kosztów”, co znaczyłoby to samo? W każdym razie domysły Harry’ego były słuszne, NASA wyliczyła koszty misji co do centa.

- W porządku. Ile?

- Proszę poczekać - twarz Connorsa zniknęła z ramki w kącie ekranu, by po chwili znów się tam pojawić. - Dwieście sześćdziesiąt patoli.

Umysł Harry’ego pracował szybko. Miał prawo zatwierdzać dodatkowe wydatki do sumy sześciuset tysięcy dolarów. Największa suma, jaką dotychczas zatwierdził, wynosiła dwieście tysięcy. Dwa lata temu; chodziło wtedy o zdjęcie instalacji algierskiego reaktora atomowego. Zdjęcia okazały się falsyfikatem i wybuchła awantura. Co nie przeszkodziło mu w podjęciu błyskawicznej decyzji.

- W porządku, panie Connors, ma pan moją zgodę.

Na obliczu Connorsa odmalowała się ulga; potrzebował jedynie zgody Harry’ego, rozmowa była nagrywana.

- Będą także koszty naziemne i opłata za przechowywanie satelity.

Harry stłumił przekleństwo. Cholerne szczegółowe księgowanie.

Znaczyło to jedynie, że wujek Sam wyciąga banknoty dolarowe z jednej kieszeni marynarki i wpycha je do drugiej.

- Załatwię transport - wtrącił obcesowo. - Kiedy i gdzie satelita zostanie ściągnięty?

- „Colorado” posłuży się lądowiskiem na Canaveral dzisiaj o piętnastej trzydzieści.

W języku NASA prom kosmiczny nie lądował - posługiwał się lądowiskiem.

- W porządku. Zorganizuję coś i powiadomię pana - obiecał Dysan. - Tymczasem nakładam na tę sprawę trzeci stopień utajnienia, więc proszę, żeby pan poinformował o tym, kogo należy. Nie pomijając nikogo, zwłaszcza obsługi naziemnej, która będzie miała do czynienia z satelitą.

- Możemy przenieść lądowanie do bazy wojskowej - zaoferował Connors. - Nie będzie problemu z bazą Patrick.

- Nie róbmy niczego niezwykłego - powiedział Dysan. - Poza tym nie chcemy przecież zbyt podnosić kosztów przeprofilowania misji, prawda? Będę w kontakcie.

Wyłączył obwód i wpatrywał się w napis PIŁKA TU SIĘ NIE ZATRZYMUJE. Miał paskudne przeczucie, że tym razem niełatwo mu przyjdzie znalezienie kogoś, kto przejąłby tę

szczególną piłkę.

Ziewnął i dotknął klawisza informacyjnego. Przejechał szybko palcami po klawiaturze Craya wprowadzając pytanie o satelitę PacSat 19. Na ekranie pojawił się wyjątek z raportu NASA o położeniu satelity: właściciel Korporacja Satelitów Pacyfiku, data wprowadzenia na orbitę, połączenie z transponderami, zasięg działania w Basenie Pacyfiku i tak dalej. Gdyby pogrzebał głębiej, komputer poinformowałby go nawet o tym, z jakimi programami powiązany był satelita w poszczególnych okresach. Harry'ego jednak to nie interesowało. Teraz potrzebne mu były jedynie wymiary i waga obiektu.

Zapytał więc: ?WYM.

Na ekranie pokazało się: długość 4,2 metra; obwód 1,8 metra, ciężar bez ogniw słonecznych 5,8 ton.

Olbrzymi drań.

Pomyślał cynicznie, że przy takim uszkodzeniu satelita waży teraz prawdopodobnie znacznie mniej. Zadzwoił do Theo Michelmora'a, dyrektora Ośrodka Badań Morskich Pompano Beach, mając nadzieję, że zostanie go w domu w St Augustine, a nie na drugim krańcu globu na jakimś dziwnym sympozjum. Można by pomyśleć, że nie istnieją bezpośrednie połączenia satelitarno-magnetowidowe, obserwując, jak naukowcy zjeżdżają się w najodleglejszych stolicach świata na te swoje zloty. Głos pracującego dla rządu uczonego wydawał się trochę zaszpany.

- Dzień dobry, Theo. Tu Harry Dysan. Jaka jest aktualnie pora dnia w miejscu, w którym przebywasz?

- Taka sama jak u ciebie - warknął Michelmora. - Jestem w domu, w łóżku, spałem i właśnie miałem zły sen; śniło mi się, że ktoś mnie obudził, żeby zapytać, która godzina. Lepiej dla ciebie, żebyś miał dobre wiadomości.

4.

Tego ranka Harry spał długo i zaczął pracować dopiero o dziesiątej. Spędził pół godziny sporządzając wydruk szczegółowych informacji o satelicie PacSat 19, następną godzinę poświęcił na zdobycie i przeanalizowanie najnowszego raportu NASA o sytuacji satelitów. Miał wystarczająco wysoką funkcję, by mógł włączyć się bezpośrednio do komputera Ministerstwa Obrony, który dostarczył mu najnowszych danych o poruszeniach i aktualnym rozmieszczeniu wszystkich satelitów-niszczycieli niezależnie od tego, jakie kraje sprawowały nad nimi kontrolę. Żaden satelita tego typu nie został ostatnio umieszczony w

uderzającej bliskości PacSat 19. Komu jednak opłacałoby się marnować cenny napęd pokładowy satelity, by unicestwić i tak nieszkodliwego satelitę telewizyjnego?

Może był to ktoś, kto nienawidził kiczowatych seriali? Ta myśl rozśmieszyła Harry'ego. Poniechał dalszych spekulacji i zajął się bieżącym problemem - przedzierał się przez gąszcz nazw zamorskich przedsiębiorstw, usiłując wytropić prawdziwych właścicieli LearJeta, którego używano do przemywania kokainy. Cztery godziny solidnej pracy przy klawiaturze, wydobywanie wiadomości z dziesięciu komputerów we wszystkich krajach, do jakich miał dostęp, nie przyniosły niczego; ustalił jedynie, że ten odrzutowiec należy do najczęściej wynajmowanych samolotów na świecie. Poruszał się w zamkniętym kręgu, wydawało się, że nikt nie jest właścicielem tego przeklętego obiektu. O szóstej dał za wygraną i spędził część wieczoru oglądając wybory nagiej Miss Świata na specjalnym kanale dla mężczyzn.

O ósmej wziął prysznic i ogolił się, udało mu się nawet doprowadzić do całkiem ludzkiego wyglądu dzięki czystej koszulce trykotowej i dżinsom. Theo Michelmores był starym przyjacielem, nie musiał więc ubierać się bardziej elegancko. Od lat Harry nabierał wszystkich dzięki sztuczce z marynarką i koszulą podczas konferencji magnetowidowych, a także dzięki temu, że na każdym zebraniu pojawiał się w wytwornym garniturze.

Kiedy wyprowadzał swojego pięcioletniego Buicka z podjazdu i kierował się na południe drogą US1, miał nieprzyjemne przeczucie, że w najbliższej przyszłości często będzie musiał nosić garnitur.

5.

Pompano Beach, Floryda

Harry przybył do Ośrodka Badań Morskich w Pompano wkrótce po północy. Działalność stacji finansował Departament Stanu za pośrednictwem FBI, Straż Przybrzeżna USA za pośrednictwem Ministerstwa Obrony i Agencja Ochrony Środowiska w Waszyngtonie. Pierwotnie była to zaniedbana przystań, teraz przekształcona w najlepszy na wybrzeżu Florydy ośrodek śledzenia statków, którego główna pochylnia pozwalała przecholować dwustutonowy jacht do klimatyzowanych hal, gdzie sądowi technicy z ekipy Theo Michelmores'a mogli rozebrać go na części i dokładnie zbadać. W ciągu dziesięciu lat działalności stacja odegrała zasadniczą rolę w przechwyceniu niemal pięciuset ton narkotyków i zebraniu ponad dziesięciu milionów dolarów kar od właścicieli statków, które wyrzucały do morza zanieczyszczenia przemysłowe bądź też miały kadłuby pomalowane

toksyczną farbą ochronną, zakazaną na wodach amerykańskich. Dwadzieścia podobnych stacji, obejmujących działalnością całą długość wybrzeży amerykańskich, sprawiało, że amerykańskie plaże, a także tereny połowów ryb były najmniej zanieczyszczone na świecie.

Harry przeszedł przez dwa punkty kontrolne, po czym skierowano go na parking w pobliżu helikoptera Michelmora'a. Sam uczyony czekał na niego w recepcji. Był to dość otyły mężczyzna o obwisłych policzkach, ubierał się zazwyczaj w zbyt luźne garnitury, które wisiały na nim jak skóra iguany.

- Więc o co chodzi z tym przeklętym satelitą? - wymamrotał Michelmora, ściskając Harry'emu dłoń i prowadząc go wzdłuż korytarza do kompleksu laboratoryjnego. - Czy przypuszczasz, że teraz do transportu narkotyków używa się promów kosmicznych?

- Przepraszam, że zwałem to na ciebie, Theo. Ale po prostu nie miałem pojęcia, co z tym fantem zrobić. To jest najbliższa stacja służby bezpieczeństwa, która może sobie poradzić z obiektem takich rozmiarów.

- Nie ulega wątpliwości, że to dziwaczny obiekt - burknął uczyony.

- Co masz na myśli?

- Sam się przekonasz - Michelmora otworzył specjalne drzwi zabezpieczające, wyciskając na nich odcisk kciuka, i pchnął je własnym ciałem. Harry wszedł za nim do dużego, klimatyzowanego warsztatu. Wokół ścian stały stalowe ławy, a na nich silniki statków na różnych etapach demontażu. Na końcu hali zainstalowano gigantyczną obręcz na szynach, zdolną objąć dwudziestometrowy jacht. Znajdowały się tam też ruchome aparaty rentgenowskie, które mogły prześwietlić każdy centymetr kwadratowy kadłuba. Hala była wielomilionową inwestycją. Pozwalała rozebrać każdy statek na najdrobniejsze części - lecz błyszcząca cylindryczna masa satelity PacSat 19 zwisająca na szerokich pasach z ruchomej suwnicy wydawała się tu nie na miejscu.

- Jest u nas dopiero od godziny - wyjaśnił Michelmora. - Zdążyliśmy umieścić go na rotatorze, ale nie miałem kiedy bliżej mu się przyjrzeć. Dokonaliśmy jedynie kilku wstępnych badań.

Harry gwizdnął.

- Theo, nie masz nic przeciwko temu, że włączę swój magnetofon na czas rozmowy?

- Mną się nie krępuj!

Harry przesunął kciukiem włącznik magnetofonu, który przyczepiony był do podkoszulka, i przeszedł na drugą stronę szyn na pochylni, żeby przyjrzeć się z bliska PacSat 19. Olbrzymi obiekt zakołysał się, kiedy Harry oparł się o niego. Prócz licznych szczerb i zadrapań w delikatnej zewnętrznej powłoce nie widać było żadnych objawów fenomenu,

który sprawił, że Harry zarządził kosztowny transport satelity na Ziemię.

- Nie mów mi tylko, że to wszystko wytwór mojej wyobraźni - poprosił Michelmore'a.

Uczony uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni koszuli pilota.

- Odsuń się na bezpieczną odległość - ostrzegł.

Harry cofnął się. Michelmore nacisnął przycisk. Rozległ się warkot motorów nad głowami i dwa pasy zaczęły się przesuwac, wprawiając masę zawieszoną na nich satelity w ruch obrotowy wokół własnej osi. ‘

- Na tym urządzeniu możemy odwrócić do góry nogami piętnastometrowy statek - wyjaśnił z dumą Michelmore.

- I potrząsnąć nim?

Michelmore roześmiał się i znowu przycisnął guzik pilota. Silniki zatrzymały się. Obydwaj mężczyźni przyglądali się widocznemu teraz uszkodzeniu.

Pierwszy przerwał milczenie Harry.

- Wygląda jeszcze gorzej niż na ekranie telewizyjnym. - Przejechał palcem po obrzeżu otworu.

- Dokładnie okrągłe i regularne z tej strony - powiedział Michelmore. - Koncentryczne w obrębie pół milimetra. Zanim się pojawiłeś, przeprowadziłem wewnętrzne pomiary z noniuszem.

Michelmore skierował lampę tak, by Harry mógł zajrzeć w głąb otworu o regularnym obwodzie i średnicy trzydziestu centymetrów. Mógł niemalże wetknąć weń głowę. Wewnątrz dostrzegł pozostałości tablic rozdzielczych, rozruszników i miniaturowych przekładni biegów orientujących anteny satelity. Otwór był tak regularny, że w niektórych miejscach delikatna aparatura została wyeksponowana jak na wyjaśniających przekrojach w książce, podczas gdy metalowe konstrukcje i komponenty o włos jedynie oddalone od ściany otworu pozostały nienaruszone. Miało się wrażenie, że to gigantyczny świder, niezwykle ostry i obracający się z niewyobrażalną prędkością, przewiercił się przez PacSat 19.

- Przyjrzyj się dokładnie końcówkom tablic rozdzielczych - zachęcał Michelmore.

Harry wpatrywał się w najbliższą tablicę, w której brakowało półokrągło wyciętego fragmentu, jakby wygryzł go rekin. Uszkodzony brzeg tablicy błyszczał jak porcelanowa filiżanka.

- Wygląda jak wypolerowane - skomentował.

- Zeszklenie ciepłe - odpowiedział Michelmore. - Obejrzymy to sobie teraz z drugiej strony.

Znowu zawarczały silniki obracając satelitę, aż ukazała się jego przeciwległa strona.

Otwór wylotowy, jeżeli był to otwór wylotowy, wyglądał zupełnie inaczej. Zamiast regularnych, niemal maszynowo obciętych krawędzi zewnętrznych powłoka tworzyła powyginaną, szerniałą i na pół stopioną aluminiową masę, jakby wysadzoną od wewnątrz.

- Myślę, że spokojnie możemy to przyjąć za otwór wylotowy zauważył rzeczowo Michelmore.

- Otwór wylotowy czego? - zapytał Harry przeciągając z zainteresowaniem palcem po wyszczerbionej krawędzi płaszczyzny, która przełamała się wzdłuż spawu.

- Nie mam pojęcia, Harry.

- Meteor?

Michelmore wzruszył ramionami.

- Możliwe, ale chyba jednak nie. To nie moja dziedzina, ale nie sądzę, żeby meteoryt wypalił otwór o tak regularnym kształcie.

- Tak właśnie sądzi NASA, ale czytałem gdzieś, że można świecą przestrzelić deskę, jeśli tylko wystrzeli się ją z odpowiednią szybkością.

Michelmore pokręcił głową.

- Pomijając otwór wylotowy mamy tu do czynienia z czymś, co przewierci idealnie koncentryczną dziurę wielkości garnka przez dwa metry zmasowanej elektroniki. Nie wydaje mi się, żeby mógł to sprawić meteoryt. Nie ma mowy. Nie ma idealnie okrągłych meteorytów, są to po prostu nieregularne kawałki skały.

Harry cofnął się i studiował satelitę, ręce trzymał w kieszeniach marynarki, a wyraz twarzy miał jeszcze bardziej posępny niż zazwyczaj.

- Powiem ci, co to mogło być - zaproponował Michelmore.

- Domyślam się, Theo, co zamierzasz powiedzieć. Satelita-niszczyciel, tak?

- To jedyne sensowne wyjaśnienie.

- To wyjaśnienie, które nie ma najmniejszego sensu. Sprawdziłem. Po pierwsze, niszczyciele posługują się szybkostrzelnymi pociskami o miękkich główkach, które rozlatują się przy zderzeniu. Maksymalny kaliber czterdzieści milimetrów. Nie ma potrzeby używać niczego większego. Tej dziury nie przebił satelita-niszczyciel. A poza tym, kto chciałby niszczyć satelitę, który i tak już był nieczynny?

- A Rosjanie?

Harry westchnął. Niechęć Theo Michelmore'a do Rosjan była legendarna.

- Sprawdziłem położenie wszystkich satelitów, Theo. Najbliższy niszczyciel oddalony jest o trzydzieści stopni i ma inne nachylenie orbitalne.

- Co ma do tego wszystkiego odległość? - spytał Michelmore. - Wystarczy wyliczyć

prędkość i czas i można trafić w cel znajdujący się w odległości roku świetlnego z pistoletu Smith and Wesson kaliber trzydzieści osiem. Ty, Harry, oglądasz za dużo filmów science fiction. Zwykły karabin jest o wiele mniejszy, a równie niebezpieczny w kosmosie jak te wszystkie szalone urządzenia laserowe. Pocisk w kosmosie podporządkowuje się prawu Newtona, będzie poruszał się po prostej ze stałą prędkością, aż w coś trafi. Rozumiesz?

- Tego nie spowodował kaliber trzydzieści osiem - powiedział sarkastycznie Harry wskazując głową otwór.

- Fakt - przyznał Michelmore.

- Faktem jest również to, że Rosjanie to wczorajsi wrogowie.

- I w ten sposób wracamy prosto do punktu wyjścia. I co zamierzasz dalej robić?

Harry podszedł do maszyny, by kupić sobie puszkę coli, co dało mu więcej czasu na zastanowienie. Usiadł naprzeciwko Michelmore'a, oparł łokcie na kolanach i otworzył puszkę. Odczynniki chemiczne usunęły ciepło z płynu. Harry poczekał, aż na wierzchu puszki utworzyła się obwódka lodu, i dopiero wtedy pociągnął łyk.

- Nie wiem - wyznał ponuro. Pociągnął kolejny łyk coca-coli i podał puszkę Michelmore'owi, a sam podszedł jeszcze raz do satelity i długo przyglądał się tajemniczej dziurze. - Będę z tobą szczery, Theo. Nie mam najmniejszego pojęcia, co z tym zrobić. Kiedy patrzę na to uszkodzenie, ciarki mi przechodzą po plecach.

- Muszę się pozbyć tego za dziesięć dni. Straż Przybrzeżna z Miami przywozi dwudziestometrową żaglówkę z silnikiem i chcą, żebyśmy ją zdemontowali.

- Daj mi tydzień.

Michelmore skinął głową.

- W porządku. Musisz sobie sprowadzić jakichś specjalistów, żeby się temu przyjrżeli. Autentycznych. My tylko oglądamy fajby od spodu.

6.

Pierwszym ekspertem, który przyjechał badać PacSat 19, był profesor Cummins z Ośrodka Zbierania Danych o Meteoroidach w Menlo Park. Był to niesłychanie zwinny dwudziestopięcioletni mężczyzna, który wyglądał bardziej jak zawodowy tenisista niż uczonec. Usiadł okrakiem na satelicie, rzucił okiem na uszkodzenie i bez wahania oświadczył, że nie mogło go spowodować zderzenie z meteorytem.

- Nie ma tu śladu drugorzędnych uszkodzeń w miejscu zderzenia, nadpaleń w wyniku gazyfikacji, które wystąpiłyby niechybnie w razie zetknięcia z meteorytem zdolnym

spowodować wyrwę tych rozmiarów.

- Więc jaka jest przyczyna? - pytał Harry.

Ekspert pokręcił głową i lekko zeskoczył z satelity.

- Nie mam pojęcia, panie Dysan. Poza ruiną przy otworze wylotowym jest to najbardziej „czysta” i regularna dziura, jaką widziałem. Taka jaką mogłaby wyciąć przemysłowa elektrodrażarka, wie pan, rodzaj instalacji używanej do kształtowania płyt stalowych przy wyrobie narzędzi. A może nawet wysokonapędowy gazowy kształtownik laserowy. Duży. Naprawdę duży.

Harry podpisał delegację profesora Cumminsa i wrócił do domu. Zasiadł przy swojej końcówce komputera, wcisnął do odpowiedniego otworu taśmę z nagraniem głosu i nacisnął klawisz transkrypcji. Maszyna przerabiała mówiony dialog na tekst wyświetlany na ekranie. Dźwięki, z którymi nie mógł sobie poradzić procesor rozpoznawania głosu, pojawiały się jako informacje systemowe. Profesor Cummins miał czysty i wyraźny głos, więc nie pojawiło się ich wiele.

Harry odczytał transkrypcję spotkania, by sprawdzić, czy jakaś część wypowiedzi profesora nie umknęła jego uwagi. Nie znalazł nic takiego. Ziewnął i przystąpił do żmudnego zadania: ze wszystkich dwudziestu rządowych baz danych wyluskać wszelkie informacje o przemysłowych elektrodrażarkach i laserach wysokiej energii. Kiedy skończył, większa część całej rzyzy papieru komputerowego znalazła się w koszu na śmieci.

Po sześciu godzinach czytania i robienia obszernych notatek na elektronicznym bloczku, w czasie których w pełni wykorzystał swoje niezwykle zdolności koncentracji, Harry stał się niemal ekspertem od wszystkich skomplikowanych technologicznie urządzeń do wiercenia otworów. Najmniejsza maszyna, która mogłaby wykonać otwór podobnej wielkości, pochodziła z Chin i ważyła pięć ton. Kolejna, radziecka maszyna, ważyła prawie cztery tony. Obydwie wymagały podłączenia do sieci elektrycznej i żadna nie działała na odległość; mogły operować jedynie „siedząc” na obiekcie, żeby się wyrazić dosłownie. Pomimo gigantycznych wydatków na zbrojenia w budżecie radzieckim i amerykańskim, które zaczęły się w latach osiemdziesiątych, w rzeczywistości lasery i wiązki wysokiej energii jako broń należały ciągle do królestwa science fiction. Nikt nie wynalazł sposobu zgromadzenia energii odpowiadającej sile niewielkiej bomby atomowej i skoncentrowania jej w wiązkę. Obydwie strony miały na swoim koncie bardzo spektakularne niepowodzenia z torusowymi spiralami plazmy. To prawda, że wojskowi wysadzili raketę na wyrzutni w czasie próby przy użyciu lasera. Zrobiło to wielkie wrażenie na prasie i publiczności. Potem okazało się, że była to sztuczka obliczona na zdobycie dodatkowych funduszy: zbiorniki rakiety znajdowały się

pod zbyt silnym ciśnieniem i zwykle ukłucie szpilką mogłoby spowodować wybuch.

Harry zaczął się niepokoić, co ma napisać w raporcie. Wydał prawie ćwierć miliona dolarów, więc nie ulegało niemal wątpliwości, że generał Gus Whittaker z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Waszyngtonie może zadzwonić lada chwila domagając się wyjaśnień. No dobra, a gdyby postawić taki wniosek:

- Wprowadzanie tekstu - zaczął Harry wyraźnym głosem na użytek Craya. - Zakładając, że Rosjanie dotrzymują międzynarodowych traktatów z 1977 i 1996 roku o zakazie broni strategiczno-obronnych, uszkodzeń w PacSat 19 dokonać mógł jedynie przemysłowy kształtownik, obrabiarka laserowa albo elektrodrążarka. Taka maszyna musiałaby być wyniesiona na orbitę i następnie - otworzyć cudzysłów - zaparkowana - zamknąć cudzysłów - obok satelity. Eksperci obliczają, że wywiercenie otworu o podobnych wymiarach wymagałoby energii rzędu miliona watów. Plus energia niezbędna do umieszczenia takiego satelity-niszczyciela na orbicie. Koniec wprowadzania tekstu.

Harry sprawdził sformułowanie tekstu, który ukazywał się na ekranie w miarę dyktowania. Do diabła, mógł się z tym obyć w nieskończoność, nie miało to większego znaczenia. Gus Whittaker rzucił okiem na to, co Harry napisał, i zaczął szukać kogoś na jego miejsce.

7.

Titusville, Floryda

Harry mylił się. Kiedy następnego dnia na ekranie komputera pojawiła się pomarszczona, ponura twarz generała Whittakera, wysoki oficer wydawał się zatroskany i tym razem nie potraktował Harry'ego jak chłopca do bicia. Wysłuchał uważnie, co Harry miał do powiedzenia, po czym milczał przez jakiś czas rozważając możliwe rozwiązania.

- W porządku, Harry. Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

- Wydałem dwieście siedemdziesiąt tysięcy dolarów ściągając obiekt do ośrodka w Pompano, panie generale.

- Powstrzymam się od komentarzy, dopóki nie dowiemy się, w cośmy się wpakowali - odpowiedział niemal złowieszczo generał. - A teraz, Harry, chciałbym dostać trochę więcej informacji. Rzeczowych informacji od kogoś, kto naprawdę coś wie o tym satelicie, i sensownych wniosków. Musisz dotrzeć do właścicieli - oficer wysokiej rangi rzucił okiem na raport Harry'ego - do tej Korporacji Satelitów Pacyfiku i poprosić ich ekspertów o obejrzenie obiektu. Nie chcę słyszeć żadnych więcej hipotez i domysłów, póki nie dowiemy się, co oni

mają do powiedzenia.

- To był jedynie tymczasowy raport, panie generale, żeby poinformować pana na bieżąco - Harry był rozdrażniony. - Nie chciałem zapuścić się za daleko, jeśli chodzi o wydatki...

- Harry, nie staraj się zwalić tego na mnie, dopóki nie zrobisz wszystkiego, co do ciebie należy - przerwał Whittaker. - W tym roku podatkowym masz zezwolenie na wydanie sześciuset tysięcy. Od ciebie zależy, jak uznasz za stosowne wydać te pieniądze. Nie przesuwaj sprawy przed czasem na wyższy stopień podejmowania decyzji. Chciałbym mieć raport za siedem dni - po tych słowach twarz generała zniknęła z ekranu Harry'ego.

Harry przeklinał swoją nieumiejętność przewidzenia reakcji Whittakera. Na Boga, przecież chodziło mu przede wszystkim o możliwość przedyskutowania sprawy. Na tym właśnie polegał problem, kiedy pracowało się w pojedynkę. Myślało się w samotności, w samotności wypracowywało się teorie, w samotności zwalczało się własne fobie. Z nikim nie można było sprawdzić zasadności pomysłów, nie było w pobliżu żadnych życzliwych uszu, żadna para ładnych nóg nie ukazywała się przy biurku. Harry tęsknił za światem z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pokazywanym w starych filmach telewizyjnych. W owych czasach ludzie pracowali razem w biurach, odwiedzali się nawzajem i wysłuchiwali swoich problemów, przy lunchu szlifowali wzajemnie swoje pomysły, wymieniali dowcipy. Najzabawniejsze w starych filmach było to, że kręcono je po to, żeby zarobić pieniądze, a teraz nagle stały się dokumentami historyczno-socjologicznymi.

Harry przywołał na monitor informacje o Korporacji Satelitów Pacyfiku. Okazało się, że jest to typowa wielonarodowa kompania z całą skomplikowaną siecią filii i dodatkowych podkompanii założonych w celu uniknięcia podatków. Zadzwoił do głównego biura firmy w Londynie. Co robiła w Londynie firma o podobnej nazwie? W słuchawce odezwał się kobiecy głos z angielskim akcentem.

- Chciałbym porozmawiać z waszym dyrektorem technicznym w sprawie satelity PacSat 19 - wyjaśnił Harry po uprzednim przedstawieniu się. Łączono go po kolei z wieloma wyższymi urzędnikami, zanim dotarł do kogoś, kto wiedział, o czym jest mowa. Alec Sommerville wydawał się sympatycznym młodzieńcem i w dodatku niezłe poinformowanym.

- PacSat 19? Ten satelita jest już nieczynny od kilku lat. Mam wrażenie, że zapłaciliśmy NASA, żeby go zdjęli z orbity. Tak, w zasadzie nie powinien już istnieć. A o co chodzi? Czy powstał jakiś problem?

- Nic poważnego. Chodzi o prawidłową orientację niskiej orbity, żeby mieć pewność, że satelita ulegnie stu procentowemu spaleni w momencie wejścia w atmosferę.

- Wszystkie plany i specyfikacje są w Bibliotece Kongresu w dziale danych - wyjaśnił Sommerville.

- Nie najlepiej umiem odczytywać plany - powiedział Harry. - Poza tym potrzeba nam więcej informacji, niż da się uzyskać z planów. Musimy skontaktować się z szefem zespołu, który zaprojektował i zbudował satelitę. Z kimś, kto zna PacSat na wylot.

- Rozumiem, panie Dysan. Zaraz, niech pomyślę... tak, najlepiej, żeby się pan skontaktował z moim poprzednikiem. Tonym Kingiem.

- Brytyjczyk?

- Tak...

Harry nacisnął odpowiedni klawisz, który połączył go bezpośrednio z ośrodkiem informacji Biura Cenzusowego Wspólnoty Europejskiej w Brukseli, co oszczędzało konieczności przedzierania się przez cały system kontrolny użytkowników komputerów. Na ekranie Harry'ego ukazało się okienko, gotowe na przyjęcie zapytania nadanego za pomocą głosu lub klawiatury.

- ...już na emeryturze. Mieszka w Hiszpanii. To powinno wystarczyć, żeby go odnaleźć.

Harry wystukał: ?KING TONY? BRYTYJCZYK? HISZPANIA na klawiaturze swojego komputera, jeszcze zanim Sommerville skończył mówić.

- Wspaniale - powiedział, podczas gdy na monitorze ukazało się dziewięć możliwych rozwiązań. - Jakie ma drugie imię?

- Dawid, D jak delta.

Harry wprowadził to do komputera.

Ośrodek informacyjny przefiltrował wszystkie możliwości, pozostawiając na ekranie jedynie informacje o Anthonym Dawidzie Kingu.

- W porządku, panie Sommerville. Wygląda na to, że go znalazłem. Czy ostatnie trzy cyfry jego Klipsofonu to 934?

- Zgadza się, panie Dysan.

- Dziękuję, panie Sommerville. Bardzo mi pan pomógł.

Harry rozłączył się i nakręcił numer Tony'ego Kinga. Oczekując na połączenie bębnił bezmyślnie palcami i raz jeszcze odczytywał informacje o Anthonym Dawidzie Kingu otrzymane z Biura Cenzusowego Wspólnoty Europejskiej.

Urodzony 1940. Dyrektor techniczny Korporacji Satelitów Pacyfiku 1980-1999. Przeszedł na emeryturę w 1999. Stały adres: willa Jaconne, La Canuta, Hiszpania.

W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Halo?

Dla Harry'ego był to szok. Klipsofon odbierał zazwyczaj jedynie abonent, nikt inny. Po to w zasadzie je wymyślono - zawsze można było się połączyć z żadaną osobą. Rozmowy były cyfrowane i szyfrowane, a więc stuprocentowo bezpieczne. Harry słyszał w słuchawce głosy rozbawionych dzieci.

- Czy to osobisty numer pana Anthony'ego Kinga?

- Tak. Kto mówi? Widzę numer ze Stanów Zjednoczonych, ale żadnego nazwiska.

Harry wyjaśnił, kim jest. Kobieta okazała się żoną Kinga.

- Przykro mi, panie Dysan, ale Tony jest na kempingu w górach Sierra z naszym najstarszym wnukiem. Nie mam pojęcia, gdzie jest ani kiedy wróci. Myślę, że w ciągu najbliższych kilku dni. Zazwyczaj nie jadą na dłużej niż dwa tygodnie.

- I nie wziął z sobą Klipsofonu? - Harry starał się, żeby w jego głosie nie brzmiało zbyt wielkie niedowierzanie.

- O nie, nigdy tego nie robi.

- Więc jak mogę się z nim skontaktować?

- Nie może pan.

- Ależ to szaleństwo. A gdyby przydarzył mu się wypadek albo coś?

- Mój mąż wie, co robi - powiedziała kobieta stanowczym tonem.

Nie wdając się w szczegóły Harry przekonał ją, że sprawa jest niezwykle pilna. Obiecała, że mąż skontaktuje się z nim natychmiast po powrocie.

Harry przekopował informacje o Tonym Kingu na swoją drukarkę i doszedł do wniosku, że jedynie wściekły pies albo Anglik może pójść w góry bez Klipsofonu. Na razie jednak trzeba było poczekać na Tony'ego Kinga.

Przedzierał się przez dane Federalnej Agencji Rezerw Osobowych. Kilka uderzeń w klawiaturę wyeliminowało informacje o blisko dwu milionach pracowników, pozostawiając jedynie setkę obiecujących nazwisk, które udało się Harry'emu ograniczyć do dziesięciu przez dokładniejsze przeanalizowanie profilu ich kariery (znowu żargon) i pracy, jaką obecnie wykonywali. Zaczął telefonować. Właściciel trzeciego nazwiska ze skróconej listy przebywał na wakacjach na Florydzie. Harry złapał go w odległości pięćdziesięciu mil od Fort Lauderdale, w chwili gdy polował z harpunem na marlina. Steven Krantz był zastępcą dyrektora naukowego w Ośrodku Akceleratora Cząstek w Teksasie. Nieliczne informacje, jakich udzielił mu Harry, zaintrygowały go na tyle, że zaproponował przyjazd do Pompano następnego dnia. Robił wrażenie człowieka młodego i zapalonego. Harry podziękował mu, rozłączył się i sprawdził wiek Krantza. Dwadzieścia trzy lata. Harry jęknął. Jezus, jeszcze jeden profesor nastolatek! Trzydziestopięcioletni Harry nagle poczuł się starcem.

8.

Pompano Beach, Floryda

Steven Krantz miał chłopięcą, świeżą cerę. W wieku lat czterdziestu będzie wyglądał jak dwudziestolatek. Dzięki regularnym ćwiczeniom był zwinny, pełen zapału, miał duże poczucie humoru, cięty dowcip i wzbudzał sympatię. Lubiły go kobiety, co oznaczało, że starsi mężczyźni, którzy pili, palili i nigdy nie zbliżali się do sali gimnastycznej, nie znosili nawet jego widoku. Nie było to zupełnie ścisłe w przypadku Harry'ego, ale z pewnością to, co młody fizyk miał do powiedzenia o dziurze w PacSat 19, nie przyczyniło się do wzbudzenia sympatii w starszym mężczyźnie.

- To przyszło z kosmosu - oświadczył Krantz kpiącym i jakby złowieszczym tonem. Siedział okrakiem na satelicie, niczym pigmej dosiadający słonia. Łypnął na Harry'ego jak potwór z argusowym okiem.

- Co takiego? - zamrugął oczami Harry.

- To, co wywierciło ten otwór. Nie, wywiercić to niewłaściwe słowo. To, co „wyparowało” ten otwór. - Krantz uśmiechnął się do Harry'ego z góry, przełożył nogę przez satelitę i lekko zeskoczył na betonową podłogę. Przybliżył usta do magnetofonu Harry'ego i powiedział tym swoim kpiącym, głębokim, lekko złowieszczym głosem:

- Nie jesteśmy sami.

Całe to małpowanie nie przypadło do gustu Harry'emu.

- Do czego pan właściwie zmierza, panie Krantz?

- Na imię mi Steven. Albo Steve. Nie lubię formalności. - Szedł w stronę automatu z napojami, a Harry podążał w ślad za nim.

- Co masz na myśli mówiąc, że to przyszło z kosmosu?

Krantz wpuścił do maszyny kartę kredytową i wziął puszkę coli z otworu. Pociągnął duży łyk, kiedy puszka się ochłodziła.

- Jak już mówiłem, cokolwiek zrobiło tę dziurę, nie jest pochodzenia ziemskiego. Po pierwsze, dzieli nas jeszcze sto lat od tak skomplikowanej technologii. Może bylibyśmy znacznie bliżej, gdyby Aleksy Hegel nie zarzucił tak głupio swojej pracy nad fizyką plazmy. Po drugie, kąt nachylenia otworu wskazuje, że nie przebito go z Ziemi.

- Inny satelita?

- Wykluczone.

- Co ci daje taką pewność?

- Fakt, że nie dysponujemy odpowiednią technologią. Po prostu.

- Chodzi mi o to, dlaczego jesteś tak pewny, że przyczyna nie ma ziemskiego pochodzenia?

Krantz wziął Harry'ego pod rękę. Obydwaj mężczyźni zbliżyli się do krańca gigantycznego obiektu o cylindrycznym kształcie - do miejsca, gdzie został przedziurawiony. Krantz wskazał ręką.

- Te podpory na boku służyły do zamontowania nadawczych i odbiorczych talerzy anteny. Zgoda?

Harry skinął głową.

- Wiem o tym. Oglądałem rysunki.

- To jest moduł anteny. Kiedy satelita krążył po orbicie dokoła Ziemi, silniki obracały tylną jego część w przeciwnym kierunku, tak aby talerze zawsze nastawione były w stronę Ziemi. Pozostała część satelity musiała obracać się powoli, żeby uniknąć spalania przez słońce. Czy dotychczas wszystko jasne?

Beztronski sposób bycia Krantza irytował Harry'ego.

- Panie Krantz, mogę być trzydziestopięcioletnim staruszkiem, ale nie mam jeszcze demencji.

- Otwór wylotowy zorientowany jest w tym samym kierunku co talerze anteny, wskazuje na Ziemię. A więc cokolwiek zrobiło tę dziurę, podróżowało w stronę Ziemi i ten satelita po prostu znalazł się na trasie.

Harry spojrzał z uwagą na młodszego mężczyznę.

- Jesteś tego pewny? Że cokolwiek spowodowało to uszkodzenie, zmierzało w kierunku Ziemi?

- Oczywiście, że jestem pewny. Uszkodzenie przy otworze wylotowym i kąt nachylenia stanowią niezawodną wskazówkę. - Krantz znów obdarzył Harry'ego jednym z tych swoich irytujących uśmiechów. - Ale to ciągle jeszcze nie wyjaśnia, co spowodowało uszkodzenie.

- Czy mógł to być meteoryt?

Krantz pokręcił przecząco głową.

- To nie jest otwór spowodowany przez materię, panie Dysan. To była energia. Surowa energia wyzwolona przez technologię znacznie wyprzedzającą technologię ziemską. Mogło to być wystrzelone w kierunku Ziemi z odległości kilkuset mil albo kilku tysięcy lat świetlnych. Może wysłane zostało przez cywilizację, która już nie istnieje. Może w ten sposób przesyłają wiadomość „Hej, wy tam! Jesteśmy tutaj!”, podobnie jak my te komunikaty radiowe, które przesyłaliśmy do gwiazd w odległych latach sześćdziesiątych.

Harry nie wiedział o tym.

- Wysyłaliśmy takie komunikaty?
- Projekt Ozma, autorstwa Franka Drake'a - wyjaśnił Krantz. - Do tej pory powinny dotrzeć do kilku tysięcy gwiazd. Może ta dziura jest odpowiedzią.

9.

Titusville, Floryda

Harry siedział przy końcówce komputera; doszedł do wniosku, że nienawistna mu jest cała ta sprawa i wszystko, co się z nią wiąże. Wyświetlany właśnie w telewizji film sprzed dwudziestu lat stanowił bolesne przypomnienie epoki, w której ludzie komunikowali się ze sobą twarzą w twarz. Gdyby to wszystko wydarzyło się przed dwudziestu laty, teraz brałoby udział w sprawie ze dwadzieścia osób. Ale nie można już było działać w ten sposób. Wszystko sprowadzało się do ekonomii. Jaki sens miało wydawanie pieniędzy na spotkania grupy ludzi, która po omacku będzie poszukiwała rozwiązania problemu, ponieważ nie dysponuje wszystkimi istniejącymi informacjami, podczas gdy samotny mężczyzna czy kobieta, pracując przy końcówce komputera i mając do dyspozycji całą zgromadzoną na świecie wiedzę, może świetnie zanalizować sytuację i przekazać swój raport na temat raportu?

Harry zdawał sobie doskonale sprawę, że przekazanie jakiegokolwiek raportu w tym momencie równałoby się zagrożeniu posady. Gus Whittaker niezbyt entuzjastycznie odniósłby się do wzmianek o pozaziemskich formach życia i do Projektu Ozma Franka Drake'a, w ramach którego uczeni spędzili wiele miesięcy wysyłając elektroniczne obrazy człowieka w nadziei, że pewnego dnia dotrą one do istoty obdarzonej inteligencją w odległym układzie gwiazdowym. Steve Krantz wymienił jeszcze inne nazwisko. Harry pogrzebał w szufladzie, znalazł swój kieszonkowy magnetofon i włączył go do gniazdka komputera. Na monitorze pojawiła się transkrypcja spotkania z Krantzem. Harry przesunął dialog, aż znalazł interesujący go fragment.

KRANTZ: To przyszło z kosmosu.

DYSAN: Co takiego?

KRANTZ: To, co wywierciło ten otwór. Nie, wywiercić to niewłaściwe słowo. To, co „wyparowało” ten otwór. Nie jesteśmy sami.

DYSAN: Do czego pan właściwie zmierza, panie Krantz?

KRANTZ: Na imię mi Steven. Albo Steve. Nie lubię formalności.

DYSAN: Co masz na myśli mówiąc, że to przyszło z kosmosu? (KOMENTARZ

KOMPUTERA: NIE ZIDENTYFIKOWANE ODGŁOSY, PRAWDOPODOBNIEMASZYNA DO NAPOJÓW. POTEM KRANTZ PIJE LUB PRZEŁYKA)

KRANTZ: Jak już mówiłem, cokolwiek zrobiło tę dziurę, nie jest pochodzenia ziemskiego. Po pierwsze, dzieli nas jeszcze sto lat od tak skomplikowanej technologii. Może bylibyśmy znacznie bliżej, gdyby Aleksy Hegel nie zarzucił tak głupio swojej pracy nad fizyką plazmy. Po drugie, kąt nachylenia otworu wskazuje, że nie przebito go z Ziemi.

(KOMENTARZ KOMPUTERA: HEGEL - PISOWNIA FONETYCZNA. SPRAWDZIĆ POPRAWNĄ PISOWNIĘ ZE ŹRÓDŁEM).

Harry zastanawiał się, czy nie odszukać owego Aleksego Hegla, bez względu na to, kim jest, i nie skłonić go do obejrzenia PacSat 19. Nie, obejdzie się bez kolejnego przemądrzałego eksperta tego typu „to przyszło z kosmosu”.

W tym momencie zadzwieczał Klipsofon.

Dzwonił Tony King z Hiszpanii.

10.

Pompano Beach. Floryda

- Zdziwiająca - powtarzał King obchodząc dokoła satelitę i trzymając ręce w kieszeniach. Był to mężczyzna wysoki, grubokościsty, jego twarz wyraźnie wskazywała, że często przebywał na świeżym powietrzu. Jeszcze jeden entuzjasta ruchu na świeżym powietrzu, który trzymał się znacznie lepiej niż Harry.

- Jak pierwsza reakcja? - spytał Harry. W towarzystwie Tony'ego Kinga czuł się znacznie lepiej. Przynajmniej ten ekspert był starszy od niego.

- Przede wszystkim nie mogę się nadziwić, że znowu go widzę - Anglik zrobił przerwę i w zamyśleniu obserwował satelitę. - Pięć lat pracowałem nad tą bestią. Dwadzieścia lat temu, kiedy był gotowy do wprowadzenia na orbitę, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że znowu go zobaczę.

Harry powstrzymał się od zgryźliwego komentarza. Nie zapłacił za przelot Kinga z Alicante, żeby wysłuchiwać jego wspomnień; potrzebował jednak życzliwej współpracy Anglika, więc nic nie powiedział.

King przez kilka minut oglądał regularny, idealnie okrągły otwór wlotowy. Włączył pilota, by obrócić satelitę, i studiował masę poskręcane go żelastwa w otworze wylotowym.

- A więc co pan myśli? - ponaglał Harry.

- Jeszcze nie wiem, co myślę, panie Dysan. Muszę mieć kilka godzin, żeby go

rozmontować. Potrzebne mi będą klucze, śrubokręty...

- Znajdzie pan wszystkie ręczne narzędzia w tych szufladach - przerwał Harry, wskazując warsztaty wzdłuż ścian.

- Będzie mi też potrzebny asystent. Niektóre moduły są bardzo ciężkie.

Harry zastanawiał się, czy Theo Michelmore zgodzi się przydzielić Kingowi asystenta, i doszedł do wniosku, że było to mało prawdopodobne. Poza tym im mniej osób wiedziało o całej sprawie, tym lepiej. Zdjął marynarkę.

- W porządku, panie King. Asystenta pan już ma. Możemy zaczynać.

11.

Obaj mężczyźni pracowali bez przerwy przez cztery godziny. Zaczęli od usunięcia uszkodzonych płaszczyzn wokół otworu wylotowego i ułożenia ich na podłodze. Pod koniec pierwszej godziny wymontowali większość skomplikowanych przekładni biegów, które ukierunkowywały system anten satelity.

- Dlaczego każde urządzenie jest w trzech egzemplarzach? - pytał Harry podtrzymując jedną z przekładni, podczas gdy King wykręcał mocujące ją śruby.

- Potrójna redundancja - wyjaśnił pogodnie King. - Silnik spala się pod koniec swego okresu pracy, a jego rolę przejmuje następny. To bardzo ważne przy satelitach wielomiliardowej wartości, które pracują samotnie, bez żadnej nadziei na mechanika ze śrubokrętem. Satelity nie przestają działać w pewnym określonym momencie, po prostu „zanikają”, w miarę jak przestają funkcjonować kolejne systemy.

Po następnej godzinie ciężkiej pracy wymontowali urządzenia na obwodzie uszkodzenia i niektóre duże moduły, toteż otwór widoczny był teraz na całej swej długości, od punktu wlotu do punktu wylotu.

Po czterech godzinach podłogę wokół zapełniały podzespoły, moduły i płyty obwodów drukowanych, znalazły się na niej nawet maleńkie silniki odrzutowe, które od czasu do czasu należało odpalać w okresie pracy satelity, żeby zachować jego właściwe ukierunkowanie. Jednostki, które trudniej było wymontować, zostały wycięte za pomocą nożyc do metalu.

- Trudno wprost uwierzyć, z jaką pieczołowitością montowaliśmy tego satelitę - powiedział z pewnym smutkiem King, obserwując otaczający ich chaos. - Pracowaliśmy w sterylnym pomieszczeniu jak chirurdzy. Fartuchy, maski. I niech pan tylko spojrzy na to teraz.

Harry siedział na zbiorniku paliwa i wycierał czoło wilgotną chusteczką. Znużone

„aha” stanowiło cały jego wkład do konwersacji. Obserwował, jak Anglik przechodzi w przeciwległy koniec pomieszczenia i studiuje satelitę z oddalenia.

- Wiesz co, Harry? Mogę pana nazywać Harry?

- Proszę się nie krępować.

- Nie wydaje mi się, żeby otwór wylotowy był otworem wylotowym. W istocie jestem zupełnie pewien, że tak nie jest.

Implikacje tej zdawkowej uwagi Kinga zaalarmowały Harry'ego.

- Ale to przecież oczywiste! Spójrz tylko na tę ruinę dookoła!

King skinął głową i podszedł do satelity. Wspiął się na drabinę i wsunął rękę aż po łokieć w otwór wylotowy, jak weterynarz badający cielną krowę, macał wokół palcami, a twarz zmarszczyła mu się w skupieniu. Wydał okrzyk zdumienia i zabrał się do pracy nożycami. Nożyce otwierały się i zamykały, rozcinając gąszcz aluminiowych struktur. King z powrotem sięgnął w głąb otworu i zaprezentował grudkę pogiętej, grubej stali wielkości dłoni. Pokazał to Harry'emu.

- Wygląda jak fragment łuski bomby - skomentował Harry obracając metal w rękę.

- Niewiele się mylisz - odpowiedział King. - Najwyższej jakości stop manganu. Główny zawór ciśnienia w komorze paliwowej z lotnym litem, czy raczej to, co z niego zostało. Ciśnienie wewnętrzne dochodziło do dwustu barów.

- Jak to się ma do pocziwych, staroświeckich amerykańskich funtów na cal kwadratowy?

- Około dwóch tysięcy czterystu na cal kwadratowy. Właśnie ten wybuch we wnętrzu satelity spowodował uszkodzenie, które braliśmy za otwór wylotowy.

Więc co spowodowało wybuch tego urządzenia?

- To, co przebiło się przez powłokę satelity. Wiązka energii czy cokolwiek innego uderzyło w satelitę i „wyparowało” dziurę dokładnie na przestrzał, uszkadzając równocześnie komorę paliwową. I wówczas komora wybuchła, powodując szkody, które uważaliśmy za otwór wylotowy, a także wprawiając satelitę w owe niebywałe obroty.

- Cholera - wybełkotał Harry.

King spojrzał uważnie na swego asystenta.

- O co chodzi?

- To znaczy, że wiązkę wystrzelono z Ziemi?

- O, bez wątplenia. A ponieważ uderzyła blisko anteny odbiorczej precyzyjnie wycelowanej na naszą naziemną stację w Hongkongu, możemy w przybliżeniu określić, z jakiego punktu na Ziemi wystrzelono ową wiązkę.

12.

Pentagon, Waszyngton

Generał Gus Whittaker siedział w swoim obrotowym krześle, jego zazwyczaj pozbawiona wyrazu twarz i tym razem nie wyrażała niczego, kiedy słuchał raportu Tony'ego Kinga. Od czasu do czasu robił jakieś zapiski w elektronicznym notatniku Hewlett Packard. Maszyna przekształcała jego niechlujne bazgroły w rzędy równego pisma, poprawiała nawet wynikające z pośpiechu błędy ortograficzne i gramatyczne. Tekst schodził z ekranu do pamięci o pojemności stu megabajtów. Czasami generał spoglądał na Harry'ego, który nie spuszczał wzroku z amerykańskiej flagi umieszczonej za biurkiem zwierzchnika. Z okazji tego spotkania Harry ogolił się i wyciągnął galki antymolowe z eleganckiego szarego garnituru. Odpicował się, jak sam to określał. Włożył nawet nowe włoskie buty, które jednak, podobnie jak ich producenci, przejawiały tendencję do podszczypywania. Lewy but uciskał niemiłosiernie.

- Panie generale, to jest wszystko, co mam do powiedzenia - zakończył King. - Co do przyczyny owego uszkodzenia, to mogę jedynie się domyślać. Jestem, czy raczej byłem, inżynierem komunikacji satelitarnej, a nie fizykiem cząstek czy innym specjalistą. Mimo to mogę z pełnym przekonaniem stwierdzić, że owo uszkodzenie świadczy o zastosowaniu bardzo zaawansowanej technologii, której powszechnego użycia nie można się, moim zdaniem, spodziewać wcześniej niż w połowie tego stulecia.

Kiedy młodszy mężczyzna skończył mówić, generał Whittaker przez kilka sekund przyglądał mu się w milczeniu. A kiedy się wreszcie odezwał, starannie dobierał słowa:

- Pan Dysan twierdzi, że może pan określić, skąd wystrzelono ową wiązkę.

Anglik zrobił zafrasowaną minę.

- Sądzę, że zbyt pochopnie to powiedziałem, panie generale. Faktem jest, że wiązka trafiła w tę część satelity, która była zawsze zorientowana na naszą naziemną stację przekaźnikową w Hongkongu. Jednak satelita był nieczynny już od kilku lat, toteż nie przeprowadzano zwyczajowych poprawek, niezbędnych do utrzymania kierunku anten. Wczoraj wieczorem dokładnie przeanalizowałem dane na podstawie prawdopodobnych odchyień w położeniu satelity, od czasu kiedy przestaliśmy się nim posługiwać.

- Czy może mi pan podać przybliżoną pozycję?

King skinął głową.

- W promieniu dwóch tysięcy kilometrów od Hongkongu.

Harry niepostrzeżenie wysunął lewą stopę z buta. Generał Whittaker przygryzał w

zamyśleniu dolną wargę. Dotknął klawiatury na swoim biurku. Na bocznej ścianie ukazała się mapa Południowego Pacyfiku. Za pomocą specjalnego wskaźnika generał powiększył fragment mapy z Hongkongiem i znowu zwrócił wzrok na Tony'ego Kinga.

- Więc jeśli skoncentrujemy się na promieniu dwóch tysięcy pięciuset kilometrów, około tysiąca pięciuset mil morskich, to jest pan w stu procentach pewien, że z tego obszaru wysłano wiązkę?

- Tak, panie generale. W stu procentach pewien.

Generał znowu posłużył się wskaźnikiem. Mapa na ścianie nabrała kształtu koła, w którego centrum pozostawał Hongkong, jednak obszar objęty mapą skurczył się do terytoriów położonych w promieniu tysiąca pięciuset mil. Mimo to krąg ów obejmował na północy znaczną część Chin, na wschodzie sięgał aż do Burmy, na południu ogarniał większość terytorium Indonezji, a na zachodzie całe Filipiny wraz z dużym fragmentem Południowego Pacyfiku.

- Mówimy o obszarze obejmującym siedem milionów mil kwadratowych - zauważył zimno generał. Znowu zaczął przygryzać dolną wargę. Zdawało się, że podjął nagłą decyzję. Wysunął się do przodu, zaciśnięte razem dłonie spoczywały na biurku. Spojrzał na Kinga zimnymi, szarymi oczami.

- Panie King, nie potrzebuję chyba podkreślać, że mamy tu do czynienia ze sprawą poważną.

Brytyjski inżynier skinął twierdząco głową.

- Jeżeli istnieje coś takiego jak wiązka cząstek wysokiej energii, może to stanowić poważne zagrożenie dla systemu obronnego NATO.

- Pieprzę NATO! Chodzi mi o Stany Zjednoczone. Ale ma pan rację, panie King. To jeszcze jeden problem. Jest pan jedynym nieamerykańskim obywatelem, który ma pojęcie, o co tu chodzi. Mieszka pan z żoną w Hiszpanii?

- Tak jest, panie generale.

- Co by państwo powiedzieli na przeniesienie się do Stanów Zjednoczonych, dopóki się ta sprawa nie wyjaśni?

Na twarzy Kinga odmalowało się zdumienie.

- Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem, generale. Nie sądzę, by było nas na to stać...

- Pokrywamy wszystkie wydatki - przerwał Whittaker. - Wszystko, jedzenie, mieszkanie. W istocie nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy dać panu znacznego zadatku w gotówce na poczet całej sprawy.

Anglik wydawał się zdezorientowany. Nie bardzo wiedział, do czego to zmierza.

- Gdybym mógł zadzwonić do żony...

- Porozmawia z nią jeden z moich adiutantów. Żona będzie tu jutro.

- Dlaczego ja nie mogę do niej zadzwonić?

- Ponieważ nie będzie pan już nigdzie dzwonił, dopóki cała ta sprawa się nie wyjaśni - powiedział generał Whittaker rzeczowym tonem.

King był oburzony.

- To znaczy, knebluje mi pan usta?

- Dobrze mnie pan zrozumiał.

- Nawet więcej! Jestem uwięziony!

- Mamy duże, bardzo luksusowe ranczo. Basen, korty tenisowe, sala gimnastyczna, sala bilardowa, stajnie. Pewno będzie nam trudno wyciągnąć pana stamtąd, kiedy już wszystko się skończy.

Przez chwilę wydawało się, że Anglik straci panowanie nad sobą, ale udało mu się opanować.

- A gdybym dał panu słowo honoru, że nic nie pisnę na ten temat?

- Nie przyjąłbym - uciął krótko generał. - Muszę zamienić kilka słów z panem Dysanem, więc gdyby zechciał pan poczekać na zewnątrz...

King wstał i bez słowa wyszedł z pokoju. Harry usiłował wepchnąć lewą stopę w but. Albo spuchła mu noga, albo but się skurczył.

Mimo całkowitego zakazu palenia w Pentagonie generał Whittaker odpakował cygaro i zapalił. Zaciągał się głęboko, a jednocześnie uważnie przyglądał się Harry'emu. Minęło kilka sekund, zanim się odezwał.

- Dobra robota, Harry.

- Dziękuję, panie generale. - Pochwała od Gusa Whittakera.

- Mimo to ciągle mnie trochę kusi, żeby jednak zastrzelić posłańca

To wydawało się bliższe prawdy.

- Chyba rozumiem pana, generale.

- W ciągu ostatnich miesięcy nauczyliśmy się wierzyć Rosjanom, a oni nauczyli się ufać nam. Nasze zespoły specjalistów od rozbrojenia miały wolny dostęp do każdego miejsca za pomocą satelitów. Nawet natychmiastowy. A my postępowaliśmy tak samo w stosunku do nich. Była to dla nas wszystkich bolesna lekcja. I teraz cała ta afera.

- To nie musi być sprawka Rosjan - zauważył Harry, któremu udało się wtłoczyć nogę w but.

- Dlatego właśnie nie możemy wytaczać żadnych oskarżeń. W każdym razie dopóki nie będziemy mieli niezbitych dowodów. Prezydent nie chce rozpoczynać poważnego śledztwa, zanim się dokładnie nie zorientujemy, czego właściwie szukamy. Tymczasem im mniej osób wie o sprawie na tym etapie, tym lepiej. Do pana należy zdobycie niezbitych dowodów. Ma pan odnaleźć tę wiązkę i osoby, które ją wysłały. Nic więcej. Oczywiście będzie pan szukał jakiejś dużej instalacji. Zaaprobowałem pana dotychczasowe wydatki i dałem panu prawo wydania dodatkowo miliona dolarów. W jaki sposób zdobędzie pan te dowody, to całkowicie pańska sprawa.

Harry zapomniał o butach. To wyglądało poważnie. Wykraczało poza jego doświadczenie czy szkolenie.

- Panie generale, dziękuję za zaufanie, ale...

- Mam większe zaufanie do tego, że potrafi pan wydać milion dolarów należących do podatników amerykańskich, niż że potrafi pan odnaleźć coś na obszarze siedmiu milionów mil kwadratowych, tym bardziej że nawet nie wiadomo, czego pan szuka.

- To głównie ocean, panie generale. Muszę sprawdzić jedynie jakieś trzy miliony mil kwadratowych.

Generał Whittaker chrząknął.

- Już mi się poprawiło samopoczucie. Przyślij mi z powrotem tego Anglika.

Harry skierował się w stronę drzwi.

- I niech pan się u mnie nie pojawia bez pozytywnych wiadomości.

Harry mu to obiecał.

- I jeszcze...

- Panie generale?

- Chyba nie wymagam za dużo, ale kiedy się pan znajdzie w tym gabinecie następnym razem, proszę nie zdejmować butów.

Harry uśmiechnął się niewyraźnie i otworzył drzwi. Ten stary drań nie miał nawet na tyle zwykłej przyzwoitości, żeby życzyć mu szczęścia.

- Harry, jeszcze ostatnia sprawa.

- Panie generale?

- Powodzenia.

13.

Tirusville, Floryda

Harry znowu pracował przy znieawidzonej końcówce komputera, miał wrażenie, że mógłby otrzymać dyplom za poruszanie się w kółko.

A w przypadku pertraktacji z Arnoldem Salterem z Agencji Ochrony Środowiska byłby to nawet dyplom z wyróżnieniem.

- Jeszcze raz ci powtarzam, Harry, że nie mogę ci zdradzić nazwiska tego analityka! - wykrzykiwał Salter.

- Na Boga, dlaczegoż to? - odkrzykiwał Harry.

Salter zmusił się do zachowania spokoju.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nielegalne wyrzucanie do morza trujących odpadów i wszelkie piractwo stały się multimiliardowym interesem. Mamy analityka, który zna na wylot cały Wschód, który ma jakiś szósty zmysł, jeśli chodzi o wykrywanie winnych lub porwanych statków, i który dostarczył koronnych dowodów w ponad dwudziestu wielkich sprawach. Daliśmy tej osobie solenne przyrzeczenie, że nigdy nie wyjawimy jej tożsamości. Możemy ci pomóc w każdej innej sprawie, Harry, ale nie w tej.

- W porządku, Arnie. Dzięki, mimo wszystko. - Harry wyłączył magnetowidową linię konferencyjną i wpatrując się w pusty ekran rozważał następne posunięcie. Spędził przy komputerze cały dzień, usiłując z wielkim trudem wysledzić nazwiska najlepszych w kraju specjalistów od analiz Dalekiego Wschodu. Któryś z nich powinien być tą jedyną osobą zdolną lepiej niż ktokolwiek inny interpretować zdjęcia z satelitów. Kimś, kto byłby takim fachowcem, by mógł zidentyfikować pojazd na podstawie śladów jego opon w lesie sfotografowanych z satelity lub zakamuflowany statek na podstawie cieni rzucanych przez jego dźwigi na wody zatoki portowej. Technologia mogła dostarczyć niezwykle dokładnych zdjęć, ale ich prawidłowa interpretacja wymagała tego rodzaju intuicyjnego wyczucia, jakiego nie dało się zaprogramować w komputerze. Sprawdzał kolejne nazwiska z listy najlepszych, aż jego Klipsofon zwilgotniał od potu. Żadna z indagowanych osób nie brała udziału w operacjach Agencji Ochrony Środowiska na Dalekim Wschodzie. Żadna z nich nie wiedziała, kto pracuje dla Agencji.

- Panie Dysan, wszyscy chcielibyśmy znać odpowiedź na to pytanie - powiedział jeden z rozmówców. - Ktokolwiek to jest, jest dobry.

Może mógłby się zwrócić z tym problemem do Gusa Whittakera? Uzyskać polecenie Białego Domu, by Agencja zdradziła nazwisko swojego analityka. Nie - to jednak nie byłby najlepszy pomysł. Niemal słyszał głos Gusa Whittakera zrządzającego na temat bezsensu płacenia pensji Harry'emu Dysanowi za wygrzebywanie wiadomości, skoro Whittaker i tak musi sam wykonać całą robotę.

Harry westchnął i spojrzął na zegarek: była czwarta. Pora na pornograficzny popołudniowy film na kanale dla mężczyzn. Nie, trzeba to odłożyć. Będzie musiał dalej borykać się z tym problemem. Po raz drugi tego dnia włączył się do bazy danych Biblioteki Kongresu i przedzierał się przez stenogramy procesów, w których oskarżały wspólnie rządy Chin i Stanów Zjednoczonych, występując przeciwko właścicielom statków zamieszanych w nielegalne wyrzucanie odpadów lub piractwo. Może było tu coś, czego za pierwszym razem nie zauważył, jakiś nieistotny na pozór strzęp informacji, który doprowadzi go do owego nieuchwytnego analityka. Wybrał stosunkowo niedawną sprawę, w którą zaangażowana była Agencja, i przedzierał się przez materiał dowodowy przedstawiony w sądzie Narodów Zjednoczonych. Dziewięćdziesiąt procent materiału dowodowego stanowiły zeznania: zaprzysiężone oświadczenia urzędników portowych, ekspertów sądowych, dokerów i tak dalej. Tożsamość wielu świadków nie została ujawniona. Znalazł to, czego szukał: oświadczenie nie wymienionego z nazwiska analityka na temat statku, który pochodził z Singapuru. Styl wydawał się znajomy. W tekście znajdowały się sformułowania podobne do tych, z którymi zetknął się tego dnia przy lekturze innych zeznań. Zaryzykował wpisując numer dokumentu Agencji na swój elektroniczny notatnik:

OP11/P101/1/AS/LW/044567.

Harry miał pewne pojęcie o systemie numerowania dokumentów stosowanym przez większość agencji rządowych. Mimo długości numerów, system był zazwyczaj dość prosty. W tym przypadku pierwsza część numeru - OP11 - oznaczała Wydział Ochrony Oceanów. P101/1 oznaczało numer sprawy. AS to inicjały pracownika koordynującego, czyli Arnolda Saltera. Najbardziej intrygujące były literki LW. Istniała niewielka szansa, że są to inicjały osoby, która zapoczątkowała dochodzenie.

Harry szybko sprawdził zeznania w poprzednich sprawach, które przeglądał wcześniej. Inicjały LW pojawiły się ośmiokrotnie w ośmiu oddzielnych procesach związanych z Dalekim Wschodem. Harry sprawdził swój spis analityków. Nikt nie miał inicjałów LW, a więc znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia.

Przez kilka minut siedział głęboko pogrążony w myślach. Może tajemniczy LW był Kanadyjczykiem lub obywatelem innego obcego państwa? Jeśli tak, to jego zadanie stałoby się niemal niewykonalne. Lecz upór Harry'ego sprawiał, że nie odstraszały go niewykonalne zadania, co najwyżej wprawiały go w irytację.

W porządku, zacznijmy od Europy. Ten wybór wiązał się nie tyle z kolejnym przecuciem, ile z faktem, że banki danych Wspólnoty Europejskiej były doskonale zorganizowane i korzystanie z nich sprawiało prawdziwą przyjemność. Harry włączył się w

olbrzymią bazę danych Konfederacji Przemysłu Europejskiego w Paryżu i odnalazł strony, które identyfikowały kody organizacji zdalnego analizowania i przeglądów satelitarnych. Było ich ponad tysiąc. Kolumny nazwisk i adresów wypełniały kolejne strony papieru wyskakujące z drukarki, równocześnie wszystkie te nazwiska i adresy wprowadzane były do wspaniałej pamięci komputera Harry'ego firmy Cray. Harry przełączył się do bazy danych Biura Cenzusowego Wspólnoty Europejskiej w Brukseli. Szybka weryfikacja potwierdziła, że obywatele Wspólnoty połączeni są z numerami kodów swoich pracodawców. Następny ruch wymagał starannego przygotowania, by jak najlepiej wykorzystać możliwości komputera. Harry wymyślił formułę polecenia, które przywołałoby na ekran nazwiska wszystkich obywateli Wspólnoty o inicjałach LW. Parametry wyznaczył z rozmachem: opcje L?W, ?LW, LW?, LW zapewniały, że każda kombinacja tych inicjałów znajdzie się na ekranie. Zgodnie z przewidywaniami Harry'ego tak nieokreślona definicja spowodowała, że baza danych podała mu ponad milion przypadków. Komputer pytał:

CHCESZ MAGAZYNOWAĆ? T/N,

Nawet bardzo pojemna pamięć komputera Harry'ego miałaby trudności ze zmieszczeniem miliona nazwisk i adresów. Odpowiedział więc N.

W wyniku kolejnego, starannie przemyślanego polecenia komputer połączy wszystkich obywateli, których inicjały zawierają literę LW, z odpowiednimi nazwami instytucji, które Harry wydołał z bazy danych Konfederacji Przemysłu Europejskiego.

Harry raz jeszcze sprawdził sformułowanie swoich poleceń i nacisnął klawisz wprowadzający je do komputera. Z drukarki wyskoczyło pięć czysto wydrukowanych stron zawierających nazwiska, adresy i numery telefonów w takim połączeniu, jakie nie istniało dotychczas w żadnym komputerze. Spis obejmował około stu pozycji i był dokładnie tym, o co chodziło Harry'emu. Na razie zignorował nazwiska typu L.W. Hanlan, pracownik Pomiarów Kopalnianych w Luksemburgu. Chodziło mu jedynie o nazwiska o prostych inicjałach LW, bez dodatkowych imion. Były dwa takie: Luka Winette zatrudniony przez Nadzór Przestrzeni Powietrznej w Paryżu, Francja, i Lesa Wessex, dyrektor firmy Systemation w Guilford, Anglia.

Harry włączył się z powrotem do przemysłowej bazy danych. Nadzór Przestrzeni Powietrznej specjalizował się w planowaniu autostrad dla Trzeciego Świata. Umiejętności wykorzystywane w Systemationie obejmowały usługi w dziedzinie zdalnego odczytu i analizowania zdjęć satelitarnych ze specjalizacją Daleki Wschód. Harry wyszedł z bazy danych i wpatrywał się w nazwisko Lesa Wessex na zadrukowanym arkuszu papieru. Teraz należało potwierdzić całą tę zgadywanekę. Połączył się z Arnoldem Salterem za pomocą

magnetowidu, ponieważ zależało mu na obserwowaniu wyrazu twarzy rozmówcy.

- Cześć, Arnie.

Widok twarzy Harry'ego na monitorze najwyraźniej sprawiał przykrość Salterowi.

- Odpowiedź brzmi nie - warknął, zanim Harry zdążył otworzyć usta.

- W porządku, Arnie - powiedział pogodnie Harry. - Dzwoniłem do twojego szefa, który podał mi nazwisko Lesa Wessex. Od ciebie chcę tylko trochę informacji o tym, jak się z nią współpracuje.

Harry nie musiał nawet patrzeć na twarz Saltera. Wystarczył pełen oburzenia ton głosu.

- On nie miał prawa tego zrobić - jęknął Arnie. - To informacja tajna, i on doskonale o tym wiedział!

- Mnie chodzi tylko o to, jak się z nią współpracuje.

- Odpieprz się, Harry. Na ten temat nie uzyskasz ode mnie żadnej informacji! - Po tych słowach Salter się wyłączył.

Harry poczuł się bardzo zadowolony z siebie. I nie bez powodu. Połączenie uporczywego, sprytnego wykorzystania bazy danych i odrobiny psychologii przyniosło nieoczekiwane korzystne wyniki. Sprawdził numer Klipsofonu Lesy Wessex.

CZĘŚĆ DRUGA

LESA

Niech nabierze skrzydeł twoje młodzięcze męstwo. Abyś mógł dosięgnąć gwiazd.

Wergiliusz, Eneida

1.

Wietnam, lipiec 1985

- Lesa, obudź się - szeptała ciocia Thi w ciemności rodzinnej chaty. Lesa drgnęła i przekręciła się na swojej macie, próbując się odciąć od owej interwencji, która zakłócała jej sny. W wieku lat czternastu, a właściwie piętnastu, już za kilka dni, Lesa pogrążała się w dziwaczną pajęczynę snów, których ośrodkiem były niezmiennie romantyczne, choć tak obce sceny z amerykańskich magazynów mody. Mimo gorących protestów Lesy wujek Hinny spalił niedawno wszystkie magazyny. Były w nich sceny z innego świata: uśmiechnięte pary w egzotycznych domach, błyszczące samochody. Sny, sny, sny.

- Lesa, obudź się!

Pod moskitierę wsunęła się czyjaś ręka i energicznie potrząsnęła Lesę za ramię. Dziewczynka obudziła się.

- Lesa, musisz się ubrać - w głosie Thi brzmiała niezwykła nuta niepokoju.

Lesa otworzyła oczy, ale niewiele się zmieniło. Ciemność.

- Thi, przecież jeszcze ciemno.

- Idziemy. Wszyscy idziemy. Musisz wstać.

Lesa usiadła, ciągle jednak nie wiedziała, o co chodzi. Odsunęła moskitierę.

- Idziemy? Dokąd? - Szukała po omacku zapalniczki Zippo, żeby zapalić lampę olejową. Snop iskier z wolframowego kółka sprowokował Thi, która ze złością wytrąciła zapalniczkę z rąk dziewczynki.

- Poczekaj, aż wujek Hinny założy ramy przeciwtajfunowe - syknęła Thi, z powrotem przykrywając Lesę narzutą domowej roboty.

- Musisz być gotowa za pięć minut. Włóż buty, które wujek kupił ci w zeszłym miesiącu. Mam nadzieję, że je rozchodziłaś, tak jak ci mówiłam? - W każdym słowie Thi wydawała się kryć nagana.

- Tak.

- To dobrze. Mamy przed sobą długi marsz. Ubierz się na czarno. Czarne spodnie i czarną koszulę. Nic jasnego. Przyślę tu Neti, a ja wrócę za dziesięć minut. Nie zapalaj światła.

Lesia, nie posiadając się ze zdumienia, wsunęła na swoje chude ciało nieforemne czarne spodnie i bawełnianą koszulę, po czym włożyła długie, lekkie buty. Dokoła niej w chacie panował niezwykły ruch. Zza trzciniowego przepierzenia dobiegały pospieszne, przyciszone szepty ciotki Thi, wujka Hinny i dziadków. Dochodziły odgłosy mocowania ram przeciwtajfunowych w kilku otworach okiennych chaty. Mała Suzi, dziewięciomiesięczne niemowlę Thi i Hinny'ego, zaczęła płakać, ale natychmiast uciszyły ją miękkie, śpiewne dźwięki.

Czy to znaczyło, że znowu mieli przyjść żołnierze? Ale to się przecież skończyło? A jeżeli był to Tak Noi, nowy wojskowy gubernator, domagający się nowych norm produkcji ryżu, to chowanie się nie miało sensu. On zostawi po prostu swoich ludzi w wiosce, żeby czekali na powrót mieszkańców. Ukryć się można było tylko w lesie, nie przyjmie ich przecież żadna inna wioska w obawie przed najstraszniejszymi represjami.

Lesia wiedziała wszystko o żołnierzach. W ubiegłym roku jedna z ich trzytonowych ciężarówek, ZIL-151 produkcji radzieckiej, wtargnęła na teren wioski, wypływając czarny dym ze źle konserwowanego silnika. W ciężarówce siedziało około dziesięciu osobistych goryli Tak Noi uzbrojonych w AK-47. Byli to budzący grozę Kampuczanie, dawni jeńcy wojenni, Czerwoni Khmerowie, którzy zdecydowali się pozostać w Wietnamie i ofiarować swoją lojalność Tak Noi, nowemu wojskowemu gubernatorowi prowincji z ramienia Wietnamu Północnego. Krwistoczerwone opaski na głowę zamienili na czarne hełmy, ale ich brutalność nie uległa zmianie.

Ich przywódca wyglądał najwyżej na dziewiętnaście lat. Posłużył się rogiem wołowym, by zwołać wszystkich mieszkańców wioski na ogrodzony plac. Lesia trzymała się matki. Mimo swoich trzynastu lat była już od niej wyższa o dwa centymetry. Przywódca miał notatnik. Stał na dachu szoferki i wywołał nazwisko matki Lesy, poprzedzając je angielskim wyrażeniem „wesola dziewczynka”. Lesia już wcześniej słyszała, że tak określano jej matkę, ale niezupełnie rozumiała, co to oznacza. Wiedziała tylko, że ma to coś wspólnego z faktem, iż za czasów Amerykanów matka spędzała dużo czasu w Da Nang. Nikt w wiosce nie powiedział jej, co to znaczy dokładnie.

Mieszkańcy wioski zebrali się wokół ciężarówki w przerażonym, milczącym kręgu.

Hinny stanął obok siostry i siostrzenicy. Lesia zauważyła, że trzymał matkę za rękę. Taka demonstracja uczuć z jego strony była czymś niezwykłym.

Przywódca powtórzył swoje żądanie.

Odpowiedział mu krąg nieruchomych, białych twarzy. Setka mieszkańców wioski po prostu patrzyła na niego w milczeniu.

Przywódca wykrzyknął jakiś rozkaz do jednego ze swoich ludzi. Właściwie były to dzieci, wyposażone w atrybut ohydnej dorosłości za sprawą karabinów noszonych z nonszalancką swobodą. Jedna z kobiet wydała okrzyk przerażenia, kiedy wyrwano jej z objęć dziecko. Krzyknęła ponownie, usiłując wydrzeć się dwóm żołnierzom, którzy przytrzymywali ją, podczas gdy trzeci przytknął lufę rewolweru do skroni niemowlęcia. Przywódca wywołał nazwisko matki Lesy po raz trzeci i zaczął odliczać.

Lesy usłyszała, jak matka wydaje cichy jęk przerażenia. Hinny trzymał ją teraz za rękę w taki sposób, jakby usiłował ją zatrzymać, starając się jednak, by nie było to zbyt oczywiste. Kobieta uwolniła się z uścisku brata i wyszła na środek ogrodzonego placu.

W oczach chłopców-żołnierzy zapalił się łakomy błysk, kiedy obserwowali zbliżającą się do nich młodą, piękną kobietę. Nawet czarne, nieforemne spodnie i brudna, luźna kurtka nie mogły ukryć wdzięku jej ruchów i dumnej postawy. Lesy zachowała ze szczęśliwych czasów mgliste wspomnienie o tym, jak pięknie wyglądała matka, kiedy wracała z Da Nang ubrana w eleganckie zachodnie ubrania. Ale to było tak dawno. W krótkim życiu Wietnamczyków nawet kilka lat dzieciństwa nabierało w okresie dojrzewania wymiarów wspomnień całego życia.

Przywódca warknął jakiś rozkaz. Matkę Lesy porwano i rzucono brutalnie w tył ciężarówki. Z ciemnego wnętrza dobiegały odgłosy bezlitosnego bicia, matka jednak nie wydała nawet jęku. Lesy chciała rzucić się w stronę ciężarówki, ale poczuła zacieśniający się na ramieniu chwyt ręki wujka Hinny.

Przywódca zeskoczył z dachu szoferki i kiwnął na Lesę. Przerazenie, od którego aż ją ścisnęło w brzuchu, pchnęło ją do przodu, zamiast zatrzymać na miejscu. Stała obok żołnierza, oczy miała spuszczone, czuła jednak, że niemal dorównuje mu wzrostem i że on baczenie jej się przygląda. Wziął ją pod brodę i poderwał jej głowę do góry. Po raz pierwszy spojrzała krótko w jego pozbawione wyrazu oczy, zanim zaczął wykręcać jej głowę z jednej strony na drugą, jak handlarz oglądający konia przed kupnem. Uwolnił ją i wykrzyknął jakiś rozkaz do swoich podwładnych. Wszyscy wskoczyli na ciężarówkę. Zawarczał chrapliwie rozrusznik i pojazd, kolebiąc się jak pijany na połamanych resorach, potoczył się po nie istniejącej drodze; w nieruchomym powietrzu zgrzytały zmieniane biegi. Dopiero kiedy odgłosy rozklekotanego dieslowskiego silnika utonęły w głębi lasu, mieszkańcy wioski rozerwali krąg, by powrócić do codziennej walki o przeżycie.

Lesy nigdy więcej nie zobaczyła swojej matki.

2.

Myśli Lesy przerwał odgłos poruszania trzciny zasłony. To Neti. Neti miała osiemnaście lat. Kiedy była pięcioletnim dzieckiem, jej rodzice i dziadkowie zginęli podczas ataku Wietkongu na sąsiednią wioskę. Przygarnęli ją wtedy dziadkowie Lesy i zajmowali się nią od tamtej pory. Lesa darzyła starszą dziewczynkę miłością równie intensywną, jaką darzyłaby matkę. Gdyby tylko Neti nie zachowywała się tak swobodnie i prowokująco wobec chłopców. Neti najwyraźniej sprawiało przyjemność to, że pozwalała im ganiać za sobą wokół mocnych bambusowych pali, na których stały chaty, ponieważ nawet tutaj, w odległości dwóch kilometrów od spokojnej rzeki Song Yen, monsuny potrafiły przemienić wody powodzi w groźne, rwące potoki. Kiedy Neti figlowała z chłopcami, Lesa wolała spędzać czas na górze w podłużnej rodzinnej chacie przeglądając amerykańskie magazyny, które gniły powoli w wilgotnym powietrzu, i zmagać się z dziwnymi literami. Te magazyny były bardzo cenne, ponieważ matka przywiozła je z Da Nang. Kiedy żołnierze zabrali matkę, wujek Hinny spalił je wszystkie.

Pewnego razu Lesa usłyszała, jak Neti przekomarza się i żartuje z Diemem, dużo starszym chłopcem, który służył w armii Wietnamu Północnego. Jego ojciec był oficerem politycznym przydzielonym do wioski. Diem nauczył się angielskiego od ojca, który przesłuchiwał szeregowych jeńców wojennych. Przez szparę w podłodze Lesa widziała, jak się całowali w taki sposób jak pary na zdjęciach w magazynach, i to było bardzo dziwne. Co dziwniejsze, Diem nawet dotykał piersi Neti. Lesa bała się o nią. Teraz już domyślała się niejasno, że takie właśnie zachowanie w towarzystwie Amerykanów doprowadziło do zniknięcia jej matki.

- Leso, zapakowałam dla ciebie trochę rzeczy - powiedziała Neti rzucając wypchany plecak na plecioną słomianą matę. Przyczepione do plecaka trzy menażki na wodę uderzały o siebie. Neti usiadła na łóżku obok Lesy i objęła młodszą dziewczynkę ramionami.

Lesy dotknęła plecaka. Wyglądał jak tornister amerykańskich żołnierzy. Posiadanie jakiegokolwiek amerykańskiego przedmiotu budziło wściekłość wojskowego gubernatora, mimo że jego żołnierze nie przejawiali żadnych skrupułów, przywłaszczając sobie amerykańskie dary przeznaczone dla pobitej armii Wietnamu Południowego. Ludzie gubernatora mieli w tym względzie niezwykle nosa. Większość z nich pochodziła ze wsi, toteż doskonale wiedzieli, jakie są ulubione schowki mieszkańców wioski. Najpopularniejsze

były garnki wkopane w ziemię w celu odstraszenia owadów. Dobermany bez trudu potrafiły wywęszyć te schowki. Nawet najzwyczajniejsze przedmioty - pocztówki, noże, otwieracze do konserw - powodowały brutalne bicie mieszkańców chaty położonej najbliżej schowka.

- Neti, dokąd idziemy?

- Nie mam pojęcia. Hinny nie chce zdradzić.

- Czy wszyscy idą?

- Babcia i dziadek zostają.

Lesa marzyła o tym, żeby zapalić światło, co pozwoliłoby jej widzieć twarz starszej towarzyszki. Twarz Neti nie miała przed nią tajemnic.

- Kiedy wrócimy?

Lesa знаła odpowiedź na to pytanie, jeszcze zanim usłyszała ją z ust Neti.

- Leso, myślę, że nigdy nie wrócimy.

Myśli w głowie Lesy płątały się chaotycznie. Wiedziała, że wiele tysięcy mieszkańców równiny uciekło z kraju na swoich łodziach rybackich. Ale sytuacja podobno uległa poprawie. Poczula pod stopami drzenie podłogi. To wujek Hinny. Skończył zakładanie ram przeciwtafunowych. Wiedziała, że to on, zanim jeszcze dobiegły do niej odgłosy suchego kaszlu - od cameli, które dawniej palił. Kaszel wywołał gwałtowną reakcję Thi.

- To ma jakiś związek ze mną - powiedziała Lesa żalonym tonem.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Hinny i Thi tak często się kłócą ostatnio. I zawsze milkną na mój widok.

Po drugiej stronie przepierzenia zapalono lampkę olejową. Przez krótką chwilę rozbłysło jasne światło, dopóki ktoś szybko nie przykręcił knota, pozostawiając jedynie taki płomyk, który pozwalał dostrzec wiązania w dachu chaty i rzucał blask na wspaniałą cerę Neti. Ścianę nad łóżkiem Lesy ozdabiała naszkicowane przez nią sceny z życia wioski. Jak na czternastolatkę bez żadnego formalnego przygotowania miała zadziwiający talent. Lesa wsunęła dłoń w dłoń Neti. Dotknięcie ręki starszej dziewczynki podniosło ją na duchu.

- To dlatego, że nie chcą cię martwić swoimi kłopotami - wyszeptała Neti.

- Ale przecież wujek Hinny musiał ci powiedzieć, dokąd idziemy.

- Nikt mi nic nie mówi. Rozumiesz? Ja też nie wiem, co się dzieje.

Zaufanie Lesy do Neti mocno się zachwiało. Dotychczas uważała, że Neti wie wszystko.

Przepierzenie rozsunęło się. Weszła Thi. Po dwóch poronieniach przed urodzeniem Suzi, spowodowanych złym traktowaniem przez żołnierzy północnowietnamskich i ciężką pracą na polach ryżowych, Thi wyglądała starzej niż na dwadzieścia dziewięć lat. Nawet

włosy miała ściągnięte do tyłu i związane w ciasny, surowy węzeł na modłę starszych kobiet. Pasowało to poniekąd do jej sposobu bycia - Thi odnosiła się do wszystkich z niezwykle rozgoryczeniem.

- Jesteście gotowe, dziewczynki? - Podeszła do nich i wyciągnęła rękę. - Musicie posmarować tym twarze.

Rozległ się odgłos otwierania puszk, po czym rozszedł się mocny zapach pasty do butów. Zapach ten Lesa pamiętała z bardzo wczesnego dzieciństwa: ostra mieszanka pasty, potu i skóry, którą wydzielały buty Amerykanów ciśnięte na podłogę w pobliżu kołyski.

Neti wzięła puszkę i natarła pastą twarz Lesy. Mimo powagi chwili obie dziewczynki chichotały nerwowo, nacierając sobie nawzajem twarze mazią o ostrym zapachu.

- Musicie włożyć to.

Thi pomogła dziewczynkom wciągnąć lekkie kurtki w dziwnie cętkowane wzory. Dziewczynki patrzyły na siebie zdumione. Widziały żołnierzy w ubraniach o podobnym wzorze, ale te kurtki pachniały obcą nowością.

- Co to za kurtki, Thi? - spytała Neti, ściągając wiatrówkę w pasie.

- Amerykańskie kurtki maskujące. Utrudnią zauważenie was w lesie. A jak zejdziemy z drabiny, musicie założyć plecaki.

- Thi, czy mogę zabrać trochę dodatkowych rzeczy?

- Możesz zabrać, co tylko chcesz. Ale będziesz musiała nieść to, co zabierzesz.

Kiedy nikt nie patrzył, Lesa wsunęła do plecaka swoją procę. Nie była to zwykła proca. Proca marki Farnham 50 PebbleZing miała odlewaną aluminiową rączkę z regulowaną opaską na nadgarstek, która usztywniała rękę użytkownika przy naprężaniu podwójnych ośmiomilimetrowych naciągów z elastycznego butylu. Kiedy Lesa była dzieckiem, podarował jej tę procę sierżant amerykańskiej piechoty morskiej, zafascynowany bezbłędną celnością jej strzałów. Później Lesa często zabawiała się wybijaniem dziur w puszkach z odległości pięćdziesięciu metrów. Kiedyś udało jej się zabić szczura, co zachęciło ją do udoskonalenia talentów łowieckich w lasku koło wioski. Pewnego dnia przyniosła do domu dziką kaczkę, ale nikt nie uwierzył, że ustrzeliła ją w locie. Chłopcy z wioski wkrótce stracili zapal i przestali wypróbować procę Lesy, kiedy się przekonali, z jaką dokładnością ona sama posługuje się tą bronią. Żaden chłopiec ani tym bardziej żaden mężczyzna nie lubi stracić twarzy wobec kobiety.

Lesa rozejrzała się po maleńkiej części chaty, która należała do niej. Początkowo chciała zabrać swoje rysunki, ale uznała, że może je w każdej chwili odtworzyć, kiedy już dotrze na miejsce przeznaczenia, gdziekolwiek się to miejsce znajdowało. Miała zdolność

zapamiętywania szczegółów z fotograficzną dokładnością.

Z centralnej części chaty rozległ się głos wujka Hinny:

- Pospiesz się. Wychodzimy.

Dziadkowie Lesy siedzieli z podkurczonymi nogami na podłodze pośrodku wspólnej przestrzeni chaty, przytuleni do siebie. Pomieszczenie wyglądało na jeszcze bardziej puste niż zazwyczaj, ponieważ w ciągu ostatnich kilku tygodni Hinny systematycznie wyprzedawał wszystkie swoje rzeczy. Na końcu przyszła kolej na najbardziej ceniony przedmiot: dwudziestosześcioramienowy kolorowy telewizor. Posiadanie go zresztą i tak nie miało większego sensu. Jak daleko sięgała pamięć Lesy, programy telewizyjne ograniczały się albo do nudnych wyrzekań na Amerykanów, albo filmów dokumentalnych wychwalających wspaniałe zwycięstwa armii Wietnamu Północnego. Nie było też benzyny do generatora marki Honda.

Mrugające światło lampki olejowej podkreślało łzy na policzkach starej kobiety, płynące po jej pomarszczonej twarzy jak pierwsze deszcze pory monsunowej, które znajdowały drogę do wyschniętego koryta rzeki. Mimo głębokiego smutku, zachowywała kompletne milczenie. Jej mąż wpatrywał się w mrok niewidzącymi oczyma. Oślepił na obydwie oczy z powodu katarakty, której się nabawił, kiedy wdepnął na jedną z min - „potykaczy”, jakie Wietkong miał zwyczaj rozrzucać na poletkach ryżowych.

Wiedziona siłą przyzwyczajenia, Lesa włożyła na głowę stożkowy kapelusz, ale Hinny ją powstrzymał:

- Będzie zbyt widoczny w ciemności. - Uśmiechnął się do Lesy i podniósł klapę w podłodze. Hinny był niewielkim, silnym mężczyzną po trzydziestce. Pobrali się z Thi późno. W czasie wojny zginęło wielu mieszkańców wioski, potem nastąpiły straszne czasy, toteż rzadko zdarzały się przerwy w okresach żałoby, które pozwoliłyby na wyprawienie wesela. Stojąc na szczeblu aluminiowej drabiny, Hinny wziął od Thi małą Suzi i zniknął w ciemności. Po kolei cała czwórka zeszła po drabinie, po czym kolejno łapali plecaki zrzucane przez babcię.

Stojąc tak blisko pozostałych członków rodziny, Lesa miała nieprzyjemną świadomość, że jest znacznie wyższa od każdego z nich. Przewyższała wzrostem wujka Hinny co najmniej o sześć centymetrów, a ciągle jeszcze rosła. To nie było w porządku. Wprawdzie wujek Hinny nigdy tego nie komentował, bo oznaczałoby to utratę twarzy, ale było oczywiste, że nie lubi stać blisko Lesy w obecności osób trzecich. Lesa była także wyższa od Neti, choć nie odczuwała tego. To Neti zawsze należało dorównać.

Hinny niósł dwa plecaki, a Thi wsadziła Suzi w specjalne nosidła na biodrach. Hinny

gwizdnął cichutko i z ciemności wybiegł Chukki w radosnych podskokach. Niewielki czarny kundel rzucał się po kolei na każdego z członków rodziny i pomimo całej starannej tresury Hinny'ego nie uspokoił się, dopóki wszyscy go nie pogłaskali. Rozradowany pies wprost nie potrafił uwierzyć, że zabierają go na tę nocną przygodę, i Hinny robił, co mógł, żeby Chukki nie uganiał się w kółko.

- Pójdziemy gęsiego - wyszeptał Hinny. - Ja pójdę pierwszy, Thi za mną. Potem Neti, a Lesa na końcu, ponieważ ma najlepszy słuch.

Kobiety nie kwestionowały jego rozporządzeń i posłusznie szły za nim, kiedy zaczął okrążać wioskę. Pies pilnujący chaty zajętej przez rodziców Diema zaskomlał podejrzliwie, ale zamilkł, gdy uchwycił w nozdrza znajome zapachy. Kilka świń i indyjski bawół domowy, na których hodowanie zezwolił wiosce gubernator, prychało w swoich zagrodach. Hinny prowadził rodzinę dobrze wydeptaną ścieżką, która wiodła do studni wywierconej przez amerykańskich saperów, w czasie kiedy tą partią terytorium rządili Amerykanie i ich helikoptery.

Studnia była symbolem dobrych, acz chybionych intencji Amerykanów, płynących z ich kompletnego niezrozumienia wietnamskiego sposobu życia. Studnia miała oszczędzić kobietom z wioski dwukilometrowego marszu do rzeki z pojemnikami na wodę. Ale niezwykle czyste kobiety wietnamskie codziennie kąpały się i pływały w rzece, w miejscu używanym do tego celu od stuleci, gdzie woda płynęła wartko bez względu na porę roku, co zmniejszało zagrożenie ze strony węży i pijawek. W porze suchej wioskowi chłopcy regularnie prowadzili bawoły w dół rzeki na błotniste rozlewiska. Studnia oznaczała po prostu to, że kobiety powracały ze swoich codziennych wypraw kąpielowych z pustymi rękami.

Grupka uciekinierów zatrzymała się przy studni, by nabrać wody w menażki, po czym ruszyła w dalszą drogę.

Za studnią droga się zwężała, wijąc się wśród skomplikowanej mozaiki poletek ryżowych i splechotków ziemi uprawnej, które otaczały wioskę. Najpierw poczuli ciężką woń melonów Yena, potem zobaczyli długie rzędy tyczek bambusowych do fasoli na poletku Tenki. Nawet czarna, bogata w próchnicę ziemia, uprawiana przez niezliczone pokolenia, wydzielala własny, niezwykle soczysty zapach po przelotnym wieczornym deszczu. Największe pola należały do Hinny'ego. Uprawiał na nich ananasy. Amerykanie lubili ananasy. Hinny potrafił stworzyć konkurencję dla hodowców z olbrzymich plantacji na Filipinach, ponieważ sprzedawał bez pośredników. Tak Noi uważał ananasy za owoc dekadencji i zabronił ich hodowania.

Minęli rdzewiejący korpus traktora marki John Deere. W czasach obfitości, kiedy

można było dostać olej napędowy do diesla, maszyna stanowiła dumny symbol bogactwa wioski. Teraz rozlatujący się traktor na gnijących oponach był milczącym przypomnieniem ekonomicznej klęski, jaka spadła na oblegany kraj.

Wątki księżyc w pierwszej kwadrze przedarł się przez chmury i zalał całą scenę bladą poświatą. Chmury komarów uniosły się znad poletek ryżowych, nic jednak nie poruszało się w odległym lesie, w którego kierunku zmiierzali. Nikt się nie odzywał. Jedynym odgłosem był skrzyp butów na dróżce wzdłuż rowu nawadniającego poletka ryżowe i niespodziewane poślizgi pazurów psa, który biegał w tę i z powrotem, czule liżąc każdą rękę gotową na przyjęcie tej pieśczoły.

Lesy dziwiła się, że Hinny zabrał psa. Chukki często służył za przewodnika dziadkowi w jego spacerach wokół pól ryżowych. Chyba dziadkowi bardziej niż im przydałoby się to łagodne stworzenie?

Po godzinie szybkiego marszu w przenikliwej wilgoci podzwrotnikowej nocy znaleźli się w takiej odległości od wioski, na jaką Lesy nigdy dotychczas nie odważyła się zapuścić. Doszli do rozwidlenia drogi. Hinny chyba dokładnie wiedział, dokąd idzie. Ruszyli lewym odgałęzieniem prowadzącym w kierunku zachodnim, w stronę Gór Annamskich. Lesy przebiegł dreszcz. Od dziecka wpajano jej, że na zachodzie znajduje się nieprzyjaciel, a tym samym niebezpieczeństwo. Chociaż kierunki nie miały już większego znaczenia. W tych czasach niebezpieczeństwo kryło się wszędzie.

Maszerowali od trzech godzin, kiedy naraz Hinny się zatrzymał.

- Od tej pory musimy iść w większej odległości od siebie. Co najmniej dwadzieścia kroków - oznajmił trzem kobietom. Sięgnął do plecaka i każdej z nich wręczył gwizdek. - Ktokolwiek zauważy niebezpieczeństwo, ma gwizdnąć raz, zejść ze ścieżki i ukryć się. Thi będzie schodziła na lewo, Neti na prawo, a Lesy na lewo. Musimy pozostać rozdzieleni. Potem policzycie wolno do stu. Jeśli nic nie zobaczycie ani nie usłyszycie, powracacie na ścieżkę i kontynuujecie marsz. Jasne?

Trzy kobiety zadowolająco powtórzyły otrzymane instrukcje. Hinny ruszył ścieżką do przodu, w towarzystwie skaczącego wokół Chukkiego. Thi czekała, aż oddalił się o dwadzieścia kroków, umieściła Suzi w nosidłach przy piersi i ruszyła w ślad za mężem. Neti uściśnęła rękę Lesy i poszła za Thi. Kiedy oddaliła się o dwadzieścia kroków, Lesy zamknęła tyły pochodu.

Szlak stawał się coraz węższy. Raz czy dwa Lesy potknęła się na koleinach rowerowych i śladach kopyt bawołów, których nie zmył deszcz. Bardzo dokuczało jej to, że musi teraz iść sama, tylko ze swoimi myślami, zamiast rozmawiać po cichutku z Neti. Domyślała się,

dlaczego Hinny kazał im się rozdzielić; jeśli jedno z nich wdepnie na minę. pozostali nie ucierpią. Przyczyna jego decyzji była aż tak prosta i aż tak brutalna.

Wydawało jej się, że słyszy za sobą jakiś odgłos. Zatrzymała się, wyęzając słuch w otaczającej ciemności. Rozległ się gwałtowny kwik dzikiego chomika, który stał się ofiarą węża. Lesa zadrżała pod wpływem swej bujnej wyobraźni. Wężę napawały ją przerażeniem. Nigdy nie podchodziły blisko wioski, hałas i zapach zwierząt domowych trzymały je w bezpiecznej odległości, ale teraz znalazła się na ich terytorium. Rozsądek podpowiedział jej jednak, że wężę zniknęłyby ze ścieżki w otaczającej gęstwinie, na długo przedtem nim zaistniałoby niebezpieczeństwo nadeptania na kogoś.

Znowu usłyszała hałas: przypadkowo kopnięty kamień jakieś sto kroków z tyłu. Zdecydowała się nie używać gwizdka. Przyspieszyła kroku i dogoniła Neti.

- Mam wrażenie, że ktoś idzie za nami - wyszeptła cichutko i nagłoco, Thi jednak usłyszała i przywołała wujka Hinny. Cała czwórka zebrała się w grupkę. Hinny nie kwestionował obserwacji Lesy; wszyscy mieszkańcy wioski wiedzieli, że ma ona wyjątkowo dobry słuch. Uspokoił psa, który posłusznie położył się na ścieżce, z nosem zwróconym w kierunku, skąd przyszli: uszy sterczały mu jak ostrzegawcze trójkąty.

Rozległ się kolejny odgłos. Chukki warknął.

- Kryjcie się - syknął Hinny.

Grupka rozdzieliła się i bezszelestnie skryła w wysokiej, ostrej trawie. Lesa leżała na brzuchu przekonana, że każdy przechodzący ścieżką usłyszy walenie jej serca.

Minęła minuta. Kolejny łoskot kamyczka. Cichutki skowyt psa, którego Hinny uciszył natychmiast, świadczył, że Lesa się nie myliła. Wyciągnęła z plecaka procę i wymacała w kieszeni zapas amunicji, który zawsze miała przy sobie. Wybrała okrągły, płaski kamień: idealnie pasował do ładownicy.

Odgłos łamanej gałązki. Lesa przywarła do ziemi modląc się, by nie było to siedlisko mrówek; mogłyby ją pokąsać, okazując w ten sposób dezaprobatę wobec traktowania mrowiska jako kryjówek. Lesa umocowała opaskę procy na nadgarstku, włożyła kamień do ładownicy i odciągnęła mocne elastyczne paski.

Z ciemności wyłoniła się niewielka postać. Wypchany plecak nadawał jej wygląd garbusa. Lesa wycelowwała trochę przed postacią, naciągając paski do granic wytrzymałości, wstrzymywała się jednak z oddaniem strzału. Chód przybysza wydawał się dziwnie znajomy. Mężczyzna minął kryjówkę Lesy. Z zarośli rzucił się na niego jakiś cień. W świetle księżyca błysnęła stal. Znajomy głos wykrzyknął:

- Hinny, nie! To ja! Diem!

Leska skoczyła na równe nogi i zobaczyła, jak Hinny i Diem podchodzą do siebie. O kilka metrów dalej wyłoniła się z zarośli Neti. Wydała krótki krzyk i rzuciła się do przodu.

- Diem! Co ty tu robisz?

Poszczekiwanie Chukkiego obudziły Suzi, która zaczęła płakać. Opanowanie sytuacji zajęło kilka sekund. Trzy przerażone kobiety skupiły się wokół Hinny'ego, a ten ociągając się rozluźnił chwyt na szyi Diema. Oczy młodego człowieka, zaokrąglone przerażeniem, wpatrywały się w długi nóż, który Hinny trzymał w drugiej ręce.

- Co tu robisz? - zapytał Hinny. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy wioski nie darzył zaufaniem Diema i jego ojca.

- Szedłem za wami - odpowiedział Diem rozcierając szyję.

- To już wiem. Ale dlaczego?

Przerażone oczy Diema spoczęły na Neti.

- Nie chciałem się z nią rozstawać.

Hinny wahał się chwilę, zanim schował nóż do pochwy.

- Skąd wiedziałeś, że uciekamy? - zapytała Thi. - Czy Neti ci powiedziała? - Spojrzała podejrzliwie na dziewczynę.

- A skąd ja mogłam wiedzieć, kiedy nic mi nie mówiliście! - odparowała Neti.

Diem z niepokojem spojrzał na Hinny'ego. Obliznął wargi.

- Cała wioska wiedziała, że coś planujecie - powiedział do Thi. - Hinny sprzedawał te wszystkie rzeczy i znikał zawsze wtedy, kiedy mój ojciec gdzieś wyjeżdżał. Słyszałem w Da Nang, że ponowne przyjscie żołnierzy jest tylko kwestią czasu, toteż każdej nocy obserwowałem wasz dom. Chciałem być razem z Neti i chciałem iść z wami. Zabrałem mnóstwo jedzenia.

- Czy powiedziałaś ojcu? - pytała Thi.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Dlaczego mieliby znowu przyjść? - dopytywała się Lesa, sama zdumiona tym, że ośmieliła się wtrącić w rozmowę dorosłych.

- Idź w dół ścieżki i czuwaj - poleciła Thi.

Zwyczaj respektowany od pokoleń sprawił, że Lesa nie podjęła dyskusji ze starszymi. Oddaliła się od grupki pogrążonej w gorączkowej, choć cichej rozmowie. Fala zazdrości z powodu tego, że przybycie Diema pozbawi ją wyłącznego towarzystwa Neti, zbladła pod wpływem nurtującego Lesę podejrzenia, że cała ucieczka w jakiś sposób wiązała się z jej matką. Komentarze Diema utwierdziły ją w tych podejrzeniach, ale nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego ona miałaby być jedynym powodem ucieczki rodziny. Nie zrobiła

niczego, co mogłoby się nie podobać władzom. A może chodziło o coś, co zrobiła jej matka? Przerazenie ścisnęło jej serce na wspomnienie dnia, w którym żołnierze Tak Noi zabrali matkę. Czy płaciła za jakiś postępek ojca? A skoro ukarano za to matkę, to teraz na nią kolej.

Lesą nie wiedziała o swoim ojcu nic poza tym, że zginął na wojnie. Ani rodzina, ani pozostali mieszkańcy wioski nie zachęcali jej do zadawania pytań na jego temat. Jego śmierć była oczywiście powodem głębokiego smutku, ale zawsze dziwił ją brak jakichkolwiek fotografii ojca. Ściany innych chat we wsi ozdabiała zdjęcia zmarłych bliskich, niektóre spłwiała ze starości, ale większość z nich błyszczała na podobieństwo lustra w wyniku nowoczesnych metod wywoływania fotografii, a modnie wystrzępione brzegi wskazywały na Da Nang jako miejsce wykonania. Nie istniało jednak żadne zdjęcie jej ojca. Nawet ślubne.

Dorośli zakończyli dyskusję. Hinny przywołał Lesę.

- Diem idzie z nami - oznajmił. - Będzie szedł między Thi a Neti. Musimy ruszać. Straciliśmy dosyć czasu. O świcie musimy dojść do lasu.

Lesą nagle poczuła nienawiść do Diema i żałowała, że nie posłużyła się procą.

- Czy mogę iść obok Neti? - zapytał Diem.

- Nie - uciął Hinny i ruszył naprzód.

Po godzinie męczącego marszu dotarli do szerszego traktu, na którym widniały koleiny opon ciężarówek. Szli tym traktem przez następnych trzydzieści minut. Nagły warkot silnika dieslowskiego zmusił ich do ukrycia się w zaroślach, dopóki ciężarówka ich nie minęła.

Lesą sprawdziła położenie gwiazd i zorientowała się, że zakreśliwszy szeroką pętlę idą teraz niemal prosto na wschód. Miała bardzo mętne pojęcie o geografii swojego kraju, wiedziała jednak, że wschód to kierunek, w którym płynęły rzeki, a także kierunek, gdzie znajdowało się morze, którego nigdy jeszcze nie widziała. Cała ta przygoda zaczynała ją ekscytować.

3.

Brzegi lasu zadziwiły Lesę. W niczym nie przypominały dżungli otaczającej wioskę. Pnie drzew sterczały w górę, ale zamiast gęstej korony liści, gałęzie rysujące się na tle wschodniego nieba, oświetlonego pierwszym brzaskiem dnia, były zupełnie gołe. Niektóre były powykręcane i zdeformowane, ale nie wynikało to ze starości. Zupełnie jakby leśne duchy wywarły na nich swoją złość. Wiele drzew leżało powalonych - znacznie więcej, niż byłoby to normalne nawet po przejściu najsilniejszego tajfunu. Większe drzewa popękały i pokiereszowały pnie mniejszych i to, co z nich pozostało, stało nagie na tle nieba jak

wyciągnięte z pochwy sztylety. U podnóża drzew dżungla rosła gęsto; nie mogłaby osiągnąć podobnej bujności, gdyby drzewa miały liście.

Lesa dużo wiedziała o drzewach. Kiedy drzewo w pobliżu wioski zaczynało obumierać, zwalano je natychmiast i cała wioska uczestniczyła w rąbaniu go na kawałki. Martwe drzewo stwarzało zagrożenie. Kiedy tylko marły jego włókniste korzenie i już się nie trzymały luźnej, torfowej gleby, drzewo stawało się niebezpiecznie niestabilne. Ale zwykle umierały drzewa stare, podczas gdy tutaj martwe drzewa wyglądały na młode. Zastanawiała się, czy padły ofiarą niszczących środków, które, jak słyszała, rozpylali Amerykanie. W wiosce gorąco dyskutowano nad używaniem tych środków.

Przypomniała sobie słowa Hinny'ego: - Chcą zabić las, żeby nieprzyjaciel nie mógł się ukryć, ale wszyscy wiedzą, że jak się zwali drzewo, to więcej słońca przedostaje się do ziemi i podszycie rośnie bujniej i szybciej. Popatrzcie, co się stało, kiedy wykarczowaliśmy nowe pole w zeszłym roku. Skoro tylko znikły drzewa, musieliśmy pracować podwójnie ciężko, żeby powstrzymać wzrost podszycia i przygotować ziemię do uprawy.

Odpowiedział na to zgodnie przytakujący chór głosów.

- Mówię wam, że Amerykanie są głupi - oświadczył Hinny - a głupi ludzie nie mogą wygrać wojny.

Słuszność jego słów potwierdzało nowe podszycie, które zaczynało wdzierać się nawet na ścieżkę. Lesa potknęła się wielokrotnie o płożące się rośliny na pół wkopane w błoto przez przejeżdżające tędy ciężarówki.

Hinny zszedł ze ścieżki i poprowadził grupę w gąszcz zarośli. Poleciał im, żeby początkowo poruszali się ostrożnie, gdyż ślady zniszczenia roślin niezawodnie wskażą ich kryjówkę. Dopiero kiedy oddalili się na bezpieczną odległość od traktu, ułatwił im marsz wycinając długim nożem przejście pośród bujności szerokolistnych roślin.

- Tutaj rozłożymy obóz - zdecydował Hinny, kiedy dotarli do małej polanki. Zrzucił plecaki i pokazał pozostałym, jak rozstawić lekki jednoosobowy namiot z dawnego wyposażenia armii amerykańskiej.

W każdym plecaku był jeden taki namiot. Wyciągając z plecaka składane maszty Lesa zastanawiała się, jak dokładnie została zaplanowana cała wyprawa. Nawet Diem zabrał z sobą namiot. Prócz niej wszyscy wiedzieli, na co się zanoszą.

Podczas posiłku złożonego z paseczków suszonej wieprzowiny, usmażonej na mikroskopijnej turystycznej kuchence gazowej, Hinny podzielił się z nimi paroma informacjami.

- Idziemy na wybrzeże - wyjaśnił. - W ciągu dnia śpimy, maszerujemy nocami. Jeśli nie

będzie padało, zajmie nam to trzy noce.

- A co będzie, jak dojdziemy nad morze? - zapytała Lesa mając nieprzyjemną świadomość, że wszyscy jej się przyglądają.

Hinny starannie wytarł palce w wysoką trawę.

- Kontaktujemy się z wioską, z którą się porozumiewałem. To wszystko, co musicie wiedzieć na razie.

Lesa zdawała sobie sprawę, że domaganie się dalszych informacji nie przyniesie żadnego skutku. Pomogła posprzątać po posiłku i zakopać resztki, żeby nie przyciągały owadów. Potem uwolniła Thi od Suzi i nakarmiła dziecko. Jeden z plecaków Hinny'ego wyładowany był maleńkimi puszczkami Heinza i torebkami mleka w proszku, co stanowiło jeszcze jeden dowód starannego przygotowania i pomogło Lesie uwierzyć w sukces wyprawy.

Neti i Diem ganiali się w kółko; przez te ich figle pies zaczął poszczekiwać, co z kolei wywołało ostrą reakcję Thi, niechętnie spojrzenie Lesy i polecenie Hinny'ego, by zajęli się wykopaniem polowej latryny. Kiedy wszyscy w końcu ukryli się w swoich namiotach, słońce stało już wysoko i przygrzewało mocno.

Lesa wygrzebała dołek na biodro, mogła więc stosunkowo wygodnie leżeć na boku. W przeciwieństwie do większości ludzi ze wsi, którzy potrafili zasnąć o każdej porze i w każdej pozycji, byle tylko nadarzyła się okazja, Lesa zawsze z trudem zasypiała w dzień. Bezustanne rozhowory ptaków nie pozwalały jej zasnąć. Ale ten dziwny, na pół umarły las we wzrastającym upale poranka pozostawał nieruchomy i cichy, poza dochodzącym od czasu do czasu zgrzytem ciężarówki, poszukującej na niskim biegu przejazdu po nie istniejącym szlaku.

Lesę obudził płacz Suzi. Robiło się ciemno. Thi podgrzewała na kuchence gazowej otwartą puszkę jedzenia dla małej.

- Jestem okropnie pogryziona - poskarżyła się Lesa drapiąc się w nogę.

Thi obdarzyła ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Zabraliśmy cię z sobą, głównie dlatego że jesteś ulubienicą owadów.

Lesa roześmiała się beztrąsko i nagle zasłoniła usta dłonią. Spojrzała zaniepokojona w stronę drogi. Chukki wpadł na teren obozowiska, machając szaleńczo ogonem. Za nim pojawili się Hinny, Diem i Neti. Mężczyźni nieśli niewielkiego młodego dzika. Hinny czyścił rewolwer Smith and Wesson, podczas gdy pozostali oprawiali dzika i kroili mięso w paseczki, by usmażyć je na kuchence. Do tego momentu Lesa nie miała pojęcia, że Hinny posiada jakąś broń prócz długiego noża.

Godzinę później zwijali obóz, starannie pakując plecaki i inne przedmioty i zacierając ślady swego pobytu przed podjęciem długiego marszu.

Znowu powtórzona została zasada przyjęta poprzedniej nocy: szli pojedynczo, zachowując odpowiednie odległości. Lesa starała się nie zwracać uwagi na pęcherze formujące się na stopach ani na silne bóle podbrzusza, które zwiastowały nadchodzący period.

Hinny zarządził jednak pewną zmianę dotychczasowej rutyny: po dwóch godzinach marszu musieli odpoczywać przez piętnaście minut. Lesa nie była przekonana o słuszności tego pomysłu. Kiedy wstawiała po kilku minutach leżenia na wznak, wydawało jej się, że każdy mięsień ciała kurczy się boleśnie.

Księżyc świecił już od dwóch godzin, kiedy nagły okrzyk zatrzymał ich w miejscu. Chukki biegnący u boku Hinny'ego warknął cicho, stanął z nosem zwróconym w kierunku marszu, sierść na grzbiecie zjeżyła mu się tak, że przypominał gotującego się do obrony jeżozwierza.

- Stać!

Z mroku wyłonił się żołnierz. Nie zauważyli go, dlatego że czał się na poboczu, a wiatr wiał w jego stronę. Teraz stał na wprost Hinny'ego, karabin AK-47 wycelował w środek drogi, tuż przed grupką uchodźców.

- Kim jesteście? - zapytał żołnierz. W jego głosie brzmiała podejrzliwość. Był to niepewny jeszcze głos młodzieńca, który niedawno przeszedł mutację.

- Jesteśmy chłopami z Song Yen - wyjaśnił Hinny.

- Odeszliście daleko od domu. Co tu robicie?

Lesa wymacała w kieszeni procę. Poczwała pod palcami pocieszający chłód aluminiowej rączki.

- Słyszeliśmy, że w Rochelle mają do sprzedania traktor na chodzie. Idziemy go obejrzyć. Nasz gubernator kazał mi zabrać z sobą rodzinę.

Lesa wyjęła procę z kieszeni. Poruszała się bardzo powoli i ostrożnie, chłopiec jednak nie zwracał na nią uwagi. Kobiety rzadko były niebezpieczne. Wsunęła do ładownicy okrągły, lekko spłaszczony kamień. Takie kamienie zwykle leciały prostą drogą do celu.

- Pokaż mi zezwolenie na drogę.

Hinny opuścił plecak na ziemię, rozpiął paski, czemu żołnierz przyglądał się z zainteresowaniem: istniała szansa na niezłą łapówkę.

Lesa trzymała procę w lewej ręce, a naciąg w prawej. Wiedziała, że nie będzie czasu na porządne celowanie. Młodziutki żołnierz z pewnością zauważyłby jej ruchy. A jeśli chybi, nie

będzie oczywiście miała czasu na ponowny strzał.

- Włożyłem dla pewności wszystkie dokumenty na dno - wyjaśniał Hinny wyjmując namiot.

- Nie masz żadnych dokumentów - powiedział żołnierz chrapliwym głosem. - Kłamiesz! Jesteście zwykle szczury porzucające okręt, jak cała reszta! No to zdechniecie jak szczury! - Podniecenie sprawiło, że mówił cienkim głosem. Cofnął się i podniósł karabin. W tym momencie Lesa naciągnęła elastyczne paski procy do granic wytrzymałości i wystrzeliła. Kamyczek lecący do celu wydał cichy zgrzyt. Rozległ się głośny trzask; żołnierz wpatrywał się w przestrzeń zamglonym i nie widzącym wzrokiem, zanim runął w przód. Hinny skorzystał z okazji. Wyciągnął z pochwy nóż i wbił ostrze w szyję padającego chłopca. Thi wydała cichutki okrzyk, kiedy ze straszliwej rany trysnęła krew. Hinny kopnął leżący karabin, gotów wbić nóż między łopatki żołnierza, gdyby tylko tamten się poruszył. Nie było to jednak konieczne, bo kamień z procy Lesy przebił czaszkę chłopca, nie żył już w chwili, gdy Hinny dźgnął go nożem.

Hinny rozejrzał się i dostrzegł procę w ręku Lesy. Zobaczył dziurę w czaszce żołnierza. Oczy dziewczynki zaokrągliły się z przerażenia.

- Czy ja go zabiłam? - wyszeptwała.

- Nie - odpowiedział Hinny, wyjmując procę z bezwładnych palców Lesy i przyglądając się jej z zaciekawieniem. - Ja go zabiłem. Ale ty odwróciłaś jego uwagę. To był dobry strzał. - Oddał procę przerażonej dziewczynce i uśmiechnął się do niej zachęcająco. Ten uśmiech uszczęśliwił Lesę. Świadczył nie tylko o pełnej akceptacji, ale i o szacunku Hinny'ego, co sprawiło, że na kilka minut zapomniała o okropności tego, co się wydarzyło.

Hinny i Diem zanieśli ciało żołnierza w gąszcz ostrej trawy i po chwili wynurzyli się z pustymi rękami. Hinny cisnął karabin w gęstwinię i musiał zagwizdać na psa, żeby nie pobiegł aportować. Thi uśmiechnęła się do Lesy z wdzięcznością, kiedy dziewczynka zaproponowała, że poniesie Suzi.

Grupka uciekinierów podjęła wędrówkę.

5.

Teren zmieniał się. Na początku nieznacznie, a potem dość gwałtownie, kiedy łagodny stok wyprowadził ich z dżungli na otwarte błotniste tereny, zajęte przez zarośnięte, opuszczone pola ryżowe. Szlak zwęził się wyraźnie, teraz była to zaledwie grobla żółtej, zbitej ziemi, na której mógłby się zmieścić najwyżej wózek ciągniony przez woły.

Wędrowcy, pozbawieni nagle osłony, poczuli się bardziej narażeni na niebezpieczeństwo, zwłaszcza kiedy księżyc wyłonił się zza niskiej bariery chmur i rzucił bladą poświatę na jałowy krajobraz. Hinny zatrzymał się i spoglądał na mapę.

- Jesteśmy cztery kilometry od rzeki - wyjaśnił pozostałym. - Jest tam most, strzeżony zwykle tylko w dzień. Jeżeli teraz są tam strażnicy i w nocy, będziemy musieli pójść w górę rzeki, aż znajdziemy płytkie miejsce do przeprawy.

Było to niemal przyznanie się, że rozpoznał przedtem drogę. Posuwali się dalej ciężkim krokiem. Światło księżyca błyszczało w dziwacznych, okrągłych zbiornikach stojącej wody, których liczba zdawała się zwiększać, w miarę jak zbliżali się do rzeki. Były ich setki, różnych rozmiarów, niektóre nawet stykały się lub zachodziły na siebie. Wiatr wywoływał łagodne fale na powierzchni wody, a wodne węże przepływając w świetle księżyca zostawiały za sobą delikatne, choć groźne zmarszczki w kształcie litery v. Te dziwne kałuże przypomniały Lesie kraterki księżycowe, które oglądała w jednym z numerów „National Geographic”, spalonych później przez Hinny'ego. Nagle uświadomiła sobie, że to właśnie były kraterki. Leje po bombach. Tysiące poszczególnych kraterów tworzących obraz ogólnej destrukcji w pobliżu bambusowego mostu, który właśnie ukazywał się w oddali. Most był jedną z tych konstrukcji, które z takim powodzeniem wznosili Wietnamczycy, wykorzystując dostępne na miejscu materiały. Nawet jeśli powódź zabrała most, w kilka dni można było zbudować nowy. Lesa przypuszczała, że dopilnowanie, by most rzeczywiście nie istniał, musiało kosztować amerykańskie bombowce setki godzin akcji. Jeśli można było wnioskować cokolwiek na podstawie otaczającego krajobrazu, to na każdą bombę, która trafiła w most, musiały przypadać tysiące niecelnych.

Ukryli się w jednym z mniejszych lejów w pobliżu mostu, podczas gdy Hinny udał się na rekoniesans. Lesa patrzyła, jak się oddalał, biegł pochylony, a Chukki tuż za nim. Szum rzeki zagłuszał odgłos kroków w miękkim błocie. Mężczyzna i pies zniknęli w ciemnościach. Księżyc zaszedł za chmury i mrok na nowo okrył dziką krainę. Kiedy oczy Lesy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła na obu krańcach mostu błyszczące punkciki światła. Były tak niewyraźne, że można było je zauważyć jedynie patrząc nieco w bok. Ale nawet wtedy bladły, a chwilami zanikały zupełnie.

Hinny powrócił po dziesięciu minutach. Wślizgnął się do leja i oświadczył, że most jest nie strzeżony.

- A co to za światła? - zapytała Lesa.

- Światła? - Hinny zmarszczył brwi i zaczął, podobnie jak Lesa, wypatrywać w stronę mostu.

- Nie widzisz? Światelko na każdym końcu. Bardzo słabe.

- Dziecko, to twoja wyobraźnia. Nie ma żadnych świateł. - zaproponował pozostałym, żeby popatrzeli. Nikt nie mógł dostrzec świateł, które widziała Lesa. Wyczołgali się z krateru i zaczęli ostrożnie kierować się w stronę mostu. Nagle Diem zatrzymał się.

- Lesa ma rację. Teraz je widzę. Plamy odbłyiskowej farby. Snajperzy mają na nie wycelowane karabiny. Jeśli światelko gaśnie, strzelają.

Teraz nawet Hinny dostrzegł świetlne punkciki. Zastanawiał się, czy nie mogliby przeczolgać się przez most. Ale jeżeli było tam jeszcze więcej plam tej śmiertelnie niebezpiecznej farby? Most stwarzał zbyt wielkie ryzyko.

- Idziemy w górę rzeki - zdecydował.

6.

Marsz był trudny. Ciężkie błoto przylegało do podeszew, zwiększając jeszcze dokuczliwość pęcherzy i sprawiając, że każdy kolejny krok stawał się męczarnią. Chwilami musieli się przedzierać przez gęstwinę bambusowych zarośli, które wyrosły w zagłębieniach. Po jakimś czasie leje stały się rzadsze, a brzeg rzeki solidniejszy, jeśli nie liczyć napotykanymi czasami szlaków bawołów, gdzie żółte błoto sięgało wędrowcom po kolana.

Na dwie godziny przed świtem dotarli do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała i przemieniała w ospałą żółtawą zupę. Ślady kół wozów dowodziły, że był to często używany bród. Lesa jako najwyższa trzymała na plecach Suzi w nosilkach. Letnia, leniwie płynąca woda sięgała Lesie do piersi, obciągała spodnie na biodrach. W pewnym momencie rzeka stała się tak głęboka, że sięgała prawie do szyi. Lesa czuła miękkie dotknięcia pijawek lgnących łapczywie do jej ciała. Nie były tak aktywne w wartkiej rzece, ale ciepła krew w stojącej wodzie przyciągała ich całe setki. Kobiety w czasie periodu unikały wchodzenia do rzeki. Napęczniały, przemoczony pasek spodni osunął się na uda i utrudniał Lesie utrzymanie równowagi. Poślizgnęła się na olbrzymich, okrągłych głazach, które wyścielały dno rzeki, niechybnie przewróciłaby się, gdyby nie podtrzymał jej Diem. Niemowlę nie obudziło się ani razu. Pijawki stawały się bardzo dokuczliwe. Ledwo odczuwalne początkowo ukłucia w kroczu przeradzały się teraz w doskwierający ból.

Woda stawała się płytsza. Lesa wdrapała się na przeciwległy brzeg i oddała dziecko Thi. Starsza kobieta popatrzyła na nią i bez słowa wskazała palcem. Lesa spojrzała w dół i o mało nie zemdląca; jej uda i podbrzusze pokrywała czarna masa nabrzmiątych, ślimakowatych pijawek, które nieprzyzwoicie błyszcząły w świetle księżyca. Te ohydne stworzenia były

zarłocznymi oportunistami. Lesa spędziła w wodzie nie więcej niż dziesięć minut, a już zdążyły napuchnąć od jej krwi.

- Hinny - zawołała Thi - chodź tu szybko!

Lesa nagle zawstydziła się i usiłowała podciągnąć spodnie, ale Thi odepchnęła jej rękę.

- Głupi dzieciak - syknęła.

Hinny zorientował się, o co chodzi. Otworzył plecak i wyciągnął specjalny pojemnik, w którym trzymał papierosy i zapalki. Zapalił jeden ze swoich cennych cameli i dotknął rozżarzoną końcówką do pijawki, która zagłębiała się w pępek Lesy. Pijawka zwinęła się i odpadła. Hinny działał systematycznie. Lesa czuła na ciele jego oddech, musiał bowiem zaciągać się papierosem w tej samej chwili, w której przykładł go do bardziej uporczywych pijawek. Przesunął papierosa niżej.

- Połóż się.

Lesa wykonała polecenie.

- Rozłóż nogi.

- Hinny, pozwól, że sama to zrobię - błagała.

- Poparzysz się.

- Nie wygłupiaj się - skarciła ją Thi. - Rób, co ci mówi.

Lesa rozsunęła nogi i z trudem powstrzymywała łzy zawstydzenia napływające jej do oczu. Podobnie jak wszystkie kobiety jej rasy i kultury nie była specjalnie przewrażliwiona na punkcie swojego ciała i nie miała nic przeciwko temu, by inni oglądali ją nago, ale ten rodzaj intymności był nie do zniesienia. Ostatecznie pognębiło ją to, że Hinny poprosił, by Diem poświęcił mu zapalniczkę.

- Ja potrzynam zapalniczkę - zaofiarowała się Neti, zrozumiałwszy doskonale krzyk przerażenia Lesy. Lesę ogarnęła fala wdzięczności dla starszej dziewczyny. Poczowała delikatne poruszenia na wargach sromowych i oddech Hinny'ego, który zaciągał się papierosem. Gorąco rozżarzonego papierosa stało się nagłym, gwałtownym bólem, a zaraz potem rozległ się głos Neti, mówiąc, że już po wszystkim.

Neti pomogła Lesie wstać i uścisnęła jej rękę, zanim zabrała się do rozpinania jej bluzki. Liczne pijawki przyczepiły się do piersi Lesy. Jedna przyssała się do sutka jak upiorna odmiana niemowlęcia. Odpadały jedna po drugiej, kiedy tylko Hinny dotknął ich rozpalonym camelem. Na skórze Lesy pozostały paskudne czerwone ranki. Lesa wymamrotała podziękowania i ubrała się. Okazało się, że jedna pijawka przyczepiła się do stopy Suzi, a druga do kostki. Diem znalazł jedną na swoim penisie i zasłużył na ogólną pogardę, broniąc się przed potraktowaniem papierosem jednej pijawki, podczas gdy Lesa bez słowa zniosła

całą operację.

Hinny odbył dodatkową wyprawę na drugi brzeg rzeki, skąd wrócił niosąc wysoko nad głową ostatni plecak.

Grupka uciekinierów skierowała się do pozbawionego liści zagajnika palmowego i rozłożyła tam obóz. Byli zbyt zmęczeni, by jeść, woleli kulić się w mizernym ciepłe płomyka turystycznej kuchenki. Pocieszający był fakt, że mogli przebrać się w suche rzeczy.

- Ciągle jeszcze mieścimy się w czasie - oznajmił Hinny sprawdzivszy mapę. - Jutro przetniemy Autostradę Numer Jeden i wtedy będziemy już prawie na miejscu.

- Na jakim miejscu? - chciała wiedzieć Lesa. Nikt inny jednak nie zadał tego pytania. Zdawała sobie sprawę, że na jej pytanie nikt nie odpowie.

Wczołgała się do namiotu; słyszała, jak Neti i Diem chichoczą cichutko, ale była zbyt zmęczona, by zazdrościć im tego wspólnego żartu. Jedynym pożytkiem przeprawy przez rzekę był fakt, że czuła się teraz stosunkowo czysta.

7.

Następnego nocy wrócili wzdłuż przeciwnego brzegu rzeki na swój poprzedni trakt. Bardzo im się poprawiło samopoczucie, skoro koniec wędrówki wydawał się bliski, a gęstniejąca wokół dżungla oznaczała, że na dźwięk zbliżającego się pojazdu można będzie ukryć się bez trudu.

Cios spotkał ich wkrótce po północy, kiedy natknęli się na tymczasowy punkt kontrolny obsadzony przez sześciu żołnierzy. Musieli wycofać się błyskawicznie i skryć w zniszczonym lesie, bo Suzi zaczęła płakać.

- Nie było ich tutaj w zeszłym miesiącu - skarżył się gorzko Hinny, kiedy już ukryli się w bezpiecznej odległości od posterunku.

- Po co zadają sobie tyle trudu? - zapytała Thi trzymając Suzi przy piersi.

- Dlatego że jeszcze wielu innych robi to samo co my - wyjaśnił Hinny.

- A może obejdziemy posterunek przez dżunglę? - zaproponował Diem.

Hinny pokręcił przecząco głową.

- Jak myślisz, dlaczego ustawili go w miejscu, gdzie dżungla jest najbardziej gęsta? Głównie po to, żeby uniemożliwić obejście. Na pewno w dżungli stoją strażę. Narobiliśmy za dużo hałasu przedzierając się przez gąszcz, a poza tym stracilibyśmy za dużo czasu. Moglibyśmy też natknąć się na pułapki punji.

- Czy nie ma innej drogi? - zapytała Neti.

Hinny studiował mapę.

- Jest. Ale oznacza nadłożenie co najmniej dwudziestu kilometrów i jest bardzo niebezpieczna.

- Nie może być bardziej niebezpieczna od tego, przez co już przeszliśmy - zauważyła Neti.

Hinny przyjrzał jej się badawczo.

- Ta droga jest bardzo niebezpieczna.

- Czy mamy jakiś wybór?

- Możemy wrócić do wioski - powiedziała Thi.

Hinny spojrzał na Lesę i pokręcił głową.

- Bez względu na to, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, musimy mu stawić czoło.

Thi nachmurzyła się, ale nic nie powiedziała.

Grupka uciekinierów zawróciła, by po jakimś czasie skręcić na ścieżkę, którą minęli godzinę wcześniej. Ścieżka była niegdyś szlakiem pasterzy, dawno już nie używanym i bardzo zarośniętym. Czasami w ogóle trudno było ją odnaleźć. Hinny i Diem na zmianę wycinali nożem zarośla. Co jakiś czas Hinny sprawdzał z kompasem, czy posuwają się we właściwym kierunku.

Przycięte pędy bambusów i trawy-trzcinówki uderzały Lesę w łydki, obawiała się skaleczeń i możliwości infekcji. Chukki uwielbiał dżunglę i pokonywał podwójne odległości zapędzając się za każdym zwierzęciem, które na odgłos kroków uciekało w gęstwinę. W pewnym momencie zagryzł małego żbika, co wszystkich trochę zaniepokoiło, obawiali się bowiem, by nie sprowadziło to na ich ślady matki żadnej zemsty. Wietnamskie żbiki nie słynęły z łagodności.

W tak gęstym podszyciu nie miał już sensu marsz gęsiego. Po raz pierwszy Lesa miała okazję porozmawiać z Neti, ale starsza dziewczyna była bardziej zainteresowana towarzystwem Diema. Głęboko tym dotknięta Lesa wysforowała się naprzód i okrążyła kępę bambusów z innej strony niż pozostali. Przed nią znajdowało się coś dziwnego. Ostrożnie rozsunęła podszycie.

Straszliwy widok, jaki ujrzała, wyrwał jej z gardła okrzyk zgrozy. Hinny natychmiast znalazł się u jej boku. W zaroślach kryła się punji - pułapka używana od wieków do chwytania dzikich zwierząt, którą to metodę Wietkong zastosował z przerażającym powodzeniem dla zwierzyny ludzkiej. Zasadzkę tworzył zakamuflowany głęboki dół, z którego dna sterczały zaostrzone i utwardzone ogniem tyczki bambusowe. Szkielet spoczywający na dnie dołu, który odkryła Lesa, był częściowo przykryty wygniłymi

resztkami munduru amerykańskiej piechoty morskiej. Białe kości palców ciągle jeszcze ścisnęły rdzewiejący karabin. Żołnierz leżał tu pewnie przez dziesięć lat. Cztery tysiące amerykańskich żołnierzy zginęło w tych pułapkach. Ten musiał oderwać się od swojego plutonu, ponieważ praktycznie nie zdarzało się, by Amerykanie zostawiali martwego towarzysza.

Uciekinierzy ostrożnie obeszlą pułapkę i kontynuowali marsz. Neti mocno ścisnęła drżącą rękę Lesy.

Dżungla skończyła się nagle. Roślinność nie rzedła stopniowo; gęstwina zarośli przekształciła się niespodziewanie w pas ziemi, szerokości około dwustu kroków, oświetlony światłem księżyca. Ziemia wyglądała na niedawno zaoraną i bardzo dokładnie zabronowaną. Dziesięć metrów od skraju lasu znajdowała się równa linia numerowanych oznakowań ustawionych w regularnych odstępach. Wszyscy wiedzieli, jak wygląda pole minowe, chociaż nigdy dotychczas go nie widzieli. Oznakowania odpowiadały podziałce mapy, co miało pomóc zakładającym miny, a także personelowi konserwującemu pole minowe. Całość robiła wrażenie niezwykle groźne. Nawet Chukki wyczuł niebezpieczeństwo i nie oddalał się od Hinny'ego.

Lesy odezwała się pierwsza;

- Dlaczego nic tu nie rośnie?

- Najpierw zaorują pole, a potem zatrują je arsenikiem - wyjaśnił lakonicznie Hinny. - Przez lata nic tu nie wyrośnie. To miejsce śmierci, nie życia.

- Czy musimy przejść tędy? - spytała cichutko Neti.

- Musimy. To właśnie miałem na myśli mówiąc o niebezpieczeństwie.

- Leje. - Thi wskazała ręką ospowate ślady na skądinąd równo zabronowanej powierzchni.

Hinny skinął głową.

- Prawdopodobnie zwierzęta - powiedział bez przekonania. Wrócił do lasu i wyciął nożem pęk krótkich bambusowych tyczek.

- Przejdziemy w tym miejscu - wskazał na pobliski oznacznik z numerem. - Oznacznik ze szczęśliwym numerem mógłby się okazać zbyt niebezpieczny, będzie tam na pewno co najmniej podwójna liczba min. Chukki!

Pies przyskoczył do niego i zaskomlał w radosnym oczekiwaniu, kiedy Hinny pokazał mu jedną z tyczek.

- Przynieś, Chukki! Przynieś!

Hinny rzucił tyczkę na odległość dwudziestu kroków w głąb pola śmierci. Pies pobiegł

za nią, złapał ją w zęby i przyniósł. Tę krótką wyprawę na pole minowe znaczyły ślady łap na miękkim gruncie.

- Dobry piesek, dobry - Hinny przez chwilę zajmował się psem, po czym zwrócił się do pozostałych: - Będziemy przechodzić w tym samym porządku co zwykle, tyle że Thi z dzieckiem pójdzie na samym końcu za Lesą.

Przez chwilę zdawało się, że Thi nie zgodzi się na to, ale najwyraźniej zmieniła zdanie.

- Musicie iść dokładnie po moich śladach - kontynuował Hinny. Rzucił kolejny patyk. Chukki skoczył do przodu, złapał patyk, ale na rozkaz pana zatrzymał się na miejscu. Hinny obejrzał się, by sprawdzić, czy pozostali są gotowi, i ostrożnie wkroczył na pole minowe. Pod ciężarem ciała stopy zapadały głęboko w świeżo zoraną ziemię, co go trochę przeraziło.

Nic się jednak nie stało.

Następny krok.

Dalej nic.

Podobnie było z trzecim, czwartym i piątym krokiem. Kiedy nadeszła kolej Lesy, drogę przez pole minowe znaczyły wyraźne ślady Hinny'ego, Neti i Diema. Słyszała za sobą oddech Thi, krótki i urywany. Przerazenie matki udzieliło się Suzi, która zaczęła płakać, dopóki Thi nie przystawiła jej do piersi.

Kiedy Hinny znalazł się w odległości pięciu kroków od psa, zawołał go do siebie, poklepał serdecznie i rzucił mu następny patyk. Chukki skoczył do przodu i złapał kijek. Przypadł do jałowej ziemi i radośnie machał ogonem, obserwując ostrożne kroki pana. To była wspaniała zabawa, chociaż odbywała się w środku nocy.

Dwa kolejne patyki doprowadziły ich na środek pola minowego. Lesa aż podskoczyła, usłyszawszy niespodziewany krzyk małpy. Neti wyciągnęła rękę do tyłu i uściśniła jej dłoń gestem pocieszenia. Przestraszona Lesa była bardzo wdzięczna za ten odruch.

Hinny rzucił następny patyk. Opanował się, żeby nie posłać go jak najdalej. Starał się rzucać nie dalej niż na odległość kilku kroków, żeby pies mógł wrócić tę samą drogą. Gnębiła go myśl, że Chukki może być za lekki, by mina eksplodowała, nawet jeśli na nią nadeptnie.

Uciekinierzy kontynuowali powolny marsz gęsiego przez owo piekielne poletko skąpane w zimnym świetle księżyca, jakby spowite śmiertelnym całunem. Thi potykała się na miękkim gruncie, niesienie dziecka i zachowanie równowagi przychodziło jej z trudem. Nie zgodziła się jednak na propozycję Lesy, która chciała nieść dziecko.

- Jeśli się coś stanie, to przynajmniej umrzemy razem - wyjaśniła fatalistycznie.

Posuwali się do przodu, serca biły gwałtownie, pod wpływem napięcia nerwy wydawały się wyostrzone jak brzytwy. Jedna noga przed drugą, stawiane ostrożnie, stopy

grzęznące w miękkim gruncie i strach, by nie wyczuć nagle pod stopą czegoś twardszego, bo to mogło oznaczać tylko jedno.

Lesa zmusiła się, by oderwać wzrok od śladów stóp na ziemi, i rozejrzała się dokoła. Oddalili się pięćdziesiąt kroków od życzliwego, bezpiecznego lasu. W tym momencie zrobiło się ciemno, księżyc skrył się za grubą warstwę chmur.

- Nic nie widzę - syknął Hinny. - Niech nikt się nie rusza. Musimy poczekać na księżyc.

Lesa obróciła się, by spojrzeć na księżyc. Zasłona chmur rozciągała się od jednego krańca horyzontu do drugiego. Chmury nadciągały od zachodu, zakrywały kolejne gwiazdy, jakby rozpościerały welon ślepoty nad zadumanym niebem.

- Księżyc nieprędko wyjdzie - zaproponowała. - Nie możesz użyć latarki?

Podobne kwestionowanie postępowania starszych przez dzieci było nie do pomyslenia, Hinny jednak odpowiedział tak, jakby miał do czynienia z osobą dorosłą.

- Nie mam latarki.

- Nie zabrałeś latarki?

Hinny się rozzłościł.

- Sprzedałem wszystko, co mogłem, żeby za to zapłacić! Poza tym promień światła byłby niebezpieczny.

- Kuchenka - szepnął Diem. - Przykręć dopływ powietrza, żeby palił się żółty ogień. Będzie zupełnie dobre światło.

Hinny szeptał jakieś uspokajające zaklęcia do psa; ostrożnie zsunął swój plecak na ziemię i rozpiął paski. Chukki zaskomlał cichutko, zniecierpliwiony, i tłukł ogonem o ziemię. Minutę później przenośna kuchenka zasyczała i zapłonęło światło. Hinny przykręcił zawór i tak ustawił dopływ powietrza, że płomień stał się żółty. Podał kuchenkę Diemowi, który trzymał ją nad głową jak olimpijską pochodnię. Cienie członków grupy tańczyły na śmiertelnym poletku jak szydercze demony czekające na przyjęcie nowych przybyszów do piekła.

Hinny rzucił patyk na odległość dziesięciu kroków od końca pola minowego i bezpieczeństwa. Chukki warknął krótko z nie ukrywanym zachwytem i nie czekając na rozkaz pana, rzucił się w pogoń za patykiem w tym samym momencie, kiedy Hinny wypuścił go z ręki. Pies skoczył w górę. Złapał patyk w locie, rozległo się tylko kłapanie szczęk. Chukki opadł ciężko na ziemię, rozgrzebując grunt łapami, kiedy wykonywał obrót, by wrócić do swego pana.

Eksplozja zwała Hinny'ego z nóg, rzuciła go do tyłu na Diema i sprawiła, że wszyscy padli na ziemię. Zapalona kuchenka wykonała kilka obrotów w powietrzu. Lesa leżała twarzą

do ziemi, w uszach dzwoniło jej jeszcze od huku przerażająco bliskiego wybuchu, a w ustach miała pełno piachu. Przykryła głowę rękami, kiedy opadały wokół grudy ziemi i szczątki psa. Suzi wrzeszczała rozpaczliwie. Lesa przekręciła się na bok i przez jeden straszliwy moment myślała, że siła wybuchu wyrwała dziecko z ramion Thi. Uniosła się na rękach i zobaczyła, że Thi upadła na bok, ale ciągle przyciska opiekuńczo niemowlę do piersi.

- Niech nikt się nie rusza! - Hinny przekrzykiwał płacz Suzi.

- Nie wolno wam się poruszyć!

Przez kilka chwil nikt nawet nie odważył się odetchnąć. Thi poruszyła się pierwsza. Usiadła prosto. Mimo szoku pomyślała przede wszystkim o dziecku, przyciskała Suzi do piersi i starała się ją uspokoić, ale nie była zdolna kontrolować własnego oddechu. Wydobywała z siebie jakieś pół-westchnienia, pół-szlochy.

- Thi - zawołał Hinny. - Czy tobie i Suzi nic się nie stało?

- Chyba nie - odpowiedziała za nią Lesa.

- Neti?

- W porządku.

- I ja - powiedział Diem siadając.

- Ja też - powiedziała cichutko Lesa.

Hinny bardzo ostrożnie stanął na nogi. Podniósł zapaloną kuchenkę i uniósł ją do góry. Oświetlił świeży krater o średnicy około metra, odległy zaledwie dziesięć kroków od miejsca, w którym stał. Hinny milczał przez jakiś czas, obserwując otaczającą scenerię. Bez względu na to, jakie uczucia obudziła w nim strata Chukkiego, starał się ich nie pokazywać. Od bezpiecznego lasu dzieliło ich nie więcej niż dwadzieścia kroków, ale równie dobrze mogło to być dwadzieścia kilometrów. Hinny odwrócił się i spojrzał na Diema, który wyczesywał z włosów grudki ziemi.

- Musicie wszyscy zdjąć spodnie.

- Co takiego? - Diem wyglądał na zaskoczonego.

Hinny postawił na ziemi kuchenkę i zdjął spodnie. Światło żółtego płomienia pobłyskiwało na jego chudych nogach.

- Musicie wszyscy zdjąć spodnie - powtórzył.

Lesa, zbyt przerażona, by odczuwać wstyd, dała wszystkim przykład ściągając swoje workowate spodnie i podając je Hinny'emu. Pozostali poszli w jej ślady. Neti wstała ostrożnie, zanim zdjęła spodnie. W migającym świetle płomienia lśniła jej gładka skóra. Lesa wzięła dziecko od Thi i podtrzymywała ją, by kobieta nie straciła równowagi. Dziecko powoli przestawało płakać.

Kiedy Hinny miał już w ręku wszystkie pary spodni, powiązał razem nogawki w pełen węzłów sznur. Do jego końca przymocował plecak i zaczął nim wymachiwać jak wahadłem. Kiedy plecak nabrał odpowiedniego rozpędu, puścił go luźno. Plecak upadł kilka kroków na prawo od leja. Hinny przyciągnął go z powrotem. Ciężki plecak wyżłobił płytką koleinę w miękkim gruncie.

- Nie idźcie za mną, dopóki was nie zawołam - zarządził.

Ostrożnie zrobił kilka kroków środkiem koleiny, stawiając starannie jedną stopę przed drugą, po czym powtórzył sztuczkę z plecakiem. Lesa nie mogła wytrzymać okropnego napięcia. Odwróciła się i zaczęła pomagać Thi w uspokajaniu Suzi. Poświęcając całą uwagę dziecku, obydwie kobiety mogły zapanować nad strasznymi obrazami wypełniającymi ich wyobraźnię. Oderwały się od swojego zajęcia, dopiero kiedy Hinny je zawołał. Dotarł do drzew.

8.

Tego ranka, wkrótce po przejściu Autostrady Numer Jeden - krętej, zaniedbanej drogi, która przebiegała wzdłuż całego Wietnamu - rozbili obóz pod kępą karłowatych drzew mangrowych na skraju rozległych bagnisk. Lesa płakała tak długo, aż zmógł ją sen. Płakała, bo czuła się samotna i przestraszona, bo była młoda i traktowano ją jak dziecko; inni może uciekali do wolności, ale jaka wolność czekała na nią - niewolnicę swojego wieku i płci? Płakała z tęsknoty za ciepłem i bezpieczeństwem domu i rodzinnej wioski, płakała dlatego, że miała period i znowu czuła się brudna, a tak bardzo nienawidziła tego uczucia, ale przede wszystkim płakała z powodu Chukkiego.

9.

- Przez to pole minowe spóźniliśmy się o cały dzień - powiedział Hinny następnego wieczoru po posiłku. Zachodzące słońce oświetlało czerwono-żółtym światłem maleńką grupkę siedzącą ze skrzyżowanymi nogami wokół niewielkiego ogniska. Hinny zdecydował się na rozpalenie ogniska, ponieważ znaleźli suche drewno, które nie dymiło.

- Ale to nie ma znaczenia, bo obiecali czekać na nas dwa dni w razie potrzeby.

- Kto obiecał? - zapytał Diem.

Hinny przyjrzał się młodemu mężczyźnie w zadumie, jakby się zastanawiał, ile może wyjawzić.

- Ludzie, z którymi odjedziemy - wyjaśnił enigmatycznie.

- Jak daleko jeszcze musimy iść? - spytała uprzejmie Lesa nie oczekując żadnej odpowiedzi.

- Nie bądź bezczelna - skarciła ją Thi.

Hinny obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Ma prawo wiedzieć - oświadczył, pochylił się przy tym i wziął Lesę za rękę. - Była bardzo dzielna. Około dwudziestu kilometrów. Cztery godziny marszu, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

- Hinny, czy będzie gdzieś rzeka? Koniecznie muszę się umyć.

Hinny wskazał ręką na rozległe bagniska.

- Masz tu pełno wody.

- Tu jest błoto. Chciałabym się umyć w rzece.

Hinny uśmiechnął się nieznacznie na taką zuchwałość.

- Nie będzie rzeki - uciął. - Mamy większe zmartwienia.

Od zachodu dobiegły ich dziwne odgłosy. Krwistoczerwone słońce stało teraz bardzo nisko. Wszyscy przysłonili oczy i starali się odkryć przyczynę owych odgłosów. Lesa dostrzegła ją pierwsza. Skoczyła na równe nogi i podniecona wskazywała na długie smugi rozpościerające się na niebie.

- Ptaki! - wykrzyknęła. - Spójrzcie tylko!

Były to żurawie. Tysiące żurawi. Ciemna chmura poruszająca się w jednakowym rytmie w ciepłym złotawym świetle. Chmura pęczniała, aż wreszcie dało się rozróżnić poszczególne ptaki. Rozpiętość ciemno zakończonych skrzydeł równała się niemal wysokości dorosłego mężczyzny. Wyciągnięte szyje ptaków były długie i smukłe.

Hinny i cała jego grupka wstali i z niewypowiedzianym zdumieniem przyglądali się, jak ptaki z wdziękiem lądują na bagniskach. Niektóre żurawie podeszły do nich na odległość kilku kroków i wydawały się nie zmieszane bliskością obserwujących je ludzi. Zanurzały długie dzioby w płytkiej wodzie w poszukiwaniu ryb.

Żurawie sarus - westchnął Hinny. Odwrócił się do swoich towarzyszy, a oczy błyszczały mu z podniecenia. - Wróciły! To wspaniały znak!

Pozostali podzielali jego podniecenie, i nie bez powodu. W wietnamskiej mitologii żurawie sarus były symbolem powodzenia i nieśmiertelności. Były to dusze niewinnych wysłane z nieba, by wybrać tych, którym przeznaczone jest życie wieczne. Zniknęły z Wietnamu w czasie wojny amerykańskiej i oto teraz powracały. Lesa, podobnie jak Neti, widziała jedynie ich rysunki w świątyniach. Złapała Neti za rękę.

- Neti, podejźmy do nich bliżej!

- Wystraszycie je tylko - ostrzegął Hinny, kiedy obie dziewczyny trzymając się za ręce ostrożnie posuwały się w chlupoczącym błocie w stronę najbliższej grupki tych wspaniałych stworzeń.

Żurawie przestały jeść i obserwowały dziewczynki, ale nie zdradzały żadnych oznak zdenerwowania. Lesa i Neti podeszły na odległość dziesięciu kroków; ptaki przestały wprawdzie się posilać czy muskać dziobami pióra, ale nie zamierzały uciekać i uważnie przyglądały się dziewczynkom. Jeden rozpostarł skrzydła i śmiesznie podskoczył w powietrzu. W ślad za nim poszły dwa inne.

- To ich taniec godowy - szepnęła podniecona Neti.

Lesa rozłożyła ramiona imitując niezdarnie ruchy ptaków. Wiele innych żurawi odpowiedziało na to owym dziwnym rytuałem godowym, który polegał na podskakiwaniu w górę przy wtórze kilku ruchów skrzydeł. Kiedy ptaki opadły na błotnistą wodę, pochyliły głowy i wykonały kilka dalszych podskoków, tak że stopniowo utworzyły krąg wokół dziewczynki.

- Tańcz z nimi, Neti - nalegała. - Tańcz!

Obie dziewczynki wykonywały jednakowe ruchy, rozkładały ramiona, kłaniały się ptakom wyciągając równocześnie nogi z chlupoczącego błota. Coraz więcej żurawi przyłączało się do kręgu, aż wreszcie Lesę i Neti otaczało kilkadziesiąt ptaków połączonych z dziewczynkami w owym dziwnym, choć nie pozbawionym wdzięku tańcu przeżycia. Wzburzona powierzchnia błotnistej wody odbijała ich poruszenia, a nisko stojące słońce rzucało na bagna długie, zniekształcone cienie.

Wszystko to trwało może z pięć minut. Hinny i pozostali przyglądali się w absolutnym milczeniu. Nagle ptaki zmęczyły się tańcem i zabrały się z powrotem do jedzenia. Lesa i Neti trzymając się za ręce wróciły do ogniska z roześmianymi twarzami.

- Widziałeś, Hinny? - wołała Lesa. - Czy widziałeś, jak z nami tańczyły?

- Owszem - odparł Hinny. - Widzieliśmy. - Nie był zupełnie pewien, ani co ma powiedzieć, ani co o tym myśleć. Słyszał ludowe opowieści o ludziach tańczących z żurawiami, ale sam nigdy przedtem tego nie widział. Według odwiecznych legend przeznaczeniem osób, które żurawie wybrały do swojego tańca, była nieśmiertelna wielkość.

10.

Po dwugodzinnym marszu przez błota, od którego szczególnie bolały kostki, weszli do

lasu i dalsza droga stała się jeszcze trudniejsza, wręcz niemożliwa. Zmienna pogoda sprawiła, że nagle ulewne deszcze przemieniły w błoto grunt pod nogami, pijawki spadały z wilgotnych liści prosto na szyje idących. Lesa tęskniła za swoim stożkowatym kapeluszem ze słomy, bo pijawki ześlizgiwały się z jego stromych boków na ziemię. Nie można było się ani na chwilę zatrzymać, bo natychmiast pozwijane i powykręcane pijawki kierowały się wprost na człowieka.

Zarośnięta ścieżka, którą posuwali się przez dżunglę, w pewnym momencie skończyła się, toteż Hinny i Diem musieli na zmianę wycinać przejście nożem. Obydwaj mężczyźni przez dwie godziny zmagali się z bambusowym gąszczem, aż wreszcie obolałe ramiona zmusiły ich do zrobienia dłuższego niż zwykle postoju. Lesa zaproponowała, że zastąpi ich przy wycinaniu przejścia, co ku jej wielkiemu zdziwieniu Hinny przyjął bez sprzeciwu.

Po trzydziestu minutach nieustannego obcinania gałęzi w wyczerpującej wilgotności nocy Lesa nie miała wątpliwości, że zaraz odpadnie jej ręka. Kiedy zatrzymali się na kolejny odpoczynek i usiedli na plecach, ponieważ miejsce to roiło się od mrówek, Hinny niechętnie zgodził się z Diemem, że w ciągu tych wszystkich godzin nie mogli przejść więcej niż dwa kilometry.

- Wezmą inną grupę i odjadą bez nas - mruknął Hinny. Po raz pierwszy wydawał się przygnębiony. Nawet śmierć Chukkiego nie wpłynęła na niego w ten sposób.

- Teraz moja kolej - zaproponowała Neti i wzięła od Lesy nóż, nie czekając nawet na zgodę Hinny'ego. Wysforowała się kilkanaście kroków naprzód w nieprzebyty gąszcz, a nikt z pozostałych nie pofatygował się nawet, żeby pójść za nią. Nie miało to zresztą sensu, tutaj siedzieli wygodnie, a Neti mogli bez trudu dogonić w każdej chwili. Nagle Neti przestała przecinać gałęzie i zawołała ich. W sekundę Hinny znalazł się u jej boku.

Spójrz - wskazała pod nogi. - Grunt staje się piaszczysty.

Dołączyła do nich pozostała część grupy. Hinny wziął garść ziemi i przyglądał jej się badawczo w przymglonym świetle księżyca, przesączającym się przez listowie drzew. Uznał, że Neti ma rację. Wziął od niej nóż i pracował ze zdwojonym wigorem. Gęste podszycie niespodziewanie, zaczęło się przerzedzać. Gęstwina bambusów, gigantyczne powoje i kolczaste krzaki zaczęły ustępować skarłowaciałej trzciniówce, niewiele tylko przewyższającej Hinny'ego. Mógł posuwać się naprzód bez trudu, inni szli za nim, ogarniało ich coraz większe podniecenie. Modlili się jedynie, żeby ta polanka nie okazała się zarośniętym polem uprawnym. Trawa rosła coraz rzadsza i coraz niższa. Hinny spojrzał na sierp księżyca, nie zasłonięty przez dżunglę, doskonale widoczny na jasnym niebie. Grunt stawał się suchy i piaszczysty, zastępując lepka, cuchnącą wilgocią i zgnilizną glebę dżungli,

która oblepiała im buty.

Lesa pierwsza usłyszała dziwny odgłos i krzyknęła ostrzegawczo. Pozostali zamarli w bezruchu, bez słowa. Hinny wsłuchiwał się z uwagą w dziwny huczący dźwięk i uśmiechnął się po chwili. Przywołał wszystkich gestem, by szli za nim. Nagle trawa skończyła się i Hinny stanął na otwartej przestrzeni. Dziwny dźwięk dochodził teraz z większą siłą.

Lesa wstrzymała oddech zdumiona wielką, otwartą płaszczyną piachu i tym, co rozciągało się dalej. Widywała duże połacie wody, kiedy wylewała rzeka Song Yen, ale to było coś zupełnie innego; nawet zdjęcia w „National Geographic” nie oddawały tego zjawiska.

To było morze.

11.

Le Fong było wioską rybacką, która wyrosła wokół naturalnej ławicy piasku, powiększanej w ciągu stuleci przez mieszkańców, aż stała się bezpiecznym falochronem portowym zdolnym przetrzymać najgorsze tajfuny na Morzu Południowochińskim. Pod osłoną przysadzystego kamiennego falochronu około pięćdziesięciu łodzi rybackich, od sampanów po motorowe dżonki, huśtało się i kołysało przy bambusowych molach. Między przystanią a wioską znajdowały się liczne prymitywne doki w dołach wykopanych w piasku. W tych dokach stały wysokodziobe rybackie dżonki w różnych stadiach budowy. W świetle księżyca wyglądały jak oskubane kury. Nad wioską górowała niby leśny bożek wieża wodna wsparta na czterech masywnych kamiennych kolumnach, zbudowana przez Francuzów. Była reliktem kolonialnej przeszłości Wietnamu i podobnie jak Wietnam nosiła ślady bezustannej wojny toczącej się przez pół wieku. Granitowe ściany głównego zbiornika oznaczone były dziurami. Wietminh strzelał w wieżę, bo była francuska; Wietkong dlatego, że uważał ją za placówkę obserwacyjną Amerykanów, Kampuczanie strzelali do niej, po prostu dlatego że istniała, Amerykanie bombardowali ją ze swoich helikopterów, kiedy stali się podejrzliwi, a Australijczycy brali wieżę na cel, kiedy byli pijani. Symbolem siły żywotnej wieży była przyczepiona do niej na podobieństwo talizmanu wiązka anten telewizyjnych i radiowych. To, że wieża przetrwała, należało zaliczyć do takich samych cudów jak przetrwanie Wietnamu.

Thi, Neti, Diem i Lesa przykucnęli w najgłębszym piaskowym doku, oczekując na powrót Hinny'ego. Lesa czuła się dodatkowo podniecona świadomością, że podróż ich dobiegła wreszcie końca. Po raz pierwszy od czasu tańca z żurawiami była szczęśliwa; Neti otaczała ją opiekuńczo ramieniem i Lesa wtuliła głowę w bezpieczną miękkość i ciepło piersi

starszej dziewczynki.

Usłyszeli zbliżające się głosy, ale zachowali milczenie. Wyszli z kryjówki, dopiero kiedy zawołał ich Hinny.

Młodszy z mężczyzn towarzyszących Hinny'emu niósł syczącą latarnię sztormową, która przyciągała miliony komarów. Podniósł ją wysoko, oświetlając ostrym, migocącym światłem zaniepokojone twarze. Mężczyzna miał na imię Tao. Zza paska podartych szortów sterczał rewolwer, pięknie umięśnione ciało pod wpływem wiatru i słońca nabrało koloru orzecha. Przestraszył Lesę, ale nie tak bardzo jak starszy mężczyzna, który uśmiechał się bezzębnie do niej i do Neti. Stary zwrócił się do Hinny'ego, oświadczył, że statek jest przygotowany i że należy mu się teraz ostatnia rata płatności. Najwyraźniej mieszkańcy wybrzeża nie mieli nic przeciwko załatwianiu interesów w obecności kobiet.

Hinny bez słowa rozpiął plecak i zanurzył w nim rękę. Wydobył pudełko po tytoniu Baltic Sobranie i wręczył je starszemu mężczyźnie, który je otworzył i wyjął małą sztabkę. Migotliwy płomień syczącej lampy naftowej spowodował, że w jego oczach odbił się złoty blask złota.

- Dziesięć - powiedział Hinny opędzając się od komarów. - Zgodnie z umową.

- Dziesięć - potwierdził starszy mężczyzna, z uśmiechem kiwając głową. - Mamy radio. Jeśli złoto niedobre. Tao przywiezie was z powrotem.

- Dobrze - potwierdził ponuro Hinny.

- Teraz jesteście w rękach Tao. Prognoza pogody w radio jest dobra. Powodzenia, przyjaciele. - Po tych słowach odwrócił się i oddalił w kierunku wioski.

Grupa uciekinierów wzięła swoje plecaki i posłusznie podążyła śladem Tao w kierunku mola. Tao wszedł na największą rybacką dżonkę. Była to solidnie zbudowana łódź zagłowo-motorowa z szerokim dekiem; w całości mierzyła około dwudziestu metrów. Na pokładzie znajdowała się jedynie kabina sternika, deski pokładu połączone były na zakładki oraz pięknie wykonane fugi i kołki. Najwyraźniej była to łódź rybacka, kabiny mieściły się pod pokładem; dek służył do zarzucania sieci, oprawiania i czyszczenia ryb. Podobnie jak większość dużych łodzi i ta miała przywiązany do pawęży nędzny sampan z rodzajem baldachimu ze słomianej maty. Sampan używany był zazwyczaj jako dodatkowa łódź.

Tao powiesił lampę na haku sterówki i zawołał ich na pokład.

Zapachy ryb, smoły i oleju silnikowego zaatakowały nozdrza Lesy z taką siłą, jakby dżonka była żywym stworzeniem. Ale przytłumiły odór jej ciała, który wprawiał ją w wielkie zakłopotanie. Rozglądała się z zaciekawieniem po nieznanym otoczeniu, wdzięczna, że Neti nie usiłuje wyrwać ręki z jej mocnego uścisku. Lampa wydobywała z mroku cały osprzęt i

takielunek dżonki. Wysoki maszt świerkowy kreślił niepewne koło na tle wygwieżdzonego nieba jak gigantyczne pióro wypisujące niewidoczne wezwanie do duchów nocy. Tao poprowadził ich do luku na rufie. Lesa pochyliła się, by uniknąć zderzenia ze zwiniętym łańskim żaglem, i podążyła za innymi w dół po stromym trapie, do ciasnego, dusznego wnętrza pod pokładem oświetlonego słabym, czerwonym światłem niskowatowych lamp. Do wszechogarniającego zapachu ryb i oleju silnikowego dołączył się teraz odór moczu i potu. Lesa uświadomiła sobie, że z koi położonych po obu stronach kabiny obserwuje ich dwóch chłopców. Jeden był od niej jakieś dwa lata młodszy, a drugi miał chyba szesnaście lat. Starszy chłopiec uśmiechnął się do niej nieśmiało. Tao krzyknął na nich i obydwaj natychmiast wdrapali się po trapie na pokład. Lesa pozazdrościła im czystych koszulek i szortów.

- Tu będziecie spali - wyjaśnił Tao wskazując kabinę. - Rozlokujcie się. Ja z pomocnikami będę spał na dziobie. W śródkręciu jest kuchnia, jeden z pomocników pokaże wam, jak się posługiwać kuchenką. Pompa ręczna pompuje wodę morską, a pompa elektryczna wodę słodką, tylko do picia.

- Kiedy wyruszamy? - zapytał Hinny.

- Natychmiast - odpowiedział szorstko Tao. Wrócił na pokład i wykrzykiwał tam jakieś rozkazy.

Rozległ się tupot bosych stóp. Zabrzęczał rytmicznie kabestan, a nagły ryk starteru, po którym ożył silnik dieslowski, wystraszył Lesę. Nie wiedziała, że łodzie żaglowe mogą mieć silniki. Silnik prychnął kilka razy, po czym podjął rytmiczną pracę; hałas obudził Suzi, która natychmiast zaczęła domagać się jedzenia. Thi usiadła na koi i przystawiła dziecko do piersi, pozostawiając Lesie i Neti rozpakowanie rzeczy i przygotowanie posłań. Niemożliwy upał w kabinie trochę się zmniejszył pod wpływem lekkiej bryzy niosącej zapach oceanu.

12.

Morze Południowochińskie

Budowniczych dżonki bardziej interesowała jej przydatność na morzu niż udogodnienia typu iluminatorów, toteż Lesa dopiero po wyjściu na pokład zorientowała się, że maleńki port został już o milę za nimi. Sampan tańczył we wzburzonych falach za śrubą. Lesa spojrzała w ciemne okna sterówki i zastanawiała się, czy Tao stoi przy sterze. Zdumiała ją szybkość dżonki, oparła się o barierę i spoglądała zafascynowana na spienione wody za kadłubem łodzi. Rozkosznie chłodzący wietrzyk skłonił ją do rozpięcia bluzki, poczuła na gołej skórze

jego cudowną świeżość.

- Halo!

Lesia odwróciła się. Zobaczyła starszego z pomocników, chłopca, który wcześniej się do niej uśmiechnął.

- Halo - odpowiedziała niepewnie.

- Jak ci na imię?

- Lesa. A tobie?

- Lin - głos chłopca brzmiał bardzo uprzejmie i oficjalnie.

- Pracujesz dla Tao? - Lesa nagle poczuła się zażenowana, bo było to bardzo głupie pytanie.

- Jak pies - odpowiedział Lin. Jego głos był ciepły i przyjazny.

Lesia, zawsze bardzo ostrożna w zetknięciu z nieznanymi, uznała, że ten chłopiec budzi jej sympatię.

- Śmierdzisz - powiedział nagle.

Może jednak nie lubiła go tak bardzo.

- Ty też - odparowała. - Śmierdzisz zdechłymi rybami. Dopiero byś śmierdział, gdybyś przeszedł przez to co ja.

- Mogłabyś wziąć prysznic - zaproponował.

- Naprawdę? Pewnie z ciepłą wodą i z mydłem, co?

- Z mydłem tak. Ale bez ciepłej wody.

Lesia była zaintrygowana, nade wszystko chciała być czysta.

- W jaki sposób?

- Pokażę ci.

Lin poprowadził ją na rufę. Światelko nawigacyjne rzuciło ciepły biały odbłask na wyszorowane deski pokładu. Chłopiec rozwinął płócienny wąż i nastawił jego wylot.

- Używamy tego węża do płukania pokładu po czyszczeniu ryb - wyjaśnił. Odkręcił kurek do połowy, a Lesia w zachwycie przyglądała się tryskającej wodzie.

- Skąd płynie woda?

- Z morza, oczywiście. - Żartobliwym gestem skierował w jej stronę wylot węża.

- Poczekaj, aż się rozbiore! - Lesa błyskawicznie zdjęła koszulę i buty i wyskoczyła z nieforemnych spodni. Dotyk Pacyfiku na plecach był prawdziwie cudownym odczuciem. Obracała się naokoło z okrzykami zachwytu, kiedy Lin kierował wąż na jej twarz i włosy. Woda spływała po ciele Lesy, przepływała jak strumyk między jej drobnymi piersiami, zmywając błoto i brud długiej wędrówki. Lin śmiał się teraz razem z nią.

- Skąd masz te ranki na brzuchu?

- Pijawki - Lesa wykrzywiła się na samo wspomnienie.

Lin rzucił jej mały kawałek mydła i Lesa zaczęła gorączkowo mydlić całe ciało.

- Dlaczego się nie pieni?

- To specjalne mydło do morskiej wody. Ale myje dobrze. - W dalszym ciągu polewał jej chude ciało od góry do dołu strumieniami wody, aż wreszcie poprosiła, żeby przestał. Lin zwinął płócienny wąż i pomógł jej się wytrzeć do sucha kawałkiem czyściutkiego, spłowiałego na słońcu płótna żaglowego. Materiał wydzieliał czysty, mocny zapach morza. Nigdy w życiu Lesa nie czuła się tak dobrze. Usiadła na wyciągu do sieci i owinęła wokół siebie kawałek żagla jak sarong.

- Teraz wypiorę twoje rzeczy - oznajmił uroczyście Lin.

W całym tym dniu niespodzianek ta była największa: mężczyzna, no, prawie mężczyzna, gotów wyprać jej rzeczy! Zauważywszy jej zdumienie Lin roześmiał się. Włożył ubranie do nylonowej siatki, przywiązał siatkę do końca sznura i rzucił cały pakiet prosto w spienione fale za rufą.

- Za dziesięć minut wszystko będzie czyściutkie - obiecał. - Zawsze tak robimy pranie.

- Co tu się dzieje?

Lesa odwróciła głowę. Na pokładzie stała Thi, a twarz jej wyrażała wściekłą dezaprobatę.

- Właśnie wzięłam prysznic.

Thi wskazała ręką otwór luku.

- Schodź na dół!

- Ale ja nie jestem zmęczona, Thi, przyzwyczaiałam się spać w dzień.

- Nie dyskutuj ze mną, dziecko. Rób, co ci mówię.

Lesa poczuła się bardzo zażenowana. Wymamrotała w stronę Lina pospieszne „dziękuję” i niezgrabnie zeszła po trapie, owinięta płótnem żaglowym. Rzuciła się na koję i ukryła płonąca twarz w zgrzebnych poduszkach.

- Zachowuje się zupełnie jak matka - usłyszała w ciemności głos Thi.

13.

Lesa obudziła się i przez krótką chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Nie słychać było rytmicznej pracy diesla. Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale przez otwarty luk wpadało jasne światło słoneczne, a mocny zapach smażonej wieprzowiny i kielków

bambusowych uświadomił jej, jak bardzo jest głodna. Ześlizgnęła się z posłania, zawiązała płótno żaglowe wokół talii i musiała uchwycić się koi, żeby utrzymać równowagę, kiedy dżonka zakołysała gwałtownie. Hinny i Diem spali. Thi siedziała na koi trzymając Suzi przy piersi. Nie zwróciła na Lesę najmniejszej uwagi, kiedy dziewczynka przeszła obok niej kierując się w stronę zapachów.

Kuchnia zaskoczyła ją. Była urządzona jak amerykańska kuchnia na zdjęciach w czasopiśmie: wmontowane szafki i stoliki pokryte kolorowym plastykiem. Była tu nawet zamrażarka i lodówka, jasnozielone, w kolorze szczęścia. Neti gotowała coś w woku na błyszczącej kuchence z nierdzewnej stali. Uśmiechnęła się ciepło i gestem zaprosiła Lesę do kuchni.

- Prawie wszystko pochodzi z Hongkongu. Muszą zarabiać masę pieniędzy na tym łowieniu ryb.

- Albo na czym innym. Przypomnij sobie złoto, które dał im Hinny.

- Dobrze spałaś?

Lesa skinęła głową i spojrzała tęsknie na skwierczące na kuchence jedzenie.

Neti uśmiechnęła się przewrotnie.

- Thi powiedziała mi, co się zdarzyło. Jak tylko to usłyszałam, zaraz pobiegłam na pokład i poprosiłam Lina, żeby potraktował mnie podobnie. Potem zrobili to Hinny i Diem. Thi musi teraz czuć się trochę głupio, zwłaszcza że sama umyła się w kuble morskiej wody.

Obie dziewczynki zachichotały konspiracyjnie.

- Neti, gdzie my jedziemy?

Starsza dziewczynka zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Pytałam Lina. Zrobił zakłopotaną minę, ale nie chciał nic powiedzieć. Tao stał w drzwiach sterówki i przyglądał się, jak brałam prysznic. - Neti wyłożyła jedzenie na talerz, oderwała parę patyczków od pękniętej deski i podała Lesie.

Lesa wyszła z talerzem na pokład. Dżonka kierowała się wprost na słońce, które świeciło już od godziny i sprawiało, że temperatura, troszkę niższa w nocy, zaczynała się podnosić. Wielki łaciński żagiel ustawiony był na rei jak spinaker, by mógł uchwycić wilgotny południowo-wschodni monsun wiejący od Pacyfiku. Stabilizujący efekt żagla przeciwdziałał huśtaniu, ale przez pokład przebiegały gnane wiatrem bryzgi. Zanim Lesa usiadła na zwoju liny i zaczęła posiłek, miała zupełnie mokre plecy. Nie przeszkadzało jej to rozpryskiwanie się wody, było nawet przyjemne. Wieprzowina była smaczna. Lesa czuła się dobrze. Podróż, początkowo okropna, przekształciła się w przygodę, której nie mogły zepsuć nawet humory Thi. Na horyzoncie rysowała się jedna tylko niewielka chmurka: dokąd tak

płyną? Co się z nimi stanie?

Na dziobie rozległ się krzyk, to młodszy z pomocników pokazywał coś siedzącemu w sterówce Tao. Lesa powiodła wzrokiem za wyciągniętą ręką chłopca i dostrzegła na horyzoncie statek. Bom zaskrzypiał i pochylił się, kiedy dżonka zmieniła kurs o kilka stopni na wschód, by oddalić się od statku.

Na Lesę padł czyjś cień. Podniosła wzrok. Stał przed nią Lin. Usiadł obok i podał jej starannie złożone rzeczy. Lesa rozpostarła koszulę zachwycona. Koszula nigdy nie była tak czysta i tak idealnie sucha. Wilgoć o tej porze roku uniemożliwiała dokładne wysuszenie czegokolwiek.

- Jak ci się udało tak to wysuszyć?

- Na obudowie silnika. Nawet po wyłączeniu jest jeszcze ciepła przez kilka godzin.

- Od jak dawna pracujesz dla Tao? - spytała Lesa podnosząc się i nakładając cienką bluzkę. Słońce grzało już boleśnie mocno.

- Od dziesiątego roku życia.

Lesa odwinęła płótno żaglowe, które osunęło się na pokład. Już miała podciągać spodnie, kiedy Lin wyciągnął rękę i dotknął niewielkiego trójkąta jej włosów łonowych. Było to bardzo delikatne dotknięcie, zaledwie musnął ją końcami palców.

- Dlaczego to zrobiłeś? - dopytywała się, naciągając świeżo uprane spodnie.

- Bo to takie ładne.

Oboje potraktowali ten gest jako nic nie znaczącą przerwę w rozmowie.

- A teraz ile masz lat? - chciała wiedzieć Lesa.

- Szesnaście. A ty?

- Czternaście. Piętnaście w przyszłym tygodniu.

Lin najwyraźniej nie miał nic przeciwko tym wszystkim pytaniom. Jego rodzice zginęli w czasie najazdu Czerwonych Khmerów. Po wycofaniu się Kampuczan starszyzna wioski zawarła umowę z regularnymi oddziałami armii północnowietnamskiej o zaopatrywaniu stacjonujących w okolicy jednostek w niedrogie ryby. W rzeczywistości wioska przetrwała jedynie dzięki podobnym układom zawieranim z kolejnymi władcami regionu. Na pozór przypadkowe, niemal obojętne pytania Lesy zmierzały w istocie do wyjaśnienia sprawy, która interesowała ją najbardziej.

- Z jaką szybkością płyniemy?

Lin spojrzał na sampan holowany za rufą dżonki.

- Dziesięć węzłów. Może jedenaście - stwierdził. - Mamy pomyślny wiatr.

- To znaczy ile kilometrów na godzinę?

Śmiech Lina zdenerwował Lesę.

- Nie mierzymy odległości w kilometrach - wyjaśnił. - Używamy mil morskich. - Zobaczył, że zmarszczyła brwi z irytacją, więc szybko dodał: - To jest około dwudziestu kilometrów na godzinę.

Lesą obliczyła, jaką odległość pokona dżonka w ciągu dnia. Odpowiedź była dla niej szokiem. Orientowała się po słońcu, że zmienili kurs o kilka stopni na północny wschód. Chociaż bardzo pobieżnie знаła geografię swojego kraju, miała niezłe wyobrażenie o tym, jak wygląda świat; wspaniała pamięć pozwoliła jej zachować dokładny obraz map „National Geographic”. Na północnym wschodzie leżą Chiny. Chiny? Czy to możliwe, żeby tam zmierzali? Czy wujek Hinny mógł zaplanować coś tak bezsensownego?

- Czy wszystkie twoje podróże na tym statku to były wyprawy rybackie?

- Prawie wszystkie.

- Ale nie tym razem?

Lin uśmiechnął się i przejechał palcami grzywę czarnych, potarganych włosów.

- Będziemy łowić w drodze powrotnej.

- W drodze powrotnej skąd?

- Stamtąd, dokąd płyniemy.

- To znaczy skąd?

Chłopiec był najwyraźniej zakłopotany. Rozejrzał się. Lesa zauważyła, że z otwartych drzwi sterówki przygląda im się drugi pomocnik.

- Czy masz zegarek? - Lin wskazał zegarek cyfrowy na swoim nadgarstku.

- Nie, oczywiście, że nie mam.

- Wiesz, jak odczytywać czas na takim?

- Naturalnie.

Lin odpiął zegarek i wręczył dziewczynce.

- Weź ten. Nie martw się, te zegarki są bardzo tanie. Możemy kupić ich mnóstwo od rybaków z Hongkongu.

Lesą zbyt była wstrząśnięta wspaniałością podarunku, by protestować, kiedy Lin zapinał pasek od zegarka na jej ręce.

- Za kuchnią jest schowek z zapasami - powiedział zniżając głos, choć istniało małe prawdopodobieństwo, że ktoś mógł słyszeć ich rozmowę. - Jak miniesz kuchnię, zobaczysz go z lewej strony. Kiedy twoi zasną, przyjdź tam o drugiej w nocy. Teraz muszę coś zrobić.

Wstał i uśmiechnął się do Lesy.

- O drugiej - powtórzył.

14.

Tej nocy Lesa leżała na koi pod przykryciem udając, że śpi. Co chwila przyciskała maleńki guzik, który, jak odkryła, oświetlał cyfry zegarka na kilka sekund. Była niezwykle dumna ze swojej nowej własności, ale cyfry zmieniały się rozpaczliwie wolno. 01:45...01:46... Minął wieki, zanim pokaże się 2:00. Przysłowiowa cierpliwość jej rasy została tym razem wystawiona na próbę.

O 01:50 serce jej zaczęło bić szybciej. Ostrożnie odsunęła przykrycie i nasłuchiwała. Hinny i Thi chrapali cichutko. Suzi oddychała w szybszym rytmie. Koja Lesy sąsiadowała z koją Neti, ale nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy. Do kabiny wpadało przez otwarty luk jedynie kilka zbłąkanych promieni księżyca, kiedy łódź przechylała się odpowiednio na fali.

Modląc się, by Neti i Diem spali, Lesa zamierzała właśnie usiąść na koi, kiedy dostrzegła ruch w miejscu, gdzie znajdowało się posłanie Diema. Zamarła, obserwowała jednak bacznie kabinę spod półprzymkniętych powiek. To Diem się poruszał. Zmierzał w jej stronę. Nie, kierował się w stronę koi Neti, Lesa starała się oddychać regularnie, jak we śnie.

Diem był teraz bliżej, jego koszula świeciła w mroku kabiny jakąś niezmierną bielą. Tak, to Diem poruszał się niby widmo. Teraz znalazł się u wezłowia koi Lesy, wyszeptał coś, odpowiedział mu czyjś szept. To musiała być Neti. Rozległ się odgłos przesuwającego się na materacu ciała i Diem znikł z pola widzenia.

Leska nie potrzebowała nawet słyszeć przytłumionych, poduszką krzyków Neti, żeby wiedzieć, co się dzieje. Dla dziewczynki wychowanej w rodzinnej chacie wietnamskiej, gdzie jedynym przepierzeniem są trzciniowe parawany, podobne odgłosy były czymś normalnym. Tym razem jednak wydały się Lesie dziwnie niepokojące. Przykryła się z głową, żeby nie słyszeć wyraźnie. Jej uczucia nie ograniczały się jedynie do dręczącej zazdrości z powodu zażyłości Neti z Diemem czy do gniewu z powodu ryzyka, że mogliby ją zauważyć, gdyby zdecydowała się wyjść. Nie po raz pierwszy Lesa zastanawiała się, co się odczuwa kochając się z mężczyzną. Kiedy już ucichły przytłumione okrzyki Neti, najwyraźniej nie zanosilo się na to, by Diem zamierzał powrócić na swoją koję. Lesa zamknęła oczy w oczekiwaniu i... zasnęła.

Kiedy znowu otworzyła oczy, był już dzień.

15.

W godzinach przedpołudniowych wiatr wzmógł się i dżonka pod pełnymi żaglami puła

fale ze stałą szybkością dwunastu węzłów, aż wanty skrzypiały od obciążenia. Tao i jego dwaj pomocnicy ustawili główny żagiel jako żagiel rejowy, żeby wykorzystać całą siłę południowo-wschodniego monsunu.

W utrzymywaniu dobrej szybkości dżonki pomagał także ciepły prąd Kuro Shio, który płynął w kierunku północno-wschodnim wzdłuż wybrzeża azjatyckiego, w stronę Japonii, gdzie łączył się z głównym prądem Kuro Shio Pacyfiku.

Właśnie owo połączenie dwóch sił zachęciło wiele tysięcy rodaków Lesy do opuszczenia Wietnamu w swoich sampanach, całkowicie nie przystosowanych do długich morskich podróży - byle dalej od nieszczęścia i nędzy, od grozy najazdów kampuczańskich Czerwonych Khmerów Pol Pota. I te same siły dodane do nieprzewidzianych sztormów, tajfunów i żarłocznych rekinów w Morzu Południowochińskim doprowadziły do zagłady tysięcy. Nigdy nie poznamy prawdziwych liczb. Z dwustu pięćdziesięciu tysięcy osób, które przedsięwzięły podróż, bezpieczną przystań osiągnęło jedynie dwadzieścia pięć tysięcy; proporcja dziesięć do jednego. Chyba nawet lemingom mogłoby się powieść lepiej, ale lemingów nie doprowadzono do granic szaleństwa, w wyniku tortur, gwałtów i masowych egzekucji. Przykładowo, Czerwoni Khmerowie osiągnęli granice szaleństwa, gdy zrzucono na nich ćwierć miliona ton bomb napalmowych. Na początku napalm nie był tak całkowicie skuteczny; palił się wystarczająco intensywnie w temperaturze, w której topi się ołów, ale nie przylegał tak dobrze do ciała - jeśli ofiara zachowała dostateczną przytomność umysłu, mogła zdążyć go zeskrobać, dopóki specjaliści od artylerii nie wpadli na pomysł, by do napalmu dodać polistyren, co uniemożliwia jego zeskrobanie. Wykupili bezdomne psy z miejskich schronisk, ogolili je do gołej skóry i strzelali w nie rozżarzonymi kulkami swego najnowszego wynalazku. Dawka nowego, ulepszanego napalmu wielkości dziesięciocentowej monety przepalała ciało do kości i nie poprzestawała na tym. Uczni byli usatysfakcjonowani, generałowie jednak meldowali, że nieprzyjaciel umieszcza zbiorniki z wodą w pobliżu wiosek, co pozwala ofiarom wskakiwać do wody. Żeby więc uszczęśliwić generałów, uczeni wpadli na pomysł, by dodać fosforu do i tak już śmiertelnej mieszanki. Fosfor zapala się w zetknięciu z wodą wytwarzając przy tym temperaturę, w której topi się stal.

Tragedia polegała na tym, że uczeni - ludzie zasadniczo przyzwoici, którzy mieli domy, rodziny, chodzili w niedzielę do kościoła - widzieli rozwój swojej straszliwej broni w wąskiej perspektywie jako serię kolejnych modyfikacji i ulepszeń urządzenia, wywodzącego się ze średniowiecznego kotła gorącego oleju, który wylewało się na armie nieprzyjaciela oblegające zamek. Nawet podstawowe ingrediencje były niemal identyczne. Kiedy było już za późno, pojęli straszliwą siłę i grozę swojego dzieła, broni, która potrafiła przekształcić

naród buddystów - spokojnych, obdarzonych talentami artystycznymi ludzi o długiej historii pokojowego współistnienia z sąsiadami - w rozszalałych zabójców-psychoopatów.

16.

Po wieczornym posiłku z rodziną Lesa stała na rufie oparta o barierkę, podziwiała wspaniały zachód słońca i niewyczerpaną siłę wiatru, która popychała łódź z taką szybkością. Dziób maleńkiego sampana, który płynął w białych grzywach wody za dżonką, od czasu do czasu unosił się na fali wysoko ponad powierzchnię wody. Diem i Neti stali przy przeciwległej barierze, trzymali się w pół i rozmawiali przyciszonym głosem. Tym razem ich wzajemna bliskość jakoś nie wzbudziła zazdrości Lesy, przysłuchiwała się ich przyciszonej rozmowie bez zbytniego zainteresowania. Thi i Hinny siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie i grali w karty. Tao przez cały dzień wynajdywał zajęcia dla Lina, toteż dopiero teraz chłopiec podszedł do Lesy.

- Dziś w nocy - wyszeptał. - O drugiej.

17.

Zegarek Lesy wskazywał 01:55, kiedy odrzuciła przykrycie. Wydawało się, że wszyscy, nie wyłączając Neti i Diema, śpią głębokim snem, więc chyba nie mogła się powtórzyć scena z poprzedniej nocy.

Lesy ześlizgnęła się z koi, włożyła świeżą bawełnianą bluzkę, która sięgała jej do kolan, i przeszła cicho przez kuchnię do wąskiego przejścia. Lin czekał na nią. Ubrany był jedynie w swoje nienagannie czyste szorty. Otworzył drzwi i zapalił przyćmioną lampkę, która oświetliła niewielką kabinę wypełnioną puszkami lakieru i materiałem na żagle. Lin przyłożył palec do ust i gestem zaprosił Lesę do środka. Zamknął drzwi, rozłożył na podłodze kawałek płótna i usiadł, zostawiając obok siebie miejsce dla Lesy. Usiadła obok niego, opierając się plecami o gródź, podbródek wsparła na kolanach. Przeszła wprost do sedna sprawy.

- Więc dokąd płyniemy? - wyszeptwała.

- Nie mogę powiedzieć.

Lesy rozzłościła się.

- Obiecałeś!

Lin dotknął jej warg, ale Lesy gwałtownym gestem odepchnęła jego rękę.

- Nie powiedziałem, że nie powiem. Powiedziałem, że nie powinienem tego zrobić.

- W porządku. Więc dokąd?

- Do Hongkongu.

Lesia odwróciła się i spojrzała na chłopca.

- Do Hongkongu! Ale to straszne miejsce! Uchodźców pakują do klatek!

- Kto ci to powiedział?

- Słyszałam przez radio.

- To kłamstwo. Oni kłamią na każdy temat. Hongkong to wspaniałe miejsce. Pełno jedzenia. Praca. Domy. Wolność.

- Byłeś tam?

- Nie. Ale spotykamy mnóstwo łodzi rybackich stamtąd. - Lin uśmiechnął się i dotknął zegarka, który jej podarował. - Stąd właśnie miałem ten zegarek. Czasami sprzedajemy im przynętę i trochę handlujemy. - Przez chwilę trzymał rękę na nadgarstku Lesy, po czym przesunął palcami w górę przedramienia.

- Robiliście to już kiedyś? Woziliście uchodźców do Hongkongu?

Lin zawahał się chwilę, zanim odpowiedział:

- Tak.

- Więc jak to możliwe, że nigdy nie byłeś w Hongkongu?

Lin objął ją, czuła ciepło jego ciała przez cienki materiał bluzki. W pierwszym momencie chciała się cofnąć, ale uświadomiła sobie, że ta bliskość sprawia jej przyjemność, więc nie oponowała, nawet wtedy kiedy musnął jej piersi końcami palców.

- No więc? - nalegała mając nadzieję, że lekkie drżenie jej głosu jest niezauważalne.

Lin pocałował ją w kark. Dziwne uczucie przyprawiło ją o drżenie, było to jednak spowodowane bardziej zdumieniem niż przyjemnością. Nie miała nic przeciwko temu. Tak długo, jak długo będzie ją trzymał blisko siebie. Bliskości potrzebowała najbardziej - prostej świadomości, że jest blisko kogoś, że ich ciała się dotykają. To uczucie nie miało żadnego związku z seksem i Lesia zdawała sobie z tego sprawę. Zapłaciła wysoką cenę za to, że nie miała ojca, z którym mogłaby bawić się w dzieciństwie i w ten sposób, w niewinnej atmosferze uświadomić sobie własny seksualizm. Dotyk ręki Lina delikatnie ujmującej jej pierś, jego kciuk uparcie drapiący sutek i wreszcie bliskość Lina, zapach jego potu stanowiły wystarczające zadośćuczynienie za krótkie życie pozbawione przeżyć emocjonalnych. Częścią owego zadośćuczynienia była zgoda na to, by ręka Lina poprowadziła jej dłoń pod pasek jego szortów. Częścią owego zadośćuczynienia było mocne objęcie Lina w poczuciu niepewności, kiedy podniósł jej bluzkę i dotknął bioder tak delikatnie, że końce palców ledwie musnęły skórę. Częścią owego zadośćuczynienia było rozluźnienie wszelkich

zahamowań, kiedy jego zęby przez kilka sekund w sposób tak cudowny zawładnęły muszlą jej ucha, a także brak sprzeciwu, kiedy jego ręka zakreślała niewielkie koła wokół jej pępka. Poślinił palce, zanim jej dotknął. A kiedy to zrobił, ruchy jego palców były początkowo bardzo ostrożne i delikatne, dopóki bezwiedne wysunięcie bioder w kierunku jego ręki nie zasignalizowało mu, że ona pragnie jeszcze większej bliskości.

18.

Leszka spała długo, a obudziły ją odgłosy gwałtownej sprzeczki Hinny'ego i Thi z Tao. Przez kilka chwil, powodowana poczuciem winy, usiłowała zanalizować swoje uczucia w związku z poprzednią nocą, ale musiała zrezygnować. Spodziewała się, że tak istotne wydarzenie odmieni ją w jakiś sposób, toteż zdumiało ją, że czuje się tak normalnie. Opuściła nogi na podłogę i stanęła. Ruchy łodzi zmieniły się, kołysała teraz straszliwie. Ubrała się i wyszła na pokład. Dżonka zamarła w bezruchu, główny żagiel zwijał się luźno wokół bomu. Neti stała w pewnej odległości od Hinny'ego i Thi, którzy kłócili się z Tao.

- Neti, co się dzieje?

Starsza dziewczyna uśmiechnęła się blado.

- Tao nie zawiezie nas dalej. Resztę drogi mamy odbyć sami w sampanie.

- Zapłaciłem ci za całą drogę! - wykrzykiwał Hinny.

Tao pokręcił przecząco głową. Gniew Hinny'ego wydawał się go bawić. Oparł się o wantę, a w rękę trzymał, jakby od niechcenia, kolbę pistoletu.

- Powiedzieliśmy, że wywieziemy was poza granice kraju. I to właśnie zrobiliśmy. Dostajecie sampan z zapasami żywności i wody, dostaniecie mapę i kompas, a także rakiety. Hongkong znajduje się sto pięćdziesiąt mil na północny wschód, macie pomyślny wiatr i pomyślny prąd, na resztę tygodnia zapowiadana jest dobra pogoda. Za trzy dni będziecie na miejscu.

- Nie mamy najmniejszego pojęcia o morzu - zawodziła Thi przyciskając Suzi do piersi.

- Nie jesteśmy rybakami.

Tao wzruszył ramionami.

- Pogoda się utrzyma. Nie będziecie mieli żadnych trudności. A my już dalej nie płyniemy.

- Dlaczego nie zawieziecie nas na miejsce? - dopytywał się Hinny.

- Łódź nie ma rejestracji. Mogą nas zaarrestować, jeśli wpłyniemy na wody terytorialne Hongkongu.

Nie mając rozeznania w prawie międzynarodowym Hinny nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Lesa udała się na poszukiwanie Lina i znalazła go w sterówce. Sztywno trzymał ster.

- Wiedziałaś o tym przez cały czas - oskarżyła.

Chłopiec sprawiał wrażenie zmieszanego.

- Przykro mi, Leso. Nie mogłem ci powiedzieć. On by mnie zabił.

- A ja cię zabiję, jeśli go nie powstrzymasz!

Lin się przestraszył. To nie była Lesa, z którą spędził zeszłą noc. Ta zimna, wściekła dziewczyna miała zdecydowaną postawę, trzymała ręce na biodrach, niewątpliwie aż nadto zdolna wypełnić swoją groźbę. Nie zdawał sobie sprawy, że czuje się zdradzona.

- Nie mogę go powstrzymać - powiedział niepewnie, wyglądając przez okienko, by uniknąć wzroku Lesy.

- Robiliście to już przedtem?

Skinął głową, wyraźnie nieszczęśliwy.

- Z dziesięć razy. Wszyscy byli z wiosek w głębi lądu... małe rodziny, takie jak wasza... z pieniędzmi.

- Co się z nimi stało?

Jego milczenie było wystarczającą odpowiedzią na to pytanie. Kurczowo ścisnął ster. Lesa zauważyła, jak zbiegły mu kłykcie.

- Nie masz pojęcia, prawda?

Pokręcił przecząco głową.

- Prawdopodobnie nic im się nie stało.

- Prawdopodobnie! - Lesa niemal nie plunęła tym słowem.

- Tao zawsze dawał im dobrą łódź i dużo zapasów. On jest przyzwoitym człowiekiem.

- Przyzwoitym! - warknęła Lesa. - Przyzwoitym? Nazywasz przyzwoitym zostawienie rodziny z dzieckiem w łódce na łasce morza?

Lin wytrzymał jej wzrok. Dostrzegł w jej oczach pogardę i poczuł się głęboko zawstydzony.

- Popłynę z wami - powiedział łamiącym się głosem. - Jestem dobrym żeglarzem. Nic wam się nie stanie.

Lesa zamierzała bez wahania odrzucić tę propozycję, lecz w tym właśnie momencie rozplakała się Suzi. Thi starała się wcisnąć jej pierś, ale dziecko odwracało głowę i nie przestawało wrzeszczeć. Hinny i Neti siedzieli przygnębieni na pokładzie, z pochylonymi ramionami, w uniwersalnej pozie wyrażającej orientalny fatalizm. Tao i drugi pomocnik

ładowali na sampan plastikowe, jaskrawe kanistry z wodą do picia. Lesa rozluźniła się i patrzyła na Lina w zamyśleniu, które przystałoby raczej osobie dorosłej niż czternastolatce.

- Czy Tao pozwoli ci odjechać?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- A co na to rodzice?

- Nie żyją. A z nim porozmawiam. Nie sądzę, żeby mu zależało. Dwie osoby wystarczą na tej łodzi, a w ten sposób nie będzie musiał mi płacić. - Słowa Lina odzwierciedlały rozgoryczenie i rozpacz całego pokolenia młodych Wietnamczyków, którzy wyrosli bez miłości i opieki rodziców.

19.

Przez kilka chwil Lin obserwował oddalającą się dżonkę. Kiedy odwrócił głowę, zorientował się, że w zatłoczonym sampanie wszyscy wpatrują się w niego z napięciem. Żenowało go, że miał teraz przewodzić starszym od siebie i że czekali na jego polecenia.

- Od czego zaczynamy? - zapytał Hinny.

Lin nerwowo przełknął ślinę.

- Najpierw musimy sprawdzić przecieki.

Podnieśli najniższe deski. Woda w zęzach poruszała się w obie strony w rytm kołysania maleńkiej łódki.

- Ta woda wlała się tu górą, kiedy łódka była na holu - wyjaśnił Lin. - Nie należy się nią przejmować. To dobra łódź. Sprawdziliśmy ją dokładnie, zanim Tao ją kupił.

Po kolei wyczerpywali wodę wokiem. Po półgodzinie zęzy były wystarczająco suche, nie dało się też zauważyć żadnych poważnych przecieków.

Rybacka łódź Tao zniknęła z pola widzenia. Lin zabrał się do trzymowania sampana, rozkładając równo wzdłuż centralnej linii pojemniki z wodą i zapasy. Prawidłowe trzymowanie miało podstawowe znaczenie. Maleńka łódź przeznaczona była do żeglugi po rzekach, do połowu ryb w ujściach rzek i przewożenia zapasów w portach. Niskie burty, ledwo wystające nad powierzchnię wody, oznaczały konieczność dokładnej koordynacji ruchów. Pomiędzy pojemnikami z wodą urządzono posłanie Suzi i wyszukano najlepsze miejsca do spania dla reszty. Ustalono trzy ośmiogodzinne wachty: Hinny i Thi mieli dyżurować do południa, Diem i Neti w ciągu dnia, a Lin i Lesa w nocy. Kiedy poczyniono już te wszystkie przygotowania, Lin podniósł poszarpany, wypłowiały na słońcu żagiel słomiany i umocnił wanty. Zmniejszyło się kołysanie, które omal nie przyprawiło wszystkich o chorobę

morską, a ślad, jaki zostawiała łódka na wodzie, wprawdzie słaby, bo Lin nie chciał ryzykować i nie popuszczał żagla, świadczył jednak o tym, że łódka posuwa się z jakąś szybkością. Humory się poprawiły. Nawet Thi uśmiechnęła się blado, siedząc pod słomianym baldachimem i karmiąc Suzi.

Lin spędził całą godzinę pokazując swojej załodze, jak operować sterem i jak posługiwać się ręcznym kompasem, w który zaopatrzył ich Tao. Diem okazał się pojętym uczniem, nabył bowiem pewnych umiejętności w posługiwaniu się mapą i kompasem podczas służby w armii północnowietnamskiej, ale najszybciej uczyła się Lesa. Przyswoiła sobie nawet zasady poprawek na dryfowanie i przypyływy z mocno zniszczonej książki Lina o nawigacji.

- Nie bardzo wiem, gdzie jesteśmy - wyjaśnił Lin po południowym posiłku złożonym z konserwowych owoców z puszki. - Ale jesteśmy na prawidłowym kursie. - Wskazał odległą plamę na horyzoncie. - To jest pewnie statek handlowy w drodze do Singapuru lub Hongkongu.

- To wystrzelmy rakietę, żeby zwrócić jego uwagę - zaproponowała Lesa.

- Z tej odległości w dzień nigdy nie zauważą rakiety, a nawet jeśli zobaczą, to zignorują. Nie chcą się narażać władzom w Hongkongu przywożąc uchodźców. Spotkamy znacznie więcej statków, kiedy zbliżymy się do Hongkongu, będziemy się orientować po ich kursie. Naszą jedyną szansą jest wpłynięcie na wody Hongkongu, żeby wyłowić nas okręt wojenny lub patrol przybrzeżny.

20.

Pierwsza noc na sampanie przeszła spokojnie. Lin i Lesa mieli wspólną wachtę, ale niewiele rozmawiali. Nieustannie wypatrywali statków, w obawie, że mogą najechać na łódź nawet jej nie zauważywszy. Lin wyjaśnił, że maleńka drewniana łódka da bardzo słabe odbicie na radarze. Powiedział, że pewnego razu nawet dżonka Tao o mało nie została przepołowiona. Lesa nic nie odpowiedziała, oparła się na nim zastanawiając się, jak by zareagowała, gdyby Lin próbował jej dotknąć teraz, kiedy wszyscy spali. Zanurzyła rękę w wodę, ale Lin wyciągnął ją gwałtownie i wskazał na płetwę grzbietową żarłacza tygrysięgo, który, zaciekawiony, jak cień towarzyszył łódce. Rekin oddalił się, kiedy Lin klapnął otwartą dłonią o powierzchnię wody. Lesa wzięła jego rękę, pocałowała ją i przycisnęła do piersi.

Następnego ranka wiatr trochę się uspokoił, co zachęciło Lina do wydłużenia żagli, by utrzymać szybkość, którą obliczał mniej więcej na trzy węzły.

21.

Lesia obudziła Lina na godzinę przed rozpoczęciem wspólnej wachty. Po ruchach łódki zorientowała się natychmiast, że coś się dzieje. Na niebie nie było księżyca ani gwiazd. Wiatr zmienił kierunek na południowy.

Lin skrócił żagiel, usiadł na rufie przy sterze i obserwował niebo.

Lesia usiadła przy nim i położyła mu rękę na kolanie. Uśmiechnęła się do niego i wtedy zauważyła w jego oczach niepokój. Brał na siebie odpowiedzialność jak mężczyzna. Kochał się z nią jak mężczyzna. Nie mogła uwierzyć, że Lin jest od niej starszy jedynie o dwa lata.

- O co chodzi? - zapytała.

Uśmiechnął się i dotknął jej twarzy.

- Pogoda się zmienia.

- Będzie gorzej?

- Tak.

Lesia doceniła uczciwość jego odpowiedzi. Dorośli powiedzieliby jej, żeby nie wtrącała się w nie swoje sprawy albo że nie ma powodu do zmartwienia. Przytuliła policzek do ramienia Lina. Lin objął ją, poczuła się bezpieczna.

Wydawało się, że gwałtowny podmuch wiatru pojawił się znikąd, bez żadnego ostrzeżenia. Uderzył w maleńką łódkę niespodziewanie, wyrrywając ster z ręki Lina. Puściły dwie wanty i liche żagiel łódki zniknął w ciemności. Maszt przewrócił się na słomiany baldachim, roztrzając pojemniki i garnki, co obudziło wszystkich. Suzi zaczęła płakać. Lin całą siłą pochwycił ster w nadziei, że uda mu się opanować ruchy sampana mimo utraty żagla, jednak porywisty wiatr od dziobu o mało nie obrócił całej łódki. Przez lewą burtę chlusnęła woda.

- Na drugą stronę - krzyknęła Lesia chwytając Neti za pasek i popychając ją na prawą burtę.

Hinny i Diem pochwycili woki i zaczęli nerwowo wylewać wodę; początkowo wychlustywali ją pod wiatr, toteż jedynie zalewali sobie twarze.

- Nie zwracaj na nią uwagi - krzyknęła do Thi, która usiłowała uspokoić Suzi. - Bierz się do wylewania wody!

- Nie będziesz mi rozkazywać, młoda damo! - odkrzyknęła Thi.

- Wylewaj wodę! - krzyknął Lin rzucając się na ster, by utrzymać łódź ustawioną dziobem do wzmagającej się wichury. - To najważniejsze! Wylewaj! - Wiatr i wlewająca się do łodzi woda porwały jego słowa w ciemne czeluście piekła, które rozpętało się wokół

nieszczęsnego sampana.

Lesa wylewała wodę bez wytchnienia, aż wreszcie ręce przestały być częścią jej ciała, jak automaty działały w nie kończącym się cyklu nabierania i wylewania wody, nad którym Lesa utraciła już wszelką kontrolę. Nie miała pojęcia, jak długo trwał huragan - po prostu dalej wylewała wodę, starając się zapomnieć o zewnętrznym świecie, w którym nędzna łódeczka zmagala się z rozszalałymi żywiołami.

Nie wiedziała nawet, kiedy wiatr trochę się uspokoił ani kiedy ustał zupełnie. Zdawała sobie jedynie sprawę z tego, że od czasu do czasu zapada w jakiś nierealny sen, z którego wyrывał ją Lin szturchając w żebra i nawołując do wylewania wody. Wtedy przez kilka minut poruszała rękami i znowu zapadała w sen, bezwładne ciało przetaczało się po poprzecznej ławce jak szmaciana lalka na huśtawce.

22.

Dzień wstał tak szybko jak zwykle w tropikach.

Lisę obudził nie milknący płacz Suzi. Spojrzała w górę na bezchmurne, niebieskie niebo. Morze znów wyglądało normalnie. Z łodzi zniknął słomiany baldachim. Próbowala się poruszyć i zdumiała ją nagle uczucie zimna wokół bioder. Leżała na wznak oparta o pojemnik, ale nogi miała zanurzone w wodzie. Usiadła. Łódź była do połowy zalana wodą. Pod wpływem kołysania puszki, ubrania i wszystko, co mogło pływać, poruszało się w tył i w przód jak miniaturowy pluton podczas parady.

Lesa usiłowała wstać podpierając się rękami, ale nie miała siły. Thi tuliła niemowlę; spojrzała na Lesę z wyrazem takiej nienawiści, że dziewczynka się przestraszyła. Lin spał wsparty na sterze. Hinny i Diem leżeli na dziobie. Neti siedziała oparta o poprzeczną ławkę, w rozpiętej bluzce, z głową pochyloną do przodu, długie pasma czarnych włosów zwijały się na jej piersi jak na surrealistycznym obrazie.

- Przynajmniej - powiedziała cicho Lesa, kiedy Suzi się uspokoiła - ciągle jeszcze jesteśmy razem.

- Na pewno nie zawdzięczamy tego tobie. - W głosie Thi brzmiała prawdziwa nienawiść.

- Robiłam, co mogłam, Thi. Wszyscy robiliśmy.

Hinny poruszył się i usiadł.

- Gdyby nie ty, nigdy nie bylibyśmy w takiej sytuacji! - wypłuła z siebie Thi. - Nie powinnam była słuchać Hinny'ego.

- Przestań, Thi - powiedział Hinny, zupełnie już rozbudzony. - Musimy doprowadzić łódź do porządku.

Thi odwróciła się w stronę męża. Przy tym nagłym ruchu jej pierś wysunęła się z ust Suzi i dziecko znowu zaczęło marudzić.

- Mogliśmy spokojnie zostać we wsi. Jakie to ma znaczenie, co by się z nią stało! Czy nie jest ważniejsze dla ciebie bezpieczeństwo własnej córki? - Wściekłym gestem wepchnęła z powrotem pierś w usta Suzi.

Neti i Diem obudzili się.

- Nie rozumiem - powiedziała spokojnie Lesa. - Co ja takiego zrobiłam? - Zawstydziała się zobaczywszy, że Lin też się obudził.

- Chodzi o to, co zrobiła twoja matka nierządnicą - warknęła Thi.

- Thi, proszę cię - błagał Hinny.

- Nie, nie będę cicho! - burknęła Thi. - Zbyt długo milczałam na temat twojej siostry i zobacz, gdzie nas to doprowadziło! - Kopnęła gniewnie puszkę z dzieciennym jedzeniem, która przytoczyła się pod jej nogi.

- Nie masz prawa tak mówić o mojej matce - powiedziała spokojnie Lesa, z trudem zachowując panowanie nad sobą.

- Mam wszelkie prawa!

- Już czas, żeby jej to powiedzieć - wtrąciła rzeczowo Neti. - Jest wystarczająco dorosła.

- Wystarczająco dorosła, żeby zostać kurwą jak mamusia!

- Moja matka nie była kurwą! - Lesa znalazła dość siły, by stanąć na nogi. Łódź zachybotwała niebezpiecznie.

- Leso, usiądź i posłuchaj - powiedział ostro Hinny.

Lesa nie dawała za wygraną:

- Nie pozwolę, żeby nazywała moją matkę kurwą!

Thi z pogardą przekrzywiła głowę.

- Dlaczego słuchasz tego dziecka? Zachowujesz się tak, jakby była dorosła!

Hinny nie stracił cierpliwości.

- Leso, proszę cię! Usiądź! Usiądź i wysłuchaj tego, co mam do powiedzenia.

Lesa i tak musiała usiąść, żeby nie narazić się na kompromitację przez utratę równowagi. Patrzyła z nienawiścią na Thi, ale się nie odezwała.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć - powiedział żałośnie Hinny.

- Po prostu jej powiedz - wkroczyła brutalnie Thi. - Jeżeli uważa, że jest wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć!

- Słyszałaś, że ludzie nazywali twoją matkę wesołą dziewczynką?

Lesa skinęła głową.

- Czy wiesz, co to znaczy?

- Że lubiła się bawić. Często jeździła do Da Nang.

- Znacznie więcej - powiedział poważnie Hinny. - Niech mi Bóg wybaczy, że muszę to powiedzieć, ale matka była tym, co nazywamy „łatwą dziewczynką”. W czasie wojny amerykańskiej sprzedawała się za pieniądze szeregowcom w Da Nang. Twój ojciec był żołnierzem amerykańskim.

Lesa poczuła, jak krew pulsuje jej w uszach ze wstydu, że wszystkie te rewelacje wyjawia się w obecności Diema i Lina.

- To kłamstwo! - wykrzyknęła wiedząc doskonale, że Hinny nigdy jej nie okłamywał. Nagle z przerażającą wyrazistością przypomniało jej się, jak zabierali matkę żołnierze północnowietnamscy.

Objęła głowę rękami, bardziej po to, by odciąć się od tych strasznych wspomnień, niż zagłuszyć słowa Hinny'ego.

Lin zabrał się do wyczerpywania wody, jakby ta rozmowa nie miała żadnego znaczenia.

- Wtedy mi to nie przeszkadzało - kontynuował Hinny, patrząc na spienioną wodę wokół łodzi. - Była moją siostrą i kochałem ją. Tak jak kocham ciebie, jej jedyne dziecko. Przez jakiś czas wydawało się, że nie ma to znaczenia także dla nikogo innego. A potem Tak Noi został wojskowym gubernatorem i sytuacja uległa zmianie. Wywieziono nie tylko twoją matkę, ale wszystkie dawne „wesołe dziewczynki”. On darzył je wyjątkową nienawiścią. A potem zabrał się do ich dzieci, tych, których ojcami byli amerykańscy żołnierze. Najpierw w najbliższej okolicy Da Nang. - Hinny wskazał głową na Diema. - Diem mnie ostrzegł. Pracował w kwaterze Tak Noi, kiedy ludzie gubernatora przywieźli dwie dziewczynki, pół-Murzynki, pół-Wietnamki, mniej więcej w twoim wieku. Tak Noi sam je zastrzelił. Potem wzięto chłopca z sąsiedniej wioski, był taki wysoki jak ty i miał europejski wygląd. Wiedziałem więc, że to tylko kwestia czasu, zanim przyjdą po ciebie. Wtedy zacząłem wszystko wyprzedawać i robić plany. Zaplanowałem wszystko tak starannie, jak tylko mogłem. Chciałem, żeby się udało... A teraz... a teraz... - Hinny nie mógł dokończyć zdania. Pochylił głowę. - Resztę wiesz - zakonkludował.

Lesa przysunęła się do niego i objęła go ramieniem. Hinny nigdy nie zachęcał jej do fizycznego kontaktu, ale tym razem jej śmiałość została wynagrodzona uściskiem.

- Cóрка kurwy była dla ciebie ważniejsza niż własna! - wrzasnęła Thi.

Lesa straciła panowanie nad sobą. Złapała to, co było pod ręką - kawałek złamanego

masztu - i groźnie machnęła drewnem w stronę Thi. Zaskoczenie sprawiło, że starsza kobieta upadła w tył. Położyła Suzi na deskach i porwała nóż. Przeszywające ryki dziecka mieszały się z ogłuszającym dwutonalnym gwizdkiem syreny okrętowej. Grupa uchodźców obróciła się w stronę dźwięku i w największym zdumieniu spojrzała na kadłub dwudziestometrowego motorowego jachtu, który podpłynął do nich nie zauważony.

23.

Na pokładzie jachtu znajdowało się trzech mężczyzn i dziewczyna. Europejczycy. Opaleni, rozluźnieni, roześmiani. Starszy mężczyzna był niski, łysiejący, najprawdopodobniej dobiegał sześćdziesiątki. Jego towarzysz miał koło trzydziestki, wiatr nawiewał mu na twarz długie czarne włosy. Obaj mężczyźni byli w szortach, rudowłosa dziewczyna miała na sobie jedynie bardzo skąpe majteczki. Mężczyzna przy sterze na pomoście nawigacyjnym był krępy, miał bardzo szeroką klatkę piersiową i grube, słowiańskie rysy twarzy. Jego zręczne ręce naciskały klawisze Morse'a, regulując poruszenia śruby napędowej w przód i wstecz, tak by utrzymać długi, biały kadłub statku w pozycji równoległej do sampana.

Półnaga rudowłosa dziewczyna schwyciła linkę cumowniczą, którą rzucił Diem. Uwieszona na żurawikach w poprzek pawęży małeńka łódź motorowa zasłaniała nazwę jachtu i jego macierzystego portu. Nazwę na dziobie zasłaniała płócienna markiza.

Dziewczyna stanęła na drabince przeznaczonej dla pływaków, przywiązała linkę do szczebla i dała znak ręką, żeby najpierw podać jej Suzi.

- Nie powinniśmy wchodzić na pokład - oświadczył niespodziewanie Lin. - Oni mi się nie podobają.

- Piraci? - zapytał Diem.

- Niewykluczone.

- Nonsens - uciął Hinny. - Chyba dla wszystkich jest oczywiste, że to nie piraci.

- Ukryli nazwę statku i nie mają flagi. Nie powinniśmy wchodzić na pokład.

Zignorowano zastrzeżenia Lina. Suzi została podana rudowłosej, która przekazała ją łysiejącemu mężczyźnie. Po kolei wszyscy wdrapali się na pokład po drabince i stali na rufie wspaniałego jachtu, rozglądając się niepewnie po nie znanym otoczeniu. Ruda znowu wzięła na ręce Suzi i przyciskała ją do piersi. Lesa dostrzegła antenę radarową obracającą się na dachu eleganckiej kabiny na mostku i zastanawiała się, co to jest. Silniki dieslowskie na jałowych obrotach łagodnie wypluwały spaliny do wody. Płócienna markiza w jaskrawych kolorach wsparta na prętach z nierdzewnej stali zapewniała ochronę przed palącym słońcem.

Na pokładzie niedbale rozstawiono wygodne plażowe leżaki i materace. Do burty przyczepiona była katapulta do rzutków z na pół opróżnionym magazynkiem, a na materacu leżały dwa karabiny. Po wypolerowanych deskach pokładu z drewna tekowego przesuwaly się w tę i z powrotem łuski wystrzelonych naboii. Ten świat wykraczał poza doświadczenie i możliwości zrozumienia obdartej grupki uchodźców.

Przywódca czwórki białych zszedł z mostka i oglądał swoich nowych gości. Był to najpotężniej zbudowany mężczyzna, jakiego Lesa kiedykolwiek widziała. Jego muskularna budowa sprawiała, że wydawał się niski, ale w istocie przewyższał swoich towarzyszy o głowę. Jego włosy i brwi miały wspaniałą złoty kolor, który wydał się Lesie przerażający i fascynujący zarazem, a twarde, nieprzyjazne oczy miały kolor nieba.

Twarz łysiejącego mężczyzny błyszcziała od potu, a w oczach malowały się ogniki oczekiwania. Długowłosego mężczyzna był smukły i miał delikatne, arystokratyczne rysy. Podniósł karabin i trzymał go na ramieniu jakby od niechcenia.

Thi zrobiła krok w kierunku rudej, która trzymała Suzi, i poprosiła o oddanie dziecka. Dziewczyna wyglądała na zdziwioną; powiedziała coś w obcym języku - w uszach Lesy nie brzmiał jak angielski. Thi wyciągnęła rękę błagalnym gestem, żeby jej intencje nie budziły żadnych wątpliwości, ale dziewczyna jedynie się uśmiechnęła i przycisnęła Suzi mocniej do gołej piersi.

- Spróbuj mówić do nich po angielsku - nalegała szeptem Neti na Diema.

Diem otworzył usta zamierzając coś powiedzieć, ale przerwało mu wściekłe warknięcie rosłego mężczyzny pod adresem Thi. Diem wyczuł, że bez względu na to, kim są ci ludzie, najlepiej będzie nie odzywać się bez pytania.

- Niedobrze - szepnął Lin do Lesy.

- Z pewnością nie zrobią nam nic złego. Czegóż mogliby od nas chcieć? Ci ludzie mają wszystko.

Przywódca odezwał się ostro do rudej. Odpowiedziała mu gniewnie i zniknęła w kabinie zabierając z sobą Suzi. Thi wydała krótki okrzyk i rzuciła się za nią, ale przywódca brutalnie uderzył ją w brzuch. Z bólu zgięła się wpół i upadła na pokład. Hinny z okrzykiem wściekłości rzucił się na przywódcę. Pięść Europejczyka z pełną siłą wylądowała na jego twarzy. Rosły mężczyzna pochwycił go, zanim Hinny zdążył upaść, i cisnął nim o burte. Hinny z trudem podnosił się na nogi. Przywódca skinął na długowłosego, który trzymał strzelbę. Rozległy się dwa strzały, a siła wystrzałów przerzuciła smukłe ciało Hinny'ego za burte; obracając się w locie, spadło do wody. Grubas porwał drugi karabin i rzucił się do burty. Celował starannie, po czym wystrzelił trzy razy. Spojrzał na rosłego mężczyznę, który

uśmiechnął się z aprobatą.

Thi wydała długi, przerażający okrzyk najstraszliwszej rozpaczycy i próbowała podbiec do burty, ale olbrzym złapał ją za włosy zebrane w kok na tyle głowy. Dzika wściekłość i przerażenie ogarnęły nieprzytomną niemal kobietę. Rzuciła się na niego z pięściami i kolanami, ale przywódca bez trudu trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki. Szarpnięciem rozdarł jej bluzkę. Zauważył strużkę mleka płynącą z piersi, skrzywił się z obrzydzenia, zanim poderwał Thi i uniósł w obu rękach wysoko w górę. Bicepsy i mięśnie łydek napinały mu się pod skórą jak żywe węże, kiedy zmagął się z dzikim oporem nieszczęsnej kobiety. Wykonał rodzaj tańca, obracając Thi w powietrzu. Pojawiła się ruda dziewczyna, bez Suzi, i dołączyła do aplauzu, jaki zgotowali dwaj akolici swemu przywódcy w zachwycie dla jego wyczynów. Na bis ugiął kolana jak lekkoatleta szykujący się do startu i przebiegł kilka kroków wzdłuż burty. Głośne chrząknięcie i obrót; Thi wrzasnęła, kiedy wyleciała wysokim łukiem w górę, rozpaczliwie wymachiwała rękami i nogami. Wystrzeliły karabiny, ale obydwaj mężczyźni chybili. Ciało uderzyło o powierzchnię wody i znikło. Mężczyźni szybko nabili karabiny i wycelowali. Thi wyłoniła się na powierzchnię i zaczęła płynąć. Ponownie rozległy się strzały. Głowa Thi podskoczyła, a członki zamarły w bezruchu. Rudowłosa podbiegła podekscytowana do burty i upierała się, żeby wziąć karabin od mężczyzny z długimi włosami. Pomógł jej trzymać go nieruchomo, otaczając ją ramieniem, podczas gdy dziewczyna dwukrotnie nacisnęła spust. Dwie serie wyrwały srebrne smugi na wodzie w pobliżu Thi. Mężczyzna dawał rudowłosej jakieś rady, wydawało się, że namawia ją, by się rozluźniła. Trzecią serią przepołowiła czaszkę Thi, mózg rozprysnął się w morzu. Dziewczyna z okrzykiem zachwytu oddała strzelbę uśmiechniętemu instruktorowi i z podnieceniem klasnęła w dłonie.

Wszystko to stało się tak szybko. Neti i Lesa tuliły się do siebie zbyt wstrząśnięte, by płakać czy rozmawiać. Diem zamknął oczy, widocznie pogodzony ze wszystkim. Lin wykrzyknął coś do przywódcy i wolno, ale zdecydowanie zmierzał w jego stronę. Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech na myśl o możliwości kontynuowania sportowych rozrywek, stał z rękami na biodrach, kiedy Lin się do niego zbliżał. Chłopiec sięgał mu ledwie do piersi, ale wycelował akuratnie: ślina trafiła olbrzymowi prosto w twarz. Szeroki uśmiech jakby zamarł na jego ustach. Przywódca nie próbował nawet wytrzeć śliny spływającej po jego opalonej twarzy. Powiedział coś do dwu pozostałych, którzy z zapalem pochwycili Lina i przewiesili przez balustradę burty. Kiedy już starannie związali mu ręce i nogi, podeszła ruda i nożem rozcięła mu szorty. Zachichotała i zaczęła macać Lina. Podrzucała żartobliwie mosznę, ścisnęła z całej siły i sprawiała wrażenie zawiedzionej, że chłopiec nie wydał żadnego

dźwięku. Przywódca spuścił szorty i dał znak dziewczynie, żeby się nim zajęła, co zrobiła z chęcią, pomagając sobie od czasu do czasu ustami.

Lesa próbowała odciąć się od tych straszliwych wydarzeń, starając się jakby odwrócić rzeczywistość i przenieść owe wydarzenia do abstrakcyjnego świata, którego części nie stanowiła, ale wysiłki te udaremnił fakt, że przeciągnięto ją przez cały pokład i zmuszono do ukłęknięcia o kilka centymetrów od obnażonych pośladków Lina. Jakaś ręka obróciła jej głowę. W przeblasku na pół oszalałej świadomości wydawało jej się drobnym pocieszeniem to, że nie mogli jej zmusić do otwarcia oczu. Ale słyszała wszystko: śmiech dziewczyny, przyspieszony oddech i stękania olbrzyma, kwilącego z bólu Lina. Nie widziała, jak olbrzym dokończył niecnego czynu ani jak łysy próbował bez skutku pójść w ślady przywódcy. Słyszała radosny aplauz pozostałych, ale nie widziała lufy karabinu, która miała dokonać tego, co nie udało się łysemu. Ogłuszył ją grzmot tuż nad głową, gryzące kordytowe opary nie pozwoliły jej wykorzystać czasowej utraty jednego ze zmysłów, by łatwiej oddzielić się od rzeczywistości. Oczy, choć zamknięte, zaszły łzami, musiała mrugnąć. Zobaczyła, jak martwe ciało Lina odcinają od balustrady i wrzucają do morza. Zobaczyła także wilgoć na wewnętrznej stronie ud rudej. Lesa modliła się całą duszą do swojego Boga, by za jego sprawą jeden z mężczyzn schwycił karabin i skrócił jej męki.

Na szczęście nagle zapomnieli o niej. Lesa myślała, że koszmar się skończył, aż usłyszała Neti krzyczącą z przerażenia i bólu. Musiała teraz otworzyć oczy. Był to z jej strony akt lojalności, jakby przyglądając się niewypowiedzianemu upodleniu starszej dziewczyny, dzieliła z nią po części tortury i ból.

Dwaj mężczyźni przytrzymywali Neti na materacu do opalania, podczas gdy ten z potężnym torsem gwałcił ją. Ruda klęczała w pobliżu jak pomyłony sekundant na meczu zapaśniczym. Wybijała ręką rytm i wydawała dzikie okrzyki zachęty.

Lesa zobaczyła Diema stojącego z boku. Przyglądał się wszystkiemu z chłodnym brakiem zainteresowania, tak przynajmniej to odbierała, dopóki nie zdała sobie sprawy, że Diem trzyma rękę wewnątrz szortów i porusza nią rytmicznie. Niespodziewanie Lesa znalazła się w zasięgu rzeczywistości. W ciągu sekundy zniknął nierealny świat zrodzony ze zgrozy, widziała teraz wszystko ze straszliwą jasnością, uświadomiła sobie, co musi zrobić: musi dokładnie zapamiętać wszystko, co wiąże się z tymi potworami, ich przywódcę, rudą, ten jacht. A zwłaszcza jacht. Na pewno nie ma wiele takich statków. Każdy szczegół musi zapaść w jej fotograficzną pamięć. Kształt statku, plan pokładu, ustawienie mostka. Nawet wykończenie. Nic nie umknęło jej uwagi. Przyjdzie dzień, wiedziała to, kiedy zemści się krwawo za tę straszliwą zbrodnię. Ale przede wszystkim musi ocaleć.

24.

Trzej mężczyźni skończywszy z Neti stali nad nią, śmiejąc się i żartując z rudą, nie zwracając uwagi na jęki bólu i przerażenia.

Skierowali teraz uwagę na Lesę i systematycznie rozebrali ją do naga. Lesa nie starała się osłonić, wpatrywała się natomiast bez zmrużenia powiek po kolei w każdą z otaczających ją twarzy. Olbrzym bawił się jej piersiami. Odchylił głowę do tyłu i ze śmiechem porównywał je do pełniejszych, bardziej dojrzałych piersi rudej. Lesa po raz pierwszy zobaczyła z bliska oczy dziewczyny. Nawet pod osłoną przeciwsłonecznej markizy źrenice były bardzo małe - miniaturowe punkciki nieprzeniknionej czerni nie dające żadnego wglądu w ponurą duszę tej istoty.

Popchnięto Lesę na materac obok Neti, która zwinęła się w kłębek i żałośnie szlochała. Lesa poczuła, że rozsuwają jej nogi, ale nie stawiała oporu. Spodziewała się bólu. Zamiast tego poczuła jakieś zadziwiające sensacje, zrozumiała po chwili, że zawdzięcza to ustom rudej.

Przywódca chrząknął ze zniecierpliwieniem i odepchnął kobietę na bok. Tym razem Lesę zabolalo. Twarz mężczyzny wisiała kilka centymetrów nad jej twarzą. Czowała alkohol w jego oddechu. Chciała zamknąć oczy, ale zmusiła się, by tego nie robić; należało zanotować tę twarz w pamięci z ostrością i dokładnością doskonałej odbitki fotograficznej. Olbrzym jęknął i nadeszła kolej na pozostałych mężczyzn. Długowłosy miał pewne trudności, ale pomogła mu ruda swoimi zawsze chętnymi ustami. Gruby sapał i stękał, a pot z jego twarzy spływał na Lesę. Wreszcie zrezygnował i wziął się do zgniatania małych piersi Lesy. Ta innowacja zyskała mu aplauz i uznanie pozostałych. Kiedy wytarł się puklem jej włosów i wstał, Lesa zarejestrowała w pamięci dokładne portrety całej czwórki. Usiłowała się podnieść, pragnąc pokazać tym kreaturom, że nie można złamać jej ducha, czekała ją jednak jeszcze jedna tortura. Stał nad nią Diem z twarzą zarumienioną z podniecenia.

Tym razem nie musiała trzymać oczu otwartych. Nagle coś się poruszyło. Diem skoczył na równe nogi, rozległ się krzyk mężczyzny. Lesa otworzyła oczy akurat w porę, by zobaczyć, jak Neti skacze za burtę. Wszyscy, nie wyłączając Diema, rzucili się do burty. Długowłosy porwał karabin i zaczął strzelać. Przywódca zaklął, wyszarpnął mu strzelbę i puścił kilka serii w wodę.

Lesa z trudem podniosła się i pokuśtykała do przeciwległej burty. Dostrzegła to ruda i krzyknęła. Lesa rzuciła się do wody, udało jej się przekształcić ten pospieszny skok w niezdarnego nurka, tak że znalazła się głęboko pod powierzchnią. Słyszała serię strzałów.

Dwie kolejne kule uderzyły w wodę tuż przed nią, kiedy wynurzyła się na powierzchnię. Jedna z nich, utraciwszy już energię, otarła się o nogę Lesy, zanim zatonała. Lesa wciągnęła pospiesznie powietrze i dała nurka możliwie najgłębiej, i właśnie wtedy czwarty strzał rozdarł jej ramię.

Pomimo nagłego, niewypowiedzianego bólu Lesa myślała szybko i jasno. Odpływanie od wielkiego jachtu oznaczało pewną śmierć. Rzecz paradoksalna, ale jeśli w ogóle można było mówić o bezpieczeństwie, to tylko w sąsiedztwie statku. Otworzyła oczy pod wodą i zobaczyła czarny, wydłużony kadłub jachtu na tle błyszczącego światła i mniejszy kształt sampana ciągle przywiązane do pawęży. Poruszając nogami z dodatkową energią, żeby w ten sposób zrekompensować bezużyteczność lewej ręki, Lesa nadludzkim wysiłkiem, zrodzonym ze strachu, wypłynęła na powierzchnię pod wystającą pawężą statku. Odgłosy rur wydechowych silnika na jałowym biegu zagłuszyły jej oddech, kiedy z trudem łapała powietrze. Dokładnie nad głową znajdował się dający wspaniałą osłonę kadłub łodzi motorowej zawieszony na żurawikach, a obok na pół zalany wodą sampan. Lesa zdrową ręką przytrzymała się drabinki dla pływaków i po chwili zaczęła oddychać normalnie.

Rozlegały się jeszcze sporadyczne wystrzały, a potem głos przywódcy wykrzykującego coś do swoich ludzi. Ktoś schodził po drabince; Lesa przyłgnęła do pawęży. Na dolnych szczeblach z nierdzewnej stali ukazała się noga kobiety. W pierwszej chwili Lesa pomyślała, że ruda ją zauważyła, ale kobieta wyciągnęła rękę, odwiązała sampan i wróciła na jacht. Kilka mechanicznych zgrzytów i rury wydechowe wzmogły tempo pracy. Silna, niespodziewana fala uderzyła o nogi Lesy i sprawiła, że drabinka wymknęła jej się z ręki. Lesa otarła się o sampan, dryfujący teraz swobodnie. Wyciągnęła zdrowe ramię i udało jej się chwycić lewą burtę sampana. Silniki dieslowskie na jachcie ruszyły pełną parą, woda wokół pawęży okryła się białą pianą. Obrót śrub popchnął rufę głębiej i wielki jacht nagle zaczął się oddalać; w miarę nabierania szybkości dziób wynurzał się z wody. Zniknął pod falą i pojawił się ponownie przechylony w lewo przy skręcie.

Lesa obróciła ciało w wodzie w taki sposób, by sampan osłaniał ją od strony jachtu. Trzymając się w pobliżu dzioba, mogła obserwować jacht przez na pół zerwaną burtę. Znajdował się już w odległości około stu metrów. Odgłos silników powoli zamierał w oddali. Przywódca stał na mostku przy sterze, dwaj mężczyźni pojawili się na rufie, podnieśli karabiny na wysokość ramienia. Niepomna na rozdzierający ból, Lesa wciągnęła powietrze i dała nurka, akurat w momencie kiedy pierwsza salwa otarła się o sampan i wylądowała w wodzie. Otworzyła oczy i dostrzegła białe smugi, jakie pozostawiały kule, zanim wyczerpała się ich energia. Lesa czuła, że za chwilę pękną jej płuca, odpłynęła kilka metrów od sampana i

wynurzyła się na powierzchnię. Mężczyźni z jachtu ciągle jeszcze strzelali, kula przeleciała tuż koło jej głowy z przerażającym świstem. Lesa zdała sobie sprawę, że nie zauważyli jej, a strzelali jedynie z zamiarem zatopienia sampana. Strzały ucichły. Lesa odплыnęła jeszcze kawałek dalej, akurat w chwili gdy silniki na jachcie ruszyły pełną parą. Odплыwali. Z trudem podплыnęła z powrotem do sampana, schwyciła za burtę i usiłowała przetrzucić ciało do środka. Pragnęła znaleźć się w możliwie najwyższym punkcie, żeby dokładniej zobaczyć jacht i zakodować go w pamięci.

Ryk silników zamiast się oddalać, stał się głośniejszy. Fala wyniosła Lesę do góry, zobaczyła zbliżający się jacht, którego kształtny dziób najwyraźniej kierował się w stronę sampana z zamiarem przepołowienia łódki. Jednakże wzmagający się ból w ramieniu nie pozwalał jej teraz jasno myśleć i odpowiednio reagować. Zanim zdążyła zdecydować o swoim następnym ruchu, jacht był już w odległości dwudziestu metrów i kierował się prosto na nią. Lesę ogarnęło przerażenie. Za późno było na ucieczkę, silniki jachtu ryczały jak startujący samolot, a gwałtownie powiększający się dziób, ostry jak nóż, przecinał sztywne płaty białej wody niczym atakujący wściekły pies z kością w zębach.

Ocaliła Lesę właśnie fala dziobowa. Wielka masa wody najpierw wciągnęła ją pod spód, a potem odrzuciła na bok jak szmacianą lalkę, zanim jeszcze zdążyła nabrać powietrza. Lesa wyплыnęła na powierzchnię krztusząc się i kaszląc w białej spienionej wodzie. Cudem było to, że ocalała, ale jeszcze większym cudem było ocalenie sampana. Choć na pół wypełniony wodą, dzięki swojej lekkości, drewnianej konstrukcji i dobremu zaprojektowaniu sampan ciągle utrzymywał się na powierzchni. Jacht wykonał półobrót, jakby zamierzał zawrócić, ale mężczyzna przy sterze najwyraźniej zmienił zdanie. Szybki jacht wyprostował kurs i ukosem oddalał się od na pół zatopionej łódki.

Lesą zmobilizowała resztki sił i zaczęła płynąć w kierunku sampana. Powierzchnię wody pomiędzy nią a łódką przecięła płetwa rekina, tworząc złowieszcze „v” na tle fali. Zwierzę najwyraźniej poczuło krew płynącą z ramienia Lesy i postanowiło zbadać sytuację. Jak wszystkie inne rekiny także i przedstawiciel tego gatunku odznaczał się bardzo krótkim wzrokiem, toteż przed ostatecznym zbliżeniem się do ewentualnego posiłku zachowywał daleko idącą ostrożność. Do tej pory trzymał się z daleka, zaniepokojony odgłosem silników jachtu.

Na widok rekina żołądek Lesy ścisnęło przerażenie. Zawzięta wola przeżycia opuściła ją na chwilę, by powrócić z nową siłą. Rekin krążył w odległości około dziesięciu metrów, badając sytuację. Lesa starała się ustawiać zawsze przodem do groźnej płetwy. W czystej wodzie widziała wyraźnie ciemny, opływowy kształt ciała, które zdobiła ta płetwa. Nagle

rekin zdecydowanie ruszył w jej stronę.

Lesa nie mogła wiedzieć, że ruch, jaki teraz wykonała, okazał się skuteczny w przypadku licznych nurków, pływaków i rozbitków, którzy znaleźli się oko w oko z głodnym czy zbyt ciekawym rekinem. Zrobiła to wiedzona rozpaczą, ponieważ nic innego nie przychodziło jej do głowy: schowała głowę pod wodę i wrzasnęła.

Przestraszony rekin wypuścił chmurę ekskrementów i szybko odpłynął. W zmaconej wodzie Lesa dostrzegła zimne oko gada. Fala wywołana ruchem ogona obróciła ją dokoła. Zwierzę zniknęło. Lesa z najwyższym wysiłkiem dopłynęła do wątpliwego schronienia i zdrową ręką wciągnęła się przez burtę na pokład sampana. Pełna obaw, że nagle poczuje olbrzymie szczęki zamykające się na jej tułowiu, podkuiliła nogi i leżała w wodzie, którą wypełnione były zęzy, szlochając z bólu. Oddalający się odgłos silników jachtu przypominał, że nie może pozwolić swemu umęczonemu ciału nawet na kilka sekund odpoczynku. Podniosła się i opierając się o poprzeczną ławeczkę sampana, starała się zachować równowagę w pozycji stojącej.

Motorowy jacht znajdował się w odległości około pół kilometra. Lesa przyglądała mu się z napięciem, starając się zapamiętać każdy szczegół; jeszcze przez kilka sekund wpatrywała się w ten punkt na horyzoncie, w którym jacht zniknął w lekkiej mgiele. Jej uczuć nie dało się już określić jako skomplikowanych emocji przestraszonej czternastolatki. Zlały się w jedno przemożne uczucie, które płonęło w jej wnętrzu z niezwykłą siłą i jasnością.

Nauczyła się nienawidzić.

25.

Ból w ramieniu był tak silny, że obudził Lesę z bardzo głębokiego snu. Otworzyła oczy i patrzyła na przemykające po niebie szare chmury. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Dziwnym trafem zegarek, który podarował jej Lin, ciągle jeszcze chodził. Była 15:20, a więc przespała większość dnia. Chmury na niebie były po części dobrodziejstwem: odczuwała wprawdzie zimno, ale nie groziło jej na domiar wszystkiego poparzenie od słońca. Usiadła w wodzie, która przelewała się po dnie sampana. Ramię bolało straszliwie, wszystkie stawy również miała obolałe; dopiero teraz Lesa uświadomiła sobie, jak bardzo jej zimno, jak rozpaczliwie chce jej się jeść i pić.

Należało ocenić położenie. Najpierw ramię. Na szczęście krwawienie ustało. Wyczuła małeńki otwór pośrodku łopatki, ale w miejscu, którędy wyszła kula, ciało było poszarpane, rozpalone, zaskorupiałe. Miała nadzieję, że długie przebywanie w słonej wodzie uchroni ją od

zakażenia. Czy rzeczywiście miała taką nadzieję? Nagle poczuła nienawiść do swojego ciała. Stało się czymś niewypowiedziane obrzydliwym, ponieważ było obiektem pożądania tamtych potworów i środkiem zaspokojenia ich perwersyjnych upodobań. Wszystko, co mogło budzić ich zainteresowanie, musiało być obrzydliwe i nieprzyzwoite. Toteż okrycie ciała stało się nagle jej obsesją.

Na sampanie ocalał jedynie plecak Neti, którego paski zaczepiły się o złamany maszt. Lesa usiłowała odpiąć sprzączki obydwoma rękami, ale ból stał się zbyt intensywny. Uporanie się z zamokłymi paskami i zapięciami zajęło jej dobre dziesięć minut. Oblała się łzami na widok rzeczy należących do ukochanej Neti: jej czarne spodnie, kilka bluzek i parę żalonych artykułów „luksusowych” - kostka mydła starannie zawinięta w plastikowy woreczek, szczotka i grzebień. Znalazła też kanisterek pełen wody. Oparła się pokusie, by napić się do syta. wypila trzy małe łyki i starała się zatkać kanister jak najszczelniej, trzymając go między kolanami.

Kiedy rzeczy wyschły na wietrze, ubrała się z trudem. Poza tym, że było jej ciepło, czuła się lepiej zakrywszy nagość. Również świadomość, że ubrania te należały do Neti, przyniosła jakąś pociechę.

Kolejnym problemem była woda w sampanie. W razie pogorszenia pogody maleńka łódka na pewno zatoni. Lesa początkowo próbowała wyczerpywać wodę obydwoma rękami, ale okazało się to niemożliwe. Zastanowiła się, co robić, ponownie przejrzała mizerną zawartość plecaka Neti i uznała, że może wypompowywać wodę jedną ręką, używając plastikowej torebki. Po krótkiej chwili ruchy jej nabrały miarowości. Po pierwszych dwóch godzinach pracy wydawało się, że ilość wody przelewającej się po dnie nie uległa zmianie, może poszła gdzieś deska i wylewanie jest czystą stratą bezcennej energii. Przez następną godzinę Lesa uparcie wylewała wodę, ani na chwilę nie otwierając oczu. Kiedy je otworzyła, było już ciemno, ale poziom wody w sampanie zdecydowanie się obniżył. Przedrzemała godzinkę, opierając głowę na plecaku Neti, i ponownie zabrała się do wylewania wody.

Zegarek Lina wskazywał północ, kiedy dno sampana wreszcie było w miarę suche. Zdrowe ramię bolało teraz Lesę tak samo jak ranne. Sampan unosił się wyżej, przez co stał się bardziej podatny na wpływ wiatru. Silniejsze porywy rzucały go chwilami na grzywy długich, leniwych fal.

Jeszcze pięć torebek wody, postanowiła Lesa. Nabrać, podnieść, wylać... nabrać, podnieść, wylać... nabrać, podnieść i...

Plastikowy woreczek pękł z cichym trzaskiem. Lesa zorientowała się ze zgrozą, że rozdarła go o paznokieć.

Ta katastrofa wyzwoliła opóźnioną reakcję szoku, z którą walczyła przez cały dzień. Przerażona mała dziewczynka po raz ostatni w życiu Lesy stała się panią sytuacji.

Lesy zalała się łzami.

26.

Słyszała śpiew. Muzykę taneczną. Ludzie śmiali się i pokrzykiwali. Podniosła głowę i wpatrywała się oszołomiona w orgię świateł.

Był to płaskodenny statek pasażerski, który przypominał jej zdjęcia statków żeglugi śródlądowej na Missisipi. Na dolnym pokładzie widziała kobiety w pięknych wieczorowych sukniach, tańczące z partnerami w białych garniturach z tropiku. Na jednym końcu parkietu znajdował się długi, dobrze zaopatrzony bufet, a na drugim niewielka orkiestra. Mężczyzna w smokingu śpiewał do mikrofonu. Całe to zjawisko oddalone było zaledwie o sto metrów i mijało Lesę niczym wybrylantowana księżna wdowa.

Lesy krzyknęła. Wiatr wtłoczył jej krzyk z powrotem w usta. Stała na nogi tak szybko, jak pozwalało na to kołysanie niestabilnej łódki, i trzymając w zdrowej ręce jedną z bluzek Neti rozpaczliwie nią wymachiwała.

Nikt jej nie zauważył.

Stała na ławeczce. Statek przepływał obok niby zjawa z barwnego surrealistycznego snu.

Ponowiła krzyki.

Tancerze nie przerywali tańca, piosenkarz nie przestawał śpiewać, orkiestra dalej grała. Muzyka cichła. Fale wywołane przez płaskodenny statek dosięgnęły sampana i huśtały nim drwiąco. Lesy przestała krzyczeć. Patrząc na oddalające się światła, osunęła się w rozpacz na kolana. Nocna mgła stopniowo wchłonęła statek jak widmo powracające do swej tajnej kryjówki, ale długo jeszcze dochodziły do uszu Lesy dźwięki muzyki. A potem zapanowała cisza przerywana jedynie podmuchami wiatru i sykiem wody przelewającej się od czasu do czasu przez dziób sampana.

Zimno, ból, głód, niewygodność uosabiały tę dziką, wygłodniałą istotę, która wyczekiwała na odpowiedni moment, by ostatecznie rozprawić się z Lesą.

27.

Następny dzień był zły.

Wzmógł się południowy wiatr. Lesa leżała na dnie sampana drząc z wyczerpania, bo mnóstwo energii pochłonęło opuszczenie spodni, usadowienie się na lewej burcie i wypróżnienie. Po południu przekonała się, że nie ma już siły odkręcić kanistra z wodą. Zmagala się z nakrętką przez godzinę, wreszcie dała spokój, przeklinając własny brak przezorności, który sprawił, że tak mocno zakręciła kanister.

28.

Następny dzień był jeszcze gorszy.

Ośrodkiem świata stał się dla Lesy kanister i jego zawartość. Ból, zimno i głód zeszyły na drugi plan w porównaniu z tym półlitrowym zbiorniczkiem, którego zawartość doprowadzała Lesę do szału, zwłaszcza kiedy słyszała w kanistrze plusk wody. Jeżeli nie mogła otworzyć go palcami, to potrzebne jej było narzędzie - coś, co chwyciłoby spłaszczone brzegi zatyczki. Na łodzi nie było jednak niczego, co mogłoby spełnić owo zadanie.

Lesa wymoczyła zranione ramię w morskiej wodzie. Nie wykazywało żadnych oznak pogorszenia, ale też i żadnych oznak poprawy.

Kanisterek na wodę leżał na dnie, gdzie Lesa rzuciła go w przypiływie gniewu i frustracji. Rozejrzała się po zdewastowanej łódce i wpadła na pewien pomysł. Wzięła kanister i wolno, boleśnie poczołgała się do ułamanego masztu. Ten prosty ruch zajął jej kilka wypełnionych bólem minut. Odpoczęła i usiłowała wsunąć nakrętkę pomiędzy dwa rozłupane końce kikuta masztu. Udało jej się to za dziesiątą czy dwudziestą próbą - nie miała siły liczyć. Trzymała kanister nieruchomo, podczas gdy sama przez chwilę odpoczywała. Posługując się zdrową ręką i kolanami obróciła kanister. Podniecenie, jakie odczuła, kiedy zauważyła, że nakrętka drgnęła, dodało jej sił. Tym razem zatyczka poruszyła się na tyle, że już ręką mogła odkręcić ją do końca. Jednakże krótkotrwały powrót sił okazał się bardzo złudny. Kiedy podnosiła kanisterek do ust, palce zawiodły ją w zasadniczym momencie. Kanisterek wyslizgnął się. Usiłowała go pochwycić i wtrąciła go do morza. Krzyknęła i wspięła się na burtę. W wyniku refrakcji wydawało się, że kanister znajduje się tuż pod powierzchnią wody - z otwartej szyjki wydobywały się bąbelki. W rzeczywistości jednak znajdował się znacznie głębiej. Szyjka otarła się o palce Lesy i przepadła.

29.

Większość następnego dnia Lesa przespała, śniąc chwilami o statku, który minął ją

pośród nocy, pełen jedzenia, muzyki, światła i rozbawionych pasażerów. Momentami sny jej przeradzały się w halucynacje, widziała wtedy słoneczne dni dzieciństwa i matkę powracającą z Da Nang, obładowaną prezentami.

Była zbyt słaba, by interesować się otoczeniem. Zresztą było to tylko morze, bezkresne morze i szare niebo, podczas gdy sny wypełniało szczęście należące do innego życia. Gdyby, nawet w obecnym stanie ducha, zainteresowała się rzeczywistością, nie mogłaby nie zauważyć wzrastającej liczby statków. Jeden przepłynął nawet w odległości mili. Kiedy chmury się przerzedzały, widać było niebo porwane białymi żyłkami spalin z odrzutowców.

Tej nocy tuż przed świtem spadł deszcz. Ostre szpileczki lodowatych kropli rozbudziły Lesę na tyle, że podjęła bohaterski wysiłek: rozpostarła bluzki Neti, by złapać w nie jak najwięcej cennej wody. Nie miała w co jej przelać, toteż niezdarnie wyżywała ją wprost do ust zeszywniałymi palcami. Ulewa trwała dziesięć minut. Lesie udało się wypić filiżankę wody, może dwie. Nie przykładała do tego wagi. Chciała tylko oddalić koszmar rzeczywistości, zwijając się w kłębek na dnie łódki i zapadając z powrotem w sen. Wiedziała, że umiera, ale śmierć nie była już strasliwym wrogiem, którego za wszelką cenę należało trzymać na odległość. Śmierć można było dopuścić bliżej, bo przychodziła z licznymi darami: woda, ciepło... dom rodzinny... oderwanie się od znieawidzonego ciała., i Neti... droga, urocza Neti.

Daru ciepła doznała po raz pierwszy, kiedy poczuła jasność słońca na powiekach i zorientowała się, że wstał dzień. Nie miało sensu otwieranie oczu, wystarczyło rozkoszować się delikatnym, ciepłym dotknięciem na skórze. Ciepło osłabiało troszeczkę tę jednolitość pragnienia, głodu, bólu i nie kończącej się samotności.

Lecz ów dar ciepła nie trwał długo. Jego miejsce zajął mroźny wiatr, lodowaty huragan wiał wprost z nieba. Pulsujące klap, klap, klap jak skrzydła wielkiego owada, kiedy ów rozbijał powietrze i przykrywał ją swym groteskowym cieniem. Ten męczący rytm pomieszał się z wysokim jękiem, który ranił jej uszy. Ale dalej nie miało sensu otwieranie oczu - owe burzliwe fale dźwięku i arktyczny wichur stanowiąły jedynie dwa kolejne punkty w katalogu nieszczęść, od których w końcu wyzwoli ją śmierć, skoro nadarzy się okazja.

30.

Hongkong

Stukanie wysokich obcasów po kafelkowej posadzce, dźwięk tak zwyczajny w zachodniej cywilizacji, brzmiał całkowicie obco w uszach Lesy. Dźwięk ten co jakiś czas

wkradał się jak duch w jej ciężki, pozbawiony obrazów sen. Chwilami słyszała głosy, głosy mężczyzn, głosy kobiet. Niektórzy z nich rozmawiali w języku brzmiącym w uszach Lesy jak angielski. Czasami słyszała śpiewne tony, które mogły być narzeczem kantońskim. Było jej ciepło i nie odczuwała już straszliwego bólu.

Otworzyła oczy i skoncentrowała wzrok na wiszącej na wsporniku lampie elektrycznej. Leżała w łóżku, w pościeli. W pościeli! Takiej jak błyszczące bielą prześcieradła w kolorowych czasopismach!

Ktoś poruszył się w nogach jej łóżka.

- Halo - powiedziała Lesa.

Pielęgniarka z okrzykiem zdumienia wybiegła z pokoju. Po paru minutach wróciła w towarzystwie innej pielęgniarki. Szczupłej, niewielkiego wzrostu, uśmiechniętej przyjaźnie.

- Halo, Lesa - powiedziała nowo przybyła pielęgniarka po wietnamsku. - Jak się czujesz?

- Skąd znasz moje imię?

- Od ciebie. Ale nie podałaś nazwiska, więc nazwali cię Lesa Wessex. Ja mam na imię Choi.

- Wessex? - Lesa z trudem wymawiała obce słowo. Pielęgniarka uśmiechnęła się promiennie.

- Odnalazł cię helikopter RAF-u, typu Wessex.

- Och - powiedziała Lesa i z powrotem zapadła w sen.

31.

Otworzyła oczy i ujrzała nad swoim łóżkiem cztery postacie. Stojący pod światło wysoki mężczyzna był potężnie zbudowany, z szeroką klatką piersiową. Odezwał się do Lesy i dotknął jej ręki. Słyszała już kiedyś ten głos. Czwórka Europejczyków, którzy zgwałcili ją i zabili jej rodzinę. Powróciło nieopisane przerażenie. Zaczęła krzyczeć, usłyszała kroki, a potem kojący głos Choi. Delikatna, mała dłoń pielęgniarki głaskała ją po głowie, nienawistne kształty rozplynęły się.

- To załoga helikoptera, który cię uratował - wyjaśniła Choi, kiedy Lesa się uspokoiła. - Przyszli zobaczyć, jak się czujesz.

32.

Lekarz opiekujący się Lesą zapisał łagodniejszy środek przeciwbólowy, w wyniku czego następnego dnia mogła już usiąść na łóżku i zainteresować się najbliższym otoczeniem. Dowiedziała się od Choi, że znajduje się w szpitalu w Kowloonie i że zabandażowana rana postrzałowa w lewym ramieniu goi się dobrze.

- Miałaś szczęście - mówiła Choi. - Kula ledwie drasnęła obojczyk, a dziura w łopatce była czysta i regularna, bez śladu zakażenia.

- Moczyłam w wodzie morskiej.

Choi uśmiechnęła się.

- To na pewno nie zaszkodziło. W każdym razie ładnie się goi.

- Oni zabili Neti - oświadczyła ni stąd, ni zowąd Lesa. - I Hinny'ego. I Thi. I Lina. I Suzi.

- Staraj się o tym nie mówić. Jutro przyjdzie tu policja. Uspokój się. Doktor powiedział, że możesz wstać.

- Gdzie jest mój zegarek? - zapytała nieoczekiwanie Lesa.

- W szufladzie. I ciągle jeszcze chodzi - Choi uśmiechnęła się i wskazała na toaletę. - Czy wiesz, co to jest?

Lesa spojrzała na porcelanowy sedes i skinęła głową.

- Widziałam je w telewizji.

Choi podniosła kołdrę na łóżku.

- Wstawaj, pokażę ci, jak się z tym obchodzić.

33.

Dawid Janson z Królewskiej Policji Hongkongu był drobnym, eleganckim mężczyzną, dobrze po trzydziestce. Pracował na trzyletnim kontrakcie BBC jako cywilny urzędnik przydzielony do centralnego komisariatu w Kowloonie. Prawie całe dzieciństwo spędził w Sajgonie, gdzie jego rodzice prowadzili misję metodystów. Po powrocie do Londynu dzięki znakomitej znajomości wietnamskiego dostał pracę w zagranicznej sekcji BBC jako tłumacz. W 1969 roku ożenił się z Carrie, szefem studia w BBC, i został oddelegowany do radia i telewizji w Hongkongu, które z kolei zgodziło się na przeniesienie go do policji, w momencie gdy do kolonii zaczęły przybywać ogromne ilości uciekinierów z Wietnamu.

Po trzykrotnym odnawianiu kontraktu Carrie zbuntowała się i oświadczyła, że ma absolutnie dosyć. Nigdy nie zadomowiła się w Hongkongu, chciała wracać do Londynu, kupić dom i założyć rodzinę, zanim będzie na to za późno. Jeden z najlepszych ginekologów

w Hongkongu powiedział jej, że nie może mieć dzieci, ale Carrie uparcie wierzyła, iż wadliwe funkcjonowanie jajników wiąże się z tym, że nie mieszka w Anglii, gdzie mieszkać powinna. Pragnąc uratować swoje małżeństwo, Janson uległ wreszcie naleganiom Carrie i zgodził się na powrót do Londynu. Teraz pozostawało mu jeszcze niecałych siedem miesięcy pracy do końca kontraktu. Tak naprawdę było mu to już obojętne. Jego główne zadanie polegało na przesłuchiwaniu czy - jak sam wolał to określać - na odpytywaniu wietnamskich uchodźców. Na szczęście, zajęcie to niemal dobiegło końca, bo liczba Wietnamczyków wypuszczających się na niebezpieczną żeglugę po Morzu Południowochińskim znacznie zmalała. Ta dziewczynka, którą miał teraz przesłuchać, była pierwszą osobą od wielu dni.

Lesa przyglądała mu się podejrzliwie, kiedy ustawiał na stoliku przy łóżku magnetofon Uher. Nigdy jeszcze nie spotkała Europejczyka, który mówiłby płynnie po wietnamsku.

- Leso, czy wiesz, co to jest? - pytał Dawid ustawiając mikrofon.

Lesa skinęła twierdząco głową, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z nieznanego, chociaż jego miły uśmiech i przyjemny głos w chwili, gdy się przedstawiał, w znacznym stopniu rozproszyły jej pierwotny lęk.

- Chciałbym, żebyś mi opowiedziała całą swoją historię własnymi słowami - zaczął Dawid przysuwając do łóżka krzesło i uśmiechając się ciepło. - Będę ci przerywał jedynie wtedy gdy coś wyda mi się niejasne. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała Lesa. Spojrzała na Dawida pytająco. - Zabili całą moją rodzinę, a mnie zgwałcili. Czy pan ich złapie?

Dawid spojrzał na informacje przekazane ze szpitala. Prócz rany ramienia, stwierdzono u dziewczynki liczne obrażenia pochwy. Gdyby mieli z Carrie dziecko zaraz po ślubie, tak jak planowali, byłoby teraz w wieku tej dziewczynki. Starał się jednak nie okazywać swoich uczuć.

- Zrobimy, co w naszej mocy. Zaczynj jednak od początku. Powiedz mi o tym, jak opuściliście rodzinną wioskę.

Na początku Lesa opowiadała nerwowo, stopniowo nabierała jednak pewności, kiedy zorientowała się, że ten przyjaźnie nastawiony Anglik traktuje ją poważnie. Nie nawykła do tego, by dorośli słuchali jej z podobną uwagą. Głos zawiódł ją, kiedy doszła do momentu, w którym znaleźli się na pokładzie jachtu, kontynuowała jednak swoją opowieść.

W miarę słuchania twarz Dawida okrywała się bladością. Sądził, że po przesłuchaniu setek uchodźców zetknął się z całym wachlarzem niesłychanego okrucieństwa, jakie człowiek okazać może swemu bliźniemu, ale historia, którą roztaczała przed nim ta dziewczynka, sypchała cierpienia wszystkich innych uchodźców jakby na sam początek skali.

Dla Lesy opowiadanie okazało się nie tak straszne, jak się spodziewała. Słowa nie mogły nic dodać do koszmaru zachowanego w pamięci. Poza tym ten mężczyzna z magnetofonem to jakby pierwszy krok na drodze zemsty. Kiedy skończyła opowiadanie, dobiegła końca również taśma.

Dawid wyłączył magnetofon i przyglądał się Lesie w zamyśleniu. Nie wątpił, że dziewczynka mówi prawdę, świadczyła o tym jej rana, medycznie udokumentowany brutalny atak seksualny i dwie kule w burtach sampana. Niemniej jednak musiał mieć potwierdzenie i zapytał ją ponownie o kilka bardziej skomplikowanych szczegółów. Ale historia dziewczynki nie ulegała zmianie. Nawet kiedy zapytał o zegarek подарowany przez Lina, mogła go zaprezentować, wyjmując po prostu z szuflady.

- Jeżeli pan mi nie wierzy, mogę ich narysować - zaproponowała Lesa zdecydowanym tonem. - Czy ma pan coś do rysowania?

Dawid podał jej notes i automatyczny ołówek. Ze zdumieniem obserwował, jak Lesa szybko szkicuje głowę i ramiona mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat. Kilkoma zręcznymi kreskami utrwaliła na skrawku papieru grzywę blond włosów i zacięty, sardoniczny wyraz twarzy. Nawet uliczni artyści wykonujący szkice węglem wzdłuż Nathan Road nie mogli się poszczycić tak oczywistym talentem. Dawid przerwał Lesie.

- To zadziwiające, Leso.

- To jest ich przywódca. Gdybym miała większe arkusze papieru, mogłabym narysować ich wszystkich - powiedziała z prostotą Lesa.

- I ich statek. Wszystko.

Dawid wstał z krzesła.

- W pobliżu szpitala jest sklep z materiałami biurowymi. Wrócę za piętnaście minut.

Anglik dotrzymał słowa, pojawił się po kwadransie, wręczył Lesie szkicownik, paczkę specjalnych ołówków i temperówkę. Lesa w zachwycie przesuwała palcami po kartkach szkicownika. Nigdy nie widziała tak wspaniałego papieru. A ołówki...

- Możesz ich na tym narysować?

Lesa spojrzała na Dawida i uśmiechnęła się po raz pierwszy. Naprawdę była niezwykle uroczym dzieckiem.

- To mi zajmie trochę czasu.

- Czy sądzisz, że potrafiłabyś i mnie narysować z pamięci?

Przez kilka minut Lesa wpatrywała się intensywnie w miłą twarz Dawida, po czym skinęła głową.

Dawid pogłaskał ją pod brodą i natychmiast pożałował tego odruchu, ponieważ

dziewczynka cofnęła się gwałtownie, kiedy jej dotknął.

- W porządku, Leso. Przyjdę jutro o tej samej porze.

34.

Dawid Janson rozłożył fotokopie rysunków Lesy na biurku detektywa inspektora Jacka Barbera. Wysoki oficer policji oglądał podobizny trzech mężczyzn i kobiety najpierw z profesjonalnym zainteresowaniem, a potem z wyraźnym wstrętem. Szczególnym obrzydzeniem napawał go jeden rysunek przedstawiający scenę wyuzdanej rozpusty.

- Ta dziewczynka dobrze rysuje - skomentował starając się nadać swemu głosowi rzeczowe, czysto zawodowe brzmienie.

- Znacznie więcej - odpowiedział Dawid. - Rysuje znakomicie.

- Zgoda, jest znakomita. Ale co z tego?

- Mamy portrety. I rysunki jachtu. Pomniejszymy je. Wydrukujemy pięć tysięcy odbitek i...

- I nic - powiedział Barber z naciskiem.

Dawid był przygotowany na podobną reakcję.

- Mamy cztery dobre portrety i kilka rysunków jachtu. Nie powinno być trudności z odszukaniem czterech mężczyzn i kobiety na tego typu jachcie.

- Nie wiemy, czy to są dobre portrety - zauważył Barber.

- Dziewczynka może być znakomitą artystką, ale to nie znaczy, że ma dobrą pam... - Barber przerwał, bo w tym momencie Dawid położył na biurku swoją podobiznę. Rysunek nie tylko uchwycił podobieństwo, ale przekazał je w sposób doskonały. Barber spojrzał na Dawida. - A więc pozowałeś jej. I co z tego?

- Nie pozowałem, narysowała to z pamięci, a widziała mnie tylko raz.

- Cholera - wymamrotał Barber. Spojrzał uważnie na swego podwładnego.

- Ta mała jest geniuszem - Dawid wskazał na rysunek, który wzbudził takie obrzydzenie Barbera, a który on sam po raz pierwszy oglądał z podobnym uczuciem. Rysunek pokazywał mężczyznę z potężnym torsem opartego o burtę jachtu. Trzymał w ręku karabin obserwując jednocześnie, jak dwaj inni mężczyźni gwałcą dziewczynę. W pobliżu stoi naga kobieta z dużymi piersiami i onanizuje się - ma otwarte usta i taki wyraz ekstazy na twarzy, jakby oglądała niezwykłą wizję. Atmosfera straszliwej „zwykłości” tej sceny zawarta w doskonałym szkicu nabierała jeszcze straszniejszej wymowy, kiedy oglądający uświadamiał sobie, że narysowała to piętnastoletnia dziewczynka.

- Chryste - wymamrotał Barber. - Można nawet powiedzieć, co to za karabin. M 16. - Oderwał wzrok od rysunku. Nawet po wielokrotnym oglądaniu scena ta nie przestawała wywierać wrażenia. Barber czuł nienawiść do siebie z powodu tego, co musiał teraz powiedzieć. Dwukrotnie przeczytał angielski przekład rozmowy Dawida z dziewczynką. Po raz pierwszy z autentycznym niedowierzaniem, po raz drugi z rosnącym obrzydzeniem, kiedy uświadomił sobie, że jest to zbyt straszliwa historia, by mogła nie odpowiadać prawdzie. - Janson, to w niczym nie zmienia sytuacji. Mówimy o przestępstwie...

- Nie mówimy o przestępstwie! Mówimy o cholernej masakrze!

- ...przeciwko obywatelom obcego państwa popełnionym na wodach międzynarodowych, na statku, który ma prawdopodobnie zagraniczną rejestrację. Wszystko to wykracza poza naszą jurysdykcję. Nie mamy środków ani personelu, by doprowadzić do końca naszej sprawy, więc nie ma co mówić o tych, które nie podlegają naszej jurysdykcji.

- Myślę, że mamy wystarczające materiały, by odnaleźć jacht, sprawdzić, w jakim kraju jest zarejestrowany, i przekazać tam dowody.

- O, bez wątplenia. Już widzę, jak władze panamskie podejmują akcję na podstawie dostarczonych przez nas dowodów. Przykro mi, Dawidzie, doskonale rozumiem, co czujesz - rzucił okiem na rysunki i szybko odwrócił wzrok. - Gdyby to zależało ode mnie, odnalazłbym tych drani i osobiście ich powiesił.

Dawid zdawał sobie sprawę, że dalsze naleganie jest daremne.

- Więc co teraz z nią będzie?

- Doskonale znasz odpowiedź. Zastosowanie standardowej procedury. Jest za młoda, żeby wsadzono ją z powrotem na łódkę, którą przyplłynęła, pełną prowiantów i zreperowaną, i odholowano na miejsce, gdzie ją znaleziono. Jak tylko wyzdrowieje całkowicie, zostanie wysłana do obozu dla uchodźców.

35.

Tego wieczoru, kiedy Carrie oglądała telewizję, Dawid poszedł do przedpokoju i zadzwonił do domu kuratora sądowego. Carol Turner winna mu była kilka przysług. Po wstępnych uprzejmościach przeszedł do sedna sprawy.

- Carol, czy można zmierzyć iloraz inteligencji u kogoś, kto nie umie czytać ani pisać?

- Chyba tak. Dlaczego pytasz?

- Mamy dziewczynkę z Wietnamu. Piętnastoletnią. Jest artystycznym geniuszem. Czy mogłabyś oddać mi przysługę i znaleźć łagodnego psychologa, który przeprowadziłby to

badanie?

- To, że dziewczynka dobrze rysuje, nie oznacza wcale, że ma wysoki iloraz inteligencji. Ale dobrze, zrobię, co będę mogła. Podawaj dane.

Cztery dni później okazało się, że Carol dotrzymała obietnicy.

- Zrozumiałam z twojego telefonu, że ona nie mówi po angielsku - w głosie Carol brzmiało oskarżenie.

- Nie mówi.

- Może tak było przed tygodniem, ale teraz już mówi.

- Carol, co ty, do diabła, opowiadasz?

- Według profesora Achinsona dziewczynka operuje słownikiem złożonym z około czterystu słów. Wietnamska pielęgniarka w wolnych chwilach uczy ją angielskiego. Poczciwy profesor ocenia, że kiedy rozpoczął spotkania z Lesą, знаła jakieś trzysta pięćdziesiąt słów, a kiedy się rozstawali, przybyło jej jeszcze pięćdziesiąt. Taka jest szybka.

Dawid był zadowolony, że jego przeczucie się sprawdziło.

- A więc jest bystra?

- Profesor nie lubi posługiwać się skalą współczynnika inteligencji. Uważa, że jest to pomiar prymitywny i niedokładny, ale zrobił to w przypadku Lesy Wessex, ponieważ zwykli śmiertelnicy jak my rozumiemy te wyniki.

- Wessex? To nie jest jej prawdziwe nazwisko.

- Upiera się, że teraz jest. Wydaje się dumna z niego.

- No więc co stwierdził profesor?

- Normą jest iloraz inteligencji sto do stu dziesięciu. Sto dwadzieścia to bardzo dobrze, sto czterdzieści - wyjątkowa inteligencja. Przy stu siedemdziesięciu Lesa Wessex niemal nie mieści się na skali.

Dawid podziękował Carol i odłożył słuchawkę. Spojrzał zaskoczony na Carrie, która stała oparta o framugę drzwi. Podobnie jak on dobiegała czterdziestki. Była wysoką, pełną determinacji kobietą, której młodzieńczy wygląd psuły trochę twarde linie pojawiające się ostatnio wokół oczu. Oglądała swoje ciemne włosy w lustrze w przedpokoju, jakby z tego właśnie powodu tam się znalazła.

- Chodzi o twoją wietnamską dziewczynkę?

- Nie jest moją dziewczynką. Ale tak, o nią chodzi. - Zły był na siebie, że odpowiadał tak, jakby się bronił. - Dzwoniła Carol Turner. Uważa, że ta mała jest wyjątkowo uzdolniona.

Carrie oglądała w lustrze jakiś wyimaginowany pryszcz.

- Musi być, skoro zdołała przełamać twoją postawę niezaangażowanego profesjonalisty.

Nigdy dotychczas nie angażowałaś Carol w żaden ze swoich przypadków.

- Ta dziewczynka jest inna.

- Ładna?

To pytanie zirytowało Dawida, ale odpowiedział zgodnie z prawdą.

- O tak, znacznie więcej niż ładna.

Carrie spojrzała na męża i pogroziła mu palcem.

- Tylko się nie daj wciągnąć. Dawidzie, nie daj się wciągnąć.

36.

Lesia siedziała na tylnym siedzeniu rządowego samochodu pomiędzy dwiema funkcjonariuszkami Wydziału Poprawczego Policji Hongkongu, trzymając kurczowo szkielet, rysunki i plecak Neti, co stanowiło jej jedyną własność. Zegarek od Lina przestał chodzić, ale ciągle miała go na ręku. Miły Dawid Janson, któremu nauczyła się ufać podczas trzytygodniowego pobytu w szpitalu, zaproponował, że zanieś zegarek do reperacji, ale Lesia nie chciała rozstawać się z tą pamiątką. Znaczyła dla niej więcej niż więź z przeszłością, stała się talizmanem, w którym koncentrowały się życzliwe wpływy duchów jej ukochanych zmarłych. Będzie nosiła ten zegarek aż do śmierci.

Eleganckie sklepy i restauracje centrum Kowloonu, gotującego się w upalnej wilgoci popołudnia, ustępowały miejsca nieskończonym szeregom szarych, obwieszonych suszącym się praniem bloków mieszkalnych, w miarę jak samochód posuwał się na północ wzdłuż parującej i pełnej kałuż Nathan Road. Po piętnastu minutach zatrzymał się w nędznej dzielnicy na wprost wysokiej bramy ze stalowej blachy falistej, osadzonej w jeszcze wyższym granitowym murze, zwieńczonym drutem kolczastym. Wokół stały wieżowce tej najgęściej zaludnionej dzielnicy miejskiej świata. Budynki nie miały więcej niż dwadzieścia lat, ale już nadawały się do rozbiórki.

Bramę otworzył wysoki, roześmiany Sikh. Samochód przejechał chodnik i znalazł się na niewielkim placu z ogrodzeniem z błyszczących, nowych łańcuchów. Po drugiej stronie ogrodzenia znajdowały się setki rodaków Lesy, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy ubrani byli w zadziwiająco różnorodnością, nie dopasowane zachodnie stroje. Niektórzy młodzi mężczyźni mieli na sobie za duże, groteskowe, wytworne garnitury z kamizelkami, nogawki spodni były podwinięte, co rekompensowało różnice wzrostu między poprzednim a aktualnym właścicielem. W ciągu sekundy rozeszła się wiadomość o przybyciu nowej. Za ogrodzeniem zebrał się tłum. Bezmyślnie wpatrywali się w Lesę wysiadającą z samochodu,

którego drzwiczki przytrzymała jedna z policjantek.

Obóz Sham Shui Po w północnym Kowloonie znajdował się na terenie dawnych koszar armii brytyjskiej i był teraz domem dla pięciu tysięcy wietnamskich uchodźców, którzy przybyli tu na łodziach. W czasie okupacji Japończycy wykonywali egzekucje pod ponurym, szarym murem zamykającym dwuhektarowy obszar obozu. Lesa dostrzegła wysokie betonowe szopy, przypominające składy, zanim wprowadzono ją do niewielkiego baraku, gdzie uśmiechnięty Sikh wpisał ją do rejestru. Usłyszawszy nazwisko „Wessex” uniósł pytająco brwi, ale po wyjaśnieniu jednej z policjantek zapisał je. Na tym skończyły się formalności.

Energiczna i rzeczowa zakonnica franciszkanka z notatnikiem w ręku przedstawiła się jako siostra Weronika. Wzięła Lesę za rękę i wyprowadziła z baraku. Mówiła słabo po wietnamsku, ale Lesa nie miała żadnych trudności ze zrozumieniem jej. Strażnik otworzył boczną furtkę i wpuścił je na teren samego obozu. Furtka zatrzasnęła się za nimi, a tłum uchodźców rozstał się tworząc przejście; siostra Weronika prowadziła Lesę po wybrukowanym placu do najbliższej betonowej budy. Lesa zauważyła w tłumie tylko nielicznych ludzi starych, głównie byli tu mężczyźni i kobiety po dwudziestce. I wiele dzieci. Nie mając właściwych starszym zahamowań, stłoczyły się wokół Lesy chichocząc; rozbiegły się, dopiero, kiedy krzyknęła na nie siostra Weronika. Pocziwa siostrzyczka nie przestawała mówić. Potok jej wymowy przerwał na chwilę warkot Boeinga 747 przelatującego z wypuszczonym podwoziem zaledwie kilkaset stóp nad ich głowami. Samolot wytracał wysokość, błyskały światła lądowania. Lesa w osłupieniu wpatrywała się w tę gigantyczną zjawę, dopóki samolot nie zniknął za wieżowcami osiedla. Zauważyła, że wielu uchodźców z wyrazem tęsknoty w oczach patrzyło na samolot - symbol wolności - choć musiał to być dla nich codzienny widok.

- Jesteśmy dokładnie pod podejściem do lotniska Kai Tak - wyjaśniła siostra Weronika.
- Lotnisko oddalone jest o dwa kilometry. A tutaj jest moje biuro - wskazała na żółtą przyczepę kempingową ustawioną w pobliżu zewnętrznego muru. - Jak będziesz czegoś potrzebowała, zawsze znajdziesz tu mnie albo którąś z moich koleżanek. Reprezentujemy Chrześcijańską Pomoc Uchodźcom w Hongkongu. Ale musisz sobie zdawać sprawę, że w przeciwieństwie do sytuacji w obozach przesiedleńczych, nie zarządzamy tym obozem. Pomagamy jedynie w miarę możliwości.

Zbliżyły się do otwartych rozsuwanych drzwi baraku.

- To jest barak niezamężnych kobiet - wyjaśniła zakonnica, kiedy znalazły się w dusznym i mrocznym wnętrzu.

Panował tu przemożny odór potu i moczu. Zmagały się z sobą w gladiatorских zapasach, z których mocz wychodził zwycięsko. Pod wpływem tego straszego smrodu oczy Lesy zasły łzami.

- Przyzwyczaisz się - powiedziała surowo siostra Weronika, obserwując grymas na twarzy Lesy. - Będiesz musiała.

- Nie sądzę, żebym się mogła kiedykolwiek do tego przyzwycząić - odpowiedziała Lesa, rozglądając się uważnie po nie znanym otoczeniu. Kiedy oczy jej przyzwycząły się do mroku, dostrzegła coś, co wyglądało jak rzędy skrzyń do pakowania ustawionych po trzy jedna na drugiej po obu stronach przejścia, tak daleko jak sięgał wzrok. Każdą skrzynię zasłaniała od frontu kotara zaimprovizowana ze starych ubrań.

- Palety ładunkowe - powiedziała siostra Weronika, sprawdziła coś w notatniku i ruszyła tak szybko wzdłuż przejścia, że Lesa musiała biec truchcikiem, żeby za nią nadążyć. - Znajdziemy dla ciebie wolny przedział. - Zatrzymała się i rozglądała jakby ukradkiem. - Tu jest napisane, że jeszcze przez miesiąc nie możesz ruszać lewą ręką, więc musimy ulokować cię na parterze. Nie możemy pozwolić, żebyś się wdrapywała po drabinie. Tutaj: A 47.

Zakonnica rozsunała zasłonę i wskazała wewnątrz palety.

- To jest twój nowy dom. Rozłóż się tutaj i przyjdź do mnie po obiedzie, dostaniesz pigułki przeciw malarii. Ponieważ wyszłaś ze szpitala, więc nie musisz przejść badania lekarskiego ani odwszenia. Powinnaś bez trudu znaleźć kogoś, kto wtajemniczy cię w tutejsze zwyczaje, pory posiłków i tak dalej. Na początku wszystko będzie się wydawało bardzo dziwne, ale wkrótce się przyzwyczaisz. Są dyżurni pełniący służbę na zmianę, żeby zapobiec drobnym kradzieżom. Masz jakieś pytania?

W głowie Lesy powtarzało się jedno najważniejsze pytanie, na które nie odpowiedział jej nikt w szpitalu, nawet Dawid Janson.

- Jak długo tu będę?

To pytanie najwyraźniej zaskoczyło siostrę Weronikę. Po raz pierwszy Lesa dostrzegła w oczach zakonnicy przelotny błysk współczucia, który jednak szybko zniknął, przepędzony jak nieproszony gość.

- Kto wie? odpowiedziała. - Rok, może dwa. Może dziesięć lat. Teraz wszystko jest w rękach polityków. Jeszcze coś?

Dla Lesy był to zbyt duży szok, by mogła choćby pomyśleć o innym pytaniu. Zamiast odpowiedzi tępo pokręciła głową, a siostra Weronika wymamrotała jakieś krótkie słowa pożegnania i ruszyła zdecydowanym krokiem z powrotem do furtki.

Lesa rozejrzała się wokół i uświadomiła sobie, że jest ośrodkiem zainteresowania wielu

par oczu obserwujących ją z ciemnych zagłębień pobliskich palet. Rzuciła plecak do swojej palety i wczłogała się za nim. Jej nowy dom miał dwa metry długości i prawie tyleż szerokości. Połowę powierzchni zajmował solidny materac z końskiego włosia, o niesprecyzowanym wieku. Z napisem „Własność Ministerstwa Wojny”. Lesa rozpoznała słowa „wojna” i „ministerstwo”, ale słowo „własność” było nowe, postanowiła więc dołączyć je do codziennej listy słów, których miała się nauczyć. I wtedy uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej nie zobaczy już Choi.

Rozpakowała swoje nieliczne ubrania i starannie ułożyła je w kącie. Rysunki, których fotokopie wykonał Dawid Janson, schowała pod materacem. Do najcenniejszych przedmiotów zaliczała, prócz szkicownika i ołówków, kosmetyczkę i przybory toaletowe, prezent od pielęgniarek ze szpitala. Była tam nawet paczka tamponów higienicznych, których przeznaczenia nie była pewna, dopóki nie odkryła wewnątrz opakowania diagramu wielkości znaczka pocztowego, objaśniającego sposób użycia.

Smród i upał w olbrzymim baraku były nie do wytrzymania. Wyszła na zewnątrz w jasne słońce. Dwaj wolontariusze rozmawiali po angielsku przy stole na kozłach, przy którym wydawali gorący gulasz długiej kolejce uchodźców. Każdy z czekających trzymał w ręku emaliowaną miseczkę.

Lesa podeszła na początek ogonka, przepowiadając sobie w myśli zdanie. Pragnęła posługiwać się bezbłędną gramatyką, ale co ważniejsze pragnęła, żeby jej akcent brzmiał tak jak akcent spikerek w radiu i telewizji Hongkongu, których słuchała przez słuchawki w szpitalu.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mogłabym dostać miseczkę? - zapytała jednego z wolontariuszy po angielsku, wymawiając słowa dokładnie i powoli.

Obydwaj wolontariusze przestali nakładać gulasz i wpatrywali się ze zdumieniem w atrakcyjną dziewczynę, która zwróciła się do nich o informację. Pierwszy z nich wskazał ręką żółtą przyczepę.

- Tam - powiedział.

Lesa podziękowała i ruszyła w kierunku przyczepy.

- Do licha - westchnął pierwszy wolontariusz. - Mówi jak Angielka.

- I wygląda trochę jak Angielka - zauważył jego pomocnik.

37.

Od samego początku wszystko w obozie Sham Shui Po było dla Lesy nienawistne.

Przede wszystkim nie było mowy o jakiegokolwiek prywatności; musiała brać codzienny prysznic o oznaczonej porze pod zewnętrznym murem razem z pięćdziesięcioma innymi kobietami, podczas gdy cała męska młodzież obozu bez przeszkód wchodziła na teren damskiej łazienki i spokojnie obserwowała myjące się kobiety. Jeden upośledzony chłopiec w wieku około dziewiętnastu lat zaczął chodzić za Lesą, pokazując dwa rzędy zepsutych zębów, kiedy się do niej uśmiechał. Nie był to nawet uśmiech, raczej wyraz oblesnej pożądliwości, nie robił zresztą tajemnicy ze swoich intencji, bo zwykle równocześnie drapał się w krocze.

Poza tym była samotność. Zaprzyjaźnienie się z kimkolwiek okazało się zupełnie niemożliwe, tym bardziej że Lesa niełatwo zawierała przyjaźnie. Gesty i komentarze mężczyzn dowodziły wyraźnie, że dla nich przyjaźń z Lesą może oznaczać tylko jedno. A kobiety traktowały jej wzrost i rozkwitającą urodę, którym nigdy nie będą mogły dorównać, jako zagrożenie.

Lesa doceniała wprawdzie fakt, że ma całą paletę tylko dla siebie, ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że jest w obozie jedyną osobą bez żadnej rodziny. Ale przynajmniej była wolna od strachu i głodu; kilku obozowych strażników nie miało nawet broni, a jedzenie, choć monotonne, pojawiała się jednak regularnie i w wystarczającej ilości. Urozmaiceniem był dzień, kiedy przywożono owoce. Różne instytucje dobroczynne dostarczały mnóstwo ubrań, wprawdzie używanych, ale w dobrym stanie. Naprawdę jednak niepokoiły Lesę liczne kobiety, a nawet dziewczynki w jej wieku z dziećmi. Niemoralne zachowanie stanowiło normę w obozie. Potajemne nocne wizyty w baraku i odgłosy dochodzące z sąsiednich palet świadczyły o kompletnym załamaniu tradycyjnych wzorów postępowania.

Obawy Lesy potwierdziły się po tygodniu pobytu w obozie. W środku nocy obudziło ją czyjeś dotknięcie. Zanim zdążyła krzyknąć, jakaś ręka zamknęła jej usta, a kolano przycisnęło ją brutalnie do materaca. Walczyła dzielnie, ale lewa ręka była jeszcze słaba. Dopiero w chwili gdy wścibskie palce ściągnęły jej piżamę i wdarły się boleśnie między nogi, zdołała wbić zęby w rękę zamykającą jej usta i wrzasnęła.

Zapaliły się latarki. Rozległy się odgłosy biegnących stóp. Lesa krzyknęła ponownie. Rozsunęła się zasłona i Lesa dostrzegła, że napastnikiem był młodzieniec z popsutymi zębami. Zerwał się, roztrącił kobiety zgromadzone wokół posłania Lesy i umknął w ciemność. Żadna z kobiet nie próbowała go gonić. Rozeszły się do swoich przegródek, jedna została pocieszając Lesę tak długo, aż dziewczyna przestała szlochać. Doznała jednak tak wielkiego szoku, że minął tydzień, zanim mogła spokojnie zasnąć w nocy, ale nawet wtedy na każdy niezwykle szmer budziła się natychmiast, a serce waliło jej z przerażenia.

38.

Po dziesięciu dniach pobytu w obozie odwiedził Lesę Dawid Janson. Siostra Weronika zostawiła ich samych w swojej przyczepie. Lesa ucieszyła się na widok Dawida, nie tyle nawet z powodu przyjemności oglądania znajomej twarzy, ile - co znacznie ważniejsze - z chęci dowiedzenia się, jak przebiegają poszukiwania gangu, który wymordował jej rodzinę. Kiedy zapytała go o to po wietnamsku, Dawid wydawał się zawstydzony.

- Leso - przerwał szukając właściwych słów, z żenującą świadomością, że para pięknych oczu wpatruje się w niego badawczo i zdecydowanie. - Powinienem był powiedzieć ci to wcześniej... ale nie prowadzimy poszukiwań.

- To znaczy, że znaleźliście ich?

- Nie... nie to miałem na myśli.

Nagły błysk, który zapalił się w oczach Lesy, zgasł równie gwałtownie.

- Nie rozumiem.

- Leso, musisz zrozumieć, że to, co się zdarzyło tobie i twojej rodzinie, zdarzyło się na pełnym morzu, na obszarze nie objętym jurysdykcją poszczególnych państw. Musielibyśmy się dowiedzieć, w jakim kraju jacht był zarejestrowany.

- Nie objętym prawami ludzkości i przyzwoitości? - Nagle w oczach i w głosie dziewczynki pojawiła się straszna nienawiść.

Dawid poczuł się dezorientowany, to dziecko przemawiało do niego językiem dorosłych. Pokręcił głową.

- Nie, Leso. Gdyby to zależało ode mnie, odnalazłbym ich i wymierzył sprawiedliwość. Ale to nie zależy ode mnie.

- Jest pan policjantem!

- Jestem tylko tłumaczem w policji. Proszę cię, Leso, uwierz mi, że zrobiłem wszystko, żeby przekonać władze do podjęcia twojej sprawy.

- Nie - wykrzyknęła Lesa z płonącymi oczami i poderwała się z krzesła. - Nie wierzę panu! Jest pan taki sam jak reszta *gwailo!* - *Gwailo* oznaczało cudzoziemskich diablów i była to jedyna obelga, jaka przyszła jej do głowy. - Nie chcę pana nigdy więcej widzieć! - Nie czekając nawet, jaki efekt wywołają jej słowa, wybiegła z przyczepy i pędziła na oślep przez plac w kierunku swojego baraku. Upadła twarzą na materac w swojej przegrodzie i tłukła pięściami z wściekłości i poczucia zawodu. Znowu została zdradzona. Jak głupia przypuszczała, że ci na pozór porządni ludzie będą tak wstrząśnięci tym, co przydarzyło się jej i rodzinie, że nie cofną się przed niczym, byle pochwycić tę szajkę. Jak mogła być tak

głupia, żeby im zaufać! Jak mogła być tak dziecinnie naiwna!

Po jakimś czasie Lesa uspokoiła się i zaczęła myśleć jasno i logicznie, z właściwym sobie wyrachowaniem.

- Ja ich odnajdę, Neti - szeptała z pasją w ciemności. - Odnajdę ich wszystkich i zabiję po kolei. Przysięgam ci na dusze naszych przodków, Neti. Przysięgam przed Bogiem i Buddą, że zanim zejdem do grobu, zabiję ich wszystkich...

39.

Urozmaiceniem nudnej egzystencji Lesy stała się możliwość przysłuchiwania się lekcjom angielskiego, których poczciwa siostra Teresa regularnie udzielała dzieciom w ciemnym baraku. Słuchając, jak siostra Teresa czyta dzieciom opowiadania Rudyarda Kiplinga, Lesa doznała prawdziwego objawienia. Błagała zakonnice, żeby pożyczyła jej kilka książek. Siostra Teresa z uśmiechem wręczyła jej parę powieści dla dzieci Enid Blyton i poradziła zapisywać wszystkie niezrozumiałe słowa.

Trudno było przebrnąć przez pierwszych pięćdziesiąt stron pierwszej książki. Jednakże szybko poprawiająca się znajomość angielskiego przemieniła te zmagania w jasne światło, które stawało się coraz jaśniejsze z każdą przeczytaną stroną. Kiedy Lesa doszła mniej więcej do trzech czwartych objętości książki, czytała już dla czystej przyjemności. Pogrążyła się w przygody rozgrywające się w całkowicie obcym świecie, gdzie dzieci z klasy średniej, których rodzice mieli służbę i lokajów, biwakowały w nocy w lesie, nie lękając się żadnych niebezpieczeństw, i ścigały przemytników. Lesa uznała, że Anglia musi być wspaniałym krajem.

Potem już czytała, czy raczej pochłaniała dwie albo trzy książki dziennie, a także wszystkie czasopisma i gazety, jakie tylko wpadły jej w ręce. Dla siostry Teresy przyszły ciężkie czasy, ledwie mogła nastarczyć lektur dla swojej cudownej uczennicy, a ta w dodatku zasypywała ją coraz nowymi wykazami starannie zapisanych słów, których znaczenie trzeba było wytłumaczyć.

- To dziecko ma wspaniały talent - zwierzyła się siostrze Weronice. - Prawdziwy dar Boży.

- Ważniejszym darem są nasze dusze - ucięła siostra Weronika przypominając siostrze Teresie, gdzie jest jej miejsce.

Po tygodniu Enid Blyton zaczęła nudzić Lesę. Zawarte w książkach historie były co prawda wspaniałe, ale trochę cklewe, niewiele wносиły do znajomości Anglii czy języka.

Siostra Teresa nie zdawała sobie sprawy, jakie to spowoduje konsekwencje, kiedy wręczyła Lesie pożółkły tom *Tessy d'Urberville*. Jeżeli Enid Blyton była iskrą, to Thomas Hardy stał się płomieniem.

Wymagało to od Lesy wielkiego skoku intelektualnego, ale kiedy oswoiła się ze stylem Hardy'ego, historia prostej wiejskiej dziewczyny, doprowadzonej do popełnienia morderstwa przez sposób, w jaki ją traktowano, uderzyła w szczególną strunę. Lesa wielokrotnie przeczytała książkę, zdobywając przy każdej kolejnej lekturze coraz głębszy wgląd w naturę Tessy i jej cierpienia. Tak dokładnie identyfikowała się z bohaterką Hardy'ego, że nawet niejasny symbolizm złożenia Tessy w ofierze w Stonehenge wydawał jej się oczywisty. Najbardziej jednak wstrząsnęła Lesą nazwa wymyślonego przez pisarza hrabstwa w zachodniej Anglii.

Wessex.

To był jakiś omen. Jakby duch tego nie znanego mężczyzny, Thomasa Hardy'ego, mężczyzny tak obcego jej kulturze, jak tylko można sobie wyobrazić, przemówił do niej zza grobu ze współczuciem i zrozumieniem i skierował ją na drogę nieodwracalnego przeznaczenia, z której nie było powrotu.

40.

Od tej pory literacki głód Lesy był nie do zaspokojenia. Siostra Teresa przeszukiwała bibliotekę klasztorną w pogoni za Dickensem, Galsworthym, Jane Austen, siostrami Bronte, a nawet Scottem Fitzgeraldem. Była to bardzo liberalna biblioteka. Ale nawet to nie wystarczało Lesie. Zaczęła zanudzać wolontariuszy pracujących w obozie, a ci dostarczali jej kieszonkowe wydania autorów takich jak Harold Robbins, którzy rzadko figurowali w katalogach klasztornych bibliotek.

- Bóg świadkiem - powiedziała pewnego popołudnia siostra Teresa, przedzierając się przez kolejną listę słów Lesy - że musimy kupić temu dziecku słownik. Ciekawa jestem, skąd wzięła na przykład to słowo?

Siostra Weronika podniosła głowę znad biurka.

- Jakie słowo?

- *Fellatio*. Jestem pewna, że nie znalazła go u Jane Austen. Czy mam jej powiedzieć, co to znaczy?

Siostra Weronika miała zdziwioną minę.

- A co to właściwie znaczy?

41.

Był sierpień. Nad zamkniętą przestrzenią obozu Sham Shui Po wisiał straszliwy upał pomieszany z zapachem stłoczonych ludzi; przypominało to odór rozkładającej się padliny. Od czasu do czasu poruszał stojące powietrze ryk przelatującego odrzutowca, dodając zapach benzyny do i tak paralizującej mieszanki. Wysokie mury obozu wchłaniały ciepło słoneczne i zatrzymywały najmniejsze podmuchy wiatru. Nawet zazwyczaj niestrudzone dzieci wydawały się przygaszone przez ową zniewalającą duchotę.

Lesza usadowiła się na swoim zwykłym miejscu, w cieniu północnej ściany kobiecego baraku, i czytała *The October Country* Raya Bradbury'ego. Przechodziła właśnie fazę fantastyki i science fiction. To była nowa książka, naładowana metaforami, ale Lesza nie mogła skoncentrować rozproszonych myśli. Rozważała nawet możliwość ucieczki, ale odrzuciła ją po starannej analizie. Nie miała wątpliwości, że mogłaby bez trudu przedostać się w nocy przez mur, nie była jednak pewna, czy potrafiłaby przeżyć w miejskiej dżungli Hongkongu. Z lektur wynikało, że to miejsce znacznie bardziej niebezpieczne niż dżungle Wietnamu. Policja tropiła uciekinierów z zamkniętych obozów z zaciętą determinacją. Nie kierowali się przy tym złośliwością wobec uchodźców, władze Hongkongu po prostu nie chciały, by do Wietnamu i Kampuczy dotarła wieść o łatwym życiu w kolonii, bo mogłoby to spowodować nowy zalew uchodźców wsiadających na rozmaite łodzie, by pokonać Morze Południowochińskie.

Lesza zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby udało jej się pozostać na wolności, to w braku jakichkolwiek dokumentów czy dowodów tożsamości skończyłaby niewątpliwie jako prostytutka pracująca dla szefów Triady. Mimo upału sama myśl o tym, że dotykałby jej mężczyzna, przyprawiała ją o dreszcze. Możliwość legalnego opuszczenia obozu wydawała się mało prawdopodobna. Kanadyjczycy, Brytyjczycy i Amerykanie przyjmowali przede wszystkim rodziny, których członkowie mogli się wzajemnie wspierać w nie znanym kraju. Samotną nastolatkę natomiast trzeba by umieścić w sierocińcu, a takich problemów wszyscy unikali.

Lesza czytała właśnie jedną z dziwacznych historii Raya Bradbury'ego - o karle w sali zwierciadlanej - kiedy przyszło jej coś do głowy. Może jednak udałoby się uciec. Trzeba będzie wykorzystać ludzi, ale to jej nie martwiło. Dawno już zdecydowała, że jeżeli wypełnienie posłannictwa, czyli dokonanie zemsty, będzie wymagało posługiwania się ludźmi, nawet deptania ich, zrobi to bez wahania.

Zamknęła książkę i skierowała się w stronę żółtej przyczepy. Siostra Teresa pisała na

zabytkowym Remingtonie. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Jak się masz, Leso. Przykro mi, ale nie miałam czasu zrobić twojej ostatniej listy słów.

- Nie szkodzi, siostrze. Właściwie przyszedłam poprosić o przysługę. Wielką przysługę.

Siostra Teresa zamrugnęła. Ilekroć Lesa zwracała się do niej, zawsze doznawała wstrząsu z powodu tempa, w jakim - po prostu z dnia na dzień - poprawiał się angielski dziewczynki. Jakby każdego dnia rodziła się nowa Lesa. Teraz posługiwała się kolokwialnym angielskim jak osoba dorosła. Zadziwiające.

- O jaką przysługę ci chodzi, Leso?

- Czy mogłaby siostra wysłać wiadomość do Dawida Jansona w Centralnym Komisariacie Policji w Kowloonie? Proszę mu powiedzieć, że przykro mi z powodu tego, co mu powiedziałam, i że bardzo bym chciała go zobaczyć. - Zakonnica zanotowała treść informacji i obiecała skontaktować się z Jansonem.

Lesa wróciła na swoje ulubione miejsce i zabrała się z powrotem do Raya Bradbury'ego. Przerwały jej odgłosy zwady. Klótnie między uchodźcami były czymś normalnym, zwłaszcza popołudniami, kiedy upał stawał się bardziej dokuczliwy i ludzie łatwo tracili panowanie nad sobą. Rzadko jednak były to poważne zatargi i na ogół szybko dochodziło do zgody. Ten spór skończył się nawet szybciej niż zwykle. Stara kobieta ścisnęła dzbanek ze skradzionymi kostkami lodu. Krzyczała na dwóch wyrostków, którzy zablokowali jej drogę i nie ukrywali, że zamierzają mieć jakiś udział w jej zdobyczy. Lesa widywała przedtem tę starą kobietę, która zawsze wydawała się czymś zaabsorbowana, zawsze zajęta własnymi sprawami. Jeszcze jedna samotna osoba. Jeden z wyrostków złapał kobietę za spódnicę, ale ona odepchnęła go ze zręcznością nie spotykaną u osoby w tym wieku. Drugi wyrostek złapał za dzbanek. To, co się stało następnie, było sekwencją trudnych do zaobserwowania ruchów, w wyniku których już po chwili obaj młodzieńcy skręcili się na bruku, trzymając się za genitalia i jęcząc z bólu. Lesa akurat mrugnęła i przez to nie zauważyła tego, co zrobiła stara kobieta. Teraz kobieta zniknęła w tłumie, przyciskając do piersi swój dzbanek, zanim pojawili się dwaj strażnicy, by wyjaśnić przyczynę zamieszania.

42.

Tego wieczoru Lesa odnalazła starą kobietę. Siedziała na skrzynce od pomarańcz odwrócona plecami do Lesy, w najdalszym krańcu baraku, i paliła fajkę.

- Czego chcesz ode mnie, dziecko? - powiedziała nie odwracając się.

Lesę zaskoczył jej doskonały słuch i młody głos.

- Widziałam, co się przydarzyło tym dwóm chłopcom dziś po południu.

Stara kobieta wypuła sok tytoniowy na betonową posadzkę i odwróciła głowę w stronę Lesy. Jej twarz była pomarszczona, skóra miała kolor starego pergaminu, ale oczy były żywe i błyszczące humorem.

- Bardzo w to wątpię.

- Ależ tak, widziałam.

- Więc powiedz mi, co zrobiłam.

Lesy nie wiedziała, co powiedzieć.

- Prawdę mówiąc, nie widziałam dokładnie.

- Właśnie! - Stara kobieta wykrzywiła się w triumfalnym uśmiechu. - Ciągle jestem szybka. Byłam najszybsza, oczywiście.

- W czym najszybsza?

Uśmiech zniknął w sieci zmarszczek.

- Nie twój interes.

Lesy ukłękła przed kobietą i ujęła jej powykrzywianą dłoń w swoją.

- Czy nauczysz mnie swojej sztuki?

Błyszczące oczy wpatrywały się w nią z napięciem.

- Czy jesteś dziewicą?

- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Ocena należy do mnie. A więc?

Lesy wytrzymała wzrok starej kobiety bez mrugnięcia.

- Nie.

- Opowiedz mi o swoich mężczyznach. - Kobieta mówiła rzeczowym tonem, bez najmniejszej nuty potępienia, która byłaby normalna u osoby w jej wieku.

Lesy spojrzała na zegarek Lina, jakby spodziewała się ujrzeć jego twarz.

- Pierwszym był chłopiec mniej więcej w moim wieku. Tylko raz.

- Kochałaś go?

- Tak. Następnym razem zgwałciło mnie kilku mężczyzn.

- Piraci?

- Tak.

Stara kobieta ponownie przypaliła fajkę zapalniczką Bic. Lesy zobaczyła odbicie płomienia w oczach, które nie przestawały jej się przyglądać. Chciała przerwać to wpatrywanie, ale stara kobieta przytrzymała ją wzrokiem, jakby zdobyła nad nią jakąś tajemną moc.

- I teraz nienawidzisz swojego ciała?

Po krótkiej chwili wahania Lesa skinęła głową.

Stara kobieta znowu splunęła.

- Nie mogę ci pomóc, dziecko. Żeby nauczyć się sztuki Wing Chun i stać się kobietą *ninja*, musiałabyś się nauczyć kochać swoje ciało, bo jest ono zarówno brodnią, jak i świątynią *ninja*.

- Jeżeli to konieczne, nauczę się kochać swoje ciało - powiedziała Lesa bez przekonania.

Stara kobieta przyglądała jej się przez kilka sekund. Powoli skinęła głową.

- Musisz zacząć od dzisiaj. Musisz pościć przez cztery dni, żeby oczyścić organizm. Pij tylko wodę. I od tej pory musisz na zawsze przestać jeść mięso, chyba że będziesz mogła pokonać przeciwnika jedynie siadając z nim do stołu. Przyjdź do mnie jutro o tej samej porze.

43.

Następnego dnia o wyznaczonej porze Lesa odwiedziła starą kobietę. Kobieta siedziała na swojej skrzynce od pomarańcz i pruća stary płaszcz posługując się paznokciami, które były długie i ostro zakończone. Miała podwinięte rękawy, na lewym przedramieniu widać było wytatuowany półksiężyc w kolorze krwistoczerwonym. Wskazała ręką, by Lesa usiadła na podłodze.

- Podobno masz na imię Lesa?

- Tak.

- I jesteś tu sama?

- Tak. A jak ty masz na imię?

- Możesz mnie nazywać Ko - odpowiedziała stara kobieta. - Czy rozpoczęłaś post?

- Tak - powiedziała Lesa z pewnym naciskiem, ponieważ nie jadła nic od dwudziestu czterech godzin. - Umieram z głodu.

Ko roześmiała się. Nie był to rechot starej kobiety. Miała zdrowe zęby, bez obrzydliwych śladów betelu, jak to się zazwyczaj zdarzało u starszych ludzi.

- Pamiętaj, kiedy skończysz pościć, nie jedz więcej mięsa; ryby owszem, ale nie mięso. Nawet jeśli nie zostaniesz *ninja*, będziesz zdrowsza i na ciele, i na duszy.

- Powiedz mi o *ninja*.

Stara kobieta zmarszczyła brwi.

- W niektórych środowiskach nie wolno nawet wymawiać tego słowa.

Lesia słuchała uważnie, kiedy Ko przytaczała w skrócie dzieje tej dziwnej sztuki wojennej. Zapoczątkowała ją książka *Sztuka wojny*, napisana tysiąc pięćset lat wcześniej przez chińskiego generała Sun Tzu. Popierał w niej system walki partyzanckiej - zabijania ukradkiem. Na użytek walki bezpośredniej opracował system bezgłośnych, acz śmiertelnych zapasów, opartych na maksymalnej oszczędności ruchu. Jego nauki dotarły do Japonii, gdzie dały początek straszliwym klanom śmierci *ninja*. W odległych górskich wioskach regionu Koko na głównej wyspie każde dziecko w wieku pięciu lat rozpoczynało szkolenie w śmiertelnej technice generała Sun Tzu. Od dziesiątego roku życia dziewczynki pobierały dodatkowe nauki w sztuce uwodzenia. Ta zmodyfikowana wersja sztuki walki Sun Tzu została rozwinięta przez kapłankę Yim Wing Chun tysiąc lat po śmierci generała. Była jednak równie groźna. W nocy członkowie klanu *ninja* obojga płci ubierali się na czarno i wtapiali w dżunglę jak duchy, by porażać śmiertelnych wrogów. Samurajowie przekonali się, że ich umiejętność władania mieczem na nic się zdaje, kiedy dochodzi do walki z owymi nieuchwytnymi duchami lasu. Osaczony wojownik *ninja* potrafił jednym kopnięciem złamać rękę samuraja jak zwykłą gałązkę. Samuraj-wojownik ze złamaną ręką stawał się martwym samurajem po zetknięciu z rękami i stopami swoich przeciwników z klanu *ninja*.

Sława nauk Sun Tzu rozprzestrzeniła się stopniowo po całym Wschodzie. Do małych wiosek w regionie Koko wysyłano ambasadorów z prośbą, by starsi wioski zgodzili się posłać nauczycieli sztuki *ninja* do innych krajów. Nie wszystkie wioski jednak nadawały się do tego, nie wszystkie miały ochotę przekształcić się w tajne związki poddane surowemu reżimowi treningu, jak tego wymagała straszna dyscyplina sztuki Sun Tzu. Ko pochodziła z wioski, w której praktykowano sztukę Sun Tzu, choć jej oddziaływanie znacznie zmalało z nadejściem dwudziestego wieku. Ko jako jedyna przeżyła nalot napalmowy. Pradawna sztuka walki *ninja* nie mogła się zmierzyć z tym, co Ko nazywała „ogniem z nieba”. Ko wierzyła, że jest ostatnią żyjącą kobietą z Wietnamu znającą *ninja*.

- Inne sztuki wojenne ograniczają się jedynie do sposobów walki - mówiła Ko z pogardą, pracowicie rozpruwając palcami szwy. - *Ninja* uczy nie tylko, jak zabijać, ale tego wszystkiego, co jest potrzebne, by zniszczyć wroga, a więc szpiegostwa, znajomości lasu, odnajdywania śladów, zabójstwa, uwodzenia, zatruwania plonów i zbiorników wodnych, zakładania pułapek.

- Czy Wietkong posługiwał się tą sztuką? - spytała Lesia, przypomniawszy sobie szkielet Amerykanina w zasadzce *punji*.

- W porównaniu z wojownikami *ninja* żołnierze Wietkongu to nieporadne zwierzęta - ucieła Ko z nieoczekiwaną gwałtownością. - Nie można naśladować umiejętności *ninja*. Żeby

się nimi posługiwać, musisz się stać *ninja*. Coś ci pokażę.

Stara kobieta zerwała się na nogi z tą zadziwiającą zręcznością, jaką zademonstrowała poprzedniego dnia, wyjęła jedną całą deskę z palety i oparła ją o ścianę. Na wysokości około metra nad ziemią wystawał z deski błyszczący łepok gwoźdź. Kobieta zawiesiła na nim dwie śliwki.

- To - wskazała na udekorowaną owocami deskę - jest nieprzyjaciel. Mężczyzna. Rozumiesz?

Leska spojrzała na wiszące śliwki i uśmiechnęła się. Skinęła głową.

- A teraz patrz uważnie.

Ko stanęła na wprost deski i nagle stało się coś nieoczekiwanego. Leska miała wrażenie, że Ko przekształciła się w młodą kobietę. Opuszczona głowa, oczy wbite w ziemię, ręce złożone na piersi - pełna służalczości postawa młodej, poważnej dziewczyny stojącej posłusznie przed swoim panem i władcą w oczekiwaniu na rozkazy. Ko stała tak przez kilka sekund. Doskonale nieruchoma i pogodna. I nagle, bez ostrzeżenia, wyrzuciła nogę w przód. Ruch był tak szybki, że nie udało się śledzić jego faz. Coś mokrego bryzgnęło na gołe przedramię Lesy. Deska zachwiała się, a Ko znowu stała z ramionami pochylonymi do przodu jak panna młoda w dniu ślubu. Spojrzała na Lesę, pokazując w uśmiechu zęby. Leska wpatrywała się zdumiona w deskę. Śliwki przestały istnieć. Na ich miejscu znajdowała się masa skóry i mięszu, sok spływał po desce na podłogę, zostawiając plamy na betonie. Kawalek śliwki rozprysnął się na ramieniu Lesy.

- Tak postępuje członkini klanu śmierci *ninja* - wyjaśniła z prostotą Ko. - Żadnych głupich grymasów. Ani krzyków. Żadnej postawy wyjściowej. To są sposoby walki mężczyzn. Kobieta *ninja* uderza bez ostrzeżenia. I uderza tylko raz. - Wyciągnęła bosą stopę, by Leska mogła ją obejrzeć. Nie było śladu żadnego uszkodzenia od wystającego gwoźdź.

- To, co kobieta ma między nogami, jest jej najmocniejszą bronią - kontynuowała Ko. - To, co ma między nogami mężczyzna, jest jego najgroźniejszym wrogiem.

- Czy w ten sposób kopnęłaś wczoraj tamtych chłopaków? - zapytała Leska.

Ko uśmiechnęła się.

- Tak. Ale nie bardzo mocno. Chciałam tylko, żeby się odczepili.

- Wskazała głową na swoją deskę. - Gdyby to był mężczyzna, byłby teraz bliski śmierci i modliłby się, żeby jak najszybciej go wyzwoliła.

Stara kobieta zaczęła wyjaśniać, na czym polega technika takiego kopnięcia. W przeciwieństwie do metod innych sztuk wojennych, w których walczący obracają ciało w biodrze, żeby przenieść impet uderzenia na zewnętrzną stronę nogi, groźne kopnięcie *ninja*

trafia na wprost, siła ciosu przenosi się pionowo z biodra na wyprostowaną sztywną nogę. Szczególnie niebezpieczne jest kopnięcie w krocze.

- Kopie się zewnętrzną stroną podeszwy, tuż pod palcami - wyjaśniała Ko. Nie jest to tak silne uderzenie jak z obrotu, ale dosięga męskiego krocza. Pokażę ci, jakie ćwiczenia powinnaś robić, żeby palce stopy w chwili kopnięcia odwracały się do góry. W ślad za kopnięciem należy wepchnąć kciuk i wskazujący palec lewej ręki w oczy nieprzyjaciela, kiedy zgina się pod ciosem. W tym celu musisz wyhodować sobie dłuższe paznokcie. Na dzisiaj wystarczy. Przyjdź jutro i zaczniemy poważny trening. Zaczynasz trochę za późno. Trzeba wiele czasu nadrobić.

- Lesa! - rozległ się głos siostry Weroniki.

Lesa odwróciła się. Na drugim krańcu baraku rysowała się na tle wejścia sylwetka zakonnicy.

- A, tutaj jesteś, dziecko. Masz gości.

44.

- Jak się pani ma, pani Janson - powiedziała uprzejmie Lesa wymieniając z Carrie uścisk dłoni.

- Dziękuję, Leso, bardzo dobrze. Mówisz świetnie po angielsku.

- Uczy się niesłychanie szybko - powiedziała zasadniczym tonem siostra Weronika. - Ktoś daje jej bardzo nieodpowiednie książki. Usiłowałam położyć temu kres, ale Lesa ciągle dostaje te książki. Dziś rano musiałam skonfiskować Artura Millera. *Zwrotnik Raka*. Ohyda.

- Henry'ego Millera - poprawiła Lesa.

Dawid Janson pochwycił spojrzenie żony i z najwyższym trudem zachował powagę.

- Zostawię państwa samych - oświadczyła siostra Weronika. Zamknęła za sobą drzwi przyczepy i maszerowała na przełaj przez plac, żeby przywołać do porządku całującą się parę. Dawid uśmiechnął się ciepło.

- Jak sobie radzisz, Leso?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała Lesa mając nieprzyjemną świadomość, że Carrie Janson nie spuszcza z niej wzroku.

- A jak twoje ramię?

- Co dzień lepiej.

- Tak jak twój angielski - zauważył Dawid.

Lesa dotknęła lewego ramienia.

- Już prawie nic nie boli. Bardzo mi przykro z powodu tego, co powiedziałam, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem.

- Nie przejmuj się - rzucił swobodnie Dawid. - Rozumiem doskonale, co czujesz. Zapomnijmy o tym. Przyprowadziłem z sobą Carrie, ponieważ tyle o tobie słyszała. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, oczywiście, że nie. Bardzo miło panią poznać, pani Janson - Lesa uśmiechnęła się nieśmiało do Carrie.

Zanim Carrie odpowiedziała jej uśmiechem, wahała się przez kilka sekund.

- Przynieśliśmy ci kilka numerów „National Geographic”.

- Wskazała plastikową torbę na biurku. - Dawid mówił mi, jak bardzo je lubisz.

- To bardzo miło z pani strony, pani Janson.

- Bardzo proszę, mów mi Carrie.

- Carrie. - Uśmiech Lesy był ujmujący. Wyczuła pierwotną rezerwę starszej kobiety i miała nadzieję, że udało jej się ją pozyskać.

- Gdybyś czegoś jeszcze potrzebowała... - zaoferował się Dawid.

- Potrzebna mi pomoc - podchwyciła Lesa. - Chciałabym chodzić do szkoły. Chciałabym się uczyć.

Dawid i Carrie wymienili spojrzenia.

- Nie wiem, czy to będzie możliwe - powiedział ostrożnie Dawid, nie chcąc prowokować podobnego wybuchu jak ostatnim razem.

Wydawało się jednak, że Lesa wydorosłała. Skinęła poważnie głową.

- Rozumiem. Był taki artykuł w „South China Post”. Kraje, które godzą się przyjmować uchodźców z łódek, dają pierwszeństwo rodzinom. - Spojrzała kolejno na Jansonów. Zdobyć ich współczucia miało podstawowe znaczenie dla jej planu. - Mogę być tu więziona przez całe miesiące. Może przez lata. Jedyna dla mnie szansa wydostania się stąd zależy od państwa: gdybyście mogli znaleźć jakieś małżeństwo, które zgodziłoby się mnie zaadoptować.

45.

- Nie, Dawidzie - powiedziała stanowczo Carrie, kiedy siedzieli przy wieczornym posiłku.

- Dlaczego nie?

- Bo nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. Dziecko pochodzące z kręgu naszej

własnej kultury sprawiłoby nam wystarczająco dużo problemów natury uczuciowej.

- Ona wchłania kulturę zachodnią jak bibuła - zauważył Dawid nalewając sobie kolejny kieliszek wina. - Przywiązała się nawet do nazwiska, które nadała jej załoga helikoptera. A co do problemów natury uczuciowej, to nie rozumiem, do czorta, jakie można mieć trudności w pokochaniu tak wdzięcznego, inteligentnego dziecka?

- Nie myślisz o jej problemach?

- Ona chce, żeby ją zaadoptować. Wyraźnie wiele o tym myślała. A nawet jeśli będzie to dla niej jakiś problem, co nie wydaje mi się prawdopodobne w tej chwili, nie da się porównać z tym, co przeszła do tej pory.

- A jak, twoim zdaniem, zdoła się dopasować do angielskiego społeczeństwa? - zareplikowała Carrie, zdając sobie sprawę ze słabości tego argumentu. Miała świadomość, że szuka wymówek, by nie poruszać tego, o czym naprawdę myślała.

- Na miłość boską! Ona się łatwo adaptuje. Trzy miesiące temu żyła jak wieśniaczka w dżungli. Nigdy nawet nie korzystała z ubikacji. A teraz, jeśli wierzyć słowom siostry Teresy, czyta Thomasa Hardy'ego.

- Przykro mi, Dawidzie, ale nie mogę się opędzić od myśli, że byłaby to straszna pomyłka.

- Carrie, powiedz mi, dlaczego? Gdyby to było dziecko takie jak każde inne, przyznałbym ci rację. Ale nie. Ona ma fenomenalny iloraz inteligencji. Popatrz tylko, jak szybko, w ciągu zaledwie kilku tygodni, opanowała angielski niemal do perfekcji. Pomyśl o tym, ile mogłaby skorzystać chodząc do szkoły. Pomyśl, jak dobra dla nas byłaby jej obecność. Carrie, przecież nie młodniejemy. Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co myślisz. W głębi duszy wiesz, że nie możemy mieć dzieci, ale nie chcesz się do tego przyznać, a jesteśmy za starzy, żeby zaadoptować niemowlę.

Carrie otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Pokręciła głową.

- Nie wiem, Dawidzie. Po prostu to nie jest... nie...

- Jest nieprofesjonalne?

- Tak.

- Ale kto, do diabła, chce być profesjonalny? Ja dla odmiany pragnąłbym postąpić po ludzku. I nie chcę przez resztę życia zastanawiać się, co się stało z tym dzieckiem, i czuć do siebie nienawiść, tylko dlatego że zdecydowałem się przejść na drugą stronę ulicy.

Carrie nic nie odpowiedziała. Dokładnie taka sama myśl przyszła jej do głowy. Było coś niezwykle ujmującego w tajemniczym uśmiechu dziewczynki, coś, o czym nie dało się zapomnieć. Tkwiło w mózgu przez cały czas jak natarczywa wizja cierpienia z obrazu Dali.

Dawid zaśmiał się cicho.

- Jeden facet na posterunku powiedział mi, że przeżywa się na nowo swoje życie oczami dziecka, ale dopiero wtedy kiedy dzieci są starsze. Uważa całe te naturalne więzy między rodzicami i dziećmi za kompletną bzdurę. Twierdzi, że dzieci powinno się zabierać rodzicom zaraz po urodzeniu i oddawać, dopiero kiedy mają jakieś czternaście lat.

Bezsens tego pomysłu wywołał uśmiech na twarzy Carrie. W tym samym momencie wyobraziła sobie, jak robi zakupy z Lesą na Oxford Street, jak Lesa radośnie godzi się na wszystko, co Carrie wybiera. Każda sugestia Carrie przyjmowana jest z tym samym słodkim, cudownym uśmiechem. Obraz ten zapanował nad jej wyobraźnią z przemożną siłą.

Dawid zauważył jej uśmiech. W jego serce wstąpiła nadzieja.

- No więc?

Carrie spojrzała mu w oczy i skinęła głową:

- No więc, zgoda, Dawidzie.

46.

Do zapadnięcia zmroku pozostawała jeszcze godzina, kiedy Lesa postanowiła przejrzeć numery „National Geographic” przyniesione przez Dawida i Carrie. Bardzo się zdziwiła, że pisma wydały jej się nudne. Czar prysnął. Teraz, kiedy umiała czytać, zdjęcia nie stanowiły już jedyne źródła informacji. Przeczytała artykuł o głodzie w Etiopii i odkryła, że dwa tysiące słów dobrze napisanego i udokumentowanego artykułu wywierają znacznie większe wrażenie niż towarzyszące im fotografie wymizerowanych dzieci z rozdętymi brzuchami i rojem much obsiadających ich ciała.

Już miała odłożyć czasopismo na stos razem z innymi, kiedy jej uwagę zwróciły zdjęcia Ziemi wykonane z satelity. Jedno ze zdjęć przedstawiało, jak informował podpis, przystań jachtową na Lazurowym Wybrzeżu. Czyste zarysy jachtów zakotwiczonych przy molach były zadziwiająco wyraźne. Widać było nawet ludzi opalających się na dachach kabin. Na pokładzie jednego z morskich jachtów sześciuosobowa grupa grała w karty. Lesa wpatrywała się w zdjęcie przez kilka minut w całkowitym osłupieniu. Wydawało się, że fotografię wykonano z wysokości czterystu metrów, a nie czterystu kilometrów, jak głosił podpis. Lesa wyrwała stronę z artykułu i odniosła resztę czasopism do baraku, gdzie odbywały się lekcje.

W nocy, w samotności swojej palety, zapaliła latarkę i dokładnie studiowała zdjęcie. Porównywała je ze swoimi szkicami jachtu i w jej bujnej wyobraźni zaczęły powstawać zaczątki pewnego planu. Zgasła latarkę. W ciemności rozlegał się bzyk komara.

- Jeden krok na raz, Neti - szepnęła. - Krok po kroku, ale dotrę tam, Neti, przysięgam ci.
Komar brzęczał coraz bliżej jej twarzy. Słuch Lesy był tak wspaniale skoordynowany z ruchami ręki, że nawet w ciemności potrafiła złapać i zabić komara.

47.

- Co robi ta mała?

Siostra Teresa spojrzała znad maszyny do pisania. Pisała właśnie list do Oxfamu z podziękowaniem za ostatni transport pościeli. Popatrzyła w ślad za wzrokiem siostry Weroniki na drugą stronę placu, gdzie około trzystu podekscytowanych dzieci pod okiem instruktora utworzyło długiego, krętego węża.

- To smok, siostrze.

Starsza zakonnica okazała zniecierpliwienie.

- Nie o nich mi chodzi. Ta Wessex, tam pod barakiem. Kopie w ścianę. Co za idiotyczne ćwiczenie!

Siostra Teresa obserwowała Lesę przez kilka minut. Dziewczynka miała na sobie króciutkie szorty, co podkreślało długość jej zgrabnych nóg. Ćwiczyła kopanie w ścianę na bosaka. Na głowie miała błyszczącą opaskę, a przepocona koszulka trykotowa bez rękawów przylegała do ciała jak zapasowa skóra. Lesę otaczała grupa nastolatków, którzy obserwowali ją z wyraźną aprobatą.

- To jest świadomie prowokujące zachowanie - stwierdziła surowo siostra Weronika. - Będzie jej siostra musiała powiedzieć, żeby nosiła stanik czy coś podobnego.

- Oczywiście - zgodziła się siostra Teresa, zdecydowana, że nic takiego nie zrobi. - Ona tak ćwiczy od kilku dni. Godzinę rano i godzinę wieczorem.

- Po prostu kopie?

- Robiła też inne ćwiczenia, ale przeważnie kopie.

- Może sobie zrobić krzywdę.

- Jedna stara kobieta udziela jej instrukcji.

Siostra Weronika chrząknęła z dezaprobatą.

- To wszystko przez te książki, które siostra jej daje. Pewnie wbiła sobie do głowy jakieś bzdury i będzie chciała zostać na przykład baletnicą.

- Cokolwiek wbija jej teraz do głowy Marcel Proust - wtrąciła pojednawczo siostra Teresa - na pewno nie jest to balet.

Starsza zakonnica parsknęła gniewnie.

- Niedługo się pewno dowiem, że czyta Virginie Woolf!

- To było w zeszłym tygodniu, siostró.

*

- Robisz postępy - stwierdziła Ko obejrzawszy podeszwę stopy Lesy. Stara kobieta wyszła na plac, żeby sprawdzić, jak sobie radzi jej protegowana. - Która cegła jest twoim celem?

Leska wskazała na cegłę, na której wydrapała krzyżyk.

- Jutro posuniemy się wyżej - zdecydowała Ko. - Ale już kopiesz wystarczająco wysoko, wystarczająco mocno i wystarczająco celnie, żeby złamać szczękę mężczyźnie. Uczysz się szybko. Do czego mogłabym cię doprowadzić, gdybym cię dostała w swoje ręce, kiedy miałś pięć lat... Czy chciałabyś mieć dodatkowe sesje rano?

Ta propozycja wyraźnie ucieszyła Lesę.

- O tak, bardzo proszę.

- Dobrze. Pod koniec tygodnia potrafisz już skrócić mu kark. A potem zacniemy utwardzać dłonie.

48.

- W zasadzie nie ma problemu - powiedziała Carol Turner, wchodząc do biura Jansona w Centralnym Komisariacie Policji w Kowloonie. Położyła na jego biurku jakieś papiery. - Władze niezbyt chętnie patrzą na adopcję uchodźców. Trudno się temu dziwić. Dopóki trzymają uchodźców w obozach i traktują ich w miarę przyzwoicie, nikt nie może wystąpić z żadną poważniejszą krytyką. Natomiast adopcja przez mieszkańców Hongkongu może prowadzić do skandali. Wszyscy wiemy, co się stało z biednymi dziećmi, które pojechały na Filipiny.

Dawid rozumiał sytuację. Krążyły historie o tym, jak kompani prezydenta Marcosa na Filipinach odbywali stosunki seksualne z dziesięcioletnimi wietnamskimi dziećmi obojga płci, i o tym, że wielu wietnamskich nastolatków, chłopców i dziewcząt, musiało trudnić się prostytutką opanowaną przez szefów gangów w Manili.

- Będą nam potrzebne dla sądu dwa zaświadczenia o tobie i Carrie od inspektorów społecznych - kontynuowała pani kurator. - W ten sposób unikniemy wszelkich kłopotów.

- Bardzo ci dziękuję, Carol - powiedział z wdzięcznością Dawid przeglądając formularze. - Na kiedy to chcesz?

- Na jutro. Powiedz Carrie, żeby je wypełniła swoim charakterem pisma i żeby napisała

list przewodni do sądu. Zawsze lepiej to wygląda, jeśli inicjatywa wychodzi od kobiety. - Spojrzała pytająco na Dawida. - A co Carrie sądzi o tym wszystkim?

- Zgodziła się.

- Dawidzie, jeśli macie przekonać sędziego, że nadajecie się na przybranych rodziców, zgoda Carrie nie wystarczy. A jak się na to zapatruje dziewczynka? Co ona o tym sądzi?

- Przekonamy się dziś po południu.

49.

- No i co, Leso? - zachęcała siostra Teresa. - Nie masz nic do powiedzenia?

Leso nie dowierzała własnym zmysłom. Patrzyła po kolei na Dawida i Carrie.

- Nie rozumiem - wyjąkała, autentycznie wstrząśnięta niespodziewanym obrotem wydarzeń.

- To całkiem proste - wtrącił Dawid. - Jeżeli się zgodzisz, chcielibyśmy cię adoptować.

W tym momencie w ścianę przyczepy uderzyła piłka. Wszyscy aż podskoczyli.

- Zostalibyście prawnie moimi rodzicami?

- Czy chciałabyś tego, Leso? - zapytała Carrie. Podeszła bliżej do dziewczynki i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że są jednakowego wzrostu.

- Ale Dawid mówił, że państwo wkrótce wracają do Anglii.

Carrie spojrzała na męża zatroskanym wzrokiem. Oczywiście wahanie dziewczynki potwierdziło jedynie jej własną niepewność.

- To prawda. Pojechałabyś z nami. Mieszkałabyś z nami w Anglii i chodziłabyś do szkoły. Gdybyś popracowała intensywnie, mogłabyś nadrobić zaległości i zdawać w przyszłym roku małą maturę. Czy wiesz, co to mała matura?

- Wiem - odpowiedziała bezmyślnie Leso. Umysł jej pracował szybko. Nigdy dotychczas nie przyszło jej do głowy, że miałyby opuścić tę część świata. Wyjazd do Anglii oddali ją o tysiące kilometrów od potworów, które zmasakrowały jej rodzinę. Ale z drugiej strony, jeśli zostanie w obozie, będzie to zupełnie tak samo, jakby oddaliła się o tysiące kilometrów. Droga ucieczki, którą ofiarowali jej Dawid i Carrie, była jedyną możliwą dla niej drogą. Mogła ją jedynie zaakceptować, nie miała wyboru. Przyglądała się kolejno każdemu ze swoich przyszłych przybranych rodziców. Prawie nic o nich nie wiedziała. Jak będzie wyglądało życie z nimi na co dzień? Jak będą ją traktowali? Raczej nie miała wątpliwości co do Dawida. Ale Carrie? Widziała zatroskany wyraz oczu Carrie i zorientowała się, że ta kobieta równie jak ona niepokoi się o przyszłość. Zdała sobie sprawę, że musi pozyskać

Carrie.

Nagle wzięły w niej górę uczucia zagubionej, małej dziewczynki, rzuciła się w objęcia Carrie i mocno się do niej przytuliła. Ten niespodziewany gest zaskoczył Carrie, nie dało się to jednak w żaden sposób porównać z siłą emocji, jakie ją ogarnęły, gdy przytulała do siebie szczupłe ciało Lesy. Carrie zazwyczaj nie demonstrowała uczuć, nie leżało w jej naturze odpowiadanie na podobne uściski. Ale ku własnemu zdumieniu, a także ku zdumieniu Dawida, tym razem zareagowała spontanicznie. Ciepło ciała Lesy, które wyczuwała przez cienki materiał letniej sukienki, zdecydowanie roztopiło jej ostatnie wątpliwości dotyczące ogromu zadania, jakiego się podejmowali.

50.

- Trzy tygodnie? - dopytywała się Ko, obracając swe kościste ciało pod strumieniem prysznica.

Lesa energicznymi ruchami palców namydlała włosy.

- Tyle czasu zajmie załatwienie formalności.

Obie kobiety brały prysznic razem z pięćdziesięcioma innymi. Wokół pętały się nagie dzieci, ochlapując się wodą z podłogi. Jak zwykle u wejścia na teren umywalni zgromadziła się grupka wyrostków. Bez względu na to, ile razy ich przepędzano, nieodmiennie powracali.

Defilada obnażonych kobiecych ciał dostarczała stałego widowiska, od świtu do zmierzchu.

Stara kobieta pociągnęła za sznurek wiszący nad głową, który wyłączał prysznic. Spojrzała na Lesę z powątpiewaniem.

- Nawet jeśli ktoś uczy się tak szybko jak ty, w tak krótki okres nie da się wtłoczyć treningu, który trwa całe życie. Ale wiele się nauczyłaś w ciągu miesiąca. Za trzy tygodnie nauczysz się jeszcze więcej.

Nagle rzuciła się na Lesę z podniesioną stopą. Gdyby to błyskawiczne kopnięcie dobiło celu, Lesa miałaby duży siniak na podbrzuszu, a może nawet obrażenia wewnętrzne. Ale dziewczyna wykonała obrót i opuściła krawędź dłoni na goleń atakującej nogi, w momencie gdy kopnięcie osiągnęło zamierzoną wysokość. Drugą ręką zakreśliła błyskawiczny łuk, dzięki czemu krawędź wyprostowanej dłoni wylądowała na szyi starej kobiety. Gdyby ruch ten miał siłę ciosu, niewątpliwie złamałby kark Ko.

Pomarszczoną twarz Ko wykrzywił dodatkowy grymas, kiedy usiłowała odzyskać równowagę.

- To dowodzi, że robię się stara i powolna - poskarżyła się. - Żeby pozwolić ci nie tylko na jedno, ale na dwa kontruderzenia! Dobrze opanowałaś pierwszą zasadę sztuki *ninja*, moje dziecko. Wieczna czujność. Ale musisz się jeszcze dużo nauczyć. Mamy przed sobą pracowite trzy tygodnie.

51.

Ścisły reżim treningu zaprowadzony przez Ko nie zostawił Lesie wiele czasu na czytanie w ciągu następnych trzech tygodni. Godzinne sesje ćwiczeń przeplatały się z wykładami na tematy tak od siebie odległe jak sztuka przebierania się i sztuka przeżycia. Większość z nich nie miała żadnego zastosowania we współczesnej rzeczywistości, na co Lesa nie omieszkała zwrócić uwagi. Lecz techniki walki, których się uczyła, były ponadczasowe. Na dwa tygodnie przed wyjazdem przełamywała deski palety dwoma uderzeniami. Na tydzień przed wyjazdem potrafiła już zręczniejsz posługiwać się własną siłą i wagą i łamała deski jednym ciosem. Doskonałość jej kopnięć polegała nie tyle na ich sile, ile na bezbłędnej celności. Ko wyraziła aprobatę dopiero wtedy, kiedy jej uczennica potrafiła zmiążyć owoce nie raniąc sobie stopy o gwóźdź, dokładnie w taki sposób, jak sama to kiedyś zademonstrowała.

Zapadał już zmierzch, kiedy Lesa po raz ostatni odwiedziła starą kobietę. Następnego dnia, jeśli wszystko pójdzie dobrze, opuści obóz Sham Shui Po, by nigdy więcej tu nie powrócić.

Kiedy pojawiła się Lesa, na twarzy Ko malował się smutek.

Instruowanie tej wyjątkowo uzdolnionej dziewczynki sprawiało jej olbrzymią przyjemność, do czego nie przyznawała się nawet przed sobą.

- Dużo się nauczyłaś w ciągu krótkiego czasu, moje dziecko. Więcej, niż przypuszczałam. Ale wielu rzeczy nie zdążyłaś się nauczyć. Nie opanowałaś sztuki posługiwania się własnym ciałem w celu uwiedzenia mężczyzny. Nie nauczyłaś się, w jaki sposób wykorzystywać swoje ciało i ciało mężczyzny, by całkowicie podporządkować go swojej woli.

Lesa wzruszyła ramionami. Nie żałowała bynajmniej, że ta część szkolenia nie dojdzie do skutku. Plany Ko, żeby posłużyć się ochotnikami płci męskiej, przyprawiały ją o mdłości.

- Ko, może z tym poradzę sobie bez trudu w sposób naturalny - powiedziała niedbale.

Stara kobieta wpatrywała się w swoją pupilkę jasnymi oczami, które zdawały się sięgać prosto do duszy Lesy.

- Być może. Jesteś wystarczająco sprytna, by wykorzystać każdą okazję. Ale czy chcesz wykorzystać swoje ciało jako seksualną broń? Najsilniejszą broń, jaką dysponujesz? Nie możesz się tego obawiać, dziecko. Mówię ci o tym, ponieważ zdaję sobie sprawę, że w głębi duszy ciągle jeszcze czujesz wstręt do własnego ciała mimo wszystkich moich nauk.

Ta przemowa zirytowała Lesę. Chciała już zakończyć tę sprawę.

- Ko, jeśli będę musiała posłużyć się własnym ciałem, zrobię to.

- Ale pewnego dnia musi pojawić się mężczyzna, któremu będziesz chciała ofiarować swoje ciało jako kobieta. To nieuniknione.

- Bardzo wątpię. Czy możemy kontynuować?

- To bardzo ważne, moje dziecko - nalegała Ko. Położyła powykręcane dłonie na ramionach Lesy i wpatrywała się w nią bez mrugnięcia. - Obowiązki *ninja* nie ograniczają się jedynie do lojalności wobec tych, którzy wynajmują jej umiejętności. Musisz również mieć dzieci. Im przekazesz swoją sztukę. Przeznaczenie jest jedynym nieprzyjacielem, którego nie możesz pokonać, więc musisz wiedzieć, kiedy się z nim pogodzić.

Lesy nic nie odpowiedziała. Ko pierwsza przerwała milczenie. Skinęła głową i powiedziała miękko:

- Wierzę, że jesteś już gotowa, by złożyć przysięgę *ninja*, jak nakazywał zwyczaj w mojej wiosce, ale jest jeszcze coś, co muszę zrobić. Usiądźmy.

Obie kobiety usiadły naprzeciwko siebie ze skrzyżowanymi nogami, na betonowej podłodze. Wzbudziło to ciekawość pozostałych, które zaczęły gromadzić się wokół, dopóki Ko ich nie przepędziła. Rozeszły się bez protestu. Ta dziwna stara kobieta budziła w nich lęk.

- Podwiń lewy rękaw.

Lesy wykonała polecenie i z zainteresowaniem obserwowała, jak Ko wyciąga z kieszeni bluzki kawałek drewna przypominający łopatkę. Na jego końcu wbita była szpilka, której ostrze wystawało kilka milimetrów poza krawędź drewnianka. Stara kobieta mocno uchwyciła lewą rękę Lesy i najpierw na próbę pomachała łopatką. Ostra szpilka wywołała krótkie ukłucia bólu, kiedy Ko przebiła nią skórę. Następnie Ko otworzyła niewielki słoik i wysmarowała łopatkę czerwonym mazidłem.

- Nie ruszaj ręką, dziecko.

Łopatka poruszała się wzdłuż przedramienia. Ukłucia szpilki przypominały skoncentrowany atak roju komarów. Ko pracowała metodycznie, koniec języka wysunięty między zębami świadczył o pełnej koncentracji. Lesy spojrzała na czerwone mazidło na swoim przedramieniu, jednak dopiero kiedy Ko plunęła i wytarła jej rękę, dostrzegła krwistoczerwony półksiężyc, identyczny z tatuażem na przedramieniu Ko. Stara kobieta

stęknęła z satysfakcją i wytarła porządnie rękę.

- A teraz, kobieto - po raz pierwszy nazwała Lesę „kobietą”, a nie „dzieckiem” - złożysz przysięgę i staniesz się członkinią klanu śmierci *ninja*.

52.

Wysoki Sąd we własnej osobie, sędzia Józef Jacoby („Józek Koza”), lubił sprawy o adopcję, wprowadzały bowiem pożądaną odmianę w przygnębiającą procesję oszustw, kradzieży i morderstw, z którymi miał do czynienia na co dzień. Siedział na wysokim stołku w swoim gabinecie i bez pośpiechu studiował raporty inspektorów społecznych, nie zwracając najmniejszej uwagi na oznaki niecierpliwości ze strony swoich gości. Wentylator na suficie rozprowadzał wilgoć, nie zmniejszając jej ani trochę. Wyziewy spalin dochodzące z położonej dwa piętra w dole centralnej arterii, na której bezustannie warczały i rzeziły silniki, stały się już nieodłączną częścią tego pomieszczenia. Szal wagi brytyjskiej sprawiedliwości w Hongkongu nie obciążały koszty utrzymywania urządzeń klimatyzacyjnych.

Mary Kendrew, inspektorka, która sporządziła raport, nerwowo miętosiła torebkę. Józek Koza nie lubił, żeby uważano go za tubę służb specjalnych. Zdarzało się, że odraczał sprawę o adopcję, domagając się dalszych raportów.

Odczuła ulgę, kiedy wreszcie podniósł głowę i uśmiechnął się do Lesy. Uznał, że ta niezwykle urocza dziewczynka po drugiej stronie biurka jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. Miała ciemne, niemal dokładnie okrągłe oczy; zdecydowanie nieorientalne, pomyślał. Kiedy weszła do gabinetu, zaskoczył go jej wzrost, około pięciu stóp i ośmiu cali. Nigdy się nie przyzwyczyił do systemu metrycznego. Teraz dziewczynka wytrzymywała jego wzrok, ani na chwilę nie spuszczając oczu.

- A więc, Leso, nie ominęły cię wojny.

- Nie Wysoki Sądzie.

Nie zdziwił się, że ktoś poinstruował ją, jak należy się zwracać do sędziego prowadzącego sprawę. Prawdziwe zdumienie budził jej głos - jej prawidłowa wymowa przywodziła na myśl raczej Malvern College niż obóz dla uchodźców.

- Czy jesteś zadowolona, że państwo Janson zostaną twoimi przybranymi rodzicami?

Leso skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Jestem bardzo zadowolona, Wysoki Sądzie.

- Mmmm... - Sędzia zwrócił się do Dawida i Carrie. - Mam nadzieję, że pani Kendrew dostatecznie wyjaśniła państwu odpowiedzialność, jaką weźmiecie na siebie, jeśli wyrażę

zgode na tę adopcję.

- Tak, Wysoki Sądzie - odpowiedział Dawid.

- Rozumieją państwo, że z punktu widzenia prawa Lesa stanie się waszym dzieckiem, tak jakby była waszą rodzoną córką. Jeżeli potem będą państwo mieli własne dzieci, Lesa uważana będzie za najstarsze z nich.

- Zdajemy sobie z tego sprawę, Wysoki Sądzie.

- Wraca pan do Anglii, panie Janson?

- Tak, Wysoki Sądzie. Przyspieszyliśmy wyjazd na wrzesień, żeby Lesa chodziła do szkoły przez pełny rok szkolny.

- Co o tym myślisz, Leso? Czy dowiedziałaś się czegoś o Anglii?

- Czytałam dużo Karola Dickensa. I Enid Blyton - odpowiedziała Lesa.

Sędzia wydawał się całkowicie zaskoczony.

- Nie sądzę, żebyś dowiedziała się czegoś o współczesnej Anglii od tych autorów.

- Czytałam też autorów współczesnych, na przykład Leslie Thomasa *Stand up Virgin Soldiers*.

Sędzia Jacoby postanowił nie zagłębiać się zbyt w lektury Lesy.

- Żadnych przeszkód ze strony Spraw Zagranicznych? - zwrócił się do Mary Kendrew. Nowa ustawa o imigracji postawiła na głowie ustawę z 1971 roku. Teraz można było posiadać brytyjski paszport który jednak nie dawał prawa osiedlenia się w Zjednoczonym Królestwie.

- Wszystko załatwione, Wysoki Sądzie - powiedziała instruktorka. - Strona dwunasta.

Zezłościło ją, że ten nieszczęsny stary dureń nie wierzy jej na słowo. Otworzył akta na odpowiedniej stronie, przestudiował starannie i dopiero wtedy spojrzął na osoby zgromadzone w gabinecie.

- W porządku. Nie ma żadnego powodu, żebym nie przyznał prawa do adopcji.

- Jest jeden problem - powiedziała niespodziewanie Lesa.

Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę.

Kontynuowała nie zmieszana:

- Czy mogłabym zachować swoje nazwisko?

- Nazwisko? - powtórzył sędzia Jacoby; sprawiał przy tym wrażenie zakłopotanego.

- Wessex - powiedziała Lesa.

- Lesa jest bardzo dumna z nazwiska, które nadała jej załoga helikoptera RAF-u po wyłowieniu jej z morza - wyjaśniła Mary Kendrew. - Lecieli wtedy na helikopterze Wessex produkcji zakładów Westland.

Na twarzy sędziego pojawił się uśmiech.

- Oczywiście, Leso, że możesz zachować swoje nazwisko. Nie ma sprzeciwów? Pan Janson? Pani Janson? Nie? Bardzo dobrze. Wpiszę to jako warunek adopcji.

53.

Cisza w sypialni nie pozwalała Lesie zasnąć. W rodzinnej chacie w Wietnamie, w szpitalu, a potem w obozie nocą zawsze panował hałas. Najgorzej było w obozie, ale tego należało oczekiwać, jeżeli jeden budynek pozbawiony wewnętrznych ścian dzieliło około dwóch tysięcy charczących, plujących kobiet i setki niemowląt. A tutaj miała ponadto płócienne prześcieradła i jedwabną pizamę, którą Carrie kupiła jej w drodze powrotnej z sądu. Ale prawdziwym rajem było uczucie czystości. Lesa czuła się rzeczywiście czysta. Taka czystość była możliwa tylko po długim moczeniu się w wannie, powolnym obsychaniu bez świadomości, że wpatruje się w nią dwadzieścia par zgłodniałych oczu. Lesa na próbę powąchała wysypany na dłoń talk, co wywołało tak gwałtowne kichanie, że aż zaniepokojona Carrie pukała do drzwi łazienki.

Lesia siedziała na brzegu łóżka wsłuchując się w ciszę. Podeszła do okna i patrzyła w dół na łagodny zakręt przystani Tolo, ze srebrną nitką linii kolejowej Kowloon-Kanton pobłyskującą w świetle księżyca. Światła na zakotwiczonych jachtach i sampanach mrugały jak świece ustawione w przeciagu.

Dawid i Carrie wynajmowali przyjemne mieszkanie na dziesiątym piętrze bloku stojącego na stromym stoku poniżej budynku Uniwersytetu Chińskiego, na wschodnim wybrzeżu półwyspu Kowloon. To dwupokojowe mieszkanie dla Lesy było objawieniem. Przez pierwszą godzinę po przybyciu nie mogła usiedzieć spokojnie, chodziła z pokoju do pokoju, dotykając kolejnych przedmiotów i zasypując swoich nowych rodziców niezliczoną liczbą pytań. Najprzyjemniejsze chwile spędziła przy toalecie Carrie, podczas gdy Carrie pomagała jej w eksperymentach z makijażem. Ku zdumieniu Dawida obydwie siedziały prawie godzinę przed lustrem, śmiejąc się konspiracyjnie jak para uczennic. Dawid nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział Carrie tak rozpromienioną ze szczęścia.

Lesia patrzyła w dół, gdzie luksusowe statki stojące na kotwicy ocierały się o siebie, jak drużyny na ślubie starające się wcisnąć w pole widzenia fotografa. Nagle uświadomiła sobie, że wypatruje dużego białego jachtu motorowego z szerokim pokładem, na którym wymordowano jej rodzinę.

Polowanie się rozpoczęło.

54.

Cztery tygodnie przed wyjazdem do Anglii należały do najszcześniejszych w życiu Lesy.

Na pierwszą wyprawę wypuściły się z Carrie, kiedy Dawid był w pracy. Przeprowiły się promem Star Ferry na wyspę Hongkong, pojechały autobusem na targ Stanley, na którego wąskich nadmorskich uliczkach oszołomiła Lesę olbrzymia ilość ubrań zalegających stoiska targowe. Jednakże możliwość wyboru nie obezwładniła jej, wprost przeciwnie, Lesa zaskoczyła Carrie wrodzonym smakiem. Wybrała nawet ładną wzorzystą sukienkę dla Carrie, odpierając wątpliwości przybranej matki, która twierdziła, że sukienka jest dla niej zbyt młodzieżowa, co zresztą nie przeszkodziło w zakupie. Na zakończenie kupiły jednakowe jednocześnie kostiumy kąpielowe.

- Żeby wszyscy brali nas za siostry - powiedziała Lesa z uśmiechem szczęścia i przyłożyła zdecydowanie skąpy kostium do stojącej obok Carrie.

Były w końcu tak obładowane zakupami, że musiały wrócić do Kowloonu taksówką.

- Kupiłam jej nowy zegarek - zwierzała się w nocy Carrie Dawidowi. - Ładną imitację Gucciego, ale włożyła go do kieszeni. Upiera się nosić ten tani zegarek cyfrowy, choć jestem przekonana, że on nie chodzi.

Następnego dnia obydwie panie wypuściły się na najbliższą plażę, z aluminiowymi krzesłami i przenośną lodówką. W ten sposób Lesa miała okazję poznać dziwny europejski zwyczaj przebierania się pod ręcznikiem, a także odkryć, że piasek wciska się wszędzie, natrzeć ciało lepłą maścią, leżeć na słońcu i parzyć sobie skórę, wystawiać się na ukąszenia meduz i jeść zapiaszczone kanapki. Carrie zauważyła półksiężyc wytatuowany na przedramieniu Lesy i przyjęła do wiadomości wyjaśnienie, że to pozostałość dziecinnych zabaw w wiosce. Kulminacyjnym punktem dnia była próba poderwania obu pań przez grupę zdeterminowanych marynarzy amerykańskich z lotniskowca Szóstej Floty. Chorąży z Nebraski mocno się zainteresował Carrie i bardzo podniósł ją na duchu, kiedy na pytanie o przyczynę jego preferencji dla starszych kobiet odpowiedział beztrosko, że nie miał pojęcia o tym, że Carrie jest starszą kobietą.

Zdrzemnęły się podczas najgorętszych godzin popołudnia. W pewnym momencie Carrie uświadomiła sobie, że pada na nią cień. Otworzyła oczy. Stała nad nią Lesa wpatrująca się intensywnie w morze, jej smukłe ciało zeszywniało z napięcia, a palce nieświadomie dotykały nękanych już blizn na ramieniu.

- Leso, o co chodzi?

- Słuchaj!

Carrie nadstawiła uszu. Słyszała jedynie dzieci bawiące się na piasku i leniwe uderzenia fal o piasek plaży.

- Czego mam słuchać?

I wtedy Carrie usłyszała przytłumione odgłosy silników dieslowskich. Z mgły wyłonił się jacht motorowy zmierzający do przystani Tolo. Lesa przyglądała mu się przez kilka chwil. Był to szkuner. Nagle rozluźniona, uśmiechnęła się do Carrie i osunęła się z powrotem na swój leżak.

Kiedy wracały do domu z tych wypraw, Dawid z rozbawionym uśmiechem przysłuchiwał się ich ożywionym opowieściom. Miał wrażenie, jakby Lesa i Carrie zawarły umowę, że wymienią się latami: Carrie bardzo odmłodziła, zniknęły nawet twarde linie dookoła oczu i na nowo interesował ją seks, podczas gdy Lesie jakby przybyło lat, dochodziła niemal do dwudziestki i przekształciła się przy tym w niezwykle uroczą młodą kobietę.

- Tyle wam obojgu zawdzięczam - powiedziała Lesa pewnego wieczoru, kiedy we trójkę rozkoszowali się drinkiem na balkonie mieszkania. Odpoczywali po całodziennym pakowaniu.

Dawid pochwycił spojrzenie Carrie i pokręcił przecząco głową.

- Nie, Leso. Nigdy nie możesz tak myśleć. To my wszystko zawdzięczamy tobie. - Podniósł kieliszek: - Za Anglię!

55.

Surrey, Anglia

Lesa przystosowała się do życia w Anglii znacznie lepiej niż jej przybrani rodzice, głównie dlatego że musiała się tak wiele nauczyć, a poza tym uwielbiała chodzić do szkoły. Merrow Grange nie była może najświetniejszym ośrodkiem nauczania w południowej Anglii, ale nauczyciele nie szczędzili poświęcenia i z prawdziwą przyjemnością zajmowali się uczennicą tak zdolną jak Lesa, która gotowa była ciężko pracować i odznaczała się niemożliwym do zaspokojenia głodem wiedzy.

Ani Dawid, ani Carrie nie lubili domu w Guildford przy eleganckim Flower Walk, który Dawid odziedziczył po matce, lecz nie mogli się zmusić do sprzedania go, ponieważ wartość tego monstrualnego domu z sześcioma sypialniami i dużym ogrodem rosła w tempie siedmiuset pięćdziesięciu funtów na miesiąc. Carrie wprawdzie nigdy nie zadomowiła się w Hongkongu, ale w Anglii irytowały ją nieustannie wysokie ceny i kiepska obsługa w

sklepach. Nie mogła zrozumieć, dlaczego właściciele wartych miliony sklepów detalicznych w Guildford pozwalają prowadzić swoje interesy niewykszolonym, niedouczonym dzieciom o imionach takich jak Sharon czy Debbie, których jedyne przygotowanie najwyraźniej polega na umiejętności złego traktowania klienta przy kasie. Było to jaskrawym przeciwieństwem Hongkongu i tamtejszych ciężko pracujących, zawsze nader uprzejmych sprzedawców.

Powrót Dawida do BBC także nie okazał się szczęśliwy. Podczas jego długiej nieobecności uległ zmianie etos pracy radiowca. Odsunięto na bok zasadę informowania w łatwej i przyjemnej formie na rzecz poważnych programów ze zdecydowanym lewicowym odchyleniem. Również zmniejszenie dotacji Ministerstwa Spraw Zagranicznych na utrzymanie serwisu BBC dla zagranicy miało demoralizujący wpływ na Dawida i jego kolegów. Wytrzymał to przez miesiąc, a potem dzięki swoim rozlicznym kontaktom załatwił sobie dobrze płatną posadę szefa biura prasowego w londyńskim oddziale jednego ze wschodnich banków handlowych.

Dla Dawida i Carrie rekompensatą za wszystkie niedogodności życia w Anglii była Lesa. Dała im mnóstwo szczęścia i radości, niezwykle dumą napawały ich jej duże osiągnięcia w nauce i w sporcie. Lesa okazała się osobą niezwykle popularną, jeśli można było wyciągać tego typu wnioski na podstawie szerokiego kręgu przyjaciółek ze szkoły. Kiedy zdała małą maturę z sześciu przedmiotów, uczcili to we trójkę wyjeżdżając na bardzo kosztowny weekend do Paryża. Tam Jansonowie przekonali się, że nauczyciel francuskiego miał pewnie rację, kiedy powiedział im na wywiadówce, że ich córka zna francuski lepiej od niego. Po powrocie robili wspaniałe plany dotyczące studiów uniwersyteckich Lesy.

Lesa zburzyła te plany pewnego sobotniego ranka przy śniadaniu. Była to ostatnia sobota letnich wakacji. Carrie planowała na popołudnie wyprawę po zakupy, żeby wykupować córkę w ubrania i sprzęt sportowy na nowy rok szkolny. Lesa poczekała, aż skończą śniadanie, i wtedy odważyła się wystąpić ze swoją bombą.

- Carrie, nie ma powodu robić zakupów dziś po południu.

Carrie spojrzała na nią zaskoczona.

- Ale musimy iść, Leso. Potrzebujesz nowych...

- Niczego nie potrzebuję.

Dawid ładował naczynia do zmywarki. Spojrzał na Lesę i zobaczył w jej oczach spokojną determinację.

- O co chodzi, kochanie?

Lesa unikała zatroskanego wzroku rodziców.

- Mam pracę.

Carrie uśmiechnęła się.

- Na soboty? To bardzo dobry pomysł, ale uważam, że mogłaś nas o tym poinformować.

- Chyba nie o to chodzi - powiedział spokojnie Dawid. - Prawda?

Lesia skinęła głową. To, co robiła, przyprawiało ją o mdłości, ale równocześnie przekonanie, że musi tak postąpić, było silniejsze od wszystkiego.

- Mam pracę na całym etacie w Biurze Pomiarów Lotniczych. Zaczynam w poniedziałek.

Nastąpiła awantura, równie bolesna, co długa. Po trzech godzinach łez i oskarżeń ze strony Carrie Lesa wybiegła z domu. Wróciła po północy.

Dawid czekał na nią. Zrobił kawę i postawił przed nią filiżankę na kuchennym stole.

- Czy chcesz coś do jedzenia?

Lesia uśmiechnęła się, wdzięczna za jego spokój.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna. Zjadłam w mieście hamburgera i frytki. Jak się czuje Carrie?

- Mam nadzieję, że już śpi.

- Dawidzie, podjęłam decyzję. Biorę tę pracę. Jestem wdzięczna za wszystko, co ty i Carrie zrobiliście dla mnie. Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo. Carrie nie miała racji mówiąc, że jestem niewdzięczna...

- Była zdenerwowana - przerwał Dawid. - Musisz na to spojrzeć z jej punktu widzenia.

- Wiem. Ale wy także powinniście brać pod uwagę mój punkt widzenia. Nauczyliście mnie, że trzeba być niezależnym, więc nie dziwcie się, że wprowadzam to w czyn. Muszę sama kierować własnym życiem.

Dawid spojrział na Lesę. Trudno było uwierzyć, że wpatrzony w niego poważne oczy nie należą do osoby dorosłej, tylko do szesnastolatki; można było to zrozumieć, dopiero kiedy się pamiętało, jak wiele przeszła w życiu.

- Tak - powiedział bezradnie, w braku innego pomysłu.

- Zamierzam zrobić maturę w szkole wieczorowej. Znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że robię to, co obiecuję. Ale bardzo chcę wziąć tę pracę. W tej chwili znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek innego.

Dawid nalał sobie kawy i usiadł naprzeciwko Lesy.

- No to opowiedz mi o tej pracy - zachęcił.

Lesia uśmiechnęła się do niego z zażenowaniem.

- Nic wielkiego. Nie na początek. Biuro Pomiarów mieści się na lotnisku Fair Oaks.

Mogę jechać pociągiem do Woking i ze stacji autobusem dla pracowników Mann Avionics. Wszystko sprawdziłam.

Dawid widział ten wyraz wyzwania w oczach Lesy już wcześniej i uświadomił sobie, że oboje z Carrie będą musieli podporządkować się jej decyzji. Skinął głową.

- Rozumiem. A czym się zajmuje to Biuro Pomiarów Lotniczych.

- Prowadzą zwiad lotniczy dla przedsiębiorstw naftowych i górniczych. Potrzebują asystenta do archiwum stereoskopowego.

Dawid nie rozumiał.

- A co to, u licha, znaczy?

- Stereoskopowe zdjęcia, Dawidzie. Lotnicze. Tysiące zdjęć lotniczych.

56.

Jadąc po raz pierwszy do pracy pociągiem do Woking Lesa była jeszcze bardziej przerażona niż pierwszego dnia w szkole. Potrafiła jednak tak doskonale ukrywać swoje uczucia, że nikt z nowych kolegów nawet się nie domyślał, jakie przeżywa niepokoje, kiedy wyjaśniali, na czym ma polegać jej praca.

Trzeciego dnia strach opuścił ją całkowicie, ale jego miejsce zajął niepokój, czy praca ta nie była pomyłką. Opłata za przejazdy, nawet tygodniowy bilet na krótki odcinek z Guildford do Woking, pochłonie znaczną część nędznej pensji, a poza tym nie było w biurze nikogo, kto mógłby ją naprawdę przeszkolić. Od pierwszego dnia była odpowiedzialna za przechowywanie, katalogowanie i odnajdywanie prawie ćwierć miliona par negatywów zdjęć lotniczych, i to bez niczyjej pomocy. Musiała uczyć się na błędach, czyli, innymi słowy, narażać się na kompromitację, a tego nie znosiła.

Klientami Biura Pomiarów były władze lokalne, poszukujące nielegalnie wybudowanych garaży czy dobudówek, wydziały archeologiczne uniwersytetów szukające dowodów istnienia osiedli neolitycznych, a także przedsiębiorstwa górnicze zainteresowane dowodami występowania kopalin. Najważniejszym i najbardziej dochodowym interesem firmy, a równocześnie najmniej pracochłonnym, wydawał się Lesie kontrakt z rządem na przechowywanie i konserwowanie stu tysięcy par negatywów należących do Ministerstwa Rozwoju Terytoriów Zamorskich. Dwaj założyciele firmy odeszli dwa lata wcześniej, po jej przejściu przez innych, a wraz z nimi odeszła ich przedsiębiorczość i inicjatywa. W rezultacie biuro ledwie wegetowało, utrzymując się z zasobów swojej fototeki i umiejętności analizowania zdjęć przez coraz mniejszy zespół ekspertów. W ciągu ostatniego roku bardzo

niewiele przybyło do zbiorów fototeki, nie czyniono też prawie żadnych wysiłków, by zdobyć nowych klientów.

Wbrew początkowym obawom Lesa polubiła swoją pracę. Zorganizowała fototekę, uaktualniła katalog i wymyśliła skuteczny system odszukiwania par negatywów. Po sześciu miesiącach dopracowała się istotnej podwyżki i zaczęła pomagać w dziale analizy zdjęć, kiedy brakowało personelu. Posługując się wielkim stereoskopem, sprawdzała położenie ławic wodorostów na zamówienie władz miejscowości nadmorskich, które starały się ocalić swoje plaże przed zalewem wodorostów po każdym sztormie. Znaczna część analizy zdjęć nie wykraczała poza rutynę, ale Lesa zdobywała doświadczenie i czegoś się uczyła. A uczyła się szybko.

Mimo opinii osoby zachowującej dystans, cieszyła się popularnością, lubili ją członkowie czysto męskiego zespołu pracowni analitycznej i chętnie przekazywali jej swoje umiejętności. Ich niewątpliwe zainteresowanie obudziło w niej na nowo poczucie winy, nie potrafiła odnosić się do nich w sposób równie przyjacielski. Zazdrościła sekretarce, która odpierała awanse kolegów za pomocą żartów i dobroduszej kpiny, stawiającej pod znakiem zapytania ich seksualne możliwości. Lesa próbowała naśladować ten styl i uświadomiła sobie, że sprawy seksu stanowią dla niej gorzką i trudną do przełknięcia pigułkę i że nigdy się z nimi nie pogodzi. Czuła, że jedynym kolegą, który nie snuje na jej temat żadnych erotycznych spekulacji - a jeśli nawet to robi, to jest zbyt nieśmiały i dobrze wychowany, by to okazywać - jest Darryl Grade, dwudziestodwuletni młody człowiek w okularach, z zapadniętymi policzkami, o rękach i nogach jakby nie dopasowanych do reszty ciała. Miał niezdrową, przyszczatą cerę, która najlepiej dawała się określić jako „żółć hamburgerowa”. Jedyne jego namiętnością były komputery, wydawały się przesłaniać wszystkie inne zajęcia i zainteresowania, nie wyłączając dziewcząt. Ubierał się zgodnie z modą obowiązującą w jego grupie wiekowej, w niechlujne dżinsy i koszulkę trykotową. W poniedziałki obydwie części garderoby sprawiały wrażenie odrobinę czystszych niż w pozostałe dni tygodnia. Plotka biurowa, która jak wszystkie tego rodzaju autorytatywne pogłoski miała na celu głównie oczernianie bohatera, głosiła, że to jedyne części garderoby Darryla i że każdą niedzielę spędza nago, czekając, żeby wyschły. Ta sama plotka utrzymywała, że Darryl jest pederastą.

Les a zorientowała się, że wiedza Darryla może być dla niej użyteczna, wiedziała też, że jest jedynym kolegą, który nie rozbiera jej w myślach przy okazji każdej rozmowy, toteż świadomie poszukiwała jego towarzystwa, ku wielkiemu niezadowoleniu biurowych uwodzicieli. Kiedy była ładna pogoda, siadywali w czasie lunchu na trawie na obrzeżach wiejskiego lotniska, jedli kanapki i obserwując przyloty i odloty czarterowych helikopterów

oraz dyrektorskich samolotów firmy Alana Manna, przebudowywali świat. W czasie jednego z takich lunchów Lesa skierowała rozmowę na temat ich pracodawcy.

- Dlaczego Jack Kelly nie kupi zdjęć Landsatu? - spytała mając na myśli generalnego dyrektora biura. - Czy widziałeś te zdjęcia stereoskopowe, które RTZ wykonało dla rządu Chile? Wszystko wykadrowane ze zdjęć Landsatu.

Daryl obserwował jeden z helikopterów Alana Manna wykonujący ewolucje dla ekipy filmowej.

- Koszty - odpowiedział.

- Oszczędziłoby to wydatków na wynajmowanie samolotu - zauważyła Lesa.

- Ale jeszcze w grę wchodzi strach.

Les a oplótła rękami golenie i oparła podbródek na kolanach.

- Strach przed czym?

Wylądował odrzutowiec dyrektorski. Darryl poczekał, aż wyłączy silniki, zanim odpowiedział.

- Kelly nie rozumie technologii zdalnego odczytu satelitarnego, toteż boi się jej, bo ona oznacza pomniejszenie jego umiejętności, podkreśla więc wszelkie możliwe wady tej technologii w raportach do centrali. A tam siedzi banda księgowych, która nie pojmuje żadnej technologii poza arkuszami bilansu. Dopóki biuro przynosi jakikolwiek dochód, Kelly może babrać się bezkarnie z tymi swoimi samolotami i kamerami Eyemo i Hulcher, których miejsce jest w Muzeum Techniki. Nasze biuro jest mikrokosmosem całego kraju. Opracowujemy technologię tylko na tyle, żeby dało się ją zastosować, a potem się o niej zapomina, ponieważ ludzie, którzy pojmują naukę i technologię, nie mają żadnych szans zostania dyrektorami czy politykami. Dlatego mamy taką zasraną łączność telefoniczną. - Wskazał ręką na równy szereg samolotów Cessna i Piper. - Dlatego żadna z tych maszyn nie jest produkcji brytyjskiej. A ostatnią klęską jest to, że odwracamy się plecami do kosmosu, ponieważ go nie rozumiemy. Dlatego musimy czapkować Francuzom, kiedy chcemy wypuścić satelitę.

Les a wykorzystała okazję, by skierować rozmowę na interesujący ją temat.

- A więc jakie są niedogodności korzystania ze zdjęć satelitarnych w porównaniu z konwencjonalną fotografią lotniczą? Rozdzielczość?

- To jest wielki problem. One wyglądają dobrze, ale nie ma mowy, żeby uchwycić na konwencjonalnym negatywie pięć na pięć informacje zawarte na zdjęciu satelitarnym. Sprawa polega na tym, że nikt nie wymyślił sposobu na ściąganie rolek filmu z satelitów. Można jednak obejść ten problem, tylko że technologia jeszcze jest w powijakach.

Les a była zaintrygowana.

- W jaki sposób?

Darryl miał niepewną minę.

- Gdybyś kiedyś do mnie przysła, pokazałbym ci moje urządzenia.

Dwóch mechaników usiadło na trawie w odległości kilku metrów i przyglądali się Lesie z wymownymi uśmiechami. Zdała sobie sprawę, że siedzi w nieprzyzwoitej pozycji, co zresztą ani razu nie skusiło wzroku Darryla.

- Kiedy? - zapytała zmieniając pozycję i obciążając spódnice na kolanach.

Przez moment wydawało się, że Darryl pożałował swojego zaproszenia.

- No - powiedział bez przekonania - dziś wieczorem nie robię nic specjalnego.

57.

Pokój od strony ogrodu w bliźniaczym domku Darryla w Woking wyglądał nieprawdopodobnie. Oczy Lesy rozszerzyły się ze zdumienia.

- To moja chałupa - wyjaśnił Darryl. - Przepraszam za bałagan. Uważaj, bo wszędzie są przewody.

Bałagan był łagodnym określeniem. Jedną ścianę, od podłogi do sufitu, zajmowały stalowe półki uginające się pod ciężarem oscyloskopów, analizatorów widma, generatorów sygnałów wzorcowych i liczników częstotliwości. Po jednej stronie drzwi balkonowych prowadzących do ogrodu znajdował się stół warsztatowy ukryty pod stosem wnętrzości komputerów IBM, zniszczonych zasilaczy, zwojów przewodów, narzędzi do obróbki obwodów drukowanych i kolb lutowniczych. Przeciwległą ścianę zajmowały stojaki z monitorami telewizyjnymi i komputerowymi, odbiorniki satelitarne i mnóstwo amatorskiego sprzętu radiowego wraz z odbiornikami wysokiej częstotliwości i urządzeniami sterowniczymi do obrotu anten. Lesa wpatrzyła się w plątaninę współosiowych kabli i przekaźników wysokiej sprawności, które ginęły w otworze w ścianie prowadzącym do ogrodu na tyłach domu. Kable szczipione były razem w sznur grubości nogi mężczyzny.

- A to mój czysty warsztat - powiedział Darryl, wskazując rząd mikrokomputerów. Były tam dwie maszyny BBC, Commodore Amiga i liczne tajwańskie klony IBM PC. Nad tym elektronicznym koszmarem sennym dominował gigantyczny monitor komputera, którego ekran miał około pół metra kwadratowego. Była tu nawet przemysłowa drukarka laserowa Xerox 4045, a porozrzucone wszędzie niezliczone ilości klawiatur IBM świadczyły o procesie permanentnego rozmnażania.

- To jeszcze nic - powiedział zażenowany Darryl, widząc zdumienie w oczach gościa.

Wskazał na drzwi balkonowe. - Powinnaś zobaczyć ogród.

Przestąpiwszy ostrożnie przez płataninę kabli Lesa wyrzwała przez okno na las anten. Było jeszcze wystarczająco widno, by mogła dostrzec dziesięciometrową wieżę Versa zwieńczoną masą anten wiązkowych i kolinearnych Yagi. Zobaczyła też mniejszą wieżę podtrzymującą siatkę anteny horyzontalnej. Liczne stalowe pręty osadzone w cementowych blokach służyły za siedlisko dziwacznej kolekcji ruchomych talerzy satelitarnych, wycelowanych w południową stronę nieba.

- O Boże! - mruknęła Lesa. - Czy sąsiedzi się nie skarżą?

- Jeszcze jak! Ale mam licencję radioamatora, więc władze lokalne przymykają oczy. Mój sygnał wywoławczy to GILXP. Wśród przyjaciół krótkofalowców znany jestem jako koncesjonowany eks-pirat. Nawet nie powtórzę, jak mnie nazywają sąsiedzi. Mieszkam tu sam, więc nikt więcej nie narzeka. Właśnie dlatego kupiłem ten dom. Żebym mógł żyć w bałaganie.

Lesa rozejrzała się po pokoju. Znajdowało się w nim tyle urządzeń, że nie sposób było doszukać się oryginalnego wyposażenia.

- Czy to wszystko działa? - zapytała.

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło Darryla.

- Oczywiście, że działa. Nie mam dość miejsca, by trzymać nieczynną aparaturę.

- Darryl - mówiła powoli Lesa. - Nie mam pojęcia, ile te rzeczy kosztują, ale musisz tu mieć aparaturę wartą co najmniej milion funtów.

- Ponad dwa miliony - wyznał, zrzucając z krzesła stos czasopism komputerowych „Byte” i przysuwając krzesło Lesie.

Usiadła.

- Jak możesz sobie na to pozwolić przy twoich zarobkach?

Darryl uśmiechnął się z entuzjazmem.

- To są plusy mieszkania w angielskiej Dolinie Krzemowej. To prawie wszystko urządzenia wyrzucone na złom przez wielkie przedsiębiorstwa. - Wskazał na twardego dysku przyłączony kablem wstęgowym do jednego z komputerów IBM. - To jest pięćsetmegabajtowy dysk twardego. Nowy kosztuje dwa tysiące funtów. Kupiłem go na złomowisku za dziesięć. Potrzebna była jedynie wymiana kości sterującej silnika krokowego, która kosztuje dwa funty. Ten olbrzymi monitor ocalałem ze złomowiska Parku Naukowego w Guildford. To Super Megascreen. Jeden z pięciu w kraju. Rozdzielczość cztery tysiące linii. Cena katalogowa nowego sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Stopiony transformator w głównym zasilaczu i przepalona dioda zabezpieczająca. Na szczęście kineskop był w porządku.

Reperacja kosztowała mnie cztery funty. A mój VAX - wskazał na szafkę stojącą na podłodze. - Znalazłem go w śmieciach. Jest stary i wymagał znacznego remontu, ale jest to jeden z najszybszych minikomputerów. Popatrz na duży ekran. - Włączył główny przełącznik i usiadł na wytartym, połamanym fotelu obrotowym naprzeciwko olbrzymiego ekranu. Liczne twarde dyski zaczęły nabierać szybkości operacyjnej. Ożyły wszystkie monitory małych komputerów, wyświetlając sygnały gotowości. Lesa patrzyła, jak Darryl wystukuje na klawiaturze polecenie. Przerwał i przetarł okulary, jakby dawał sobie czas do namysłu.

- Leso... nie możesz nikomu powiedzieć o tym, co ci teraz pokażę.

- Dlaczego?

- Mógłbym stracić licencję krótkofalowca, a Francuzi wsadziliby mnie na Bóg wie jak długo za naruszenie copyrightu.

- Zachowam milczenie - obiecała Lesa.

Darryl utkwiał w niej swoje swoje oczy.

- Przysięgasz?

Rozbudził jej ciekawość, więc powściągnęła ostre słowa. Odpowiedziała łagodnie:

- Dobrze, Darryl, przysięgam.

Ta odpowiedź najwyraźniej go zadowoliła. Powrócił do klawiatury i wystukał kolejne polecenie. Światelko w napędzie dysku zamigotało gwałtownie, kiedy komputer zapamiętywał program. Na wielkim monitorze pojawił się wybór opcji.

- Zaczniemy od czegoś prostego - powiedział Darryl, przesuwając kursor w dół ekranu do wybranej opcji. Nacisnął klawisz „enter”. Przez chwilę nic się nie działo. Twardy dysk kwoknął jak kurczak i zamrugało światelko. - Usiądź bliżej - zaproponował Darryl.

Zamienili się na miejsca, tak że Lesa siedziała teraz na wprost wielkiego monitora. Elektryczność z tego onieśmielającego ekranu dosięgła pukla włosów Lesy, przyciągając go do przodu. Lesa przygładziła włosy i spojrzała na Darryla, który siedział z boku z klawiaturą na kolanach. Zrobił miejsce na ławce, żeby manipulować myszką komputera.

Ekran zrobił się ciemnoniebieski. Na niebieskie tło nakładał się spiralny wzór jaśniejszego koloru, przetykany białymi plamkami. Lesa wiedziała jedynie, że to jest zdjęcie z satelity.

- Ławica planktonu przy brzegach Chile - wyjaśnił Darryl. - Złapałem to wczoraj w nocy. Teraz już mam to na dysku. Piękne, prawda?

Lesza pomyślała, że to jedno z najpiękniejszych zdjęć satelitarnych, jakie kiedykolwiek widziała. Wiedziała wystarczająco dużo o analizie zdjęć, żeby przede wszystkim przyswoić sobie całość obrazu, nie koncentrując się na jednej wybranej części. Wtedy dostrzegła

subtelne różnice koloru w jaśniejszym niebieskim. Spirale w spiralach.

- Różnice gęstości planktonu - odpowiedział Darryl na jej pytanie. - A spirale wywołane są przez prądy. Z takiego zdjęcia można się więcej dowiedzieć o prądach oceanicznych niż z badań prowadzonych ze statku na miejscu.

- Czy masz nakładkę skalującą? - spytała Lesa.

Darryl roześmiał się.

- Nie ma potrzeby babrać się z arkuszami folii acetatowej. VAX wykonuje całą pracę. - Nacisnął odpowiedni klawisz i na ekranie pojawiła się siatka linii dzielących całość na kwadraty. - Widzisz sama. Każdy kwadrat obejmuje dziesięć stopni. Komputer wprowadza nawet odpowiednie zniekształcenie do siatki, wyrównujące krzywiznę kuli ziemskiej. Widzisz te wyspy? - Nacisnął przycisk w myszce. Na ekranie ukazała się strzałka. Za pomocą myszki Darryl przesunął strzałkę aż do miejsca, gdzie znajdowały się owe wyspy, i ponownie przycisnął odpowiedni guzik w myszce. Monitor zamigotał. Zdjęcie wysp całkowicie wypełniło ekran, nadal pocięty siatką linii. - Cały ekran obejmuje teraz jeden stopień - kontynuował Darryl. - Około stu kilometrów. Każdy kwadrat to jeden kilometr. Masz tu raczej ścieżkę niż drogę.

Lesa śledziła wzrokiem strzałkę na ekranie, która wskazywała ciemną linię przecinającą największą wyspę.

- A to musi być miasteczko czy wieś i przystań - powiedziała podniecona. Wskazała na plamę nieregularnego kształtu na wschodnim wybrzeżu wyspy. Elektryczność z ekranu połaskotała ją w palec.

- Tak.

- Możesz zrobić bliższy najazd?

Darryl znowu wykorzystał myszkę. Lesa oniemiała. To, na co patrzyła, odpowiadało zdjęciu lotniczemu z wysokości około trzydziestu tysięcy stóp. Można było rozróżnić nieregularne zarysy ulic prowizorycznego bieda-osiedla. Dachy budynków tworzyły kontrastowy wzór w tej mozaice. Szeroka przerwa w ochronnym ramieniu rafy skalnej utworzyła naturalną przystań, w której stały na kotwicy liczne kutry rybackie.

- Darryl, to nie do wiary!

Darryl pokręcił głową.

- Niezupełnie. To jest maksymalna rozdzielczość. Możesz nałożyć na to wizjer, ale nie zobaczysz więcej, po prostu linie skanujące.

Lesa zrozumiała. Przy fotografiach rozdzielczość sprowadzała się do poziomu molekularnego lub cząsteczkowego, zależnie od jakości filmu. Przy obrazach telewizyjnych

czynnikiem ograniczającym była liczba linii, jaką mógł przekazać ekran.

- Mimo wszystko - powiedział Darryl - są to najlepsze zdjęcia, jakie kiedykolwiek ściągnąłem. Nowy francuski satelita. Prawdziwe dzieło sztuki. Najbardziej nowoczesne urządzenia do zdalnego wykrywania optycznego na świecie. W przyszłym roku wypuszczają następnego satelitę, który będzie jeszcze lepszy.

- Czy możesz to zdjęcie jeszcze jakoś udoskonalić?

Darryl skinął głową.

- Wprowadziłem pewne modyfikacje do monitora. Mogę podwoić skalę podziałki do ośmiu tysięcy linii.

- Ale jaki to ma sens, jeśli informacja nie znajduje się na oryginalnym zdjęciu? - dopytywała się Lesa.

Darryl zamrugnął oczami ze zdumienia.

- Chyba nie rozumiesz, o co chodzi?

- Darryl, nie traktuj mnie protekcyjnie!

Wyczuł lodowaty ton głosu. Piękne oczy, które spojrzały na niego, były zimne i bezlitosne. Nagle Lesa uśmiechnęła się i napięcie znikło.

- A więc, jak możesz poprawić rozdzielczość tego obrazu?

Darryl nerwowo przełknął ślinę.

- Opracowałem specjalny program, który bada informację przekazaną w każdej linii i wytwarza średnie pseudolinie pomiędzy rzeczywistymi liniami.

- Zademonstruj mi to.

Darryl nacisnął klawisz funkcyjny na klawiaturze. Ekran migotał przez sekundę, przystosowując się do nowej podziałki. Lesa aż krzyknęła ze zdumienia, kiedy nagle obraz się wyostrzył. Teraz można było rozróżnić poszczególne budynki, a nawet większe pojazdy, ale uwaga Lesy skupiła się oczywiście na statkach w przystani. Przyglądała im się przez kilka sekund w takim napięciu, że aż ściągnęły się delikatne rysy jej twarzy.

- Darryl, to fantastyczne - powiedziała nie odrywając wzroku od ekranu. - Zdumiewające.

Darrylowi najwyraźniej zrobiło to przyjemność.

- Oczywiście, ponieważ obrazy są cyfrowe, stosunkowo łatwo manipulować kontrastami, zmieniać wartości kolorów i tak dalej. Napisanie programu sterującego zajęło mi trzy miesiące, a uruchomienie go i oczyszczenie z błędów następne trzy.

Lesa roześmiała się.

- Nic dziwnego, że w pracy zawsze wyglądasz na takiego wymiętego. Podejrzałam,

że to intensywne życie płciowe. - Natychmiast pożałowała tego żartu, ponieważ Darryl odwrócił głowę, bardzo zmieszany. Szybko dodała: - Przepraszam cię, Darryl, ale nie miałam pojęcia, że jesteś taki mądry. Po co, u licha, pracujesz w Biurze Pomiarów? Z twoimi zdolnościami mógłbyś znaleźć pracę w jednym z wielkich przedsiębiorstw.

Darryl uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie mam dyplomu. Moich rodziców doprowadzało do szału to, że zamiast się uczyć, spędzałem cały czas przy starym komputerze Commodore.

- W porządku. Ale dlaczego nie otworzysz swojej własnej firmy, zamiast pracować w Pomiarach? Mógłbyś zrobić majątek.

Darryl wydawał się przerażony.

- Nie mogę tego zrobić. Te zdjęcia objęte są copyrightem. Ja po prostu wykradam je z powietrza, z łącza satelitarne z Paryżem. Gdybym zaczął je wykorzystywać, właściciele satelity dostaliby szału. Załatwiliby nakaz ekstradycji, wsadzili mnie do Bastylli i gilotynowali po kawałku, dopóki bym się nie przyznał.

Lesa roześmiała się. Lubiła specyficzne poczucie humoru Darryla.

- Jest jeszcze sprawa kontrolowania satelity. Wszystko, co mogę zrobić, to po prostu gwizdnąć zdjęcia, które zamówił ktoś inny. Nigdy nie wiem, na jakie zdjęcia trafię.

- Nie mógłbyś otrzymywać ich legalnie?

- Oczywiście. Zamawiając abonament u właścicieli satelity.

- Pieniądze?

Darryl skinął głową twierdząco.

- Nie wiem ile, ale musi to być sprawa tysięcy.

Lesa myślała intensywnie. Miała pewien pomysł, który wymagał starannego przemyślenia, ale nie mogła się oprzeć pokusie, by od razu go nie sprawdzić.

- Słuchaj, Darryl. Dlaczego nie mielibyśmy otworzyć firmy pomiarów satelitarnych? Jest mnóstwo zleceń. W tym tygodniu zastępowałam chorą sekretarkę Jacka Kelly i prawie cały czas pisałam pisma odrzucające zamówienia.

Sowie oczy Darryla za okularami dosłownie wyszły z orbit ze zdumienia.

- Na Boga, Leso, nie mam najmniejszego pojęcia o prowadzeniu firmy. Ty też nie. Skąd...

- Oczywiście, że nie mamy pojęcia! Ale możemy się nauczyć. Kto ciągle jęczy na temat braku inicjatywy w tym kraju? Kto ciągle opowiada o ludziach nie przygotowanych do podjęcia ryzyka?

- A skąd weźmiemy kapitał?

Lesę zaczynało to złościć.

- Nie potrzebujemy kapitału! To jest twój kapitał! - Wskazała na całą aparaturę. - I to, co masz tutaj - postukała go palcem w głowę. - Tylko że boisz się to wykorzystać.

Teraz z kolei Darryl się zirytował.

- Nie mogę rzucić pracy. Mam straszny dług na hipotecę. Nie mogę sobie pozwolić na podejmowanie ryzyka!

- Nie możesz sobie pozwolić, żeby go nie podjąć! - zaproponowała Lesa. - Jak masz zamiar przeżyć życie? Pracując za grosze w Pomiarach?

- Mam pewne plany...

- I na tym się skończy, jeśli nie podejmiesz konkretnych działań. Masz tylko jedno życie, Darryl. To nie jest próba generalna przed następnym wcieleniem. Za trzydzieści lat będziesz dalej na etapie planów, tyle że wtedy będzie już za późno.

- Leso, bądźże praktyczna! Nie można zacząć żadnego interesu bez kapitału.

Lesa spojrzała na zegarek imitujący model Gucciego, który miała przypięty do bluzki.

- O, do diabła, która to godzina? Rodzice mnie zabiją. - Zerwała się z miejsca.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował Darryl.

Lesa otworzyła torebkę i wyjęła notatnik.

- Jak się nazywa ten satelita?

- SPOT.

- Jak?

- Mój francuski nie jest najlepszy. Ale SPOT to skrót Système Pour l'Observation de la Terre.

58.

Carrie przygotowywała grzankę, a Dawid chrupał Ryvitę, kiedy Lesa spuściła kolejną bombę na swoich nieszczęsnych przybranych rodziców. Spojrzeli na nią z osłupieniem. Lesa zawsze przekazywała szokujące wiadomości przy śniadaniu, zanim zdążyli wypić po dwie filiżanki kawy, które uzbrajały ich odpowiednio na resztę dnia i na kolejne niespodzianki córki.

Lesa zmusiła się do przyjęcia wojowniczej postawy, patrząc na nich wyzywająco, jakby sprzeczki były jej żywiołem.

- No więc? Cóż w tym niezwykłego, że ktoś chce założyć firmę?

- Jest to niezwykle w przypadku siedemnastoletnich dziewcząt - powiedział Dawid

czując, że przydałoby mu się coś mocniejszego niż kawa od Sainsbury'ego. - Nie możesz zostać dyrektorem przedsiębiorstwa, póki nie skończysz osiemnastu lat.

- To znaczy, że muszę poczekać sześć miesięcy?

- Obawiam się, że tak, kochanie.

- Psiakrew! - Spojrzała ze złością na rodziców, jakby to oni ponosili odpowiedzialność za przepis o przedsiębiorstwach.

Carrie chrząknęła.

- A co masz na myśli, Leso? Jakiś butik?

- Butik! O Boże, wy w ogóle mnie nie rozumiecie! Nigdy nie rozumieliście i nigdy nie zrozumiecie! - Wybiegła z kuchni trzaskając drzwiami.

- Teraz rozumiem, dlaczego brała z biblioteki wszystkie te książki o zarządzaniu - zauważył Dawid smarując masłem kolejną kromkę Ryvity.

- Wiesz co - powiedziała zamyślona Carrie - ta młoda dama albo spadnie na pysk, albo zrobi wielką karierę.

Dawid skinieniem głowy wyraził, że podziela te poglądy, i dodał:

- Wiem nawet, które z tych rozwiązań bym obstawiał.

59.

Lesia spędziła sobotnie popołudnie w Guildford, co odbiło się fatalnie na stanie jej konta oszczędnościowego w Midland Bank. Jasnoniebieskie skórzane pantofelki, biała jedwabna bluzka i jasnoniebieski samodziąłowy kostium, odpowiednio dobrane rękawiczki i torebka. Studiowała swoje odbicie w lustrze przymierzalni w sklepie, rozpaczliwie próbując spojrzeć na własne ciało z kliniczną obojętnością i ponosząc rozpaczliwą klęskę. Nauki Ko w obozie nigdy naprawdę nie zapadły jej w pamięć. Lesia przekonała się, że jedyny sposób pogodzenia się z poczuciem winy zrodzonym z seksualności polega na traktowaniu własnego ciała jak narzędzia. Nic więcej. Nigdy nie mogła być dumna z czegoś, czego pożąдали mężczyźni. I ci mężczyźni zasługiwali jedynie na pogardę. Teraz przygotowywała swoje ciało na podobieństwo drwała, który ostrzy siekierę przed wejściem do nieznanego lasu w poszukiwaniu drzewa do ścięcia. Nienawidziła siebie za to, co robiła.

- Wspaniale - powiedziała ekspedientka. - Wygląda pani jak kobieta interesu wprost z reklamy telewizyjnej.

Lesia uśmiechnęła się, nie ujawniając swoich prawdziwych odczuć.

- Właśnie o to chodziło.

- Przy pani cerze i makijażu kapelusz byłby błędem. Zakrywałby twarz. A poza tym, wygląda w nim pani jak stewardesa.

Lesia zdjęła kapelusz.

- Też tak myślałam.

- Znacznie lepiej - powiedziała z podziwem ekspedientka. - Ile bym dała za to, żeby mieć taką cerę!

- Niech pani spróbuje przejść na wegetarianizm.

60.

W poniedziałek rano Carrie na gorącą prośbę Lesy zadzwoniła do Biura Pomiarów, usprawiedliwiając jej nieobecność złym samopoczuciem. Słuchając, jak córka podśpiewuje pod prysznicem, Carrie doszła do wniosku, że w każdym razie jej głos nie wskazuje na chorobę. Nie zachowywała się też jak osoba chora, bo całą godzinę poświęciła na ubieranie się i makijaż. A już na pewno nie wyglądała na chorą, kiedy schodziła po schodach, jakby prosto z okładki „Vogue’a”.

- Na Boga, Leso! Wyglądasz cudownie!

Lesie sprawiło to przyjemność. Od czasu wielkiej awantury, kiedy odmówiła dalszego chodzenia do szkoły, ustaliły się między nią a przybraną matką serdeczne stosunki, głównie dzięki temu, że Carrie posłuchała rady Dawida, który twierdził, że uda im się zatrzymać Lesę jedynie wtedy, kiedy będą traktować ją jak równorzędnego partnera. Trudno było dostosować się do tej rady, zwłaszcza jeśli miało się przekonanie, że kochana osoba marnuje życie, ale okazała się skuteczna.

- Wiesz co - powiedziała Carrie, kiedy Lesa wykonywała piruet - wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś się pewnego dnia znalazła na okładce jakiegoś magazynu.

- Na przykład „Gazety Policyjnej” - zażartowała Lesa.

- Pozwól, że zgadnę. Idziesz na rozmowę w sprawie pracy?

- Coś w tym rodzaju. - Przed domem rozległ się klakson. Lesa wzięła nowe rękawiczki i torebkę. - To pewnie moja taksówka. Do widzenia, Carrie, życz mi szczęścia.

- Taksówka? - dopytywała się Carrie, kiedy Lesa otwierała frontowe drzwi. - Jedziesz taksówką na rozmowę o pracy?

Lesia rzuciła przelotne spojrzenie w lustro w przedpokoju. Carrie odebrała to jako najzupełniej naturalny gest. Nie miała najmniejszego pojęcia o mdłościach, jakie odczuwała jej przybrana córka w drodze do czekającego samochodu.

- Nie chcę powalać tego stroju w miejskiej komunikacji! - zawołała Lesa przez ramię.

Carrie obserwowała wdzięczną sylwetkę córki wsiadającej na tylne siedzenie taksówki. Kierowca wyskoczył, by przytrzymać drzwiczki, chciał z bliska rzucić okiem na te wspaniałe nogi.

- Niezła sytuacja na drodze - zagadnął wyjeżdżając z Flower Walk. - Powinniśmy za godzinę być na Heathrow.

Lesa oparła się o siedzenie, zamknęła oczy i starała się opanować coraz silniejszą falę mdłości.

- Kolejny krok, Neti - szepnęła do siebie. - Kolejny małeńki kroczek, ale zbliżamy się do celu.

61.

- Niepokoilem się o ciebie - powiedział Darryl następnego dnia w czasie przerwy obiadowej. - Dzwoniłem do twojej matki, ale powiedziała, że śpisz.

Lesa leżała na wznak na trawie. Był ciepły, słoneczny dzień. Koszmar poprzedniego dnia, kiedy musiała posłużyć się swoim ciałem, żeby zrobić wrażenie na mężczyznach, stawał się jedynie nieprzyjemnym wspomnieniem.

- Pocziwa Carrie - wyszeptała.

- Kto to jest Carrie?

- Moja matka. Moja przybrana matka.

Darryl spojrział na nią swoim sowym wzrokiem. O tej dziwnej dziewczynie wiedział jedynie to, że jest najbardziej upartą i zdecydowaną osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Nudziła go przez miesiąc, aż wreszcie zgodził się na wspólne założenie firmy zajmującej się badaniem zasobów naturalnych ziemi. Czyste szaleństwo. Ona miała zaledwie siedemnaście lat!

- Prawdę mówiąc, byłam wczoraj w Paryżu - wyznała Lesa. Usiadła i otworzyła torebkę.

- W Paryżu! A co ty robiłaś w Paryżu?

Lesa uśmiechnęła się na widok jego przerażonej miny.

- Pojechałam, żeby się spotkać z właścicielami SPOT-a.

Darryl osunął się na trawę.

- Nie! I pewnie pokazałaś im jakieś zdjęcia z ekranu?

- Oczywiście.

- Leso, coś ty najlepszego zrobiła! - Darryl niemal zawył. - Teraz to już na pewno poprzestrzelają mi kolana.

- To czarujący, bardzo życzliwi ludzie. Poza tym, który cały czas wpatrywał się w moje nogi. Szef ich wydziału operacyjnego bardzo chwalił twoją rozdzielną. Zrobiło to na nich wielkie wrażenie i koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak złamałeś ich szyfr. Nie mogłam im tego wyjaśnić, ale zawarłam z nimi pewną umowę.

- Niech zgadnę. Pewnie własnoręcznie przestrzelisz mi kolano w ich imieniu.

Leso rozłożyła list i pokazała Darrylowi. Zamrugał oczami.

- To po francusku.- Prawdopodobnie dlatego, że właściciele SPOT-a są Francuzami. I przejawiają to wzruszające przywiązanie do swojego języka. To jest koncern komercyjny, zainteresowani są szybkim zarobieniem pieniędzy, ale pewnie nic bym nie załatwiła, gdybym nie mówiła trochę po francusku. Dali nam pisemną zgodę na bezpłatne wykorzystanie zdjęć wykonanych przez SPOT-a w naszej kampanii promocyjnej. Kiedy już zaczniemy handlować, wynegocjujemy z nimi umowę na abonament. - Żartobliwym gestem przesunęła list po nosie Darryla. - A to oznacza, młody człowieku, że musimy zacząć oszczędzać, żeby wydrukować komplet najlepszych zdjęć stereoskopowych. Potem już każda europejska organizacja zainteresowana usługami w zakresie zdalnego odczytu optycznego będzie waliła do naszych drzwi.

62.

Dawid wypił trzecią filiżankę kawy i rozejrzał się po restauracji, żeby pochwycić wzrok kelnera. Skończyli właśnie przyjemny lunch w Café de Paris, najlepszej i najdroższej restauracji w Guildford.

- Dawidzie, ja płacę - powiedziała Lesa. Zanim zdążył zaproponować, ciągnęła: - Gdybym jeszcze chodziła do szkoły, nie mogłabym tego zrobić.

- Gdybyś dalej chodziła do szkoły, młoda damo, nie pozwoliłbym ci nosić takich krótkich spódnic. Dlaczego to robisz?

- Co?

- Dlaczego nosisz takie krótkie spódniczki? Wydaje się, że nie interesujesz się chłopcami. Więc co usiłujesz udowodnić?

Głos Lesy zrobił się lodowaty.

- Nazywa się to wykorzystywaniem atutów.

- To się nazywa bezczelna mała bezwstydnica.

Twarde spojrzenie Lesy powoli roztopiło się w uśmiechu. Chwilami miała wrażenie, że Dawid czyta w jej myślach; przerażała ją świadomość, że jakkolwiek mężczyzna mógłby domyślać się owego strasznego kłębowa emocji, któremu sama niechętnie stawiała czoło. Ale Dawid nie był pierwszym lepszym mężczyzną - był jedynym człowiekiem, któremu opowiedziała o tym strasznym dniu na Morzu Południowochińskim. Nie powiedziała mu tylko, że codziennie przeżywa na nowo te straszne chwile i że każde jej działanie płynie ze ślepej obsesji, by zniszczyć mężczyznę z torsem atlety i trójkę jego towarzyszy.

- Muszę przyznać, Dawidzie, że nie jesteś daleki od prawdy. To, o co chcę poprosić, rzeczywiście jest bezczelne.

- Aha! Podejrzewałem, że celebруем coś więcej niż zadrapania twoje i mojego samochodu w czasie egzaminu na prawo jazdy. Dobrze, postaraj się podać mi to w strawnej formie.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że oboje z Carrie odłożyliście dla mnie sześć tysięcy funtów, które dostanę, jak skończę dwadzieścia jeden lat.

Dawid skinął twierdząco głową.

- Mam nadzieję, że przez trzy lata suma ta urośnie.

- Chciałabym teraz dostać część.

Dawid tego się poniekąd spodziewał.

- Ile?

- Około czterech tysięcy.

- Wiem, żeby założyć to przedsiębiorstwo... - Już miał powiedzieć „które sobie ubzdurałaś”, ale rozsądek zwyciężył. Jediną rzeczą, jaką dało się przewidzieć w temperamentie Lesy, była jego nieobliczalność. Zakończył więc zdanie: - ...które wymyśliłaś.

- No właśnie.

- Opowiedz mi o nim.

Leska mówiła przez dziesięć minut przedstawiając swoje plany, oczekiwania i aspiracje w taki sposób, w jaki miały wyglądać w oczach Dawida i wszystkich innych.

Kiedy skończyła, Dawid milczał przez kilka minut. Wpatrywał się w filiżankę, do której kelner właśnie dołał kawy.

- Leso...

- Słucham?

- Boże, cokolwiek powiem, będę wyglądał na surowego ojca. Wszystko jest nie tak w tych twoich planach. W tym okresie życia powinnaś cieszyć się wolnością, zawierać przyjaźnie. Poznawać ludzi.

- Masz na myśli chłopców?

- Między innymi.

- Akurat ty powinienesz sobie zdawać sprawę, jak mało to prawdopodobne.

Dawidowi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, a co nie oddaliłoby jej jeszcze bardziej.

- Czy pomożesz mi? - nalegała Lesa.

Dawid spojrział na nią i zastanawiał się, jak ciężką ofiarę z własnej ambicji musiała złożyć, żeby zaaranżować to spotkanie i zaplanować, co powie. Wiedział też, że kiedy ma przed oczami tę piękną twarz, nie potrafi jej niczego odmówić.

- A jak z zamówieniami?

- Żadnego problemu. Nasze biuro co tydzień odrzuca zamówienia. Zebraliśmy z Darrylem dane o potencjalnych klientach, których ustrzelimy przez pocztę.

- Tego nie róbcie. Wydacie majątek na teczkę reklamową, która znajdzie się w koszu razem z resztą podobnych przesyłek. Urządźcie prezentację na wielką skalę w jakimś hotelu, z bufetem i tak dalej. W ten sposób już pierwszego dnia poznasz osobiście potencjalnych klientów. Uwierz mi, kochanie, wiem, co mówię.

- Dawidzie, przydałaby mi się twoja pomoc. - Twarz Lesy rozjaśniła się w uśmiechu. - Twoje doświadczenie w organizowaniu kontaktów z klientami byłoby bezcenne.

- Leso - powiedział poważnie Dawid - nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności. Ale prawdziwa pomoc to pieniądze, prawda?

- Tak

- Uzgodniliście z Darrylem, że dzielcie po połowie udziały w przedsiębiorstwie?

- Tak. Jego wkład to bezpłatne wypożyczenie aparatury wartej dwa miliony funtów plus własny talent. Mój wkład jest ciągle trochę mglisty. Będę sprzedawać, sekretarzować, analizować zdjęcia i robić wszystkiego po trochu.

- I wyłożysz kapitał zakładowy?

- Tak.

- Czy masz już nazwę dla firmy?

- Systemation.

- Brzmi chwytliwie. A lokal?

- Jak długo się da, zostaniemy w domu Darryla. Po dwóch latach powinniśmy zebrać dosyć pieniędzy, żeby się rozejrzeć za czymś bardziej odpowiednim. To musi być na pewnej wysokości, żebyśmy mieli dobry kontakt z satelitami prowadzącymi zdalne obserwacje na niskiej biegunowej orbicie ziemi. Takie satelity zaczną działać od przyszłego roku.

- Mam wrażenie, że pomyślałaś o wszystkim.

Lesia westchnęła.

- Oby, Dawidzie.

Po kilkuminutowym namyśle Dawid podjął decyzję.

- Będę musiał to uzgodnić z Carrie - powiedział wolno - sądzę jednak, że będą ci od razu potrzebne wszystkie pieniądze. Czeka cię tysiące wydatków związanych z zarejestrowaniem i uruchomieniem przedsiębiorstwa. Carrie ma jakieś swoje pieniądze odłożone na wypadek, gdybyś kiedyś wyszła za mąż. Marzy o hucznym weselu dla ciebie, ponieważ my nie mogliśmy sobie na takie wesele pozwolić.

Lesia miała bardzo poważny wyraz twarzy.

- Dawidzie, nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek wyszła za mąż.

- I ja też nie przypuszczam - zgodził się ze smutkiem.

- Może wezmę ślub ze swoją firmą. Zamiast wnuków doczekasz się bankructwa.

Dawid ze śmiechem podniósł kieliszek z winem:

- Za Systemation!

63.

1988

Prezentacja w hotelu Hog's Back, leżącym na zachód od Guildford, a także jednym z najwyższych w południowej Anglii, okazała się absolutnym sukcesem, choć niewiele brakowało, by zakończyła się klęską. Wzięło w niej udział ponad stu przedstawiciele firm górniczych, geologicznych i budowlanych z całego kraju. Zjawił się także wpływowy wiceminister handlu i przemysłu z dwoma urzędnikami, którzy nie mogli oprzeć się pokusie podróży helikopterem wynajętym przez Lesę od Alana Manna po specjalnej cenie.

Prezentację miał prowadzić Dawid. Spędzili z Lesą wiele godzin opracowując tekst wystąpienia, żeby zmieścić wszystkie istotne informacje w dziesięciminutowym przemówieniu. Dawid utrzymywał, że po dziesięciu minutach wszyscy zaczną się nudzić.

Na dwie godziny przed przybyciem gości wystąpił ze swoją niespodzianką. Odprowadził Lesę na stronę i oznajmił:

- Leso, to twoje przedstawienie, sama musisz wygłosić tekst wprowadzający.

Spojrzała na niego przerażona.

- Ależ to niemożliwe!

- Dlaczego?

- Bo ja nie mogę tego zrobić!

Dawid położył ręce na ramionach Lesy.

- Ponieważ boisz się, że mężczyźni będą ci się przyglądać? Daj spokój, Leso, bądź ze mną szczerą.

Lesy odwróciła wzrok. Dawid był jedyną osobą, której nie mogła okłamywać.

- Musisz to zrobić, Leso. To twój dzień. Tyle nad tym pracowałaś. Wiem, z czym się zmagasz. Wierz mi, jeśli wygłosisz tę mowę, będzie to pierwszy krok do zwycięstwa. - Wziął ją pod brodę, musiała więc spojrzeć w jego dobre oczy. Gniew, który dostrzegł w spojrzeniu Lesy, o mało nie zachwiał jego postanowienia. - Spróbuj, Leso.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru, prawda?

Dwie godziny później wszyscy zebrani ucichli, kiedy Lesa weszła na podium. Ta nagła cisza niemal ją sparaliżowała. Zaczęła czytać wolno, żeby nie popełnić błędu, dzięki czemu wypadła bardzo dobrze. Goście słuchali z zainteresowaniem, chwalili zapierające dech obrazy, przekazane na żywo z satelity SPOT za pomocą talerza i odbiornika, które Darryl zainstalował na parkingu hotelowym. Dzień i godzinę prezentacji wybrał sam Darryl; nieprzypadkowo SPOT miał właśnie dobry widok na Zjednoczone Królestwo, kiedy Lesa włączyła ekran projektora. Nikt nie kwestionował jej słów, gdy oświadczyła, że opracowanie systemu powiększania obrazów, którego rezultaty właśnie oglądają, kosztowało dwa miliony funtów.

- Ona jest znakomita - szepnął wysoki urzędnik, przedstawiciel potężnego koncernu chemicznego, do Dawida i Carrie, nie mając najmniejszego pojęcia, kim oni są. - Ile ma lat?

- Chyba dwadzieścia pięć - szepnęła w odpowiedzi Carrie zastanawiając się, jak też ów urzędnik przyjąłby prawdę: że ta elegancka młoda kobieta, której słuchał z zainteresowaniem, ma osiemnaście lat.

64.

1988-1990

Przez pierwsze dwa lata istnienia firmy Lesa miała pokój w domu Darryla. Przez te dwa lata pracowali po osiemnaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu, z bardzo niewielkimi przerwami. Żadne z nich nie prowadziło życia towarzyskiego. Oboje pracowali nad analizą zdjęć; po wielu godzinach przed gigantycznym ekranem monitora bolały oczy. Kiedy satelita SPOT znajdował się w niekorzystnym położeniu, Lesa pisała raporty dla klientów Systemationu, przygotowywała i drukowała teksty z komputera, podczas gdy Darryl

konserwował aparaturę i przeprowadzał kolejne eksperymenty z nowymi technikami wzmacniania obrazu, by w pełni wykorzystać coraz liczniejsze nowe satelity ze zdalnym systemem obserwacji.

Szczególne zainteresowanie Lesy Dalekim Wschodem zbiegło się z niewiarygodnym wzrostem piractwa w Basenie Pacyfiku, które z kolei było bezpośrednim rezultatem polityki „otwartych drzwi”, prowadzonej przez Chiny w nadziei powiększenia obrotów handlowych z Zachodem. Było to piractwo na taką skalę, że hiszpańscy korsarze z ubiegłych wieków robili wrażenie drobnych kieszonkowców. W 1988 roku na Morzu Południowochińskim porwano ładunki łącznej wartości stu milionów funtów. Banderę przechwyconych statków zmieniano, przerejestrowując je błyskawicznie dzięki pomocy skorumpowanych urzędników w krajach chętnie użyczających swojej flagi. Najlepszym klientem Systemationu stał się koncern, który miał się przekształcić w największe na świecie towarzystwo ubezpieczeniowe - Towarzystwo Ubezpieczeniowe Ludu Chińskiego. Lesa dostarczyła im dowodów, które pozwoliły odzyskać pięciotonowy statek żeglugi przybrzeżnej z wartym dwa miliony funtów ładunkiem dykty. Zaliczki wypłacane przez to towarzystwo pokrywały koszty abonamentu SPOT-a, dzięki czemu Lesa mogła poświęcać większość wolnego czasu, którego zresztą nie miała dużo, na poszukiwania luksusowego jachtu. Wszystkie szczegóły jego konstrukcji tak się wbiły w jej pamięć, że nie musiała nawet posługiwać się rysunkami. Wiele czasu spędziła na szczegółowym badaniu obrazów utrwalonych na dyskach komputerów Systemationu. Gdyby Systemation dysponował odpowiednimi środkami finansowymi, znacznie częściej włączałaby się na bezpośredni odbiór ze SPOT-a, żeby uaktualnić materiał. Gnębiła ją myśl, że może zlokalizować jacht na zdjęciu sprzed tygodnia, ale nie będzie miała pieniędzy na odnalezienie go w danym momencie, ze względu na koszty korzystania z satelity. Systemation walczył o utrzymanie się na powierzchni. Dochody były wystarczająco duże, ale mimo korzystnego kontraktu z właścicielami SPOT-a opłaty abonamentowe stanowiły olbrzymie obciążenie. Sytuacja ta znacznie się pogorszyła na początku 1989 roku, kiedy wzrosła gwałtownie liczba uchodźców uciekających z Wietnamu do Hongkongu przez Morze Południowochińskie.

Po raz pierwszy Lesa nabrała podejrzeń, że zanosí się na nowy exodus, pewnego niedzielnego poranka, kiedy Darryl wybrał się w odwiedzin do swoich rodziców. Zdjęcie zostało wykonane godzinę wcześniej. Na skraju obrazu zauważyła coś niezwykłego. Kiedy powiększyła obraz, zobaczyła coś, co przyprawilo ją o mdłości. Był to duży sampan, oddalony od Hongkongu o jakieś dwadzieścia mil. Drżącymi palcami włączyła myszkę, żeby policzyć rodaków stłoczonych w na pół zatopionym sampanie. Przestała liczyć, gdy doszła do siedemdziesięciu. Drugie tyle mogło mieścić się pod pokładem. Zadzwońiła do Królewskich

Sił Policyjnych Hongkongu, przedstawiła się i podała położenie sampana, starając się uświadomić swemu rozmówcy konieczność niezwłocznego działania. Zadzwoił do niej po dwóch godzinach informując, że sampan wzięto na hol.

Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy policja okazała się pomocna. Hongkong miał już dosyć; kolonia nie mogła sobie poradzić z uchodźcami. W marcu 1989 roku większość nowo przybyłych traktowano jako nielegalnych imigrantów.

Czerwiec 1989 przyniósł koszmarną masakrę studentów w Pekinie, był to miesiąc, w którym komunizm chiński utracił swój wpływ na przyszłość, ale nie na teraźniejszość. Darryl zidentyfikował dół za miastem jako masowy grób. Upierał się, że zdjęcie należy sprzedać temu, kto da więcej. - Naszym obowiązkiem jest przetrwać - powiedział Lesie, która zmuszona była ulec jego argumentom.

Drogą licytacji sprzedano prawo wyłączności na to straszliwe zdjęcie za dziesięć tysięcy funtów. Te pieniądze wystarczyły akurat na to, żeby Systemation nie zbankrutował.

65.

1991

Wiosna przyniosła szczęśliwy traf. Lesa badała właśnie usytuowanie planktonu na Północnym Atlantyku w pobliżu Bostonu dla Urzędu Badań Rybołówstwa ONZ, kiedy na dwóch kolejnych orbitach SPOT-a pojawił się statek w tej samej pozycji. Nie zmienił położenia przy trzeciej orbicie.

- Darryl, mamy statek w kłopotach.

Darryl sprawdził spostrzeżenia Lesy i potwierdził, że na trzech kolejnych zdjęciach z orbity nie widać żadnej zmiany położenia statku, poza dryfowaniem. Statki o dwudziestotonowej wyporności nie dryfują na morzu, chyba że mają poważną awarię silnika.

- Powinniśmy chyba zrobić kilka znacznych powiększeń, zanim podniesiemy alarm - zasugerował Darryl.

Po trzydziestu minutach komputer VAX wydobyl ze zdjęć wszystkie możliwe informacje i przekazał rezultaty na olbrzymi ekran. Darryl nastawił największe czytelne powiększenie. Oboje z Lesą wypatrzyli anomalię w tym samym momencie i doszli do identycznego wniosku.

66.

Dwie godziny później zjawił się Drew Hawkins, przedstawiciel Agencji Ochrony Środowiska przy ambasadzie w Londynie, zdumiony, że siedzibą Systemationu okazał się bliźniak w Woking.

Obejrzał powiększone ujęcia. Nie był wprawdzie ekspertem od analizy zdjęć, uznał jednak, że Lesa i Darryl mają rację, statek niewątpliwie wyciągał pojemniki z ładowni za pomocą żurawi masztowych i wyrzucał je do morza. Przekonywających dowodów dostarczyła analiza termiczna obrazów, na której pojemniki widoczne były jako purpurowe plamy. Jedna plama purpury znajdowała się w pewnej odległości od statku.

- Są gorące - oświadczyła dwuznacznie Lesa. Sprawdziła wykres kolorów. - Około sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Wydaje mi się, że cokolwiek te pojemniki zawierają, jest równie radioaktywne jak rdzeń reaktora.

67.

Następnego ranka zadzwonił do nich urzędnik z ambasady. Telefon odebrała Lesa.

- Jesteśmy pani bardzo wdzięczni, panno Wessex, za ten trop. Wczoraj wieczorem dwa kutry straży przybrzeżnej zatrzymały statek, trzy pojemniki znajdowały się jeszcze w ładowni na rufie. Statek nazywa się „Milandos”, oczywiście ma rejestrację panamską. Według papierów okrętowych płynął z balastem z Brestu do Bostonu. Wydaje nam się, że to ten sam statek, który straciliśmy z oczu dwa miesiące temu, kiedy wypłynął z Singapuru.

- Cieszę się, że mogłam pomóc, panie Hawkins - powiedziała Lesa, myśląc gorączkowo, jak najlepiej wykorzystać ten nowy kontakt.

- Potrzebne nam będą pani zeznania.

Lesa wyobraziła sobie, że będzie musiała pojechać do Ameryki i zostawić samotnego Darryla na posterunku.

- To będzie dosyć trudne. Pracujemy tylko we dwoje.

- Wystarczy, jeśli złoży pani zaprzysiężone zeznanie w ambasadzie. I oczywiście pokryjemy koszty.

68.

Lesa złożyła wymagane zeznanie, łącznie ze zdjęciami i konieczną dokumentacją. Załączyła także rachunek za fachowe usługi piętnaście tysięcy funtów, plus podatek od wartości dodanej.

- Tego nie przełkną - zawyrokował Darryl.

Po miesiącu przyszedł czek na pełną sumę.

- Doskonale - stwierdziła Lesa. - Ilekroć będzie nam ciężko, zabawimy się w łowców skarbów.

Darryl wiedział, że nie ma sensu spierać się ze współniczką. Rzadko zwyciężał w dyskusjach, a późniejsze wydarzenia zawsze potwierdzały rację Lesy. Tak było i tym razem. Podjęła decyzję w momencie, kiedy nielegalne wrzucanie do morza niebezpiecznych odpadów przemysłowych stało się interesem do tego stopnia intratnym, że zainteresowały się nim gangi. W ciągu następných sześciu miesięcy Systemation dostarczył dowodów w sześciu podobnych przypadkach, co bardzo poprawiło obroty firmy.

69.

1992

Następnej wiosny warunki w domu Darryla stały się nie do wytrzymania. Szafy z dokumentami wypełniały cały hall, a dwa pokoje na dole zawałone były sprzętem. Sypialnia Lesy służyła jej także za biuro. Jakoś sobie radzili z przyjmowaniem klientów, ale konflikt charakterów był nie do uniknięcia, w wyniku czego doszło między nimi do pierwszej poważnej awantury, która o mało nie położyła kresu spółce. Zapoczątkował spór Darryl, protestując przeciwko hałaśliwym ćwiczeniom, które Lesa wykonywała późnym wieczorem.

- Dlaczego, do cholery, co wieczór spędzasz całą godzinę na kopaniu ściany, kiedy wiesz, że usiłuję spać?

Wynikła z tego zażarta i długa kłótnia. Na zakończenie Lesa oświadczyła, że będą musieli znaleźć odpowiednie pomieszczenie.

Bank chętnie dał im pożyczkę na hipotekę w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy funtów, za co kupili farmę Whitefriars położoną na południowym stoku Hog's Back, w odległości kilometra od hotelu, w którym odbyła się przed laty prezentacja firmy.

Po wielu perswazjach magistrat Guildfordu wyraził wreszcie zgodę na zmianę statusu posiadłości. Lesa odwołała się z powodzeniem do Ministerstwa Ochrony Środowiska, protestując przeciwko restrykcjom magistratu, który nie godził się na ustawienie anten do odbioru satelitarnego w pobliżu budynku mieszkalnego farmy. Lesa przekonywała, że cztery miliony domów w południowo-wschodniej Anglii korzysta z własnych anten talerzowych typu Amstrad, żeby odbierać program telewizji DBS z trzech satelitów Astra, a anteny Systemationu, choć większe od „cukierniczek” Amstrada, będą ledwo widoczne z głównej

drogi.

Farma miała idealne położenie, z otwartym widokiem nieba od horyzontu do horyzontu. Kamienny budynek mieszkalny z dziesięcioma sypialniami doskonale mieścił biura i pomieszczenia badawcze. Darryl znalazł również dość miejsca na laboratorium, gdzie mógł rozwijać aparaturę do mikrofalowego systemu analizy, która przyda się w dwudziestym pierwszym wieku, jeśli firma ma nadal wytrzymywać konkurencję.

Spokój i piękne widoki sprzyjały koncentracji tak potrzebnej przy pracy w Systemationie. Lesa postanowiła podnieść urodę miejsca, oczyścić i zarybić jezioro u podnóża stoku.

- Marnowanie pieniędzy - zrzędził Darryl.

- Możemy sprzedać na licytacji prawa do połowu - zareplikowała Lesa - nie klubom wędkarskim, ale indywidualnym wędkarzom. Tym sposobem zarobimy więcej pieniędzy i będziemy patrzeć na przyjemną scenerię.

W dzień po zakończeniu oczyszczania jeziora Lesa wystąpiła z kolejną niespodzianką. Był ciepły letni wieczór. Darryl miał właśnie jechać do domu, kiedy zatrzymała go w momencie, gdy wsiadał do swojego Mercedesa.

- Chodź, zobacz, co kupiłam - wołała podniecona, trzymając go za rękę.

- Nie możesz z tym poczekać do jutra? - narzekał. - Jestem wykończony.

- Nie, to nie może czekać. Chodź.

Darryl nie przestawał zrzędzić, że jest zmęczony, pozwolił się jednak ściągnąć wzdłuż miniaturowego lasu anten telewizyjnych nad brzeg jeziora, gdzie jakiś mężczyzna, wychylając się przez okno Range Rovera, ostrożnie cofał nad sam brzeg wody coś, co wyglądało na pomniejszoną przyczepę do przewozu koni. Darryl jęknął:

- Leso, chyba nie chcesz powiedzieć, że kupiłaś kilka kucyków!

Spojrzała zakłopotana na swojego współnika.

- Po co miałabym kupować kucyki? Są kompletnie nieprzydatne.

- Czy pani gotowa? - zapytał mężczyzna.

- Tak - odpowiedziała uszczęśliwiona Lesa. - Czy mogę sama je wypuścić?

- Oczywiście.

Darryl przyglądał się w osłupieniu, jak Lesa odsuwa zasuwkę w drzwiach z tyłu przyczepy i opuszcza rampę. Zajrzała do wnętrza i radośnie klasnęła w dłonie.

- Są cudowne!

Najwyraźniej starała się zachęcić pasażerów przyczepy do wyjścia na zewnątrz. Dwa cudownie białe ptaki o niemożliwie długich nogach wyskoczyły z przyczepy jak podniecone

baletnice i chlupnęły w wodę. Machały skrzydłami, żeby je rozprostować po długiej podróży w zamknięciu, po czym stanęły nieruchomo, rozglądając się nieufnie. Jeden zaczerpnął szybko łyk wody i uniósł wysmukły dziób w górę, żeby przełknąć.

- Bociany! - szepnął Darryl.

- Bociany! - powtórzył pogardliwie mężczyzna, zamykając przyczepę. - To nie są bociany, tylko żurawie. Najwspanialsza odmiana sarus, jaką kiedykolwiek wyhodowałem. Podciąłem im trochę pióra na skrzydłach, proszę pani. Niewiele, odrosną za kilka miesięcy. Mogą fruwać, ale wysiłek je zniechęci. W ten sposób przyzwyczajają się do tego miejsca. Na początku będą trochę nerwowe, ale po jakimś czasie zaczną panią poznawać. Jeśli będzie dosyć ryb, nie będą chciały się stąd wynosić. - Usiadł za kierownicą Range Rovera i uruchomił silnik.

- Wpadnę w przyszłym tygodniu, żeby zobaczyć, jak się aklimatyzują. I przywiozę ze dwa worki zimowego koncentratu. Do widzenia!

Range Rover odjechał, pozostawiając Lesę i Darryla pogrążonych w kontemplacji najnowszego nabytku.

- Czy nie są cudowne? - pytała uszczęśliwiona Lesa. - A zanim zaczniesz zrzędzić, powiem ci, że kupiłam je za własne pieniądze, a w jeziorze i tak jest za dużo ryb.

Darryl pokręcił głową.

- Ale dlaczego, Leso? Jesteś tak praktyczną dziewczyną i nagle robisz coś tak idiotycznego. Większości ludzi wystarczyłaby papużka.

Lesa uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Według wietnamskich wierzeń żurawie to dusze przysłane z nieba, żeby przynieść szczęście.

- Ale nie rybom - zauważył Darryl, bo jeden z ptaków nagle zanurzył dziób w wodę i połknął niewielkiego karpia. - Dobrze, teraz już zdecydowanie jadę do domu. Zostawię cię, byś mogła w spokoju oddawać się swoim szaleństwom. Myślisz, że do Bożego Narodzenia nabiorą trochę tłuszczu?

Musiał się uchylić, bo Lesa cisnęła w niego błotem. Doszedł do zabudowań dawnego gospodarstwa i obejrzał się na jezioro. Z ogromnym zdziwieniem zauważył, że ptaki pozwoliły Lesie podejść bardzo blisko i wyciągnąć rękę, by mogła ich dotknąć.

70.

Lesa miała rację, że żurawie przynoszą szczęście. Dwa miesiące po zainstalowaniu się

w nowej siedzibie dowiedzieli się o likwidacji Biura Pomiarów Lotniczych. Lesa przyjęła trójkę pracowników do pracowni analiz fotograficznych i sekretarkę. Kupiła także za śmiesznie niską cenę archiwum fotografii razem z umeblowaniem biurowym swego byłego pracodawcy.

- Wykonaliśmy pełne koło - zauważył Darryl obserwując, jak wyładowywano meble z ciężarówki.

Lesa pokręciła przecząco głową.

- Dopiero pierwszy obrót.

71.

1993-1999

Systemation, pomimo pewnych niepowodzeń, prosperował na ogół nieźle, głównie dzięki temu, że Darryl w szybkim tempie udoskonalał przyrządy, by w pełni wykorzystać wprost niewyobrażalne możliwości satelity SPOT 9. Nowego satelitę wystrzelono na orbitę biegunową z miejscowości Andoya na wybrzeżu norweskim. Kiedy przemieszczał się po swojej orbicie dookoła Ziemi, od bieguna do bieguna, Ziemia pod nim obracała się wokół własnej osi, toteż każdy centymetr kwadratowy powierzchni przelatywał pod jego czujnym okiem o dwumetrowej średnicy w każdym cyklu orbitalnym. SPOT 9 był czymś więcej niż satelitą optycznym, jego zdalne sensory przenikały podczerwień na samym dole widma aż do częstotliwości mikrofalowych na jego szczycie. Systemation był jedyną firmą, która potrafiła wykorzystać wspaniałe możliwości satelity w sposób maksymalny. Pod koniec dwudziestego wieku Departament Ochrony Środowiska Stanów Zjednoczonych regularnie posługiwał się talentami Lesy przy wykrywaniu nielegalnego składowania odpadów, a także porywaczy statków.

Dowody dostarczane przez Lesę były tak niezbite, że już na wczesnym etapie współpracy należało podjąć środki ostrożności, by ukryć jej tożsamość i nazwę firmy. Drew Hawkins, który szefował teraz Lesie z ramienia ambasady amerykańskiej, wyposażył ją nawet w fałszywe paszporty, by mogła się nimi posługiwać, podróżując do różnych krajów w celu złożenia zaprzysiężonych zeznań z ramienia amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska. Toteż nie uwierzyła mu, kiedy ostrzegł, że rozszyfrowano jej fałszywe papiery w Hongkongu.

- Nonsens - powiedziała niedbale podczas lunchu w Londynie. Celebrowali odzyskanie amerykańskiego masowca „Eastern Bonanza”, płynącego do Japonii z ładunkiem drewna wartości dziesięciu milionów dolarów, który piraci porwali w odległości dnia drogi od

Dżakarty. W ciągu dziesięcioletniej współpracy zjedli dwanaście podobnych obiadów.

- Leso, to prawda - mówił poważnie Hawkins. - Wiemy, że Hugo Sukarno ma twój rysopis. Odkrył też, że w Hongkongu posługujesz się nazwiskiem Liz Collins.

Leso uniosła brwi, kiedy usłyszała nazwisko Hugo Sukarno. Kompania Okrętowa Sukarno, z siedzibą w Hongkongu, zamieszana była w liczne sprawy o nielegalne wyrzucanie do morza trujących odpadów przemysłowych, ale przebiegły gangster zawsze z powodzeniem udawał swoją niewinność, przytaczając całą litanię przedsiębiorstw zarejestrowanych w różnych podatkowych rajskich krainach, które wynajmowały jego statki. Przekonał liczne zespoły sędziowskie, że jako właściciel statków nie może być pociągany do odpowiedzialności za działania osób, które te statki od niego wynajmują.

Leso bawiła się jedzeniem na talerzu.

- Drew, czy masz na to jakieś konkretne dowody?

Hawkins sięgnął do kieszeni i podał Lesie przez stół jakiś papier. Leso rozwinęła go i studiowała równe kolumny kantońskiego pisma *kanji*.

- To jest fotokopia dokumentu znalezionej przy jednym z ludzi Sukarno, którego wczoraj przesłuchiwała Ludowa Policja Hongkongu - wyjaśnił. - Mamy z nimi umowę, zgodnie z którą przekazują nam wszystko, co dotyczy Sukarno. Leso, to jest twój rysopis: wzrost, kolor oczu, wszystko. Z ich punktu widzenia nie ma nic złego w tym, że ktoś ma przy sobie rysopis dziewczyny. Policja przyjęła wyjaśnienie tego faceta, że to rysopis dziwki, którą kiedyś poznał, odpowiadała mu, więc chciał odszukać.

Leso uśmiechnęła się.

- W Azji musi być milion kobiet mojego wzrostu i o takim samym kolorze oczu.

- A ile z nich ma na lewym przedramieniu wytatuowany półksiężyc i zawsze nosi zegarek-broszkę oprócz taniego, staroświeckiego cyfrowego zegarka na rękę?

Z twarzy Lesy zniknął uśmiech. Hawkins pochylił się nad stołem.

- Powiedz mi dokładnie, co się zdarzyło w Hongkongu w zeszłym miesiącu.

- Wysłałam ci faksem sprawozdanie.

- Powtórz to jeszcze raz.

- No więc złożyłam sędziemu Wu Peng zaprzysiężone zeznanie w sprawie nielegalnego wyrzucania odpadów przez „Arikado Warrior” i zostawiłam mu zestaw powiększonych zdjęć świadczących, że ta operacja się odbyła.

- Z kim jeszcze rozmawiałeś?

- Z nikim, prócz funkcjonariusza Biura Imigracji i taksówkarza. Przyleciałam na Kai Tak o jedenastej, pojechałam taksówką do mieszkania sędziego w Kowloonie. Sędzia

otworzył mi drzwi, był w domu sam. Zrobił mi kawy, odebrał ode mnie zeznanie, złapałam powrotny samolot do Londynu o północy. Nie zostałam na noc, bo nie chciałam zbyt długo przebywać poza biurem.

- Czy miałaś sukienkę z krótkimi rękawami?

Lesa zastanawiała się przez moment.

- Tak, ale miałam zakiet... pamiętam jednak, że go zdjęłam, bo w mieszkaniu sędziego było gorąco.

- Więc sędzia Wu widział twój tatuaż?

- Chyba tak. Dlaczego pytasz?

Hawkins pokiwał głową ze zrozumieniem.

- W ten sposób Sukarno zdobył twoje fałszywe nazwisko i rysopis. Od sędziego Wu.

- To absurd. On jest najbardziej nieprzekupnym człowiekiem, jakiego znam.

- Ciekaw jestem, czy wrywanie paznokci może człowieka skorumpować?

Lesa spojrzała na Hawkinsa.

- Do czego, u diabła, zmierzasz?

- I nie tylko paznokci. Ciało sędziego Wu znalazła trzy dni temu jego sprzątaczką. Zmarł w wyniku tortur. - Hawkins wziął Lesę za rękę i przytrzymał mocno, kiedy usiłowała ją wyszarpnąć, ponieważ taką właśnie reakcję przewidywał. - Posłuchaj, Leso, nie kpilij ze mnie. Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale zdaję sobie sprawę, do czego ci ludzie są zdolni. Jeżeli odkryją twoją prawdziwą tożsamość, twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Stanowisz cel numer jeden, ponieważ wykryłaś szwindle warte miliardy dolarów. Nie możesz jeździć na Daleki Wschód, dopóki my albo Chińczycy nie przyskrzynimy Sukarno.

72.

Południowa Anglia, 31 grudnia 2000

Lesa, jej rodzice, Darryl i większość dwudziestoosobowego personelu Systemationu wyszli z przyjęcia i zebrali się przy oknie biura na piętrze Whitefriars, skąd roztaczał się widok na południe Anglii aż do South Downs. Była cudownie bezchmurna noc. Słychać było telewizor, w którym przekazywano na żywo ostatnie chwile dwudziestego wieku ze stolic Europy. Darryl i Carrie wymieniali dowcipy. Darryl niewiele się zmienił, miał to samo sówie spojrzenie i zapadnięte policzki, chociaż zamiłowanie do kosztownych ubrań niemal kompletnie odmieniło zbiedniały wygląd, który kultywował z takim upodobaniem, kiedy Lesa go poznała. Pod każdym innym względem pozostał tym samym poczciwym Darrylem, na

którym zawsze można było polegać, który nie zwracał uwagi na drobne niewygody, jak brak jedzenia czy snu, kiedy pracował nad jakimś problemem w swoim wspaniale wyposażonym laboratorium.

Big Ben zaczął wydzwaniać północ. Przy pierwszym uderzeniu zegara dozorca podpalił stos chrustu zgromadzonego na najwyższym wzniesieniu terenu. Płomienie ogarnęły podlany naftą stos, w ciemność nocy posypały się iskry, posyłając roztańczone cienie na las anten satelitarnych, które wpatrywały się w niebo jak pogańskie monolity. Z różnych miejsc w sąsiedztwie odpowiedziały podobne ogniska, a gigantyczny ogień na Devil's Dyke, czterdzieści kilometrów na południe, palił się ostro i wyraźnie w mroźnym powietrzu nocy.

Goście wzięli się za ręce i zaczęli śpiewać *Auld Lang Syne*; Lesa nie przestała wpatrywać się w noc, rozświetloną teraz licznymi punkcikami ognisk. Dym z ich ogniska kłębił się jak ektoplazma nad jeziorem. Ktoś objął ją ramionami.

- To musi pięknie wyglądać z góry - był to głos Dawida. Lesa przyznała mu rację i milczała. Przykryła dłoń Dawida swoją dłonią. Lubiła być blisko niego. Był jedynym mężczyzną, który mógł jej bezkarnie dotknąć, nie wyzwajając owego czarnego monstrum w jej wnętrzu, zawsze gotowego wybuchnąć. Zaciśnęła długie, smukłe palce na jego dłoniach. Dawid czuł, jak końce jej paznokci wbijają mu się w skórę niby ostrzegawcze sztylety.

- Oczywiście - mówił - dalej uważam, że powinniśmy świętować rok temu. Wiem, że rok dwutysięczny był ostatnim rokiem starego stulecia, ale to się nie wydaje słuszne. O co chodzi, kochanie?

Lesa zadrżała.

- Nie, nic... po prostu czuję, że mi się nie udało.

- Nie udało? Masz pięćdziesiąt procent akcji firmy ocenianej na pięć milionów funtów i to nazywasz niepowodzeniem?

- Ty tego nie zrozumiesz.

- Leso, Leso... posłuchaj mnie. Nie jestem taki mądry jak ty, ale nie jestem głupi. Czy myślisz, że nie wiem, dlaczego to wszystko zrobiłaś? Dlaczego specjalizujesz się w Dalekim Wschodzie? Po co wszystkie te podróże do Szanghaju, Makao, Hongkongu?

Lesa nie zrobiła żadnego ruchu, ale poczuł, jak jej ciało zeszywniało. Paznokcie wbiły się mocniej w skórę jego dłoni. Kiedy się odezwała, mówiła szeptem:

- Wiedziałeś? Skąd mogłeś wiedzieć?

- Ponieważ pamiętam wyraz twojej twarzy sprzed wielu lat, kiedy opowiadałaś mi swoją historię. Mam ciągle jej angielską transkrypcję z taśmy. Ilekroć doprowadzałaś nas do rozpacz, czytałem tę transkrypcję i zawsze mi pomagała cię zrozumieć.

Przez kilka minut stali w milczeniu, przyglądając się ogniskom pobłyskującym w ciemności jak odległe świetliki. Lesa utkwiła wzrok w najjaśniejszym ognisku, na Devil's Dyke. Przypominało gwiazdę błyszczącą w ciemności niby latarnia morską, zdawało się robić jej wyrzuty.

Przykro mi, Neti. Próbowałam wielokrotnie. Proszę, wybacz mi. Bardzo proszę.

- Czy teraz zrezygnujesz? - zapytał Dawid, jakby czytał w jej myślach. - Teraz już pewno rozsiani są po całym świecie.

Lesa odebrała to jak elektryczny wstrząs.

- Nie! - powiedziała z nagłą zaciętością. Odwróciła się twarzą do Dawida, w oczach jej żarzyła się spokojna, ale uparta pasja. - Nigdy nie zrezygnuję, dopóki nie zabiję każdego z tych potworów.

CZĘŚĆ TRZECIA

DIEM

Niestrudzone wysiłki zwyciężyły wszystko.

Wergiliusz, Georgiki

1.

Hongkong

Rzadko można doznać w podróży lotniczej przeżyć dorównujących przylotowi na lotnisko Kai Tak w nocy. Zazwyczaj lotniska obsługujące największe stolicy świata usytuowane są wiele kilometrów od miasta, a Kai Tak leży niemal w centrum pulsującej metropolii Kowloonu.

Lesia spoglądała przez okno autobusu powietrznego A 340 na bloki mieszkalne, które przesuwały się w odległości pięciuset metrów od prawego skrzydła. Poprzednie przyloty do Hongkongu nie przygotowały jej dostatecznie na szok, jakiego doznaje się podnosząc wzrok znad książki czy czasopisma, by zobaczyć tak blisko budynki. Widziała jakąś parę pogrążoną w ożywionej sprzeczce we własnym saloniku, który znajdował się wyżej niż samolot.

- To pani pierwsza podróż do Hongkongu? - odezwał się głos obok.

To ten poważnie wyglądający młody człowiek, który siedział przy niej. Przez ostatnich dwanaście godzin, odkąd samolot wystartował z Londynu, Lesia starannie unikała nawiązania z nim rozmowy. Albo czytała książkę, albo patrzyła w ekran Sony. Obejrzała kilka filmów ze stu taśm pokładowej filmoteki British Airways, ale trudno było śledzić film na ekranie umieszczonym w oparciu fotela tuż przed nią, ponieważ sąsiad nieustannie się włączał, komentując akcję i pragnąc za wszelką cenę oglądać z nią razem.

Odwróciła wzrok od oszłamiających neonów Kowloonu i spojrzała na młodego człowieka. Właściwie przyjrzała mu się naprawdę po raz pierwszy.

W swoim dotychczasowym, spokojnym życiu młody człowiek ocierał się o niebezpieczeństwo jedynie na narciarskich stokach Cortiny lub na bardziej jeszcze stromych wzniesieniach wykresów sprzedaży w swojej firmie. Tym razem jednak, kiedy oczy jego spotkały wzrok tej niezwykle pięknej dziewczyny, która siedziała obok, poznał, co to strach.

Prawdziwy strach. Strach, który rozwijał się w jego wnętrznościach jak jadowity wąż i

paraliżował wszelki opór, jaki mógłby stawić temu straszliwemu zagrożeniu. Ciemne oczy prześwidrowały go na wylot, obojętnie nicując cechy charakteru, ambicje, upodobania i awersje. Nie widział szczegółów jej twarzy, tworzyła rozmażaną plamę. Nie dostrzegł jej smukłego ciała w ciasno przylegającym kostiumie podróznym, model Loretta, z małym termoregulatorem przypiętym do talii. Wszystkie szczegóły jej powierzchowności, które obserwował ukradkiem w czasie długiego lotu z Londynu, nagle wyleciały mu z pamięci, kiedy pod wpływem jej przerażającego wzroku poczuł się bezradny jak motyl przyszpilony w gablocie. To straszliwe uczucie trwało przez kilka sekund, dopóki Lesa się nie odezwała.

- Nie, byłam już przedtem w Hongkongu - odpowiedziała bardzo poprawną angielszczyzną.

Nie musiał na to zareagować, ponieważ samolot wylądował i atakował noc rykiem stu pięćdziesięciu ton wstecznego ciągu.

2.

Chiński funkcjonariusz Biura Imigracyjnego wpuścił paszport Lesy w komputer, nie zadając sobie nawet trudu, żeby na nią spojrzeć. Połączenie miejscowego systemu z centralnym policyjnym komputerem Wspólnoty Europejskiej zajęło kilkanaście sekund. Skoro tylko to połączenie nastąpiło, wszystkie informacje dotyczące pasażerki, plus dane z namagnetyzowanego paska paszportu i komputera Ludowej Służby Imigracyjnej, pojawiały się na ukrytym ekranie. Nie było na nim migającego światełka, które wskazywałoby na niezapłacone mandaty czy nie odbyte wyroki, a hologram przesłany przez paryski komputer wykazywał wystarczające podobieństwo z oczekującą na odprawę pasażerką.

Nazywała się Lesa Wessex. Miała obywatelstwo brytyjskie. Zawód: dyrektor przedsiębiorstwa. Urodzona w południowym Wietnamie 3 sierpnia 1970. Międzynarodowa skala kredytu 8 - a więc niebogata, ale w żadnym razie nieuboga. Inne informacje: przybyła do Hongkongu jako uchodźca w 1985. Przebywała w zamkniętym obozie. Repatriowana do Zjednoczonego Królestwa 1985. Od tej pory dwukrotnie odwiedzała Hongkong, ale nie w ciągu ostatnich pięciu lat. Znaki szczególne: tatuaż na lewym przedramieniu, blizna na lewym ramieniu. Zgodnie z tym, co napisała na karcie lądowania, tym razem przyjechała jako turystka, to samo podała w czasie obu poprzednich pobytów.

Zamknięty obóz dla uchodźców? To jedno zdanie równało się całej księdze. Tym razem funkcjonariusz imigracyjny spojrzał na twarz Lesy

Pracował przy tym samym biurku od dziesięciu lat i w tym okresie jedynie kilka kobiet

zwróciło jego szczególną uwagę z powodu przykuwającej urody. Należała do nich Lesa Wessex. Odznaczała się ową ponadczasową urodą, która pojawia się na twarzach po trzydziestce i towarzyszy im przez następne dwa dziesięciolecia, a czasami nawet dłużej. Układ kostny nie miał okrągłości właściwej twarzom wietnamskim. Wydłużona linia podbródka i duże czarne oczy, które wpatrywały się w niego z podejrzliwością żbika, miały cechy europejskie. Niewątpliwie mieszana krew, tym bardziej że panna Wessex była też wyższa od przeciętnej Wietnamki. Kiedy przeszła przez barierę kontrolną, wiązka laserowa wskazywała wzrost 1,7 metra, a piezoelektryczny czujnik pod wykładziną podłogową wykazywał, że waga kobiety jest poniżej normy. Czujnik feromonowy nad jej głową zabarwił się na czerwono. Nie miał wątpliwości, że jest to istota płci żeńskiej, podobne było przekonanie funkcjonariusza imigracji.

- Poproszę o odcisk wskazującego palca w celu identyfikacji - powiedział.

Lesa przycisnęła palec do tabliczki identyfikacyjnej. Wiedziała już, że maszyna nie zdoła dopasować tego odcisku do jej pozostałych paszportów; maszyny miały za zadanie porównywać aktualny odcisk palca z cyfrową informacją w paszporcie, by udowodnić, że paszport znajduje się w rękach autentycznego właściciela.

- A teraz proszę drugą rękę.

Lesa przyłożyła do tabliczki palec wskazujący lewej ręki. Kiedy zrobiła ten ruch, kostium podróżny ciasno opiął się na jej piersiach. Urzędnik pomyślał, że byłoby przyjemnie zatrzymać ją w tym boksie jak najdłużej.

- Czy mógłbym zobaczyć tatuaż na pani lewym przedramieniu, panno Wessex?

Lesa zmarszczyła brwi.

- Nigdy dotychczas to pana nie obchodziło.

Funkcjonariusz uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Nowe zarządzenia. Codziennie przychodzą jakieś nowe zarządzenia.

Lesa rozluźniła hermetycznie zapięty mankiet kostiumu podróżnego i podwinęła rękaw, pokazując urzędnikowi wytatuowany półksiężyc. Nic w zachowaniu urzędnika nie wskazywało, że wie, co ten tatuaż oznacza.

- Dziękuję, panno Wessex. Wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Gdzie się pani zatrzyma?

- W hotelu Waterfront Sheraton w Kowloonie.

- Ach, tak. Od początku roku współzarządcą hotelu jest Ludowe Biuro Turystyki, ale to oczywiście w niczym nie wpłynęło na obniżenie wysokiego standardu.

W odpowiedzi Lesa rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

Urzędnik uśmiechnął się nieśmiało i oddał jej paszport.

- Życzę miłego pobytu w Hongkongu, panno Wessex.

Obserwował, jak wychodzi z budki kontrolnej i kieruje się w stronę karuzeli bagażowej. Poruszała się ze zmysłowym wdziękiem pantery - mocne mięśnie przeżyły się pod opinającym ciałem kostiumem podróżnym, którego klimatyzacja bzycała cichutko. Urzędnik oddał się czysto erotycznym rozmyśleniom, dopóki nie uświadomił sobie, że kobieta o tyle od niego wyższa naraziłaby go na śmieszność, zwłaszcza kobieta ze znakiem *ninja* na przedramieniu, kobieta należąca do klanu śmierci.

Sięgnął ręką do telefonu.

3.

Drzwi hali lotniska otworzyły się i Lesa wyszła prosto w wilgotny upał wiosennej nocy w Hongkongu. Włączyła urządzenie klimatyzacyjne umieszczone przy pasku podróżnego stroju. Dopiero po kilku sekundach poczuła obniżenie temperatury specjalnego oziębiacza, który cyrkulował wewnątrz mikroskopijnej sieci rurek. Zanim znalazła taksówkę, baterie niemal się wyczerpały.

Bardzo niski, elegancko ubrany młody mężczyzna, który obserwował, jak Lesa wsiada do taksówki, nie wyglądał na mordercę. Znany był jako Sammy Lunn. Nie było to jego prawdziwe nazwisko. Nie wiedział zresztą, jak się naprawdę nazywa; niemal od dzieciństwa, kiedy to zlikwidował poważne długi dla Hung Wai, wszyscy nazywali go Sammy Lunn. Zlikwidowanie poważnych długów sposobem Triady oznaczało przeważnie obcięcie ręki jednym ciosem maczety o krótkim ostrzu, która łatwo dawała się ukryć w nogawce spodni. Sammy szybko znudził się tak prymitywnym sposobem zabijania. Przerzucił się na bardziej naukowe metody, które pozwalały mu wykorzystać talenty w dziedzinie elektroniki, jak na przykład nie opatentowany wynalazek - bombę telefoniczną. Jeden gram materiału wybuchowego w słuchawce eksplodował pod wpływem ciepła wydzielanego przez ciało ofiary. Bardzo często w tej samej słuchawce telefonicznej znajdował się zainstalowany wcześniej przez Sammy'ego aparat podsłuchowy, który dostarczał dowodów wystarczających do skazania ofiary na śmierć.

Hung Wai i inni szefowie Triady zostali złapani w wielkiej obławie policyjnej w dzień po formalnym przekazaniu przez Brytyjczyków Hongkongu Chinom. Policja musiała zaplanować tę operację w porozumieniu ze swoimi przyszłymi władzami na wiele tygodni naprzód. W ciągu dwudziestu czterech godzin z entuzjazmem załatwili stare porachunki,

aresztując blisko dziesięć tysięcy członków Triady i wysyłając ich setkami autobusów przez granicę, która praktycznie przestała istnieć. Nigdy więcej nie widziano aresztowanych. Było to zręczne posunięcie Chińczyków. Jednym ruchem pozbyli się największego problemu bez narażania się na długoletnie, subtelne spory prawnicze.

Nieliczni członkowie Triady, którym udało się wymknąć z sieci, szybko zorientowali się, że najmądrzej będzie zaprzestać działalności i zamienić się w nie naruszających prawa obywateli. Sammy należał do grona szczęśliwców, został gońcem Hugona Sukarno. Nowy szef szybko zauważył i zaczął wykorzystywać liczne talenty swojego pracownika, jak na przykład zdolność ostatecznego uciszania zbyt gadatliwych marynarzy, co było ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy mieliby ochotę nawiązać bliższy kontakt z nowym reżimem.

Pewnego razu jedna z misternych, małych bomb Sammy'ego wyrwała dno starego, rdzewiejącego statku na środku Pacyfiku, dzięki czemu Hugo Sukarno mógł wystąpić o odszkodowanie zarówno za utratę statku, jak i nigdy nie istniejącego ładunku, a także pozbyć się załogi, która zaczynała sprawiać kłopoty. Sammy był uzdolnionym, uśmiechniętym i sympatycznym młodzieńcem, a jego jedyną ambicją było bogactwo; potrafił bez trudu wmieszać się w tłum i zabijać bez skrupułów. Był najbardziej pożytecznym członkiem zespołu Hugona Sukarno.

Rozkazy, które Sammy właśnie odebrał przez Klipsofon, nie przewidywały zabicia tej uroczej Euroazjatki, wsiadającej do taksówki, miał jedynie ją śledzić i przekazywać szefowi częste raporty. Nie ma wątpliwości, że w odpowiednim czasie dostanie rozkaz, żeby ją zabić. Rzadko trafiało mu się zabijać kobiety, zwłaszcza tak piękne.

Kiedy nacisnął starter skutera, by pojechać w pewnej odległości za taksówką, poczuł dreszczyk seksualnego podniecenia.

4.

Widok na dzielnicę Victoria z balkonu Lesy na ostatnim piętrze zapierał dech. Ściana wieżowców, rozciągająca się od Kennedy Town do North Point, nad którą dominował wielokątny budynek Banku Chin, błyszczała milionami punkcików świetlnych. Poza linią budynków widać było garbate zarysy Wzgórza Wiktorii, wznoszącego się na wysokość trzystu metrów; stoki wzgórza aż migotały, rozświetlone oknami apartamentów milionerów w blokach wychodzących na zatokę. Za czasów Brytyjczyków nie wolno było wznosić takich budynków. Uległo to zmianie pod rządami Chińczyków, którzy w sposób znacznie bardziej prozaiczny odnosili się do przekupstwa.

Pomimo paniki, jaka ogarnęła Hongkong po pogromie studentów w Pekinie w czerwcu 1989, przejście pod władzę Chin nie miało wielkiego wpływu na dawną kolonię. Za masakrę odpowiadała dogorywająca wówczas stara gwardia. Teraz Chinami rządzą ludzie młodszy, - wielu z nich urodziło się dopiero po śmierci Mao. Nie zmieniło się tylko jedno: gorączkowe tempo, w jakim burzono budynki, by na ich miejsce wzniesić większe, jeszcze bardziej ekstrawaganckie. Pod panowaniem nowej władzy proces stałej destrukcji i stałej odnowy uległ znacznemu przyspieszeniu. Narzucone przez Brytyjczyków restrykcje imigracyjne stanowiły swego rodzaju hamulec przy rozbudowie, ze względu na brak siły roboczej.

Rozluźnienie owych restrykcji przez Chińczyków położyło kres brakowi siły roboczej, a specjalny status administracyjny dawnej kolonii z korzystnymi ulgami podatkowymi spowodował napływ nowych potentatów przemysłowych z północy, którzy budowali wieżowce ozdobione emblematami swoich koncernów, by pokazać całemu światu, że im się powiodło. Wiele gigantycznych neonów ozdabiających budynki niczym nuklearne fajerwerki dawało się kontrolować za pomocą komputera, toteż firmy średniej wielkości w swojej drodze na szczyt mogły się podłączyć do tej neonowej reklamy na chwilę wystarczająco długą, by specjaliści od promocji zdążyli zrobić zdjęcie do kalendarza i zarzucać nim potem klientów na całym świecie. Dla Chińczyków sprawa dorównywania Wongom miała istotne znaczenie w sferze duchowej i nawet etos komunizmu nie zdołał tego podważyć, toteż wbrew głębokim obawom mieszkańców przed nowym porządkiem, Hongkong stał się finansowym Manhattanem mogołów-mandarynów.

Lesia dała napiwek chłopcu hotelowemu i zaczęła się pospiesznie rozpakowywać. Musiała bardzo wiele zrobić, zanim będzie mogła choćby tylko pomyśleć o długiej, gorącej kąpieli. Zdjęła kostium podróżny, wyrzuciła do śmieci jego jednorazową podszewkę. Baterie urządzenia klimatyzacyjnego zaczęły się ładować. Wyszła na balkon w białym, ustawiła na trójnogu nocną lunetę o wielkiej mocy, kierując ją poprzez liście rosnącego na balkonie hibiskusa na nową, olbrzymią przystań w zatoce Causeway. Ten wzmacniający światło instrument udoskonalony został z myślą o ułatwieniu obserwacji przyrodniczych w nocy. Doświadczone oko Lesy wychwytywało numerowane miejsca kotwiczenia statków, porównując je ze zdjęciami ze SPOT-a rozłożonymi na stole. Zdjęcia zrobiono przed dwoma dniami, kiedy satelita znajdował się dokładnie nad Hongkongiem. To, co na nich zobaczyła, spowodowało natychmiastowy przyjazd do Hongkongu.

Molo nr 10... molo nr 10... To tu. Skierowała odpowiednio lunetę, by ominąć blask silnych świateł ochrony przystani, i zaczęła powoli Przesuwać ją wzdłuż mola nr 10. Skośny kąt odchylenia lunety, a także płatanina masztów i takielunku setek luksusowych jachtów i

dżonek utrudniały wyodrębnienie pojedynczego statku. Lesa spojrzała na zdjęcia ze SPOT-a. Szukała miejsca postoju 10 D. Długimi, smukłymi palcami skierowała lunetę bardziej w lewo, wprowadzając przy okazji maleńkie poprawki w ustawieniu elektronicznego urządzenia ogniskującego, by wyrównać przekłamania spowodowane parnym, wilgotnym powietrzem nocy.

Miejsce 10 A - wielka, luksusowa dżonka, 10 B - holenderska żagłówka motorowa ze stalowym kadłubem, 10 C - dziesięciometrowy trimaran Hartley, na pokładzie okrągły Polinezyjczyk z włosami jak miotła ściągając papierem ściernym politurę ze ścian kabiny, miejsce 10 D... Luneta przestała się poruszać. Ciało Lesy znieruchomiało w niekontrolowanym skurczu. Wstrząsnął ją lodowaty dreszcz, który wywołał dziwne uczucie jakby klucia szpileczkami w kark; mimo upalnej nocy Lesa poczuła na całym ciele gęsią skórę, poczuła też, że stwardniały jej sutki. Patrzyła na statek, który widziała po raz ostatni niemal przed dwudziestu laty, kiedy oblana krwią z rany w ramieniu stała w na wpół zatopionym sampanie i obserwowała, jak zniechęcona załoga znika za mgiełką.

W ciągu tych lat na pokładzie jachtu zaszło nieco zmian. Niektóre, jak na przykład nowa markiza nad sterówką, trochę zbiły ją z tropu, kiedy dostrzegła je po raz pierwszy na zdjęciach ze SPOT-a. Ale nie mogło być wątpliwości - ten sam zaokrąglony pokład rufowy i długa bariera ze szpikulcami zamykająca rozszerzony dziób. Ta sama była nawet łódź motorowa na żurawikach pawęży. Teraz, kiedy mogła obejrzeć profil kadłuba, była absolutnie pewna, że długoletnie poszukiwania dobiegły końca. Na przednim pokładzie siedziało dwóch młodych Chińczyków w dzinsach i trykotowych koszulkach; grali w mah-jonga. Pewnie członkowie załogi. W kajucie na dziobie paliło się światło. Lesa nastawiła lunetę na największe powiększenie, żeby odczytać nazwę jachtu. „Rasputin”, rejestracja: Odessa.

Odessa?

To było nieoczekiwane. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że jacht może mieć radziecką rejestrację. Wieloletnie drobiazgowo poszukiwania skoncentrowała na miejscach rozrywek kapitalistów. Przesunęła lunetę w ten sposób, że całe pole widzenia zajęło okno oświetlonej kabiny. Za zasłoną widziała poruszające się cienie.

Odnalazła jacht. Ale czy po osiemnastu latach udało jej się również odnaleźć trójkę Europejczyków i rudowłosą kobietę?

W soczewce błysnęło światło. Lesa zmniejszyła siłę powiększenia i dostrzegła postać na progu kabiny. Z tyłu padało na nią światło, które rozlewało się po przednim pokładzie. Z zarysu sylwetki wnioskuje, że to na pewno nie mężczyzna o torsie byka ani też nie rudowłosa. Może to jeden z dwóch pomocników. Postać przeszła przez pokład i oparła się o

balustradę. Był to mężczyzna. Miał na sobie eleganckie białe spodnie i luźną trykotową koszulkę. Rozluźniony i pewny siebie. Pewnie właściciel jachtu. Kiedy rozpakowywał cygaro i wkładał je do ust, na palcu błysnął pierścień. Lesa nastawiła silniejsze powiększenie. Mężczyzna wyglądał na Chińczyka. Kolejny metaliczny błysk. Pewnie zapalniczka. Światło oświetliło twarz mężczyzny. Na sekundę wstrząs zaćmił Lesie wzrok, ale była pewna, że się nie pomyliła. Niewiele się zmienił przez te wszystkie lata.

Mężczyzną na pokładzie był Diem.

5.

Diem, oparty o burtę „Rasputina”, zaciągał się cygarem. Czuł się znakomicie. Jeszcze sześć miesięcy pracy dla Aleksego Hegla i oszczędzi dosyć, by kupić „Rasputina”. Tyle Hegel mu obiecał. Tyle przynajmniej Hegel był mu winien. Przez te wszystkie lata dobrze służył potężnie zbudowanemu radzieckiemu specjalistce od fizyki cząsteczek. Usunął nawet ciało chińskiej prostytutki, którą Hegel zamordował - co do tego Diem nie miał wątpliwości.

Los Diema odmienił się na tym samym jachcie w 1985 roku, kiedy Lesa przeskoczyła przez burtę dokładnie w miejscu, gdzie teraz stał.

6.

Morze Południowochińskie, lipiec 1985

Wszyscy byli zbyt zaabsorbowani, żeby zwrócić uwagę na Diema. Mężczyzna z torsem byka zawył z wściekłości, kiedy Lesa przeskoczyła przez burtę. Wrzeszczał na swoich towarzyszy w języku, którego Diem nie rozumiał, a potem rzucił się do stromego podejścia na mostek kapitański.

Mężczyzna z długimi włosami wrzeszczał na rudą, wskazując na sampan i dając wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie, by faleń łódki znalazł się w zasięgu śrub napędowych. Kobieta szybko przeczołgała się przez pawęż i odwiązała sampan, podczas gdy łysy oparł strzelbę o burtę i wypatrywał głowy Lesy na powierzchni wody.

Mężczyzna o byczym torsie otworzył przepustnice, ryknęły silniki dieslowskie, a fala powstała wokół śrub napędowych wzburzyła wodę wokół sampana, omal go nie zatapiając, i odepchnęła go na pewną odległość od rufy jachtu. Przez ułamek sekundy Diem widział głowę Lesy po drugiej stronie małej łódki, dopóki silne wiry od śrub napędowych nie zaczęły miotać dziobem sampana i obracać go dokoła.

Instynkt samozachowawczy pchnął Diema do balustrady, trzymał się jej, żeby zrównoważyć kołysanie statku, i rozpaczliwie gestykulował.

- Tam! Ona jest tam! Widzicie?

Mężczyzna z długimi włosami złapał karabin. Łysy rzucił zdziwione spojrzenie na Diema, ale uwagę jego odwróciły strzały długowłosego. Nawet w świetle słońca widać było błyski u wylotu lufy, a dym gryzł Diema w oczy, nie przestawał jednak pokazywać.

Łysy wydał ryk triumfu. Wytarł twarz chusteczką do nosa i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Mężczyzna o byczym torsie wskazywał na sampan oddalony teraz o sto metrów od jachtu i ginący chwilami z oczu przy wysokiej fali. Pokrzykiwał zachęcająco na swoich ludzi, by nie ustawali w próbach zatopienia łódki. Strzelby nadal wypluwały ołów i dym, ale większość strzałów chybiała celu, a wówczas mężczyzna z byczym torsem obrzucał podwładnych przekleństwami.

Długowłósy odszczekiwał mu się ze złością.

Mężczyzna o byczym torsie zaklął. Przymknął przepustnice i obrócił koło z nierdzewnej stali. Grupa na tylnym pokładzie nadal trzymała się burty, kiedy jacht przechylił się na bok i wykonał pełny obrót. Mężczyzna wyprostował ster, jacht zmierzał prosto na wpół zatopiony sampan. Otworzył przepustnice, jacht bez wysiłku pomknął po wodzie, a mężczyzna wychylił się do przodu, by lepiej widzieć. Sampan zniknął, zasłonięty teraz rozszerzonym dziobem, obracał więc ster usiłując odgadnąć położenie łódki. Spojrzał przez ramię i zaklął, kiedy sampan pojawił się w polu widzenia, podskakując jak zapalka na fali wytworzonej przez jacht. Zamierzał podjąć kolejną próbę najechania sampana, ale zmienił decyzję zorientowawszy się, że łódka jest niemal w trzech czwartych zatopiona. Zmniejszył szybkość i wprowadził jacht na kurs wschodni. Wkrótce maleńki sampan stał się niewidoczny. Mężczyzna włączył automatycznego pilota i popatrzył groźnie na pokład rufowy. Spojrzenie jego zimnych niebieskich oczu zatrzymało się na Diemie. Warknął coś do swoich towarzyszy. Żołądek Wietnamczyka skurczył się ze strachu. Wiedział, że przywódca wydał rozkaz jego egzekucji.

- *Niet!* - powiedział spokojnie łysy. Mówił szybko. Diem zdołał wyłowić słowa „Wietnam” i „angielski”. Łysy skierował uwagę na Diema i powiedział wolno, poprawną angielszczyzną: - Czy mówisz po angielsku?

- Bardzo dobrze mówię po angielsku - odpowiedział Diem. Wymawiał słowa bardzo starannie, zdając sobie sprawę, że jego życie zależy teraz od języka, którego nauczył się od amerykańskich żołnierzy.

Oczy mężczyzny z byczym torsem zwęziły się w zamyśleniu. Powiedział coś do długowłosego, który cisnął strzelbę na leżak i zajął miejsce przywódcy przy sterze. Olbrzym zszedł na pokład. Właśnie miał powiedzieć coś do Diema, kiedy uwagę jego odwrócił płacz dziecka. Twarz stężała mu z gniewu.

- Marie! - wrzasnął. - Marie!

Płacz Suzie stał się głośniejszy. Z salonu na dziobie wyłoniła się ruda, przyciskając dziecko do piersi opiekuńczym gestem. Przebrała się we wzorzystą sukienkę i plażowe sandały; starała się nadaremnie uspokoić niemowlę jakimiś kojącymi pomrukami. Przywódca znowu na nią wrzasnął i kobieta skuliła się, przyciskając dziecko jeszcze mocniej. Coś odkrzyknęła, ich spór szybko przekształcił się w gwałtowną kłótnię; w końcu przywódca pochwycił kobietę i niemal wrzucił ją do kabiny. Diem słyszał kłapanie jej sandałów w przejściu.

- Anton!

Długowłosa mężczyzna przy sterze spojrział pytająco przez ramię. Miał pociągłe rysy, żółtawą, pozbawioną wyrazu twarz, na której nigdy nie gościł uśmiech. Przywódca mówił szybko, najwyraźniej podawał kurs i prędkość, ponieważ sternik zmienił kurs na zachodni i otworzył przepustnice. Silniki dieslowskie zaczęły pracować głośniejsze, a kadłub jachtu podniósł się i statek poruszał się teraz ze stałą prędkością piętnastu węzłów. Diem nie był pewny, ale zdawało mu się, że wymienili w rozmowie nazwę Makao.

Przywódca zajął się teraz Diemem i zwrócił się do niego w poprawnej angielszczyźnie:

- W porządku. Jak ci na imię?

Diem nie patrzył w okrutne niebieskie oczy; spuścił głowę i wpatrywał się w deski pokładu. Nerozsądne byłoby robienie sobie wroga z człowieka, od którego zależało jego życie.

- Diem Sok, proszę pana.

- Gdzie nauczyłeś się angielskiego?

- Pracowałem dla Amerykanów w Da Nang.

- Kim byli twoi przyjaciele?

Diem pogardliwie machnął ręką i spojrział w kierunku rufy.

- To nie byli moi przyjaciele, proszę pana. Kampuczańska hołota. Wzięli mnie do niewoli i zmusili, żebym został ich przewodnikiem. Nic mnie nie obchodzi, co się z nimi stało. - Ta zdrada nie miała dla Diema żadnego znaczenia. Jego towarzysze nie żyli. Jego sumienie uznawało jednego tylko pana - życie

- Aleksy, on nam wskazał dziewczynę - skomentował łysy.

- Możemy go wykorzystać przy wietnamskich robotnikach na budowie.

Hegel z powrotem skierował swój lodowaty wzrok na Diema.

- Czy masz jakiś dowód tożsamości?

Diem, ze wzrokiem wbitym w pokład, pokręcił przecząco głową.

- Wszystko przepadło w czasie sztormu, proszę pana - wyjaśnił.

- Czy chciałbyś dla mnie pracować?

Wietnamczyk uchwycił się tej szansy i skinął głową z entuzjazmem.

- Bardzo bym chciał, proszę pana. Bardzo, bardzo. Będę pracował ciężko. Będzie pan ze mnie zadowolony.

Hegel nagle złapał Diema za koszulę i przyciągnął do siebie.

- Spójrz na mnie! - Diem podniósł wzrok i zobaczył, że nie tylko włosy, ale nawet brwi olbrzyma są koloru blond. - Jeżeli piśniesz słowo na temat dzisiejszego dnia, jesteś trup. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Ja nic nie widziałem - zgodził się Diem.

Olbrzym puścił go.

- W porządku. Zaczynasz od umycia pokładu. Leo! Pokaż mu, gdzie znajdzie niezbędne rzeczy.

7.

Przez resztę owego pamiętnego dnia Diem pracował bardzo ciężko w palącym słońcu, rozpaczliwie usiłując udowodnić nowym panom swoją wartość. Wyszorował pokłady jachtu, używając pumeksu do usunięcia krwi Lina z tekowych desek. Nerwowo polerował całe wyposażenie, energicznie szorował kotwicę metalową szczotką. Dowiedział się, że jacht nazywa się „Rasputin” i zarejestrowany jest w Odessie, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie to jest. Mocno zaśniedziała miedziana tabliczka, którą wyczyścił politurą do metalu, poinformowała go, że jacht zbudowano w Niemczech Wschodnich. Podczas czyszczenia przedniego pokładu znalazł kieszonkowe wydanie książki z ponurą okładką. Nie potrafił odczytać cyrylicy, ale na jednej ze stron tytułowych odnalazł tekst angielski, z którego wyczytał nazwę moskiewskiego wydawcy.

Na godzinę przed zmrokiem pojawił się ład. Leo wysłał Diema do maszynowni i kazał mu wyczyścić wszystko, co jest na widocznym miejscu. W obezwładniającym upale Diem z histeryczną energią polerował przewody, otępiały od hałasu dwu silników dieslowskich, umocowanych powyżej poziomu, na którym stał. Dochodziło tu światło jedynie przez dwa

luki znajdujące się praktycznie na linii zanurzenia. Silniki zwolniły, a po chwili zatrzymały się. Diem słyszał głosy, słyszał ludzi poruszających się nad jego głową. Wyczerpanie odniosło w końcu zwycięstwo nad strachem i pragnieniem, zwinął się więc na płytach podtrzymujących silniki i mimo strasznego upału zasnął. Sumienie nie zakłócało spokoju tego snu. Działania minionego dnia płynęły jedynie z odwiecznego instynktu samozachowawczego, instynktu bardziej rozwiniętego u Wietnamczyków niż u jakiegokolwiek innej rasy.

Było już ciemno, kiedy obudził go warkot wysokoprężnych rozruszników przywołujących do życia silniki. Silniki pracowały już prawie od godziny, kiedy dojmujące pragnienie natchnęło Diema wystarczającą odwagą, by wspiąć się po drabince na dolny pokład. Wnętrze jachtu były klimatyzowane. Upoiło go chłodne powietrze po piekielnym upale, jaki wytrzymywał w maszynowni. Zejście pod pokład oświetlały czerwone lampki awaryjne. Minął otwarte drzwi kajuty mieszkalnej. Aleksy chrapał rozwalony na koi. W innej kajucie spał długowłosego mężczyzna, którego nazywali Antonem, ale nie wydawał żadnego dźwięku; widocznie Anton zawsze zachowywał się cicho. Nigdzie nie było widać rudej ani Suzi. Diem uznał, że byłoby szaleństwem otwieranie drzwi do innych kajut, by się przekonać, czy obie są jeszcze na pokładzie jachtu.

Przemknął na tylny pokład i rozejrzał się wokół, nie bardzo pewny, co ma robić dalej. Była jasna noc. Świeciło miliony gwiazd, a na spokojnym morzu ślad jachtu błyszczał fosforyzującym blaskiem. Dokładnie za rufą Diem dostrzegł odległe światelka, przypuszczał, że było to Makao. Czuł się jeszcze zmęczony po całodzienną pracę, kusilo go, by zaryzykować i przespać się na jednym z leżaków, ale przede wszystkim musiał znaleźć coś do picia. Na pewno ktoś będzie na mostku. Wspiął się po drabince, robiąc przy tym wiele hałasu, żeby sternik nie pomyślał, że usiłuje go zaskoczyć. W miękkiej poświacie tablicy rozdzielczej i ekranu radarowego zobaczył łysego, którego nazywali Leo. Siedział na brzegu fotela, jedną ręką trzymał koło sterowe, w drugiej miał cygaro. Obrócił się i spojrzał pytająco na Diema.

- Zastanawiałem się, kiedy się pokażesz - powiedział wycierając ręką pot z czoła. - Nie musiałeś przez cały czas siedzieć pod pokładem. Tylko w Makao. - Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, nie troszcząc się o ich poprawność.

- Nie wiedziałem - odpowiedział Diem. - Proszę pana, bardzo mi się chce pić. Napiłbym się wody.

- Napoje w kuchni. Nie jestem służącym. I przestań mówić do mnie „pan”. Na imię mi Leon, Leo. Rozumiesz?

Diem wymamrotał „dziękuję” i odwrócił się, żeby odejść.

- I przynieś mi dwa budweisery. Z lodówki.

To polecenie przerastało angielszczyznę Diema. Leo wytłumaczył, o co mu chodzi, i powiedział Diemowi, gdzie znajduje się kuchnia.

- I weź sobie kanapki. Dużo. Nigdy nie zjadamy wszystkich.

Diem powrócił na mostek z dwiema puszkami piwa dla Leo i dwiema paczkami kanapek dla siebie. Nie miał pojęcia, z czym są kanapki, ale dziwny, biały chleb bardzo mu smakował. Żarłocznie napychał sobie usta kanapkami słuchając jednocześnie, co Leo miał do powiedzenia. Niewiele z tego rozumiał, ale wiedział, że lepiej nie przerywać. Instynkt, który dotychczas go nie zawiódł, podpowiadał mu, że nadszedł czas, kiedy powinien słuchać i jak najmniej mówić.

Od Leo dowiedział się, że wracają na Kuro, odległą wyspę na Pacyfiku, położoną jakieś dwieście mil na wschód, którą Radziecka Akademia Astrofizyki wydzierżawiła od rządu francuskiego. Na górze Kuromia w centrum wyspy Rosjanie zamierzali wybudować największy na świecie teleskop optyczny. Wiele lat wcześniej Francuzi przeznaczili wyspę na miejsce eksperymentów z wąglikiem, toteż była nie zamieszkana.

- Cztery połączone lustra o średnicy dziesięciu metrów - przechwalał się Leo, pociągając łyk z puszek. - Największy wielolustrowy teleskop na świecie. Będzie miał dziesięciokrotnie większą rozdzielczość niż obserwatorium Gecka, które Amerykanie zamierzają wybudować na Hawajach. Kiedy go zbudujemy, nasz teleskop będzie pracował... - szukał odpowiedniego słowa - ...w zgodzie z amerykańskim teleskopem.

Opowiadanie o ambitnym projekcie sztywną nieco angielszczyznę zdawało się sprawiać Leonowi przyjemność. Nawet gdyby Diem znał lepiej angielski, opowieści Rosjanina o zwierciadłach i elementach ze sprzężeniem ładunkowym byłyby dla niego niezrozumiałe. Leo mówił spokojnie przez kilkanaście minut, aż wreszcie Diem zdobył się na odwagę, by zadać kilka istotnych pytań.

- W jaki sposób ja będę dla was przydatny?

Rosjanin sprawdził ekran radarowy, by się upewnić, że nie zderzą się z punkcikiem, który pojawił się w odległości dziesięciu mil za nimi.

- Oszuści Filipińczycy - powiedział z pogardą. - W zeszłym miesiącu zatrudniliśmy setki ich wietnamskich uchodźców. Do pracy na budowie. Filipińczycy zapewniali, że wielu z nich mówi po angielsku i po rosyjsku. Zawieźliśmy ich na Kuro. Płacimy dobre pieniądze. Dajemy odpowiednie pomieszczenia, lepsze, niż mieli na Filipinach. I okazuje się, że tylko jeden z nich mówi po angielsku. Za mało. Potrzebujemy co najmniej dwóch, jednego na

budowę lotniska i jednego do teleskopu. Więc jedziemy do Makao. Portugalczycy mają wielu tych uchodźców z łodzi. Mówią, że wielu robotników budowlanych. Niektórzy znają francuski. Niektórzy angielski. Negocjujemy przez tydzień. Zabawiamy się trochę tak jak dzisiaj. I okazuje się, że Portugalczycy też kłamią. Chcą po prostu pozbyć się części swoich uchodźców. - Przerwał i spojrzął z ukosa na Diema. - No i teraz wracamy na Kuro z tobą w roli tłumacza.

- Kim jest Aleksy? - zapytał Diem, zastanawiając się, czy nie posuwa się za daleko.

- Aleksy Hegel jest najlepszym fizykiem wszystkich czasów - odpowiedział z przekonaniem Leo, otwierając drugą puszkę piwa i pociągając łyk.

Słowo „fizyk” nic nie mówiło Diemowi.

- A drugi mężczyzna? - zapytał.

- Anton Pachmann. Asystent Aleksego. Ukraińiec. Też nadzwyczajnie zdolny. - Leo pociągnął kolejny łyk. - A ja jestem Leon Czernowski, liznąłem trochę astronomii z okazji tego przedsięwzięcia, ale jestem inżynierem budowlanym.

- A kobieta z rudymi włosami?

- prostytutka. Zabieramy ją z Makao dla zabawy, potem odwozimy z powrotem z pięciuset dolarami w kieszeni, żeby zamknąć jej gębę.

8.

Kuro, zachodni Pacyfik, 1985-86

Trzy dni później „Rasputin” wpływał w szeroką przerwę w rafie koralowej, której laguna utworzyła naturalną przystań po zachodniej stronie wyspy.

Wyspa Kuro była swoistym muzeum ludzkich poczynań i działania sił naturalnych, które kończyły się niepowodzeniem, a czasem wręcz katastrofą. Francuzi w 1780 roku zagarnęli wyspę, tych dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych dżungli otaczającej wygasły wulkan, żeby uniemożliwić zajęcie jej przez Brytyjczyków lub Holendrów.

Zdeterminowana grupa osadników w XIX wieku wycięła część dżungli na stosunkowo płaskim terenie na północy, gdzie próbowała hodować owoce. Pokonał ich jednak deszcz. Nasiąknięte wilgocią wiatry przed niespodziewaną wspinaczką na zbocza góry Kuromia pozbywały się swego obciążenia, powodując tak ulewne deszcze, jakby woda wylewała się z rozbebeszonych ujęć.

Dwóch podróżników z Towarzystwa Królewskiego, którzy wylądowali na wyspie w 1890 roku, osaczyły i zabiły dziki. Trzeci przyrodnik uczestniczący w wyprawie zginął jako

ofiara własnych przekonań, czy raczej przekonania, że dasznik modry nie jest wężem jadowitym.

We wczesnych latach czterdziestych Japończycy postanowili wykorzystać lagunę jako przystań do reperowania i aprowidowania łodzi podwodnych. Żeby jednak łodzie pozostawały niewidoczne, zbudowali zakamuflowany betonowy hangar, który przypominał magazyn portowy, wzniesli też kilka budynków administracyjnych, zarzucili jednak cały pomysł, kiedy w wyniku zmiennych kolei wojny liczba ich łodzi podwodnych zmniejszała się znacznie szybciej niż liczba wysp.

W 1945 roku Amerykanie zbudowali pas startowy w podzwrotnikowej dżungli, ale przestał być potrzebny dokładnie w dniu, gdy ukończono jego budowę; tegoż dnia bombowiec USA zrzucił swój śmiertelny ładunek na Nagasaki.

W latach pięćdziesiątych Francuzi zamierzali wykorzystać wyspę Jako teren doświadczalny broni bakteriologicznej, musieli jednak zrezygnować z tego w wyniku zdecydowanego sprzeciwu Filipin. W 1960 roku grupa belgijskich uczonych zginęła w czasie tajfunu, który wyrzucił ich statek na zachodnie brzegi.

Przyrodzie też nie powiodło się wiele lepiej. Króliki i kozy, przywiezione przez wczesnych osadników, zaaklimatyzowały się i rozmnożyły. Jednakże przeciwwagę owego sukcesu stanowiła degeneracja dżungli niszczonej przez potomków tychże zwierząt. Domowe świny osadników skrzyżowały się z miejscowymi dzikami, co dało bardziej wojowniczą hybrydę, zwierzę na tyle małe i szybkie, że zdziesiątkowało populację królików.

Przełomowym momentem w niezbyt szczęśliwych dziejach wyspy stał się ubiegły, 1984 rok, kiedy samolot transportowy zespołu sowieckich badaczy dokonał niebezpiecznego lądowania na pełnym dziur pasie startowym. Uczni zatrzymali się na wyspie trzy tygodnie, przeprowadzili próbę wiercenia w bazalcie góry Kuromia i złożyli sprawozdanie w Radzieckiej Akademii Astrofizyki, że miejsce jest idealne. Wydzierżawienie następnie wyspy od Francuzów na okres stu lat było czystą formalnością.

W godzinę po przybyciu pokazano Diemowi mapy Kuro. Wyspa, niemal kwadratowa, mierzyła mniej więcej pięć kilometrów z każdej strony. Góra Kuromia stanowiła jedyny wyróżniający się punkt. Był to wygasły wulkan, którego spłaszczony szczyt wznosił się na wysokość siedmuset metrów nad poziom morza. Nie był to w żadnym razie najwyższy z wygasłych wulkanów na Pacyfiku, ale wystarczająco wysoki, by chronić przed nadmiarem wilgoci. Oplącało się więc podjąć budowę gigantycznego czterolustrowego teleskopu na górze Kuromia. Za tym usytuowaniem przemawiał dodatkowo brak zakłóceń świetlnych spowodowanych bliskością miast.

Leo zawiózł Diema rozklekotanym skuterem na lądowisko, gdzie w betonowych barakach z okresu wojny skoszarowani byli robotnicy wietnamscy. Inżynier radziecki wyjaśnił, że przywieziono ich przed tygodniem z Manili czarterowym DC-3. Najważniejszym zadaniem było zreperowanie i powiększenie lotniska, żeby mogły z niego korzystać wielkie samoloty transportowe, które dostarczą na wyspę buldożery i podstawowy sprzęt. Dopiero po udoskonaleniu przystani, po wybudowaniu mieszkań dla radzieckich techników i odwiedzających dygnitarzy można będzie przystąpić na serio do budowy teleskopu, zakrojonej na dwadzieścia lat.

Kiedy robotnicy otrzymali od Diema wyraźne wytyczne, okazali się bardzo dobrymi pracownikami. Dostawali godziwe wynagrodzenie w pesetach filipińskich, nie tyle z powodu szczodrości Rosjan, ile z prestiżowego znaczenia budowy, która niewątpliwie wzbudzi zainteresowanie na całym świecie. Związkowi Radzieckiemu najmniej zależało na oskarżeniach ze strony wrogów politycznych o posługiwanie się niewolniczą siłą roboczą.

Siedem dni wyteżonej pracy w parnej, upalnej wilgoci zajęło przygotowanie lotniska na przyjęcie Tupolewa z Taszkientu, który za pomocą spadochronów hamulcowych wylądował na krótkim pasie połatanego betonu. Diem ze swoją ekipą entuzjastycznie przywitani lądujący samolot i pierwszy buldożer, gdy wyjechał po rampie z wielkiego transportera.

Po sześciu tygodniach pas startowy miał już odpowiednią nawierzchnię i długość; rozpoczęła się budowa drogi do przystani. Od tej pory wielkie samoloty transportowe przybywały regularnie, przywożąc cement, koparki, prefabrykowane budynki i inżynierów budowlanych, którzy doglądali budowy i wyposażenia niewielkiej elektrowni atomowej trzy kilometry od przystani na zachodnim wybrzeżu.

Po dwunastu miesiącach wyspa Kuro uległa całkowitej przemianie. Obok przystani wyrosła niewielka osada, podniesiona do odpowiedniej rangi nazwą Kurograd. Składała się z jednopiętrowego hotelu i baru, budynku klubu z basenem, kliniki, skromnego supermarketu, a nawet kasy oszczędnościowej. Zachęcano pracowników do lokowania w niej zarobionych pieniędzy. Wzniesiono budynek administracyjny, a mała dzielnica mieszkaniowa z prefabrykowanych domków dla inżynierów budowlanych i ich rodzin, powstająca przy plaży na zachodnim brzegu przystani, zaczynała nabierać kształtów. Największa była rezydencja wzniesiona dla Aleksego Hegla i Antona Pachmanna na szczycie wzgórza ponad przystanią. Na tym samym wzgórzu zainstalowano talerzową antenę satelitarną do odbioru Intelsata, który dostarczał dwanaście kanałów rozrywkowej telewizji, rozprawdanej na obszar całej wyspy za pomocą wzmacniacza UHF. Betonowy schron dla łodzi podwodnych, zbudowany przez Japończyków, w braku innego zastosowania używany był jako przystań dla „Rasputina”

w czasie tajfunów.

Diem zdobył zaufanie swoich pracodawców. Miesięczna pensja, wypłacana w filipińskich pesetach, była mizernym wynagrodzeniem w porównaniu z zarobkami robotników radzieckich, ale stanowiła znacznie większą sumę pieniędzy, niż Diem kiedykolwiek posiadał. Skwapliwie składał ją w banku, nie tyle z oszczędności, ile dlatego że nie bardzo było na co ją wydać. W miarę jak rosło konto w banku, nabierał ochoty na oszczędzanie i coraz mniej wydawał w barze. Diem okazał się bardzo pracowity i pojętny, udało mu się nawet na tyle przyswoić rosyjski, że mógł stać się bardziej użyteczny dla swoich pracodawców. Leo załatwił mu jeden pokój w prefabrykowanym domku w dzielnicy mieszkaniowej i postawił go na czele grupy wysadzającej skały pod budowę sześciokilometrowej drogi, która miała serpentynami wspinać się po wulkanicznych stokach góry Kuromia na sam szczyt. Praca posuwała się wolno. Droga nie mogła być zbyt stroma ze względu na wyładowane ciężarówki, które będą musiały wjechać na szczyt, kiedy rozpocznie się budowa teleskopu.

9.

1987-1988

Kiedy ukończono budowę drogi, Diem zaczął się niepokoić o swoją przyszłość na wyspie. Ponad pięćdziesiąt procent wietnamskich robotników odesłano z powrotem na Filipiny po wygaśnięciu ich kontraktu. Większość ciężkich prac przy budowie pomieszczenia dla teleskopu wykonywały maszyny obsługiwane przez radziecki personel. Diem czuł, że zbliża się dzień, w którym on także stanie się bezużyteczny dla swoich pracodawców i zostanie odesłany z wyspy. Kłopot polegał na tym, że nie miał paszportu, więc najprawdopodobniej zostanie odesłany do Wietnamu. Ta perspektywa przerażała go do tego stopnia, że zdobył się na odwagę, by podzielić się swymi obawami z Leonem.

- Nie mamy żadnych długoterminowych planów związanych z tobą - przyznał inżynier budowlany. - Przykro mi, ale jak skończymy pracować z Wietnamczykami, ty też będziesz musiał wracać do domu.

- Ale ja mógłbym robić tyle rzeczy, panie Czernowski - błagał Diem. - Mogę reperować silniki. Dużo się tutaj nauczyłem. Nikt nie pracuje tak ciężko jak ja. Mógłbym... mógłbym... - rozejrzał się dokoła w absolutnej desperacji. - Mógłbym utrzymywać „Rasputina” w dobrym stanie. Już teraz wymaga pomalowania i lakieru.

Leo rozważał propozycję. To prawda, że Diem był bardzo pracowity i sumienny, okazał

się też zdolnym mechanikiem. Wiele starych ciężarówek funkcjonowało jedynie dzięki jego talentom.

- Zobaczą, co będę mógł zrobić - obiecał.

Inżynier radziecki dotrzymał słowa. Tydzień później znalazł Diema w upalnej, ciasnej maszynowni „Rasputina”, gdzie Wietnamczyk przeszlifowywał przepalony zawór w lewym silniku. Jeżeli ktoś szukał Diema, najpewniejszym miejscem był „Rasputin”.

- Rozmawiałem o tobie z Aleksym. Zgodził się, żebyś został jako majster do spraw konserwacji w osadzie.

Diem nie posiadał się z radości. Oczy płonęły mu z podniecenia i już miał zamiar uścisnąć rękę Leona, kiedy zorientował się, że ma ręce umorusane smarem.

- Obiecuję, że będę jeszcze lepiej pracował.

- W to nie wątpię - stwierdził Leo. - Będiesz dbał o wszystkie pojazdy ogólnego przeznaczenia i wykonywał niezbędne prace konserwacyjne w Kurogradzie, jak naprawianie dziur w jezdni, konserwacja „Rasputina”, będziesz też pomagał Aleksemu, ilekroć będzie tego potrzebował. Mieszkanie musi ci służyć także jako warsztat i magazyn.

Szczęście Diema nie miało granic. Najwspanialsza była wiadomość, że nadal będzie mógł zajmować się „Rasputinem”.

- Jest jednak pewien problem - kontynuował Leo. - Ponieważ jest to radziecka budowa, to zgodnie z zarządzeniem Moskwy wszyscy członkowie wyższego personelu muszą być obywatelami radzieckimi.

Na twarzy Diema przestała się malować radość.

- Co oznacza - zakonkludował Leo - że musimy ci załatwić radziecki paszport. Nie będzie to łatwe, ale na wszystko są sposoby.

Diem bez trudu wdrożył się do nowych obowiązków, a Kurograd odnosił znaczne korzyści z jego pracowitości. Ze swoją trójką Wietnamczyków pracował do późnych godzin, utrzymując w doskonałym porządku rozwijającą się osadę. Od czasu do czasu odrywał się od swoich zwykłych zajęć, kiedy potrzebował go Leo jako członka załogi „Rasputina” płynącego do Makao, Hongkongu czy Manili po regularne zakupy artykułów luksusowych i sprzętu naukowego. Diem stał się wytrawnym żeglarzem i nawigatorem. Te wyprawy możliwe były dzięki temu, że Leo dotrzymał obietnicy i pilotował Diema przez labirynt biurokracji, który należało przebrnąć w drodze do uzyskania radzieckiego obywatelstwa. Leo występował jako sponsor Diema.

Diem był niezwykle dumny ze swojego nowego paszportu, ilekroć jednak myślał o swojej przyszłości, modlił się, żeby nie wiązała się ona z koniecznością zamieszkania w

Związku Radzieckim. Ale przynajmniej przestał być człowiekiem bez obywatelstwa.

Wyprawy do Makao, gdzie Hegel zawarł umowę z szefem hazardu i prostytucji Jimmym Pria, miały zwykle na celu przywiezienie dziwek na orgie, które Aleksy urządzał w swoim domu na cześć ważnych gości.

- To pomaga w zdobywaniu funduszy na projekt - wyjaśnił Leo Diemowi w czasie pierwszej podróży, kiedy wracali na wyspę z grupą sześciu urodziwych Chinek, które normalnie zarabiały na życie pracując jako hostessy w należącym do Jimmy'ego Pria „Casino Taipa” przy Avenida de Amizade. - Członkowie komisji rozdzielających kredyty lubią składać regularne wizyty na wyspie Kuro, żeby się przekonać, w jaki sposób wykorzystuje się te pieniądze. Oczywiście Aleksy chce, żeby wracali do domu zadowoleni. To jego prywatny jacht, a dziewczętom też płaci z własnej kieszeni, więc nie może być mowy o nadużywaniu państwowych funduszy. Proste, prawda?

Drogę na szczyt Kuromii ukończono wiosną 1987 roku. Radziecki minister przyleciał wraz z grupą dziennikarzy na uroczystość ceremonialnego wysadzenia dynamitem niewielkiego otworu w stoku góry, co miało wyznaczyć początek prac budowlanych nad pomieszczeniem dla teleskopu. Następnie goście uczestniczyli w szalonym przyjęciu w domku Hegla.

Sam Hegel pokazywał się rzadko. Zarządzał pracami ze swojego domu, przywołując czasami wyższy personel na naradę nad basenem, który wybudowali dla niego Wietnamczycy pod wodzą Diema. Najczęściej to Anton Pachmann, chudy, długowłosy, mizerny, ponury i milczący adiutant radzieckiego fizyka, występował w roli pośrednika w codziennym biegu spraw. Pachmann wydawał Diemowi instrukcje dotyczące wyjazdów „Rasputinem”. Czasami obydwaj Rosjanie odlatywali do Związku Radzieckiego jednym z pasażerskich rejsów Tupolewa. Ich nieobecność trwała nieraz bardzo długo. Często w oknach domku na wzgórzu nie paliło się światło przez wiele kolejnych miesięcy.

- Problemy z konstrukcyjnym projektem teleskopu - wyjaśnił Leo, zapytany o przyczyny wyjątkowo długiej nieobecności. - Czego innego można oczekiwać? Nigdy jeszcze nie zbudowano podobnego urządzenia.

10.

1989

W końcu roku 1989 nastąpiły dalsze uroczystości, kiedy ukończono kopanie czterech dołów, o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych każdy, na skalistym płaskowyżu

góry Kuromia. Każdy z olbrzymich dołów miał głębokość dwudziestu metrów. Na modelu obserwatorium w biurze projektowym widać było cztery teleskopy tworzące system, którego siatkowa konstrukcja skierowana była w niebo jak działa kosmicznego krążownika w widowiskowym filmie science fiction.

Mniej więcej w tym samym czasie Diemowi znacznie przybyło pracy, w wyniku napływu radzieckich pracowników, którzy zajmowali miejsce Wietnamczyków, kiedy już skończyły się najcięższe roboty. W porównaniu z Wietnamczykami standard życia Rosjan był wysoki. Należało oczyścić teren wokół Kurogradu, na którym miało stanąć więcej klimatyzowanych domków z prefabrykatów. Mimo licznych zajęć Diem nie zaniedbywał „Rasputina”. Był najszcześliwszy, kiedy malował i polerował jacht. Czasami, pod pretekstem dokonywania jakichś poprawek, wyprowadzał wielki statek z hangaru, tylko po to, żeby posłuchać cudownego warkotu silników na jałowym biegu. Marzył o tym, by pewnego dnia stać się właścicielem tak wspaniałego jachtu i wozić sławnych i bogatych pasażerów po Morzu Południowochińskim.

11.

1990

Podobnie jak przy każdej większej budowie nie udało się uniknąć tragicznych wypadków; maszyna do robót ziemnych zgniotła Wietnamczyka, radziecki operator dźwigu zginął, kiedy złamał się wysiężnik, żonę radzieckiego inżyniera zagryzł dzik podczas polowania. Czarnuchy, jak przewali mieszkańcy wyspy te czarne, wyjątkowo wojownicze stworzenia, były bardzo szybkie i niebezpieczne i nie zachwycaly się zbytnio przetrzebieniem własnej populacji, choć było to dla ich dobra. Czwarty fatalny wypadek zdarzył się, kiedy Leon Czernowski spadł z pomostu roboczego na budowie teleskopu.

Rosyjski inżynier budowlany był najbliższym człowiekiem, jakiego Diem miał na wyspie, toteż pozwolono mu nieść trumnę na pogrzebie. Rzucił na nią garść ziemi podczas krótkiej cywilnej ceremonii, która odbyła się na małym kawałku gruntu za Kurogradem, wydzielonym na cmentarz. Potem Diem myślał o zmarłym Rosjaninie jedynie wtedy, kiedy w swoich wyprawach na „Rasputinie” musiał się posłużyć nowym paszportem.

12.

1991-94

Druga faza rozwoju małej wyspy nastąpiła w 1991 roku wraz z przybyciem trzydziestu radzieckich techników i ich rodzin, którzy mieli poprowadzić skomplikowane prace przy konstrukcji teleskopu. Niezbyt chętnie kontaktowali się z pozostałym personelem. W istocie rzadko widywano ich w Kurogradzie, zbudowali sobie niewielką dzielnicę mieszkaniową w pobliżu szczytu góry. Trudno było również zorientować się, jak postępuje ich praca, ponieważ wzniesli cztery ochronne kopuły geodezyjne z aluminium i pleksiglasu, zasłaniając w ten sposób wszystkie cztery wykopy. Obok rzędu kopuł stanął warsztat z prefabrykatów, w którym miały powstać elastyczne lustra o średnicy dziesięciu metrów z lekkiego, rozciągliwego plastiku.

W każdej wolnej chwili Diem lubił wjeżdżać skuterem na szczyt krętą górską drogą. Wchodził pod kopułę kryjącą teleskop Alfa i obserwował, jak powoli nabiera kształtów gigantyczna kratownica. Był to pierwszy teleskop, który miał zacząć pracę dopiero w roku 1999. Cały system czterech połączonych teleskopów z lustrami o średnicy dziesięciu metrów miał być całkowicie gotowy dopiero w 2002 roku.

Diem mógł jedynie dziwić się zdeterminowaniu ludzi, którzy w nieustannym dążeniu do wiedzy nie wahali się przed zużyciem takiej ilości pieniędzy i zasobów. Nie dotyczyło to jedynie Rosjan, inne kraje budowały gigantyczne teleskopy na Pacyfiku, jak choćby obserwatorium Gecka na Hawajach, ale żaden z nich nie dorównywał wielolustrowemu teleskopowi z Kuro, który konstruowali pracodawcy Diema. Najbardziej zbliżony projekt konstrukcyjny realizowano w Narodowym Optycznym Obserwatorium Astronomicznym Stanów Zjednoczonych w Tuscon w stanie Arizona.

Pewnego razu po przyjeździe na szczyt Diem zdumiał się niezwykle aktywnością w pobliżu kopuły Beta. Zgodnie z wykresem na ścianie w biurze projektowym prace nad Beta - drugim teleskopem - nie powinny się jeszcze rozpocząć, a tymczasem dwie mechaniczne koparki wykopywały dwumetrowej szerokości rów, który oddalał się od kopuły. Diem zsiadł ze skutera i przyglądał się, jak koparki wywalają ładunki czarnego bazaltu na oczekujące ciężarówki z kamieniołomów. Zastanawiało go przeznaczenie rowu - nie przypominał go sobie na żadnym z planów.

- O ile wiem, to na nową rurę odwadniającą - jeden z radzieckich robotników starał się przekrzywić warkot betoniarki, odpowiadając na pytanie Diema. - Uznali, że powierzchniowy system odwadniający nie wystarczy. - Robotnik uśmiechnął się i popukał w skroń. - Nigdy jeszcze nie pracowałem na budowie, na której biuro projektowe nie wprowadzało kolejnych zmian.

Diem podziękował za wyjaśnienia i wszedł pod kopułę Beta. Zawahał się na widok

gazika produkcji radzieckiej, którym jeździł Aleksy, zaparkowanego tuż przy rozsuwanych drzwiach. Kiedy zobaczył Hegla i Pachmanna na jednym z pomostów roboczych nad wykopem, zapragnął wyjść równie cicho, jak wszedł. Na szczęście obaj mężczyźni stali do niego tyłem i pogrążeni byli w gorącej dyskusji. Przedmiotem dyskusji wydawał się wykop. Od czasu do czasu Hegel uderzał ze złością w barierę pomostu i wskazywał w dół. Diem ukrył się za stosem prętów do wzmocnienia betonu i usiłował zrozumieć, co mówią, ale rozmawiali zbyt szybko jak na jego znajomość rosyjskiego. Zdecydował, że rozsądniej będzie wyjść, ale Hegel nagle zaczął schodzić z pomostu, nie przestając wykrzykiwać przez ramię.

Diem skurczył się za prętami, przerażony tym, co mu grozi, jeśli go zauważą. Dwaj mężczyźni zatrzymali się na chwilę po przeciwległej stronie jego kryjówki, żeby kontynuować spór; dziwnie brzmiał podniesiony głos zwykle milczącego, ponurego Pachmanna. Diem oczekiwał, że dojdzie do rękoczynów, ale obaj mężczyźni nagle wsiedli do dżipa, nie przestając krzyczeć.

Diem odczekał kilka minut, zanim odważył się poruszyć. Miał właśnie wyjść powolnym krokiem spod kopuły, kiedy uderzyło go coś dziwnego w olbrzymim wykopie. Podeszedł do bariery ochronnej i spojrzał w dół. Wykop nie przypominał pozostałych trzech. Był dwukrotnie głębszy, dzięki dodatkowemu mniejszemu wykopowi, który zaczynał się na dnie pierwotnego dołu w odległości dwóch metrów od jego ścian. Świeży, biały beton wypełniał podstawę drugiego wykopu. Z betonu wystawał krąg ustawionych pionowo, nagwintowanych stalowych pali, z których każdy miał grubość ręki mężczyzny. Średnica kręgu wynosiła dziesięć metrów. Najwyraźniej pale tworzyły podstawę pod coś gigantycznego. Ale co? Zarówno z modelu, jak i rysunków w biurze projektowym wynikało, o ile sobie dobrze przypominał, że wszystkie cztery teleskopy miały być identyczne. Ostry głos, który odezwał się po rosyjsku za jego plecami, o mało nie przyprawił go o utratę równowagi.

- Co tu robisz, do cholery?

Diem wykonał pełny obrót. Patrzył na niego starszy technik, jeden z nowo przybyłych. Miał nieprzyjazny wyraz twarzy. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Diem zaczął odwiedzać budowę, spotkał się z tak agresywnym traktowaniem.

- Przyjechałem sprawdzić, czy dostarczono maszt wzmacniacza Klipsfonów - wybąkał nędzną ruszczyzną, posługując się pierwszą wymówką, jaka mu przyszła do głowy. - Chciałem się upewnić, że dotarły wszystkie części.

- To już sprawdzone. Wszystko w porządku. Jutro postawimy maszt i antenę talerzową połączenia satelitarne. Jeszcze coś?

- Nie.

- Dobrze, teraz musisz stąd odejść. Nikomu nie wolno tu wchodzić bez pozwolenia. Doszliśmy do etapu, kiedy musimy unikać skażenia. Rozumiesz?

Przez rozsunięte drzwi wlatywał cementowy kurz, ale Diem uznał, że będzie rozsądniej nie wspominać o tym. Skinął jedynie twierdząco głową.

- Następnym razem, kiedy trzeba będzie coś sprawdzić, zadzwonisz do naszego biura i sami sprawdzimy. Aż do odwołania to jest strefa zamknięta.

Diem potulnie wsiadł na skuter i zjechał krętą drogą w dół. Dziwiły go te nowe ograniczenia. Dotychczas jedyną strefą zakazaną była elektrownia, ale najwyraźniej podyktowane to było względami bezpieczeństwa. Wjechał do Kurogradu, zaparkował skuter przed biurem projektowym i studiował pomniejszone modele i plany teleskopu, które wystawiono w hallu na użytek przyjeżdżających dziennikarzy.

Cztery wykopy na planach były identyczne.

13.

1995

W czerwcu dotychczasową rutynę zakłóciło przybycie lotniskowca Raisa Class. Okręt rzucił kotwicę w odległości dwóch mil od wejścia do przystani. Dwie godziny później do portu wpłynął „Rasputin” z Heglem i Pachmannem na pokładzie. Z jachtu, zakotwiczonego przed hangarem dla łodzi podwodnych, wietnamscy robotnicy wyładowali skrzynie z alkoholem, a także drobniutką Chinkę, która wyglądała na nastolatkę. Następnie skrzynie wraz z dziewczyną załadowano na ciężarówkę, którą wietnamski szofer poprowadził pod górę w stronę domku Hegla. Obaj mężczyźni opuścili wyspę niemal przed rokiem; po tak długiej nieobecności jacht powrócił do portu z nową markizą nad sterówką.

W przystani rozlegał się donośny głos Hegla. Aleksy stracił trochę na wadze, ale zaledwie stanął na lądzie, zaczął besztać jednego ze starszych techników, wymachując przy tym muskularnymi rękami, co świadczyło, że jego temperament nie uległ zmianie. Obrzucił przelotnym spojrzeniem lotniskowiec i wsiadł do gazika na miejsce pasażera. Pachmann usiadł obok. Samochód ruszył drogą prowadzącą na budowę teleskopu; na szczycie góry cztery kopuły błyszczały w słońcu jak rząd planetariów.

W godzinę później na pokładzie lotniskowca zaczął się ruch. Diem pożyczył lornetkę i stanął na krześle przed barem, żeby obserwować krzątanie wokół gigantycznego helikoptera Kamow, latającego dźwigu, który stał na tylnym pokładzie startowym lotniskowca. Maszyna

wspierała się na czterech absurdalnie zakrzywionych nogach, których kształt pozwalał ustawić helikopter nad ładunkiem. Tym razem ładunkiem był duży, okrągły przedmiot zawinięty w brezent. Dziwaczny helikopter przypominał groteskowego owada, który zamierza rzucić się na swoją ofiarę. Diem przyjął sylwetki robotników zabezpieczających ładunek jako wskaźnik wielkości tajemniczego obiektu. Oceniał, że obiekt ten ma co najmniej pięć metrów średnicy i mniej więcej taką samą długość. Postacie robotników, wielkości mrówek, odsunęły się na bok, a warkot turbin Kamowa stawał się coraz głośniejszy.

Diem obserwował, jak niezdarna maszyna powoli unosi się nad pokład startowy lotniskowca. Nawet z takiej odległości warkot przeciwbieżnych wirników ubijających wilgotne powietrze sprawiał, że na stołach brzęczały szklanki. Zebrał się tłum pracowników wraz z rodzinami, wszyscy rozmawiali w podnieceniu i wskazywali na helikopter. Liny pod helikopterem zaczęły się wyprężyć w miarę wzrastającego napięcia. Odgłos pracy wirników stał się wyraźniejszy i nagle dziwaczny ładunek, zawieszony co najmniej trzydzieści metrów poniżej helikoptera, uniósł się nad pokład startowy. Maszyna zmieniła kurs i w tym momencie Diem zauważył, że dziwny ładunek jest z jednej strony wklęsły jak gigantyczny obwarzanek.

- Co to jest? - zapytał stojącą obok panią inżynier, która u boku męża obserwowała scenę rozładunku.

- Pewnie rodzaj podpory pod zwierciadło Beta - odpowiedziała. - Słyszałam, że Beta ma mieć inną konstrukcję.

- Sądziłem, że wszystkie cztery teleskopy będą identyczne.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- To nie moja branża - skomentowała. - Ale przy tak nowoczesnej technologii jest oczywiste, że w miarę postępu prac dokonuje się zmian. - Wskazała ręką. - Popatrz.

Helikopter doleciał nad teren budowy i utrzymywał się nad kopułą Bety czekając, aż ustabilizuje się ładunek. Diem nastawił lornetkę i zobaczył, że z wierzchołka kopuły wyjęto kilka płyt. Widział mężczyzn stojących na skraju tego otworu. Wpatrywali się w nieprawdopodobny obwarzanek, który zawisł nad nimi. Ładunek ustabilizował się, dźwig-helikopter obniżył wysokość i zatrzymał się w powietrzu, podczas gdy pilot dokonywał ostatecznych poprawek położenia, zanim przystąpił do delikatnej operacji opuszczenia ładunku przez otwór w kopule. Przez pięć minut utrzymywał się nieruchomo, wirniki tłukły powietrze, potem zaczął systematycznie nabierać wysokości i wciągnął puste już kłamy. Helikopter pochylił się nieco do przodu, kiedy pilot zmienił obroty łopat, po czym powrócił na pokład lotniskowca, na którym usiadł niby ważka szukająca chwili odpoczynku. Po

zabezpieczeniu helikoptera na pokładzie okręt podniósł kotwicę i skierował się na północ.

14.

Tej nocy w domku Hegla odbywało się hałaśliwe przyjęcie. Do pokoju Diema w dzielnicy mieszkaniowej dobiegały poprzez zatokę odgłosy muzyki z adapteru i głośne wrzaski kobiece: prawdopodobnie krzyczała chińska dziewczyna. O pierwszej po północy wszystko się uspokoiło. O drugiej obudził Diema telefon. Hegel domagał się, żeby natychmiast do niego przyszedł.

Diem wsiadł na skuter i zastanawiał się z pewnym zaniepokojeniem, co też szykuje mu olbrzymi Rosjanin. Wszedł przez furtkę od strony ogrodu, okrążył basen błyszczący w świetle księżyca. Rozsuwane drzwi do salonu były otwarte. Hegel i Pachmann, obaj w szortach, niedbale rozwaleni w fotelach oglądał film pornograficzny z magnetowidu. Pokój nosił ślady niedawnego przyjęcia.

- Wywal tę rzecz z basenu - powiedział Hegel, drapiąc się w potężny tors i nie odrywając wzroku od ekranu.

- Rzecz? - zapytał Diem nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Rozejrzyj się! Włącz podwodne światła!

Diem przypomniał sobie, gdzie jest kontakt, i włączył lampy w basenie. Basen stał się prostokątem płynnego światła, w kolorze akwamaryny. W pobliżu filtra do wody pływało, twarzą w dół, nagie ciało chińskiej dziewczyny. W halogenowych światłach jej skóra nabierała białawej poświaty, szczególnie w kontraście z długimi czarnymi włosami, które unosiły się na wodzie jak czułki ukwiału.

- Głupia krowa upiła się i wpadła do basenu - wymamrotał Hegel. - Zawieź ją w prześcieradło albo w koc i wywieź na „Rasputinie”. Wrzuć do morza. Przywiąż łańcuch, żeby obciążyć. Na moim łóżku znajdziesz plastikową torbę z jej rzeczami. Utop z nią razem. Możesz wziąć gazik. Uprzedziłem kapitana przystani, że wypłyniesz, żeby wypróbować silniki, więc nie będziesz miał problemu. Tu są klucze.

- Rzucił pęk kluczy w kierunku Diema. - Nie zapomnij wszystkiego pozamykać, jak skończysz.

15.

Światła oznaczające wejście do przystani zostały w odległości dziesięciu mil za rufą

jachtu, kiedy Diem wyłączył silniki. Po zmianie wyposażenia tablica przyrządów kontrolnych miała zupełnie inny układ. Wyłączniki silników nie znajdowały się na dawnym miejscu, a cała sterówka została zamknięta i wyposażona w klimatyzację. Po wyłączeniu silników jacht unosił się na martwej fali. Diem sprawdził jeszcze raz ekran radaru, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma jakiegось innego statku, co było działaniem o tyle bezsensownym, że w tej okolicy praktycznie żadne się nie pojawiały, ale chciał zyskać absolutną pewność, że nikt nie będzie świadkiem jego poczynań. Włączył światła na pokładzie i otworzył drzwi sterówki.

Pod wpływem kołysania jachtu ciało dziewczyny wyslizgnęło się z koca. Leżała na tekowych deskach pokładu, lewa ręka podwinęła się pod spód. W niezbyt dobrym świetle Diem nie dostrzegł żadnych śladów obrażeń, więc może Hegel mówił prawdę, że po pijanemu utopiła się w basenie. Diem udał się na poszukiwanie łańcucha. Znalazł jedynie zapasową kotwicę zawoźną i kawałek przewodu. Obwiązał nim ciasno szyję dziewczyny, a do drugiego końca przyczepił kotwicę. Przeturlał ciało przez burtę do morza. Wpadło z głuchym pluskiem i utrzymywało się na powierzchni, przywiązane do jachtu kablem. Diem usiadł na pokładzie i nogą wkopał kotwicę do wody. Kiedy wstał i spojrział przez barierkę na burcie, ciało zniknęło. Wiedziony ciekawością przejrzał rzeczy dziewczyny w plastikowej torbie i zdziwił się, że miała Klipsofon. Jedynie doskonale zarabiające prostytutki mogły sobie pozwolić na abonament. Może zresztą była to doskonale zarabiająca prostytutka, była wystarczająco urodziwa. Z powrotem zapakował rzeczy do torby, dla obciążenia dołożył kilka puszek z owocami z kuchni i wrzucił do morza.

Poszedł do kabiny na dziobie i nalał sobie pełny kieliszek whisky z barku, żeby uspokoić nerwy. Cała ta sprawa przypominała mu wydarzenie na Morzu Południowochińskim przed dziesięciu laty. Rzadko myślał o tym, co się wtedy zdarzyło, nie było też mowy o tym, by czas zaleczył rany, ponieważ nie było nic do zaleczania. Działaniem Diema kierowała konieczność przeżycia. Ale ani Hegel, ani Pachmann nie mieli podobnego wytłumaczenia. Zastanawiał się, w jaki sposób ludzie, którzy potrafią oglądać film, podczas gdy o parę metrów dalej pływa w basenie ciało martwej dziewczyny, dochodzą do ładu ze swoim sumieniem.

Zwróciły jego uwagę rysunki rozrzucone na stole. Zanim włączył lampę, rozejrzał się z przerażeniem dookoła, jakby oczekując, że zniecka wrzaśnie na niego Hegel.

Pierwszy rysunek był schematycznym diagramem wszystkich czterech teleskopów. Diem widział już przedtem podobne rysunki. Jednakże na tym znajdowały się liczne odręczne poprawki przekrojowych wymiarów dolnego zamocowania teleskopu Beta. Widać było dziwny dodatkowy wykop, a także wielki krąg wspierających pali osadzonych w betonowej

podstawie.

Na drugim rysunku znajdowały się liczne szkice dziwnego zwoju w kształcie obwarzanka. Pośród masy nabazgranych liczb Diem wypatrywał danych ze strzałkami, które określałyby wymiary obiektu. Kiedy je znalazł, uświadomił sobie, że ogląda szkice osobliwego przedmiotu, który dźwig powietrzny przetransportował po południu na brzeg. Liczne rysunki w przekroju poprzecznym pokazywały skomplikowany wzór uzwojenia, składającego się na ów dziwny pierścieniowy kształt. Jeden ze szkiców posłużył się techniką komiksową, by pokazać energię czy materię przepływającą przez środek zwoju. Szybkie linie sił przechodziły następnie przez mniejszy zwój, a ten zbierał je w zwartą wiązkę, która biegła aż na drugą stronę kartki. Porządne zestawy formuł matematycznych, czasami bardzo skomplikowanych, biegnących przez kilka kolejnych szkiców, umieszczono w ramach wzdłuż wektorów sił. Wiele z tych formuł napisał Pachmann; szybkie bazgroły z nagłymi ozdobnikami, jakby pod zimną, milczącą fizjonomią paliła się szatańska pasja. Jedyne słowo, które Diem potrafił odczytać, wypisane było starannie ołówkiem, dużymi literami, u dołu tej dziwnej kartki papieru. Potrafił je odczytać, ale nie potrafił go zrozumieć;

TORUS.

16.

1999

Wiktor Koniew przekonał Radziecką Akademię Astrofizyki, że prace nad teleskopem na wyspie Kuro osiągnęły ten etap, kiedy powinien przenieść swoje biuro na wyspę jako dyrektor całego projektu. Akademia nie bez oporu zgodziła się na ten wyjazd. Administracyjne talenty Koniewa, jego niewyczerpana energia, zaraźliwy entuzjazm, a także szeroki krąg przyjaciół w różnych komisjach rozdzielających fundusze sprawiały, że pieniądze na projekt płynęły nieprzerwanym strumieniem, choć pierwotny budżet przekroczone już o ponad dwieście procent. Koniew zapewniał kolegów akademików, że fundusze od władz centralnych będą wpływały nadal, zwłaszcza teraz, kiedy konstrukcja teleskopu jest niemal na ukończeniu, zgodzili się więc na jego przeniesienie.

Przyleciał na Kuro pierwszego lipca. Kiedy wysiadał z Tupolewa, witała go na lotnisku większość mieszkańców wyspy. Wprawdzie często odwiedzał Kuro, zadbał jednak o to, by ten przyjazd zyskał światowy rozgłos. Oficjalne powitanie wygłosił Piotr Menkowa, naczelnny inżynier i następca Leona. Rzuciła się w oczy nieobecność Hegla i Pachmanna w tłumie witających.

Diem słuchał przemówienia Wiktora Koniewa i zastanawiał się, jaki wpływ ten przyjemny, siwowłosy uczoney wywrze na jego życie. Astronom niewątpliwie różnił się od wszystkich Rosjan, z jakimi Diem stykał się dotychczas. Miał taki autorytet, że wystarczyło, by podniósł rękę, a wszyscy milkli. Uśmiechnął się ciepło do słuchaczy i rozpoczął swoją mowę od tego, że ma sześćdziesiąt lat, potem przedstawił swoją karierę. Pracował najpierw jako zastępca dyrektora sześciometrowego teleskopu na Kaukazie, przez następne trzy lata był przewodniczącym Międzynarodowego Towarzystwa Astronomicznego, a ostatnio dyrektorem Orbitalnego Teleskopu im. Konstantego Ciołkowskiego. Oznajmił, że zwierciadło Alfa zostanie ukończone przed nowym rokiem. Problemy z projektem opóźniają zwierciadło Beta, w którym zastosowane będzie nowoczesne lustro. Aleksy Hegel i Anton Pachmann w dalszym ciągu odpowiedzialni są za prace badawczo-naukowe, ale nie ma powodu, żeby to opóźnienie wpłynęło na budowę Gammy i Deltę. Powiedział, że z niecierpliwością oczekuje momentu, kiedy gotowy teleskop będzie działał w połączeniu z obserwatorium Gecka na Hawajach należącym do Stanów Zjednoczonych. Końcowy żart zyskał powszechną aprobatę i wywołał śmiech: Koniew oznajmił, że naprawdę przyjemnie jest rozpoczynać swoje obowiązki, kiedy cała ciężka praca została już wykonana. Ku zdumieniu i podziwowi zagranicznych dziennikarzy, powtórzył swoją krótką mowę po francusku i po angielsku.

Pewien zgrzyt wprowadził amerykański dziennikarz specjalizujący się w problemach naukowych, którego komentarz, skierowany do kolegi, doszedł do uszu Diema: - Przeprowadzałem kiedyś wywiad z Kookie Koniewem na sympozjum naukowym w Tokio. Nie wyobrażam sobie jego współpracy z Amerykanami. To beton.

Konwój złożony ze wszystkich znajdujących się na wyspie pojazdów, które udało się uruchomić, zawiózł towarzystwo na miejsce budowy. Diem znalazł się tu po raz pierwszy od ostrzeżenia, jakiego udzielono mu w 1992 roku.

Chociaż większość zmian można było dostrzec z Kurogradu, stan zaawansowania całego projektu zaskoczył Diema. Niezbyt uważnie słuchał Menkowsy, który stał na podium wskazując zgromadzonym dziennikarzom poszczególne budynki kompleksu. Na miejscu pełnym dołów znajdował się teraz asfaltowy parking z oznakowaniami wymalowanymi świeżą białą farbą. Nawet lądowisko dla helikopterów zaznaczone było kółkiem. Równoległe do rzędu czterech kopuł wznosił się długi, jednopiętrowy budynek kontrolny obserwatorium, miejsce pracy zespołów astronomów. Mieściły się w nim komputery i urządzenia zdalnego odczytu, które przetwarzać będą obrazy z krańców wszechświata, zebrane przez cztery zwierciadła. Napisy były w kilku językach na użytek odwiedzających obserwatorium uczonych i astrofizyków, którzy zaczną przyjeżdżać na Kuro z całego świata. Wszystkie

głowy odwróciły się na odgłos nadjeżdżającego na niskim biegu samochodu. Gazik Hegla z niewzruszenie spokojnym Pachmannem przy kierownicy wjechał na teren budowy i zaparkował na końcu budynku kontroli. Pachmann wyskoczył z samochodu i nie zaszczycał zebranych nawet jednym spojrzeniem, włożył w odpowiedni otwór namagnetyzowaną przepustkę, która otworzyła nie oznakowane drzwi.

Koniew i Menkowa wprowadzili gości głównym wejściem. Wewnątrz centralnego pomieszczenia kontrolnego baterie wielkich ekranów telewizji przemysłowej przekazywały obraz czterech teleskopów. Żeby zmniejszyć ich wagę, zarzucono projekt konwencjonalnej rury mieszczącej każdy z teleskopów na rzecz sieci wzmocnionych rurek z nierdzewnej stali. Jedynie monstrualne lustro teleskopu Alfa o średnicy dziesięciu metrów zostało już zainstalowane.

Wszyscy zebrali się wokół dokładnego, roboczego modelu jednego z teleskopów i uważnie przyglądali się demonstracji Piotra Menkowy. Setki kontrolowanych przez komputery serwowatorów przymocowanych do odwrotnej strony gigantycznego, elastycznego lustra miało utrzymywać poprawną krzywiznę paraboliczną, zapewniając stałe wyrównanie odchyłeń spowodowanych przez wiatr, zmiany temperatury i siłę przyciągania. Ten właśnie przełom w projektowaniu umożliwił skonstruowanie dziesięciometrowych superteleskopów. Konwencjonalne szlifowane i polerowane lustro tych samych rozmiarów ważyłoby sześćdziesiąt ton. Gdyby nawet udało się wykonać takie lustro, które nie odkształcałoby obrazu ani nie pękło pod własnym ciężarem, ustawienie go podniosłoby koszty całego projektu o wiele milionów rubli, a cały projekt stałby się praktycznie niewykonalny.

- Dlaczego cztery teleskopy? - zapytał jakiś dziennikarz.

- Dla większej dokładności - wyjaśnił z uśmiechem Wiktor Koniew, przejmując od Piotra Menkowy rolę przewodnika. - Nawet kontrolowane komputerem systemy krzywizny powierzchniowej nie dają doskonałych lusterek. Ale przy wielu lustrach możemy wykorzystać komputery do przetwarzania obrazu i wyśrodkowania błędów. Panie i panowie, ludzie nie wypatrują już przez wielkie teleskopy astronomiczne. Oko ludzkie jest bardzo niedoskonałym instrumentem do odbierania światła z odległych galaktyk. Elementy ze sprzężeniem ładunkowym, ultraczułe emulsje fotograficzne i komputery wykonują znacznie lepszą robotę. A teraz przyjrzymy się bliżej teleskopom.

Ku wielkiemu zdziwieniu Diema po obejrzeniu teleskopu Alfa poprowadzono wszystkich tunelem do teleskopu Beta. Zważywszy na dziwne modyfikacje zastosowane przy konstrukcji Bety, nie oczekiwał, że teleskop znajdzie się na trasie zwiedzania. Wszystko pod

kopułą wydawało się normalne - nic nie wskazywało na to, że coś niezwykłego kryje się pod olbrzymim teleskopem. Wyjątek stanowił brak skomplikowanej podstawy lustra. Na jej miejscu znajdował się gigantyczny torus opakowany w jaskrawy plastik. Dziwne urządzenie wywołało lawinę pytań.

Koniew uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- To jest zwój elektromagnetyczny, panie i panowie. Największy na świecie. W swoim dążeniu do doskonałości Aleksy Hegel i jego zespół eksperymentują ze zmiennymi strumieniami pola magnetycznego w celu kontrolowania kształtu lustra. Spodziewają się, że osiągną dokładniejszą krzywiznę niż przy systemie zastosowanym w pozostałych lustrach. Jest to bardzo interesująca koncepcja, która, mam nadzieję, w pełni usprawiedliwia opóźnienie w uruchomieniu teleskopu.

Diem, podobnie jak wszyscy pozostali, zaakceptował tę historię. Brzmiała prawdopodobnie i sensownie.

17.

Tego wieczoru Diem spotkał się z grupą robotników przy stole przed barem na zwyczajową partyjkę pokera. Bar wydawał mu się jakiś dziwny, ale nie bardzo wiedział, dlaczego. Po pierwszym rozdaniu kart wyszedł barman i polecił im zaprzestać gry.

- Przykro mi, towarzysze. Koniec hazardu - powiedział.

Grupka graczy wyglądała na skonfundowaną.

- Ale zawsze gramy o tej porze - zaprotestował Diem.

- Już nie, panowie. Przykro mi, ale takie są zarządzenia. - Barman był sympatycznym Gruzinem i cała ta sytuacja najwyraźniej nie bardzo mu odpowiadała.

- Jakie zarządzenia? - dopytywał się Diem.

- Nowy szef zadekretował, że hazard to dekadenska zachodnia rozrywka i musi się skończyć. Jeżeli chcecie grać w pokera, róbcie to w domu. Nie w miejscu publicznym.

Rozległ się chór protestów.

- Przykro mi, panowie. Nasz nowy przywódca może wyprzedzać nas o całe lata świetlne pod względem naukowym, ale politycznie reprezentuje arkę Noego. - Barman uśmiechnął się do swoich przygnębionych klientów. - I zapomnijcie, że ja to powiedziałem.

Diem nagle uświadomił sobie, co go uderzyło w wyglądzie baru: zniknęły wszystkie reklamy Pepsi i Coca-Coli.

Wieczorem w domu włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości na kanale Cable

NetWork, ale powitał go biały ekran. To samo na kanale dla mężczyzn i wszystkich kanałach amerykańskich. Żaden nie odbierał, nie wyłączając kanałów japońskich. Pozostawała jedynie dość jałowa dieta złożona ze starych filmów dubingowanych w dialekcie kantońskim z połączeń satelitarnych z Hongkongiem i Kantonem. Diem sprawdził u sąsiadów, by przekonać się, czy jego telewizor jest w porządku. U wszystkich było tak samo. Zadzwoił do inżyniera obsługującego wzmacniacz UHF i usłyszał nagrane na taśmie oświadczenie, iż na polecenie Wiktora Koniewa aż do odwołania nie będzie się transmitowało niektórych kanałów telewizyjnych.

Diem położył się do łóżka myśląc o tym, że uśmiechnięty nowy szef nie stracił wiele czasu, by dać znać o swojej obecności.

18.

2000

Przyjazd Wiktora Koniewa zbiegł się z coraz częstszymi wyprawami Diema na „Rasputinie” w sprawach Hegla. Skończyły się jednak wyprawy do Makao po dziewczynki.

- Chińczycy wszystko spieprzyli - zauważył z goryczą Hegel. - Koniec z dziewczynkami. A kasyna należą teraz do państwa.

Diem nic nie odpowiedział. Podejrzewał, że zaniechanie ulubionej formy rozrywek Aleksego wiąże się bardziej z przybyciem Koniewa niż z faktem przejęcia przez Chińczyków dawnej kolonii portugalskiej w 1997 roku. Nawet rybackie wyprawy Hegla i Pachmanna na „Rasputinie” należały już do przeszłości.

Głównym celem wyjazdów Diema stał się Hongkong. Tanie ubrania w dobrym gatunku, które mógł tam kupować, przyczyniły się do tego, że coraz bardziej odpowiadało mu wygodne życie. Najlepiej lubił wytworne szorty, koszulki trykotowe i drogie sandały. Jedyne luksusowe zakupy, jakiego dokonał ze swoich stale rosnących oszczędności, to złoty zegarek Rolex Oyster Perpetual. Ładunki, które przywoził na Kuro, składały się z aparatury naukowej, z różnych technicznych detali wykonanych przez ślusarzy według szczegółowych rysunków Antona Pachmanna i z wielkich ilości wyposażenia komputerowego. Pewnego razu Diem ze swoją załogą złożoną z dwu Wietnamczyków powrócił na Kuro nie bez pewnego ryzyka, bo szeroki przedni pokład „Rasputina” załadowany był kilkunastoma tonami skrzyń. Wśród owych skrzyń znajdował się system do odbioru telewizji satelitarnej, który polecono mu zainstalować na terenie przylegającym do domu Hegla. Potężny blondyn odczuwał niewypowiedzianą pogardę dla cenzury programów telewizyjnych, wprowadzonej przez

Koniewa na wyspie.

Diem zapytał Hegla, dlaczego nie sprowadza aparatury naukowej zwykłym transportem ze Związku Radzieckiego.

- Ponieważ w ojczyźnie nie dostaniemy aparatury takiej klasy i precyzji, jaka nam jest potrzebna. Po prostu - uciął Hegel.

Diem nic na to nie odpowiedział. Temperament radzieckiego fizyka stawał się ostatnio coraz bardziej nieopanowany. Dłużej niż zwykle przesiadywał z Pachmannem w laboratorium. Z braku snu obaj mężczyźni mieli zaczerwienione oczy, coraz rzadziej też odwiedzali bar. Kiedy się tam pojawiali, Hegel głośno krytykował Koniewa, wykrzykując, że śmierdzący szczur partyjny orze w niego jak w osła.

19.

2002

Było już po jedenastej, kiedy Diem podjechał na skuterze pod dom Hegla; wiózł paczkę przywiązaną do bagażnika. Właśnie wrócił „Rasputinem” z Hongkongu. Według informacji agenta, od którego odebrał paczkę, zawierała ona najnowszy aparat do analizy gęstości strumienia magnetycznego. Diem nie miał najmniejszego pojęcia, co to za urządzenie, ale posłuchał rady agenta i traktował zawiniątko z należytą ostrożnością. Po powrocie na Kuro zdecydował się nie powierzać nikomu instrumentu, tylko odwieźć go osobiście. Po drodze minął hałaśliwą grupę astronomów amerykańskich i kanadyjskich, którzy urządzili sobie piknik na specjalnie do tego celu wyznaczonym terenie. Odkąd zaczęły działać teleskopy Alfa i Gamma, na wyspie było wielu podobnych gości. Odgłosy ich zabawy cichły, w miarę jak skuter wspinał się na wzgórze. Kiedy Diem zobaczył samochód Koniewa zaparkowany przed domem, zaczął się zastanawiać, czy aby ta późna wizyta była najlepszym pomysłem.

Wyłączył silnik i usłyszał gniewny głos Koniewa. Już miał zwrócić, ale ciekawość wzięła górę. Zaparkował skuter w niewidocznym miejscu i podczołgał się do furtki wychodzącej na basen. Przy aluminiowym stoliku na tarasie siedziały trzy osoby. Gdyby rozmawiali przyciszonymi głosami, Diem nie mógłby nic usłyszeć z powodu głośniego brzęczenia owadów. Ale każde gniewne słowo dobiegało wyraźnie w gorącym, wilgotnym powietrzu nocy. Jak zwykle milczący Anton Pachmann nie brał udziału w sporze.

- Alfa i Gamma pracują i dają dobre rezultaty - mówił Hegel. - To musi zmniejszać naciski na ciebie.

- W ten sposób trudniej mi uzasadnić wydatki na rozwój i badania - replikował Koniew.

- Nie mogę już dłużej szachrować cyframi.

- Jeszcze jeden milion i sześć miesięcy powinny doprowadzić do udoskonalenia - oświadczył spokojnie Hegel. Po siedemnastu latach Diem na tyle dobrze znał nieobliczalnego radzieckiego fizyka, by wyczuć oznaki niebezpieczeństwa.

- Nie możesz mieć już ani tego, ani tego - oznajmił sucho Koniew. - Wiązka torusa jest gotowa. Można ją wypróbować. I doskonale o tym wiesz. Miałeś prawie dwadzieścia lat.

- Zgoda. Więc jaką różnicę może zrobić sześć miesięcy?

Diem stanowił nieruchomy cel dla rojów komarów, ale nie odważył się ich zabijać, zwłaszcza kiedy usłyszał w pobliskich zaroślach sapanie czarnucha. Te gwałtowne zwierzęta miały nie najlepszy wzrok, ale wspaniały słuch. Najbezpieczniej było stać zupełnie nieruchomo. W końcu zwierzę oddaliło się w ciemność, co pozwoliło Diemowi skoncentrować się na podsłuchiwanej rozmowie.

- Nie potrzebujesz kolejnych sześciu miesięcy! - krzyczał Koniew. - Torus działa. Pora na próbny strzał.

- Takie masz najnowsze wieści od swoich nędznych szpiegów, co?

- Szpiegów? Jakich szpiegów? Nie wiem, o czym mówisz.

- Przestań pieprzyć, Wiktor. Ostatni nabytek to Menkowa. A pierwsza była żalсна próba nasłania na nas ładnej Chinki. Dziwka, która mogła sobie pozwolić na Klipsofon. Prawdziwa amatorszczyzna. Anton podsłuchiwał, jak dzwoniła do ciebie z toalety. Nie miała nawet na tyle rozsądku, żeby nie używać twojego imienia.

- Co się z nią stało? - zapytał nadęty Koniew.

Hegel wzruszył ramionami.

- Chciała nurkować, nie nauczywszy się przedtem pływać. Tragiczne. Nigdy nie znaleziono ciała. - Głos Hegla podniósł się. W każdej chwili mógł stracić panowanie nad sobą. - Więc teraz słuchaj mnie, Koniew. To ja odpowiadam za wiązkę torusa, nie ty i twoja klika moskiewskich wpływowych kreatur.

- Ja to umożliwiłem! Beze mnie i podobnych do mnie wpływowych kreatur, jak nas obraźliwie nazywasz, nie dałoby się pokryć twoich rozrzutnych wydatków i nie byłoby wiązki torusa. To dzięki mojej dalekowzroczności i planowaniu mamy dziś zaczątki parasolowego systemu obronnego, który może dać naszemu narodowi zadośćuczynienie za szkody wyrządzone przez tych mętniaków, liberalnie nastawionych przywódców, ludzi, którzy uparcie osłabiali nasz system obronny przez gotowość wchodzenia w międzynarodowe układy i przez zaniechanie podobnego typu badań.

- Gówno - powiedział zwięźle Hegel. - Wiesz co, Koniew? Przypominasz mi kiepski

film. Moskwa pełna jest takich zasranych partyjnych karierowiczów jak ty. Nawet nie jesteś naukowcem, tylko zwykłą mendą, która wdrapała się na szczyt, bo zdobywała zaproszenia na odpowiednie przyjęcia.

Koniew podniósł się gwałtownie. Diem zaszył się w cień krzaków.

- Nie dbam o to, co o mnie myślisz, Aleksy. Ważne jest to, że ja tu rządę i że moje słowo jest rozkazem. Z listy, którą ci dostarczyłem, wybierzesz nieczynnego satelitę i przeprowadzisz test w ciągu najbliższych czternastu dni. I zgodzisz się na to, bo w przeciwnym razie obydwaj odleciecie stąd w kajdankach następnym transportem. Czy mówię wystarczająco jasno?

Diem przygotował się na nieuniknioną eksplozję. Nikt nie groził Aleksemu Heglowi, to było nie do pomyślenia. Jednakże Hegel nie stracił panowania nad sobą, jego odpowiedź brzmiała zadziwiająco spokojnie, jakby nagle znudziła go ta cała sprawa.

- W porządku, towarzyszu Koniew. Jesteście szefem. Będziecie mieli swój próbny wystrzał.

- Dziękuję - powiedział sztywno Koniew.

- A tymczasem - kontynuował Hegel - nie chciałbym wysłuchiwać twoich napuszonych nacjonalistycznych bredni, więc łaskawie wycofaj swoją obrzydliwą osobę z mojego lokalu, bo cię stąd wykopię.

Diem ukrył się jeszcze głębiej za krzakami, kiedy usłyszał zbliżające się kroki Koniewa. Administrator rozwalił furtkę, wskoczył do swojego samochodu i trzasnął drzwiczkami. W blasku światła z tablicy rozdzielczej widać było zaciśnięte w gniewie wargi. Włączył silnik i odjechał.

Diem przycisnął paczkę pod pachą, nie ukrywając się wszedł przez furtkę i zbliżył się do dwu mężczyzn siedzących przy stole. Usłyszał, jak Hegel odpowiada na pytanie Pachmanna:

- Oczywiście, że przeprowadzimy próbny strzał. Ale wybierzemy na cel takiego satelitę, który na zawsze zatka tego gnojka. - Hegel podniósł głowę i zobaczywszy Diema uśmiechnął się dobrodusznie, w sposób całkowicie niezgodny ze swoim charakterem. - Halo, Diem. Czy to mój aparat do pomiarów gęstości strumienia?

- Dostawca z Hongkongu obawiał się o jego bezpieczeństwo, więc pomyślałem, że najlepiej będzie, jak sam go przyniosę - odpowiedział Diem i położył paczkę na stole.

- Jesteś dobrym chłopcem - wymamrotał Hegel, przesuwając paczkę w stronę Pachmanna. - Ile oszczędziłeś na tym swoim koncie w Hongkongu?

Diem był zaskoczony. Nikomu nie powiedział, że otworzył konto w walucie

wymienialnej. Przez cały czas systematycznie przelewał swoje zasoby z książeczki oszczędnościowej w Kuro na konto w Hongkongu, gdzie dostawał wyższy procent.

- Konto w Hongkongu? - powtórzył nerwowo.

Hegel uśmiechnął się przyjaźnie.

- Dosyć mam pierdołów jak na jeden wieczór. Byłbyś głupcem, gdybyś nie wykorzystał podróży do Hongkongu, a głupcem nie jesteś. Więc ile?

- Prawie całą pensję za ostatnich dziesięć lat - odpowiedział ostrożnie Diem, niepewny reakcji Aleksego, ale zbyt przestraszony, by kłamać.

- W walucie wymienialnej?

Diem skinął głową, unikał jednak wzroku Rosjanina. Pachmann wydobyl scyzoryk i rozcinał opakowanie paczki. Hegel zachichotał.

- To ile w dolarach USA?

- Około czterdziestu tysięcy.

Hegel odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Prawie wystarczy na „Rasputina”, kiedy tu skończymy.

Oczy Diema rozszerzyły się. Gdyby „Rasputin” stał się jego własnością, byłoby to spełnieniem snów. Zarobiłby majątek zabierając grupy czarterowe na wyprawy po Morzu Południowochińskim.

- To jest coś, co sprawiłoby mi największą radość, Aleksey - odpowiedział bardzo poważnie.

Hegel skinął głową i przyglądał się, jak Anton odpakuje aparat.

- Diem, myślę, że skończymy tu pracę za następnych sześć miesięcy. A może nawet wcześniej.

20.

Hongkong, 2003

Piętnaście minut po odkryciu jachtu Lesa z obrzydzeniem kontemplowała swoje odbicie w dużym lustrze apartamentu hotelowego. Ubrana była w przezroczystą jedwabną bluzkę, pod którą nie miała koszulki, w nieprzyzwoicie krótką spódniczkę z elastycznego materiału, co jednak nie przeszkodziłoby jej kopnąć kogoś, gdyby zaszła taka Potrzeba. Żeby się o tym upewnić, skierowała kilka treningowych kopniaków na wyłączniki klimatyzacji umieszczone na ścianie. W porządku. Pochyliła głowę i rozluźniła się, tak jak zalecała Ko. Usiłowała usunąć ze swojej świadomości wszystkie emocje osobiste, przygotowując się do

wykorzystania własnego ciała jako narzędzia pokonania przeciwnika bez względu na to, w jaki sposób trzeba będzie się nim posłużyć.

Lesa zaczęła się denerwować. Od piętnastu minut siedziała na tylnym siedzeniu taksówki w nowym tunelu pod przystanią i nic nie wskazywało na to, by stojące w długim korku samochody miały kiedykolwiek ruszyć.

- Na miłość boską, jak długo to zwykle trwa o tej porze? - zapytała.

Kierowca wzruszył ramionami i przyjrzał się swojej urodziwej i podenerwowanej pasażerce we wstecznym lusterku, które specjalnie opuścił na dół, by mieć lepszy widok na jej nogi. Zobaczył, że wyciągnęła z torebki Klipsofon i wściekle przyciska guziki.

- W tunelu nie działa - zauważył.

- Staram się połączyć na zapasowym kanale. Czy nie macie w tunelu anteny zasilającej?

- Wszystkie kanały zajęte są przez służby ratunkowe. - W tym samym momencie, jakby dla potwierdzenia jego słów, na sąsiednim pasie zawyły syreny dwóch karet pogotowia jadących pod prąd.

Lesa zmęła w ustach przekleństwo i wepchnęła telefon z powrotem do torebki. Uświadomiła sobie, że się denerwuje, i usiłowała się uspokoić.

Ponad godzina minęła od momentu wyjścia z hotelu, kiedy wreszcie taksówka dowiozła ją do portierni przystani jachtowej Hung Hing.

- Mam spotkanie na „Rasputinie” - powiedziała strażnikowi. - Miejsce postoju 10 D.

Strażnik przyjrzał jej się z zainteresowaniem. Była trochę starsza od panienek, które zazwyczaj kręciły się wokół przystani w nadziei, że jakiś bogaty właściciel jachtu zaprosi je na pokład. I miała klasę, prawdziwą klasę. Jej uśmiech, a także piersi, na które zerknął, kiedy oparła się o ladę, przyprawiły go niemal o zawrót głowy.

- Przykro mi, panienko, ale „Rasputin” odpłynął pół godziny temu.

Lesa opanowała się. Kiedy usłyszała tę wiadomość, serce zaczęło jej łomotać w piersi, zdobyła się jednak na obojętny uśmiech.

- Popłynęli dookoła wysp? A może na ryby?

- Tego nie wiem, panienko.

Oparła się na ladzie jeszcze bardziej prowokująco, ale lodowaty chłód w jej oczach tak zdetonował wartownika, że nawet nie skorzystał z tych ulepszonych możliwości widokowych.

- Z pewnością może mi pan powiedzieć, dokąd popłynęli. To bardzo ważne.

- Nie wiem, panienko. Pan Sok nigdy mi się nie opowiada.

Lesa uświadomiła sobie, że nie zna nazwiska Diema. Po błyskawicznym namyśle

postanowiła zastosować inną taktykę.

- Wydaje mi się, że właściciel trimaranu na miejscu 10 C jest starym przyjacielem pana Soka. Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że z nim porozmawiam? Może ma dla mnie jakąś wiadomość.

Strażnik zawahał się. Dziewczyna знаła numery miejsc postoju. Nie wyglądała ani na kogoś, kto znalazł się tu przypadkiem, ani na początkującą dziwkę. Wypisał przepustkę i podał Lesie.

- W porządku, panienko. Niech pani idzie.

Lesia podziękowała, pokazała przepustkę strażnikowi przy wejściu i przeszła wzdłuż rzędu zakotwiczonych jachtów do miejsca postoju trimaranu. Na pawęży wypisano białymi literami na polakierowanym mahoniu nazwę „Sparkle”. Polinezyjczyk o bujnej czuprynie starannie lakierował drzwi do kabiny. Lesę zdumiała liczba lakierowanych powierzchni na trimaranie. Wydawało się, że przy jego konstrukcji w ogóle nie zastosowano szklanego włókna.

- Halo - zawołała.

Młody człowiek spojrzał na nią zaskoczony. Z jego twarzy zniknął zwykły pogodny uśmiech, kiedy ta dziwnie ubrana kobieta o onieśmielającym spojrzeniu przykuła jego uwagę. Hipnotyzujące oczy pobawiły się z nim chwilę i wycofały się. Mimo jej niespodziewanego uśmiechu jakoś zabrakło mu odwagi, żeby zlustrować jej figurę. Wytrzeł ręce w czystą szmatkę. Miał wprawdzie lekką nadwagę, ale wyskoczył zgrabnie na pomost i podał Lesie rękę.

- Des Gibson. Chce pani wynająć mój trimaran? Bardzo szybki, bardzo lekki, bardzo stabilny, w tym tygodniu specjalne stawki, bo jestem bez forsy.

Lesia roześmiała się uprzejmie.

- Zastanawiam się, gdzie się podział „Rasputin”. Miałam się spotkać z panem Sokiem.

- Nie mogę pani pomóc - powiedział posępnie Des. - On przy pływa i odpływa. Nigdy mi nic nie mówi. - Rozpromienił się nagle. - Ale może spróbujemy ich dogonić? Wypłynęli dopiero przed półgodziną.

- Bez silnika?

Des był dotknięty.

- To jest projekt Richarda Hartleya. Bardzo lekki. Bardzo szybki. Każdy gwóźdź wbijałem własnoręcznie. W ciągu godziny dogonimy „Rasputina”, jeśli będziemy wiedzieli, w jakim kierunku popłynął. - Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pomietą wizytówkę, którą wepchnął Lesie do ręki. *Czartery Desa Gibsona. Wyprawy na wyspy. Wyścigi jachtowe.*

Wyprawy na ryby. Pływanie podwodne. Najniższe ceny w Hongkongu.

- Może innym razem, panie Gibson. Czy pan Sok przy pływa tu regularnie?
- Sześć czy siedem razy do roku. Zwykle odpływa załadowany skrzyniami i alkoholem.
- Czy to jego pełne nazwisko? Diem Sok?
- Chyba tak. Nie jest specjalnie przyjacielski. Ale to niekonieczne. Ja jestem do wszystkich nastawiony przyjaźnie. Tak muszę, bo inaczej nie ma interesu.

Lesza podziękowała pogodnemu Polinezyjczykowi, skłoniła go do przyjęcia hojnego napiwku i poszła z powrotem w stronę wartowni. Usiadła w restauracji i zamówiła kawę. Pozostali klienci taksowali ją wzrokiem. Zażenowana swoim wyglądem, nie miała bowiem wątpliwości, że tylko nieliczne dziwki w Hongkongu mogły sobie pozwolić na Klipsofon, wybrała międzynarodowy kod Zjednoczonego Królestwa i czekała, aż aparat się odezwie, co będzie oznaczało, że odnalazł satelitę i drogę połączenia. Nacisnęła numer Darryla. Odezwał się natychmiast.

- Jak się masz, Darryl. Czy jesteś w biurze?
- Właśnie zamierzałem iść do domu. Jak tam w Hongkongu? - sekunda zwłoki, zanim usłyszała jego odpowiedź, wskazywała, że rozmowa wędruje dookoła świata przez dwa łącza satelitarne. Musi pamiętać, żeby mu nie przerywać.
- Upalnie i lepką, Darryl. Słuchaj uważnie. Na moim biurku jest zestaw maksymalnie powiększonych zdjęć jachtu motorowego. Zamieszany jest w sprawę, nad którą pracuję. Widzisz je?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. Słyszała, jak przerzucał papiery.

- W porządku. Chodzi o statek zaznaczony tym neonowym markerem w przystani na wyspie Hongkong?
- Tak jest. Odpłynął z tej przystani jakieś czterdzieści minut temu. Spróbuj go znaleźć.
- Poczekaj. Zorientuję się, który satelita na niskiej orbicie jest w najlepszym położeniu. O tej porze w tej twojej dziurze już ciemno, więc muszą to być czujniki podczerwone. W porządku. SPOT 9 powinien to załatwić. Czy mam się do niego podłączyć?

Lesza z trudem się opanowała, żeby nie wrzasnąć. Darryl mógł czasami doprowadzić do furii.

- Tak. Natychmiast.
 - Poczekaj
- Słyszała stukot klawiszy. To trwające sekundę opóźnienie strasznie ją denerwowało.
- Przykro mi, Leso. Wszystkie podczerwone czujniki SPOT-a 9 są akurat zajęte.
 - Wszystkie trzy?

Słyszała znowu, jak Darryl stuka w klawiaturę.

- Na to wygląda. Nie mogę się dopchać. Tak. Mam na ekranie informację „system zajęty”. Mogę spróbować geosynchrony.

Lesza szybko podejmowała decyzję. Podczerwone czujniki na wszystkich geosynchronicznych satelitach nie zdołają złapać niewielkiej łodzi, trudno im było wykryć cokolwiek poniżej tysiąca ton.

- Nie, Darryl, nie zwracaj sobie głowy. Dziękuję. Tu za siedem godzin będzie widno. Czy możesz przyjść wcześniej do biura i przeprowadzić dla mnie wywiad optyczny? Muszę znaleźć ten jacht!

- W porządku, Leso. Mam tu jeszcze coś do zrobienia, więc zostanę na noc w gościnnym.

- I jeszcze jedno, Darryl. Ten jacht nazywa się „Rasputin”. Zarejestrowany w Odessie nad Morzem Czarnym. Dowiedz się wszystkiego, co się da, i przyslij mi faksem do hotelu. A kiedy znajdziesz sam jacht, zaraz do mnie zadzwoń Klipsofonem, dobrze?

- Leso, nie mogę tego zrobić, bo przecież wydałaś polecenie, żeby wszystkie Klipsofony przełączano na biuro. Twoja maszyna rejestrowała telefony przez cały dzień. Ponad dwadzieścia numerów na ekranie.

Lesza przypomniała sobie o przełączeniu rozmów. Oznaczało to, że jej Klipsofon przyjmował wszystkie miejscowe telefony z Hongkongu, natomiast wszystkie rozmowy międzynarodowe przerzucał na automatyczną sekretarkę. Chciała w ten sposób oszczędzić sobie nieprzyjemności zrywania się w środku nocy, ponieważ telefonujący nie mieli pojęcia, że znajduje się w innej strefie czasu.

- Poczekaj chwilkę, Darryl. - Nacisnęła odpowiednie guziki w swoim aparacie i sprawdziła polecenie, które ukazało się na miniaturowym ekranie. - W porządku. Zakodowałam zmianę, telefony z twojego numeru nie będą przełączane. Ale lepiej to sprawdzimy. Zadzwoń do mnie teraz. - Rozłączyła się i zmieniła sygnał ze słuchowego na wizualny. Parę sekund później ostre światelko zaczęło mrugać w mikrotelefonie.

- Chyba działa - powiedział Darryl. - Teraz zacznę szukać informacji o „Rasputinie” i zadzwonię do ciebie, jak tylko będę miał rozeznanie optyczne. Tymczasem trochę się prześpij.

Lesza poczuła przypływ serdecznych uczuć dla niego. Dużo znaczyło dla niej to, że miała przy sobie kogoś tak odpowiedzialnego jak Darryl, kto mógł czuwać nad jej sprawami, kiedy wyjeżdżała. Posłała mu pocałunek i rozłączyła się. Schowała mikrotelefon z powrotem do torebki, dopiła kawę i już miała wychodzić, kiedy podszedł do niej dobrze ubrany,

wytworny pan koło sześćdziesiątki. Robił wrażenie zdenerwowanego i onieśmiałego.

- Proszę mi wybaczyć, ale słyszałem, że mówiła pani po angielsku. To nasza pierwsza podróż do Hongkongu - wskazał ręką na stół, przy którym siedziała mocno umalowana kobieta w średnim wieku. Uśmiechnęła się zalotnie do Lesy. - Obiecałem żonie coś specjalnego. Miłą, młodą panienkę. To jest...

Lesy w zwięzłych słowach poradziła mu, co może zrobić ze swoją żoną.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - powiedział mężczyzna żałośnie. - Ale ona woli kobiety.

Lesy wybiegła z restauracji, policzki jej płonęły. Ktoś na nią gwizdnął. Uspokoila się dopiero na tylnym siedzeniu taksówki. Czego innego mogła oczekiwać? Kiedy się wychodzi w stroju dziwki, łatwo można być uznanym za dziwkę. Uśmiechnęła się na wspomnienie przyzwoicie wyglądającego mężczyzny, który tak niefortunnie wybrał sobie żonę.

21.

Titusville, Floryda

Harry Dysan patrzył na hologramowe zdjęcie Lesy Wessex na swoim monitorze i aż mu ciekła ślinka. Jezu! Co za wspaniały dzieciak! Ładny dzieciak! Była już po trzydziestce. Sprawdził datę na hologramie, zdjęcie sprzed roku. Wprost nie do wiary.

Harry, powiedział sobie, dla tej cizi będziesz musiał się odszykować. Systemation to firma o wysokim poziomie technologii. Na pewno mają telewizyjny system konferencyjny. Nie będziesz w rozmowie z tą panią wyglądał jak niechluj. I do tego niechluj o uprzedzeniach seksualnych, podpowiedziało mu sumienie, kiedy brał prysznic, golił się i usiłował przedrzeć się grzebieniem przez czuprynę.

Rozsiadł się przed końcówką komputera i starał się wyglądać jak podniecający samiec. Komputer zamigotał, czekając na jakieś podrywające działania ze strony Harry'ego. Harry wybrał numer Klipsofonu Lesy Wessex. Numer był zablokowany, telefony przełączano do biura. Na ekranie pojawiła się cudowna twarz Lesy z magnetowidu. Harry nacisnął klawisz rejestrujący, żeby utrwalić ten obraz. Lesy uśmiechała się ciepło, przepraszała za swoją nieobecność i obiecywała, że oddzwoni najszybciej, jak będzie mogła. Na dole ekranu pojawiały się numery telefonów Systemationu, na wypadek gdyby chodziło o sprawę zawodową.

Harry rozłączył się, nie zostawiając żadnej wiadomości, potem raz jeszcze przegrał nagraną informację. Przełączenie z Klipsofonu, co? Znajdziemy na to sposoby. Zadzwoił do

biura Federalnej Komisji Łączności w Jacksonville, przedstawił się oficerowi dyżurnemu, który gorąco zaprotestował, kiedy usłyszał prośbę Harry'ego. Jedyne kataklizm w skali krajowej mógłby zmusić biuro do ingerowania w system światowej sieci Klipsofonów. Potrzebne było polecenie z biura Gusa Whittakera, żeby oficer Komisji zmienił zdanie.

- Niech pan dzwoni, panie Dysan - powiedział niechętnie, kiedy w godzinę później porozumiał się z Harrym. - Polecenie abonenta o przełączeniu telefonów zostało odwołane. Ale tylko na trzydzieści minut.

22.

Hongkong

Następnego ranka Lesa czuła się dobrze. Nigdy nie dokuczała jej różnica czasu po lotach międzykontynentalnych. Po długim śnie doskonale przystosowywała się do nowego czasu. Siedziała w fotelu na balkonie rozkoszując się słońcem, zanim stanie się ono zbyt palące. Jadła lekkie śniadanie, złożone z grzanki z marmoladą imbirową. Piła przy tym mnóstwo kawy.

Zadzwonił Klipsofon. Porwała aparat ze stolika, spodziewając się usłyszeć głos Darryla. Zamiast tego dobiegł jej uszu amerykański akcent:

- Panna Wessex?

Jeżeli dodzwonił się do niej ktoś oprócz Darryla, oznaczało to rozmowę miejscową. Niepokoiło ją, że komuś było znane miejsce jej pobytu. Ale z drugiej strony mógł to być ktoś miejscowy, kto nie miał pojęcia o tym, że ona przebywa w Hongkongu. Najrozsądniej będzie zebrać się na odwagę i dowiedzieć się czegoś więcej.

- Tak. Dzień dobry, kto mówi?

- Panno Wessex. Nazywam się Harry Dysan. Reprezentuję olbrzymi koncern, który chciałby skorzystać z pani usług.

- Panie Dysan, gdyby zadzwonił pan bezpośrednio do biura albo do naszych tutejszych agentów, podaliby panu wszystkie szczegóły i warunki.

- Mam na myśli to, że chodzi nam o panią osobiście.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nie mogę dyskutować o tym przez telefon, panno Wessex. Wydaje mi się, że powinniśmy się spotkać...

- Przykro mi, panie Dysan - przerwała - nie pracuję jako wolny strzelec. - Ku jej ogromnemu zdziwieniu mężczyzna przez cały czas nie przestał mówić.

- ...osobiście, żeby omówić sprawę. - Dopiero kiedy doszedł do końca zdania, zareagował na jej wtręt. - Panno Wessex, mówimy o kontrakcie w granicach pół miliona dolarów.

Lesya wyprostowała się na fotelu. To wyglądało na rozmowę międzynarodową.

- Chyba mnie pan nie dosłyszał, panie Dysan. Nie jestem wolnym strzelcem. Mamy tu w Hongkongu swojego agenta. Charlie Foy. Niech się pan z nim porozumie, on wszystko załatwi. Zgoda?

- Przypuszczam, że będziemy pani potrzebowali przez...

- Przykro mi, proszę się porozumieć z agencją Charlie Foya - znowu przerwała mu Lesya. Przysłuchiwała się uważnie. Mężczyzna tym razem też nie przestał mówić.

- ...jakieś trzy tygodnie. Czy możemy to omówić osobiście? To bardzo pilne.

Lesya myślała gorączkowo. To, że ów tajemniczy Harry Dysan nie reagował na jej wtręty, dowodziło pewnego opóźnienia w czasie, czyli, innymi słowy, połączenie przebiegało za pośrednictwem satelity. Prawie na pewno nie była to rozmowa miejscowa. Uznała, że przede wszystkim musi się dowiedzieć czegoś więcej o swoim rozmówcy.

- W porządku, panie Dysan. Jeśli ma pan tak dużo pieniędzy, to może o pierwszej zjemy lunch w klubie Volvo?

- Niestety, panno Wessex. Mam zajętą resztę dnia. Może śniadanie jutro o tej porze?

Ta sugestia potwierdziła podejrzenia Lesy, że Harry Dysan dzwoni z zagranicy. Prawdopodobnie z Ameryki. Gdyby posługiwała się normalnym telefonem, wiedziałaby to na pewno, ponieważ zawsze ukazywał się numer rozmówcy.

- Zgoda, panie Dysan. Mieszkam w hotelu Waterfront Sheraton w Kowloonie. - W uchu zadźwięczał jej sygnał „ktoś czeka na linii”.

- Jutro śniadanie. Muszę kończyć, bo ktoś próbuje się do mnie dodzwonić. Czekam na spotkanie z panem jutro. - Rozłączyła się nie czekając na odpowiedź.

Następny telefon był od Darryla.

- Leso, znalazłem właśnie „Rasputina”. Mam go na ekranie. Dziesięć węzłów. Dwadzieścia dwa stopnie północ, zmierza prosto na wschód na centralny Pacyfik. Właśnie opływa południowy cypel Tajwanu.

- Dokąd płynie?

- Jeśli nie zmieni kursu, to przez najbliższe dwa tysiące mil nie ma nic na swojej drodze, dopóki nie natknie się na Hawaje w sercu Oceanu Spokojnego.

- Jakie zdobyłeś informacje?

- Żadnych.

- Co takiego?!

- Nie ma nic u Lloydsa. Radziecki komputer morski jest chwilowo nieczynny, więc wszędzie miałem pecha.

- Cholera! Do diabła, Darryl! Musi być jakiś inny sposób!

- Pomyślę o czymś - przyrzekł. - A tymczasem, co mam robić ze śledzeniem?

- Obserwuj dalej.

- Masz na myśli, żebym się nie wyłączał z satelity?

- Tak.

- Chyba oszalałaś! Licznik bije nieprzystannie. Muszę się wyłączyć.

Lesia zamknęła oczy i myślała intensywnie. Darryl miał rację. Obserwacje satelitarne polegały na sprowadzaniu obrazów i potem na spokojnym ich analizowaniu. Nie można było prowadzić długich obserwacji poprzez satelitę. Koszty takiej operacji byłyby rujnujące.

- W porządku, Darryl. Włączaj się równo co godzinę, z wybiciem godziny, i informuj mnie. Czy możesz sprawdzić, kto do mnie dzwonił?

- Właśnie to robię.

- Są jakieś numery ze Stanów?

- Tak jest. Jeden. Dzwonił przed godziną. Nie zostawił żadnych informacji.

- Znajdź, do kogo należy ten numer.

- Poczekaj. - Słyszała palce Darryla uderzające w klawiaturę, kiedy włączał się do bazy biura numerów. - Lesa?

- Słucham?

- Abonentem jest Harry Dysan z Titusville na Florydzie.

- Dziękuję, Darryl. Czy jest ktoś z tobą w biurze?

- Mike.

- Poproś go, żeby spróbować zadzwonić na mój numer Klipsfonu. Chciałabym sprawdzić, czy działa polecenie o przełączaniu rozmów.

- Poczekaj. - Słyszała, jak Darryl przekazuje jej instrukcje. Po kilku sekundach odezwał się znowu. - Działa bez zarzutu. Mike połączył się właśnie z twoją automatyczną sekretarką.

- Dzięki, Darryl. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miał coś nowego.

Lesia rozłączyła się i studiowała przyciski swojego Klipsfonu, usiłując sobie przypomnieć kombinację klawiszy, która pozwoliłaby odtworzyć przedostatnią rozmowę. Za pierwszą próbą usłyszała nagranie rozmowy z Darrylem, którą właśnie skończyła. Udało jej się dopiero za drugim podejściem. Wielokrotnie przesłuchiwała rozmowę z Harrym Dysanem, wsłuchując się dokładnie we własne wtręty i opóźnienie, z jakim reagował Harry. Nabrała

przekonania, że ten Amerykanin jest niebezpieczny.

23.

- Leso! Mój aniele! Jak to cudownie, że się pokazałaś! - Charlie Foy przemieścił swoje cielsko do drzwi wejściowych przeładowanego ozdobami gabinetu i ścisnął Lesę. Czuła się, jakby ją obejmował wschodni odpowiednik człowieczka z reklamy opon Michelin. Charlie był wystarczająco gruby, by usprawiedliwić konieczność stworzenia nowego słowa, które na skali tuszy określałoby następny stopień po słowie „otyły”. Nie był w żadnym razie najbogatszym człowiekiem w Hongkongu, ale bez wątpienia największym. Podziały między jego podbródkami stanowiły niejako odpowiednik ciepłego, promiennego uśmiechu; uśmiechu, który maskował przebiegły i wyrachowany umysł. Charlie wiedział o wszystkim, co działo się w Hongkongu. - Jestem gruby - mawiał z lubością - ale nie na tyle gruby, żebym nie mógł przyłożyć ucha do ziemi. - Na szczęście Charlie Foy był przyjacielem Lesy, istniało bowiem wielu ludzi, którzy traktowali go jako niebezpiecznego wroga.

- Czuję się doskonale, Charlie - mówiła Lesa siadając na krześle. We wnętrzu klimatyzowanego budynku wyłączyła klimatyzację swojego podróżnego kostiumu. Gospodarz krzątał się przy maszynie z kawą.

- Jak interesy? - zapytała.

- Tak sobie - odparł Charlie. - Teraz trochę się poprawia, kiedy zdolni zaczynają wracać. Wynieśli się masowo w dziewięćdziesiątym siódmym roku, przekonali się, że nie ma lepszego miejsca niż Hongkong do robienia pieniędzy, więc teraz wracają powoli z Vancouveru, z Brisbane, z San Francisco. Idioci. Nie zdają sobie sprawy z tego, że kiedy bogactwo i doktryna toczą walkę o stworzenie struktury społecznej, pieniądź musi zwyciężyć.

- Zachichotał radośnie i postawił na stoliku obok Lesy bardzo mocną kawę. Oddychał ze świstem. Opuścił swoją górę mięsa w specjalnie zrobione obrotowe krzesło i badawczo wpatrywał się w gościa.

- Więc dalej zarabiasz nieprzyzwoite miliony na nowym porządku? - zapytała Lesa.

Wielki brzuch Charliego trząsł się ze śmiechu.

- Rzeczywiście nieprzyzwoite miliony. Sądząc po sposobie, w jaki się rozmnażają, to rzeczywiście nieprzyzwoite. A co do naszych nowych panów i władców, to nie są najgorsi, kiedy już mieliśmy okazję trochę się do siebie przyzwyczaić, chociaż im to przyzwyczajanie idzie odrobinę wolniej. Giełdę prowadzi teraz komitet ludowy. Oczywiście bardzo się staramy, żeby zostali poinformowani o wszystkich najdrobniejszych szczegółach i żeby

zawsze mieli pod ręką niezbędne dane, toteż każdy członek komitetu dostaje co tydzień około pięćdziesięciu kilogramów papieru, informacji, sprawozdań, i tak dalej. Musi się z tym zapoznać i podjąć odpowiednie decyzje. Równie naturalne, że pragniemy, aby czuli się jak najlepiej, więc zasypywani są codziennie dziesiątkami zaproszeń na najwspanialsze przyjęcia i bankiety. - Charlie przerwał i zmarszczył brwi. - To bardzo dziwne, moja droga, ale nie wydają się brać swoich obowiązków poważnie. Ciągłe przelewają tę swoją straszliwą odpowiedzialność na nas, członków giełdy. - Zniżył głos. - Prawdę mówiąc, wydają się zadowoleni pozwalając nam prowadzić wszystko tak, jak robiliśmy to dotychczas. To wprost nie do wiary!

Lesz wybuchnęła śmiechem.

- Charlie, jesteś niemożliwy.

Charlie uśmiechnął się przewrotnie.

- Stara zasada mandarynów, jak postępować z nadgorliwymi cesarzami. A teraz powiedz mi, co cię tu sprowadziło tak pilnego, że nie mogłaś mnie o tym uprzedzić? Mógłbym sobie pomyśleć, że przestałaś mnie kochać.

- Nigdy nie przestanę cię kochać, Charlie. Jestem tutaj zupełnie prywatnie.

- Aha. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Pod własnym nazwiskiem?

- Tak.

Gruby Chińczyk wolno mieszał swoją kawę.

- To może pomóc. Ja pierwszy się o to modłę. Słyszałem plotki, że Hugo Sukarno szuka kobiety, której rysopis przypadkiem odpowiada twojemu. Niebu tylko wiadomo, kogo nie przekupił, żeby cię znaleźć.

- Słyszałam o sprawie sędziego Wu - powiedziała zdawkowo Lesz. Uśmiechnęła się. - Może powinnam odwiedzić Hugona Sukarno? Nie musiałby tracić czasu na szukanie mnie.

- Nigdy z tego nie kpij - strofował ją Charlie. - To wyjątkowo niebezpieczny człowiek. Przysporzyłaś mu wielu kłopotów.

Lesz zmieniła temat.

- Prawdę mówiąc, Charlie, przyszłam do ciebie po pomoc.

- Hm...

- Szukam pewnych informacji. Wczoraj w przystani Hung Hing stał jacht „Rasputin”. Zarejestrowany w Odessie. Chciałabym wiedzieć, kto jest właścicielem tego jachtu i gdzie mieszka.

Charlie uniósł brwi.

- Radziecki jacht motorowy? No, ale teraz dużo jest bogatych Sowieców. Robię z nimi

interesy. - Pobazgrał coś na elektronicznym notatniku złotym rylcem. - Próbowałaś zdobyć informacje z radzieckiej bazy danych?

- Ich komputer jest stale zepsuty.

- Typowe. Przystań jachtowa Hung Hing? Znam jednego z dyrektorów. Zadzwoń do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem.

Lesia dopiła kawę. Wstała, pocałowała Charlie'ego w policzek i włączyła klimatyzację w swoim kostiumie, żeby zdążył się ochłodzić, zanim wyjdzie z budynku.

- Dziękuję, Charlie, Kocham cię.

Charlie obserwował wspaniałą sylwetkę w obcisłym kostiumie.

- Leso, mój aniele - powiedział w zadumie - gdyby tylko była to prawda, a nie zwykły żarcik.

24.

Sammy Lunn odczekał dziesięć minut od chwili, kiedy Lesia wsiadła do taksówki, zanim wszedł do hotelowego foyer z taką nonszalancją, jakby całe to przedsiębiorstwo było jego własnością. Ubrany był w wytworny garnitur marengo, co zawsze dawało dobre rezultaty w kontaktach ze służbą hotelową. Miał pogodny wyraz twarzy, podchodził do recepcji niemal tanecznym krokiem.

- Zatrzymała się u was panna Lesa Wessex - poinformował recepcjonistę. - Moja dobra znajoma. Chciałbym posłać jej kwiaty i byłbym wdzięczny za podanie mi numeru jej pokoju. - Miał w kieszeni banknot o wysokim nominale, na wypadek gdyby się to okazało konieczne. Na szczęście nie zaszła taka potrzeba, mógł więc w ten sposób uzupełnić swoje zarobki. Oczywiście, jedynie wtedy kiedy misja się powiedzie. Jeżeliby coś się nie powiodło, lepiej było wyznać to szczerze Hugonowi Sukarno. Podziękował recepcjoniście za informację i wyszedł z hotelu wesoło pogwizdując.

Wrócił po dwudziestu minutach w zupełnie innym przebraniu, ściskając w ręku niewielką skrzynkę z narzędziami. Miał na sobie czerwony kombinezon i czapkę z daszkiem używaną przez pracowników konserwacji urządzeń przeciwpożarowych i zabezpieczających. Miał nawet na piersi znaczek identyfikacyjny z fotografią. Tym razem pojechał windą na najwyższe piętro i poszukał kierownika piętra, który właśnie czytał gazetę w swoim biurze wielkości szafy.

- Służba Ochrony Przeciwpożarowej - zaanonsował. - Przyszedłem wymienić wykrywacz dymu w łazience apartamentu trzydzieści-dwanaście.

- Te kontraktowe firmy - mamrotał niechętnie kierownik piętra, prowadząc go przez wyłożone dywanami korytarze. - Chodzi o to, że muszę być przy tym, jak będziesz to robił.

- Nie ma sprawy - oświadczył pogodnie Sammy. - To zajmie tylko kilka minut.

Kierownik piętra włożył namagnetyzowaną kartę w zamek drzwi pokoju Lesy i otworzył je. Bez zainteresowania przyglądał się, jak Sammy, stojąc na stołku w kabinie prysznic, wykręca wykrywacz dymu z fałszywego sufitu łazienki. Sammy zręcznie rozłączył przewody alarmowe i wyjął ze swojej skrzynki z narzędziami nowy wykrywacz.

- Nowy model - wyjaśnił. - Znacznie bardziej niezawodny. Wkrótce wymienimy wszystkie wykrywacze.

Sammy nie kłamał mówiąc, że to nowy model. Było to bowiem coś więcej niż popularny wykrywacz dymu; poza wykrywaniem dymu urządzenie to pełniło wiele niezwykle funkcji. Szklany słupek w środku, nie większy od paznokcia, był miniaturową chirurgiczną kamerą telewizyjną Panasonic wyposażoną w obiektyw szerokokątny. Część urządzenia, niewidoczna pod szkiełkiem po zainstalowaniu, składała się z nadajnika telewizyjnego UHF o małej mocy. Wielką zaletą owego urządzenia polegała na tym, że uruchamiało je sztuczne światło, działało więc tylko wtedy, kiedy ktoś zapalił światło w łazience, co znacznie przedłużało życie baterii. Wykrywacz urządzeń podsłuchowych mógł wykazać obecność nadajnika jedynie przy zapalonym świetle. Moc wyjściowa nadajnika wynosiła zaledwie czterdzieści miliwatów, co nie wystarczało do transmitowania obrazu poza obręb pokoju, tym bardziej że antena znajdowała się w ograniczonej przestrzeni za fałszywym sufitem łazienki; potrzebny był więc przekaźnik o większej mocy na balkonie, gdyby tylko udało się Sammy'emu taki przekaźnik zainstalować.

Sammy dokręcił śruby, zszedł ze stołka i wsunął przekaźnik do rękawa kombinezonu, w momencie, gdy wkładał narzędzia z powrotem do skrzynki. Wyprostował się i obdarzył kierownika piętra promiennym uśmiechem.

- W porządku. Wszystko skończone.

Wychodzili już z pokoju, kiedy Sammy wydał przeciągły gwizd i powiedział:

- Hej, co za wspaniały widok! Czy mógłbym popatrzeć? - Zanim kierownik piętra zdążył zaproponować, Sammy przeszedł przez pokój. Rozsunął drzwi prowadzące na balkon. Jego wzrok błyskawicznie zarejestrował skrzynki z hibiskusem i uznał je za odpowiednie miejsce. - To się z niczym nie da porównać - powiedział zachwycony, wychodząc na balkon i wpatrując się w zarysy budowli na wzgórzu Wiktorii widoczne na horyzoncie.

- Idziemy! Mam ważniejsze sprawy na głowie niż oglądanie widoków - mamrotał poirytowany kierownik piętra.

Sammy błyskawicznym ruchem umocował przekaźnik w miękkiej ziemi jednej z doniczek. Odwrócił się rozpromieniony.

- No dobrze, wszystko gotowe. Możemy iść.

25.

Z biura Hugona Sukarno na ostatnim piętrze eleganckiego budynku rozciągał się jeden z najwspanialszych widoków na Wiktorię i Kowloon.

Sukarno mógł obserwować stąd poruszenia swojej floty handlowej. Był szczupłym, przystojnym, ciemnoskórym Indonezyjczykiem tuż po pięćdziesiątce. Miał na sobie luźne spodnie i golf.

Sammy niespokojnie obserwował swojego szefa, który nastawiał stu pięćdziesięciomilimetrowy teleskop na hotel Waterfront Sheraton oddalony o pięć kilometrów.

- Co ona teraz robi, szefie?

Miniaturowe silniczki w sztucznych rękach Sukarno zawarczały, kiedy regulował ostrość teleskopu. Mógł robić bardzo wiele rzeczy tymi swoimi rękami, mógł nawet posługiwać się pałeczkami.

- Ciągłe rysuje - powiedział Sukarno, nie odrywając wzroku od teleskopu.

Przed czterdziestu laty jego rodzice przybyli do Hongkongu jako nielegalni imigranci. Ojciec był dyrektorem produkcji w firmie Jakarta Electronics. Jego surowy i wymagający stosunek do syna - na każdego dolara, który trafiał do jego kieszeni, Hugo musiał zapracować, i to ciężko - obudził w chłopcu dwie przemożne ambicje: robić pieniądze, prawdziwe pieniądze, i przewyższyć ojca.

Nieustanne zrzęczenia ojca na temat kosztów pozbywania się toksycznych odpadów skłoniły młodego Sukarno do zakupu sampana ze starym, przyczepianym do burty silnikiem Envirude. W ten sposób sam zabrał się do wywożenia baryłek niebezpiecznych odpadów toksycznych z zakładów w Kowloonie. Opłaty pobierane przez Sukarno były o połowę niższe od cennika legalnych przedsiębiorstw zajmujących się odpadami. Na początek zabierał jedną baryłkę ukrytą pod sieciami rybackimi, aż zarobił dosyć pieniędzy, by kupić motorową dżonkę. Dotychczas nie miał pojęcia, jakie chemikalia pozbawiły go rąk. Żółtawy muł wydostał się z zardzewiałej baryłki, którą przetaczał po pokładzie. Utratę rąk w jakiś sposób rekompensował mu wyjątkowy talent do interesów. Na przełomie wieku był właścicielem (za pośrednictwem towarzystw dzierżawczych, które zresztą też do niego należały) floty

handlowej, przynoszącej zyski zupełnie nieproporcjonalne do tonażu. Sukarno zagwarantowywał sobie lojalność kapitanów i załóg, płacąc im hojnie i robiąc ich współwłaścicielami statków. Sammy zajmował się tymi, którzy nie wykazywali pełnej lojalności.

Statki Sukarno działały według prostej metody: w jednym porcie brały ładunek odpadów, w drodze do następnego pozbywały się go i w nowym porcie gotowe były do przyjęcia legalnego ładunku. Należąca do Sukarno firma z siedzibą w Londynie wystawiała rachunki i odpowiednie zaświadczenia związane z pozbywaniem się odpadów. Był to interes idący w miliardy dolarów, lecz ostatnio systematycznie rujnowały go dowody dostarczane przez wysoką, piękną dziewczynę o rysach Euroazjatki, która na lewym przedramieniu miała wytatuowany półksiężyc.

- Weszła do pokoju - oznajmił Sukarno, odrywając wzrok od teleskopu.

Sammy włączył telewizor i nastawił go na ten sam kanał, na którym pracował przekątnik podrzucony do hotelu przed dwiema godzinami. Współosiowy kabel prowadził od telewizora do wiązkowej anteny przyczepionej do balustrady balkonu i znajdującej się na jednej linii z hotelem. Obaj mężczyźni z napięciem wpatrywali się w błyszczący ekran. Upłynęło kilka minut.

- Szefie, mówię panu, że to wszystko niepotrzebne. To musi być ona. Dokładnie tak, jak mówił sędzia. Wzrost, wygląd, wszystko.

Sukarno skinął głową.

- Na pewno masz rację. Sammy, mam do ciebie pełne zaufanie. Ale znasz mnie już chyba na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że lubię mieć stuprocentową pewność, że wybrałem dobre rozwiązanie danego problemu. A przy rozwiązaniu tego konkretnego problemu chciałbym mieć sto dziesięć procent pewności.

Ekran telewizyjny nagle zamigotał, rozjaśnił się, po czym ukazał się na nim dziwnie zniekształcony, kolorowy obraz hotelowej łazienki oglądanej z góry. Szerokokątny obraz przypominał lustrzane odbicie na zewnętrznej stronie łyżki do zupy, tylko że był wyraźniejszy i bardziej szczegółowy. Rejestrująca lampka magnetowidu włączyła się automatycznie.

- Sammy, czy będziemy mieli dźwięk?

- Nie, szefie. Tylko obraz.

Obaj mężczyźni w milczeniu obserwowali uroczą młodą kobietę w jedwabnym szlafroku, która pojawiła się tuż przed kamerą. Papierowymi serwetkami starannie wytarła makijaż, zanim rozpięła włosy. Opadły na ramiona cudowną hebanową kaskadą.

- Piękna, prawda, szefie?

Sukarno skinął głową.

- Tak, Sammy, miałeś rację. Naprawdę bardzo piękna. A także niezwykła.

- Dlaczego, szefie?

- Nie patrzy do lustra. Kobieta w zaciszu swojej łazienki nie używająca lustra. Uważam, że to bardzo dziwne.

Sammy nie odrywał wzroku od ekranu. Obserwowanie kobiety, która nie miała pojęcia, że jest obserwowana, bardzo go podniecało seksualnie. To podniecenie wzrosło, kiedy Lesa rozwiązała szlafrok i zsunęła go z ramion. W chwili gdy odwróciła się w kierunku drzwi, pojawiły się na sekundę jej oszłamiające piersi, nie było jednak nic oszłamiającego w tym, co za chwilę obaj mężczyźni ujrzeli z całą dokładnością: tatuaż na lewym przedramieniu widoczny był przez kilka sekund, kiedy dziewczyna wieszała szlafrok, potem wyjęła z jego kieszeni Klipsofon i postawiła na toaletce.

- Lewa górna szuflada mojego biurka - powiedział spokojnie Sukarno.

Sammy przeszedł po grubym, włochatym dywanie, nie odrywając wzroku od ekranu. Otworzył szufladę i wyjął plik banknotów.

- Sammy, chyba nie muszę ci mówić, na co masz to wydać. Sammy uśmiechnął się.

- Nie, szefie.

- Po wykonaniu roboty czeka na ciebie druga połowa.

26.

Klipsofon zadzwonił, kiedy Lesa suszyła się w strumieniu ciepłego powietrza, płynącego przez kratki w kabinie prysznic. Dzwonił Darryl.

- Cześć, Lesa. Mam aktualne położenie jachtu.

- Chwileczkę, Darryl. - Lesa wyszła z łazienki, nakładając szlafrok. Usiadła na łóżku. - W porządku, mów dalej.

- Radziecki komputer z bazą danych rejestracji statków jest dalej nieczynny, więc nie dowiedziałem się niczego o właścicielach statku, ale przed dziesięcioma minutami odnalazłem go na zdjęciach ze SPOT-a 10. Dalej zmierza na wschód, ale po drodze trochę zmienił kurs. Chyba płynie na Kuro.

Ta nazwa wydawała się znajoma. Coś o tym czytała w „New Scientist”.

- Kuro? Co to takiego?

- Wulkaniczna wysepka około tysiąca mil niemal w prostej linii na wschód od Hongkongu. Jacht płynie z szybkością około dwudziestu węzłów, więc pewnie dopłynie tam

jutro koło północy twojego czasu.

- A co się tam odbywa na tej wyspie?

- Ma być siedzibą dziesięciometrowego, wielolustrowego teleskopu, który Sowieci budują od jakichś osiemnastu lat.

Lesa poczuła lodowaty dreszcz. Masakra jej rodziny wydarzyła się osiemnaście lat temu. Znów ożyły w pamięci te straszliwe chwile, kiedy Neti usiłowała uciec z motorowego jachtu.

- Dziękuję, Darryl - powiedziała spokojnie. - Postaraj się zdobyć jak najwięcej informacji o Kuro i przyślij mi faks.

Wyszła z powrotem na balkon. Po wzięciu prysznicą czuła się lepiej, zresztą upał popołudnia trochę się zmniejszył, kiedy słońce zaczęło chylić się w stronę wyspy Lantau. Lesa podjęła szkicowanie zarysów Hongkongu na tle nieba, ale palce jej, zreżnięte zacięciem drapacze chmur, pracowały same, bez pomocy mózgu. W końcu i one przestały się poruszać, a Lesa patrzyła na drugą stronę przystani nie widzącym wzrokiem. Nie starała się stłumić przykrych wspomnień, byłoby to zdradą kochanych osób.

Dźwięk Klipsofonu przerwał ten kolorowy film, jaki rozwijał się w jej umyśle.

- Leso, mój aniele - zaczął wylewnie Charlie Foy. - Musiałem się trochę pogimnastykować dla ciebie. Opłaty za kotwiczenie „Rasputina” w przystani jachtowej wnosi Radziecka Akademia Astrofizyki z konta w Manili. „Rasputin” odwiedza Hongkong mniej więcej od osiemdziesiątego piątego roku, zwykle kapitanem jest niejaki Diem Sok. Radziecki paszport. Nie ma zwykłego telefonu ani Klipsofonu zarejestrowanego na to nazwisko, a numer Klipsofonu „Rasputina” jest zastrzeżony. Przykro mi, skarbie, ale to wszystko, co udało mi się wygrzebać.

- Wspaniale, Charlie - powiedziała Lesa, myśląc intensywnie. - Jesteś cudowny. Nie wiem, jak ci się odwdziczę.

- Mam na ten temat kilka pomysłów, mój aniele, ale obawiam się, że każdy z nich byś odrzuciła.

Lesa roześmiała się uprzejmie i raz jeszcze podziękowała Charlie'emu. Po skończeniu rozmowy dalej siedziała zupełnie nieruchomo. Uwagę jej przykuł klucz żurawi przelatujący w luźnej formacji w kierunku stawów rybnych Nowych Terytoriów. Ich skrzydła poruszały się bez wysiłku w złotej poświacie zachodzącego słońca.

- Neti, już się zbliżamy - szepnęła Lesa do pełnych wdzięku ptaków. - Długo to trwało, ale już prawie dobiegamy końca.

CZEŚĆ CZWARTA

LESA I HARRY

Tymczasem czas ucieka, ucieka, by nigdy nie powrócić.

Wergiliusz, Georgiki

1.

Hongkong

Pokój Harry'ego Dysana w hotelu Waterfront Sheraton nie był tak luksusowy jak apartament Lesy cztery piętra wyżej. Jedynym przyjemnym widokiem w tym pokoju było odbicie Harry'ego, który właśnie podziwiał się w łazienkowym lustrze. Pokrzepił się snem po długim locie, wziął prysznic i ubrał się w rujnująco kosztowny tropikalny garnitur od Headsa, z białego węglowego włókna Drexon, które zdawało się równie niezniszczalne jak atrakcyjność jego właściciela, tak w każdym razie myślał Harry. Odpowiednio dobrane, lekkie buty *chukka* - naprawdę wygodne, w przeciwieństwie do pantofli włoskich - od Doddsa i nienaganna, nowa koszula firmy Joe Moran dopełniały całości.

Zatka ją z wrażenia, Harry, przemawiał do swojego odbicia w lustrze, aplikując ostatnie krople wody po goleniu *Monsieur* firmy Rochas. Będzie miękka jak wosk w twoich rękach.

Zadowolony, że udało mu się osiągnąć stan niemal kompletnej doskonałości za pomocą szczotki do włosów, zadzwonił na wewnętrzny numer Lesy Wessex i poinformował ją, że przybył, i w związku z tym czeka ją niewątpliwa przyjemność zjedzenia śniadania w jego towarzystwie. Podała mu numer pokoju i poprosiła, żeby od razu wjechał na górę.

- Drzwi będą nie zamknięte, a ja będę na balkonie, więc może pan wejść bez pukania, panie Dysan.

Harry maszerował żwawym krokiem po korytarzu, a krok ten stał się jeszcze żwawszy, kiedy Harry zobaczył własne odbicie w dużym lustrze. Znalazł pokój Lesy Wessex i otworzył drzwi. Koronkowe firanki wydymały się nad rozsuwanymi drzwiami na balkon. Harry skierował się w tamtą stronę, przepowiadając sobie dowcipne powitanie, które natychmiast wyleciało mu z głowy, kiedy stanął twarzą w twarz z Lesą.

Żaden hologram nie mógł oddać sprawiedliwości owemu uśmiechniętemu zjawisku, które na jego widok podniosło się z krzesła i podało mu rękę. Była niemal tego samego wzrostu co Harry, co go zaskoczyło, czarne jak węgiel włosy były proste i tworzyły

doskonałą oprawę dla euroazjatyckich rysów, brwi w kształcie idealnie zarysowanych półkoli nadawały oczom wyraz wiecznego zapytania, jakby lekko kpiący. Lesa miała na sobie zapięty pod szyję jedwabny szlafrok, który przesadnie podkreślał jej wzrost. Kiedy podała Harry'emu rękę, jej palce wydawały się wyjątkowo delikatne, jakby mogły się złamać pod najmniejszym naciskiem.

- Pan Dysan? Witam pana. Jestem Lesa Wessex. Proszę, niech pan siada.

- Miło mi panią poznać, panno Wessex - wymamrotał Harry. Siadając na krześle, które podsunęła mu Lesa, kopnął niezręcznie wózek ze śniadaniem.

- Kawa?

- Bardzo proszę. Czarna, bez cukru.

Głębokie, czarne oczy wpatrywały się w Harry'ego podczas wstępnej wymiany zdawkowych dowcipów przy kawie. Miał nieprzyjemne uczucie, że ta urocza istota bawi się nim, że czyha na fałszywy krok, na nieodpowiednie słowo, żeby się na niego rzucić.

- Oczywiście - powiedziała ostrożnie Lesa - zainteresował mnie ćwierćmilionowy kontrakt za trzy tygodnie pracy, o którym pan wspomniał.

- Taką właśnie sumę mamy na myśli, panno Wessex.

- Ale rozczarowało mnie to, że pana nie zainteresowała moja propozycja lunchu w klubie Volvo.

Harry uśmiechnął się.

- To chyba dałoby się naprawić, panno Wessex.

- Bardzo wątpię, panie Dysan.

Jej spokojny, rzeczowy ton zadźwięczał ostrzegawczo w uszach Harry'ego, jednak odczucie to niwelował zyczliwy uśmiech Lesy.

- Tak? A to dlaczego?

- Volvo to nocy klub. Nie można tam zjeść lunchu.

Harry roześmiał się.

- Pewno jestem tu za krótko, by chwalić się znajomością Hongkongu.

- Zwłaszcza że przyjechał pan późno w nocy i zatrzymał się w tym hotelu. Sprawdziłam w recepcji, panie Dysan.

Harry poczuł, że jego rozbrajający uśmiech jest bezużyteczny wobec tej kobiety. Jej czarne oczy atakowały go niby bliźniacze lufy nuklearnego czołgu Eisenhower.

- Prawdę mówiąc, od chwili gdy pan zadzwonił, panie Dysan, sprawdziłam kilka rzeczy. Na przykład, dowiedziałam się od Arnolda Saltera z Agencji Ochrony Środowiska, że wymusił pan na nim wyjawienie mojej tożsamości. Federalna Komisja Łączności nie okazała

się równie dla mnie pomocna, ale zdołałam się dowiedzieć, że jedynie w wyjątkowych przypadkach ignoruje się polecenie przełączania rozmów kierowanych na numer Klipsofonu. Kiedy dzwonił pan do mnie wczoraj, opóźnienia w czasie pozwoliły mi się zorientować, że połączenie odbywało się za pośrednictwem dwóch satelitów, co oznaczało telefon międzykontynentalny. Prawdopodobnie dzwonił pan ze swojego domu na Florydzie. Czy mam rację?

Harry potulnie skinął głową. Czarne oczy prześwidrowywały go na wylot.

- Ma pani rację, panno Wessex.
- A więc dlaczego starał się pan wprowadzić mnie w błąd?
- Doskonale pani zaciera ślady, panno Wessex.
- Jednak pan mnie odnalazł. Gratuluję. Ale po co?
- Musiałem się z panią zobaczyć.
- No więc się widzimy. Dla kogo pan pracuje?
- Tego jeszcze nie mogę wyjawić.

Lesa wstała z krzesła i wyciągnęła rękę.

- Do widzenia, panie Dysan.

Harry również się podniósł.

- Bardzo mi pani utrudnia sytuację, panno Wessex.
- Może chciałby pan, żebym ją panu ułatwiła?

To dziwne pytanie zaskoczyło Harry'ego. Niepewny, co ma odpowiedzieć, wybąkał:

- Tak, naturalnie.

Poruszenia Lesy były zbyt szybkie, by mógł zauważyć, kiedy się na niego rzuciła. Zanim zdążył odzyskać równowagę, obróciła go w koło i wrzuciła do sypialni. Zwaliło się na niego coś, co wydawało się równie ciężkie jak sześćdziesięciopiętrowy Ludowy Bank Chin. Na siatkówkach oczu eksplodowały gwiazdy, kiedy trzasnęła głową w dywan, a skroń przeszył mu jakiś szpikulec do mięsa. Usiłował uwolnić się od ciężaru, który przykuwał go do podłogi, ale nie mógł się poruszyć. Brakowało mu kondycji, oddechu, praktyki, szczęścia. Towarzyszył mu jedynie ból, jaki odczuwa się mając szyję w kleszczach, a zęby wbite w dywan, żeby móc złapać oddech.

- Jestem pewna, że teraz ułatwiłam panu mówienie - poinformował go głos Lesy. - Może pan albo podyktować mi swój szczegółowy testament, który zapamiętam i przekażę rodzinie, albo odpowiadać na moje pytania. Co pan wybiera?

- Odpowiadać na pytania - wybełkotał Harry. Zabrzmiało to jak „bania”, ponieważ musiał mówić z ustami w dywanie.

- Słucham?

- Odpowiadać na pytania, do cholery!

Przekręciła mu głowę na bok, umożliwiając obserwowanie z bliska wewnętrznej strony kobiecego uda, którego doskonałość zapierała dech.

W normalnych warunkach uznałby, że taki widok równa się przebywaniu w raju. W obecnych warunkach jednak zgodna opinia jego wszystkich zmysłów brzmiała, że znajduje się w piekle.

- Pana prawdziwe nazwisko?

Straszliwy ucisk na skroń zelżał na tyle, że mózg zdolny był do minimalnych działań.

- Harry Dysan to moje prawdziwe nazwisko. Panno Wessex, pani mnie zabija!

- Zgadza się. Dla kogo pan pracuje?

- Dla rządu Stanów Zjednoczonych.

- Dla jakiego urzędu?

Normalnie Harry nie udzieliłby tej informacji aż do śmierci. Okoliczności jednak przekonywały go, że ten moment właśnie nadszedł.

- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego - wykrztusił.

Nagle nacisk stał się równie silny jak poprzednio. Wybuchwały mu przed oczami całe galaktyki gwiazd, pełne supernowych.

- Niech pan mówi prawdę, panie Dysan, bo inaczej będę musiała sprawić panu trochę bólu.

- Do jasnej cholery, to jest prawda!

Nacisk nagle ustał, co sprawiło mu niewypowiedzianą rozkosz. Straszliwy ciężar przemieścił się, Harry został obrócony na plecy. Okropny szpikulec do mięsa niespodziewanie zaczął się od nowa wbijać w jego skroń, ale z mniejszą siłą. Harry spojrzał w wielkie, okrągłe oczy Lesy Wessex obramowane kruczoczarnymi rzęsami. Siedziała na nim okrakiem, jej kolana wbijały mu się boleśnie w bicepsy. Jedwabny szlafroczek rozpiął się, pod spodem widać było czarną koronkową bieliznę. Lesa oddychała swobodnie, palcami i kciukiem wyciągniętej ręki lekko przytrzymywała jego skroń.

- Agencja Bezpieczeństwa? - nalegała.

- Na miłość boską, powiedziałem prawdę!

Przez moment Lesa wydawała się niezdecydowana. Stała z ręcznikiem na nogi i odsunęła się zapinając szlafrok. Upłynęło trochę czasu, zanim Harry zorientował się, że może się poruszyć.

- W porządku, Harry, możesz już wstać.

Niezdarnie podniósł się i z zaniepokojeniem spojrzął na Lesę. Niespodziewanie uśmiechnęła się, cudownym, promiennym uśmiechem, a jej zachowanie było pełne ciepła i wdzięku.

- Widzisz, Harry? Ułatwiłam ci mówienie, prawda?

- Niewątpliwie - przyznał drżącym głosem. - Kto cię nauczył tej sztuczki?

- To długa historia, Harry. Mam nadzieję, że mogę się tak do ciebie zwracać? Ty też mów mi po imieniu. Może skończymy śniadanie i pogadamy o interesach?

Harry pozwolił się zaprowadzić z powrotem na krzesło. Obserwował niepewnie Lesę, kiedy smarowała masłem ciepłą bułeczkę przeznaczoną dla niego.

- Harry, przykro mi z powodu tego, co zrobiłam, ale musiałam mieć pewność. To brzmi melodramatycznie, ostrzeżono mnie jednak, że mogę być w niebezpieczeństwie. - Usiadła naprzeciwko Harry'ego i założyła nogę na nogę, przez co znowu na moment odsłoniła uda, tym razem w okolicznościach, które pozwalały docenić ich urodę. - A więc, czy teraz masz ochotę powiedzieć mi wszystko?

Harry uśmiechnął się.

- Chyba nie mam wyboru. Dobrze, zacznę od początku.

Mówił przez dziesięć minut. Zaczął od tego, jak oglądał PacSat 19, a skończył na zaniepokojeniu wyrażonym przez Gusa Whittakera, chociaż nie wymienił nazwiska generała.

- Z jakiego powodu ta wielka tajemnica? - chciała wiedzieć Lesa, kiedy już skończył swoją opowieść. - Jeśli Rosjanie skonstruowali jakiś rodzaju neutronowego granatnika czy coś takiego, to należy zakładać, że wiedzą o jego istnieniu.

- To nie muszą być Rosjanie - odpowiedział Harry. - To mogą być Chińczycy. Ktokolwiek posiada to urządzenie, jest w doskonałej sytuacji przetargowej. Jeśli jedna strona będzie miała tego rodzaju parasolową osłonę, może to zakłócić cały delikatny proces rozbrojenia i cofnąć go o dwadzieścia lat. Musimy mieć pewność, zanim nadamy sprawie jakikolwiek bieg. Wiemy, że istnieje wiązka. Moje zadanie polega na wytypowaniu prawdopodobnych miejsc wystrzelenia i przekazaniu sprawy, komu należy, w celu przeprowadzenia dokładnego śledztwa. Nic więcej. To bardzo delikatna sytuacja, Leso.

Lesa wytarła palce w serwetkę.

- Wydaje się fascynująca.

- Podejmiesz się współpracy?

Lesa zamyśliła się.

- Ćwierć miliona dolarów za pracę. Tak?

- Tak.

- I dodatkowe sto dwadzieścia pięć tysięcy, jeśli poszukiwania okażą się skuteczne.

Harry milczał chwilę, by zachować twarz.

- W porządku.

- A więc zawarliśmy umowę - powiedziała Lesa podając mu rękę. Nie mógł uwierzyć, że te delikatne palce potrafiły zadawać taki ból.

- Zgoda.

- Ale ja mam tutaj bardzo ważną sprawę, którą muszę najpierw doprowadzić do końca. - Wzięła do ręki wielką kopertę z hotelowym nadrukiem i wyjęła zdjęcie satelitarne wyspy Kuro, przesłane faksem przez Darryla. W kopercie były także liczne artykuły na temat wyspy, które Darrylowi udało się wyszukać. - To jest wyspa Kuro. Słyszałeś coś o niej?

Nerwy Harry'ego uspokoiły się na tyle, by mógł się skoncentrować. Nie ulegało wątpliwości, że to niezwykła kobieta.

- Tak, to chyba najczęściej fotografowana wyspa na Pacyfiku. Rosjanie zbudowali tam swój wielolustrowy teleskop. - Wskazał palcem. - To musi być siedziba teleskopu.

- Harry, zanim zacznę pracę nad twoim projektem, chciałabym odwiedzić wyspę Kuro.

- Po co?

Lesa wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że opracowali jakieś techniki zdjęciowe, które mogłyby się przydać mojej firmie. Nie wiem, jak się tam dostać. Wyspa leży tysiąc mil na wschód stąd. Najbliższy lot czarterowy z Hongkongu przewidziany jest dopiero za miesiąc. Linie Lotnicze Kowloonu mają tam zawieźć grupę brytyjskich i francuskich astronomów.

- A wynajęcie prywatnego samolotu?

Ironiczny śmiech Lesy nagle uświadomił Harry'emu, jak dziwnym i wspaniałym kompanem jest ta niezwykła kobieta. Nie było już śladu drapieżnego rysia, który zaledwie przed kilku minutami kazał mu drzeć o własne życie.

- Dzwoniłam do nich rano - wyjaśniła Lesa. - Jedyne wolne loty mają jutro. Dwudziestomiejscowy odrzutowiec Skyliner, który zawiezie mnie na Kuro i z powrotem za niebagatelną sumę sześciu tysięcy dolarów amerykańskich plus dwieście dolarów za każdą godzinę postoju.

- Myślę, że zmieściłoby się to w moich kosztach podróży - skomentował Harry.

Lesa zmarszczyła brwi, domyślając się, co za chwilę nastąpi.

- Co masz na myśli?

Harry uznał, że nadeszła pora, by przejąć kontrolę nad sytuacją. Wstał.

- Przebierz się, Leso. Nigdy nie byłem w Hongkongu, więc może zamiast dzwonić,

złożymy wizytę w Liniach Lotniczych Kowloonu.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie Lesa. - Nie potrzebuję żadnej jałmużny. - Miała na myśli to, że nie chce niczego zawdzięczać Harry'emu Dysanowi.

Harry udał zaskoczenie.

- Kto mówi o jałmużnie? Zamierzam wynająć samolot na Kuro, żeby się rozejrzeć po wyspie. Jeżeli na pokładzie jest miejsce, będę zaszczycony, jeśli zechcesz mi dotrzymać towarzystwa.

Przez sekundę Harry żałował, że zrobił tę nonszalancką uwagę, ale twarz Lesy rozluźniła się. Po chwili Lesa wybuchnęła śmiechem.

2.

Sammy Lunn dalej miał szczęście. W kasach Linii Kowloonu na lotnisku Kai Tak była szeroka lada wypełniona licznymi kolorowymi broszurami, które zawierały szczegółowe informacje o rozkładowych lotach helikopterów i małych samolotów w okolicy Hongkongu. Mógł więc bez wzbudzania podejrzeń przeglądać te broszury i podsłuchiwać Lesę Wessex i nieznajomego. Kiedy uświadomił sobie, że taksówka, za którą podązał na swoim skuterze, zmierza na lotnisko Kai Tak, zdenerwował się w pierwszej chwili, że nie zdąży wypełnić swego zadania. Teraz poczuł ulgę. Pan Sukarno byłby bardzo niezadowolony, gdyby wyjechała z Hongkongu.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - dobiegły go słowa kasjera, kiedy przeglądał broszury - ale mamy wolny samolot do wynajęcia dopiero jutro. - Urzędnik obrócił głowę, by sprawdzić wykres na ścianie. - Odrzutowiec Skyliner. Bardzo drogi. W piątek będziemy mieli...

- Biorę - przerwał Harry, podając kasjerowi amerykańską kartę kredytową. - Chcemy lecieć na Kuro.

Amerikanin, myślał Sammy, zastanawiając się, kim jest towarzyszy Lesy.

- A, tak, Kuro. Wielki teleskop - kiwał głową kasjer, wkładając kartę do elektronicznego czytnika i obserwując ekran, podczas gdy maszyna wchodziła w system połączeń satelitarnych. - Odlot i przylot w ciągu dnia. Właściciele teleskopu nie zezwalają na nocne loty. Gorące gazy z odrzutowca powodują zakłócenia w powietrzu.

- Nie ma sprawy.

- Musimy też uzyskać wcześniejszą zgodę na wizytę, w razie gdyby dokonywali kalibrowania. Ale zazwyczaj nie ma z tym problemu. Przy minimalnej stawce za

dwudziestoczerogodzinny postój, koszty wynajęcia samolotu plus podatek wynoszą jedenaście tysięcy pięćset dolarów USA, proszę pana. - Kasjer spojrzał pytająco na Harry'ego, trzymając palec nad klawiaturą komputera odczytującego kartę kredytową.

- W porządku - uspokoił go Harry, jakby wydawał takie sumy codziennie. Przycisnął palec wskazujący do tabliczki identyfikacyjnej na biurku kasjera.

Kasjer wystukał na klawiaturze odpowiednie informacje. Musiał poczekać pięć sekund na potwierdzenie sumy i sprawdzenie tożsamości Harry'ego.

- Wydaje się, że nie ma żadnych problemów. O której chciałby pan wystartować?

Harry spojrzał pytająco na Lesę. Sammy również zaryzykował spojrzenie na nią; niewiele kobiet potrafiłoby nosić obcisły kostium podróży w taki sposób. Bujna wyobraźnia Sammy'ego podsuwała mu liczne pomysły, jak połączyć konieczność zapracowania na obiecane wynagrodzenie z osobistą przyjemnością.

- Jak najwcześniej - powiedziała Lesa. - To może być długi dzień.

Sammy zauważył, że wygląda na poirytowaną. Czuł, że złości ją Amerykanin, który zachowuje się tak, jakby wszystko zależało od niego.

- Dziękuję panu - powiedział kasjer, wręczając Harry'emu potwierdzenie zamówienia lotu, które zeszło z drukarki, a także kartę kredytową Amex. - Proszę przyjść tu do kasy jutro o ósmej. Odlot o ósmej trzydzieści. Jestem pewien, że podróż będzie przyjemna. Skyliner jest bardzo nowoczesny, ma dopiero sześć miesięcy.

Harry podziękował kasjerowi i oboje z Lesą wyszli z biura. Sammy nie musiał iść za nimi. Znał już ich plany. Skończył przeglądanie broszur. Wykres na ścianie pokazywał dwie ostatnie litery tablicy rejestracyjnej jedyne samolotu typu Skyliner należące do Linii Lotniczych Kowloonu - Foxtrot Victor. Sammy odłożył broszury na stojaki i nie spiesząc się wyszedł z pomieszczenia kas. Miał przed sobą bardzo wypełniony dzień. Najpierw musiał zatelefonować.

3.

Strażnik odpowiedzialny za tereny, gdzie parkowano i konserwowano samoloty Linii Kowloonu, odebrał telefon. Numer, który ukazał się na ekranie, świadczył o tym, że dzwoniło z lotniska.

- Administracja - oświadczył krótko głos w słuchawce. - Czy Służby Ochrony Przeciwpożarowej wymieniły już uszkodzony wykrywacz dymu w toalecie?

Strażnik sprawdził w swoim dzienniku. Każdy wchodzący na teren był tam zapisywany,

z godziną przyjscia i wyjścia.

- Nic tu nie ma, jedynie nasi pracownicy.

Usłyszał w słuchawce stłumione przekleństwo.

- Cholerne prace zlecone. Dobra, damy im czas do północy. Proszę zapisać w dzienniku, że jeżeli nie zjawią się do tej pory, strażnik pełniący służbę ma powiadomić administrację Służby Ochrony Przeciwpożarowej. Uszkodzony wykrywacz dymu w toalecie. Zrozumiał pan?

Strażnik zapisał na elektronicznej tabliczce.

- Tak jest, zapisałem.

- Przekłęci podwykonawcy - usłyszał jeszcze w słuchawce, zanim ją odwieszono.

4.

Była jedenasta wieczorem, kiedy Sammy zatrzymał swoją furgonetkę przed wjazdem na tereny hangarów Linii Lotniczych Kowloonu. Wskoczył z samochodu i szybkim krokiem podszedł do dyżurki, zanim strażnik zdążył wyjść do niego. Miał na sobie ten sam kombinezon, którym się posłużył przy zakładaniu ukrytej kamery w pokoju hotelowym Lesy Wessex. Rozparł się ciężko na ladzie dyżurki, jakby miał za sobą męczący dzień. W ten sposób mógł rzucić okiem na ekrany telewizji przemysłowej stojące w dyżurce. Służbę pełnił inny strażnik, nie ten, z którym rozmawiał rano.

- Straż Ochrony Przeciwpożarowej - zaanonsował Sammy ziewając. - Macie gdzieś uszkodzony wykrywacz dymu.

- W toaletach - wyjaśnił strażnik, podnosząc głowę znad dziennika. Wskazał przez okno na niewielki budynek z cegły za grupą zaparkowanych samolotów.

- To tam. Powinien pan być tutaj dużo wcześniej.

- Niech pan nie zaczyna - powiedział Sammy, wpisując się do księgi. - Miałem straszny dzień. Furgonetka mi nawala. Ta cholerna ruina nie chce zapalić. Już najwyższy czas, żeby mi dali nową.

Strażnik pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Za godzinę byłby pan w kłopotcie. - Nacisnął guzik podnoszący szlaban i obserwował, jak Sammy wsiada do furgonetki. Silnik zapalił za trzecim podejściem, samochód dojechał do połowy oświetlonego terenu i zatrzymał się. Znowu ruszył po kolejnych trzech próbach. Z rury wydechowej wydobywały się kłęby dymu. Pojazd zatrzymał się znów obok odrzutowca Skyliner. Strażnik zachichotał, kiedy Sammy przestał grzebać w silniku i wściekłym krokiem

poszedł w kierunku toalet ze skrzynią narzędzi w rękę. Maskę samochodu zostawił otwartą. Normalnie strażnik nie zezwoliłby na parkowanie samochodu tak blisko samolotów, zwłaszcza jeśli samochód ograniczał mu widoczność i zasłaniał jedną kamerę, ale nie miał serca pójść za Sammym i kazać mu przestawić furgonetkę. Spojrzał na zestaw monitorów telewizyjnych i powrócił do czytania gazety.

Sammy odczekał w toalecie trzy minuty. Powrócił do furgonetki i udawał, że reperuje silnik. Wysmukła sylwetka odrzutowca Skyliner znajdowała się nie dalej niż o sześć metrów. Przez okna dyżurki widział, że strażnik czyta gazetę.

Bomba, którą Sammy zmajstrował w ciągu dnia, była wystarczająco mała, by zmieścić się w pięćdziesięciogramowym blaszanym pojemniku na tytoń; trzeba w nim było wykonać otwory, żeby detonator barometryczny mógł „oddychać”. Sammy wyciągnął blaszane pudełeczko z kryjówki pod maską furgonetki, zerwał ochronne opakowanie z taśm samoprzylepnych i rzucił się do Skylinera. Wszedł pod nos samolotu i sięgnął w ciemne zagłębienie komory przedniego koła, szukając palcami niewielkiej płaszczyzny, do której nie będzie dotykało koło po wciągnięciu. Po lewej stronie znalazł poziomy pręt wzmacniający, który wydawał się idealnym miejscem. Przyczepił bombę do górnej powierzchni pręta. Taśmy samoprzylepne zaskoczyły natychmiast, umocowując solidnie blaszane pudełko. Sammy wrócił do furgonetki, pogrzebał jeszcze trochę w silniku i opuścił maskę.

Pomachał z podziękowaniem strażnikowi, który otworzył mu szlaban, i odjechał. Miał wszelkie powody do zadowolenia z siebie, pokonał cały misterny system ochronny i skutecznie podłożył bombę zawierającą dwadzieścia gramów materiału wybuchowego Niroxal. Śmiercionośny materiał. Szybkość wybuchu dwanaście tysięcy metrów na sekundę. Dodatkową zaletą miejsca, w którym umieścił bombę, było to, że komora przedniego koła nie znajdowała się pod zwiększonym ciśnieniem. Kiedy samolot osiągnie wysokość piętnastu tysięcy stóp, daleko nad morzem, kontakty mieszków aneroidalnych zamkną obwód baterii, co uruchomi detonator. Dwadzieścia gramów Niroxalu wystarczy, by oderwać nos Skylinera i uszkodzić znajdujący się pod ciśnieniem kadłub.

Sammy uznał, że zarówno samolot, jak i osoby na pokładzie, nie mają żadnej szansy przetrwania podobnej katastrofy.

5.

Twarz Hugona Sukarno była kompletnie pozbawiona wyrazu, kiedy obserwował odlot odrzutowca Skyliner z lotniska Kai Tak. Ustawiał swój teleskop tak, żeby samolot znajdował

się w centrum pola widzenia. Silniczki w jego sztucznych rękach, uruchamiane przez system nerwowy, brzęczały cicho, zatrzymywały się i ruszały ponownie w odpowiedzi na sygnały dochodzące ze złośliwego mózgu.

Trzydziestosekundowe odstępy między startami na przeciążonym lotnisku oznaczały, że autobus powietrzny A300 zaczął przyspieszać, w momencie gdy opony Skylinera oderwały się od pasa startowego. Sukarno obserwował Skylinera do chwili, gdy samolot zrównał się z zatoką Causeway i skręcił na wschód, kierując się w stronę zatoki Clearwater. Oderwał oczy od teleskopu i spojrzał na Sammy'ego.

- Kiedy?

- Trudno przewidzieć, szefie - odpowiedział Sammy z absolutną pewnością siebie. - Kiedy tylko dojdą na wysokość piętnastu tysięcy stóp. Wszystko zależy od planu lotu.

6.

Morze Południowochińskie

Lesie nie odpowiadała sytuacja, jaką stworzył Harry Dysan. Błędem było to, że pozwoliła mu wynająć Skyliner. Przeklinała siebie w duchu za brak rozsądku, który sprawił, że Harry Dysan niejako przejął inicjatywę. Powinna była wynająć statek, podróż trwałaby dłużej, ale przynajmniej nie miałyby na głowie tego Amerykanina. Nienawidziła wszelkich form zależności od innych ludzi, chyba że były to osoby, którym ufała tak bezgranicznie jak rodzicom czy Darrylowi. Przynajmniej pojedyncze fotele po obu stronach centralnego przejścia w samolocie oznaczały, że Amerykanin nie mógł koło niej usiąść. Postara się go ignorować, bez uciekania się do ewidentnej nieuprzejmości.

Samolot przechylił się na lewe skrzydło niemal natychmiast po starcie. Ukazała się płatanina ponad dwustu podzwrotnikowych nefrytowych wysp, tworzących Hongkong. Lesa znała je wszystkie: Bluff Island, Joss House Bay, Basalt Island; znała każdy załom linii wybrzeża, każdą przystań, po tylu godzinach spędzonych przed ekranem gigantycznego monitora na farmie Whitefriars na przeglądaniu setek satelitarnych zdjęć morza.

Zgasły światła przypominające o zapięciu pasów. Harry zmienił miejsce i usiadł za nią.

- Z tej strony jest lepszy widok - zauważył pogodnie nad ramieniem Lesy. - Czy latałaś już kiedyś wynajętym odrzutowcem?

- Nie.

- Dziwne uczucie, prawda? Niby tak samo jak w wielkim odrzutowcu, tylko w miniaturze. Miniaturowe drzwi, miniaturowa kuchnia.

Urwał, kiedy otworzyły się drzwi od kabiny załogi i ukazała się w nich chińska stewardesa. Była maleńka jak figurynka z drezdeńskiej porcelany. Jej uśmiech robił wrażenie wymalowanego wraz z makijażem.

- Nawet stewardesa jest miniaturowa. Miejmy nadzieje, że drinki będą normalnych rozmiarów.

Chinka automatycznie sięgnęła po mikrofon i nagle uświadomiła sobie nonsensowność zwracania się przez mikrofon do dwójki pasażerów.

- Kapitan Elliot informuje, że nasz lot na Kuro potrwa dokładnie dwie godziny - powiedziała pogodnie. - Będziemy lecieli na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Jeżeli państwo chcą odwiedzić kabinę pilota, bardzo prosimy. A tymczasem, jeśli państwo czegokolwiek potrzebują, jestem do usług.

- Szkocka z wodą - powiedział Harry bez chwili wahania. - I mnóstwo lodu.

Lesia obróciła się na siedzeniu i spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Harry, tak od samego rana?

Harry uśmiechnął się.

- Moje ciało funkcjonuje jeszcze według czasu wschodnioamerykańskiego.

- Jeżeli tak będziesz pił, to twój zegar biologiczny przestanie chodzić przed czasem.

- Mówisz tak jak moja eks-żona.

*

W kabinie pilota miły, choć syntetyczny kobiecy głos informował kapitana Grahama Elliota, że kontrola ruchu lotniczego na obszar Oceanu Spokojnego załadowała nowy plan lotu w pokładowy komputer Skylinera. Czy kapitan mógłby się z nim zapoznać i potwierdzić? Na centralnym monitorze pokazał się tekst:

WYMAGANY KURS: 100 STOPNI. KURS AKTUALNY: 95 STOPNI.
WYMAGANY PUŁAP LOTU: 11. PUŁAP AKTUALNY: 07.

W odległości niecałego metra, niemal dokładnie pod nogami pilota znajdowała się zmyślna bomba wyprodukowana przez Sammy'ego. Spłonka w blaszanym pudełku składała się z miniaturowych metalowych mieszkań jak w harmonii. Powietrze wewnątrz mieszkań zamknięte było pod ciśnieniem atmosferycznym. Kiedy Skyliner nabierał wysokości, ciśnienie w komorze przedniego koła opadało, przez co mieszki rozciągały się zamykając w ten sposób przerwę między dwoma kontaktami elektrycznymi. W chwili startu owa przerwa wynosiła dwanaście milimetrów. Na aktualnej wysokości lotu Skylinera, wynoszącej siedem tysięcy stóp, zmniejszyła się do dziesięciu milimetrów.

Elliot trzykrotnie dotknął czujnika na ekranie, żeby go uruchomić. Ekran zmienił kolor

wskazując tym samym, że wprowadza się nowy kurs i wysokość. Moc Skylinera zwiększyła się o osiemdziesiąt pięć procent. Wolant samoczynnie przesunął się w kierunku pilota i Skyliner zaczął nabierać wysokości w systematycznym tempie dwustu stóp na minutę - prawdziwy horyzont i horyzont sztuczny wykazywały pięciostopniowe wychylenie na prawo.

Mieszki w bombie Sammy'ego zareagowały na zwiększoną wysokość, zmniejszając przerwę między kontaktami detonatora.

Elliot pilotował „bez używania rąk”. Urządzeniami kontrolnymi Skylinera zawiadywał system zarządzania lotem Sperry Avionics, co oznaczało po prostu automatycznego pilota. Tyle że dawny system autopilota dotyczył jedynie utrzymywania kursu, wysokości i szybkości, podczas gdy nowoczesny system zajmował się całym procesem prowadzenia samolotu do tego stopnia, że z kabiny pilota zniknęły konwencjonalne tablice przyrządów z poprzedniego stulecia, zastąpił je długi szereg monitorów ukazujących graficzne obrazy dawnych instrumentów, w momencie gdy było to niezbędne. Transpondery o potrójnej redundancji w samolocie utrzymywały stałe telemetryczne połączenie poprzez satelitę Nawigacji Powietrznej Pacyfiku z regionalnym ośrodkiem kontroli lotów w Manili. W wyniku tego wszystkie cywilne samoloty w regionie znajdowały się pod kontrolą komputerów ośrodka w Manili, choć pilot musiał potwierdzić wszystkie wymagane zmiany kursu. Piloci czuli się niepotrzebni. Jedynie w razie niebezpieczeństwa mógł Elliot przejąć całkowitą kontrolę nad samolotem, pociągając za czerwoną dźwignię umieszczoną w suficie kabiny pomiędzy jego siedzeniem a pustym siedzeniem drugiego pilota.

Skyliner osiągnął wysokość jedenastu tysięcy stóp i skręcił o pięć stopni, co ustawiło go na prawidłowym kursie. Wysokościomierz i wskaźnik skrętu nie były już dłużej potrzebne, toteż zniknęły z podstawowego ekranu lotu. Elliot zasiadł do swoich codziennych zmagania z krzyżówką w gazecie „South China Post”.

Przerwa między kontaktami detonatora bomby utrzymywała się w stałej odległości siedmiu milimetrów.

*

- Słuchaj - odpowiadała poważnie Lesa na pytanie Harry'ego. - To ty chcesz zobaczyć Kuro. Ja tylko się zabrałam na wolne miejsce. Pamiętasz?

- Zadałem ci po prostu uprzejme pytanie - powiedział dotknięty Harry.

- I otrzymałeś uprzejmą odpowiedź. Harry, tylko skończ z tą sprawą, poświęcę się całkowicie rozwiązaniu twojej zagadki... jeżeli oczywiście będę mogła.

Na to dziwne stwierdzenie Harry zmarszczył brwi.

- Nie będę ci przeszkadzał. Ale nie rozumiem.

- Mam tylko na myśli: jeśli będę wolna i będę mogła zająć się twoją sprawą, zrobię to.

- To nie ma sensu.

W odpowiedzi Lesa włożyła słuchawki, wybrała muzykę Wagnera z tablicy kontrolnej i odchyliła do tyłu siedzenie. Powiedziała, co miała do powiedzenia. Harry pocieszył się zamawiając u stewardesy z dreźnieńskiej porcelany kolejną whisky.

*

- Powitalny drink w przystani? - w słuchawkach Elliota brzmiał południowy akcent amerykańskiego kapitana. - Pięć liter, pierwsza m? W porządku, Kowloon Foxtrot Victor, pomyślimy o tym.

Elliot podziękował, przełączył radio i przysłuchiwał się rozmowom na liniach Quantas: spierano się o decyzję sędziego w ostatnim meczu krykieta. Zastanawiał się, czy nie wykorzystać ich do hasła dziesięć pionowo - tylko sześć liter, to nie powinno być za trudne dla Australijczyków - kiedy syntetyczny damski głos zażądał zmiany wysokości z pułapu jedenaście na dwanaście. Dwanaście tysięcy stóp. Elliot przesłał niezbędne potwierdzenie i Skyliner zaczął się wznosić o kolejnych tysiąc stóp. Stewardesa weszła do kabiny i usiadła na fotelu drugiego pilota.

- Dziwnie się lata jedynie z dwójką pasażerów - zauważyła.

- Nie wiesz, kim oni są?

- Nie mam pojęcia. Zrobisz mi jeszcze jedną kawę?

*

Harry ukradkiem obserwował profil Lesy. Jej twarz była absolutnie spokojna. Szczupłe ciało w szarym kostiumie podróżnym wyglądało cudownie. Tyle chciałby się o niej dowiedzieć. Zastanawiał się nad jej rezerwą, domyślał się, że płynęła z mechanizmów obronnych. Początkowo podejrzewał, że to wpływ mieszkania w Anglii, ale przypomniał sobie angielską sekretarkę, z którą miał krótki romans przed dwoma laty; seksualny apetyt tamtej dziewczyny był wprost przerażający. Anglicy i ich tak zwany chłód to bezpodstawne uogólnienie.

- W co się tak wpatrujesz? - zapytała zniecierpliwiona Lesa nie otwierając oczu

- W ciebie.

Tym razem otworzyła oczy. Zdjęła słuchawki i spojrzała pytająco na Harry'ego. Spodziewał się zalewu słów. Posłała mu w zamian porozumiewawczy uśmiech. Harry uznał, że nigdy jej nie zrozumie, nawet gdyby miał po temu okazję, co wydawało się mało prawdopodobne.

Skyliner zdrzął, kiedy natknął się na początki wyraźnych wirów powietrznych.

*

- Cholera!

Rzuciło niespodziewanie mocno. Stewardesa pobiegła do kuchni, wróciła z czystym ręcznikiem i podała go Elliotowi. Usiłował wytrzeć kawę, którą się oblał. Przy kolejnym wstrząsie złapała się za poręcz siedzenia Elliota.

- Chce pan jeszcze jedną, kapitanie?

- Nie. Spójrz tylko na ten burdel. - Podniósł wewnętrzny telefon i powiedział automatycznie: - Panie i panowie, tu kapitan Elliot. Wpadliśmy w wir powietrzny. To nie będzie trwało długo, ale lepiej żeby państwo powrócili na miejsca i zapięli pasy.

7.

Zachodni Pacyfik

Lesie zdarzyło się już kiedyś lecieć samolotem w czasie poważnych zakłóceń atmosferycznych, ale tym razem nie zdawała sobie sprawy z siły wirów, w jakie się dostali, ponieważ nie było innych pasażerów, których przerażone miny podkreślałyby grozę sytuacji. Spojrzała na szafkę umieszczoną nad głową i zauważyła, że pod wpływem silnych wibracji szczelnie dopasowane obramowanie drzwiczek zaczyna się odkształcać. Spojrzała na skrzydło - i to był błąd, wydawało się bowiem, że skrzydło się ugina.

*

- Zgodna opinia załogi brzmi, że chodzi o morwę - powiedział kapitan Pan Amu. - A co do turbulencji atmosferycznej, przyjąłem i zrozumiałem. Opinia mojej załogi brzmi, że gdybyś miał prawdziwy samolot, to może podaliby ci prawdziwy pułap lotu.

Elliot podziękował kapitanowi Pan Amu za opinie jego załogi i wyłączył się z tej długości fal.

Obrazy instrumentów na głównym ekranie kontrolnym stały się większe, żeby ułatwić odczyt podczas straszliwych wstrząsów. Podobną sytuację Elliot widział dotychczas jedynie na symulatorze. Czujniki samolotu przekażą drogą radiową do komputerów ośrodka kontroli lotu informację o turbulencji, w jaką dostał się Skyliner, a komputery za moment zarządzą zmianę wysokości. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Turbulencja nie uszkodzi samolotu, nie ma jednak powodu wystawiać kadłuba na takie wstrząsy, jeżeli można tego uniknąć. Elliot wziął swój mikrotelefon i włączył się na taką częstotliwość fal, która pozwoli mu porozmawiać z żywą ludzką istotą. Wymamrotał przekleństwo, kiedy okazało się, że w wyniku wstrząsów wybrał złą częstotliwość i musi wszystko zaczynać od początku.

- Dzień dobry, Manila. Tu Foxtrot Victor Linii Kowloon. Lot czarterowy jeden-dziewięć-pięć prosi o pozwolenie na zmianę planu lotu. Koniec.

- Dzień dobry, Foxtrot Victor - odpowiedział kontroler ruchu powietrznego w Manili. - Kontynuuj.

- Lecimy przez turbulencję powietrzną. Proszę o pułap lotu zero pięć. Koniec. - Na wysokości pięciu tysięcy stóp Elliot mógł dolecieć na miejsce za pomocą ręcznie sterowanych przyrządów. Sprawiłoby mu to wielką przyjemność. Rzadko zdarza się okazja autentycznego pilotowania samolotu.

- Nie ma zgody, Foxtrot Victor - odpowiedział kontroler.

- Możemy przydzielić ci pułap jeden-sześć. Koniec.

Elliot miał ochotę powiedzieć, że za czterdzieści minut zacznie schodzenie w dół i znajdzie się pod kontrolą lotniska Kuro, ale musiał przyjąć decyzję Manili. Może na niskich wysokościach latało wiele małych samolotów, chociaż ekran radarowy nie pokazywał nic niezwykłego. Potwierdził odbiór i czekał, aż zmieniony pułap lotu ukaże się na ekranie. Usiadł wygodnie na fotelu, pozwalając komputerom wykonać całą pracę. Moc silników podniosła się do osiemdziesięciu pięciu procent.

Skyliner wzniósł się na wysokość trzynastu tysięcy stóp i nie przestawał nabierać wysokości.

Mieszki w bombie rozciągały się. Kontakty zbliżały się do siebie coraz bardziej.

Sześć milimetrów... pięć milimetrów.

*

Turbulencja nagle ustała.

Lesy odetchnęła z ulgą. Zobaczyła, że Harry spogląda na zegarek.

- Połowa drogi - zauważył.

Lesy wyczuła, że znowu będzie próbował nawiązać rozmowę. Odpięła pas i podchwyciła spojrzenie stewardesy.

- Chciałabym wziąć kapitana na słowo i złożyć mu wizytę w jego frontowym biurze - oznajmiła.

*

Elliot uśmiechnął się do swojego gościa z prawdziwą przyjemnością. Wskazał na fotel drugiego pilota po swojej prawej stronie.

- Bardzo proszę, panno Wessex, niech pani siada.

W ciasnym pomieszczeniu kabiny biodra Lesy otarły się o jego ramiona.

- Obiecuję, że nie będę niczego dotykała - powiedziała żartobliwie, usadowiwszy się na

fotelu.

Podobna uwaga wypowiedziana przez kobietę w większości przypadków spotkałaby się z dwuznaczną odpowiedzią Elliota, wyczuł jednak, że wobec Lesy Wessex takie zachowanie byłoby nie na miejscu. Roześmiał się.

- Te cholerne komputery nawet mnie nie pozwalają latać, więc pani tym bardziej nie ma się czego obawiać.

- Dlaczego nie ma pan drugiego pilota?

- Nie na dwugodzinny lot. Gdyby firma mogła postawić na swoim, to pewnie zrezygnowaliby i ze mnie.

Lesa spojrzała w dół przez boczne okienko. Nie było chmur, ale warstwa ciężkiej mgły kompletnie zasłaniała morze. Horyzont był niewyraźną plamą, nie dało się więc rozróżnić, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo. Lesa doskonale знаła podobną sytuację atmosferyczną nad Morzem Południowochińskim i zachodnim Pacyfikiem.

- Ta turbulencja była nieprzyjemna - zauważyła.

- Prawdopodobnie wir powietrza po innym odrzutowcu - wyjaśnił Elliot. - Nie bardzo wiemy jeszcze, na czym to polega, ale w odpowiednich warunkach mogą się utrzymywać w powietrzu przez długie godziny po przelocie samolotu. Ale nie zdarza się to często na tak małych wysokościach. Teraz powoli wznosimy się na wysokość szesnastu tysięcy stóp. Jesteśmy właśnie na trzynastu tysiącach pięćset.

- A gdzie jesteśmy?

Elliot nacisnął guzik i przed oczami Lesy ukazała się podświetlona mapa zachodniego Pacyfiku.

- Jeśli pani chce zmienić skalę czy zrobić bliższy lub dalszy najazd, proszę nacisnąć plus lub minus.

Lesa studiowała monitor z profesjonalnym zainteresowaniem. Darryl skonstruował kiedyś eksperymentalny odbiornik do przechwytywania położenia samolotów z satelitów nawigacji powietrznej. Oboje uznali jednak, że stworzone przez komputer obrazy są mało przydatne.

- Pułap lotu jeden-cztery - oznajmił syntetyczny głos.

- Czternaście tysięcy stóp - przetłumaczył Elliot.

Cztery milimetry.

Wskaźnik wysokości informował, że wznoszą się w tempie dwustu stóp na minutę.

Lesa śledziła na mapie wyeksponowaną trasę lotu Skylinera na Kuro.

- Latał pan już na Kuro? - spytała.

- Mniej więcej trzy razy do roku, odkąd działa teleskop. Ostatni raz leciałem miesiąc temu. Z grupą astronomów. - Przyjrzał się badawczo swojej uroczej pasażerce. - Czy to również pani zawód, panno Wessex?

- Nie, ja się zajmuję czymś odwrotnym, obserwowaniem Ziemi z góry, zdalnym odczytem satelitarnym. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby udało się wygospodarować trochę czasu na łowienie ryb, kiedy znajdziemy się na wyspie. Czy są tam w przystani odpowiednie łodzie?

Elliot pokręcił głową.

- Nigdy nie zauważyłem.

Kontakty zbliżyły się do siebie, odległość między nimi wynosiła trzy milimetry.

- Nigdy pan nie zauważył białego motorowego jachtu?

- Nie. Chociaż, tak... widziałem taki jacht podczas ostatniego pobytu. Pewnie wpłynął, żeby zatankować paliwo.

Drzwi do kabiny otworzyły się.

- Czy mogę państwu coś podać, zanim zamknę kuchnię? - zapytała pogodnie stewardesa.

- Mnie nie - rzucił Elliot. - A pani?

- Nie - Lesa odpowiedziała bez zastanowienia, ponieważ właśnie głowiła się nad tym, jak wydobyć od pilota więcej informacji nie wzbudzając jego podejrzeń.

Stewardesa nie zamknęła za sobą drzwi do kabiny i zabrała się do porządkowania niewielkiej przestrzeni, która służyła za kuchnię.

- Kto zarządza wyspą?

Dwa milimetry.

- Nie mam do czynienia ze stroną techniczną - przyznał Elliot. - Kontrolą lotów na Kuro zajmuje się facet o nazwisku Menkowa. Całkiem normalny typ. Ile razy tam lecę, wysadzam po prostu pasażerów i zabieram z powrotem inną grupę. Trzydzieści minut postoju.

Jeden milimetr.

- Pułap lotu jeden-pięć - oznajmił syntetyczny głos.

- Jeszcze tysiąc stóp i osiągniemy przewidzianą wysokość - powiedział Elliot. - Przelecieliśmy trochę więcej niż połowę drogi. Kuro jest teraz najbliższym lądem w promieniu pięciuset mil.

Pół milimetra.

Stewardesa weszła do kabiny i pochyliła się nad Elliotem, żeby zabrać filiżankę po kawie.

Dokładnie w tym momencie zamknął się obwód detonatora i bomba Sammy'ego eksplodowała.

Umieszczając pudełko po lewej stronie w komorze przedniego koła, Sammy nieświadomie założył śmiertelny ładunek w miejscu najbardziej niebezpiecznym. Wybuch dwudziestu gramów Niroxalu niemal pod siedzeniem Elliota uszkodził wszystkie urządzenia kontrolne i linie elektryczne mimo ich uzbrojonych osłon, dokonał wyrwy w kadłubie Skylinera i wbił trzydzieści centymetrów mechanizmu zwrotniczego przedniego koła w brzuch pilota. Ryk powietrza, które wdarło się do kabiny z szybkością pociągu ekspresowego, zagłuszył jęki Elliota. Drzwi do kabiny zostały wyrwane z zawiasów. Uderzyły stewardesę w bok głowy, zabijając ją na miejscu. Śmierć nie naruszyła jej malowanego uśmiechu. Gwałtowne wtargnięcie powietrza poderwało do góry przód samolotu i wbiło Lesę w siedzenie. Czując rozdzierający ból w uszach, instynktownie schwyła pasy bezpieczeństwa. Jedynym sposobem, by fruujące pasy nie obdarły jej żywcem ze skóry, było zapięcie ich wokół talii. W ten sposób Lesa ocalała życie, ponieważ samolot nagle gwałtownie zapikował w dół. Nie sposób było zebrać myśli. W uszach jej dzwoniło, powietrze wdierało się z siłą huraganu, wszędzie fruwały wirujące papiery i słuchawki radiowe. W całym tym zamieszaniu dostrzegła, że Elliot trzyma się za brzuch. Krew chlustała spod jego palców, rozpryskując się koszmarną falą czerwonych kropeł na jego przerażonej twarzy i na ścianie kabiny za plecami.

- Co mam robić? - usiłowała krzyknąć Lesa. Ale samo otwarcie ust wystarczyło, by tajfun rozszalałej energii zaczął rozdzierać jej policzki uniemożliwiając wypowiedzenie czegokolwiek. Zauważyła, że Elliot dokonuje nadludzkich wysiłków, by podnieść lewą rękę. Coś pokazywał. W płycie sufitu znajdowała się zabezpieczona czerwona dźwignia. Był to największy ze wszystkich przyrządów kontrolnych, umieszczony centralnie, tak by mogli go dosięgnąć obydwaj piloci.

Najwyraźniej ta dźwignia była ważna. Gdyby Lesa mogła skoncentrować wzrok w jednym punkcie, zauważyłaby, że światła wokół dźwigni pobłyskują nagłąco. Z trudem podniosła rękę w stronę dźwigni i spojrzała pytająco na Elliota.

Ponownie starała się krzyknąć jak najgłośniej:

- To?

Elliot nie widział jej twarzy, ponieważ całkiem zakrywały ją rozwiane włosy, udało mu się jednak wykonać ruch głową, który Lesa wzięła za znak twierdzenia. Ściągnęła dźwignię w dół.

Monitory przed nią ożyły. Zobaczyła, że cyfrowy wysokościomierz gwałtownie zbliża

się do siedmiu tysięcy stóp. Całe pole widzenia, wszystko, co widać było przez przednią szybę, wypełniało morze. Lesa zastanawiała się, jak osadzić Elliota na swoim fotelu, i uświadomiła sobie, że będzie to niemożliwe. Głowa pilota przechyliła się na bok, oczy straciły wszelki wyraz. Krew wypływająca mu z ust natychmiast przemieniała się w czerwony prysznic, podobnie jak krew ze strasliwej rany w brzuchu. Wydawało się, że Elliot usiłuje coś powiedzieć.

Lesa porzuciła wszelkie starania, żeby go zrozumieć. Zmusiła się do tego, żeby skoncentrować się na monitorach. Na jednym z nich widoczny był graficzny obraz nurkującego w dół samolotu. Zapalający się i gasnący odcisk palca wskazywał miejsce monitora reagujące na dotyk. Lesa przyłożyła palec do owego miejsca, ale nic się nie wydarzyło. Elliot obserwował jej poczynania. Ponownie udało mu się podnieść rękę. Lesa zobaczyła, że pokazuje trzy palce. Znowu dotknęła tego samego miejsca na monitorze, używając tym razem trzech palców, i w tym momencie zdała sobie sprawę, że Elliot podpowiada, iż należy nacisnąć czujnik trzykrotnie. Zrobiła to i graficzne przedstawienia zmieniły się. Największe z nich dokładnie na wprost niej, ukazywało robota trzymającego drążek sterowy. Roztrzęsiona naciskała ekran, aż zaczął błyskać. Kątem oka zauważyła jakiś ruch, który nie był częścią szalonego cyklonu fruwających odpadków. To Harry, rozciągnięty na podłodze, rozpaczliwie przytrzymywał się umocowań foteli. Jakoś udało mu się częściowo doczołgać, częściowo doturlać do przodu. Spojrzał na Lesę. Krew z głębokiego skaleczenia na skroni, która w normalnych warunkach zalewałaby mu twarz, wysysał prosto z rany piekielny huragan.

Lesa zamierzała właśnie krzyknąć, żeby wrócił na miejsce, kiedy gwałtowne nurkowanie samolotu kazało jej zapomnieć o Harrym. Jedynie cyfry po lewej stronie wysokościomierza zmieniały się na tyle wolno, że można je było odczytać, reszta galopowała z taką szybkością, że przemieniała się w mglistą maź. Lesa instynktownie schwyciła wolant i przyciągnęła do siebie. Przód samolotu podniósł się gwałtownie, zmniejszając szybkość lotu. Lesie zdawało się, że ciało jej nabrało podwójnej wagi, ręce miała jakby z ołowiu, siedziała wciśnięta w fotel. Morze za przednią szybą ustąpiło miejsca niebu, a cyfry na wysokościomierzu mknęły w przeciwnym kierunku. Straszliwy świst, który omalże rozdzierał bębenki w uszach, jakby trochę przycichł. Ku przerażeniu Lesy morze pojawiło się nad jej głową i uświadomiła sobie, że Skyliner przekreślił się brzuchem do góry. Spojrzała na Elliota, podświadomie szukając pomocy, i zobaczyła ze zgrozą, że pilot nie żyje.

Lesa zbyt gwałtownie wyprowadziła samolot z nurkowania, przez co o mało nie wykonał pętli.

- Neti! - szlochała, kiedy samolot zaczął ponownie nabierać szybkości, a wysokościomierz na nowo galopował w dół. - Co mam robić? Co mam robić?

Za oknem znów pojawiło się morze. Tym razem znalazło się przerażająco blisko, a cyfry po lewej stronie wysokościomierza skoczyły złowieszczą z pięciu na cztery.

Cztery tysiące stóp! Neti! Neti! Pomóż mi!

Tym razem Lesa przyciągnęła do siebie drążek z większą ostrożnością. Powietrze dalej wdzierало się do kabiny, ale wszystkie nie umocowane przedmioty zostały albo rozbite, albo wysane na zewnątrz dzięki czemu Lesa mogła lepiej skupić myśli i skoncentrować się na tym, co robi. Zaskoczyło ją niepomniernie, kiedy nagle pojawił się horyzont; obsuwał się w dół jak obraz na źle wyregulowanym telewizorze. Pchnięcie drążka do przodu ustabilizowało linię horyzontu. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że Skyliner leci teraz poziomo, co byłoby niemożliwe przy pełnej liczbie pasażerów i bagażu. Na korzyść Lesy pracował także fakt, że samolot miał minimalną ilość paliwa, niezbędną na planowany lot. Gdyby Elliot żył, rozpoczęłyby rutynowe przygotowania do przymusowego wodowania, pozbywając się paliwa. W istniejącej sytuacji jeśliby nawet Lesa wiedziała, w jaki sposób odciążyc samolot, to i tak wyrzucenie stosunkowo niewielkiej ilości paliwa ze zbiorników nie zmieniłoby w zasadniczym stopniu możliwości sterowania samolotem.

Wysokościomierz wskazywał trzy tysiące dwieście stóp i obniżał się powoli. Lesa mogła teraz zwrócić uwagę na pozostałe instrumenty; wskazówka na ekranie zmiany wysokości skierowana była w dół. Wskaźnik mocy silników pokazywał zero procent. Szybkość znowu się zmniejszała, nie było to już pięćset węzłów, które udało się osiągnąć, kiedy Lesa wyprowadziła samolot z lotu nurkowego.

Harry usiłował uklęknąć, musiał się jednak kurczowo trzymać oparcia fotela Elliota, gdyż inaczej zostałyby z powrotem wessany do kabiny pasażerskiej. Mimo malującego się w jego oczach oszołomienia widać było, że zauważył utrzymujący się w poziomie horyzont.

- Będziemy musieli wodować! - krzyknęła Lesa.

Harry zobaczył, że wargi Lesy się poruszają, i przysunął się do niej bliżej, żeby mogła krzyczeć prosto w jego ucho.

- Będziemy musieli wodować! - krzyknęła ponownie. - Czy umiesz latać?

Harry pokręcił przecząco głową i usiłował skupić wzrok na monitorach kontrolnych. Krew z jego rozciętej skroni spryskała lewe ramię Lesy.

Dwa tysiące stóp. Szybkość czterysta dwadzieścia węzłów, zmniejsza się.

Lesa odkryła, że przyciągając delikatnie dźwignię, może zmniejszyć szybkość, ten ruch jednak skierował nos samolotu do góry i uruchomił sygnał świetlny, który nie przestawał

błyskać, dopóki nie pchnęła dźwigni do poprzedniego położenia.

Tysiąc pięćset stóp. Szybkość czterysta węzłów.

- Klapy - krzyknął Harry. - To zmniejsz szybkość!

Lesa dotknęła guzika z napisem KLAPY. Pojawił się rząd świetlnych symboli graficznych ukazujących klapy samolotu w różnych pozycjach, od poziomej do całkowicie pionowej. Wyczuwając, że nierozsądne byłoby pełne otwarcie klap, Lesa wybrała nachylenie pięciu stopni.

Tysiąc stóp. Szybkość trzysta czterdzieści węzłów.

Morze było teraz bardzo blisko. Lesa dostrzegła poszczególne fale.

- Działa! - krzyknęła i wybrała nachylenie dziesięć stopni.

Tysiąc stóp. Szybkość trzysta węzłów.

Lesę ogarnęła radość. Skyliner leciał poziomo. Wypuściła klapy o dalszych pięć stopni i obserwowała, jak szybkościomierz opada do dwustu sześćdziesięciu węzłów.

Osiemset stóp.

Lesa walczyła z ogarniającą ją paniką, ale intuicja podszeptała jej, że w przy spadku mocy silników samolot nie może prawdopodobnie utrzymać się w pozycji poziomej.

Zaczął błyskać kolejny sygnał ostrzegawczy. Tym razem był to diagram trzykołowego podwozia samolotu. Lesa już miała nacisnąć guzik, kiedy usłyszała, że Harry coś wykrzykuje.

- Co takiego? - wrzasnęła.

- Ląduj czysto! - krzyczał. Jego słowa zagłuszał hałas. Z widocznym wysiłkiem podniósł głos i wrzasnął: - Ląduj czysto, Lesa! Ląduj ze schowanym podwoziem!

Lesa dostrzegła sensowność tej sugestii i cofnęła rękę. Najlepiej będzie uderzyć w wodę przy jak najmniejszej liczbie wypukłości sterzących z kadłuba Skylinera. Wypuściła klapy do końca i patrzyła, jak szybkość zmniejsza się do dwustu węzłów. Czytała gdzieś, przy jakiej szybkości samolot dotyka ziemi. W razie przymusowego wodowania każda będzie prawdopodobnie za duża.

Nos Skylinera opuścił się w dół, szybkość zaczęła wzrastać. Jedynie dalsze odciągnięcie dźwigni do tyłu może skorygować położenie.

Pięćset stóp. Sto osiemdziesiąt węzłów.

I znowu dwieście węzłów z nosem na dół.

Chciała krzyknąć:

- Do diabła, co mam zrobić, żeby przestał nurkować? - Dźwignię przyciągnęła już do samego końca. Dłonie miała oblane potem, chociaż w kabinie pilota świszczał huragan.

Czterysta stóp. Sto osiemdziesiąt węzłów.

Z tej wysokości mogła się zorientować, że uderzy w wodę pod kątem do głównej fali. Nie miała wątpliwości, że uderzenie Skylinera w jedną z tych wolno poruszających się ścian wodnych będzie odpowiednikiem zderzenia ze zboczem góry. Ostrożnie przesunęła drążek w lewo, a w nagrodę samolot nachylił się odpowiednio.

- Wracaj do kabiny i zapnij pasy! - krzyknęła do ucha Harry'ego.

- Nie chcę cię tu zostawiać!

- Nic nie możesz zrobić! Wracaj - Harry zniknął z pola widzenia, nie śmiała jednak oderwać wzroku od morza, które stawało się jedną niewyraźną plamą. Ustawienie dźwigni w pozycji centralnej wyrównało skrzydła. Skyliner leciał teraz równoległe do głównej fali.

Trzysta stóp. Dwieście węzłów.

Morze stało się rozmazaną szarą nicością przelewającą się przed dziobem samolotu i kompletnie przesłaniającą pole widzenia Lesy. O ile mogła się zorientować, Skyliner schodził w dół pod kątem około piętnastu stopni. Instynkt podpowiadał jej, że szanse przeżycia zależą od tego, w jaki sposób uderzą w powierzchnię wody. Teraz Skyliner znajdował się w takiej pozycji, że pod wpływem uderzenia kadłub musiał się przełamać.

Osiemnaście lat wcześniej, gdy Lesa skoczyła do wody, żeby uciec z „Rasputina”, zagrażał jej rekin. Kiedy zbliżał się przerażający koniec, postąpiła w sposób, o którego skuteczności przekonało się wielu ludzi, o czym Lesa nie miała pojęcia. Zrobiła to po prostu z rozpacz i z braku lepszych pomysłów: wsadziła głowę pod wodę i zaczęła krzyczeć.

Los znowu jej sprzyjał. Skylinera dzieliło trzysta metrów od fatalnego nurka kiedy Lesa działając wbrew instynktowi, pchnęła drążek do przodu, zwiększając w ten sposób kąt nurkowania. Morze zdawało się lecieć prosto na nią z galopującą szybkością. Na wysokości stu stóp ściągnęła nagle drążek z powrotem. Nos samolotu poderwał się do góry i przez sekundę Lesa dostrzegła horyzont. Prędkość nieoczekiwanie spadła do stu siedemdziesięciu węzłów. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Lesa wyregulowała położenie samolotu akurat na odpowiedniej wysokości, przez co uderzył brzuchem w wodę. Rozłożyło to siłę uderzenia i pozwoliło zachować kadłub w całości.

Kolejne wydarzenia wspominała później jako mozaikę nie powiązanych obrazów. Siła uderzenia rzuciła ją do przodu. Do kabiny pilota zaczęła nagle wlewać się woda, niby spuszczonej z uwięzi potwór. Woda wydawała się czymś twardym i przerażającym, jakąś ślepą, złośliwą siłą o niezwykłej mocy, której nieoczekiwany atak zmierzał do kompletnego podporządkowania sobie bezbronnego ciała i umysłu Lesy. Kiedy Lesa próbowała odpiąć pasy, ślepy potwór zaatakował jej palce, usiłując wyrwać je z dłoni. Potem potwór rzucił ją o ścianę kabiny niczym atakujący byk. Silny przyływ zakręcił nią i porwał do kabiny

pasażerskiej, która gwałtownie wypełniała się wodą. Bezładne kończyny obijały się o siedzenia z siłą, z której Lesa nawet nie zdawała sobie sprawy. Uśmiechnięta twarz martwej Chinki przesunęła się koło niej jak mechaniczny upiór w pogoni za pociągiem-widmem. Woda wirowała wokół jej talii. Poczula czyjś chwyt na ramieniu, co pozwoliło jej zacisnąć palce na oparciu siedzenia i wyprostować się. Była to ręka Harry'ego.

- Otworzyłem drzwi - wybełkotał. Obijali się o siebie, kiedy pod ciężarem silników tył samolotu zanurzał się głębiej. Dokoła nich wirowały plastikowe kubki i poduszki z siedzeń. Lesa zauważyła morze wlewające się przez otwór w kadłubie. To było wyjście ewakuacyjne, które Harry'emu jakoś się udało otworzyć. Powiewała tam pneumatyczna, ognioodporna rynna ratunkowa z zakrzywionymi do góry końcami, która w każdej chwili mogła się oderwać od kadłuba. Była jasnożółta jak groteskowy banan.

- Wskakuj!

Lesa, zbyt oszołomiona, by protestować, pozwoliła Harry'emu wepchnąć się do rynny. Harry skoczył tuż za nią, potykając się o podniesione brzegi. Zdumiewało ich to, że w rynnie nie ma wody. Wiatr i fale oddaliły ich na pewną odległość od uszkodzonego odrzutowca; statecznik poziomy zanurzył się już do połowy pod ciężarem silników, ale kabina pilota znajdowała się jeszcze nad powierzchnią wody.

- Tratwa ratunkowa! - krzyknęła Lesa. - Chyba musi być prawdziwa tratwa ratunkowa?

- Nie widziałem - powiedział Harry, leżąc na brzuchu i wpatrując się w samolot. - Nie miałem czasu przeczytać wszystkich instrukcji na drzwiach. Chyba nie było tam nic o tratwie ratunkowej. - Ściągnął buty i marynarkę.

- Co robisz? - zapytała Lesa.

- Wracam na pokład. Musi być awaryjne radio.

Zanim Lesa zdążyła go zatrzymać, Harry dał nurka. Trzy silne ruchy ramion i już był przy zatopionych drzwiach. Na pół wpłynął, na pół wczołgał się do kabiny i zniknął. Lesa położyła się na brzuchu i wiosłując rękami usiłowała przybliżyć rynnę ewakuacyjną do samolotu. Nagle spod na pół zatopionego nosa zaczęły wydobywać się pęcherzyki, co sprawiło, że kadłub zanurzył się głębiej.

- Harry! On tonie!

Nos samolotu zanurzał się pod wodę, aż odrzutowiec znalazł się w pozycji poziomej, w dwóch trzecich zatopiony. Statecznik poziomy sterczał jak sztywny żagiel deski surfingowej. Cały kadłub nie unosił się już łagodnie na falach. W otworze drzwi pojawiła się nagła procesja przedmiotów: poduszki, papiery, nakrycia siedzeń, plastikowe kubki - wszystko wyleciało z wnętrza samolotu wraz z falą powietrza wypychanego z kabiny, w miarę jak

odrzutowiec tonął. Teraz szczyty drzwi dzieliła od powierzchni wody jedynie odległość dłoni, zniknęły w ciągu sekundy, kiedy nadchodząca fala przewaliła się nad kadłubem. Może Harry zaczepił się o coś, może walczy teraz o życie?

Bez sekundy wahania Lesa dała nurka i podpłynęła do drzwi. W tym samym momencie przez otwór wydostała się fala pęcherzyków - wyjście znalazło się już całkowicie pod wodą. Lesa usiłowała nurkować, ale hydrostatyczna wyporność jej podróznego kostiumu zmusiła ją do wypłynięcia na powierzchnię. Kolejna próba była równie nieudana. Rozerwała więc główne zapięcie w talii i wyzwoliła się z górnej i dolnej części kostiumu. Zimno, które poczuła na ciele, przyprawiło ją o dreszcz. Zaczerpnęła powietrza, dała nurka pod wodę i otworzyła oczy. Z przerażeniem zauważyła, że wyjście z samolotu znajduje się już metr pod powierzchnią wody i dalej opada w dół. Płynęła swobodnie, bo poza stanikiem i figami nic nie hamowało jej ruchów. Wślizgnęła się do wnętrza kabiny. W ciemności widziała tylko jaśniejsze światła z okien. Obróciła się i w tym momencie coś przykuło jej uwagę: znalazła się twarzą w twarz z wymalowanym uśmiechem stewardesy. Płuca jej pękały. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Wycofała się przez drzwi, wypłynęła na powierzchnię i wciągnęła do płuc ożywczy haust powietrza. '

Nie było śladu rynny ratunkowej. Przez sekundę Lesa znalazła się we władzy paniki. Wtedy odpłynęła fala i dostrzegła błysk jaskrawej żółci. W odległości zaledwie kilku metrów. Rynna obróciła się pod wpływem wiatru, tak że Lesa doskonale ją widziała. Ani śladu Harry'ego. Jedynie fragment statecznika poziomego i czubek dachu nad kabiną pilota wystawały jeszcze nad wodę. Miała właśnie zaczerpnąć powietrza i znowu dać nurka, kiedy otworzył się właz i ukazała się w nim głowa i ramiona Harry'ego.

- Harry!

Harry usłyszał krzyk, rozejrzał się wokół i wypatrzył Lesę w wodzie.

- Dlaczego nie jesteś w rynnie? - zapytał.

- Bo szukam ciebie!

- Ale ja nie zginąłem, ty idiotko!

- Nie nazywaj mnie idiotką!

W przeciwieństwie do Lesy Harry dostrzegł cały bezsens obrzucania się inwektywami w ich sytuacji. Wybuchnął śmiechem, co rozzłościło ją jeszcze bardziej.

- Właz do rynny! - huknął.

Lesa podpłynęła do rynny i wdrapała się przez uniesione do góry brzegi. Poczowała się bardzo zażenowana, gdy uświadomiła sobie, jak skąpa jest jej bielizna. Kiedy podniosła wzrok, Harry'ego nigdzie nie było widać. Na kadłubie samolotu pojawiła się jej walizka i

torebka, a za nimi głowa i ramiona Harry'ego.

- Gdzie pani sobie życzy umieścić bagaże?

- Na miłość boską, przestań błaznować!

- Łap!

Harry rzucił walizkę i Lesa złapała ją. Wdrapał się na dach samolotu i rzucił jej torebkę, a następnie swoją torbę podróżną. Podwiosłowała rękami bliżej i spojrzała na niego z wściekłością.

- No to wskakuj! Chyba że chcesz, żeby razem z tobą zatonął!

- Myślę, że pani powinna doprowadzić do porządku swój strój przed wejściem do jadalni - powiedział poważnie Harry, zanim ześlizgnął się do wody.

Lesa spojrzała na siebie i zauważyła, że piersi wysunęły jej się ze stanika. Ze złością poprawiła stanik i zrobiła miejsce dla Harry'ego, który wdrapywał się przez zakrzywioną krawędź rynny.

- Miałeś poszukać tratwy ratunkowej - skarciła go Lesa - a nie bagażu. To było głupie! A ja wbrew rozsądkowi popłynęłam za tobą.

- To jest tratwa ratunkowa - powiedział Harry.

- Co takiego?

- To jest jednocześnie rynna ewakuacyjna i tratwa ratunkowa. Proste. Nie zauważyłem tego, dopóki nie spojrzałem z góry. Popatrz, tonie.

Lesa popatrzyła w ślad za wzrokiem Harry'ego. Wirujące bąble - i ze Skylinera nie pozostało nic, jedynie masa śmieci i odpadków na wodzie. Pęcherzyki powietrza znaczyły miejsce, w którym samolot ostatecznie zatonął. Lesa i Harry niemal równocześnie pomyśleli o pilocie i stewardesie, ale żadne z nich nie powiedziało słowa.

- A teraz po kolei - zaczął Harry, rozglądając się po wnętrzu tratwy. - Zabieraj stąd swój tyłek, skarbie.

Ku niewypowiedzianej wściekłości Lesy klepnął ją w pośladek. Rzuciłaby się na niego, ale uwagę jej przykuło coś, czemu przyglądał się Harry; na podniesionej krawędzi rynny ratunkowej pomarańczowe litery, odbite z wzornika, głosiły: ZAPASY AWARYJNE POCIĄGNAĆ CZERWONĄ DŻWIGNIĘ. Harry pociągnął czerwoną dźwignię. Z otworu w burcie tratwy posypały się na dno liczne pakiety.

- Koncentraty spożywcze, pierwsza pomoc - mówił Harry, przeglądając pakiety - soki owocowe, gorące napoje, światła odblaskowe. Nawet jakieś przybory do łowienia ryb. A... latarnia kierunkowa Sarah. - Trzymał w ręku cylindryczny przedmiot.

- Co takiego?

- Automatyczna, samosterująca radiowa latarnia ratunkowa. - Harry odczytał instrukcje wydrukowane na boku urządzenia, odkręcił pokrywkę i wyciągnął teleskopową antenę biczową. Wychylił się z rynną, znalazł haczyk i powiesił na nim radio.

Kiedy Harry zajęty był mocowaniem radia, Lesa otworzyła swoją walizkę i z radością przekonała się, że twierdzenia producenta o wodoodporności okazały się całkowicie uzasadnione, wszystkie rzeczy w walizce były suche. Owinęła się ręcznikiem i natychmiast poczuła się lepiej.

- Harry!

- Bateria ma trwałość stu godzin. Powinno wystarczyć, żeby ktoś nas znalazł.

- Harry!

- Słucham cię, skarbie.

- Dziękuję, że przyniosłeś moje rzeczy.

- Nie ma sprawy, skarbie.

- I jeszcze jedno, Harry, jeśli kiedykolwiek klepniesz mnie w ten sposób, pewno cię zabiję. Zrobię to zresztą i tak, jeśli nie przestaniesz mówić do mnie „skarbie”.

Harry wytrzymał jej wzrok. Pamiętał podobny wyraz w oczach Lesy poprzedniego dnia w hotelu i zdał sobie sprawę, że to nie żarty. Skinął głową.

- Meldunek przyjąłem i zrozumiałem. Przyznaj się, jaki to guzik naciśnąłeś przypadkiem w kabinie pilota, sprowadzając na nas całe to zamieszanie.

Jego nonszalancja zirytowała Lesę.

- Niczego nie naciśnęłam - odpowiedziała. - Rozległ się głośny huk, do kabiny wdarło się powietrze i samolot wymknął się spod kontroli.

- Nie było dymu ani ognia?

- Nie.

- Słyszałem, że ptak może spowodować fatalne uszkodzenie samolotu - skomentował Harry.

- To nie był ptak - powiedziała zdecydowanie Lesa. Opisała szczegółowo kawałek metalu, który utkwiał w brzuchu Elliota.

Harry spojrzał na nią z powagą.

- Fakt, że Agencja Ochrony Środowiska w żaden sposób nie chciała zdradzić twojej tożsamości, świadczy o tym, że jesteś w niebezpieczeństwie. Zresztą sama mi o tym powiedziałaś. Czy to mogła być bomba?

- Kto miałby czas, żeby podłożyć bombę? Wynająłeś samolot wczoraj, wystartowaliśmy z samego rana. Widziałeś przecież środki bezpieczeństwa na lotnisku,

ogrodzenie pod napięciem, kamery telewizji przemysłowej.

- To fakt - przyznał bez przekonania Harry. - Może wystąpiło zmęczenie metalu. Fragment powłoki odrywający się przy szybkości czterystu węzłów może spowodować olbrzymie szkody. A może rozerwał się cylinder ze sprężonym powietrzem. Czy zauważyłaś jakieś automatyczne sygnały SOS, kiedy pilot stracił kontrolę nad samolotem?

Lesz pokręciła przecząco głową.

- Nie mam pojęcia. Na tablicy rozdzielczej, nie pojawiło się nic takiego, co przypominałoby sygnał radiowy.

Harry zastanawiał się przez chwilę.

- W porządku. Alarm zaczął się w momencie, kiedy przestały działać transpondery samolotu. Sygnały z naszego radia przechwyci satelita, więc możemy jedynie siedzieć spokojnie i czekać.

- Mój Klipsofon jest suchy - oznajmiła Lesz, sięgając po walizkę.

- Nie trać czasu. W tej części świata znajdujemy się poza zasięgiem jakichkolwiek naziemnych wzmacniaczy. Lepiej będzie, jeśli urządzimy się tu możliwie najwygodniej. - Harry zauważył przezroczyste płytki, które miały zabezpieczać tratwę przed żywiołami. Uśmiechnął się do Lesz, umieszczając płytki na właściwych miejscach. - Lepiej?

- Lepiej - wymamrotała Lesz. Denerwował ją sposób, w jaki ten przyjaźnie nastawiony Amerykanin obejmował kontrolę. Miała właśnie coś powiedzieć, kiedy zaczęła odczuwać opóźnione działanie szoku. Ogarnęły ją dreszcze. Izolacja zakrytej tratwy powodowała, że we wnętrzu panował chłód mimo ostrego słońca. Harry spojrzał na nią z wyrazem zatroskania.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak.

Otworzył niewielki pakiecik i wy dostał ocieplacz z aluminiowej folii w kształcie śpiwora.

- Lepiej wejdź w to.

- Nie potrzebuję - warknęła Lesz.

Harry przysunął bliżej swoją wymizerowaną twarz. Bez względu na niewątpliwą przewagę Lesz w przemocy, tę akurat bitwę zamierzał wygrać. Oczy Lesz błysnęły gniewem, kiedy ośmielił się przyłożyć rękę do jej czoła.

- Leso, wcale nie czujesz się dobrze. Przeszłaś bardzo wyczerpujący okres, twój organizm teraz głośno krzyczy „dosyć”. Tak szybko tracisz ciepłość ciała, że choćbym miał cię przy tym zabić, ubiorę cię w ten szczególny śpiwór.

Lesz straciła wszelką wolę walki, ku własnemu zdumieniu i wielkiej uldze Harry’ego

pozwoili mu wytrzeć do sucha całe ciało i owinąć je foliowym prześcieradłem, tak że wyglądała jak kura czekająca na włożenie do piekarnika. Przyglądała się, jak Harry odczytuje instrukcje na puszcze napoju słodowego. Złamał odczynnikową pieczęć na dole puszek i podał ją Lesie; aktywne czynniki chemiczne podgrzały tymczasem zawartość. Lesa powoli piła słodki i gorący napój.

- W porządku, kochanie?

Miała ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale powstrzymał ją wyraz autentycznego zatroskania w jego oczach. Poza tym we wnętrzu foliowego śpiwora było przyjemnie ciepło, a napój zabił smak morskiej wody w ustach.

8.

Kuro, zachodni Pacyfik.

Harry miał rację, że alarm zacznie się w momencie, kiedy transpondery samolotu przestaną nadawać. Piotr Menkowa parkował właśnie swojego dzipa przed małym budynkiem lotniska, by przyjąć spodziewane lądowanie Skylinera, kiedy zauważył, że dyżurny oficer łączności rozpaczliwie wymachuje do niego przez okno. Pobiegł do wnętrza budynku.

- Alarm z Ośrodka Kontroli Lotów w Manili - powiedział oficer łączności. - Lot z Hongkongu zniknął przed pięcioma minutami w kwadracie AJ4567, dwieście mil na zachód i dziesięć mil od nas. Odbierają sygnał radia awaryjnego w kwadracie AJ4568. Ponieważ jesteśmy najbliżej, chcą wiedzieć, czy możemy tam posłać helikopter.

Menkowa schwyił mikrotelefon. Pamiętał, że ma mówić po angielsku.

- Halo, Manila. Tu Menkowa na Kuro. Możemy natychmiast wysłać helikopter, ale niewykluczone, że mamy w tamtej okolicy statek. Proszę poczekać. - Odsunął mikrotelefon i zwrócił się do oficera łączności: - Diem jest w drodze powrotnej z Hongkongu. Sprawdź jego położenie.

Oficer wyszukał odpowiednią częstotliwość fal na konsoli i nadał sygnał wywoławczy „Rasputina”. Po kilku sekundach odezwał się głos Diema.

- Halo, „Rasputin”. Tu Kuro. Czarterowy odrzutowiec w drodze z Hongkongu na Kuro zginął w kwadracie AJ4567. Sygnały S.O.S. odbierane z kwadratu AJ4568. Podaj swoje położenie. Koniec.

- AJ4558. Koniec - odpowiedział Diem, sprawdzwszy pozycję jachtu.

- AJ4558 - przekazał oficer do Menkowy. Obydwaj ustalili na mapie pozycję Diema i

obliczyli odległość od kwadratu AJ4568.

- Halo, Manila - powiedział Menkowa do mikrofonu. - Nasz statek znajduje się sto mil na zachód. Dopłynięcie na miejsce zajmie mu cztery godziny, więc zaraz wysyłamy helikopter, który dotrze tam po dwóch godzinach. Są jakieś szczególne instrukcje? Koniec. - Uważnie wysłuchał dyspozycji Manili i przekazał je oficerowi łączności. Helikopter miał zabrać rozbitków i przywieźć ich na Kuro. Tymczasem „Rapustin” miał również udać się na miejsce katastrofy, zebrać wszelkie możliwe szczątki i spotkać się z dwoma helikopterami i fregatą, które już wyruszyły w drogę.

*

Pięć minut później lekki helikopter marki Kamow wystartował z wyspy, kierując się na zachód z nosem w dół dla uzyskania maksymalnej szybkości.

9.

Zachodni Pacyfik

Z ciemności dochodziły odgłosy śpiewu. Muzyka taneczna. Śmiechy i krzyki ludzi. Widziała nieszczęsną postać młodej, półnagiej dziewczynki na dnie sampana, chude ciało zanurzone w wodzie przelewającej się przez zęzy. Dziewczynka uniosła głowę i patrzyła oszołomiona na błyszczące światła.

Był to płaskodenny statek pasażerski przypominający śródlądowe statki na Missisipi, widywane na zdjęciach. Na dolnym pokładzie kobiety w pięknych wieczorowych sukniach tańczyły z partnerami w białych garniturach z tropiku. Na jednym końcu parkietu znajdował się długi, dobrze zaopatrzony bufet, a na drugim niewielka orkiestra. Mężczyzna w smokingu śpiewał do mikrofonu. Całe zjawisko oddalone było nie więcej niż o sto metrów i przepływało niczym wybrylantowana księżna wdowa. Usłyszała czyjeś krzyki. To dziewczynka, zupełnie już przebudzona, wymachiwała rozpaczliwie koszulą do przepływającego obok statku. Ale nikt jej nie zauważył, orkiestra dalej grała, piosenkarz nie przestawał śpiewać. Nocna mgła stopniowo wchłonęła statek jak widmo powracające do swej tajnej kryjówki, ale dziewczynka nie przestawała krzyczeć. A potem ktoś wołał ją po imieniu.

- Lesa! Lesa!

Przyjazny głos. Głos pełen niepokoju. Głos, któremu mogła zaufać. Ale był to głos mężczyzny, więc jak mogła mu ufać?

Otworzyła oczy: zniknęła dziewczynka i statek, i muzyka, i tancerze, i noc, i zimno. Przez ułamek sekundy znalazła się znowu w pachnącej wilgocią pakamerze, Lin trzymał ją w

ramionach; czuła ciepło jego ciała, kiedy poruszał się w niej. Odwróciła oczy od ekranu przeszłości, starając się skoncentrować na terażniejszości, i zobaczyła, że to nie Lin, tylko Harry.

- Leso, Leso, co się stało?

Nie dotykał jej. Lekcja poskutkowała. Przez sekundę, ślepą, irracjonalną sekundę, pragnęła, żeby było inaczej. Potrzebowała ciepła, bliskości ludzkiego zwierzęcia, żeby zamknąć zimną przepaść pomiędzy przeszłością, kiedy to przez krótką chwilę kochał się z nią młody mężczyzna, ponieważ chciała tego, a ową ponurą całą terażniejszości, której ściany wyrosły wokół niej, w momencie gdy została zgwałcona, a cała jej rodzina wymordowana.

- Musiało mi się coś śnić - wymamrotała usiłując się podnieść.

Harry nawet nie próbował jej pomóc, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech ulgi.

- Na pewno ci się śniło, kochanie. Spałaś przez godzinę. Kto to jest Neti?

- Neti? ... Przyjaciółka.

Zdrada! Powiedz mi! Opowiedz mi całą historię!

- Co się z nią stało?

Leso przez sekundę się wahała. Ten łagodny mężczyzna zasługiwał na to, żeby mu wszystko powiedzieć; w wyniku tamtych straszliwych wydarzeń znalazł się tutaj.

Harry nie miał pojęcia, czemu się wahała. Postanowił ją pocieszyć.

- Hej, znalazłem coś dla ciebie! - Odpiął klapę na szczycie i szukał ręką na zewnątrz tratwy. - Proszę, przyjemne i suche. - Odwrócił się i pokazał Lesie jej kostium podróży Loretta. Znalazł nawet pasek, do którego ciągle przyczepiony był klimatyzator. - Myślisz, że będzie dobry?

Leso uśmiechnęła się z wdzięcznością i wzięła od niego kostium. Materiał był miękki w dotyku. Harry postarał się wysuszyć go dokładnie.

- O, tak! Dziękuję, Harry! Nie mogła mu zaszkodzić kąpiel w słonej wodzie, ten materiał jest niezniszczalny.

Harry roześmiał się.

- Jak moje spodnie. Popatrz na nie! Niezłe, co?

- Mój kostium wymaga jedynie nowej podszewki - kontynuowała Leso, nie wykazując zainteresowania garniturem Harry'ego. - A mam ich tu sporo. - W zestawieniu z ogólną sytuacją odnalezienie kostiumu było wydarzeniem zupełnie nieistotnym, a jednak Lesę wzruszył gest Harry'ego. Zaczynała żałować, że potraktowała go tak brutalnie, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

- No więc opowiedz mi o Neti.

Zawahała się. Jediną osobą, której opowiedziała całą historię, był Dawid Janson.

- To była moja najlepsza przyjaciółka przed dwudziestu laty, w czasach dzieciństwa w Wietnamie...

- Młodsza czy starsza od ciebie? - łagodnie pomógł jej Harry.

- Prawie trzy lata starsza... - Lesa zamknęła oczy i zobaczyła wyraźny obraz tej chwili, kiedy obydwie z Neti tańczyły z żurawiami. Słyszała nawet łopot skrzydeł, gdy żurawie na chwilę uniosły się w powietrze podczas owych dziwacznych tanów godowych. Ten łopot miał jednak zbyt regularny, zbyt mechaniczny rytm. - Słuchaj! - wykrzyknęła.

Harry zaczął nadśluchiwać. Już miał powiedzieć, że nic nie słyszy, kiedy Lesa przesunęła się na koniec tratwy i otworzyła klapę. Wiosłując rękami obróciła tratwę i wskazywała punkcik na niebie, który wydawał się przybliżać.

Był to helikopter Kamow z wyspy Kuro. Lesa i Harry spędzili na tratwie dwie godziny i dziesięć minut.

10.

„Rasputin” był pierwszym statkiem, który dotarł na miejsce katastrofy. Przybył tam w dwie godziny po tym, jak Lesę i Harry’ego zabrano. Helikopter marynarki amerykańskiej unosił się nad miejscem, gdzie rozbił się Skyliner, nie schodził jednak z pewnej wysokości, żeby prądy powietrza wywołane wirnikami jeszcze bardziej nie rozproszyły unoszących się na wodzie szczątków, które i tak rozpraszał wiatr i fale. W odległości około mili unosił się inny helikopter, który za pomocą urządzenia sonarowego usiłował zlokalizować kadłub Skylinera na dnie Pacyfiku. Ocean w tym miejscu miał dwie mile głębokości. Obserwatorzy z pierwszego helikoptera kierowali poruszeniami „Rasputina” za pomocą radia. Po trzech godzinach ciężkiej pracy przy użyciu sieci i harpunów trzyosobowa wietnamska załoga Diema zgromadziła na pokładzie całą górę namoczonych poduszek, pokrowców z siedzeń, plastikowych kubków i innych odpadków.

- Co mam dalej robić? - pytał Diem pilota pierwszego helikoptera.

- Czekać na fregatę i przekazać jej wszystkie te szczątki - poradził pilot.

- Jak długo to potrwa?

- Może do zmroku.

Diem zaniepokoił się. Miał na pokładzie kolejny cenny aparat do mierzenia gęstości strumienia, którego pilnie potrzebował Aleksy. Wyglądało na to, że pojawi się na Kuro z całodziennym opóźnieniem. Zastanawiał się, co na to powie Aleksy.

11.

Kuro, zachodni Pacyfik.

Najbardziej irytował Wiktora Koniewa fakt, że chociaż był dyrektorem obserwatorium na Kuro, nie miał magnetycznej karty otwierającej drzwi do laboratorium Aleksego Hegla w budynku kontrolnym. W laboratorium nie było dzwonka ani okien. Uprzedził telefonicznie Aleksego, że się do niego wybiera, i stał teraz wściekły pod drzwiami, uciekając się do jedynego sposobu zaanonsowania swojej obecności: do bicia pięściami w owe drzwi.

Wreszcie Anton Pachmann mu otworzył.

- Słucham?

Koniew zapanował nad swoją wściekłością.

- Przyszedłem zobaczyć się z Aleksym. Czeka na mnie.

Pachmann niechętnie go wpuścił i poprowadził korytarzem do schludnego gabinetu Hegla. Atletycznie zbudowany fizyk miał na sobie jedynie szorty; coś majstrował przy modelu torusa w skali jeden do dziesięciu, który zwieszał się z sufitu. Spojrzał obojętnie na Koniewa i kontynuował pracę.

- Dzień dobry, Wiktorze. Czemu to zawdzięczamy przyjemność twojej wizyty?

Koniew rozejrzał się po laboratorium. Był tu dopiero po raz trzeci. Zobaczył, że znowu zlekceważono jego polecenie, by usunąć nalepki ze wszystkich urządzeń nieradzieckiej produkcji. Na stole stał aparat do badania plazmy, marki Hughes.

- Obiecałeś mi, że przestaniesz się posługiwać wyłącznie zagraniczną aparaturą - powiedział sztywno, wskazując na budzący zastrzeżenia aparat.

Hegel wzruszył ramionami. Nie miał ochoty spierać się z Koniewem.

- Wiktorze, obiecałem, że zastosuję się do twojego polecenia, kiedy tylko będzie to możliwe. Jeżeli znajdziesz nam skonstruowany w kraju aparat do badania plazmy, który działa z równą precyzją, chętnie się nim posłużymy. Prawda, Anton?

Pachmann niedbale skinął głową, nawet nie odrywając wzroku od rysunków, których studiowaniem był zajęty.

- Co z tego, że Związek Radziecki dokonuje największego przełomu w dziejach fizyki, jeśli musimy się przy tym posługiwać amerykańską aparaturą? - dopytywał się Koniew.

Hegel przypatrywał mu się swoimi lodowatymi, niebieskimi oczami.

- Co ty chcesz zyskać na tym całym projekcie? Chodzi o działający strumień plazmy czy o platformę polityczną dla ciebie i twoich spiskujących kumpli na Kremlu?

Łatwo było sprowokować Koniewa. Wystarczyło okazać pogardę jego Leninowskiej

Grupie Reform. Znacznie trudniej przychodziło uwierzyć, że siwowłosy, jowialny i uśmiechnięty, przystojny mężczyzna, który witał gości na wyspie i ten rozsierdzony zapaleniec stojący teraz przed Heglem to ta sama osoba.

- Gdyby nie ja, nie byłoby żadnego projektu! - wrzeszczał Koniew. - Ja poznałem się na twoim talencie, ja spędziłem całe godziny przekonując niezliczone komisje, że powinniśmy wybudować ten teleskop, ja strawiłem Bóg wie ile godzin na takim preparowaniu rachunków, żeby nie zabrakło ci niezbędnych funduszy! Gdyby nie ja, nie byłoby torusa. - Koniew uświadomił sobie, że przeholował, więc opanował się. Dodał spokojniejszym tonem: - Chyba zdajesz sobie sprawę, Aleksy, że twoja niekompetencja i głupota o mało nie zaprzepaściły całego projektu.

Na to oskarżenie nawet Pachmann podniósł wzrok znad rysunków. Na twarzy Hegla nadal igrał uśmiech wywołany tym wybuchem, ale głos jego brzmiał niebezpiecznie spokojnie:

- O czym teraz mówisz, Wiktorze?
- O próbnym wystrzeleniu wiązki torusa w ubiegłym miesiącu.
- I co z tego?
- Satelita, którego wybrałeś na cel, to nie był Sojuz 560!

Hegel wzruszył ramionami.

- Byłeś w pokoju kontrolnym. Widziałeś pomiary celownicze. Dałeś rozkaz wystrzelenia.

- Ponieważ jak głupiec uwierzyłem w twoje słowa, że celem był Sojuz 560! Nie jestem ekspertem od satelitów, do jasnej cholery!

- Nie ma sprawy - powiedział pogodnie Hegel. - To jakiego satelitę ustrzeliliśmy?

Koniew otworzył swoją aktówkę i położył przed Heglem zdjęcie. Widać na nim było dużego satelitę łączności na orbicie. Wyglądał normalnie, poza dziurą wyrwaną w tylnej części, w pobliżu grupy anten.

- Nowy dyrektor Orbitalnego Teleskopu imienia Konstantego Ciołkowskiego jest członkiem naszego ruchu. Poprosiłem go o wykonanie kilku zdjęć Sojuza 560, na tegomiesięczne zebranie komitetu wykonawczego. Satelita okazał się nie uszkodzony, więc dyrektor sprawdził inne nieczynne satelity w pasie Clarke'a i oto co znalazł! PacSat 19! Satelita komercyjny!

Hegel podał zdjęcie Pachmannowi, który przyglądał mu się z profesjonalnym zainteresowaniem. W końcu świadczyło ono o sukcesie niemal dwudziestoletnich badań.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się tym przejmujesz - zauważył Hegel. - Pokaż to

swojemu wspaniałemu komitetowi. Jeżeli są równymi nieukami jak ty, nie będą wiedzieli, o jakiego satelitę chodzi.

Ta odpowiedź rozwścieczyła Koniewa.

- Nie mogę im tego pokazać! Ale to jeszcze nie wszystko! Dwa tygodnie temu Amerykanie zdjęli tego satelitę z orbity!

- Więc na czym polega problem?

Koniew nie mógł uwierzyć w obojętność fizyka.

- Problem, mój drogi Aleksy, polega na tym, że dzięki twojej monsturalnej niekompetencji Amerykanie wiedzą już o istnieniu wiązki, zanim byliśmy gotowi zagrać w otwarte karty!

- To wygląda jak uszkodzenie przez meteoryt - odezwał się po raz pierwszy Pachmann. Hegel skinął głową.

- Oczywiście. Amerykanie robią dokładnie to co my i Francuzi w programie Hoovera. Duże geosynchroniczne satelity magazynowane są w ładowni promu kosmicznego i wypuszczane na niską orbitę okołoziemską, żeby spaliły się po kilku godzinach od ponownego wejścia w atmosferę. Proste. PacSat 19 już przestał istnieć.

- Nie istnieje też dowód na to, co osiągnęliśmy - zareplikował Koniew.

Hegel zaczynał mieć dosyć całego sporu.

- Słuchaj, Wiktor. Ty zmusiłeś nas do próbnego wystrzelenia, zanim byliśmy gotowi. Musieliśmy z Antonem pracować po dwadzieścia godzin na dobę, żeby zdążyć na wyznaczony przez ciebie termin. Więc ty ponosisz odpowiedzialność za wszystkie popełnione błędy. A w ogóle, to dlaczego mamy dalej utrzymywać to w tajemnicy? Udowodniliśmy, że torus działa. Jaki sens ma dalsze podtrzymywanie tego idiotycznego melodramatu z tajną bronią? Pora opublikować wyniki.

Koniew spojrzał na Hegla z nie ukrywaną pogardą.

- Aleksy, może jesteś znakomitym fizykiem, ale musisz być politycznym kretynem, jeśli nie doceniasz torusa jako oręża politycznego.

Tym razem Hegel o mało nie stracił panowania nad sobą. Do tej pory bawiło go igranie z wybuchowym temperamentem Koniewa.

- A teraz, towarzyszu, posłuchajcie mnie uważnie. Obaj z Antonem pracowaliśmy nad tym niemal dwadzieścia lat. Nasze teorie sprawdziły się w praktyce. Mamy czynny prototyp, który możemy zademonstrować całemu światu. Nie tylko garstce twoich zacofanych kumpli.

Koniew aż się zjeżył.

- Mnie nie interesuje prototyp. Musimy mieć cały system operacyjny, gotowy na

wybory za trzy lata, żeby przekonać ludzi radzieckich, że nasi kandydaci mogą im zaofiarować najlepszą gwarancję pokoju i bezpieczeństwa z pozycji siły, a także powrót do podstawowych zasad i pryncypiów założycieli naszego państwa. Przeprowadzimy kolejne próbne wystrzelenie za miesiąc od dzisiaj, w obecności członków komitetu wykonawczego. Tym razem ja wybiorę cel i będę osobiście nadzorował wszystkie fazy próby! - Koniew zabrał zdjęcie od Pachmanna i wepchnął je do aktówki. - Trzy tygodnie, towarzyszu Hegel, pierwszego maja. Myślę, że będzie to najbardziej odpowiedni termin na przeprowadzenie próby, prawda? - Skierował się w stronę drzwi. - I jeszcze jedno, będę domagał się klucza do laboratorium. Ma się znaleźć na moim biurku za trzy godziny. To rozkaz.

- Boże drogi, jak ja nienawidzę tego faceta - wymamrotał Hegel po wyjściu Koniewa.

- No to jest nas dwóch - skomentował Pachmann.

- Nie dostanie klucza. Niech go diabli porwą. Teraz on nas potrzebuje bardziej niż my jego. Coś ci powiem, Anton, jestem zmęczony, mam dosyć tej przeklętej dziury, dosyć słuchania rozkazów tego domorosłego komisarza, mam dosyć tego projektu, teraz kiedy wszystko działa. I mam dosyć tego, żeby czekać na uznanie tak długo, jak będzie się podobało Koniewowi.

- Znowu jest nas dwóch - powiedział Pachmann spokojnie.

Hegel obrzucił kolegę szybkim spojrzeniem. Nawet po dwudziestu latach współpracy nie miał najmniejszego pojęcia, o czym myśli ten nadzwyczajnie opanowany człowiek.

- W porządku. Co tam pichcisz w tym swoim przewrotnym umyśle?

- Skoro torus działa, chyba przyszła pora zademonstrować nasze osiągnięcia całemu światu, wybierając bardziej ambitny cel niż jakiś zdechły satelita.

- Jakiego rodzaju cel?

Pachmann pogrzebał w papierach i podał Heglowi rysunek. Starszy mężczyzna przyglądał mu się zaskoczony. Napotkał szyderyczy wzrok Pachmanna.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej - odpowiedział spokojnie Pachmann. - Planowany start dwudziestego dziewiątego kwietnia.

- Czy to się da zrobić? Pod samym nosem Koniewa i jego kumpli w ośrodku kontrolnym?

- Nie będzie trudno załadować do jego konsoli fikcyjne dane. Potem da się je usunąć. My możemy siedzieć przy tej prawdziwej w głębi pomieszczenia obserwując prawdziwy cel, podczas gdy Koniewowi i jego marionetkom załadujemy cel-atrapę. Dzisiaj jest dziewiąty kwietnia. Mamy dwadzieścia jeden dni pracy do pierwszego maja. Będzie to ciężka praca, ale

da się zrobić.

Hegel zachichotał.

- To z pewnością wykończy towarzysza Koniewa i co bardziej ambitnych członków jego kliki opętanej żądzą władzy. Jednym strzałem ubijemy dwa ptaki.

- Jednego ptaka z całą pewnością - w głosie Pachmanna brzmiała kliniczna obojętność. - I to dużego. Nieszczęsny wypadek spowodowany pośpiechem towarzysza Koniewa przy posługiwaniu się nową, nie wypróbowaną technologią. Oczywiście, nie będziemy szczydzili przeprosin. Wykańczając w ten sposób Koniewa i jego małą grupkę, zademonstrujemy jednocześnie światu nasze osiągnięcia.

Hegel przyjrzał się swemu koledze, a potem przeniósł wzrok na rysunek. Przez kilka sekund milczał, po czym roześmiał się głośno, niepoohamowanie, kiedy dotarli do niego wszystkie implikacje sprawy.

- Wiesz co, Anton? Jesteś cholerny drań!

Rysunek przedstawiał amerykański prom kosmiczny.

12.

Hongkong, 9 kwietnia

Hugo Sukarno w kompletnym milczeniu oglądał wiadomości telewizyjne w języku angielskim. Sammy od czasu do czasu rzucał zaniepokojone spojrzenie na swego pracodawcę, ale idąc za głosem rozsądku nie odzywał się.

„Linie Kowloonu podały nazwiska ocalałych pasażerów. Są to: Lesa Wessex, właścicielka firmy w Zjednoczonym Królestwie, i Harry Dysan, pracownik naukowo-badawczy z Florydy - mówił spiker. - Przebywali w Hongkongu jako turyści, lecieli na wyspę Kuro na jednodniową wycieczkę, kiedy Skyliner wpadł do Pacyfiku mniej więcej w godzinę po starcie z lotniska Kai Tak. Mamy dla państwa następujące sprawozdanie przygotowane przez Johnny Hardinga.”

Obraz przeniósł się ze studia. Pokazano wykonane z helikoptera ujęcie sieci unoszonej z pokładu „Rasputina”, ze szczątkami po katastrofie. „To wszystko, co pozostało z czarterowego odrzutowca Foxtrot Victor, należącego do Kowlońskich Linii Lotniczych, który wpadł do morza tuż po dziesiątej czterdzieści pięć dziś rano - relacjonował niewidzialny reporter. - Helikopter z wyspy Kuro, dokąd udawał się Skyliner, znalazł się na miejscu katastrofy w dwie godziny po nadaniu alarmu i zabrał rozbitków. Dwuosobowa załoga odrzutowca poszła na dno wraz z samolotem. Dwa helikoptery i ten jacht motorowy

Przeszukują obecnie miejsce wypadku w nadziei, że odnalezienie dalszych szczątków samolotu przyczyni się do wyjaśnienia powodów katastrofy. Wieczorem do poszukiwań dołączy fregata Marynarki Wyzwolenia Ludowego, która już jest w drodze na miejsce wypadku. Słyszeli państwo Johnny Hardinga, dwieście mil na zachód od wyspy Kuro, w specjalnym sprawozdaniu dla radia i telewizji Hongkongu.”

Na ekranie znowu pojawiła się spikerka ze studia. „Komisja badająca przyczyny wypadku znajduje się obecnie na wyspie Kuro, gdzie przesłuchuje uratowanych z katastrofy pasażerów - zakończyła.

- Będziemy informowali państwa na bieżąco w miarę zdobywania nowych wiadomości.”

Sukarno wyłączył dźwięk i spojrzał na Sammy’ego z kamiennym wyrazem twarzy, rozwijając równocześnie cygaro.

- Przykro mi, panie Sukarno - powiedział niezręcznie Sammy. - Zrobiłem, co mogłem.

Istotnym czynnikiem sukcesów Sukarno był fakt, że rzadko wymyślał pracownikowi, kiedy ów pracownik zrobił, co mógł. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Sammy podłożył bombę, i nie interesowało go to; dużym osiągnięciem było, że Sammy’emu w ogóle udało się podrzucić ładunek. Skinął głową i zapalił cygaro, co Sammy przyjął z niewypowiedzianą ulgą.

- Miałeś pecha, Sammy. Zapowiada się na poważne śledztwo, więc może dobrze byłoby, żebyś wydał zarobione pieniądze na wakacje w Singapurze czy gdzieś indziej. Nie chcę w każdym razie, żebyś tu przychodził. Wiesz, gdzie szukać swojego honorarium.

Sammy nie dowierzał uszom.

- Szefie, chce pan powiedzieć, że zamierza pan mi zapłacić?

- Powiedziałem, że wiesz, gdzie go szukać.

Sammy przeszedł przez gabinet i otworzył szufladę biurka. Znajdowała się tam druga połowa jego honorarium. Porządna paczka banknotów, którą z wdzięcznością wsunął do kieszeni.

- Bardzo dziękuję, szefie - powiedział kłaniając się uprzejmie.

Sukarno powoli zaciągnął się cygarem i wypuścił kłęb dymu, nie przestając obserwować działającego bezgłośnie telewizora.

- Sammy, dalej chciałbym, żebyś się z nią rozprawił, więc oddawaj się poważnym rozmyśleniom w czasie wakacji. Czy wyrażam się jasno?

Sammy entuzjastycznie kiwał głową.

- Następnym razem nie spartaczę, szefie.

Indonezyjczyk uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie, Sammy. Nie za drugim razem. To byłoby bardzo nierozsądne. Ale nie będzie następnego razu. Przez jakiś czas.

- Dlaczego, szefie?

- Bo wydaje mi się, że tymczasem rozsądniej będzie zostawić pannę Wessex w spokoju.

13.

Kuro, zachodni Pacyfik, 10 kwietnia

Lekarz rezydujący na Kuro był zachwycony, że ma coś do roboty. Doktor Walentyna Lenka była młoda, czarująca i kompetentna. Lesa i Harry przeszli skrupulatne badania w jej klinice, mimo gorących zapewnień, że czują się świetnie. Uspokoila się, dopiero kiedy sama się przekonała, że wyczerpujące przejścia nie wpłynęły ujemnie na ich stan fizyczny. Jednakże pamiętając o efektach opóźnionego szoku, doktor Lenka nie zważała na protesty pacjentów i podała obojgu duże dawki środków uspokajających. Sen, zapewniała, jest najlepszym lekarstwem. Chciała dać Lesie i Harry'emu możliwość pełnego dościsia do siebie, zanim staną twarzą w twarz z komisją badającą przyczyny wypadku i dziennikarzami, którzy po południu przylecieli z Hongkongu.

O siódmej następnego ranka obudziło Lesę chrapanie Harry'ego na sąsiednim łóżku. Nie było to nawet szczególnie głośnie chrapanie, ale Lesa nie była przyzwyczajona do sypiania w jednym pokoju z chrapiącymi mężczyznami czy w ogóle do dzielenia pokoju z kimkolwiek. Przez chwilę czuła się kompletnie dezorientowana w nie znanym otoczeniu, dopóki nie przypomniała sobie wydarzeń poprzedniego dnia. Pokój oświetlony przyćmionym światłem przypominał miniaturowy, ale dobrze wyposażony oddział szpitalny. Jakaś wrażliwa osoba pomyślała nawet o wazonie z cudownie kwitnącym hibiskusem, prawdopodobnie lokalnego pochodzenia. Przez żaluzje przenikało światło wczesnego poranka. Łóżko Lesy, jak łóżka szpitalne na całym świecie, było bardzo twarde. Opuściła nogi na plastikową wykładzinę podłogi i zorientowała się, że ubrana jest w piżamę w dobrym gatunku, choć zupełnie nie pamiętała, kiedy mogła się w nią przebrać. Na tacy znajdował się wielki wybór samoochładzających się soków owocowych; dwa zimne łyki całkowicie przepędziły resztki senności. Na krześle przy łóżku dostrzegła z przyjemnością własną walizkę. Była w niej zmiana bielizny i dwie jednorazowe podszewki do podróznego kostiumu. Kostium wisiał obok ubrania Harry'ego, dobrze wyczyszczony w parze. Naładowano nawet baterie klimatyzatora. Najbardziej ucieszyła się na widok Klipsofonu. To,

co brała za szafę w ścianie, okazało się łazienką; po dziesięciominutowym prysznicu i energicznym wytarciu się gotowa była na konfrontację ze wszystkim, na co może ją narazić świat, poza chrapaniem Harry'ego. Dopiero kiedy włożyła kostium podróży, naraziła Harry'ego na chwilę nieprzyjemności, wylewając krople lodowatego soku pomarańczowego na jego obnażoną pierś. Harry przewrócił się na bok i przestał chrapać.

Lesia podciągnęła żaluzje i wyszła na maleńką werandę ze stołem i krzesłami. Niejasno przypominała sobie to miejsce z poprzedniego dnia. Teraz miała okazję dokładnie rozejrzeć się po otoczeniu. Z kliniki rozciągał się widok na pustą przystań. Ani śladu „Rasputina”. Jedyne oznaki życia widoczne były w barze po drugiej stronie drogi - właściciel czy kierownik właśnie otwierał okiennice i wynosił na zewnątrz stoły i krzesła. Poranne słońce stało nisko po przeciwległej stronie przysadzistej góry. Szczyt góry wieńczyły cztery szkielety konstrukcji podtrzymujących zwierciadła teleskopu. Dopiero kiedy Lesia zobaczyła ciężarówkę na betonowym fartuchu wokół teleskopu, uświadomiła sobie gigantyczną skalę całej budowli.

Zastanawiała się, czy jest na Kuro wzmacniacz satelitarny Klipsofonu; kiedy włączyła miniaturowy aparat, ukazał się napis SYSTEM W STANIE GOTOWOŚCI. Wybrała numer Darryla.

- Lesia! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Co się stało, do diabła? Strasznie się o ciebie niepokoiłem. Co znaczą te informacje w dzienniku, że byłaś w katastrofie lotniczej? Usiłowałem się do ciebie dodzwonić, a rodzice szaleją z niepokoju, bo ich wszystkie telefony przełączane są na twoją automatyczną sekretarkę.

Lesia opowiedziała Darrylowi o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin, w wielkim skrócie, i zapewniła go, że czuje się świetnie. Nie, nie ma pojęcia, kiedy wróci do domu. Może Darryl zechce zadzwonić do Dawida i Carrie i poinformować ich, że wszystko w porządku, bo ona nie ma siły na długie wyjaśnienia przez telefon.

Kiedy skończyła rozmowę i zwolniła kanał, niewielka osada przebudziła się niemal całkowicie. Lekkie ciężarówki jeździły w różne strony. Przez kilka minut Lesia siedziała nieruchomo, dopóki nie usłyszała zbliżającego się warkotu silnika. Wzdłuż nabrzeża przystani przejeżdżał dżip. Wyjechał prawdopodobnie z bungalowu, uczeplonego zbocza niewielkiego wzgórza po przeciwnej stronie zatoki. Nawet w ten ciepły poranek przeszył ją lodowaty dreszcz, a puls uderzył szybciej. Nie było wprawdzie śladu „Rasputina”, ale Lesia miała pewność, że wyczuwa obecność mężczyzn, którzy zmasakrowali jej rodzinę. Ogarnęło ją uczucie zbliżone do mdłości. Ta nagła słabość, tak niezwykła przez swą intensywność, zdumiała ją, ale i przeraziła zarazem. Dżip podjechał na odległość około dwustu metrów od

miejsca, gdzie siedziała, i skręcił w boczną drogę, która zapewne prowadziła w głąb wyspy. Dostrzegła jedynie dwie ręce trzymające kierownicę i owłosione przedramię oparte na drzwiczkach po stronie pasażera. Nie mogła być w stu procentach pewna, ale kiedy nisko stojące słońce padło na owo przedramię, wydawało się, że pokrywają je wyjątkowo jasne włosy.

- Teraz to już niedługo, Neti - wyszeptała, kiedy przeszła jej fala mdłości. - Bardzo niedługo.

Na werandzie pojawił się niechlujnie wyglądający Harry, przyodziany w piżamę. Na skroni miał opatrunek, był nie ogolony i rozczochrany.

Wyglądał jak uosobienie źle zapowiadającego się dnia.

- Będziesz musiała za mnie wyjść - oświadczył osuwając się na krzesło.

- A to dlaczego?

- Spędziłaś ze mną noc. Moja rodzina będzie nalegać, że jedynie małżeństwo może ocalić mój honor.

Zjadliwą odpowiedź Lesy przerwało pojawienie się dr Walentyny Lenki w samochodzie Łada. Harry wyobrażał sobie, że rosyjskie lekarki to olbrzymie, atletycznie zbudowane matrony, z przyrządami do lewatywy na szyi zamiast stetoskopu. Walentyna Lenka nie odpowiadała temu stereotypowi, była bowiem drobniutką brunetką, dobiegającą trzydziestki.

- Obydwoje wyglądacie świetnie - oznajmiła pogodnie, otwierając swój gabinet. - Z baru po drugiej stronie ulicy przysłał śniadanie. W tym, co u nas uchodzi za hotel, przebywa cała banda dziennikarzy i członków komisji badającej przyczyny katastrofy. Mam nadzieję, że macie dość siły, żeby się z nimi spotkać. Jeśli nie, zawsze mogę ich wyrzucić z terenu kliniki.

- Myślę, że mamy na to dość siły - powiedziała Lesa uśmiechając się. Wycelowała kciuk w Harry'ego. - Inna sprawa, czy oni będą mieli dość siły na spotkanie z czymś takim!

14.

Anton Pachmann siedział przed telewizorem w domu Hegla i za pomocą pilota usiłował nastawić odbiornik satelitarny na Kanał Informacyjny NASA, kanał, który zgodnie z zarządzeniami Koniewa nie był już retransmitowany na użytek mieszkańców wyspy Kuro. Kiedy Pachmann osiągnął czysty dźwięk i wyraźny obraz, nacisnął odpowiedni guzik, by tę częstotliwość zakodować w pamięci. Zazwyczaj na kanale nadawano tekstowe informacje o aktualnej działalności agencji, przeplatane specjalnymi filmami dokumentalnymi.

Przeznaczone to było raczej na użytek organizacji oświatowych i agencji informacyjnych niż dla szerokiej publiczności, chociaż nadawane na żywo fragmenty ze stacji kosmicznych, a zwłaszcza startów promów kosmicznych, często przyciągały dużą liczbę widzów, mimo że starty promów stały się zjawiskiem codziennym. Niewiarygodne widowisko - statek orbitalny unoszący się z przylądka Canaveral czy Vanderberg w kolumnie ognia i grzmotów - nigdy nie traciło atrakcyjności.

Pachmann śledził kolejne napisy na ekranie i zawołał Hegla z kuchni, kiedy pojawiła się informacja, na którą czekał. Hegel nie lubił, żeby Przerrywano mu zajęcia kulinarne, gdy przychodziła jego kolej na odmrożenie posiłku.

- Nie mam czasu na oglądanie telewizji, kiedy gotuję - narzekał.

Pachmann wskazał na ekran. Pokazywana właśnie fiszka, sformułowana w najczystszy żargonie NASA, głosiła:

NUMER STARTU PROMU: 323

MIEJSCE STARTU: PRZYŁĄDEK CANAVERAL

POJAZD ORBITALNY: COLORADO

DATA STARTU: 29 KWIETNIA

CZAS STARTU: 0600 WSCHODNIEGO CZASU

ZAŁOGA:

MATT GOSLING - DOWÓDCA

PAUL BALCHIN - PILOT

STELLA RICHARDS - OFICER ZAŁADUNKOWY

CEL: 37 000 KM ORBITY CLARKE'A

PROFIL MISJI: PROGRAM HOOVERA. KONTYNUACJA ZBIERANIA Z ORBITY
43 NIECZYNNYCH GEOSYNCHRONICZNYCH SATELITÓW W ŁUKU
RÓWNIKOWYM 130-133 STOPNIE DŁUG. WSCHODNIEJ.

CZAS TRWANIA MISJI: 100 GODZIN.

- Nieźle - skomentował obojętnie Anton. - To znaczy, że prom znajdzie się dokładnie nad nami pierwszego maja.

15.

Zdawało się, że pytaniom nie będzie końca. Przez trzy godziny uprzejmi, poważni członkowie komisji, uzbrojeni w kamery magnetowidowe i magnetofony, przesłuchiwali na zmianę Lesę i Harry'ego w dziennym pokoju kliniki. Przesłuchiwano ich pojedynczo jak

podejrzanych o przestępstwo, czasami to samo pytanie padało wielokrotnie pod różnymi postaciami. Czasami dołączali nawet obecni przy tym dziennikarze...

Nie, Lesa nie ma pojęcia, czy to była bomba. Powiedziała, że nie wie, jakie wrażenie wywołuje bomba wybuchająca w samolocie. Nie, nie zauważyła żadnych ptaków, zanim usłyszała huk. Nie, nie widziała piór. Nie, nie pamięta, co wskazywały poszczególne instrumenty. Nie przyjęto jej propozycji, że narysuje tablicę rozdzielczą. Przesłuchujących nie interesowało to, co, ich zdaniem, Lesa zdolna byłaby narysować. Chodziło im o fakty i byli rozczarowani, czego nie ukrywał najważniejszy z nich, że Lesa, znajdująca się najbliższej źródła katastrofy, okazała się tak mało spostrzegawcza. Lesę zaczęło to wszystko złościć i przesłuchanie przerodziło się w gorący spór, który zakończyła Walentyna Lenka, wyrzucając z pokoju i przesłuchujących, i dziennikarzy.

16.

Wiktor Koniew natomiast był cały w uśmiechach i promieniował wdziękiem, kiedy po obiedzie przyszedł odwiedzić Lesę i Harry'ego.

Naturalnie przyprowadził ze sobą fotografa. Uścisnął im serdecznie dłonie, wyrażał współczucie z powodu szokujących przeżyć i oświadczył, że skoro wybierali się na Kuro, żeby obejrzeć jego wspianiały, nowy teleskop, wobec tego sam osobiście będzie służył im za przewodnika.

Walentynie rzadko zdarzało się dostać pod opiekę dwójkę pacjentów. Nie miała wielkiej ochoty spuszczać ich z oka, ale musiała przyznać, że doszli w pełni do siebie i nie ma żadnego powodu zatrzymywać ich w klinice.

- Linie Kowloonu przysyłają po was jutro odrzutowiec - wyjaśnił Koniew, kiedy trzęśli się na wybojach, wspinając się dyrektorską Ładą w upale i kurzu po krętej i wyboistej drodze do siedziby teleskopu. - Nie ma w tej chwili na wyspie żadnych przyjezdnych astronomów, więc jest miejsce w hotelu na noc. Mam nadzieję, że doktor Lenka poinformowała państwa o przepisach obowiązujących gości. Wywieszane są w ośrodku informacji. Światła pojazdów muszą mieć zainstalowane osłony, żeby przeciwdziałać zakłóceniom oświetlenia, ale to państwa, oczywiście, nie dotyczy. Dotyczą was natomiast przepisy bezpieczeństwa: goście mogą przebywać na terenie Kurogradu i na dwóch wyznaczonych do kąpielii plażach. Jeśli chcą państwo odwiedzić obserwatorium czy lotnisko, proszę bez wahania zatrzymywać samochody z prośbą o podwiezienie. Pod tym względem nie ma u nas żadnych formalności. Ale nie możecie włączyć się samodzielnie poza wyznaczonymi terenami. Dżungla pełna jest

jadowitych węży, no i są oczywiście czarnuchy.

- Czarnuchy? - zapytał Harry.

- Dzikie świnie. Bardzo dzikie, panie Dysan. Małe i wyjątkowo złośliwe. - Samochód zwolnił przed ostrym zakrętem. - Mamy stąd doskonały widok na obserwatorium.

Lesia nie zwracała większej uwagi na jowialnego Rosjanina, kiedy rozwodził się nad konstrukcją gigantycznego teleskopu. Całe zainteresowanie skupiła na zmieniającej się linii brzegowej, która ukazała się w chwili, gdy wyjechali poza strefę drzew. Nie widziała dokładnie jedynie miejsca, gdzie zza skalnego występu wyląniał się betonowy dach budynku przemysłowego. Harry obserwował ją ukradkiem i po raz setny zastanawiał się, co ją przywiodło na wyspę Kuro. Na pewno nie był to teleskop. Nawet kiedy Koniew wjechał na olbrzymi plac przylegający do solidnej betonowej osłony, uwaga Lesy koncentrowała się w dalszym ciągu na zachodnim wybrzeżu.

- Jesteśmy na miejscu, panie i panowie - powiedział Koniew wskazując dumnym, wielokrotnie wypróbowanym gestem ręki na budowę. - Największy teleskop optyczny na świecie.

Lesia podkręciła klimatyzator w swoim podróżnym kostiumie i spojrzała z ukosa na teleskop. Niewątpliwie robił wrażenie. Cztery gigantyczne sześciokątne ramy stalowe, podtrzymujące dziesięciometrowe lustra, umocowane były na solidnym betonowym podmurowaniu o wymiarach sto na dwadzieścia metrów, które z kolei znajdowało się pięć metrów nad poziomem gruntu. Prowadząc swoich gości schodami na szczyt betonowej osłony, Koniew przez cały czas wygłaszał tekst komentarza. Oparli się o balustradę ochronną wokół okrągłego wykopu, w którym mieścił się najbliższy teleskop. Niesamowita konstrukcja wywarła wystarczające wrażenie na Lesie, by oderwać jej uwagę od linii brzegowej wyspy. Rozmiary teleskopu były rzeczywiście kolosalne, co najlepiej można było sobie uświadomić obserwując technika, który w ochronnej uprząży siedział okrakiem na siatkowej ramie i robił wrażenie karła. Przycupnął na brzegu zwierciadła i dokonywał pomiarów naprężenia.

Harry zdjął i przeczyścił okulary słoneczne. Zachodziły bez przerwy mgłą w upale; wilgotność powietrza, jak przypuszczał, musiała wynosić prawie sto procent. Podobne warunki klimatyczne mogły się czasami zdarzyć na Florydzie, ale tutaj wydawały się normą, chociaż był dopiero kwiecień. Zazdrościł Lesie - wyglądała świeżo i wdzięcznie w dopasowanym kostiumie podróżnym, którego klimatyzator brzęczał cicho w pasku.

Koniew wykrzyknął jakieś powitanie po rosyjsku. Technik coś mu odpowiedział.

- To jest zwierciadło Alfa - wyjaśnił Koniew. - Zostało uruchomione najwcześniej i dostarczyło już mnóstwa informacji o najbardziej odległych galaktykach; tak odległych, że

szybkość ich ucieczki zbliżona jest do szybkości światła. - Znowu mówił coś do technika po rosyjsku. Wydawało się, że technik zgodził się z nim i powiedział coś do miniaturowego mikrofonu umieszczonego na wysiężniku wystającym z hełmu. - Myślę, że to państwa zainteresuje - zamruczał Koniew.

Rozległ się warkot niewidocznych silników. Jak zsynchronizowane działa okrętowe cztery teleskopy zaczęły obracać się równocześnie, nabierając znacznej szybkości, która zdawała się nie robić żadnego wrażenia na techniku obracającym się wraz z nimi. Lesa i Harry instynktownie odsunęli się od bariery ochronnej.

- Nie ma obawy - roześmiał się Koniew. - Mamy duży margines bezpieczeństwa.

- Zaskoczony jestem, że obracają się tak szybko - powiedział Harry, szczerze zdziwiony.

- To jest możliwe dzięki lekkiej konstrukcji - odpowiedział Koniew. - Jak państwo widzą, grubość zwierciadeł nie przekracza jednej trzeciej metra. Mogą robić wrażenie sztywnych, ale w istocie są bardzo elastyczne. - Pogрузzył się w wyjaśnieniach, jak krzywiznę luster nieustannie podtrzymują i korygują setki skomputeryzowanych aktywatorów przytwierdzonych do tylnych ścian owych luster. - Przy sprzyjających warunkach można prowadzić obserwacje z trzydziestu różnych pozycji w ciągu godziny. Staroświeckie teleskopy potrzebują wielu minut na zmianę pozycji. Nasze są w takim stopniu kontrolowane przez komputery, że istotne przy dawnych teleskopach umieszczanie ich na równiku, w celu kompensacji obrotów Ziemi, nie wchodzi już w rachubę. O, teraz się podnoszą.

Gigantyczna siatkowa konstrukcja stalowych rur zaczęła się podnosić, aż wszystkie cztery olbrzymie oka teleskopów skierowały się pionowo do góry. Ten kąt pozwolił Lesie i Harry'emu spojrzeć bezpośrednio przez środek wszystkich czterech luster.

- Dlaczego w drugim zwierciadle jest otwór? - zapytał Harry.

- A, tak, to zwierciadło Beta - powiedział Koniew. - Chodźmy, pokażę państwu.

Harry i Lesa poszli za radzieckim uczonym do ochronnej bariery wokół drugiego zwierciadła. Było identyczne z trzema pozostałymi, poza idealnie okrągłym otworem w środku o średnicy metra.

- Z tym lustrem mieliśmy mnóstwo problemów - powiedział Koniew, nie szczędząc gestykulacji. - Jego krzywiznę utrzymuje zmienny strumień zwoju magnetycznego, co pozwala na jeszcze większą dokładność. Niestety, na bardzo wczesnym etapie powstał błąd w samym zwoju, co spowodowało trwałe uszkodzenie centralnej części lustra. Nasi projektanci usunęli tę centralną część i pracują właśnie nad metodą przyspawania nowej części. Chodzi o oszczędzenie wielu milionów rubli, bo tyle kosztowałyby wmontowanie całego nowego

zwierciadła, ale obawiam się, że w końcu będziemy do tego zmuszeni. Jednak nawet w obecnym stanie Beta zbiera trzykrotnie więcej światła niż teleskop w Mount Palomar.

- W jaki sposób dowieźliście tu wszystkie materiały? - zapytała Lesa. - Na samą osłonę musiało pójść tysiące ton cementu. Niemożliwe, żebyście sprowadzili to wszystko samolotami.

- Ach, to nie jest twarda osłona - powiedział Koniew pouczającym tonem, jakby zwracał się do ucznia, co nie zyskało mu sympatii Lesy. - Ale i tak wszystkie przewieziono transportem powietrznym. Wyliczyliśmy koszty powiększenia przystani i otwarcia rafy, żeby umożliwić cumowanie dużych statków, i okazało się, że na dłuższą metę najtańszy jest transport powietrzny. Rafa praktycznie otacza całą wyspę, a to bardzo utrudnia i podraża wszelkie projekty budownictwa lądowego.

- Nie przeszkodziła jednak w budowaniu - Lesa wskazała ręką na dach betonowej budowli widoczny ponad cyplem skalnym.

- A, tak, to nasza mała elektrownia. Zaspokaja wszystkie nasze potrzeby. Atomowa, oczywiście, ale całkowicie bezpieczna.

- Całkowicie bezpieczna, ale wybudowana z dala od wszystkiego - skomentowała zjadliwie Lesa, odpowiadając lodowatym spojrzeniem na dobrotliwy uśmiech Koniewa.

- Droga panno Wessex, na wyspie Kuro wszystko położone jest blisko siebie. To bardzo mała wysepka.

Lesu uznała, że nie podoba jej się ten uśmiechnięty, srebrnowłosy mężczyzna. Nie dość, że bez przerwy okazywał swoją wyższość, co było wystarczająco nieprzyjemne, to należał ponadto do tego typu mężczyzn, którzy nawet nie usiłują ukrywać faktu, że w wyobraźni rozbierają kobietę za każdym razem, kiedy na nią spojrzą.

- Jeżeli wszystko przybywa na wyspę drogą powietrzną, to dlaczego Kurograd zbudowany jest wokół przystani? - kontynuowała.

- Z powodów historycznych, droga panno Leso. Japończycy postawili tu kilka budynków. Naturalne wydawało się dalsze budowanie w tym miejscu. Poza tym, od czasu do czasu do przystani wpływają niewielkie statki, a niektórzy nasi pracownicy bardzo lubią żeglarstwo. Nasz główny projektant ma własny jacht motorowy. Mieszkał na nim początkowo, kiedy cały projekt się zaczynał przed dwudziestu laty.

- Interesujące - skomentowała Lesa tonem, który bynajmniej nie świadczył o jakimkolwiek zainteresowaniu. - I co się stało z tym jachtem?

Harry ukradkiem spojrzął na Lesę. Wydawało mu się, że poznał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że za owymi pozornie przypadkowymi pytaniami kryje się określony cel.

- „Rasputin” znajdował się w drodze powrotnej na wyspę, kiedy skierowano go na miejsce waszej niefortunnej katastrofy. Z ostatniego komunikatu radiowego wynika, że ma pozostać na miejscu katastrofy, żeby pomóc w odnalezieniu wraku. Powinni wrócić jutro. Chodźmy, pokażę państwu pomieszczenie kontrolne.

Lesia i Harry posłusznie zeszli po betonowych schodach w ślad za swoim przewodnikiem. Weszli do długiego, niskiego, klimatyzowanego budynku. Z hallu udali się do dużego pomieszczenia bez okien, w którym królowały liczne pulpity sterownicze. Przy jednym z nich pracowało dwóch techników. W otwartych kanałach kontrolnych umieszczonych w podłodze widać było wiązki kabli elektrycznych i tory światłowodów. Działalność techników zdawała się irytować Koniewa, który zarzucił ich pytaniami w języku rosyjskim. Ich odpowiedzi najwyraźniej nie zadowolily go, ale nagle rozpromienił się cały w uśmiechu, kiedy uświadomił sobie, że ta wymiana zdań mogła być krępująca dla jego gości. Przez kilka minut Lesia widziała brzydką stronę jego charakteru, co jedynie potwierdziło jej nie najlepszą opinię o tym człowieku.

- Nasz główny projektant - powiedział niedbale - ciągle zarządza zmiany. Ciągłe zmusza techników do próbowania jakichś nowości. Czasami myślę, że ten teleskop nigdy nie będzie skończony.

- Jak dzieło sztuki - zauważyła Lesia. - Nigdy nie jest całkowicie doprowadzone do końca, najwyżej przerywa się pracę nad nim.

Koniew roześmiał się głośno, serdecznie.

- To prawda, panno Wessex.

Jeden z techników podchwycił wzrok Lesy i uśmiechnął się do niej; trudno jej było zachować powagę na widok min, jakie robił za plecami Koniewa. Najwyraźniej podwładni też nie darzyli go specjalną estymą.

- To bardziej przypomina pomieszczenie sterownicze elektrowni - zauważył Harry, świadomy milczącej wymiany uśmiechów pomiędzy Lesą a technikami. - Zupełnie inaczej sobie to wyobrażałem.

Koniew roześmiał się.

- Nie jest pan pierwszą osobą, która to spostrzegła, panie Dysan. Te konsole to komputery, które kontrolują lustra i położenie teleskopu. Główny operator teleskopu siedzi przy centralnym pulpicie i nastawia teleskop zgodnie z życzeniami astronomów, którzy mają własne pulpity obserwacyjne. Jak państwo widzą, przy każdym pulpicie jest indywidualny terminal komputerowy i ekran do odczytywania obrazów przetworzonych przez analizatory widma.

- Nikt już więcej nie patrzy przez okular? - zainteresował się Harry.

- Nie - potwierdził Koniew. - Komputer w ciągu sekundy otrzymuje setkę obrazów. Przy nowoczesnych, szybkich połączeniach satelitarnych astronomowie wcale nawet nie muszą przyjeżdżać tutaj, żeby posługiwać się teleskopem, ale są po prostu ludźmi, cieszy ich bezpłatna podróż na wysepkę na Pacyfiku, nawet jeśli Kuro nie dorównuje Hawajom pod względem bardziej dekadentkich atrakcji.

Mimo pewnej niechęci do Koniewa trzydzieści minut w pomieszczeniu kontrolnym sprawiło Lesie przyjemność. Z profesjonalnym zainteresowaniem oglądała aparaturę do przetwarzania obrazów i zatrzymała się dłużej przy serii zadziwiających zbliżeń termicznych obrazów Jowisza, które wykonano poprzedniego wieczora. Zdumiała ją, że Koniew nie umiał odpowiedzieć na większość jej pytań i musiał się zwrócić o pomoc do jednego z techników. Były to dość proste pytania dotyczące linii rozdzielczości zdjęć uzyskanych za pomocą elementów ze sprzężeniem ładunkowym. Zdziwiło ją więc, że Koniew nie potrafił udzielić odpowiedzi, a jego samego najwyraźniej to zirykowało.

- Wydaje się pani lepiej obznajomiona z tym przedmiotem niż większość naszych gości, panno Wessex. Chodźmy, nie możemy przeszkadzać tym ludziom w pracy.

- Przypadkowi goście! - mamrotała ze złością Lesa, kiedy szli za Koniewem do samochodu. - Chętnie bym udusiła przypadkowo tego faceta, gdybym tylko miała okazję!

- Czy jest jeszcze coś, co mógłbym państwu pokazać? - zapytał uprzejmie Koniew.

- Na przykład elektrownię? - podsunął Harry.

Koniew ze smutkiem pokręcił głową.

- Przykro mi, panie Dysan. Wstęp tylko dla pracowników. Nawet ja muszę dostać specjalną zgodę od kierownika elektrowni.

Lesia dostrzegła dżipa, którego widziała rano. Parkował na przeciwległym końcu budynku niż ten, w którym mieściło się pomieszczenie kontrolne.

- A co jest tam, panie Koniew? - zapytała.

- Laboratorium naszego głównego projektanta.

- Czy możemy tam zajrzeć?

Koniew otworzył tylne drzwiczki samochodu.

- Nie wydaje mi się, żeby było to wskazane. Aleksy Hegel, jak wszyscy geniusze, bywa bardzo trudny. Nie lubi gości.

- Hegel? - powtórzył Harry, zatrzymując się na sekundę, zanim w ślad za Lesą wsiadł do rozżarzonego wnętrza samochodu.

- Tak. Słyszał pan o nim? Oczywiście, jest bardzo znany.

Harry usiadł obok Lesy i usiłował sobie przypomnieć, kiedy wcześniej słyszał to nazwisko. Pamiętał, że czytał liczne artykuły na temat teleskopu, oglądał też film dokumentalny, ale było to przed kilku laty, podczas gdy nazwisko Aleksego Hegla zdawało się świeżo zapisane w jego pamięci. Pamięć miał nie najlepszą, więc musiał zetknąć się z tym nazwiskiem stosunkowo niedawno.

Lesy spojrzała pytająco na Harry'ego.

- Co o nim wiesz?

- To geniusz - powiedział przez ramię Koniew. Włączył silnik i wyjechał z terenu obserwatorium. - On wpadł na pomysł elastycznych zwierciadeł, co umożliwiło skonstruowanie teleskopu z dziesięciometrowymi lustrami.

- Gdzie on mieszka? - zapytała Lesy.

- Zauważyła pani bungalow na wzgórzu po drugiej stronie zatoki?

- Tak.

- To jego dom. Mieszka ze swoim asystentem Antonem Pachmannem. Ale teraz rzadko tam bywają. Wstawili łóżka polowe do laboratorium.

Samochód zaczął na niskim biegu zjeżdżać długą, krętą drogą do Kurogradu.

- Ale teraz, kiedy teleskop jest praktycznie skończony, muszą mieć mniej pracy? - dopytywała się Lesy.

Koniew zachichotał.

- To moja wina, panno Wessex. Dałem im termin rozwiązania problemów konstrukcyjnych ze zwierciadłem Beta.

- Niech pan uważa! - krzyknął Harry.

Koniew nacisnął hamulce i trąbił niecierpliwie na wojowniczo wyglądającego dzika. Zwierzę ustawiło się na środku drogi, gotowe do konfrontacji. Było mniejsze od domowej świni, od której się wywodziło. Całkowicie czarne, poza białą plamą na grzbiecie, nie miało śladu tłuszczu, który zwykle kojarzy się z domową świnią, za to błyskało parą długich, groźnych kłów. Stało z lekko pochyloną głową, dając wymowne świadectwo, iż potrafi posługiwać się tą swoją wspaniałą bronią, jeśli zajdzie potrzeba, a może nawet częściej.

- Czarnuch - powiedział Koniew, znowu naciskając klakson. - Teraz jest pora rui, przez co stają się bardziej uciążliwe. - Dzik zaryczał ze złością i zaszarżował na Ładę. Uszkodziłby samochód, gdyby Koniew nie dał silnikowi wyższych obrotów, nie zdejmując równocześnie ręki z klaksonu. Kopyta zwierzęcia ześlizgnęły się z gorącej maski i dzik wcale chyżo pobiegł w zarośla.

- Wygląda na to, że znowu trzeba będzie trochę je przetrzebić - skomentował Rosjanin

naciskając sprzęgło.

17.

- Koniew jest oszustem - powiedziała wieczorem Lesa, kiedy kończyli z Harrym kolację złożoną z pozbawionych smaku hamburgerów przy jednym ze stolików przed barem. W nocy Kurograd wyglądał bardziej atrakcyjnie, niemal romantycznie. Księżyc błyszczał nad zatoką, po nabrzeżach przechadzały się pary. W barze hałaśliwa grupa inżynierów oglądała mecz piłki nożnej.

- Co masz na myśli? - zapytał Harry, kończąc trzeci kieliszek whisky.

- Zadałam mu kilka prostych pytań z dziedziny techniki przetwarzania obrazów i nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

- Ma zupełnie odmienne przygotowanie niż ty - rzucił Harry.

Lesa zmarszczyła brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ty obserwujesz Ziemię z przestworzy, a on z Ziemi obserwuje kosmos.

- Powinien wiedzieć wszystko o przetwarzaniu obrazów.

- Może jest dobrym administratorem - zauważył Harry, usiłując uchwycić wzrok kelnera. Zatoczył ręką koło. - Musi być, żeby to wszystko uruchomić. - Spozrzegł, że wzrok Lesy znowu zatrzymał się na nie oświetlonym domku na wzgórzu. Obserwowała ten budynek przez cały wieczór. - Leso!

Ton jego głosu sprawił, że spojrzała na niego pytająco.

- Nie uważasz, że nadeszła pora, żeby mi powiedzieć, o co ci właściwie chodzi?

- O co mi chodzi?

- Dlaczego tak ci zależało, żeby przyjechać do tej przeklętej dziury?

- Już ci mówiłam, Harry. Słyszałam, że rozwinęli tu pewne techniki przetwarzania obrazów, które mogłyby przydać się w mojej firmie.

- Bzdura!

Rysy twarzy Lesy nabrały ostrości.

- Czy oskarżasz mnie o kłamstwo?

- Tak.

Przez chwilę wydawało się Harry'emu, że Lesa rzuci się na niego, pomimo obecności licznych świadków.

Kiedy się odezwała w głosie jej słychać było poskramianą wrogość.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że cię okłamuję?

- Ponieważ nie wierzę, że techniki używane w astronomii mogą mieć zastosowanie do zdalnego zwiadu. Oczywiście, że zainteresowało cię pomieszczenie kontrolne, jest interesujące dla każdego, nie na tyle jednak, by usprawiedliwić podróż niemal na drugi koniec świata. Poza tym, w centrum informacyjnym łatwo mogłaś się przekonać, że szczegóły wszystkich udoskonalonych tutaj technik publikowane są w czasopiśmie naukowych. - Harry przerwał i uśmiechnął się niepewnie. Lesa tak doskonale panowała nad sobą, że nie wiadomo było, czy ją zirytował. Domyślał się jednak, że chyba tak. - Leso, jeżeli chcesz się na kogoś wściekać, wybieraj wrogów, nie przyjaciół.

Wyzwoliło to jej niechęć do wszelkich form męskiej dominacji.

- Nie wyobrażaj sobie, Harry, że możesz się uważać za mojego przyjaciela - ucięła. Niemal zanim dokończyła zdanie, pożałowała swojej ostrej reakcji. - Przepraszam cię, Harry. Po prostu niełatwo zawieram przyjaźnie. A jeśli zawieram, to upływa dużo czasu, zanim uznaję ten fakt.

- Więc opowiedz mi wszystko - zachęcił Harry.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie teraz, Harry. Może kiedyś. Ale jeszcze nie teraz.

18.

11 kwietnia

O drugiej w nocy Lesa wstała z łóżka i wyjrzała przez okno hotelowego pokoju. Bar był zamknięty. Wewnątrz kilku stałych bywalców oglądało filmy z magnetowidu, i nic dziwnego, bo dostępne kanały telewizyjne oferowały jedynie straszliwą polityczną propagandę, o czym Lesa przekonała się osobiście. Na falochronie w przystani siedziało kilku zapalonych rybaków, na ławeczce zakochana para. Bungalow na wzgórzu dalej pogrążony był w ciemności, nie zanosilo się na to, by jego mieszkańcy mieli powrócić w ciągu nocy.

Lesa założyła nową podszewkę do podróżnego kostiumu, ubrała się i nastawiła klimatyzator na maksymalną wydolność, ponieważ dzięki inwersji tropikalnej temperatury noc była dusząco upalna. Natarła twarzą środkiem odpędzającym owady, który znalazła w hotelu, i czuła się gotowa stawić czoło niespodziankom nocy. Wcześniej znalazła w szufladzie toaletki zapas świec i zapalki. Najwyraźniej połączenie tajfunów i nadziemnych przewodów zasilających Kurograd w energię z tajemniczej elektrowni na zachodnim brzegu sprawiało, że często brakowało prądu. U Sowieców zadziwiające było to, że choć należeli do

najbardziej zaawansowanych technicznie narodów na świecie, powoli przyswajali sobie nowości typu nieprzerwanej dostawy prądu czy zapasowych generatorów. Lesa wsunęła świecę i pudełko zapalek do torebki przy pasku i wyszła z pokoju.

W recepcji hotelowej nie było nikogo. Na szczęście nie zamykano głównego wejścia. Wyspę zamieszkiwali przeważnie fachowcy należący do klasy średniej, toteż drobne przestępstwa zdarzały się tu pewnie bardzo rzadko. Samochody pozostawiano nie zamknięte, z kluczykami w stacyjce. Piętnaście minut zajęło Lesie obejście przystani i znalezienie drogi do bungalowu. Komary wyczuły jej obecność i pojawiły się całą chmarą, bronił jednak Lesę kostium podróżny i środek przeciw owadom.

Jedynym wejściem do bungalowu wydawała się boczna furtka w przerośniętym żywopłocie z hibiskusa. Nie była zamknięta. Lesa pchnęła furtkę i czekała w ciemnościach, obserwując i nasłuchując. Wyłączyła klimatyzator w obawie, by jego ciche buczenie nie zdradziło jej obecności, po chwili jednak włączyła go z powrotem uświadomiwszy sobie, że znacznie głośniejszą bzyczą owady. Zza chmur pojawił się księżyc i oświetlił ruchomą satelitarną antenę telewizyjną ustawioną na trójnogu podpartym workami z piaskiem. Kąt ustawienia talerza, skierowanego niemal prostopadle do góry, świadczył o tym, że Kuro znajduje się o dwadzieścia stopni na północ od równika. Lesę zdziwiła ta antena, była to bowiem jedyna prywatna antena satelitarna, jaką zauważyła na wyspie. Za talerzem, o średnicy metra, znajdował się niewielki basen. Słychać było pracę pompy, uruchamianej pewnie przez wyłącznik zegarowy, ale sam basen robił wrażenie zaniedbanego. Ostrożnie podeszła do czarnych, nie oświetlonych okien, gotowa uciekać, gdyby alarm podczerwony wykrył jej obecność na podstawie ciepłoty ciała. Ostrożnie obeszła bungalow i przekonała się, że wszystkie okna są zamknięte.

Powróciła na tyły posesji i dokładnie przyglądała się dachowi w nadziei, że wyjęcie kilku dachówek umożliwi wejście do środka. Ciężkie urządzenie z długą rurą służące do czyszczenia dna basenu, które dostrzegła w pobliżu komórki, podsunęło jej pewien pomysł. Przesunęła je o pół metra, by ustawić w dogodnej pozycji. Właściciel musiałby być człowiekiem wyjątkowo drobiazgowym, żeby zauważyć tak nieznaczne przemieszczenie przyrządu do czyszczenia basenu. Ustawienie aluminiowych krzeseł i ogólny bałagan na werandzie świadczyły raczej o tym, że mieszkańcy bungalowu nie grzeszą zaniłowaniem do porządku. Pchnęła rurę zdecydowanym gestem. Jej koniec uderzył w środek szyby obok bocznych drzwi, nie na tyle jednak mocno, by ją rozbić. Przy następnym pchnięciu rura ześlizgnęła się z szyby. No cóż, musiał to być wyjątkowo silny podmuch wiatru. Trzecie uderzenie rozbiło szybę z tak oszałamiającym hałasem, że chyba słychać go było w całej

osadzie. Lesa ukryła się błyskawicznie w cieniu żywopłotu z hibiskusa i czekała z bijącym sercem. Mijały minuty i nie zjawiał się nikt, by zbadać przyczynę hałasu. Wyszła z ukrycia i oceeniła szkody. Jak przewidywała, było to okno do kuchni. Odsunęła rurę z drogi i sięgnęła przez wybitą szybę do zasuwki. Okno otwierało się na zewnątrz. Starając się nie poruszać kawałków szkła na parapecie, wcisnęła się do wnętrza i przykucnęła na kredensie, zanim zwinnie zeskoczyła na podłogę. Kiedy się wyprostowała, strach, który uciskał kleszczami jej żołądek, ustąpił miejsca złowieszczemu przecuciu. Było ono czymś więcej niż tylko przemożnym zapachem zwierzęcego, męskiego potu, było obecnością, siłą, która oznakowała to miejsce, podobnie jak kot wydzielina z gruczołów policzkowych określa swoje terytorium i ostrzega nieprzyjaciół. Drżącą ręką zapaliła świecę.

Dwadzieścia lat wcześniej byłaby to najbardziej nowoczesna kuchnia w stylu zachodnim. Całe wyposażenie składało się z najlepszych wyrobów lat osiemdziesiątych: pralka Miele, kuchenka Smeg połączona w jedną całość z blatami, dopasowane szafki z imitacji sosny. W migającym świetle świecy całe wyposażenie wydawało się zniszczone i niechlujne; słuszne okazało się spostrzeżenie Lesy, że mieszkańcy nie przykładają zbyt wielkiej wagi do porządku - zlew wypełniały brudne naczynia, a z kosza na śmieci wysypywały się puste samochodzące puszkę po piwie. Z jednej puszkę Lesa zrobiła podstawkę pod świecę, którą uniosła wysoko do góry, rozglądając się za jakimiś wskazówkami, by z nich odgadnąć tożsamość mieszkańców. Nie znalazła jednak niczego takiego, żadnej wyblakłej fotografii na ścianie ani nawet bloczka do zapisywania poleceń i wiadomości.

We frontowym pokoju jej złowrogie przecucie stało się jeszcze silniejsze, potrafiła jednak zmusić się do zignorowania go. Porozrzucone na podłodze wokół telewizora kasety i skrzynka piwa świadczyły o tym, że pokoju tego używano głównie do oglądania telewizji. Warstwa kurzu i zapach wilgoci wskazywały, że nawet do tych celów od dawna już go nie wykorzystywano. Lesa włączyła pilotem telewizor i sprawdziła kolejne kanały, żeby dowiedzieć się czegoś o gustach mieszkańców, podobnie jak w minionych czasach goście wyrabiali sobie pogląd o charakterze pana domu studiując tytuły książek na półce. Telewizor nastawiony był na odbiór czterech kanałów. Kanał dla mężczyzn, dwa inne kanały również oferujące przez cały niemal czas pornograficzne filmy oraz, co ją zdziwiło, informacyjny kanał NASA. Przez kilka sekund Lesa obserwowała przesuwające się karty informacyjne, po czym wyłączyła telewizor, odkładając pilota dokładnie na to samo miejsce na stoliku do kawy. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu dalszych wskazówek. Nie było zdjęć w ramach, jedynie butelka alkoholu w kredensie.

W pierwszej sypialni, do której weszła, zastała dla odmiany wielki porządek. Buty i

sportowe tropikalne ubrania w szafie wskazywały na to, że ich właściciel jest dość skromnej postury. W szufladach nie było żadnych prywatnych papierów. Lesa bardzo uważała, by wszystko zostawić w takim stanie, w jakim znalazła.

Otworzyła drzwi do drugiej sypialni i z ciemnego wnętrza skoczyło na nią przerażenie. Instynkt nakazywał jej zrobić w tył zwrot i uciekać biegiem tak długo, dopóki nie znajdzie się w pokoju hotelowym, opanowała się jednak. Zdawało się, że zło, charakterystyczne dla mieszkańca tego pokoju, stało się samoistnym bytem, który przebywa w pomieszczeniu podczas nieobecności właściciela.

To jego pokój, Neti! To musi być jego pokój! Czuję go! Czuję jego zapach!

Nagły ból wywołany gorącym woskiem, który skapnął ze świecy na jej rękę, przywrócił Lesie zdolność racjonalnego myślenia. Odstawiła świecę na szafkę i pozwoliła swemu ciału na pełny relaks, tak jak uczyła ją Ko. Kilka minut cichej kontemplacji uspokoiło bicie serca i umożliwiło normalne myślenie. Przeszukała pokój dokładnie i metodycznie. Ubrania w szafie i na łóżku wskazywały na postawnego mężczyznę. Zmusiła się, żeby dotknąć koszul w poszukiwaniu metki z numerem. Koszule przeznaczone były dla mężczyzny o obwodzie torsu sto czterdzieści centymetrów, dla dużego mężczyzny.

Komoda okazała się bardziej interesująca. Włosy na szczotce miały kolor blond. W dolnej szufladzie znajdował się album fotograficzny zawierający serie datowanych zdjęć z kolejnych faz budowy teleskopu. Wszystkie wykonano z tego samego miejsca. Zaczynały się w 1985 roku, kiedy plac budowy był po prostu wyrównanym terenem na szczycie góry, pełnym kamieni i kępek karłowatej trawy czepiającej się bazaltowej gleby. Na późniejszych zdjęciach widnieli mężczyźni pracujący na koparkach, ale nie było tam wystarczających zbliżeń, by dało się kogokolwiek rozpoznać.

Palce Lesy przeszukiwały starannie zawartość ostatniej szuflady, kiedy napotkały grubą kopertę. Wewnątrz znajdowały się kolorowe zdjęcia wykonane kamerą Polaroid. Wysypała je na łóżko i brała kolejno do ręki. Przez jeden przerażający moment wydawało jej się, że wystraszona dziewczyna z pięknymi, długimi czarnymi włosami to Neti. Podobieństwo sprowadzało się jednak do wyrazu przerażenia w oczach nagiej dziewczyny, taki wyraz oczu Neti zachowała Lesa w pamięci. Instynkt nakazywał jej wepchnąć zdjęcia z powrotem do koperty, zmusiła się jednak, żeby każde z nich obejrzeć, podobnie jak osiemnaście lat temu zmusiła się, by obserwować niewypowiedziane tortury, na jakie wystawiona została Neti. Wtedy stała się świadkiem z poczucia lojalności wobec przyjaciółki. Tym razem nie tylko obowiązek wobec poszkodowanej dziewczyny nakazywał zainteresowanie się jej losem; chodziło także o to, że te obrzydliwości mogły zawierać jakąś wskazówkę co do tożsamości

dręczycieli.

Mężczyzn było dwóch, to nie ulegało wątpliwości. Ale nigdy nie występowali równocześnie, co oznaczało, że na zmianę robili zdjęcia. Starali się też zbyt nie pokazywać. Ręka, ramię, genitalia w zbliżeniu, ale nigdy twarz czy choćby tył głowy. Ze wzoru posadзки orientowała się, że zdjęcia wykonano we frontowym pokoju, poza jednym, które pokazywało dziewczynę leżącą na plecach na obrzeżu basenu. Było to najstraszniejsze ze wszystkich zdjęć, ponieważ jakaś ręka trzymała włosy i głowę dziewczyny pod wodą.

Lesa w świetle mrugającej świecy patrzyła nie widzącymi oczami na makabryczne zdjęcia i nie mogła powstrzymać łez, które spływały jej po policzkach. Ostatnią fotografię wsunęła do torebki przy pasku i wyszła z pokoju, zostawiając go w takim stanie, w jakim go zastała. Ostrożnie przecisnęła się przez kuchenne okno, zamknęła pozbawioną szyby framugę i ustawiła przyrząd do czyszczenia basenu w takiej pozycji, która wskazywała, że rura wpadła przez wybite okno.

Łzy płynęły jej po policzkach przez całą drogę powrotną do hotelu. Nie wiedziała, czy płacze z powodu Neti, czy tej nieznannej dziewczyny. Może to zresztą nie miało znaczenia. Ważne było jedynie to, żeby odnaleźć i zabić zbrodniarzy

19.

Gdyby Lesa nie umiała tak po mistrzowsku panować nad swoimi emocjami, przy śniadaniu byłaby milcząca i pełna rezerwy. Jednakże potrafiła doskonale wprowadzić w błąd Harry'ego, podtrzymując pogodną i dowcipną rozmowę, która tak bardzo kontrastowała z jej prawdziwymi uczuciami. Ten dzień stanowił kulminację osiemnastu lat poszukiwań i pielęgnowania nienawiści, równie silnej dzisiaj, kiedy Lesa piła sok pomarańczowy, jak przed osiemnastu laty, kiedy stała w na pół zatopionym sampanie i obserwowała, jak biały jacht motorowy znika w mgiełce oddalenia. Nadszedł dzień zemsty. Jutro może znaleźć się w drodze do radzieckiego więzienia, w oczekiwaniu na proces i długi wyrok. Jeżeli potrafi sprytem ocalić się przed wpadką, zrobi to. Ale jeśli to się nie uda, nie będzie miało dla niej większego znaczenia. Byle tylko osiągnąć podstawowy cel.

- Czy dowiedziałeś się, o której mamy samolot? - zapytała Harry'ego, odrywając na sekundę oczy od pustego bungalowu.

- O czwartej. Koniew przyśle tu po nas samochód o trzeciej trzydzieści. Wygląda na to, że musimy jakoś wspólnie zabić ten czas oczekiwania.

Lesa uśmiechnęła się i nic nie powiedziała.

- Zastanawiałaś się, co zamierzasz robić po powrocie do Hongkongu? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Lesa zgodnie z prawdą. - Chyba jednak jak najszybciej wrócić do domu. Zostawiłam mojego współnika samego. Jest bardzo dobry, ale nie lubię na tak długo zostawiać firmy.

- Dziś rano miałem klipsfon od komisji badającej przyczyny wypadku. Chcą jeszcze porozmawiać z nami w Hongkongu. Wyjaśnić kilka szczegółów.

Leska skrzywiła się.

- Zachowują się jak pies, który dostał kość.

- Leso, chciałbym pojechać z tobą do Anglii.

- W jakim celu? Powiedziałeś mi, czego mam szukać. Przepatrzę okolice w promieniu dwu tysięcy pięciuset mil od Hongkongu w poszukiwaniu niezwyklej budowli czy konstrukcji i co tydzień wyślę ci faksem sprawozdanie z ewentualnymi zdjęciami. - Rzeczowy ton, jakim Lesa prowadziła rozmowę, nie wskazywał na to, że zaprzętają jej uwagę zupełnie inne sprawy.

- Chciałbym z tobą pojechać, zobaczyć, jak pracujesz.

- To nudna i monotonna praca. Polega głównie na spędzaniu długich godzin przy terminalu komputera, aż do bólu tyłka.

Harry roześmiał się.

- Do tego jestem przyzwyczajony.

Leska znowu skierowała wzrok na bungalow.

- No cóż, Harry, nie mogę cię powstrzymać.

- W porządku. To ustalone. Więc co robimy dzisiaj? Co byś powiedziała o leniwym dniu na spokojnej plaży?

Leska obdarzyła go czarującym uśmiechem.

- To wspaniały pomysł, Harry. Niestety, nie mam żadnego kostiumu do opalania, a za nic na świecie nie pokazałabym się w tym, co sprzedają w tutejszym sklepie. Poza tym potrzebuję dziś czasu na coś innego. Na medytację. To jest bardzo ważne dla buddystów, a dawno już tego nie robiłam. Mam nadzieję, że zrozumiesz. - Wypowiedziała to z wystarczającą dozą nonszalancji, by przekonać Harry'ego, że chodzi o sprawy ważne i prywatne. Starannie dobierała słowa, szczególnie słowo „potrzebuję”, które zawierało więcej znaczeń niż „chciałabym”.

Leska słusznie zakładała, że Harry poczuje się niepewnie na wzmiankę o religii, zwłaszcza religii, o której nie miał pojęcia. Zareagował dokładnie tak, jak przewidywała. Zagrawszy na szacunku, jaki większość Amerykanów odczuwa wobec wierzeń innych ludzi,

wprawiła go w lekkie zakłopotanie, że postawił ją w sytuacji, która zmusiła ją do wyjawienia tego, co brał za jej najgłębsze przekonanie.

Powiedział pospiesznie:

- Oczywiście, Leso, rozumiem doskonale. Zostawię cię w spokoju.

20.

Szczęśliwy traf kazał Harry'emu podnieść wzrok akurat w momencie, kiedy Lesa mijiała zatłoczony dom towarowy, który zaspokajał większość potrzeb mieszkańców wyspy. Odstawił książkę na półkę i podszedł do okna, udając zainteresowanie plastikowymi modelami teleskopu w dziale pamiątek. Zamiast skierować się w stronę drogi okrążającej przystań. Lesa skręciła w kierunku lotniska i teleskopu. Harry wyszedł ze sklepu i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie mógł się skryć za zaparkowaną furgonetką.

Niespieszny krok Lesy, absolutnie naturalny we wzrastającym upale przedpołudnia, sprawiał, że mieszkańcy osady rzucali na nią jedynie przelotne spojrzenia, nie odrywając się od własnych spraw.

Przejście od osady do dżungli było bardzo gwałtowne. Półkilometrowy marsz stromą drogą wyprowadził Harry'ego poza nieregularnie rozsiane domki z prefabrykatów, których mieszkańcy zmuszeni byli toczyć nieustanną walkę z dżunglą, żeby nie zaczęła wciskać się do wnętrza przez okna. Brzęczenie linii przesyłowych, zaopatrujących Kurograd w prąd, zagłuszał śpiew ptaków. Harry'emu przyszło do głowy, że astronomowie na Kuro, którzy musieli pracować w nocy, mieli niewielkie szanse wyspania się w ciągu dnia. Granice Kurogradu wyznaczały tablice z symbolami plującego węża i szarżującego dzika. Poniżej owych symboli napisy w kilku językach zabraniały zapuszczania się pieszo poza wyznaczone w ten sposób granice.

Ciągle zakręty na drodze sprawiały, że Harry nieustannie tracił Lesę z oczu. Po trzydziestu minutach uświadomił sobie, że musi przyspieszyć kroku, żeby jej nie zgubić. Szła teraz szybciej. Harry zaczął się pocić, nie był przyzwyczajony do ruchu i bardzo zazdrościł Lesie jej chłodzonego wodą podróżnego kostiumu. Zastanawiał się, jaki cel miała ta wyprawa. Może Lesa szukała samotności do swoich medytacji? Na tę myśl Harry nagle poczuł się winny, że ją śledzi. Ale przecież łatwo było znaleźć samotność w samym Kurogradzie. Mogła równie dobrze usiąść na falochronie, bo w czasie dziennych upałów tylko nieliczni ludzie wychodzili z domu.

Czasami Harry przypadkiem kopnął jakiś leżący na drodze kamyk, ale coraz głośniejszy

śpiew ptaków gwarantował, że ta jego niezręczność nie ściągnie uwagi Lesy. Po dwu kilometrach nieprzerwanego marszu pod górę koszulę miał moką od potu, bolały go kolana. Dodatkową niedogodnością była konieczność trzymania się pobocza drogi, żeby nie rzucać się w oczy, a tam ocierał się nieustannie o wymykające się z dżungli pnące rośliny, w których panowały niepodzielnie wszelkiego typu kłujące i gryzące insekty.

Harry zatrzymał się przed skrzyżowaniem, żeby zobaczyć, którądy pójdzie Lesa. Na drodze skręcającej w prawo był znak z rysunkiem teleskopu. Droga idąca w lewo miała odpowiednio utwardzoną nawierzchnię, nie miała natomiast żadnego oznakowania, choć zmierzała w tym samym kierunku co przewody wysokiego napięcia. Lesa wahała się chwilę, zanim skręciła w nie oznakowaną drogę prowadzącą na zachód.

Marsz stał się łatwiejszy. Droga łagodnie opadała w dół ku wybrzeżu i biegła prosto, ponieważ oddalała się od góry Kuromia, co oznaczało także, iż Harry musiał zwolnić, żeby powiększyć odległość między sobą a Lesą. Usłyszał pojazd dojeżdżający do skrzyżowania. Może ktoś jechał do obserwatorium. Po chwili jednak warkot silnika stał się głośniejszy. Harry, choć przerażony perspektywą spotkania z tabunem węży, przykucnął w zaroślach i przeczekał, aż ciężarówka przejedzie. Kiedy wyszedł z ukrycia, nie było śladu Lesy. Poczekał kilka minut, przekonany, że zanim Lesa wróci na drogę, odczeka dłuższy czas, by się upewnić, że niebezpieczeństwo minęło. Nie pojawiła się jednak. Harry puścił się truchtem, co sprawiło, że po dwóch minutach pot spływał mu wzdłuż krzyża. Zatrzymał się na szczycie wzniesienia, trzymając się skraju dżungli, by trudniej było go dostrzec. Wiał chłodny, orzeźwiający powiew od morza, czego Harry nawet nie zauważył, zdumiony widokiem, jaki roztoczył się przed jego oczami. Droga prowadziła do dwóch betonowych budynków o płaskich dachach, oddalonych mniej więcej o kilometr. Większy z nich, sześcian bez okien, przypominał zautomatyzowaną fabrykę. Harry domyślił się, że dach tego właśnie budynku widać z obserwatorium. To musiała być elektrownia. Dziwne jednak, że nie było tu dystrybucyjnych transformatorów powiększających napięcie, nieuniknionej masy przewodów i gigantycznych izolatorów kojarzących się normalnie z elektrownią, nawet tak niewielką.

Nigdzie nie było widać Lesy. Harry zawrócił i doszedł do traktu, który przecinał drogę, a którego przedtem nie zauważył, pragnąc jak najszybciej dotrzeć na szczyt wzniesienia. Trakt był jedynie wąską przerwą w dżungli rosnącej po obu stronach drogi. Ślady racic na miękkim gruncie świadczyły, że raczej nie jest dziełem rąk ludzkich. Nie było na nim śladów stóp, ale jeśli Lesa poszła tędy, to spostrzegłszy miękki grunt, starałaby się przejść przez zarośla.

Harry stał na środku drogi i myślał intensywnie. Straszliwy upał i chrypliwe wrzaski

rajskich ptaków nie sprzyjały racjonalnemu myśleniu. Lesa zniknęła, co do tego nie było wątpliwości. Dżungla po obu stronach drogi tworzyła nieprzenikniony gąszcz liści, toteż Lesa musiała pójść traktem. Pytanie dotyczyło jedynie tego, w którą stronę? Harry zdecydował się wybrać kierunek południowy.

Dotychczas życie Harry'ego można by określić jako szereg ponurych błędów: alkohol, gwałtowne kłótnie z żoną, które w końcu doprowadziły do rozwodu, i ostatnio samotna praca. Ale były to raczej dowody pecha niż braku kompetencji. Jednak ostatni błąd Harry'ego, decyzję pójścia wzdłuż traktu, można zdecydowanie przypisać niekompetencji. Różnica między poprzednimi błędami a tym ostatnim polegała na tym, że teraz zrozumienie nastąpiło znacznie szybciej.

Dokładnie w pięć minut od momentu, gdy zszedł z głównej drogi.

Dobiegające z tyłu odgłosy parskania i prychania nasunęły Harry'emu kilka myśli: że nie jest sam, że istota idąca za nim nie jest istotą ludzką, że porusza się szybko, że wydaje się bardzo niezadowolona z faktu, iż Harry swoim zapachem zatruwa jej terytorium. Tym razem Harry podjął sensowną decyzję: puścił się biegiem.

Trakt nie nadawał się dla osoby wzrostu Harry'ego. Pnącza i kłujące liście uderzały go w twarz, kiedy przedzierał się przez gęste podszycie. W pewnym momencie potknął się o niewidoczny korzeń i wtedy, odzyskując równowagę, zaryzykował szybki i trwożny rzut oka w tył przez ramię; przerażenie jego nie miało granic, kiedy się zorientował, że goni go nie jedno stworzenie, ale dwa. Były o pięćdziesiąt metrów za nim i szybko zmniejszały tę odległość, nie na tyle szybko jednak, by brakowało im energii na rozjuszone ryki, wyrażające świńską wściekłość. Były to czarnuchy; pod tym przyjaznym określeniem kryło się zdecydowanie nieprzyjazne zwierzę. Miały niewielkie czarne oczka i gigantyczne białe kły.

Strach dodał Harry'emu sił. Zgięty w pół przedzierał się przez dżunglę, aż dopadł szerokiej polany, która wyglądała na przecinkę wykonaną ręką człowieka. Pierwszy dzik oddalony był od niego zaledwie o pięć metrów, kiedy Harry zauważył, że przez środek polany biegnie podwójny rurociąg, wsparty poprzecznikami na szczycie betonowych kolumn. Grubość rur dorównywała mniej więcej grubości męskiej nogi, a zawieszane były około trzech metrów nad dywanem martwej i gnijącej roślinności. Mózg Harry'ego pracował na najwyższych obrotach, znacznie wyprzedzając ciało.

W normalnych warunkach nie mógłby dosięgnąć do zawieszonych nad głową rur, ale mimo wszystko podskoczył do góry. Nagromadzona we krwi adrenalina dodała trzydzieści procent siły mięśniom jego ud i w rezultacie uchwycił się pierwszej z brzegu ryny. Podciągnął kolana pod brzuch, ale zrobił to za późno, by uniknąć strasznego ciosu, który

rozdarł mu prawą łydkę. Okropnie przerażony uświadomił sobie, że spocone dłonie nie trzymają mocno rury. Poza tym rura była za szeroka, by dało się ją pewnie schwycić. Poczul się trochę bezpieczniej, kiedy nadludzkim wysiłkiem udało mu się przełożyć przez nią lewą nogę. Spojrzał w dół, w świdrujące oczy dwóch dzikich świń, i zobaczył w nich niepohamowaną nienawiść, zobaczył także ciekącą ślinę, cztery kły dziesięciocentymetrowej długości, z których jeden miał czerwone plamy, i swoją własną krew spływającą z prawej łydki na ziemię. Zwierzę wydało wściekły ryk, skoczyło do zwisającej nogi Harry'ego, ale na szczęście chybiło. Drugi dzik prychnął z furją i odszedł kilka metrów na bok. Dokładnie w momencie gdy zaczął szarżować, uwagę jego odwrócił głośny krzyk. Zatrzymał się w poślizgu, wzbijając chmurę gnijących roślin. Obydwa dziki odwróciły się, by stawić czoło osobie, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

- Lesa! - wymamrotał Harry. Po uporczywych próbach podciągnięcia obu nóg na rurociąg wisiał teraz niemal głową w dół.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła, nie odrywając wzroku od czarnuchów.

- Nigdzie się nie wybieram - zapewnił Harry.

Jeden z dzików wydał wściekły ryk, opuścił łeb i szarżował prosto na Lesę. Dziwaczna pozycja utrudniała Harry'emu pełne zrozumienie tego, co się następnie wydarzyło, zdawało się jednak, że Lesa nawet nie próbowała się poruszyć, gdy rozszalałe zwierzę pędziło na nią. Kiedy dzik był mniej więcej w odległości metra, wyrzuciła do góry nogę w pełnym wdzięku kopniaku. Harry nie był pewien, czy czarnuch wyleciał w powietrze, dokładnie w tym momencie, gdy Lesa podniosła nogę, usłyszał jednak głośny trzask. Zwierzę wykonało półobrót w powietrzu, upadło bezwładnie na ziemię i leżało na boku, jego żebra unosiły się w ciężkim oddechu agonii, bezradnie przebierało nogami. Z groźnej, żarłocznej bestii przemieniło się w żalostną ofiarę. Lesa starannie namierzyła cel i skierowała nogę w wyeksponowane genitalia dzika. Dokładnie w chwili gdy kopnięcie sięgnęło celu, zwierzę przestało oddychać. Lesa wydała głośny okrzyk i pobiegła w stronę drugiego dzika. Przez chwilę wydawał się niezdecydowany, zaryczał głośno i zamierzał szarżować, ale rozmyślił się i pogalopował w dżunglę. Lesa przez chwilę nasłuchiwała, by się upewnić, czy dzik nie wraca, po czym przyjrzała się Harry'emu, który w tej chwili uosabiał dwupalczastego leniwca.

- Po raz pierwszy widziałam, jak świnia ściga drugą świnie - skomentowała. - Na twoim miejscu nie ruszałabym się. Może się okazać, że oburzenie tych zwierząt na to, że zakłóciłeś ich spokój, jest niczym w porównaniu z moją wściekłością, że mnie śledziłeś!

Harry zeskoczył na ziemię i jęknął z bólu, kiedy ciężar ciała przerzucił na prawą nogę.

Usiadł i podwinął nogawkę, całkowicie nasiąkniętą krwią. Kiel czarnucha dokonał głębokiej wyrwy w łydce. Harry zaklął i skrzywił się.

- Chryste, popatrz na to!

- Jeżeli włóczyz się prowokując dzikie zwierzęta, nie oczekuj ode mnie żadnego współczucia. Nie zachwyca mnie ta sytuacja.

- Mnie tym bardziej - zareplikował Harry, na próżno usiłując zatamować krwawienie. - Bóg jeden wie, jakimi paskudztwami mógł mnie zakazić ten bydlak. Jezus, jak to boli.

- Niech się wykrwawi! - powiedziała ostro Lesa. - Możesz się uważać za szczęśliwca, że nie zostałeś porażony prądem. Nie byłaby to zresztą zbyt wielka strata.

- Porażony prądem?

Lesa wskazała głową dwa rurociągi. Harry popatrzył we wskazanym kierunku i wybałuszył oczy ze zdumienia. Rurociąg wydawał mu się dziwny już przedtem, ale zbyt był zajęty czym innym, by mu się dokładniej przyjrzeć. Nie był to bowiem rurociąg, ale kabel złożony z setek skręconych żył nie izolowanego aluminiowego drutu. Dwa gigantyczne przewody oddzielone trzymetrowymi poprzecznikami biegły na szczycie rzędu niskich kolumn, ustawionych w regularnych odstępach wzdłuż całej polany. Uwagę Harry'ego przykuł fakt, że przewody zwisają z gigantycznych izolatorów ceramicznych, których porcelanowa biel błyszczy w słońcu przedzierającym się przez baldachim listowia.

- Wyobrażam sobie - powiedziała zimno Lesa - że gdyby udało ci się dotknąć drugiego przewodu podczas tych humorystycznych ćwiczeń, wysyłalibyśmy twoje doczesne szczątki do domu w niewielkiej urnie.

Harry uniósł się na rękach i oparł się plecami o betonową kolumnę. Rana na łydce dalej obficie krwawiła.

- No dobrze, przepraszam cię. Ale na miłość boską, mogłabyś coś zrobić, zanim wykrwawię się na śmierć.

- Zdejmij koszulę.

Harry wyplątał się z koszuli nie bez pewnych trudności, ponieważ była mokra od potu. Lesa z obrzydzeniem wzięła koszulę i urwała rękaw.

- To kosztowało czterysta dolarów - jęknął Harry.

- Najwyraźniej więcej warte niż twoje życie - odpowiedziała nieźyczliwie Lesa, ugniatając palcami miejsce wokół rany, co sprawiło Harry'emu ból. Jęknął, ale zauważył z ulgą, że rana przestała krwawić. Lesa uklękła przed nim, przytknęła usta do rany i zaczęła ssać. Wypłuła trochę krwi i powtórzyła cały zabieg. Harry miał ochotę zażartować na temat tego, co podobna scena mogłaby sugerować niewtajemniczonemu obserwatorowi, ale uznał,

że nie byłoby to zbyt eleganckie. Popatrzył na nieruchomego dzika.

- Zabiłaś go?

- Skoro się nie rusza, to pewnie tak.

Po dwóch minutach ssania i wypluwania Lesa wyprostowała się i wytarła usta resztką koszuli Harry'ego.

- Czy wiedziałaś, że za tobą idę?

- Od chwili gdy wyszliśmy z Kurogradu, kiedy zacząłeś grać w piłkę nożną kamyczkami.

- Chryste, trudno uwierzyć, że to słyszałaś!

- Nie jestem głucha - odpaliła rozciągając rękaw koszuli na swoim udzie. - Wymknęłam się, a ty tymczasem wpakowałeś się w tę całą idiotyczną kabałę. Przytrzymaj tu palcem.

Harry przycisnął palcem wskazane miejsce.

- Dokąd szłaś? - zapytał.

- Zainteresowała mnie elektrownia, ponieważ nie znalazła się w naszym programie zwiedzania, a potem zamierzałam przejść się do teleskopu. - Luźno zabandażowała łydkę powyżej rany rękawem koszuli, w którym uprzednio zawinęła kamień, żeby uciskał arterię po zaciśnięciu opaski.

- Ale po co? - nalegał Harry, zdając sobie sprawę, że naraża się na nieprzyjemności. Spojrzał w oczy Lesy i zobaczył w nich hamowany z trudem gniew.

- Nie twoja sprawa! - Lesa wetknęła kijek w warstwy prowizorycznego bandaża i skręciła go mocno. Z nagłego bólu Harry aż skulił ramiona. Otworzył oczy i po raz pierwszy zauważył, że przerwę w listowiu wypełniają napięte kable, które przyciągają nad polanę korony smuklejszych drzew. Były tu setki cienkich, niemal niewidocznych drutów. Zwrócił uwagę Lesy na te druty, ale nie wydawała się nimi zainteresowana. Harry zauważył coś jeszcze: do jednego z poprzeczników przyczepiona była niewielka kamera telewizji przemysłowej. Na każdym słupie znajdowała się jedna taka kamera, biegly wzdłuż linii przemysłowych, ale ich kąt widzenia był z pewnością wystarczający, by wysledzić obecność Harry'ego i Lesy. Harry jęknął.

- Psiakrew!

- Nie sprawiam ci bólu - warknęła Lesa. Skoczyła na nogi i stanęła nad nim trzymając ręce na biodrach, w groźnej postawie. - Nie będzie mnie jakieś dwie godziny. Rozluźniaj patyk mniej więcej co dziesięć minut. Za każdym razem krwawienie powinno się zmniejszać...

- Leso... - zaczął Harry.

- Jeżeli nie wrócę po dwóch godzinach, musisz sam dostać się do Kurogradu.

Lesia pierwsza usłyszała zbliżających się mężczyzn. Obróciła się nagle i wpatrywała w trakt dzików prowadzący do drogi. Miała właśnie skryć się w dżungli, kiedy pojawili się dwaj mężczyźni z karabinami.

- Niech nikt się nie rusza - powiedział wyższy, wymierzając w Lesę swój karabin. Mówił poprawną, choć sztywną angielszczyzną.

- Obydwoje jesteście aresztowani.

- Kamery telewizyjne i czujniki podczerwone - wyjaśnił Harry, wskazując na urządzenia przyłączone pod poprzecznikami. - Prawdopodobnie tak ustawione, że nie włącza ich ciepło wydzielane przez ciało dzika, reagują natomiast na obecność człowieka.

Lesia patrzyła na zbliżających się mężczyzn, po czym odwróciła się w stronę Harry'ego. Tym razem nie panowała zupełnie nad swoimi emocjami.

- Niech cię diabli wezmą, Harry Dysan! - krzyknęła. - Niech cię jasna cholera!

21.

Aleksy Hegel zaklął szpetnie nad nieczynnym analizatorem widma.

- Jesteś pewien, że nie chodzi o jakiś drobiazg, typu głównego bezpiecznika?

- To zdecydowanie lampa elektropromieniowa - odpowiedział Pachmann.

- A co z zapasową?

- To jest zapasowa.

- Cholera.

Pachmann wskazał otwarty kanał kontrolny w podłodze głównej sterowni, w którym obaj z Heglem przekładali kable, prowadząc je do swojego pulpitu w głębi pomieszczenia.

- Będzie nam potrzebna nowa lampa, jeśli mamy sprawdzić ekranowanie tej całej roboty.

- Musimy sprawdzić - powiedział wściekle Hegel. - Jakakolwiek niepożądana emisja do głównego obwodu zapalającego, która uruchomi go przedwcześnie, może nas wszystkich wysadzić w powietrze.

- To urządzenie jest jeszcze na gwarancji! - zauważył Pachmann.

Hegel wyciągnął z kieszeni Klipsofon. W jego olbrzymiej dłoni aparat wydawał się niezwykle kruchy i delikatny. Zadzwoił do dostawcy sprzętu laboratoryjnego w Hongkongu i wyjaśnił, na czym polega sprawa. Dostawca zgodził się wymienić wadliwy analizator widma pod warunkiem, że dostanie go z powrotem. Hegel powstrzymał cisnące mu się na

usta przekleństwo. Korzystanie przez te wszystkie lata z usług dostawców w Hongkongu miało ten wielki plus, że dysponowali najwyższej jakości aparaturą laboratoryjną, którą dostarczali chętnie i bez problemów, co pozwalało uniknąć całej biurokracji związanej ze sprowadzaniem sprzętu ze Związku Radzieckiego. Wszystkie te zakupy dokonywane były ze specjalnego funduszu, który wygospodarował Koniew, i nie figurowały w kwartalnych rozliczeniach wysyłanych do Moskwy. System funkcjonował niezawodnie niemal przez dwadzieścia lat.

Kiedy Hegel rozmawiał z Hongkongiem, Pachmann zatelefonował na lotnisko.

- W porządku - zakończył rozmowę Hegel. - Dostarczymy to z powrotem tak szybko, jak się tylko da. - Rozłączył się i zaklął.

- Kiedy, do wszystkich diabłów, wróci ten cholerny Diem?

- Nie wcześniej niż dziś wieczorem - powiedział spokojnie Pachmann. - Aleksy, dzwoniłem na lotnisko. Za trzydzieści minut odlatuje samolot do Hongkongu. Jeżeli uda nam się odpowiednio zapakować ten aparat, możemy go odesłać samolotem, a Diema powiadomimy drogą radiową, żeby wracał do Hongkongu odebrać nowy. To mu zajmie cztery dni. My tymczasem możemy kontynuować przekładanie kabli i sprawdzić wszystkie, kiedy skończymy, zamiast na poszczególnych etapach.

Twarz Hegla rozjaśniła się. Wielką zaletą Pachmanna była umiejętność zachowania spokoju i zdolność logicznego myślenia w sytuacjach awaryjnych, kiedy Hegla zwykle ponosił temperament. Bez spokojnej pomocy Pachmanna wiązka torusa należałaby w dalszym ciągu do świata science fiction.

- No dobra, to zaczynajmy - wymamrotał Hegel.

22.

Lesia siedziała w klinice pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy zaaresztowali ją i Harry'ego w dżungli. Obojętnie obserwowała Walentynę Lenkę, gdy lekarka spryskiwała ranę Harry'ego wzbogaconą enzymami emulsją, co miało przyspieszyć proces gojenia. Przypominający maskę wyraz twarzy Lesy w żaden sposób nie zdradzał wściekłości, że Amerykanin tak głupio pokrzyżował jej plany.

Jakie plany. Leso? Nie masz dowodu, że Aleksy Hegel i mężczyzna, który tamtego straszliwego dnia dowodził „Rasputinem”, to ta sama osoba. A jeśli nawet tak, to czy rozpoznalabyś go po osiemnastu latach? Nawet nie wiesz, czy był w obserwatorium. Gdybyś nawet spotkała go twarzą w twarz i gdyby się okazało, że to ten sam mężczyzna, to czy

zabiłabyś go na miejscu?

TAK! TAK! TAK!

Była tak zdesperowana, że nawet rozważała możliwość ucieczki, ale dwaj strażnicy przejawiali niesłychaną czujność; próba ucieczki musiała być skazana na niepowodzenie.

- Wszystko skończone - oznajmiła Walentyna, wrzucając narzędzia jednorazowego użytku do tygla pod prądem o wysokiej częstotliwości. - Szwy się rozpuszczą, a po dziesięciu dniach opatrunek da się łatwo zdjąć.

Harry podziękował jej i włożył spodnie i koszulę, które Lesa kupiła dla niego w miejscowym domu towarowym. Jeden ze strażników towarzyszył jej w tej krótkiej wyprawie.

- Pasuje - powiedział radośnie; kiedy jednak spróbował zrobić krok, twarz wykrzywiła mu się z bólu.

- Pani doktor, dziękujemy za wszystko, co pani dla nas zrobiła - powiedziała Lesa, nawet nie usiłując pomóc Harry'emu.

Lekarka uśmiechnęła się.

- Zobaczymy się za pięć lat, kiedy wygaśnie zakaz!

Lesę i Harry'ego odprowadzono pod eskortą do oczekującego samochodu, gdzie musieli usiąść na tylnym siedzeniu, wciśnięci pomiędzy dwóch strażników. Koniew dał swoim ludziom wyraźne instrukcje: nie spuszczać z oka dwójki łotrów, dopóki nie znajdą się na pokładzie samolotu. Sam czekał na Lesę i Harry'ego w klinice. Wygłosił krótki, ale surowy wykład na temat głupoty zapuszczania się w dżunglę bez zezwolenia. Zakończył stwierdzeniem, że odnoszą się do nich te same przepisy co do odwiedzających wyspę astronomów: mają zakaz odwiedzania Kuro w ciągu najbliższych pięciu lat.

Na lotnisku nie było żadnych formalności. Harry'ego i Lesę wprowadzono na pokład dyrektorskiego odrzutowca Skyliner Kowlońskich Linii Lotniczych, bliźniaka nieszczęsnego Foxtrot Victora. Byli jedynymi pasażerami. Stewardesa powiedziała, że mogą sobie wybrać dowolne miejsca. Lesa odczekała, aż Harry usiądzie. Wybrał miejsce przy oknie w pobliżu ogona zakładając, że Lesa usiądzie obok, i był wyraźnie dotknięty, kiedy demonstracyjnie usiadła kilka rzędów przed nim.

- Przykro mi, proszę państwa - powiedziała stewardesa przez interkom - ale wystartujemy z kilkuminutowym opóźnieniem, bo czekamy na dodatkowy ładunek.

Lesa zapięła pasy i wyglądała przez niewielkie okienko. Zwrócił jej uwagę dzcip pędzący drogą wzdłuż lotniska. Oddalony był mniej więcej o pół kilometra i zbliżał się szybko. Zjechał z drogi kierując się w stronę odrzutowca, zamigał światłami i zniknął z pola widzenia Lesy pod ogonem samolotu. Przesiadła się na inne miejsce, usiłując zobaczyć, co się

dzieje, ale dżip najwyraźniej zatrzymał się dokładnie pod samolotem. Słysząc było, jak otwierają się i zamykają drzwi luku bagażowego Skylinera. Pracownik obsługi naziemnej ze słuchawkami na uszach powiedział coś do mikrofonu umieszczonego na wysiężniku hełmu i silniki Skylinera zaczęły pracować głośniejsze. Samolot zaczął się toczyć na miejsce oczekiwania i dżip ukazał się w polu widzenia. Odjechał na bezpieczną odległość, a jego kierowca rozmawiał z pracownikiem obsługi naziemnej. Znajdowali się w odległości mniejszej niż dziesięć metrów od punktu obserwacyjnego Lesy.

Szok był tak silny, że Lesa przez moment czuła się jakby oddzielona od własnego ciała. Warkot silników, chłodny powiew perfumowanego powietrza z wentylatorów, dotyk wąskiego siedzenia - wszystko to straciło znaczenie wobec dominującej bliskości blondyna. Niewiele się zmienił przez osiemnaście lat, ten sam potężny tors, te same niewiarygodnie niebieskie, okrutne oczy, te same włosy blond. Włosy na jego przedramionach, a nawet brwi, białe, jakby tlenione, aż błyszcząły w palącym słońcu. Mężczyzna podniósł wzrok. Przez jedną przerażającą sekundę Lesa miała wrażenie, że twarde niebieskie oczy prześwidrowują ją na wylot niby groteskowe narzędzie gwałtu. Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, tak jak śmiał się przed osiemnastu laty, kiedy bawił się jej piersiami i porównywał je z piersiami rudej.

Skyliner nabrał szybkości, odsunął na bok straszliwą scenę. Lesa starała się stłumić odruchy przerażenia. Jedno spojrzenie na mężczyznę o potężnym torsie udowodniło jej, jak krucha i bezużyteczna okazała się tak starannie pielęgnowana postawa, cała jej tak zwana żelazna siła woli. Przez wszystkie te lata ze ślepą determinacją hołubiła myśl o zemście i nawet nie przyszło jej do głowy, by zastanowić się nad tym, jak zareaguje, kiedy zetknie się twarzą w twarz ze sprawcą masakry. To, że będzie sparaliżowana strachem, niezdolna kiwnąć palcem, było możliwością zbyt straszną, by w ogóle brać ją w rachubę, a jednak to właśnie nastąpiło. Nie miał żadnego znaczenia fakt, że znajdowała się na pokładzie samolotu i nie mogłaby dosięgnąć tego człowieka, nawet gdyby chciała. Ważne, że była zbyt przestraszona, by się poruszyć. Cóż za straszliwa zdrada wobec Neti, Lina i pozostałych.

Kiedy odrzutowiec skręcał w kierunku zachodnim, Lesa poddała się czarnej fali depresji, zwłaszcza na myśl, że nie będzie mogła powrócić na Kuro, by odrobić to, co uważała za akt najgłębszej zdrady.

23.

Operowanie ramieniem manipulatora promu kosmicznego wymagało niezwykle delikatnych ruchów. Sensory w rękawicy Stelli Richards przenosiły ruchy jej palców na mechaniczne palce na końcu wysiężnika Canada. Zamierzała uchwycić wspornik zawieszenia ogniwa słonecznego satelity i to jej się udało. Nie był to prawdziwy satelita, tylko hologram stworzony przez komputer, miał jednak wszystkie cechy rzeczywistego obiektu, dało się nawet wyczuć opór wynikający z trzytonowej masy urządzenia, gdy opuściła ramię w stronę otwartej ładowni promu. Kiedy już wprawiła satelitę w ruch, musiała prawidłowo wyliczyć moment pchnięcia go w przeciwnym kierunku, żeby wylądował łagodnie wewnątrz ładowni.

- Czysta robota - pochwalił głos dyrektora programu.

Stella nie odpowiedziała. Następny krok w operacji odzyskania nieczynnego satelity należał do najbardziej zdradliwych: trzeba było tak zabezpieczyć go w ładowni, żeby nie obijał się podczas manewrowania promem. Stella rozluźniła palce manipulatora i ostrożnie wycofała ramię, nie dotykając satelity. Nawet przy bardzo delikatnym uderzeniu powoli wysunąłby się z ładowni. Mechaniczne palce zamknęły się na pneumatycznym kołnierzu. Założenie kołnierza na satelitę przypominało przewijanie niemowlęcia tak, by go nie obudzić. Kiedy kołnierz znalazł się we właściwej pozycji, Stella skierowała ramię manipulatora do zaworu powietrznego. Zamiast obserwować całą operację ze swojego stanowiska, przez okienko na rufie promu, skąd widać było otwartą ładownię, Stella skoncentrowała uwagę na monitorze telewizji zamkniętej, który przekazywał obrazy z kamery umieszczonej na końcu wysiężnika Canada. Mechaniczne palce zamknęły się na mechanizmie kolankowym i przełamały pieczęć. Kołnierz napełnił się powietrzem, utrzymując satelitę nieruchomo w ładowni. Stella rozluźniła się. Ulokowanie satelity wymagało dwóch godzin pełnej koncentracji. Czowała się fizycznie i psychicznie wyczerpana.

- Jim, jak to wyszło?

- Całkiem dobrze, Stello - odpowiedział głos dyrektora. - Jutro zajmiemy się AsteSat 10. Pięć ton, a poza tym najpierw trzeba będzie usunąć dwa moduły izotopowe, więc mamy przed sobą długi dzień.

Stella spojrzała na zegarek. Dwunasty kwietnia. Lot wyznaczono na dwudziestego dziewiątego. Zadaniem misji było zebranie czterdziestu dwóch nieczynnych satelitów. Co oznaczało trzy tygodnie cholernie ciężkiej pracy nad ukończeniem przygotowań do wypełnienia programu lotu.

Poludniowa Anglia, 13 kwietnia

- Jeżeli chce pan korzystać z terminali naszych komputerów - mówiła Lesa do Harry'ego uprzejmym tonem - to oczywiście nie ma przeszkód. Wydaje mi się, że stawka sto pięćdziesiąt dolarów za godzinę jako dodatek do naszego honorarium nie jest zbyt wygórowana. Prawda?

Darryla ogarnęło zdziwienie. W stosunkach z klientami Lesa zawsze zachowywała się z nieporównywalnym wdziękiem. Zastanawiał się, co takiego wydarzyło się na Dalekim Wschodzie, co mogłoby usprawiedliwiać jej nietypowe zachowanie. Czytał historie o rozbitkach na tratwie ratunkowej, którzy nienawidzili się potem, ale ze szczegółowych opowieści Lesy tego ranka, a także z wcześniejszych reportaży w prasie wynikało, że spędzili na tratwie tylko dwie godziny.

- Niezbyt wygórowana stawka, rzeczywiście - powiedział lekko Harry, myśląc równocześnie, że Lesa wygląda jeszcze lepiej w bluzce i spódnicy niż w tym przeklętym kostiumie podróżnym. - Więc którym terminalem mogę się posłużyć?

- Jedyne wolne jest w tym pokoju - Darryl wskazał na komputer w pobliżu biurka Lesy.

- Nie będę przeszkadzał - obiecywał Harry.

Lesa zastanowiła się.

- Na pewno nie. Ja będę pracowała głównie w pomieszczeniu fotograficznym, więc rzadko będę tu zaglądać. W porządku. Ha..., panie Dysan. - Zebrała jakieś papiery i wstając zza biurka spojrzała na Darryla. - Nie będziemy przeszkadzać. Czy załatwił pan jakieś mieszkanie?

- Myślałem o hotelu Hog's Back po drugiej stronie drogi - odpowiedział Harry.

Darryl miał na końcu języka, że mieszkanie na farmie jest wolne, ale domyślał się, że Lesa nie byłaby zachwycona tą sugestią.

- Hotel jest bardzo wygodny, a widoki z okien wspaniałe. Wielu naszych klientów tam się zatrzymuje. Moja sekretarka wszystko załatwi.

Darryl wyszedł za Lesą.

- Czym on cię tak uraził? - zapytał po zamknięciu drzwi.

- Niczym - odpowiedziała krótko.

- Nie wyobrażam sobie, żeby się ośmielił zalecać do ciebie.

- Darryl, potrafisz czasami być naprawdę nieznośny. Nie mam ochoty rozmawiać o tym, co pan Dysan zrobił czy czego nie zrobił. - Obdarzyła go jednym z tych swoich uśmiechów, równie uroczym, jak niespodzianym, który mógłby rozbroić okręt wojenny. - Przepraszam cię, że nie przyszedłam od rana, ale jadłam lunch z rodzicami. Odkąd usłyszeli wiadomość o

wypadku, zamartwiali się niepotrzebnie. Musiałam się z nimi zobaczyć, zresztą zawsze spragnieni są wiadomości z Hongkongu. Mam nadzieję, że opiekowałaś się moimi żurawiami?

- Wczoraj ukradły mi pizzę - poskarżył się Darryl. - Coraz bardziej niebezpiecznie jest jeść lunch w pobliżu stawu, kiedy są tam te przeklęte ptaszyska, a rybacy też się skarżą, że wybierają im ryby z sieci.

Lesy roześmiała się, widząc wyraz twarzy swojego współnika.

- Gdyby ktoś mnie szukał, to idę się z nimi przywitać.

- Z rybakami czy z żurawiami?

Jedyną odpowiedzią Lesy był dźwięczny śmiech, kiedy wychodziła z pokoju.

Darryl podszedł do okna, skąd mógł ją obserwować, gdy szła nad brzeg stawu, i pomyślał, jak to dobrze, że już wróciła.

Harry siedział przy terminalu komputera w biurze Lesy. Był to taki sam Cray, jak jego komputer w domu - wspaniały sprzęt. Firma Systemation nie robiła niczego połowicznie.

Wpatrywał się w biały ekran i ogarnęło go uczucie pustki. Przez kilka dni doświadczał przyjemności i niespodzianek wynikających ze współpracy z żywym partnerem, zamiast samotnego ślęczenia przed tym przeklętym terminalem. Współpraca z Lesą nie układała się prosto, ale to była wyłącznie jego wina. Od tak dawna pracował samotnie, że nie bardzo wiedział, jak się odnosić do ludzi, jak dostosowywać własne zachowanie do potrzeb i nawyków innych. Na Kuro Lesa chciała być przez jakiś czas sama, a on jak idiota poszedł za nią i wszystko popsuł. Od tamtej pory zniknęły wszelkie oznaki serdeczności, i na to właśnie zasługiwał. Otrząsnął się z zamyślenia. Czekala go praca. Samotna.

Sięgnął na tył obudowy komputera, wyłączył klawiaturę i gniazdko wejściowe głosu; odczekał dwie minuty, zanim włączył je z powrotem. Ten prosty, choć często zaniebdywany środek ostrożności nastawiał terminal na oryginalny program zaprojektowany przez producenta. Harry nie życzył sobie, by jakiś sprytny kawałek oprogramowania czał się w czeluściach pamięci maszyny i pracowicie gromadził wszystkie uderzenia w klawisze oraz echo ekranowe, żeby później ktoś inny bez pośpiechu je przeglądał. Na ekranie oczywiście pojawiło się pytanie:

CZY REJESTR WYJŚCIA/WEJŚCIA MA BYĆ CZYNNY? T/N.

Odpowiedział N i poczuł się znacznie swobodniej.

Następny krok, włączenie się do własnego komputera na Florydzie, wymagał pewnej ostrożności. Specjalny charakter informacji w pamięci jego Craya, nie wyłączając listy haseł, które dawały mu legalny i nielegalny dostęp do setek oficjalnych baz danych na całym

świecie, oznaczał, że stopień trudności podłączenia się do tego komputera musiał być znaczny. Harry wypisał na klawiaturze swój numer telefonu. Odnalezienie wolnego kanału satelitarne i samo podłączenie nie zajęło nawet dziesięciu sekund. Nie było potwierdzenia, do jakiego komputera się podłączył ani gdzie się ów komputer znajduje. Pojedyncze słowo na ekranie brzmiało:

HASŁO?

Harry sprawdził, jaki jest dzień miesiąca. Dwunasty. Jeden plus dwa równa się trzy, a to oznaczało trzeci anagram nazwiska Jelly Roll Morton. Jelly Roll Morton był muzykiem jazzowym dwudziestego wieku, którego Harry lubił najmniej.

ODCISKI PALCÓW, domagał się ekran.

Harry odcisnął palec wskazujący na płycie identyfikacyjnej komputera. Po sekundzie na ekranie ukazało się pytanie:

CZY TO HAROLD DYSAN? T/N.

Harry odpowiedział N i tym samym w pełni podłączył się do komputera. To ostatnie drobne dziwactwo było jego pomysłem. Złapali się na nie dwaj specjaliści z Krajowej Agencji Szyfrowej, którzy sprawdzali stopień zabezpieczenia jego komputera.

Czekało na niego całe mnóstwo wiadomości. Sprawdził szybko źródła ich pochodzenia, żeby się przekonać, czy jest coś pilnego. Tak jak się spodziewał, nie było nic od Gusa Whittakera, chociaż musiał słyszeć o katastrofie samolotu Linii Lotniczych Kowloonu. Wszystkie inne sprawy mogły poczekać, aż upora się z problemem Aleksego Hegla. Nie bez powodu nazwisko głównego projektanta z wyspy Kuro tkwiło w jego mózgu. Zdobycie informacji na temat radzieckiego fizyka nie będzie trudne, mógł korzystać z każdej bazy danych o najlepszych fizykach światowych, najrozsądniej jednak zaczął od danych we własnym komputerze. Usiłował przypomnieć sobie poprawną pisownię nazwiska Hegla na podstawie materiałów, jakie widział w ośrodku informacji na Kuro, ale musiał zrezygnować. Zamiast tego wystukał zapytanie:

ALEKSY HEGEL?

Na ekranie pojawiła się odpowiedź:

TRANSKRYPCJA TAŚMY. ROZMOWA HAROLD DYSAN - STEVEN KRANTZ, ZASTĘPCA DYREKTORA NAUKOWEGO, OŚRODEK AKCELERATORA CZĄSTEK, TEKSAS.

MIEJSCE: OŚRODEK BADAŃ MORSKICH W POMPAÑO BEACH.

TEMAT: DZIURA W PACSAT 19.

Harry wpatrywał się w ekran. Nagle przypomniał sobie, że Steven Krantz wymienił

nazwisko Aleksego Hegla, i przeklinał własną piramidalną głupotę, że się tym nie zajął. Przywołał na ekran transkrypcję. Było tu wszystko, całutka rozmowa, łącznie z usiłowaniami komputera, by zidentyfikować rozmaite efekty dźwiękowe na taśmie.

KRANTZ: To przyszło z kosmosu.

DYSAN: Co takiego?

KRANTZ: To, co wywierciło ten otwór. Nie, wywiercić to niewłaściwe słowo. To, co „wyparowało” ten otwór. Nie jesteśmy sami.

DYSAN: Do czego pan właściwie zmierza, panie Krantz?

KRANTZ: Na imię mi Steven. Albo Steve. Nie lubię formalności.

(KOMENTARZ KOMPUTERA: NIE ZIDENTYFIKOWANE ODGŁOSY. PRAWDOPODOBNIENIE MASZYNA DO NAPOJÓW. POTEM KRANTZ PIJE LUB PRZEŁYKA)

KRANTZ: Jak już mówiłem, cokolwiek zrobiło tę dziurę, nie jest pochodzenia ziemskiego. Po pierwsze, dzieli nas jeszcze sto lat od tak skomplikowanej technologii. Może bylibyśmy znacznie bliżej, gdyby Aleksy Hegel nie zarzucił tak głupio swojej pracy nad fizyką plazmy. Po drugie, kąt nachylenia otworu wskazuje, że nie przebito go z ziemi.

(KOMENTARZ KOMPUTERA: HEGEL - PISOWNIA FONETYCZNA. SPRAWDZIĆ POPRAWNĄ PISOWNIĘ ZE ŹRÓDŁEM)

Harry przeczytał transkrypcję i zastanawiał się, w jaki sposób mógł zlekceważyć podstawową poszlakę. Usiłował sobie przypomnieć, o czym myślał tamtego dnia, ale dał spokój. Sprawdził numer Klipsofonu Stevena Krantza i złapał młodego naukowca w momencie, gdy jechał samochodem do pracy.

- Cześć, panie Dysan. Ma pan szczęście, że jest pan w Anglii. Tu jest prawie trzydzieści i klimatyzacja w samochodzie nie wyrabia. Znalazł pan już zielonego człowieczka, który wywalił tę dziurę?

- Steve, chyba pomyliły ci się kolory. Słuchaj, czy pamiętasz, jak oglądaliśmy satelitę, powiedziałeś, że jeszcze sto lat dzieli nas od takiej technologii, a może mniej, gdyby Aleksy Hegel nie zarzucił swoich badań nad fizyką plazmy?

- Oczywiście, że pamiętam - powiedział pogodnie Krantz. - Dalej to podtrzymuję. A dlaczego pytasz?

- Czym szczególnie wyróżnia się Aleksy Hegel w świecie fizyki plazmy?

Krantz gwizdnął.

- Chyba powinieneś nadrobić zaległe lektury.

- Mam zamiar - uciał Harry - ale na początek byłbym ci wdzięczny za trochę wyjaśnień.

- To było dużo wcześniej, zanim ja zacząłem, ale jego osiągnięcia stały się legendą mojej specjalności. Zastanawiam się, jak to wytłumaczyć laikowi... Jakies dwadzieścia pięć lat temu Hegel ze swoim asystentem zbudował zwoj torusa w instytucie imienia Pawła Aleksiejewicza Czerenkowa pod Moskwą. Mój stary profesor był świadkiem trzeciej demonstracji. Nikt nie zna dokładnie konstrukcji zwoju. Hegel bardzo był tajemniczy, obiecywał opublikować wyniki, ale nigdy tego nie zrobił. Poczekaj, muszę się skoncentrować na tym skrzyżowaniu.

Harry słyszał słabe odgłosy ruchu na autostradzie znajdującej się w odległości sześciu tysięcy mil.

- Przepraszam - powiedział Krantz.

- Mówiliśmy o zwoju torusa Hegla - nalegał Harry.

- Opowieść głosi, że Hegel przepompował około pół megawata przez swój zwoj i wytworzył wystarczająco silne pole magnetyczne, żeby skupić plazmę w wiązkę promieniowania. Trwało to ułamki sekundy, ale wyprodukowana energia mogła wytopić otwór w powłoce ołowianej.

Słowa Krantza wywarły paraliżujące wrażenie na Harrym. Pod wpływem szoku na kilka sekund ucierpiał nawet jego słuch, kiedy usiłował zrozumieć implikacje szalonej, nieprawdopodobnej, niepożądananej teorii na temat wyspy Kuro, jaka zaczęła formować się w jego umyśle. Tymczasem słowa Krantza dalej atakowały jego ucho.

- ...Hegel marzył o skonstruowaniu napędu jonowego, który nadałby pojazdowi kosmicznemu szybkość zbliżoną do C , co pozwoliłoby Związkowi Radzieckiemu wysłać statek załogowy na Proximę Centauri. To najbliższa gwiazda po słońcu. Jest to czerwony karzeł w konstelacji Centaura, o której wiemy obecnie, że ma system planetarny.

- Co masz na myśli mówiąc o szybkości C ? - zapytał Harry, z trudem koncentrując się na słowach Krantza.

- Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę, szybkość światła - wyjaśnił Krantz. - Niestety, Hegel nie potrafił rozwiązać problemów matematycznych związanych z wysłaniem na orbitę elektrowni i wypuszczaniem bomb atomowych do uzyskania plazmy. Nie dostał funduszy, których się domagał, więc poczuł się dotknięty, rzucił wszystko i dał się wciągnąć w projektowanie wielkich teleskopów. Szalone marnotrawstwo talentu. Ale tak już jest, ludzie często postępują jak szaleńcy.

- Steve - powiedział wolno Harry - nawet nie wiem, jak mam ci dziękować za twoją pomoc.

- Hej, Harry, lepiej, żebyś to wszystko sprawdził - powiedział zaniepokojony Krantz. -

Wiem, że miliony zmarnowano na próby powielenia torusa Hegla, ale to dawne dzieje. Cytuję tylko z pamięci to, co mówił profesor i co czytałem w czasopiśmie naukowych. Nie mam najlepszej pamięci, co mi przypominała moja żona w pierwszą rocznicę ślubu.

Harry roześmiał się.

- Mimo wszystko, bardzo mi pomogłeś.

- Skłoniłeś mnie do myślenia - poskarżył się Krantz. - Coś ci powiem, mam dzisiaj spokojny dzień, mogę poszukać informacji o Aleksym Heglu i wysłać ci pocztą.

Harry szybko zebrał myśli. Krantz będzie wiedział, jak się posługiwać bankami informacji naukowych. Oszczędzi to mnóstwa czasu przy klawiaturze.

- Dzięki, Steve, to byłoby wspaniale. Nie mam nic przeciwko pocście, ale może byś jednak posłużył się Klipsofonem?

- Zadzwoń w drodze do domu - obiecał Krantz.

Harry podziękował mu i zwolnił kanał. Przez kilka minut siedział zamyślony. Przypomnił sobie wściekłość Koniewa, kiedy złapano ich z Lesą w dżungli. Jeżeli teleskop na Kuro służy jako przykrywką innego projektu, to Koniew musi tkwić w tym po uszy. Harry włączył się do bazy danych Światowego Reportera, która zawierała dosłownie kilkanaście milionów artykułów z gazet i czasopism całego świata. Hasło ?KURO przyniosło listę ponad dwu tysięcy artykułów. Ze streszczeń wynikało, że zakres ich jest ogromny - od sprawozdań z postępu prac nad olbrzymim teleskopem w czasopiśmie „Nature” aż po niedawną historię w „National Inquirer”, z której wynikało, że astronomowie na Kuro widzieli latające talerze lądujące na Marsie. Ponadto były jeszcze transkrypcje komentarzy telewizyjnych na temat teleskopu. O tym projekcie pisano w prasie więcej niż o czymkolwiek innym w całej historii nauki radzieckiej. Trochę to podważało i tak już nieprawdopodobną teorię Harry’ego.

Harry powoli przesuwając listę na ekranie i uświadomił sobie, że niemożliwe będzie przeczytanie wszystkich artykułów. Hasło ?KURO ?KONIEW zmniejszyło ich liczbę do mniej niż stu. Przebiegał wzrokiem listę, aż napotkał znane nazwisko. Przed pięciu laty Jonathan Praad w dwu tysiącach słów przedstawił sylwetkę Wiktora Koniewa dla pisma „Aristotelian”. Praad, niezwykle malowniczy dziennikarz z New Jersey, pisywał artykuły na tematy naukowe. Jego zjadliwy styl powodował, że otrzymywał liczne wezwania do sądu i listy z pogróżkami, którymi zazwyczaj tapetował ściany swojego gabinetu. Dwa tysiące słów Praada powiedzą Harry’emu o Koniewie więcej niż setki baz danych. Przywołał artykuł na ekran, przerzucił go na drukarkę Lesy i wyłączył się ze Światowego Reportera.

Artykuł okazał się lepszy, niż Harry oczekiwał. Już pierwsze zdania musiały podekscytować dziesiątki prawników specjalizujących się w sprawach o zniesławienie. Praad

uważał, iż znaczne osiągnięcia Wiktora Koniewa na polu naukowym polegają na tym, że jako akademik jest zupełnym zerem, ma natomiast wielkie talenty administracyjne, które sprawiają, że potrafi zdobyć fundusze na badania budzące jego entuzjazm. Świat nauki byłby w znacznie lepszej sytuacji, gdyby istniało więcej Wiktorów Koniewów, ponieważ naukowcy potrzebują pieniędzy, a tym samym potrzebują egotystycznych manipulatorów o talencie Wiktora Koniewa. Potem następował spis wszystkich projektów badawczych, z którymi związany był Koniew, a które odniosły znaczne korzyści z jego niewyczerpanej energii i entuzjazmu pod warunkiem, że dopuszczano go do udziału w samych badaniach.

Bezlitosny dziennikarz stwierdzał dalej, że Koniew powinien być raczej Amerykaninem niż Rosjaninem, w Ameryce bowiem uznaje się talenty administracyjne i odpowiednio je wynagradza, podczas gdy w Związku Radzieckim naukowcy mają znacznie wyższy status. Koniew poświęcił swoje talenty ambitnym projektom w nadziei, że i na niego przypadnie część sławy. Ostatnio oddał się krucjacie w sprawie wybudowania gigantycznego teleskopu optycznego, dziesięciometrowego, wielolustrowego teleskopu na wyspie Kuro. Kiedy budowa zostanie ukończona, będzie to największy teleskop na świecie. Godny uwagi jest fakt, że przed piętnastu laty Koniew namówił znakomitego specjalistę od fizyki cząsteczek, Aleksego Hegla, do zajęcia się projektem konstrukcyjnym instrumentu. Wykorzystywanie tak genialnego fizyka do rozwiązywania podstawowych problemów inżynierskich uznano wówczas za niewybaczalne marnotrawstwo talentu. A jednak Hegel kontynuował prace nad teleskopem, mimo osobistej niechęci między obu mężczyznami datującej się z okresu, kiedy Koniew jako przewodniczący wpływowego komitetu rozdziału funduszy zablokował prośbę Hegla o przyznanie pieniędzy na stworzenie napędu jonowego. Zasłużył sobie na wrogość fizyka, określając jego zamierzenia, by wysłać kosmonautów do gwiazd, jako kosmiczne mrzonki. „Prawdziwi naukowcy kalibru Hegla - pisał Praad - mają moralność hamburskiej dziwki, kiedy w grę wchodzi zdobycie pieniędzy. Jakże często gotowi są pójść do łóżka z każdym, kto dysponuje funduszami na ich wymarzony projekt. W tej sytuacji tajemniczy wydaje się fakt, że Hegel, który mimo zainteresowania lotami kosmicznymi nie jest astronomem, związał się z Koniewem budując teleskop na wyspie Kuro.”

Następnie Praad przypomniał niemodne lewicowe poglądy Koniewa i jego działalność polityczną. W 1987 roku wykorzystał swoją pozycję, by wygłosić mowę, w której zdecydowanie potępił przywódców radzieckich za odejście od podstawowych zasad marksizmu w imię krótkoterminowych rozwiązań problemów ludności, domagającej się większej ilości dóbr konsumpcyjnych. Hasło Koniewa „najpierw karabiny, potem masło” nie przyczyniło mu popularności u przywódców Politycznych, ale zdaniem Praada musiał cieszyć

się szerokim poparciem, skoro nie nastąpiła próba usunięcia go. Jeżeli nie wynikało to z szerokiego poparcia, to znaczy, że traktowano go jako nieszkodliwego maniaka. Koniew zajmował nieprzejednaną postawę wobec tak zwanej asymilacji Ameryki w radzieckiej kulturze. Był przewodniczącym Leninowskiej Grupy Reform - grupy czołowych opozycjonistów przeciwko pełzającemu imperializmowi, którzy ostro krytykowali rząd za to, że odmówił wyasygnowania funduszy dorównującym wydatkom Amerykanów na badania w dziedzinie wojen gwiazdnych.

Harry'ego zaintrygowało zdjęcie grupy protestujących przeciwko otwarciu olbrzymiego McDonalda w pobliżu Placu Czerwonego. Koniew trzymał w ręku róg byka i plakat, który, jak głosił podpis pod zdjęciem, potępiał tę ostatnią inwazję imperialistycznego sposobu odżywiania na stolicę ojczyzny. Harry pomyślał, że Koniew, tak nisko oceniany przez Praada, ma przynajmniej odwagę przekonań.

Szybko przeleciał resztę artykułu: Praad dochodzi do wniosku, że Koniew jest administracyjnym i finansowym geniuszem, rozgoryczonym do głębi faktem, że nie udało mu się osiągnąć wymarzonej sławy na polu naukowym. Ironia polegała na tym, że właśnie dzięki tym celom Koniewa zdołano wybudować wielolustrowy teleskop na Kuro. Prawdziwą przyczyną gościnności okazywanej dziennikarzom zagranicznym na wyspie była chęć podnoszenia prestiżu Wiktora Koniewa, nie radzieckiej nauki. Jednakże w ostatecznym rachunku nie powinno się oceniać tego człowieka według motywów jego działalności, choćby najbardziej podejrzanych. Kuro było znacznym osiągnięciem, możliwym jedynie dzięki niemożliwemu ego Koniewa, jego arogancji, żelaznej woli i umiejętności ciężkiej pracy. A zatem cechom zbliżonym do osobowości Hitlera. Na ostatnim zdjęciu, wciętym w tekst, widać było Koniewa i Hegla przed obserwatorium; plac budowy przykrywały i cztery ochronne kopuły.

Po przeczytaniu artykułu Praada Harry siedział przez kilka minut pogrążony w myślach. Im dłużej o tym myślał, tym większego prawdopodobieństwa nabierała cała koszmarna sprawa. Włożył tekst wydruku do kieszeni i udał się na poszukiwanie Lesy. Znalazł ją na ławce na brzegu jeziora. Dyktowała listy do magnetofonu. Było ciepło, wiosenne popołudnie, słońce błyszczało na długich czarnych włosach Lesy, opadających prosto na plecy. Harry domyślał się, że Lesa ogranicza pielęgnację swoich włosów jedynie do regularnego szcztokowania. Obok niej stały dwa żurawie; na jego widok zaczęły się oddalać, co skłoniło Lesę do podniesienia wzroku.

Zachowanie Harry'ego Dysana cechowała otwartość, którą Lesa podziwiała. Nie groziły z nim niejasne sytuacje. Był autentycznie przygnębiony swoją głupotą, która

doprowadziła do wydalenia ich z Kuro. Nie miał pojęcia, na czym polegało zainteresowanie Lesy wyspą, i na jego plus trzeba zapisać, że nie usiłował się dowiedzieć, kiedy Lesa oświadczyła, że nie ma zamiaru dyskutować o tej sprawie. Nigdy też nie próbował się do niej zalecać, choć miał mnóstwo okazji. Lesa sądziła, że w pełni panuje nad przyjaźnią z Harrym, ponieważ nie wchodziły w grę podteksty erotyczne. I to przede wszystkim dodawało jej pewności siebie w kontaktach z nim.

Harry podszedł do ławeczki z pewnym niepokojem, jednak zamiast oczekiwanych kpin powitał go uśmiech, ten cudowny, promienny uśmiech Lesy.

- Harry - powiedziała zapraszając, by usiadł obok - winna ci jestem przeprosiny. Przez dwa ostatnie dni zachowywałam się okropnie. Bardzo mi przykro.

Harry machnął ręką.

- Moja wina; byłem zbyt wścibski... Leso, nie uwierzysz, ale chyba znalazłem miejsce, skąd wystrzelono wiązkę promieniowania.

Lesa zrobiła zawiedzioną minę.

- No wiesz, wiązałam wielkie nadzieje z tą dobrze płatną umową.

- Umowa dalej obowiązuje - powiedział poważnie Harry. - Ponieważ ty odnalazłaś to miejsce.

- Ja? Gdzie?

- Na Kuro.

Lesa spojrzała na niego uważnie.

- Gdzie dokładnie?

- Teleskop. A w każdym razie jeden z teleskopów. Zwierciadło Beta.

Lesa miała ochotę roześmiać się głośno, ale na tyle dobrze poznała już Harry'ego, by nie brać go za głupca.

- Chwileczkę. Harry. Twierdzisz, że wielkie naukowe przedsięwzięcie, wokół którego światowa prasa kręci się od dwudziestu lat, jest tylko przykrywką dla twojej wiązki? Nie sądzisz, że to trochę za daleko posunięta fantazja?

- Nie wydaje mi się, że teleskop jest tylko przykrywką. Działa przecież jako teleskop, ale uważam, że budowa obserwatorium była wystarczająco dobrym pretekstem do wybudowania jakiegoś miotacza wiązki promieniowania czy czegoś podobnego.

Lesa nie wyglądała na przekonaną.

- To szaleństwo, Harry. Po co Rosjanie budowałiby tak niebezpieczną politycznie instalację na terenie, nad którym nie mają kontroli?

- Termin dzierżawy Kuro zapewnia im wystarczającą kontrolę. A poza tym,

wybudowanie tej instalacji poza terenem Związku Radzieckiego oznacza, że międzynarodowe zespoły kontroli rozbrojenia nie mogą się domagać dostępu do niej. Teleskop służy tu jako idealna przykrywka. Budowa w syberyjskiej głuszy czy gdziekolwiek indziej musiałaby zwrócić uwagę, znalazłaby się na zdjęciach satelitarnych i tak dalej.

- Ale na Kuro niemal bez przerwy od dwudziestu lat są dziennikarze - upierała się Lesa.
- Przypomnij sobie, jak bardzo ich się hołubi.

- Przez co cała przykrywka jest jeszcze pewniejsza - zauważył Harry. - Nie zapominaj, że nikt nie może niespodziewanie pojawić się na Kuro.

- Myśmy się pojawili.

- Niezupełnie. Jeśli pamiętasz, kasjer w Hongkongu powiedział, że muszą uzyskać zgodę na wizytę. Możesz być pewna, że gdyby im to nie odpowiadało, Rosjanie wymyśliliby jakąś przyczynę i nie wpuścili nas na wyspę. A na samej wyspie nie można się tak całkiem swobodnie poruszać, wystarczy sobie przypomnieć, co się nam przydarzyło, kiedy zeszlśmy z wyznaczonego traktu.

Lesa zamyśliła się chwilę. Niektóre argumenty Harry'ego nie były pozbawione sensu, zwłaszcza ten o ukrywaniu budowy. Tajemnicza budowa na dużą skalę gdziekolwiek w Związku Radzieckim na pewno zwróciłaby uwagę licznych agencji zdalnego zwiadu, wojskowych i cywilnych. Zadawano by Rosjanom pytania o przeznaczenie owej budowy.

- To bardzo kosztowna przykrywka, moim zdaniem - skomentowała. - Budowanie teleskopu za miliardy dolarów na odludnej wysepce.

- Nie taka kosztowna, jeżeli i tak zamierzali wybudować teleskop. Może być jeszcze inna przyczyna budowania na Kuro: nie jestem pewien, czy wie o tym rząd radziecki.

- Harry, to już czysty nonsens. Przecież rząd pokrywa koszty budowy.

- Nigdy dotychczas nie budowano teleskopu tej wielkości, toteż bez trudu można tak manipulować kosztorysami, by pokryły koszty budowy miotacza wiązki promieni. Zwłaszcza jeśli ma się na miejscu statek do transportu dodatkowego wyposażenia specjalistycznego. A tak właśnie jest na Kuro.

Tym razem Lesa nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Harry, teraz to już przesadziłeś.

Harry mrugnął do niej i wyjął z kieszeni artykuł.

- Przeczytaj to. Jeżeli Jonathan Praad się nie myli, to prawdziwym szaleńcem w tym wszystkim jest Wiktor Koniew.

Lesa przebiegła wzrokiem artykuł. Rzuciło jej się w oczy zdjęcie Aleksego Hegla na końcu strony. Prześwidrowały ją na wylot twarde oczy, budząc na nowo strach, strach, który

przyćmiło już poczucie wstydu, a więc był to strach, nad którym mogła zapanować. Od chwili wyjazdu z Kuro rozmyślała gorączkowo, w jaki sposób powrócić na wyspę, ale nic jej nie przychodziło do głowy. A teraz może uda jej się wykorzystać na swoją korzyść tę idiotyczną obsesję Harry'ego. Wzięła magnetofon i wstała z ławeczki.

- Może jest coś w tym, co mówisz. Chodźmy przyjrzeć się bliżej wyspie Kuro.

Wrócili do biura i siedli przy nie zajętych monitorach w głównym laboratorium analiz. Każde stanowisko pracy, z olbrzymim monitorem o powierzchni metra kwadratowego, otaczały wysokie parawany, toteż każdy z analityków mógł odbywać konferencje przy swoim ekranie, nie przeszkadzając kolegom.

Podstawą ekonomicznego wykorzystania satelity SPOT 12 było staranne przygotowanie. Harry z zainteresowaniem obserwował, jak Lesa wypisuje na klawiaturze polecenia, które nastawią teleskopy satelity dokładnie na odległą wyspę i ściągną serię zdjęć, kiedy Lesa się do niego podłączy.

- Na jak długo się włączysz? - zapytał Harry.

- Sześćdziesiąt sekund powinno wystarczyć.

Harry usiłował wyliczyć liczbę informacji, jakie w ciągu tych sześćdziesięciu sekund spłyną z satelity SPOT 12 do centralnej bazy danych Systemationu, ale zrezygnował. Istniała zasadnicza różnica między korzystaniem z satelity a korzystaniem z bazy danych; nikt nie podłączał się do satelity, żeby niespiesznie wyszukiwać konieczne informacje.

- Mamy szczęście, nikt inny teraz z niego nie korzysta - powiedziała Lesa odczytując dane, jakie pojawiły się na ekranie. - Jesteśmy na samym początku kolejki. Dobra, już wskoczyliśmy. Tam jest godzina po brzasku, czyli powinno być odpowiednie światło.

Harry oczekiwał, że na ekranie pojawi się obraz Kuro, ale zamiast tego ukazał się strumień informacji.

- Doskonale - oświadczyła Lesa i wyłączyła się z bezpośredniego odbioru z satelity. - Ta minuta powinna dać dziesięć obrazów, co będzie nas kosztowało pięćdziesiąt tysięcy franków. A teraz zobaczmy, co mamy.

Ekran nagle zrobił się intensywnie niebieski, ze znajomym już prostokątnym kształtem Kuro pośrodku. Lesa ześrodkowała obraz. Harry zamrugał ze zdumienia. Na ekranie było wszystko: ukośny rzut Kurogradu i przystani, drogi, elektrownia na wybrzeżu, na którą zdążył rzucić okiem podczas pobytu na wyspie, a na szczycie góry Kuromia, niby cztery błyszczące perły w koronie, cztery imponujące lustra potężnego teleskopu. Jaskrawe, naturalne kolory i ostry kontrast, spowodowany przez wydłużone cienie w porannym słońcu, nadawały obrazowi niemal trójwymiarowy charakter, jakby obserwowali wyspę z balonu unoszącego

się na wysokości dziesięciu tysięcy stóp.

Lesya wypatrzyła jakąś anomalię w przystani i zrobiła najazd z powiększeniem do dwudziestu. Twarz jej nie zmieniła wyrazu, kiedy wpatrywała się w zakotwiczony jacht motorowy.

- To albo bawiący przejazdem milioner, albo „Rasputin” - zauważył Harry.

- To „Rasputin”.

- Skąd wiesz?

- Chyba widziałam zdjęcie w ośrodku informacyjnym - powiedziała lekceważąco Lesya. Ześrodkowała obraz na elektrowni. Ruch obrazu wywołał wrażenie lotu. Harry z zainteresowaniem przyglądał się budowli.

- Jest większa, niż mi się wydawało.

Wprawne oko Lesy przełożyło obraz i wymowne cienie na trójwymiarową topografię pamięci.

- To dlatego, że widziałeś mniejszy budynek. To punkt uzdatniania wody. Podczas budowy teleskopu na Kuro pewnie trzeba było mnóstwo świeżej wody. Ale główny budynek elektrowni powiększono, wcinając go w zbocze wzgórza. Z drogi nie można zobaczyć całości.

- Dla mnie to wygląda jak jeden budynek.

- Przyjrzyj się uważnie, a zobaczysz, że betonowy dach ma troszeczkę inny kolor w tej części, która wcina się w zbocze. Widzisz?

Dopiero kiedy Lesya za pomocą myszki komputera wydobyła granicę odmiennego koloru, Harry zauważył to, co jej wprawne oko dostrzegło od razu.

- Różne tempo dojrzewania betonu - skomentowała Lesya. - Jedna połowa dachu zalana w innej temperaturze i wilgotności niż druga. To widać jeszcze po wielu latach. Beton dopiero po dziesięciu latach osiąga pełną twardość. - Za pomocą myszki obrysowała budynek ramką i nacisnęła guzik. Na ekranie pojawiły się wymiary, z których wynikało, że budowla ma dwieście metrów długości na pięćdziesiąt szerokości.

- Nie jestem ekspertem od elektrowni - powiedział Harry - ale czy nie wydaje ci się, że jak na tak małą liczbę mieszkańców, to jest raczej duża elektrownia?

- A co z teleskopem?

- Teleskop nie potrzebuje dużo energii. Pamiętasz, jak Koniew nam mówił, że dzięki wspaniałemu zrównoważeniu zwierciadła może poruszać silnik od pralki?

Lesya skinęła głową.

- Rzeczywiście, mówił coś takiego. - Podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu i

nacisnęła numer. - Darryl. Stanowisko dziesięć. Czy możesz nam poświęcić kilka minut? - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Harry'ego. Na jej twarzy malował się wyraz powagi.

- Darryl jest ekspertem od elektrowni. - Wyciągnęła z szuflady elektroniczny notatnik i zaczęła szkicować. Harry zorientował się, że rysuje linie przesyłowe na polance w dżungli, gdzie zostali złapani.

Szybkie, pewne ruchy rylca tworzyły realistyczny rysunek niskich słupów z poprzecznikami i gigantycznych ceramicznych izolatorów, i które podtrzymywały dwa pokaźne przekaźniki mocy. Kiedy pojawił się Darryl, wpisywała na rysunek wymiary.

- Jaki macie problem, moi mili?

Harry wstał, dając Darrylowi miejsce przed ekranem.

- A, coś znajomego - zauważył Darryl. - Wyspa Kuro. - Spojrzał pytająco na Lesę. - W czym mogę wam pomóc?

- Przyjrzyj się tej elektrowni i powiedz nam, co myślisz.

Darryl rzucił okiem na ekran.

- Radziecka elektrownia o mocy jednego gigawata. Mniejszy budynek to stacja uzdatniania wody o wydajności dwustu ton dziennie. I co z tego? - Miał zamiar coś jeszcze dodać, ale twarz mu stężała, odwrócił się w stronę ekranu i z napięciem wpatrywał się w obraz. - Na co, u diabła, wybudowali sobie elektrownię zdolną produkować tak wielką moc? Zamierzają przekształcić tę wysepkę w wielką metropolię, czy co?

- Wyjaśnij nam to - zaproponował flegmatycznie Harry.

Darryl zrobił odjazd z elektrowni i szybko liczył prefabrykowane domki w dzielnicy mieszkaniowej.

- Prawdopodobnie na całej wyspie jest około czterystu mieszkań. Więc o jakiej liczbie mieszkańców może być mowa? Tysiąc?

- Mniej więcej - zgodziła się Lesa.

Darryl dokonał szybkich przeliczeń w pamięci.

- W porządku. Zakładając pięćdziesiąt kilowatów dziennie na mieszkanie, bo pewnie wszyscy mają klimatyzację, co łatwo można sprawdzić na zdjęciach termalnych, i dodając jeszcze pięćdziesiąt kilowatów dziennie na głowę, bo Rosjanie zaczynają dorównywać Amerykanom w marnowaniu energii, powiedziałbym, że zbudowali sobie elektrownię, która przekracza zapotrzebowanie o dziewięćset procent. A założenia zużycia przyjąłem bardzo na wyrost. Mówimy tu o gigawacie mocy. O tysiącu milionów watów. Wystarczy na zaopatrzenie dużego miasta.

- Czy produkują tyle mocy przez cały czas? - zapytał Harry. Zauważył, że Lesa

wykańcza swój szkic dorysowując drzewa. Zaskoczył go jej talent artystyczny. Zastanawiał się, kiedy ta kobieta przestanie go zaskakiwać.

- Mało prawdopodobne - odpowiedział Darryl. - Cały ten budynek jest dość standardowy. Zaprojektowany mniej więcej na cztery dwustupięćdziesięciomegawatowe reaktory ciśnieniowo-wodne, z których każdy napędza dwie parowe turbiny słonowodne Tumańskiego. Nie można wyłączyć reaktorów ciśnieniowo-wodnych, ale można nie wykorzystywać ich pełnej mocy. Mogę to łatwo sprawdzić przez obrazy cieplne rur odpływowych. Ale to nie wyjaśni, dlaczego w ogóle wybudowali elektrownię o takiej mocy.

- To jest linia przesyłowa, o której ci wspomniałam - powiedziała Lesa, pokazując Darrylowi swój rysunek. Naszkicowała sylwetkę mężczyzny przy jednym ze słupów, żeby dać wyobrażenie o skali przedsięwzięcia.

Darryl wpatrywał się w rysunek, kompletnie osłupiały.

- Jesteś pewna, że to tak wygląda?

- Tak to jest w rzeczywistości, prawda, Harry?

- Dokładnie - potwierdził Harry.

- Trzy metry wysokości?

- Tak - powiedziała obronnym tonem Lesa.

- A średnica tych przewodów? Czterdzieści centymetrów?

- Z dokładnością do pięciu centymetrów.

- To niemożliwe. Musiałaś zagubić proporcje.

- Słuchaj, Darryl, kiedy coś rysuję, nie mylę się.

Darryl ponownie zainteresował się ekranem i wpatrywał się w niego z natężeniem. Zrobił najazd na drogę, którą Harry wyszedł z Kurogradu w ślad za Lesą, i wskazał na srebrzyste linie naciągnięte jak pajęczyny na słupy wzdłuż owej drogi.

- To jest standardowa linia przesyłowa, jedenaście kilowoltów, do Kurogradu, prawda?

- Nacisnął wskaźnik i wybrał podobną linię prowadzącą do elektrowni. - A to linie przesyłowe o mocy jedenastu kilowoltów na lotnisko i do teleskopu. To jest cała sieć dystrybucyjna potrzebna na wyspie. Więc co, do diabła, oznacza ten olbrzymi kabel?

- O to właśnie pytamy ciebie - powiedział Harry.

Darryl zmarszczył brwi, wpatrując się w szkic Lesy.

- Jesteś pewna, że to nie jest rurociąg?

Lesa zapytała w odpowiedzi:

- Rurociąg na izolatorach?

- Psiakrew! Nie wiem, co o tym myśleć. Normalny sposób unikania strat energii przy

przesyłaniu wielkich ilości prądu polega na powiększeniu woltażu, tak że prąd jest minimalny, a potem na zmniejszeniu woltażu i wartości prądu w miejscu przeznaczenia. Przy niewielkich odległościach na Kuro nie jest to konieczne. Ta dziwna linia przesyłowa jest z pewnością linią wysokiego napięcia, ale odznacza się fenomenalnymi możliwościami przesyłania prądu, jeśli rozmiar tych przewodów o czymś świadczy.

- Gigawaty? - zaryzykował Harry.

- Z powodzeniem. Ale gdybym ja budował podobną linię, prowadziłbym ją przez przecinki, z daleka od drzew.

- Ona biegnie przez polanę - powiedział Harry - ten baldachim z drzew naciągnęli za pomocą drutów.

Darryl wydawał się zdumiony.

- Gdzie mniej więcej znaleźliście tę linię?

Po krótkiej dyskusji Harry i Lesa zgodzili się co do lokalizacji dziwnej linii przesyłowej i wskazali to miejsce. Darryl włączył jakieś dodatkowe oprogramowanie, by uzyskać lepsze powiększenie, i wykonał najazd na wysokość około tysiąca stóp ponad dżunglę. Nikt się nie odzywał, kiedy prowadził drobiazgowo poszukiwania. Wprowadził do komputera dodatkowe polecenia i kolory dżungli nabrały dziwacznych cętek. Nacisnął klawisz i kolory znowu się zmieniły.

- Jeszcze raz - poprosiła Lesa, wpatrując się badawczo w ekran.

Darryl raz jeszcze nacisnął klawisz, przekształcając cętki w inny wzór kolorystyczny.

- Mamy coś - wymamrotał.

Harry wbijał wzrok w ekran i nie mógł się dopatrzeć niczego niezwykłego, nawet kiedy Darryl pokazał mu szereg jednakowo zabarwionych łąt. Dopiero gdy wprowadził na ekran linię, Harry zorientował się, że łąty tworzą coś w rodzaju prostej, która biegnie przez dżunglę od elektrowni do teleskopu. Darryl wziął w ramki jedną z łąt i przywołał na ekran wybór opcji. Harry patrzył z wielkim zainteresowaniem, jak komputer podejmuje analizę widma chlorofilowego plamy. Mijały sekundy świadczące o tym, jak olbrzymiej mocy obliczeniowej potrzebuje Cray do rozwiązania tego problemu. Na ekranie pojawiła się lista możliwych drzew. Na początku listy znajdowała się informacja:

EUKALIPTUS - PRAWDOPODOBIENSTWO 95%.

- Ja bym powiedział sto procent - skomentował Darryl. - Posadzili eukaliptusy, żeby wypełnić przerwy w zieleni. Pocziwe, szybko rosnące drzewo.

- Dlaczego nie umieścili linii przesyłowych pod ziemią? Mieliby spokój - zauważył Harry.

- Linia przesyłowa o takiej mocy wymaga częstego sprawdzania - wyjaśnił Darryl. - Ale i tak zakopali ją, w miejscu gdzie kończą się drzewa na górze Kuromia. Widzisz? - Darryl wskazał na pas roślinności o zmienionym zabarwieniu, który prowadził z dżungli po zboczu góry do siedziby teleskopu Beta.

Lesa uśmiechnęła się na widok zdumienia na twarzy Harry'ego.

- Wykopanie rowu i wypełnienie go następnie tłuczoną skałą zmienia stopień nawodnienia ziemi w miejscu wykopu, co z kolei ma długotrwały wpływ na roślinność - wyjaśniła.

Harry skinął głową. Mógł jedynie podziwiać profesjonalizm tych dwojga. Przyszło mu do głowy, że współcześni badacze zasobów ziemi stanowią odpowiednik Sherlocka Holmesa.

- Nie ma tu nic specjalnie mądrego - wtrącił Darryl domyślając się, o czym myśli Harry. - Możemy znaleźć te anomalie, ponieważ szukamy ich na podstawie waszego wywiadu terenowego. Ta wyspa znakomicie przeszłaby rutynową analizę.

Lesa uśmiechnęła się ciepło do Darryla.

- Dzięki, Darryl. Bardzo nam pomogłeś.

- Zawsze służę - powiedział wstając z krzesła. - Zawołajcie mnie, jeśli będę jeszcze potrzebny.

Kiedy zostali sami, Lesa przyjrzała się Harry'emu badawczo. Teraz należało go tylko leciutko pchnąć na ścieżkę, którą dla niego przygotowała.

- Wywiad w terenie jest podstawą - powiedziała powoli.

- Co masz na myśli?

- Czy sądzisz, że z tego wszystkiego wynika, że Rosjanie robią na Kuro coś dziwnego?

Harry wyobrażał sobie furię Gusa Whittakera, gdyby przedstawił mu sprawozdanie oparte na dotychczasowych ustaleniach.

- Nie - powiedział smętnie. - A gdybyś tak powiedziała mi, co się kotłuje pod tymi pięknymi czarnymi włosami?

- Myślę, że powinniśmy wrócić na Kuro i dokładnie obejrzeć wnętrze obserwatorium.

- Będą z tym tysiące problemów.

- Mogę im przeciwstawić tysiące rozwiązań.

- Problem numer jeden polega na tym, że mamy zakaz wjazdu na Kuro.

- Rozwiązanie numer jeden polega na tym, że lądujemy nocą na pustej plaży - odparowała Lesa, wskazując liczne przerwy w skalistej rafie. - Następny.

- Problem numer dwa: nie wiemy, czego szukamy.

- Rozwiązanie numer dwa: zabieramy z sobą kogoś, kto jest ekspertem w tej dziedzinie.

Harry spojrział na pytająco uniesione brwi Lesy i roześmiał się.

- Problem numer trzy polega na tym, że jesteś szalona.

- Uporajmy się najpierw z problemem numer dwa.

Był jeszcze jeden problem, o którym Harry nie miał odwagi mówić głośno: zastanawiał się, dlaczego tak bardzo jej zależy na tym, żeby wrócić na wyspę.

*

Steven Krantz był oburzony.

- Nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem - wrzeszczał w ucho Harry'ego. - Praktycznie bez uprzedzenia chcesz mnie oderwać od żony, którą szczerze kocham, od dwójki dzieci, które też darzę szczerą miłością, i chcesz, żebym przyjechał do Anglii w sprawie, która musi być jakimś szaleństwem, skoro nie chcesz powiedzieć, o co chodzi. Nie ma znaczenia, że pokrywasz koszty.

- Tak... - Harry myślał intensywnie.

- Dobra.

- Będziesz miał szansę zrobić coś dla swojego kraju.

- Powiedziałem, dobra.

Harry na chwilę stracił orientację.

- Powiedziałem, dobra - powtórzył cierpliwie Krantz. - Możesz na mnie liczyć. Kiedy mam zacząć?

- Wsiadaj w najbliższy samolot do Londynu - powiedział Harry.

- Zadzwoń, kiedy będziesz miał bilet, wyjdziemy po ciebie na lotnisko. Zwolnił kanał i udał się na poszukiwanie Lesy. Znalazł ją na stanowisku pracy, robiła wydruk zdjęć z Kuro. Był wczesny wieczór, wszyscy inni pracownicy poszli już do domu. Opowiedział jej o Stevie Krantzu i o tym, że jest on w drodze do Londynu.

- Z tego będą wspaniałe mapy - wyjaśniła, kiedy Harry zapytał, co robi. - Sprawdziłam każdy centymetr wybrzeża. Jedyna instalacja radarowa jest na lotnisku. Darryl twierdzi, że to system kontroli zbliżania i nie może wykrywać niczego na brzegu.

- Można się spodziewać, że mają jakiś system kontroli wybrzeży - zauważył Harry.

- Po co mieliby ryzykować instalowanie systemów radarowych, skoro na pozór nie mają nic do ukrycia?

- Mają kamery telewizyjne i czujniki podczerwone wzdłuż tej linii przesyłowej.

- Linia jest zagrożona. Mogą spaść na nią drzewa i tak dalej. Wiemy, gdzie jest linia przesyłowa, więc będziemy ją omijać. Po prostu. Znalazłam też łódź do wynajęcia, która dowiezie nas w pobliże wyspy - kontynuowała Lesa. - Czartery Desa Gibsona. Spotkałam go

w Hongkongu, zanim przyjechałeś. Ma trimaran, niski, szybki, cały z drewna, więc daje nędzne odbicie na radarze. - Spojrzała pytająco na Harry'ego, przekonana, że złapała go w pułapkę.

25.

14 kwietnia

W godzinę po przybyciu do Anglii Steve Krantz zapoznał się z niezmienną angielską tradycją; dostał się w korek drogowy na M 25. Potrzeba było dwóch godzin, by przedostać się obwodnicą z lotniska w Londynie do Guilford. W sumie piętnaście mil. Pod koniec jazdy Lesa i Harry zdążyli mu opowiedzieć całą historię. Sekretny charakter operacji przemówił do chłopięcych cech jego charakteru, choć jako naukowiec miał pewne wątpliwości.

- Harry, będę z tobą szczery - wyznał, kiedy Audi Lesy skręciło w drogę A 31 prowadzącą do hotelu Hog's Back. - Mimo że widziałem uszkodzonego satelitę, ciągle nie wierzę, że to się mogło stać. Broń z wiązki promieni zbyt przypomina science fiction, bym mógł się z tym pogodzić.

- Mimo wydatkowanych przez nas miliardów?

- Przekonaliśmy się, że wydanie miliardów dolarów nie zawsze przyczynia się do rozwiązania problemu.

- A co będzie, jeżeli da się ten problem do rozwiązania Aleksemu Heglowi?

Twarz Krantza rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dlatego właśnie tu jestem.

26.

Kuro, zachodni Pacyfik, 16 kwietnia

Próbne wystrzelenie wiązki torusa wyznaczono na południe, kiedy ewentualne wyładowania ulotowe promieniujące z gigantycznego zwoju byłyby trudne do zauważenia na tle światła słonecznego. Według zapowiedzi Hegla miało to być strzelanie w niebo, bez określonego celu, jako próba przed strzelaniem do celu wyznaczonym na pierwszego maja. Koniewowi powiedziano, że celem testu jest ocena stopnia utraty energii torusa pod pełnym obciążeniem. Rzeczywistym celem próby było przekonanie się, czy pulpit sterowniczy w głębi pokoju kontrolnego, do którego Hegel i Pachmann przeprowadzili przewody, działa prawidłowo.

Odliczanie do testu zaczęło się o jedenastej, kiedy Hegel i Pachmann zasiedli przy swoim pulpicie. Koniew i Menkowa weszli do słabo oświetlonego pokoju kontrolnego i usiedli przy swoich konsolach, nieświadomi, że informacje pojawiające się na ich monitorach i tablicach instrumentów są pod pełną kontrolą Pachmanna.

- Panowie, jestem gotów - powiedział jowialnie Koniew, rozglądając się po pomieszczeniu. Na centralnym ekranie przed nim pojawiły się cztery zielone światła, wskazujące, że wszystko jest gotowe do rozpoczęcia pierwszej fazy. Koniew nałożył słuchawki i połączył się bezpośrednio z kierownikiem elektrowni. - Proszę o sto procent mocy - powiedział.

W sterowni elektrowni kierownik w białym fartuchu włączył alarm, który nakazywał wszystkim opuścić rozdzielnię. Następnie nacisnął główny przycisk kontrolny, inicjując całą serię testów przeprowadzanych przez dziesięciu techników pracujących w sterowni. W betonowym pomieszczeniu reaktora, wyłożonym zabezpieczającą warstwą ołowiu, otworzyły się zawory hydrauliczne, gigantyczne pompy rozpoczęły pracę, przepompowując sześć ton wody morskiej na minutę przez wymienniki ciepła. Silniki elektryczne warczały cicho, dostarczając paliwa do każdego z czterech reaktorów. Przez kilka minut aparatura teleskopu nie wykazywała żadnej zmiany w dostawie energii.

Koniew włączył mikrofon i nakazał:

- Cały personel ma opuścić bramy i teren osłony teleskopu. - Powtórzył to polecenie trzykrotnie, zgodnie z własnym zarządzeniem dotyczącym przeprowadzania prób. Nie było to wcale konieczne, ponieważ kamery telewizji przemysłowej obejmujące obszar betonowej osłony teleskopu pokazywały, że na całym terenie nie ma żywej duszy, ale Koniew był maniakiem, jeśli chodzi o środki ostrożności.

- Zamykamy wyłącznik - oznajmił kierownik elektrowni.

Pachmann włączył obwód telewizyjny i obaj z Heglem mogli obserwować kontakty zamykające się na gigantycznym wyłączniku w rozdzielni elektrowni. Połączone języki ze stopu manganowego połączyły się szczelnie, tworząc dwa ciągłe przewodniki, które wytrzymują olbrzymie obciążenie jednego gigawata, jakie za chwilę przez nie przepłynie. Projekt, konstrukcja i wypróbowanie potężnego dwubiegunowego wyłącznika zajęły cztery lata.

- Wyłącznik zamknięty - zameldował głos kierownika.

- Proszę nakierować Alfę na cel - zarządził Koniew.

Hegel nacisnął przycisk, który obrócił zwierciadło Alfa w stronę celu. Skomputeryzowane aktywatory, które ustawiały ogniskową zwierciadła, przywołały obraz

pustego nieba na monitor Koniewa i Menkowsy. Na monitorze Hegla i Pachmanna miał się pokazać identyczny obraz, w rzeczywistości widać na nim było geosynchronicznego satelitę meteorologicznego z lat sześćdziesiątych, umieszczonego na orbicie równikowej ponad Borneo, który przestał funkcjonować w roku 1970. W ciemnym wnętrzu pokoju kontrolnego Hegel mógł sobie pozwolić na to, by uśmiechnąć się porozumiewawczo do Pachmanna. Dotychczas wszystko działało wspaniale; obraz na ich monitorze pochodził ze zwierciadła Delta i pokazywał prawdziwy cel próbnego strzału. Zwierciadło Alfa, rzutujące na ekran Koniewa i Menkowsy, było ustawiane o pół stopnia w bok. Pachmann dobrze wykonał swoje zadanie.

Niewiele można było meldować z elektrowni, gdzie kierownik ze swoją załogą pracowali nad podniesieniem wydajności ośmiu turbin.

O jedenastej czterdzieści pięć, piętnaście minut przed strzałem, liczniki cyfrowe informowały, że zwój torusa otrzymuje pięćdziesiąt procent mocy.

- Rozpocząć uzbrajanie - zarządził Koniew.

- Uzbrajanie rozpoczęte - odpowiedział Pachmann.

Głęboko pod teleskopem Beta umieszczono komorę ciśnieniową o kubaturze ćwierć metra sześciennego, co równa się mniej więcej pojemności domowej lodówki. Wewnętrzne ściany komory, zrobione ze stopu tytanu, miały pół metra grubości. Pod tą warstwą znajdowała się metrowej grubości wykładzina z włókna węglowego i osłona ołowiowa, a cała komora zamknięta była w dwustutonowej masie uzbrojonego betonu. Wewnątrz pojemnika tkwiła miniaturowa bomba atomowa, głowica modyfikowanego pocisku nuklearnego kalibru sto milimetrów z zapalnikiem kontaktowym, z którego usunięto ładunek miotający. Był to najnowszy „czysty” pocisk Armii Czerwonej o sile wybuchu równej stu tonom trójnitrotoluenu, znanego lepiej jako TNT. Ze środka komory detonacyjnej prowadziła uzbrojona rura stanowiąca część zwoju torusa. Na polecenie Pachmanna teleskopowe rękawy mieszczące bezwładnik detonatora zaczęły się zamykać.

- Siedemdziesiąt pięć procent mocy - oznajmił kierownik elektrowni, potwierdzając tym świadectwo liczników w pomieszczeniu kontrolnym.

- Zapłon za siedem minut - powiedział Pachmann, nie podnosząc wzroku znad swojego pulpitu.

- Osiemdziesiąt procent.

- Trzy minuty.

Na zewnątrz teleskopu działo się coś niezwykłego. Pod wpływem straszliwego strumienia magnetycznego, wytworzonego w pustym rdzeniu torusa, powietrze wewnątrz

zwoju jonizowało się i wylatywało w przestrzeń jako wiązka słabej plazmy, która byłaby doskonale widoczna, gdyby próbę przeprowadzano w nocy. Pęd powietrza, które wpadało na miejsce powietrza wessanego przez zwój torusa, tworzył miniaturowy huragan na szczycie góry Kuromia.

- Dwie minuty do zapłonu - powiedział Pachmann. Jego twarz, w przeciwieństwie do twarzy Hegla, nie wyrażała nic.

- Przekroczymy poziom C możliwości przerwania zadania - powiedział Hegel.

Na tym etapie najgorszą klęską byłaby awaria elektryczności. Do poziomu B Pachmann mógł wyłączyć urządzenie atomowe. Na poziomie A nie sposób już było przeszkodzić wybuchowi nuklearnego pocisku.

- Minuta do wybuchu.

- Dziewięćdziesiąt procent.

Koniew niespokojnie poruszył się na krześle. W tym momencie poczucie dumy z powodu zbudowania działającej wiązki torusa zaćmiewał niepokój na myśl o ewentualnej awarii elektryczności. Sama zasada wiązki była bardzo prosta, co nie przeszkadza, że fizycy przez wiele dziesięcioleci na próżno usiłowali skonstruować urządzenie, które zdolne byłoby wytworzyć tę wiązkę. Nie można było zbudować uzbrojonych komór ciśnieniowych, które wytrzymałyby siłę wybuchu nawet niewielkiej bomby atomowej. Zasada torusa polegała na tym, że wchłaniał energię w chwili wybuchu i wysyłał ją w przestrzeń w postaci wiązki plazmy. Awaria elektryczności w kluczowym momencie spowodowałaby wybuch komory ciśnieniowej, który rozwaliliby cały teleskop razem ze szczytem góry Kuromia.

- Trzydzieści sekund i odliczanie...

- Dziewięćdziesiąt pięć procent mocy.

- Przekroczony poziom B.

- Dwadzieścia...

Pachmann spojrzał na Hegla i zauważył, że atletycznie zbudowany mężczyzna wpatruje się w obraz starego satelity meteorologicznego na ekranie.

- Piętnaście...

- Sto procent mocy. Powodzenia, panowie.

Ryk sztucznego huraganu dał się teraz słyszeć wewnątrz budynku.

- Dziesięć...

Koniew odwrócił się, by pokazać Heglowi kciuk podniesiony do góry na znak zwycięstwa, ale speszzył go uśmiezek fizyka.

- Przekroczony poziom A.

Hegel trzymał palec na przycisku. Była to jedna z prostszych innowacji Pachmanna: naciśnięcie przycisku w odpowiednim momencie spowoduje przekonujący błysk światła na ekranie Koniewa.

- Pięć... cztery... trzy... dwa...

Błyski na ekranach monitorów rozjaśniły wnętrze pokoju kontrolnego w tym samym momencie, w którym spod betonowej podłogi dobiegło głucho dudnienie. Ze środka teleskopu Beta wyleciała w przestrzeń wiązka energii o sile równej stu tonom TNT. Trwało to niecałą sekundę. Sejsmografy w rejonie Pacyfiku zarejestrują wstrząs, ale będzie zbyt krótki, by miał jakiegokolwiek znaczenie na tle sejsmicznych „hałasów” wywołanych ruchami tektonicznymi ziemi.

- Wyłączyć moc! Wyłączyć moc! - polecił Koniew kierownikowi elektrowni. Liczniki w pokoju kontrolnym wykazały natychmiastowy spadek strumienia pola magnetycznego w zwoju torusa. Koniew obrócił się wraz z obrotowym krzesłem i spojrzał rozpromieniony na Hegla.

- No i jak, Aleksy?

- Wspaniale - odpowiedział Hegel, patrząc na swój ekran. Stary satelita meteorologiczny przestał istnieć. Jakby wyparował. - Stuprocentowy sukces.

- Doskonale, doskonale, Aleksy. Szkoda, że nie mieliśmy żadnego celu.

- Wielka szkoda, Wiktorze - powiedział poważnie Hegel, unikając wzroku Pachmanna.

- Nie ma już wątpliwości co do próby wyznaczonej na pierwszego maja, Aleksy. Będzie przy niej obecnych wielu ważnych kolegów z Moskwy. Muszę wyznać, że nie mogę się doczekać, kiedy ujawnimy to, czego dokonaliśmy.

- W pełni podzielałam to uczucie - przyznał Hegel z nietypową szczerością. Uśmiechnął się do Pachmanna, który tym razem zdołał przywołać na twarz coś w rodzaju bladego uśmiechu.

27.

Hongkong, 17 kwietnia

Lesza zatrzymała się przed stanowiskiem 10 C w przystani jachtowej Hung Hing.

- To ten - oznajmiła swoim dwóm towarzyszom. - „Sparkle”.

Krantz patrzył nieufnie na dziesięciometrowy trimaran, nie zważając na jego smukłą, nowoczesną sylwetkę. W Stanach Zjednoczonych wielokadłubowe łodzie wyszły z mody, ponieważ zajmowały podwójną przestrzeń na przystani i obciążano je odpowiednią opłatą.

Toteż „Sparkle” - z szerokimi, płaskimi pokładami spinającymi zewnętrzny kadłub - wydawał mu się zdecydowanie dziwny.

- To! - prychnął lekceważąco.

- Mnie się wydaje w porządku - skomentował Harry, oglądając trimaran. Zauważył cienki maszt z włókna węglowego, wyższy od wielu masztów na znacznie większych jachtach w przystani. Umieszczony był na obrotowej podstawie i miał osobną wyciągarkę na środku głównego kadłuba, co oznaczało, że można go łatwo postawić i złożyć. Podobał mu się hydrauliczny przerzutnik do refowania, zamocowany na bomie porządnie zwiniętego spinakera, i samosterujące urządzenie powyżej kokpitu. Przerwy pomiędzy trzema kadłubami poza pokładem przykrywała mocno naciągnięta siatka bezpieczeństwa. Była to dobrze wyposażona, dobrze skonstruowana łódź, doskonale utrzymana, na której jeden człowiek mógł szybko i wygodnie żeglować w długie oceaniczne rejsy.

- Wielki rower wodny wydaje ci się w porządku?

- Polinezyjczycy żeglowali w trimaranach po całym Pacyfiku, zanim pierwsi koloniści wyruszyli z Plymouth - uciął rzeczowo Harry.

Lesz zręcznie skoczyła na kokpit i zapukała do drzwi kabiny.

- Jest ktoś w domu? Panie Gibson?

Drzwi się otworzyły i ukazała się rozczochrana czupryna korpulentnego Polinezyjczyka, którego Lesz poznała podczas ostatniej wizyty w Hongkongu. Zamrugał oślepiiony światłem słońca, a kiedy zauważył Lesz, twarz jego rozpromienił uśmiech zadowolenia.

- Dzień dobry, panie Gibson. Jestem Lesz Wessex. Pan mnie pamięta? Dzwoniłam do pana z Anglii w zeszłą sobotę, żeby wynająć pana łódź na długi rejs.

Des Gibson wyszedł z kabiny i uściśnął dłoń Lesz. Miał na sobie niechlujne szorty, czapkę z daszkiem przekrzywioną pod dziwnym kątem, a z jego twarzy nie schodził uśmiech.

- Oczywiście, że panią pamiętam, panno Wessex. Proszę wszystkich na pokład.

Wprowadził gości do zadziwiająco obszernego, dobrze wyposażonego salonu i wyciągnął z szafki samochodzące puszki piwa. Krantz trochę zmiękł na widok klimatyzacji i nowoczesnej kuchni z zamrażarką. Może długi rejs na tej dziwacznej łodzi nie będzie taki straszny.

Harry i Des Gibson dobili targu przy drugiej kolejce piwa: za osiemset pięćdziesiąt dolarów dziennie mieli łódź na czas nieokreślony, wraz z wyżywieniem.

- Nie mam żadnych innych klientów - przyznał Des z rozbijającą szczerością.

- Jaki jest zasięg tej łodzi? - zapytał Harry.

- Odległość nie problem - odpowiedział pogodnie Des. - Tą łodzią możemy płynąć wszędzie. „Sparkle” jak każdy trimaran pływa niemal pod wiatr. Filipiny, Tajwan, Indonezja. Nawet Hawaje. Dopłyniemy tam za dziesięć, dwanaście dni. „Sparkle” szybki. Nie ma stępki, nie ma co zwalniać.

- Chodzi nam o rejs około dwa tysiące mil w tę i z powrotem - powiedziała ostrożnie Lesa.

Des rozpromienił się.

- Nie ma problemu.

- Chciałabym dostać osobną kajutę.

- Osobna kajuta na dziobie, panno Wessex. Bardzo wygodna. Bardzo czysta. Żadnego problemu.

- A czym się pan posługuje przy nawigacji? - pytał podejrzliwie Krantz. - Gwiazdami?

Desomalże się przestraszył.

- Nie ma obawy. Nie jestem taki mądry. - Odsłonił zasłonę po przeciwnej stronie kabiny prysznic i pokazał składane biurko. Na półce przy ścianie kadłuba znajdował się cały zestaw satelitarnych przyrządów nawigacyjnych, echosondy, radar, nadajnik-odbiornik wysokiej mocy Icom ze wszystkimi zakresami fal, a nawet faks. - Mam wszystko - oświadczył dumnie, pokazując w uśmiechu białe zęby. - Biznesmeni nie lubią być odcięci w czasie długich podróży. - Pływanie na wschodnich wodach oznaczało, że mógł korzystać z obficie zaopatrzonego rynku taniego sprzętu elektronicznego zupełnie dobrej jakości.

- W porządku, umowa stoi - powiedział Harry, a Lesa skinęła twierdząco głową. - Kiedy możemy wyruszyć?

Des przekrzywił głowę na bok.

- Dzisiaj czwartek. Potrzebuję cztery dni na przygotowanie „Sparkle”. To wypłyniemy wcześniej we wtorek. Dobrze? Dwudziestego drugiego kwietnia?

- Doskonale - powiedziała Lesa. - To nam da czas na zgromadzenie pewnych zapasów.

- Może teraz się dowiem, gdzie popłyniemy? - dopytywał się Des.

- Chyba w kierunku wschodnim - powiedział Harry. - Ale pewnie zdecydujemy się, dopiero kiedy wypłyniemy w morze.

Des uśmiechnął się i skinął głową. Lubił wynajmować łódź ludziom bogatym, którzy mieli dużo czasu. Tacy klienci zdarzali się rzadko. W obecnej epoce zbyt wielu ludzi się spieszyło. Chcieli zakosztować przyjemności prawdziwego żeglowania, ale domagali się tak precyzyjnego rozkładu jazdy, jakby szło o statek motorowy.

28.

Przylądek Canaveral, Floryda, 18 kwietnia

Prom kosmiczny „Colorado” opuścił się na pas startowy lotniska o 17.33, o trzy sekundy później, niż przewidywano, i potrzebował praktycznie całej pięciokilometrowej długości betonowego pasa, by się zatrzymać. W ładowni promu znajdował się zespół komory powietrznej ze stacji kosmicznej. Ta podstawowa część konstrukcyjna nie funkcjonowała należycie, toteż projektanci z Boeinga chcieli mieć całe urządzenia z powrotem na ziemi, żeby je dokładnie sprawdzić. Załoga „Colorado” złożona z trzech mężczyzn i dwu kobiet wysiadła, a prom odholowano do hangaru w celu wyładowania. Była to jedna z najkrótszych misji promu, trwała zaledwie dwadzieścia cztery godziny. Skoro tylko pojazd kosmiczny znalazł się w hangarze, technicy przystąpili do prac konserwatorskich i przygotowań do kolejnego lotu. Musieli się spieszyć, żeby zmieścić generalny przegląd, trwający normalnie piętnaście dni, w ciągu jedenastu dni. Stawało się to normą przy tak bardzo przeciążonych promach.

„Colorado” miał wystartować z wyrzutni 39 A dwudziestego dziewiątego kwietnia.

29.

Hongkong, 22 kwietnia

Lesia była zdumiona pojemnością ładowni w zewnętrznych kadłubach trimarana. Mogła swobodnie stać wyprostowana, kiedy pomagała Desowi w ładowaniu paczki zawierającej czteroosobową nadmuchiwaną łódź Zodiak. Des ustawił pakiet pomiędzy wręgami. Korpulentny Polinezyjczyk potrafił wykonywać zadziwiające łamańce, nie gubiąc swojej czapeczki z daszkiem. Pomógł Lesie wydostać się na pokład.

Lesia ściągnęła koszulkę trykotową i ułożyła się na słońcu. W jednocześnie białym kostiumie wyglądała bardzo efektownie.

- Więcej nie kiwnę nawet palcem - oświadczyła.
- Co to? - krzyknął Harry, podając Krantzowi skrzynkę piwa.
- Des, załoga się buntuje! Poślij ją do pracy!
- Powiedz mu, że jestem zbyt zmęczona, żeby się ruszyć.
- Prawie skończyliśmy - powiedział Des, zamykając wodoszczelny luk w zewnętrznym kadłubie. - Niech pani odpoczywa. Pracuje pani ciężiej od tych dwóch.

Harry usiadł na materacu w kabinie i odkreślał na elektronicznym bloczku przedmioty,

które znalazły się na pokładzie. Pierwsze dwa dni, podczas których Des przygotowywał „Sparkle” do drogi, spędzili na kupowaniu wyposażenia wartości ćwierć miliona dolarów. W Ameryce niemożliwe byłoby dokonanie podobnych zakupów w tak krótkim czasie, ponieważ w żadnym z miast nie znaleźliby wszystkich potrzebnych artykułów. Poprzedni dzień spędzili na zaznajamianiu się z zakupioną aparaturą.

Krantz przytaszczył do kuchni ostatnią skrzynkę z mrożonym mięsem i usiłował znaleźć miejsce w zamrażarce. Wszyscy pracowali bez wytchnienia w upale poranka, załadowując na „Sparkle” zapasy wystarczające na trzytygodniowy rejs. Des przeszedł się po nabrzeżu i przykucnął w pewnej odległości, żeby sprawdzić obciążenie trimarana. Prawidłowe zrównoważenie wielokadłubowej łodzi było sprawą bardzo istotną, nie miała bowiem wielotonowej stępki, która zapewniała stabilność konwencjonalnego jachtu.

- Całkiem przyzwoite trymowanie - oznajmił. - Możemy ruszać. Dobra prognoza.

- A co ze słodką wodą? - zapytał Krantz, który wyłonił się z salonu. - Nie załadowaliśmy na pokład.

- Mamy dwie tony w zbiornikach - powiedział Des.

- A paliwo?

- Czteryście litrów dosyć. Potrzebujemy diesel tylko w porcie. Wszędzie płyniemy z wiatrem, jak wiatr.

Załatwili formalności celne i wypłynęli w samo południe. Des posłużył się umieszczonym na rufie dieslem marki Volvo Penta, by przeciąć szlaki antycznych, butelkowitzelonych promów Star pływających pomiędzy Kowloonem a Victorią. Była to jeszcze jedna z dawnych tradycji Hongkongu, której nie naruszyli nowi chińscy władcy. Widok nowoczesnego dieslowskiego silnika podniósł Krantza na duchu, kiedy zajrzał przez luk w podłodze kokpitu.

Dołączył do Lesy i Harry'ego, którzy opalali się na pokładzie. Opierali się o zrębice salonu obserwując mijane wysepki, rozrzucone niby klejnoty w zatoce Big Wave. Był cudowny dzień, z północnego wschodu wiał lekki wiaterek, a bezchmurne niebieskie niebo znaczyły jedynie białe smugi z odrzutowców startujących w dwuminutowych odstępach z lotniska Kai Tak. Lesa miała okulary słoneczne, więc Krantz nie był pewien, czy może ją podziwiać bez narażania się na niebezpieczeństwo. Poprzedniego dnia przyłapała go na tym, jak jej się przyglądał, i obrzuciła go tak pogardliwym spojrzeniem, że postanowił więcej tego nie robić bez stuprocentowej pewności, że nie zostanie zdemaskowany.

- Czy nie powinniśmy czymś się zająć? - zapytał, wyciągając się obok Lesy.

Zdjęła na chwilę okulary.

- Na przykład czym?

- Nie wiem. Można by brasować reje albo coś w tym rodzaju. Myślałem, że na żaglowcu bez przerwy coś się robi, bez odpoczynku, żeby odwrócić uwagę od choroby morskiej.

- Wkrótce będzie dosyć roboty - powiedział leniwie Harry.

- Problem, panie Dysan - wołał z kokpitu Des.

- O co chodzi, Des?

- Zdecydował pan, dokąd płyniemy?

- Prosto na wschód.

- Dokąd na wschód?

- Tysiąc mil na wschód, Des. Na wysepkę o nazwie Kuro. Słyszałem, że tam są dobre połowy.

Des rozejrzał się dokoła, by się upewnić, że w pobliżu nie ma żadnego statku, zniknął pod pokładem i pojawił się z powrotem z dokładną mapą Pacyfiku w dużej skali. Rozłożył ją na kole sterowym z nierdzewnej stali i studiował z napięciem.

- A tak, znalazłem. Bardzo mała wyspa.

- Jesteś pewny, że jej nie zgubisz?

Des uśmiechnął się.

- Mam satelitarną nawigację. Znam pozycję w przybliżeniu do dziesięciu metrów.

- Jak sobie radziliśmy przed wynalezieniem satelitów? - Pytanie Krantza nie było skierowane do konkretnej osoby.

- Rzeczywiście, jak - przyznała Lesa, zamykając oczy i rozkoszując się ciepłem słońca.

- Gdyby nie satelity, nie byłibyśmy tutaj.

- O tej porze roku wiatry północno-wschodnie to pewien problem - zawołał Des. - Ale popłyniemy na południowy wschód trzysta mil, potem trzysta mil na północny wschód. Przepłyniemy przez kanał Balingtang na północ od Filipin. A potem długie halsowanie na Pacyfiku.

- Znaczy, że nie możemy stąd płynąć prosto? - zaniepokoił się Krantz.

- Nie żaglowcem. Płyniemy do góry, a potem w dół. Wielki zygzak. Nie ma problemu.

Zajęcie z przełożeniem żagli.

Krantz jęknął.

- Wiedziałem, że będzie jakiś problem.

- Des, to ile mil morskich na Kuro? - spytał Harry.

- Tysiąc dwieście, może tysiąc trzysta.

- Ile czasu nam to zajmie?

- Pięć, może sześć dni - Des wskazał ręką wyspę po lewej burcie.

- Nam Kwao Chau. Ostatnia wyspa Hongkongu. Teraz popłyniemy na żaglach. Panno Leso, pani odczepi bom spinakera, tak jak pokazywałem.

Zadowolona, że może coś robić, Lesa zwolniła wanty podtrzymujące bliźniacze bomy i przyczepiła końce bomów do ruchomych linek na krążku, które prowadziły pod bocznym pokładem do układów sterowniczych w kokpicie. Obróciła bomy w ten sposób, że wraz z masztem tworzyły gigantyczną, odwróconą literę T. Następnie przyczepiła linki zwisające z masztu do rogów trójkątnych spinakerów, ciasno zwiniętych wokół bomów.

- W porządku, Des.

Des obserwował, jak bomy się okręciły, gdy ustawił dwa miniaturowe drążki sterowe na tablicy rozdzielczej. Pokazał Lesie podniesiony do góry kciuk i wyłączył silnik. „Sparkle” stracił szybkość. Na przednim pokładzie zaczęły się obracać dwie niewielkie automatyczne wyciągarki. Harry i Krantz przestali się przyglądać Lesie, uwagę ich przykuły spinakery rozwijające się z bomów. Kiedy doszły do wysokości metra, zaczęły się wypełniać wiatrem. Błyskawicznie reagujący „Sparkle” natychmiast nabrał szybkości.

Krantz siedział na dachu salonu, skąd łatwiej mu było obserwować smukłą sylwetkę Lesy. Nagłe przyspieszenie, w momencie gdy żagle doszły do połowy masztu, spowodowało, że ześlizgnął się ze swojej grzędę i wylądował obok Harry’ego.

- Jezus, to się naprawdę porusza - jęknął.

- Dostyć żagli - krzyknął Des. - Panno Wessex, byłaby pani dobrym marynarzem.

- Jeszcze jak! - powiedział półgłosem Krantz. Przyjrzał się badawczo Harry’emu. - Czy ty i ona...?

- Nie - powiedział gwałtownie Harry.

- To jest nadzieja dla nas obydwu. Słyszałem, że podróże morskie wywierają dziwny wpływ na kobiety.

- Ona robi z tobą dziwne rzeczy, jeśli będziesz czegoś próbował - ostrzegł Harry.

- Zabawna dziewczyna. Zauważyłeś tatuaż na jej przedramieniu?

- Tak.

- A co powiesz na ten zegarek?

- Co mam powiedzieć?

- Myślę, że Smithsonian Institute chętnie by go dostał w swoje ręce, to prawie muzealny egzemplarz. Ciekaw jestem, dlaczego ona nosi ten zegarek?

- Dlaczego jej nie zapytasz?

- Podejrzewam, że zadawanie takich pytań może się wiązać z pewnym niebezpieczeństwem.

- Jak najpewniejszym! - potwierdził leniwie Harry.

- Robimy teraz dziesięć węzłów - chwalił się Des. - Bardzo dobrze na krótkich żaglach, co?

- Bardzo dobrze! - potwierdziła ze śmiechem Lesa, którą zmoczyły bryzgi wody.

Harry spojrzał na nią. Stała na lekko rozstawionych nogach, żeby utrzymać równowagę na rozhuśtanym pokładzie, jedną ręką trzymała wantę, twarz skierowała pod wiatr. Długie czarne włosy rozwiewały się za nią. Wyglądała jak Circe mścicielka, Homerowska czarodziejka płynąca po ciemnoczerwonym morzu, by wyrzucić na swych wrogach najokrutniejszą zemstę.

30.

Kuro, zachodni Pacyfik, 23 kwietnia

Pracujące pod ciśnieniem węże sterowanego radiem robota zakończyły swoje zadanie wypłukania resztkowej radioaktywności z komory detonacyjnej. Cała woda wypompowana z komory została przelana do głębokiej studni, a pompy przepłukane morską wodą. Z zapadnięciem zmroku zespół dziesięciu techników, pracujących w komorach pod teleskopem Beta, zakończył operacje wyliczone na specjalnej liście. Torus gotów był na przyjęcie kolejnego pocisku atomowego z niewielkiego podziemnego arsenału, wydrążonego w skale pod elektrownią.

31.

Przylądek Canaveral, Floryda, 24 kwietnia

W olbrzymim, przypominającym kostkę Budynku Montażu Pojazdów, wzniesionym w poprzednim stuleciu w celu montowania rakiet Saturn, które miały zawieźć ludzi na Księżyc, prom kosmiczny „Colorado” stał dziobem do góry, przyczepiony do dwóch olbrzymich zbiorników paliwa w kształcie cygar i dwóch urządzeń wspomagających z paliwem stałym. Całą tę niezręczną konstrukcję podtrzymywała wieża konserwacyjna, która z kolei znajdowała się na podwoziu na gąsienicach. Za trzy dni, po dokończeniu wszystkich testów montażowych, otworzą się drzwi Budynku Montażu Pojazdów i wyłoni się gąsienicowy wehikuł, by w tempie trzech kilometrów na godzinę rozpocząć jazdę przez osuszone bagna do

wyrzutni 39 A.

32.

Zachodni Pacyfik, 25 kwietnia

Na południe od wysp Batan szelf kontynentalny obniża się gwałtownie z głębokości dwustu metrów do pięciu tysięcy metrów. Lesa mocno trzymała ster, czując w palcach każde jego poruszenie, i obserwowała ekran echosondy. Usiłowała sobie wyobrazić pięciokilometrową odległość pomiędzy trimaranem i głębinową równiną dna Pacyfiku, ale zdecydowała, że jednak lepiej o tym nie myśleć. Należało skoncentrować się na żyrokompasie i utrzymywać „Sparkle” na wschodnim kursie. Za jej plecami spał Des wyciągnięty na materacu. Harry i Krantz rozłożyli się na siatkach bezpieczeństwa, gdzie docierał wiatr schodzący ze spinakera, a od czasu do czasu także bryzgi fali.

Lesa wzięła do ręki swój nowy, wodoodporny Klipsofon, jeden z wielu zakupów poczynionych w Hongkongu, i zadzwoniła do Darryla. Wydawał się zadowolony, że słyszy jej głos. Przed wyjazdem z Anglii Harry na usilne nalegania Lesy niechętnie wtajemniczył go w cel ich wyprawy.

- Radzę sobie nieźle - odpowiedział Darryl na pytanie Lesy.

- Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że ciebie nie ma. Trochę zakłóceń na twojej linii.

- To dlatego, że połączenie idzie przez system morski. Jesteśmy poza zasięgiem wzmacniaczy lądowych. Darryl, przykro mi, że ciągle zostawiam cię samego na posterunku.

- Tym się nie przejmuj tak długo, dopóki się dobrze bawisz.

- Nic nowego w naszym punkcie docelowym?

- Przed godziną rzuciłem okiem. Na zachodzie bez zmian. Znalazłem waszą łódź. Macie dobrą szybkość.

Pocieszająca była świadomość, że Darryl obserwuje ich z góry, chociaż znajduje się po drugiej stronie globu. Lesa wyjaśniła wątpliwości Darryla w sprawie kilku opieszale płacących klientów i pożegnała się z nim.

W leniwym upale popołudnia zobaczyli jacht, którego bliźniacze spinakery zaokrąglął ostry wiatr. Uwagę Lesy przykuł samotny albatros. Ptak trzymał się blisko trimarana oczekując, że spadnie do morza posiłek złożony z rybich wnętrzności, do czego przyzwyczały go kutry rybackie z Basco. Lesa poprawiła kontrast na monitorze przyrządu wskazującego położenie statku, żeby uzyskać lepszą widoczność w słonecznym świetle. Po

trzech dniach żeglugi znaleźli się siedem stopni na wschód od Hongkongu, w odległości ponad czterystu mil, co przy ich halsowaniu zygzakami w północno-wschodnich wiatrach oznaczało, że przebyli dystans siedmiuset mil morskich.

Albatros znudził się czekaniem na posiłek i odfrunął w kierunku ciemnych zarysów wysp Batan na północnym horyzoncie.

- Neti, jesteśmy niemal w połowie drogi - wyszeptała Lesa do odlatującego ptaka. - Tym razem cię nie zawiodę. Przysięgam na własne życie.

33.

Kuro, zachodni Pacyfik, 26 kwietnia

Hegel stał przed telewizorem we frontowym pokoju i przełączał się na kolejne kanały telewizji satelitarnej. Zatrzymał się na kanale NASA. Tym razem teksty informacji przesuwają się z lewej strony w prawo na dole ekranu. Obraz natomiast transmitowany był bezpośrednio z nieruchomej automatycznej kamery umieszczonej w Budynku Montażu Pojazdów na Przylądku Canaveral i pokazywał przygotowania promu do wyjazdu z hangaru. Wskaźnik w rogu ekranu informował, że do startu pozostało sześćdziesiąt osiem godzin i dziesięć minut.

Hegel podniósł Klipsofon.

- Bez zmian - powiedział do słuchawki.

- Jestem gotów - oznajmił głos Pachmanna.

Hegel ustawił na podłodze niewielki nadajnik UHF i podłączył go do dodatkowego wyjścia odbiornika satelitarnego. Włączył nadajnik.

- Coś mam - powiedział Pachmann. - Mnóstwo szmerów w obrazie. Gdzie jest nadajnik?

- Na podłodze.

- Spróbuj postawić go na stoliku do kawy.

Hegel przyciągnął stół bliżej telewizora i postawił na nim nadajnik.

- No i co?

- Bardzo dobrze. Ostro i wyraźnie - powiedział Pachmann. - Ciągłe jeszcze w budynku.

Uprzejmie z ich strony, że nas informują, ile mamy czasu.

Hegel uznał, że dosyć powiedzieli na ten temat przez telefon, i powstrzymał się od komentarza. Spojrzał na ekran telewizora.

Do startu promu „Colorado” pozostawało sześćdziesiąt osiem godzin.

W pomieszczeniu kontrolnym na górze Kuromia Pachmann zmniejszył kontrast na swoim monitorze i przyglądał się technikom obsługującym prom. Należy mieć nadzieję, że NASA nie przestanie nadawać obrazów na żywo z promu dwa dni po starcie. Chciałby zobaczyć wyraz konsternacji na twarzach załogi, kiedy wiązka torusa przewierci dziurę w skrzydle pojazdu.

34.

Zachodni Pacyfik, 27 kwietnia

Dobra pogoda utrzymywała się nadal, ale nieprzychylny wiatry zmusiły Desa do kontynuowania żeglugi w kierunku północno-wschodnim, dwieście mil od Okinawy.

- Najlepsza trasa, panie Dysan - zapewniał Harry'ego rozkładając mapę na stole w kabinie. - Widzi pan? Zrobimy jeszcze sto mil tym halsem, a potem wykręcimy na długi, szybki rejs na południe, na Kuro. Nie ma problemu.

Lesa weszła do salonu i usiadła obok Desa.

- Przykro mi, panno Wessex - powiedział nieśmiało. - Podróż na Kuro zajmie nam trochę dłużej, niż przewidywałem.

- Nie spieszmy się - powiedziała Lesa. - Kiedy spodziewa się pan dowieźć nas na miejsce?

Des spojrzał na mapę.

- Dwa, trzy dni. W środę wieczorem. Może wcześniej w czwartek rano, pierwszego maja.

Lesa spojrzała pytająco na Harry'ego.

- Chyba przyszła pora podać Desowi trochę więcej szczegółów na temat naszej wyprawy na ryby.

Harry skinął głową.

- Des, nie byliśmy zupełnie szczerzy. Nie interesuje nas łowienie ryb u wybrzeży Kuro. Naprawdę jesteśmy dziennikarzami.

Des uśmiechnął się.

- Dobrze zgadłem. Cały czas mówiłem do siebie, dlaczego chcecie płynąć tak daleko po ryby. Tutaj pełno ryb.

- Rosjanie zbudowali wielki teleskop na Kuro - kontynuował Harry. - Pozwolili reporterom pisać o budowie teleskopu, nie pozwolili jednak zbadać, jaki wpływ wywarła ta budowa na przyrodę. Obiecywali, że postarają się możliwie jak najmniej ingerować w

środowisko naturalne, ale chcielibyśmy przekonać się o tym na własne oczy. Chcemy Wylądować potajemnie, zrobić kilka nagrań i wracać. Jasne?

Des kiwał głową zachwycony. Świadomość, że jest zamieszany w sekretną operację, bardzo mu odpowiadała.

- Teraz wiem, dlaczego zabraliście dmuchaną łódkę i cały sprzęt. Teraz to ma sens.

- Plan jest taki, że panna Wessex i ja popłyniemy w nocy Zodiakiem na brzeg, zostaniemy tam mniej więcej dwadzieścia cztery godziny i drogą radiową prześlemy filmy panu Krantzowi, który razem z tobą zostanie w trimaranie.

- I mamy wędkę, i udajemy łowienie ryb - dokończył Des.

- Bardzo proste.

- Módlmy się tylko, żeby okazało się tak proste, jak się wydaje - powiedział z przejęciem Harry. Podchwycił wzrok Lesy. Wyjątkowo tym razem zawiodło ją owo wspaniałe opanowanie i odwróciła oczy.

35.

Przylądek Canaveral, Floryda

Było kilka minut po dziesiątej czasu wschodnioamerykańskiego, kiedy drzwi Budynku Montażu Pojazdów zaczęły się otwierać; kolejne partie drzwi podnosiły się, aż otwór był na tyle duży, by ważący cztery tysiące ton pojazd na gąsienicach mógł wyjechać na zwirowaną drogę i rozpocząć sześciokilometrową podróż do podniesionej rampy w pobliżu wybrzeża, która stanowiła płytę wyrzutni 39 A.

Kiedy niezręczna konstrukcja oddaliła się o sto metrów od budynku, zaczął podchodzić do lądowania odrzutowiec wiozący z Houston załogę promu.

- Robią to prawie na styk - skomentowała Stella Richards, zwracając się do Matta Goslinga.

- Czterdzieści osiem godzin na zatankowanie paliwa i ostatnie przeglądy? Tak, zdążą to zrobić - powiedział Gosling, wyglądając przez okno samolotu. - Kiedy zacząłem tę pracę, cholerny prom mógł tam sterczeć przez wiele tygodni, a wilgoć rozregulowywała tymczasem całą elektronikę.

- To były czasy, co, Matti?

- Nie, Stello - odpowiedział poważnie Gosling. - Teraz są czasy.

36.

Kuro, zachodni Pacyfik, 28 kwietnia

Odpowiedzialność za upiększenie Kurogradu przed przyjazdem ważnych osobistości spadła na Diema. Przez dwa dni pocił się wraz ze swoim zespołem w straszliwym upale, żeby nadać nędznej osadzie z prefabrykowanych domków jak najdostojniejszy wygląd; zaczęli bielić ściany, ale zabrakło im farby, usiłowali uprzętnąć warstwy guana narosłe przez lata na murach w przystani, ale przepaliły się silniczki w narzędziach. Nie pomagał im też Wiktor Koniew, który atakował ich co dwie godziny, skarżąc się na brak widocznego postępu w pracach. o popularności administratora może świadczyć fakt, iż mieszkańcy osady obiecywali mu, że uporządkują wszystko. Kiedy tylko samochód Koniewa oddalał się drogą prowadzącą do obserwatorium, wszyscy powracali albo do łowienia ryb w porcie, albo do popijania w barze.

- Kto przyjeżdża? - zapytał Diem barmana, kiedy po drugiej wizycie Koniewa tego ranka udał się do baru wraz ze swoimi pomocnikami.

Barman wzruszył ramionami.

- Jakież szychy z Moskwy, podobno.

- Zdawało mi się, że oficjalne otwarcie przewidziane jest na przyszły rok.

- To nie jest oficjalne. Dla przyjaciół komisarza Koniewa, o ile mogłem się zorientować. Każdy przyjaciel Koniewa jest moim wrogiem. O, cholera, ten świński cwaniak!

Diem obrócił się na stołku i jęknął. Koniew zawrócił samochód i jechał prosto do osady. Nie wyglądał na zadowolonego.

37.

Przylądek Canaveral, Floryda, 29 kwietnia

O 5.00 czasu lokalnego dowódca promu Matt Gosling, pilot Paul Balchin i oficer załadunkowy Stella Richards wjeżdżali windą z bramy na płycie wyrzutni do służbowego „białego” pokoju. W momencie dopełnienia formalności przejmowali odpowiedzialność za prom „Colorado” od zespołu konserwacyjnego. Gosling pierwszy wkroczył do wąskiego korytarza w rękawie stanowiącym wejście dla załogi. Wsunął się przez właz i opuścił do kabiny pilota, gdzie zajął miejsce po lewej stronie. Balchin przypiął się do siedzenia po prawej, a Stella Richards zajęła miejsce oficera załadunkowego za fotelami obu mężczyzn. Poruszanie się w ustawionym pionowo promie wymagało ostrożności. Zanim zdążyła przypiąć się pasami, Gosling i Balchin sprawdzili funkcjonowanie systemu komunikacji z ośrodkiem kontroli lotu.

Po sprawdzeniu, że hełmofon działa, Stella miała niewiele do roboty. Nie zwracała uwagi na niedogodność pozycji, choć leżała mocno przechylona do tyłu; zagłębiła się w myślach o nadchodzącej uroczystości bar micwy najstarszego syna swojej siostry. Wyciągnęła notatnik z kieszeni na piersi i dopisała kilka nazwisk do listy gości, którą układały wspólnie z siostrą. Podświadomie słuchała wymiany zdań pomiędzy dwoma kolegami a ośrodkiem kontroli. Zaprzętała ją też kwestia odpowiedniego prezentu dla trzynastolatka, o co spierali się z mężem. Kiedy ograniczyła wybór do deski surfingowej z żaglem albo kamery wideo, prom drgnął gwałtownie, bo odłączono rękaw wejściowy.

- „Colorado”, główne silniki gotowe do startu - powiedział głos kontrolera lotu.
- Odebrałem i zrozumiałem - potwierdził Gosling.

Stella schowała elektroniczny notatnik z powrotem do kieszeni i skoncentrowała się na ostatnich sekundach odliczania. Ze swojego miejsca widziała jedynie prostokąty porannego nieba za przednim oknem.

- „Colorado”, zgoda na rozruch pomocniczego zespołu silnikowego. Jesteście na wewnętrznym.

- Odebrałem i zrozumiałem, kontrola - odpowiedział Balchin. - Rozpocząłem sekwencję zapłonu startu SSME.

- Potwierdzam, „Colorado”. Pięć... cztery... zapłon głównego silnika...

Głuche dudnienie przypominało odgłos zbliżającego się metra. Rosło nieustannie aż do głębokiego ryku, kiedy włączyły się wszystkie trzy główne silniki.

- Trzy... dwa... jeden...

Prom przechylił się niepokojąco, jakby miał się przewrócić. Stella przywykła już do kompensacyjnej siły ciągu silników, która miała trzymać rozżarzone gazy z dala od gigantycznego zewnętrznego zbiornika paliwa, a która powodowała silne wstrząsy kadłuba. Przyspieszenie natomiast było niewielkie, mniejsze niż przy starcie windy. Różnica polegała na tym, że trwało bez przerwy.

- Oddaliliście się od wieży - poinformował głos kontrolera.

Na zdalnie sterowanej kamerze telewizyjnej zapaliło się czerwone światelko, co oznaczało, że szerokokątny obraz kabiny załogi przekazywany jest na Kanale Informacyjnym NASA. Stella zastanawiała się, czy mąż nastawił sobie budzik, żeby oglądać start promu.

- Kontrola lotu, tu „Colorado”. Rozpoczynamy manewr przechyłu - raportował Balchin.

W oknach pojawił się Ocean Atlantycki. Pojazd kosmiczny osiągnął wysokość dwudziestu pięciu kilometrów, zmniejszył kąt wznoszenia i zaczął obracać się na plecy. Mimo poduszek w kombinezonie, niewygodne położenie promu i nieustanne przyspieszenie

sprawiły, że pasy fotela zaczęły wpijać się w ramiona Stelli. Był to najmniej przyjemny moment lotu.

Ryk silników raketowych przycichł.

- Kontrola lotów, tu „Colorado”. Wypalone urządzenia wspomagające na paliwo stałe.

- „Colorado”, odebrałem i zrozumiałem. Potwierdzam.

Włączyły się małe silniczki rozdzielcze, których zadaniem było odprowadzenie dwu wypalonych zbiorników paliwa stałego z dala od promu. Spadną na spadochronach do Atlantyku, gdzie odnajdzie je statek NASA. Trzy główne silniki kontynuowały długie spalanie. Prom, znajdujący się teraz sto pięćdziesiąt kilometrów nad ziemią, wyciągał paliwo z zewnętrznego zbiornika, który przylegał do gigantycznego cylindra jak pasożyt żarłocznie wysysający krew i życie z opasłego podbrzusza swego żywiciela...

- Silniki jeden i trzy zamknięte - raportował Balchin.

Ryk stał się jeszcze cichszy. Prom „Colorado” osiągnął bezpieczną wysokość, która gwarantowała mu utrzymanie się na orbicie, nawet w razie zasadniczej awarii. Odtąd należało jedynie kontynuować systematyczne spalanie jednym silnikiem, co wyniesie prom na geostacjonarną wysokość orbitalną trzydziestu siedmiu tysięcy kilometrów, wysokość, której nie mogły osiągnąć wcześniejsze promy. Będzie to długie, powolne wznoszenie, które potrwa kilka godzin. Stella zamknęła oczy i zdrzemnęła się. Nie zważała na czerwone światełko w kamerze telewizyjnej. Nie miała pojęcia, ilu widzów na świecie ogląda program informacyjny NASA. Milion? Być może. Wydawało się mało prawdopodobne, by w dzisiejszych czasach start promu kosmicznego mógł zainteresować milion osób, miała jednak nadzieję, że zainteresował jej męża i dzieci.

38.

Kuro, zachodni Pacyfik

Po drugiej stronie globu dwóch widzów śledziło start promu z wielkim zainteresowaniem. Aleksy Hegel i Anton Pachmann siedzieli przed olbrzymim telewizorem we frontowym pokoju Hegla i studiowali zdjęcia „Colorado”, przekazywane automatycznymi kamerami ze stacji śledzenia lotu.

Na podłodze przed telewizorem Hegel rozłożył wycinki technicznych ilustracji promu.

- Dobra, to gdzie dokładnie celujemy?

Anton uklęknął obok postawnego fizyka i wskazał na skrzydło Promu.

- Dokładnie w środek skrzydła, gdzie są głównie wręgi i rozpórki i prawie żadnej

elektroniki. Jeśli uderzymy w środek, nie uszkodzimy kontroli biegów i windy. Oczywiście, „ranny” prom wracający na ziemię zwróci uwagę całego świata. Będziemy mieli gigantyczną reklamę. - Przysiadł na piętach i spojrzał na Hegla. - Bez względu na nasze wyjaśnienia i usprawiedliwienia, nie obejdzie się bez straszliwej awantury. Musisz zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście chcesz tego.

Hegel zaśmiał się głębokim, dudniącym śmiechem.

- Awantura, która raz na zawsze wykończy Koniewa i nada światowy rozgłos moim osiągnięciom? Ależ tak, Anton, to mi absolutnie odpowiada. - Klepnął partnera po plecach. - Nie martw się, Anton. Mamy przygotowaną historię. Brak funduszy uniemożliwił dopracowanie systemu wizualnego. A nalegania Koniewa, żeby przeprowadzić próbę, chociaż ja twierdziłem, że torus nie jest jeszcze gotowy, znajdują się w dokumentach. Nawet Menkowa nie może temu zaprzeczyć.

39.

Zachodni Pacyfik, 30 kwietnia

Rozległy się strzały, ostre pach... pach... karabinowych pocisków.

Lesia z trudem podniosła się i pokuśtykała do przeciwległej burty. Dostrzegła to ruda i krzyknęła. Lesia rzuciła się do wody, udało jej się przekształcić ten pospieszny skok w niezdarnego nurka, tak że znalazła się głęboko pod powierzchnią. Słyszała serię strzałów. Kiedy wynurzyła się na powierzchnię, dwie kolejne kule uderzyły w wodę tuż przed nią. Jedna z nich, utraciwszy już energię, otarła się o nogę Lesy, zanim zatonąła. Lesia wciągnęła pospiesznie powietrze i dała nurka możliwie najgłębiej, i właśnie wtedy czwarty strzał rozdarł jej ramię.

Ostre ukłucie bólu i odgłos strzałów obudziły ją. Nie miało znaczenia to, że unikając upału popołudnia zdrzemnęła się w swojej klimatyzowanej kabinie na trimaranie „Sparkle”; to, że była naga, nie wpłynęło na jej reakcję. Tygodnie treningu z Ko w obozie Sham Shui Po poszły w zapomnienie w ciągu tych kilku sekund. Kiedy wypadła ze swojej kabiny, była znów przerażoną czternastolatką wydaną na łaskę gangu Europejczyków, którzy zmasakrowali jej rodzinę.

Harry oparł się o zrębnicę kokpitu, wziął płetwę grzbietową rekina na celownik i wystrzelił po raz czwarty. Tym razem kula przedziurawiła płetwę. Rekin, niewzruszony, odpłynął.

Des głośno wiwatował, klepnął Harry’ego w plecy.

- Robi pan postępy, panie Dysan.

- Dobra, moja kolej - powiedział Krantz. Miał właśnie wziąć od Harry'ego karabin, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Co wy robicie, do cholery? - wrzasnęła Lesa.

Trzej mężczyźni odwrócili się i patrzyli na nią zaskoczeni. Lesa stała w progu, przyciskając do siebie zasłonę. W jej oczach mieszały się i wściekłość i przerażenie.

- A jak ci się zdaje? - odpowiedział Harry. Przez sekundę wydawało mu się, że Lesa rzuci się na niego. - Strzelamy sobie do rekinów w oczekiwaniu na wiatr. Masz coś przeciwko temu?

Lesa nagle poczuła się głupio i bezradnie. Dokładniej przykryła się zasłoną.

- Spałam. Nie wiedziałam, co to za hałasy. - Trzasnęła drzwiami i pobiegła na oślep do swojej kabiny, rzuciła się na koję i chwyciła brzegi materaca tak mocno, że poszarpała gumową piankę. Stopniowo opuszczało ją przerażenie, a jego miejsce zajmował gniew. Przez kilka szalonych, przerażających sekund zdradziecka przeszłość wzięła górę nad całą tak pracowicie pielęgnowaną pozą i opanowaniem. Jak mogła mieć nadzieję, że pomści Neti i swoją rodzinę, skoro ciągle zdradzała ich w tak głupi sposób?

Przez kilka sekund ignorowała przyciszone bzyczenie Klipsofonu.

W końcu zmusiła się do podjęcia aparatu, a kiedy się odezwała, głos jej miał normalne brzmienie.

Dzwonił bardzo podniecony Darryl.

- Dużo się dzieje w miejscu twojego przeznaczenia. Wylądowały dwa samoloty. - Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Darryl unikał wymieniania nazwy Kuro, mimo że rozmowy za pomocą Klipsofonu uchodziły za stuprocentowo bezpieczne.

- I co z tego?

- To nie są zwykłe samoloty, Leso. Dwa czarterowe odrzutowce Tupolew, jeden z rejestracją cywilną, drugi wojskową.

- Sprawdziłeś rejestrację?

- Tak.

- I co?

- Ważne figury. Jeśli podam więcej informacji, mogę cię zdekonspirować.

Lesa zastanowiła się chwilę.

- Musimy zaryzykować - zdecydowała.

- Dobrze. Cywilny odrzutowiec należy do rządu i mają do niego dostęp deputowani, a wojskowy jest osobistym środkiem transportu generała Zworkina.

- Kto to jest?
- Naczelnny wódz radzieckich sił lądowych.
- Darryl, różne fiske stale odwiedzają wyspę. To znaczy tylko, że będą nimi zajęci.
- Znaczy, że mogą wzmocnić ochronę - odpowiedział Darryl.
- A co z „Rasputinem”?
- Dalej w przystani - odparł. - Leso, słuchaj, musisz być ostrożna.

Leso zakończyła rozmowę podziękowaniami i obietnicami, że będzie go informowała na bieżąco. Zwolniła kanał. Nad głową usłyszała odgłosy obracającej się automatycznej wyciągarki spinakera i kroki na pokładzie. Poczła lekkie szarpnięcie, trimaran nabierał szybkości, co oznaczało, że zerwał się wiatr. Ubrała się w szorty i koszulkę trykotową i przeszła do kokpitu. Karabin zniknął. „Sparkle” pod pełnymi żaglami robił piętnaście węzłów na godzinę. Des włączył automatyczny ster i pomagał Harry’emu i Krantzowi w rozpakowywaniu pneumatycznej łodzi. Uśmiechnął się do niej nieśmiało, ale Krantz i Harry byli całkowicie skoncentrowani na rozkładaniu łodzi na pokładzie.

- Przepraszam za mój wybuch przed chwilą - powiedziała niezręcznie.

Harry, kompletnie zaskoczony, podniósł wzrok i zastanawiał się, ile ją musiało kosztować to wyznanie. Znał już Lesę na tyle dobrze, by wiedzieć, że nieznośna jest dla niej utrata twarzy. Wzruszył ramionami.

- To ja przepraszam. Nie pomyślałem o twoich nerwach.

- Nie spędziłeś dzieciństwa w Wietnamie - odpowiedziała i zwalczyła pokusę, żeby warknąć na Harry’ego za jego protekcyjny ton.

Harry przez chwilę podchwycił jej wzrok i w pełnych niepokoju oczach dostrzegł to, co Lesa zawsze starannie starała się ukrywać. Trwało to najwyżej sekundę, po czym twarz jej rozjaśnił uroczy uśmiech.

- Jakie robimy postępy, Des? - zapytała.

Polinezyjczyk uśmiechnął się.

- Jesteśmy sto mil na zachód od Kuro, panno Wessex. Przy tym wietrze będziemy tam o zmroku.

- W samą porę, Des.

Rozległ się gwałtowny syk gazu, kiedy Krantz otworzył zawory butli sprężonego powietrza w Zodiaku. Łódka rozłożona była na pokładzie jak szerniała, wysuszona skóra indyjskiego bawoła. Pomarszczony winyl wygładził się, dopiero kiedy całkowicie wypełnił się powietrzem. Lesa pomogła trzem mężczyznom spuścić łódkę na wodę i przyczepić do zewnętrznego kadłuba na krótkim holu. Małeńka łódeczka tańcząca za trimaranem,

przypomniła Lesie owe chwile, kiedy obserwowała niepozorny sampan holowany za motorową dżonką Tao, sampan, któremu miała potem zawdzięczać swoje ocalenie. Nie był to jedyny obraz z przeszłości, jaki teraz zaprzętał jej wyobraźnię; smukła sylwetka Harry'ego, kiedy wychylał się przez burtę, żeby sprawdzić, czy Zodiak jest bezpiecznie przyczepiony, wydawała jej się przez chwilę sylwetką Lina: taka sama budowa, takie same białe szorty. A kiedy Harry odwrócił się do niej, uśmiechał się z równą jak tamten bezpośredniością. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że gdyby Lin żył, byłby dokładnie w wieku Harry'ego.

40.

Orbita ziemską

Stellę Richards obudziły wibracje alarmu w zegarku ręcznym. Zazwyczaj budziła się, zanim zadzwonił alarm, ale praca poprzedniego dnia przy użyciu wysiężnika Canada była wyjątkowo wyczerpująca. Zdjęcie z orbity dwóch satelitów trwało dłużej, niż przewidywano, toteż jej zwykły ośmiogodzinny dzień pracy przedłużył się do dwunastu godzin.

Stella rozsunęła suwak specjalnego śpiwora i odsunęła płytę zasłaniającą koję. Wstawanie z łóżka w stanie nieważkości wymagało więcej uwagi niż wysiłku. Podczas pierwszego lotu poobijała sobie głowę w bolesnym procesie uczenia się, że masa i waga, czy raczej nieważkość, to niezupełnie to samo.

Dzięki delikatnemu pchnięciu przemieściła się przez dolny pokład mieszkalny do punktu sanitarnego. Zatrzymanie się wymagało równej ilości energii, co ruszenie z miejsca. Starając się przez cały czas stać tyłem do Paula Balchina, na wypadek gdyby jedynie udawał, że śpi, zdjęła luźną trykotową koszulkę, którą zwykle nosiła na promie, i energicznie wytarła się gorącym ręcznikiem z pojemnika. Zmiana reszty bielizny oznaczała konieczność powrotu na własną koję, zasunięcie płyty i wykonanie licznych skomplikowanych poruszeń w ograniczonej przestrzeni. Stella ubrała się w wypchane, nieeleganckie spodnie, które zawsze denerwowały pracowników biura prasowego NASA, z powodu transmisji telewizyjnych na żywo z pokładu promu. Stella nie przejmowała się tym, miała w kosmosie wykonać określoną pracę, a nie prezentować przyjemną sylwetkę.

Zjadła śniadanie złożone z purée z grejpfruta i jogurtu, wyrzuciła torebki i z ręcznie przemieściła się przez właz, na pokład załogi. Jej wejście otrzeźwiło Matta Goslinga, który drzemał w fotelu dowódcy.

- Wszystko gotowe, Stello - powiedział wskazując na tylne okienko, przez które widać było ładownię. - Nie chciałbym takich klopsów jak wczoraj.

Stella przyznała mu rację, ustawiła ciało prostopadle do pozycji promu i pchnęła ochronne buty Velcro na matę obok swojego stanowiska pracy. Spojrzała przez okno na ładownię. Dwadzieścia metrów nad otworem drzwi unosiła się masa IntelSata, satelity łączności z lat osiemdziesiątych, którego pracowity żywot dobiegł końca. Powyżej IntelSata widać było biało-błękitną jasność Ziemi, z tej wysokości cały półksiężyc planetarny rysował się wyraźnie. Poza terminatorem pobłyskiwało barwne światło Księżyca, który przesunął się ponad zachodnim Pacyfikiem, sprowadzając noc na Azję Południowo-Wschodnią.

- Wspaniale ustawione, Matt - powiedziała z uznaniem Stella, Przystępując do pracy.

41.

Kuro, zachodni Pacyfik, 1 maja

Minutę po północy urządzenia nawigacyjne określały pozycję trimarana „Sparkle” na dwadzieścia pięć mil na zachód od wyspy Kuro. Des zwinął żagle na bomy. Wielki jacht stracił szybkość i kołysał się w miejscu, podskakując nieprzyjemnie na wyjątkowo wysokiej fali. Des włączył reflektory w kokpicie i sprawdził elektroniczny log. Trimaran miał tak lekką konstrukcję, że nawet przy zwiniętych żaglach poruszał się z szybkością jednego węzła w łagodnym, choć wilgotnym wietrze.

Krantz i Harry mordowali się przy wyciąganiu przez właz ładowni elektrycznego silnika Envirude o mocy dziesięciu koni, a Lesa pod pokładem sprawdzała hełmy prospektorów geologicznych, którymi oboje z Harrym mieli posługiwać się na wyspie. Każdy hełm wyposażony był w miniaturową kamerę telewizyjną uruchamianą dźwiękiem głosu i połączoną z magnetowidem umocowanym do paska ubrania. Do paska przymocowany był także nadajnik telewizyjny UHF. Zmyślne to urządzenie nie krępowało ruchów. Wspaniale wyprofilowane pojemniki przyczepiane do paska łącznie z litowymi bateriami ważyły niecałych pięćset gramów. Kamera znakomicie wpasowana była w hełm.

Plan polegał na tym, że Krantz zostanie na pokładzie trimarana z Desem i będzie analizował zdjęcia przesyłane przez Lesę i Harry’ego. Będzie mógł także za pomocą radia kierować ich w miejsca, które obudzą jego szczególne zainteresowanie. Harry i Lesa mieli po prostu obracać głowy zgodnie z poleceniami Krantz. Nie musieli się nawet troszczyć o nastawienie kamery, bo maleńkie urządzenia firmy Panasonic nastawiały się automatycznie.

- Środki łączności działają bezbłędnie - zameldowała Lesa, wsadzając głowę przez właz na dachu.

- Dobrze - powiedział Harry spoglądając znad Zodiaka, gdzie obaj z Krantzem

sprawdzali stan akumulatorów silnika. Przez sekundę światło pojedynczego reflektora uchwyciło wyraz powściąganego niepokoju w oczach Lesy. Zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Najlepiej dać mu szybki impuls - poradził Des. - Najlepszy sposób sprawdzenia akumulatora i przekonania się, czy klamry dobrze się trzymają.

- Liczniki wskazują, że komory są całkowicie naładowane - powiedział Krantz, wdrapując się na trimaran.

- Des ma rację - przyznał Harry. Odwiązał linkę holowniczą i włączył wsteczny bieg. Zodiak oddalił się od rufy. Harry wrzucił bieg, dał pełny gaz i okrążył trimaran, nie wypływając z zasięgu reflektorów.

- Chodzi jak marzenie - zameldował przywiązując łódkę. Dołączył do pozostałych w kokpicie.

- To kiedy odpływamy? - spytała Lesa. Spojrzała na Harry'ego i nie podobał jej się wyraz jego twarzy. - No więc?

- Najpierw krótka odprawa, żebyśmy wszyscy wiedzieli, co mamy robić.

Klimatyzacja „Sparkle” działała przyzwoicie przy zamkniętym luku, toteż wkrótce temperatura stała się znośna. Cała czwórka usiadła przy stole i pograżyła się w studiowaniu powiększonych zdjęć Kuro, które dostarczyła Lesa.

- Des, jaka jest nasza aktualna pozycja?

Des odwrócił się na siedzeniu i sprawdził urządzenia nawigacyjne.

- Dwadzieścia trzy mile na zachód od plaży, na której macie lądować.

- Jest piękna noc - wtrąciła Lesa. - Więc jeżeli producenci Zodiaka mówią prawdę, możemy za godzinę być na wyspie. - Uśmiechnęła się do Harry'ego i po raz drugi zaniepokoił ją dziwny wyraz jego twarzy. - Harry, o co chodzi?

- Jestem pewien, że Des i Steve nie wezmą mi za złe, jeśli poproszę, żeby wyszli na chwilę.

Serce Lesy zabiło szybciej. Mogła się domyślić, co nastąpi.

- A to dlaczego? - zapytała.

- Dlatego, że chciałbym się dowiedzieć, co cię tak ciągnie z powrotem na Kuro - powiedział obojętnie Harry kładąc dłonie na stole, jakby przygotowywał się do konfrontacji.

Przez kilka chwil Lesa przyglądała mu się w milczeniu. Krantz chciał wstać, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Zostań, Steve. - Obróciła swoje niezgłębione oczy na Harry'ego. Jej pozorny spokój krył burzę, która szalała w niej niczym złośliwa bestia. - Nie, Harry, to moja sprawa.

- Więc nie jedziesz na Kuro - oświadczył z naciskiem Harry. - Przykro mi, Leso, ale nie mogę ryzykować. Mamy jedynie zebrać informacje i zwiewać. Nic więcej. I tak prawdopodobnie przekraczam swoje kompetencje. Domyślam się, że chcesz wrócić na Kuro, żeby załatwić jakieś stare porachunki. Może się mylę, ale nie zamierzam powiększać ryzyka.

Krantz uniósł brwi.

- Chyba nie masz zamiaru popłynąć samotnie?

- Jeżeli będę musiał - odpowiedział Harry, nie odrywając wzroku od Lesy. Spodziewał się wybuchu z jej strony, ale ku jego wielkiemu zaskoczeniu Lesa jedynie wzruszyła ramionami.

- W porządku. W końcu nie ma to tak wielkiego znaczenia. Chętnie zostanę. - Wszystko sobie błyskawicznie przemyślała w tej swojej sprytniej główce, zdecydowała nawet, że obdarzy swoich towarzyszy czarującym uśmiechem. - Harry, doskonale dasz sobie radę. Z przyjemnością zostanę i pomogę Steve'owi. - Ziewnęła i wstała. - To był męczący dzień, więc jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu, zdrzemnę się z godzinkę. Steve, obudź mnie, kiedy Harry już wylądje. - Uśmiechnęła się do Harry'ego. - Powodzenia, Harry. Będę trzymała za ciebie palce. - Opanowała kolejne ziewnięcie i skierowała się do swojej kabiny.

W momencie gdy zamknęła za sobą drzwi, jej ruchy stały się celowe i zdecydowane. Nalała wody do miniaturowej umywalni i rozchlapała ją, jakby się myła, skropiła się środkiem przeciw owadom, szybko wskoczyła w kostium podróżny i włożyła nowe baterie do klimatyzatora. Sprawdziła, czy urządzenie działa prawidłowo, i wyłączyła je, żeby inni nie usłyszeli warkotu. Do torby przy pasku włożyła wodoszczelny Klipsofon, mapę wyspy, a także jeden z zakupów dokonanych w Hongkongu, o którym nikt nie wiedział: procę PebbleZing z aluminiową rączką i uchwytem na nadgarstkach. Proca była taka sama jak tamta, którą miała w dzieciństwie. Następnie zapakowała do torebki garść gładkich, lekko spłaszczonych kamieni i kieszonkową latarkę. Krem do twarzy zapobiegł skrzypieniu zawiasów wjazdu, kiedy otworzyła go ostrożnie i zręcznie wyskoczyła na pokład. Noc była wilgotna, trimaran unosił się na dużej fali, ale wiatr ustał zupełnie.

Spojrzała w kierunku kokpitu. W oknach salonu błyszcząły światła. Przejście po pokładzie pod oknami wydawało się zbyt ryzykowne, więc cichutko ześlizgnęła się do wody. Wypór hydrostatyczny kostiumu podróżnego pozwolił jej posuwać się wzdłuż kadłuba, aż ręce jej napotkały miękkie burty Zodiaka. Podpłynęła do linki holowniczej i odwiązała ją. Trzymając się łodzi, odepchnęła się nogą od trimarana; Zodiak się oddalił. Lesa wciągnęła się przez burtę, usiadła na ławeczce przed prostym kołem sterowym. Ponieważ silnik był elektryczny, wystarczyło jedynie nacisnąć włącznik, by go uruchomić. Światła na prostej

tablicy rozdzielczej zapaliły się w tym samym momencie, w którym silnik zawarczał. Nagłe przyspieszenie rzuciło ją do tyłu, a zadarty dziób Zodiaka zderzył się z nadchodzącą falą, przez co łódź oderwała się od powierzchni wody. Przez jedną przerażającą chwilę Lesa miała wrażenie, że Zodiak obróci się do góry dnem. Najwyraźniej łodzie pneumatyczne wymagały ostrożnego obchodzenia się z silnikiem, żeby się utrzymywać na wzburzonym morzu.

Lesa odciągnęła drążek do tyłu i wypłynęła z zasięgu świateł „Sparkle’a”. Zanim trimaran skrył się za falą, zobaczyła, że drzwi salonu otwierają się gwałtownie. W kokpicie pojawił się Des i krzychał coś w jej kierunku. Spojrzała przez ramię, kiedy Zodiak wypłynął z następną falą, zobaczyła, że obok Desa stoją Harry i Krantz. Wszyscy trzej krzycheli i histerycznie machali rękami. Silnik Volvo zaczął pracować.

Lesa zaryzykowała zwiększenie obrotów swojego silnika, trzymając kurczowo ster. Omal nie wypuściła go z rąk pod wpływem nagłego prysznica, kiedy zaryzykowała szybki rzut oka na kompas, żeby ustawić łódkę na kursie wschodnim.

W tym momencie rozległy się odgłosy, które ożywiły koszmary dzieciństwa: ostry świst karabinowych wystrzałów. Lesa wydała lekki okrzyk przerażenia, pochyliła się nad sterem, zwiększając równocześnie moc silnika do maksimum. Silnik zaskowyczał, a Zodiak przeskakiwał z fali na falę jak kamień puszczonej na powierzchnię wody. Na szczęście za każdym razem, kiedy silnik wynurzał się z wody, włączały się specjalne kompensatory przeciwdziałające nadmiernym obrotom, bo inaczej umęczony motor rozpadłby się na kawałki.

42.

Harry jeszcze dwa razy wystrzelił w powietrze. W pewnym momencie musiał uchwycić się burty, żeby zachować równowagę, gdy Des włączył silnik trimarana i obrócił ster.

- Des! - wrzasnął, kiedy już przestał kłąć. - Jakie mamy szanse, żeby ją dogonić?
- Na silniku możemy rozwinąć szybkość dziesięciu węzłów, panie Dysan.
- Łódź robi dwadzieścia pięć - zauważył Krantz.

Harry zignorował ten komentarz.

- A żagle?
- Za mały wiatr. Lepiej na silniku. Może dwanaście węzłów.
- Myślę, że wyprzedzi nas w drodze do Szkocji - dołożył swoje trzy grosze Krantz.

Harry odpowiedział mu brutalnie, ale do rzeczy.

43.

Była 1.30 w nocy, kiedy Wiktor Koniew, uśmiechnięty i dobroduszny, prowadził swoich dwóch ważnych gości z hotelu do samochodu, żeby zawieźć ich do obserwatorium. Komary wdarły się do samochodu, spragnione przejażdżki i posiłku, w momencie gdy otwały się drzwiczki i zapaliły się światła w środku. Pierwszy zastępca, Jurij Salwanis, był drobnym, nie wyróżniającym się mężczyzną, natomiast figura generała Zworkina nie pozostawała w żadnej proporcji do znacznie zredukowanych i ograniczonych radzieckich sił lądowych, którymi dowodził. Generał lubił się oszukiwać twierdzeniem, że musi się przejadać, żeby zrekompensować zużycie energii, którą wydatkował na realizowanie palącej ambicji: pragnął mianowicie przywrócić armię radziecką do chwalebnej siły z lat osiemdziesiątych. W przeciwieństwie do Salwanisa nie należał do Leninowskiej Grupy Reform Koniewa, niemniej jednak był jednym z jej najaktywniejszych ukrytych popleczników. Wspomagał Koniewa w manipulacjach umożliwiającym przechwycenie wielu milionów rubli z funduszy wojskowych na rzecz projektu na Kuro. Kiedy siedział na tylnym siedzeniu samochodu Koniewa, oblewając się potem, gorzko żałował, że część tych pieniędzy nie została przeznaczona na przyzwoitego Ziła z klimatyzacją.

- Dlaczego właściwie - pytał z wściekłością, zabijając komary - ta próba musi być przeprowadzona o tak zakazanej porze?

- Bardzo mi przykro, panie generale - usprawiedliwiał się Koniew, przeklinając się w duchu za to, że nie sprecyzował godziny, kiedy nalegał na przeprowadzenie próby w dniu pierwszego maja. Typowym posunięciem przewrotnego Hegla było ustalenie terminu na środek nocy. Można się tylko spodziewać, że jeżeli wszystko się uda, usługi fizyka nie będą mu dłużej potrzebne. - Hegel powiedział, że to musi się odbyć o tej porze. Jak wszyscy geniusze, potrafi być czasami bardzo trudny.

Samochód z trudem zaczął wspinać się po krętej drodze do obserwatorium.

44.

Pachmann odstawił Klipsofon na pulpit.

- To hotel - powiedział do Hegla, który siedział przy biurku przeznaczonym dla Koniewa. - Wyjechali.

Jasnowłosego fizyk skinął głową.

- Ostatnie testy zestrojenia - poinstruował trzech techników.

Gdyby technicy mogli spojrzeć na monitor w głębi pomieszczenia kontrolnego, przy którym siedział Pachmann, zdumieliby się tym, co pokazywał. Zamiast starego pojazdu kosmicznego Sojuz, który widać było na wszystkich pozostałych monitorach i który według ich przekonania miał być celem torusa, na monitorze Pachmanna pokazywał się zupełnie inny obraz: bardzo ostry termogram ze zwierciadła Alfa, zupełnie nie zniekształcony przez wysoką wilgotność powietrza tej nocy. Skrzydlaty obiekt osiągnął prawidłową orbitę geosynchroniczną. W ciągu ubiegłej godziny nie odsunął się ze środka obrazu.

Był to prom kosmiczny „Colorado”.

45.

Światła samochodu Koniewa wspinającego się na górę Kuromia pozwoliły Lesie na bezpieczne lądowanie, ponieważ widziała je z odległości dziesięciu mil. Doprowadziła Zodiak na odległość mili od wschodniej rafy i skręciła na północ do portu. Zrezygnowała z pomysłu lądowania na plaży, którą wybrali z Harrym; teraz, kiedy była sama, mogła postępować według własnego uznania. Lądowanie w pobliżu portu było ryzykowne, ale oszczędzało długiego marszu. Chciała również oszczędzić moc silnika i nie przeprowadzać łodzi przez rafę. Ponad godzina szybkiej jazdy sprawiła, że akumulator był niemal wyczerpany.

Silnik pracował cicho. Teraz, kiedy poruszała się z ograniczoną szybkością, upał nocy stawał się nie do wytrzymania. Włączyła klimatyzator w kostiumie podróżnym i rozkoszowała się cudownym uczuciem chłodu, kiedy zimna woda przepływała przez mikroskopijne rurki.

Sprzyjało to jasnemu myśleniu. Modliła się, żeby baterie klimatyzatora wytrzymały całą noc.

Pokazały się światła przy wejściu do zatoki portowej. Były przyćmione, jak całe oświetlenie na Kuro, żeby przeciwdziałać nadmiarowi światła, które mogłoby zmniejszyć możliwości obserwacyjne teleskopu, ale z morza widać je było równie wyraźnie jak rozsiane światełka osady.

Skierowała łódź w stronę plaży w pobliżu portu. Teraz najbardziej obawiała się, że zauważy ją któryś z rybaków spędzających całe noce na falochronie. Przepatrywała skały w poszukiwaniu błysku wędki lub ognika papierosa - Rosjanie byli niepoprawnymi palaczami - ale nic takiego nie zobaczyła.

Zodiak osiadł dnem na piasku. Lesa wyskoczyła z łódki i wyciągnęła ją z wody. Nie

miała ani czasu, ani siły, żeby kryć łódź, rzuciła linę cumowniczą na skały. Wdrapała się na brzeg i szła wzdłuż falochronu, chcąc się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, zanim wspięła się na niski parapet. Najpierw zobaczyła „Rasputina” zakotwiczonego przy nabrzeżu. Od tej chwili poruszała się szybciej, rozglądanie się, przeskakiwanie z cienia w cień i ogólnie podejrzane zachowanie byłoby błędem. Szła wzdłuż nabrzeża tak, jakby miała pełne prawo tu się znajdować. Minęła „Rasputina” i zauważyła, że na jachcie nie ma świateł. Spodziewała się, że poczuje falę mdłości zbliżając się do tego statku ze złych snów, ale ze zdumieniem zdała sobie sprawę z własnej obojętności. Jeżeli będzie miała okazję, wróci i zniszczy jacht, ale martwe przedmioty mogą poczekać. Uwagę jej zwróciły śmiechy dochodzące z baru. Dostrzegła z pół tuzina nocnych klientów ukrytych za wielką szybą w ucieczce przed upałem i komarami. Nie było wśród nich ani Hegla, ani Pachmanna.

Bungalow Hegla tonął w ciemności, nigdzie też nie było śladu dżipa. Oznaczało to, że obaj z Pachmannem są w obserwatorium. Lesa musiała jednak się o tym upewnić. Okno kuchenne, które wybiła podczas poprzedniej wizyty, zasłonięto dyktą. Bez wątpienia na wyspie trudno było o szkło. Udało jej się usunąć dyktę bez najmniejszego hałasu. Tym razem nie musiała uważać na rozbite szkło, przeciskając się przez okno, miała jednak przerażającą świadomość obecności Hegla. Po kilku minutach serce jej uspokoiło się na tyle, że mogła rozpocząć dokładny rekonesans. Tak jak podejrzewała, w domu nie było nikogo. Hegel i Pachmann musieli być w obserwatorium.

Usiadła na sofie w saloniku i nakierowała latarkę na stolik do kawy obok elektronicznego urządzenia, które jej zdaniem musiało być magnetowidem, ponieważ z przodu paliło się czerwone światełko. Latarka rzucała miękką smugę światła. Gdyby zbliżał się jakiś pojazd, Lesa mogłaby w ciągu paru sekund znaleźć się w zaroślach. Wyciągnęła z torby Klipsofon. Błyskało na nim światełko, co oznaczało, że przekaznik na wyspie jeszcze pracuje. Przede wszystkim nacisnęła guzik kierujący wszystkie lokalne telefony na jej londyński numer, nie chciała bowiem, żeby Dysan, usiłując się z nią porozumieć, blokował wszystkie kanały. Kiedy Darryl odebrał telefon, jego głos wydawał się zmęczony. Domyśliła się, że niewiele spał w ciągu ostatniej doby. Stary, poczciwy, odpowiedzialny Darryl.

- Lesa, jak cudownie słyszeć twój głos! Co się dzieje?

Lesa opowiedziała mu w skrócie.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś sama w punkcie przeznaczenia?

- Zgadza się. Posłuchaj, Darryl. Zrób mi tę przysługę i zobacz, czy uda ci się zlokalizować trimaran. Możliwe, że mnie ścigają. Chciałabym wiedzieć, ile mam czasu.

- Daj spokój, Leso. Chcesz, żebyśmy odnalazł w nocy drewnianą łódź!

- Nie oddalili się zbyt od ostatniej pozycji, kiedy włączyłeś się do satelity - przekonywała Lesa. - Jest zbyt słaby wiatr, żeby mogli posuwać się z jaką taką szybkością. Istnieje szansa, że płyną na silniku, a wtedy możesz ich wykryć na termogramie.

- Dobrze, spróbuję i zadzwonię do ciebie za pięć minut.

Les a posłała mu całusa.

- Dziękuję ci, Darryl. Co ja bym bez ciebie zrobiła? - Zwolniła kanał i nastawiła Klipsofon na milczący sygnał, żeby telefon Darryla nie wywołał hałasu. Już miała wziąć latarkę, kiedy zauważyła, że urządzenie na stoliku wyposażone jest w antenę prętową. Nie był to więc magnetowid, ale jakiś rodzaj nadajnika. Poczuła w żołądku skurcz strachu na myśl, że jej rozmowa z Darrylem była podsłuchiwana. Chciała uciekać z bungalowu, kiedy odezwał się Klipsofon.- Chyba ich znalazłem, ale nie jestem w stu procentach pewny - powiedział Darryl. - Występuje jakaś termiczna anomalia piętnaście i dwie dziesiąte mil od ciebie, porusza się w kierunku wschodnim z szybkością około dziesięciu węzłów. Masz półtorej godziny, zanim przyjadą, jeżeli, oczywiście, to są oni.

- To muszą być oni - uznała Lesa. - Dziękuję, Darryl. To wspaniała świadomość, że wypatrujesz oczy dla mnie. Jeszcze jedna prośba, zanim się rozłączymy - pochyliła się do przodu i skierowała światło latarki na przód urządzenia, tak że mogła przeczytać markę - ...mam tu przed sobą coś, co nazywa się Uniden Video Master 2000. Ma na szczycie spiralną prętową antenę długości około ośmiu centymetrów, a na przodzie świeci dioda elektroluminescencyjna, więc chyba jest to włączone. Masz pojęcie, co to może być?

- Uniden Video Master?

- Tak jest napisane.

- Poczekaj, Leso, sprawdzę w katalogu Unidena.

Les a słyszała stukot klawiatury, a potem głos Darryla:

- Tak, wiem. To jest urządzenie retransmitujące obraz z odbiornika satelitarnego albo z magnetowidu. Coś, co stosuje się w wielkich osiedlach, żeby oszczędzić kosztów zakładania kabli. Jeden kanał. Dziesięć watów, dość silne. Prawdopodobnie ma zasięg około dziesięciu kilometrów. Potrzymaj przez chwilę Klipsofon blisko anteny.

Les a tak zrobiła. Mikrofon zagwizdał.

- Słyszałem to - powiedział Darryl. - Transmituje, bez dwóch zdań. Twój Klipsofon nie wytrzymał obciążenia.

- Ale co transmituje? - chciała wiedzieć Lesa.

- Czy urządzenie jest podłączone do odbiornika satelitarnego lub magnetowidu?

Les a za pomocą latarki wypatrzyła dwuosiowy kabel, który wił się od owego

urządzenia do odbiornika satelitarnego ustawionego na telewizorze.

- Dobrze - powiedział Darryl. - Włącz telewizor, ale nie zmieniaj kanału.

Lesia znalazła pilota, włączyła telewizor i szybko musiało go ściszyć. Obraz na ekranie pokazywał wnętrze promu kosmicznego. Znajome logo NASA widniało na dole obrazu obok napisu głoszącego: TRANSMISJA NA ŻYWO Z PROMU KOSMICZNEGO „COLORADO”, MISJA 323.

- Masz coś? - dopytywał się Darryl.

- Tak, Kanał Informacyjny NASA - odpowiedziała Lesia, patrząc ze zdumieniem na ekran. - Ale po co ktoś miałby przekazywać ten obraz?

- Nie mam pojęcia. Co jest na ekranie?

- Obrazy transmitowane na żywo z promu „Colorado”. Misja trzysta dwadzieścia trzy. Nie wygląda na to, żeby się tam wiele działo. Nie wiem, co to znaczy. Ale ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby to wszystko rejestrować.

- Poczekaj chwilę, Leso.

Lesia słyszała jakieś dźwięki w tle. Potem odezwał się Darryl.

- W porządku, jestem na tym samym kanale. Trochę zamazany obraz, ale czytelny. Teraz mam obraz satelity tuż ponad ładownią.

- Ja też - potwierdziła Lesia.

W tym momencie obraz ustąpił miejsca informacji na temat tej konkretnej misji. Jednostronicowy tekst podawał pozycję promu na orbicie i nazwę satelity, który miał być zdjęty w tej fazie programu Hoovera.

- Leso, czy zauważyłaś tę pozycję? Sto trzydzieści na wschód.

- I co z tego?

- To ustawia prom dokładnie nad twoją głową.

Jeszcze zanim Darryl zaczął to zdanie, Lesia poczuła w żołądku lodowaty skurcz przerażenia. Elementy równania były niemal zbyt straszne i szalone, żeby je rozpatrywać, ale należało to zrobić: wyżsi urzędnicy radzieccy odwiedzający miejsce, gdzie skonstruowano wiązkę promieni - broń o straszliwej mocy i dokładności; przekaźnik nastawiony na obrazy z promu kosmicznego USA, który znajdował się niemal dokładnie nad nim. Któż inny na wyspie miałby odbierać te obrazy, jeśli nie operatorzy owej broni?

- Darryl - powiedziała nagle - słuchaj uważnie, postaraj się dokładnie sprawdzić ustawienie zwierciadeł teleskopu, żeby się przekonać, czy nastawione są na prom, i zadzwoń do mnie.

Zdawała sobie sprawę z trudności tego zadania, ale na szczęście Darryl prawidłowo

zinterpretował napięcie w jej głosie i nie zgłaszał żadnych sprzeciwów. Powiedział spokojnie:

- Dobrze, Lesa. To może mi zająć koło trzydziestu minut, ale zadzwonię, jak tylko coś będę wiedział.

Lesa podziękowała i zwolniła kanał.

Wyłączyła telewizor, odłożyła pilota dokładnie tam, gdzie go znalazła, pozbierała swoje rzeczy i wyszła z bungalowu przez tymczasowo zreperowane okno. Wstawiała właśnie na miejsce dyktę, kiedy poprzez bzyczenie owadów dobiegł ją odgłos, który wydawał się zwiastować nadjeżdżający pojazd. Skryła się w zaroślach w pobliżu basenu i wsłuchiwała się z napięciem w dziwny skowyt, usiłując sobie uświadomić, co oznacza i skąd dobiega. Teraz już pewna, że to nie nadjeżdżający pojazd, Lesa wybiegła na drogę, gdzie bzyczenie owadów nie było tak głośne. Dziwny dźwięk słychać tu było wyraźniej, był ostrzejszy, wydawało jej się, że dochodzi od strony elektrowni. W tym samym momencie pojęła, co to za odgłos: to był ryk ośmiu turbin Tumańskiego stopniowo wchodzących na najwyższe obroty.

46.

- Na miłość boską! - wrzeszczał Harry na Desa. - Czy ten twój przeklęty silnik nie może przekroczyć trzech tysięcy obrotów na minutę?

- To nasza największa szybkość, panie Dysan - krzyknął Des przez ramię. - Za mała moc. Silnik przewidziany tylko do pływania w basenach portowych.

„Sparkle” nagle kiwnął tak mocno, że Harry stracił równowagę. Zrobił niezręczny krok do tyłu i opadł na siedzenie biegnące przez całą szerokość kokpitu, tuż obok Krantza.

- Musisz przekazać radiową informację na Kuro i ostrzec ich - oświadczył Krantz.

- Dlaczego?

- Ponieważ możemy się mylić w całej tej sprawie, ponieważ na wyspie mają psychopatkę.

- Lesa nie jest psychopatką!

- Jest dziwaczna, sam mówiłeś, że jest niebezpieczna, i nie masz pojęcia, z jakiego powodu tak jej zależało, żeby się dostać na wyspę. Jeżeli mylimy się co do teleskopu, a jej się uda to, czego zamierza dokonać z takim samozaparciem, to możemy się znaleźć w centrum międzynarodowej afery, która położy kres mojej karierze i twojej. Musisz nadać to ostrzeżenie.

Harry wyciągnął z kieszeni Klipsofon i po raz dziesiąty wybrał numer Lesy. Podobnie jak poprzednio, połączył się z automatyczną sekretarką w Zjednoczonym Królestwie.

Zmagał się z tym problemem: Krantz miał rację. Dlaczego, do diabła, ta głupia dziwka nic mu nie powiedziała?

- Des?

Polinezyjczyk spojrzał pytająco na Harry'ego.

- Panie Dysan?

- Jak długo jeszcze?

Des popatrzył na instrumenty nawigacyjne.

- Osiem mil, będziemy na Kuro za czterdzieści, może za pięćdziesiąt minut

- Oto ona - powiedział spokojnie Krantz.

Harry popatrzył w kierunku wskazanym przez Krantza. Tuż przed nimi widać było punkty światła na górze Kuromia, przebijające się przez nasycone wilgocią powietrze nocy.

47.

- Panowie - zaczął wylewnie Koniew, uśmiechając się promiennie do swoich gości siedzących przy konsolach w pierwszym rzędzie, w przyćmionym oświetleniu pokoju kontrolnego. - Dzisiaj będziecie świadkami demonstracji straszliwej siły wiązki torusa. Przez dwadzieścia lat moi pracownicy koledzy pod przewodem Aleksego Hegla i Antona Pachmanna wytężali siły, nie zważając na straszliwe warunki życia na tej wyspie, by nasza ukochana ojczyzna mogła zachować wielkość i prestiż, pomimo działań tych osób w Moskwie, które nieustannie usiłowały podkopać...

- Towarzyszu Koniew - przerwał mu poirytowany generał Zworkin. Nie był w najlepszym humorze, niewygodnie mu było siedzieć za pulpitem, nie znosił wyspy Kuro, nie znosił moskitów, a przede wszystkim doprowadzały go do wściekłości znaki zakazu palenia - podobnie jak monotonny głos Wiktora Koniewa.

- Panie generale?

Komentarz generała Zworkina był zwięzły i rzeczowy. W dobrym przekładzie, zachowującym w pełni zabarwienie i niuans wypowiedzi wyższego oficera radzieckiego, brzmiałoby to tak: - Nie pierdol, do rzeczy.

Koniew zauważył, że Hegel i Pachmann, siedzący przy swoim pulpicie w głębi pomieszczenia kontrolnego, uradowali się nieprzyjemnością, która go spotkała.

- Panie generale - zaczął sztywno - chciałem jedynie podkreślić, że ta broń zapewni naszej umiłowanej ojczyźnie absolutną parasolową osłonę przed atakiem rakiet, gdyby kiedykolwiek zaszła taka potrzeba. Na ekranie przed wami jest nieczynny satelita Sojuz, który

za trzydzieści minut przestanie istnieć. - Usiadł przy swoim głównym pulpicie w drugim rzędzie. - Jestem gotowy na wasze światła, panowie.

Hegel uśmiechnął się do Pachmanna. Prom kosmiczny „Colorado” w dalszym ciągu znajdował się pośrodku ich ekranu. Siatka nitek krzyżowała się dokładnie na prawym skrzydle pojazdu. Rozdzielczość obrazu była tak duża, że można było dostrzec otwarte drzwi ładowni i wysiężnik Canada, który miał pochwycić satelitę. Olbrzymi jasnowłosy mężczyzna dotknął przycisku, co spowodowało, że na monitorze Koniewa zapaliły się cztery zielone światełka, znak, że można rozpocząć odliczanie.

- Dziękuję panom - powiedział Koniew. - Panie generale, te światełka na wprost pana oznaczają, że jesteśmy gotowi.

Generał Zworkin burknął coś pod nosem.

Koniew podniósł mikrotelefon i połączył się z kierownikiem elektrowni.

- Proszę o sto procent mocy.

48.

Orbita ziemską

Stella Richards spojrzała na satelitę przez okienko z tyłu promu. Przetawiała swój mikrofon na VOX, uruchamianie za pomocą głosu, i połączyła się bezpośrednio z ośrodkiem kontroli lotów.

- Houston. Oficer załadunkowy, „Colorado”. Odbierasz?

- Mów „Colorado” - odpowiedział Mike Connors.

- Houston, ten ładunek ma bardziej asymetryczną masę, niż wynikało z naszych danych. Za każdym razem, kiedy próbujemy wprowadzić go do ładowni, wymyka się. Problem polega jedynie na tym, że operacja potrwa dwie godziny dłużej, niż przewidywano. Koniec.

- Odebrałem i zrozumiałem, „Colorado”. Zauważyliśmy to na monitorach. Co proponujecie? Koniec.

- Obrócimy „Colorado” o dziewięćdziesiąt stopni i złapiemy ładunek z boku. Najwyraźniej tak się ustawia, więc możemy się dostosować. Koniec.

Connors odpowiedział po dłuższej chwili.

- „Colorado”, zgadzamy się na propozycję. Zaczynajcie. Powodzenia. Koniec.

Stella zwróciła się do Matta Goslinga. Była w dobrym humorze, choć zmagiała się przez godzinę z opornym satelitą, toteż pozwoliła sobie na nietypowy żart:

- Dobra, Matt, obróć mnie teraz na plecy i zaczniemy od początku.

Matt Gosling roześmiał się.

- To się nazywa wspañalomyslna oferta - skomentował, uruchamiając silniki manewrujące, żeby obrócić prom „Colorado” na bok w odniesieniu do Ziemi.

49.

Kuro, zachodni Pacyfik

- Wyłącznik zamknięty - zameldował Koniewowi głos kierownika elektrowni.

- Sto procent mocy za trzydzieści trzy minuty.

Anton Pachmann zmarszczył brwi. Skrzydła promu kosmicznego na ekranie monitora zdawały się skracać. Pochylił się wpatrując się w ekran. Hegel zauważył tę anomalię niemal w tym samym momencie.

- Co się dzieje, do cholery? - szepnął zaniepokojony.

- Obraca się dokoła własnej osi - odpowiedział cichym, beznamiętnym głosem Pachmann.

- Ale dlaczego, na Boga?

Pachmann włączył Kanał Informacyjny NASA, przekazywany do pulpitu z bungalowu. Spojrzał na tył głowy Koniewa, po czym włożył słuchawki i po kilku sekundach przekazał je Heglowi. Fizyk przysłuchiwał się wymianie zdań między promem „Colorado” a ośrodkiem kontroli. Zdjął słuchawki i spojrzał na Pachmanna.

- Musimy przestawić Betę i celować w Sojuz - powiedział Pachmann.

- Nie!

Takiej odpowiedzi Pachmann oczekiwał. Spojrzał na monitor: prom „Colorado” przestał się obracać. Ustawiony był teraz bokiem, ukazując Ziemi swój profil. Widać było wystający z ładowni, złożony wysiężnik Canada.

- Gdziekolwiek teraz trafimy, spowoduje to katastrofalne szkody - zauważył.

- A to pech - powiedział wojowniczo Hegel.

Koniew usłyszał prowadzoną szeptem wymianę zdań i odwrócił się na swoim krześle.

- Czy coś nie w porządku, panowie?

- Wszystko idzie doskonale, Wiktorze - odpowiedział kwaśno Hegel.

- Trzydzieści procent mocy - meldował głos kierownika.

50.

Lesa wciąż się wahała, co robić dalej, kiedy wracała drogą prowadzącą z bungalowu. Hegel i Pachmann niewątpliwie siedzieli w obserwatorium, a więc to powinien być jej pierwszy cel. Czy rzeczywiście? A co z niebezpieczeństwem, jakie groziło załodze promu - w co Lesa już nie wątpiła - ze strony tych maniaków? Po dwudziestu latach oczekiwania trudno było zaakceptować fakt, że ma przede wszystkim obowiązki wobec żywych. Jednakże jej logiczny umysł podpowiadał, że najpierw musi przeszkodzić wystrzeleniu wiązki torusa, a dopiero potem dochodzić zemsty za śmierć Neti i pozostałych. Ale w jaki sposób może ostrzec załogę promu? Mogłaby oczywiście zatelefonować, ale ile telefonów musiałaby wykonać, żeby przekonać pracowników NASA i skłonić ich, by polecili załodze „Colorado” przeprowadzić operację awaryjnego odpalenia? Nawet gdyby udało się ich przekonać, ile czasu by to zajęło? A może powinna zadzwonić do Harry'ego? Ale Harry strzelał do niej z karabinu, czuła więc do niego nienawiść tak silną, że trudno byłoby prowadzić z nim rozsądną rozmowę. A jeśli się myliła? Jeśli to wszystko było jedynie błędnym interpretowaniem faktów?

Zdradzieckie brzęczenie dochodzące z elektrowni przekonało ją, że to elektrownia stanowi klucz do całej sprawy. Tam musi się dostać najpierw.

Ofiarą pierwszej kradzieży samochodu na Kuro stała się Skoda zaparkowana przed biurem kapitana portu. Właściciel był na tyle uprzejmy, że nawet zostawił kluczyki w stacyjce. Lesa wsiadła do niewielkiego samochodu i z umiarkowaną szybkością, żeby nie zwracać na siebie uwagi, wyjechała z osady. Kiedy minęła zakręt, który pokonywała pieszo owego fatalnego dnia, śledzona przez Harry'ego, dodała gazu. Dojechała do skrzyżowania w kształcie litery T i zdała sobie sprawę, że Klipsofon brzęczy natarczywie. Zatrzymała samochód i odebrała telefon. Dzwonił Darryl. W jego głosie brzmiała nuta niepokoju.

- Leso, słuchaj uważnie. Jestem na stałe połączony do SPOT'a. Mój Cray jeszcze opracowuje dane, ale początek nie wygląda zbyt zachęcająco. Zwierciadło Beta jest chyba nacelowane na prom kosmiczny. Trzeba wziąć pod uwagę możliwy błąd w odczytywaniu, plus minus pięć procent, ale nominalny odczyt wskazuje na to, że zwierciadło ustawione jest wprost na „Colorado”.

- W porządku, Darryl. Jestem właśnie w drodze, żeby jakoś temu zaradzić.

- Musisz się bardzo spieszyć. Obrazy podczerwone wskazują na olbrzymi wzrost ilości gorącej wody z rur odpływowych elektrowni. Przeprowadzam porównania odpływów z elektrowni o podobnej konstrukcji. Teraz jej wydajność wynosi pięćdziesiąt procent maksymalnej mocy. Nie... pięćdziesiąt pięć procent. Boże, szybko się rozkręcają!

Lesa nacisnęła gaz, wrzuciła najniższy bieg i wcisnęła sprzęgło. Wepchnęła Klipsofon

między szyję i ramię, żeby móc rozmawiać nie przerywając jazdy.

- Dobrze, Darryl. Nie rozłączaj się. I nie wyłączaj się z satelity, informuj mnie na bieżąco.

Na drodze zostały ślady gumi z opon, kiedy niewielki samochód wziął zakręt w kierunku elektrowni.

*

- Pięćdziesiąt procent mocy - meldował kierownik elektrowni.

- Zaczynać uzbrajanie - zarządził Koniew.

- Uzbrajanie rozpoczęte - odpowiedział Pachmann.

Koniew zwrócił się do swoich gości.

- Teraz osiągnęliśmy etap, na którym uzbrajamy nuklearny pocisk artyleryjski w komorze zapalnikowej.

Pierwszy zastępca Jurij Salwanis poprawił się na krześle.

- Jaką siłę ma ten pocisk?

- Odpowiednik stu ton TNT - odpowiedział uspokajająco Koniew. - Proszę się nie obawiać, towarzyszu, torus osiągnie pełną energię, kiedy elektrownia dojdzie do stu procent mocy. Wtedy detonujemy pocisk. Jego uwolniona energia przebiegnie przez zwój torusa i wyleci w przestrzeń jako wiązka czystej energii. Proszę obserwować cel na ekranach monitorów. Za piętnaście minut Sojuz przestanie istnieć. - Pod koniec swojej krótkiej przemowy Koniew pochwycił wzrok Hegla. Zirytował go uśmiezek fizyka.

- Sześćdziesiąt procent mocy - poinformował kierownik elektrowni.

*

Leska wzięła zakręt zbyt dużym łukiem i na zbyt dużej szybkości i o mało nie zderzyła się z trzydziestotonową ciężarówką z kamieniołomu jadącą w przeciwnym kierunku. Na szczęście zareagowała błyskawicznie, bo w sporze z gigantyczną ciężarówką maleńka czeska Skoda nie miała szans na zwycięstwo. Ciężarówka zatrafiła wściekle i zniknęła w ciemności. Leska obróciła kierownicę i udało jej się wyprostować samochód. Klipsfon upadł na siedzenie pasażera. Słyszała głos Darryla, piskliwy i przerażony. Darryl usłyszał klakson ciężarówki. Leska chwyciła aparat.

- Wszystko w porządku, Darryl - powiedziała bez tchu. - O mało nie wjechałam na ciężarówkę.

- Chryste! Gdybyś mogła widzieć te kolory! Odpływy z elektrowni zabarwiają Pacyfik na czerwono. Kretyński komputer! Gdzie są moje dane? Na miłość boską, Leso, moc elektrowni osiągnęła sześćdziesiąt procent. Co, u diabła, zamierzasz zrobić?

Dokładnie w tym momencie Lesa doznała nagłego olśnienia, wiedziała doskonale, co zamierza zrobić. Obróciła kierownicę, wcisnęła ręczny hamulec i udało jej się zawrócić Skodę na bardzo wąskiej drodze.

*

- Sześćdziesiąt procent mocy - oznajmił głos kierownika elektrowni przez głośniki w pomieszczeniu kontrolnym.

- Zapłon za dziesięć minut - powiedział Pachmann. - Początek fazy odliczania do zapłonu.

*

Wyprzedziła ciężarówkę trąbiąc rozgłośnie i mrugając światłami. Olbrzymi pojazd uparcie trzymał się środka drogi, zmuszając Lesę do użycia hamulców i wycofania się. Na niskim biegu udało jej się precyzyjnie od strony zjechać. To nagłe wyprzedzenie wynagrodzone zostało piskiem opon i rykiem klaksonu. Lesa przyspieszyła, oddaliła się na bezpieczną odległość i zatrzymała Skodę na środku drogi. Wskoczyła z samochodu, pewna, że ciężarówka rozgniecie go na miazgę. Kolejny wściekły syk sprężonego powietrza, wizg hamulców i ciężarówka zatrzymała się o kilka metrów przed Skodą. Kierowca, olbrzymi Słowianin, nie miał zwyczaju przegrywać w jakimkolwiek sporze. Wskoczył z szoferki i zmierzał w stronę Lesy, klnąc siarczyście po rosyjsku.

Wcale nie zauważył ani nie poczuł kopnięcia. Nie chcąc robić mu większej krzywdy, Lesa pochwyciła bezwładne ciało, w chwili gdy opadało na ziemię, i zaciągnęła w zarośla, z daleka od drogi. Złapała Klipsofon, wskoczyła do szoferki i zostawiła otwarte drzwi, żeby przy zapalonym świetle zorientować się w skomplikowanym układzie biegów. Przez dłuższą chwilę ignorowała błagalne prośby Darryla, żeby poinformować go o przebiegu wydarzeń.

Ciężarówka miała dziesięć biegów plus dodatkowe biegi do gaśienic, napęd na sześć kół i wywrotkę. Na szczęście Rosjanie wprowadzili międzynarodowe symbole przy oznaczeniu, poszczególnych przyrządów. Dodatkową szczęśliwą okolicznością był fakt, że kierowca nie wyłączył silnika. Lesa znalazła bieg wsteczny i pierwszy i spędziła kilka pełnych niepokoju minut, manewrując wielkim pojazdem do przodu i do tyłu, żeby zakręcić. Mimo olbrzymich rozmiarów wspomagany układ kierownicy sprawiał, że manewrowanie było stosunkowo proste, choć najmniejszy nacisk na gaz nadawał silnikowi szalone obroty, które wywoływały straszliwy hałas.

- Co się tam dzieje, do cholery? - dopytywał się głos Darryla z siedzenia obok. Lesa porwała Klipsofon i krzyknęła: - Informuj dokładnie o elektrowni! Głośno!

Wrzuciła niski bieg i zwiększyła obroty. Ciężarówka ruszyła gwałtownie w kierunku, z

którego przybyła. Lesa włączyła reflektor kierowcy umieszczony na drzwiach, tak że strumień światła, w którym fruwały chmary komarów, skierowany był w dżunglę.

- Moc co najmniej siedemdziesiąt procent - krzyczał Darryl. - Leso, błagam cię, powiedz, co się dzieje!

- Informuj mnie na bieżąco - odkrzyknęła, nie podejmując aparatu i nie odrywając oczu od dżungli ciągnącej się wzdłuż drogi. Ciężarówka podskakiwała i kolebała się, kiedy koła zjeżdżały z utwardzonej nawierzchni. Lesa nie była przyzwyczajona do prowadzenia pojazdu o takiej szerokości.

*

Wiktor Koniew właśnie tłumaczył swoim gościom, że dudnienie dobiegające z zewnątrz spowodowane jest wsysaniem zjonizowanego powietrza przez zwój torusa, kiedy głos kierownika oznajmił, że elektrownia osiągnęła osiemdziesiąt procent mocy.

- Trzy minuty do zapłonu - powiedział Pachmann.

Hegel usiłował ustawić nitkę celownika możliwie dokładnie na pokład „Colorado”. Uśmiechnął się do Pachmanna, a w uśmiechu tym mieszało się oczekiwanie i poczucie triumfu.

*

Lesa wypatrzyła dukt prowadzący do dżungli i skrzyła kierownicę. Ciężarówka wtoczyła się w gąszcz jak oszalały czołg. Gałęzie tłukły w przednią szybę i zerwały wycieraczki. Lesa manewrowała kierownicą, starając się wymijać większe drzewa. Mniejsze drzewka i krzewy rozgniatała na miazgę potężnymi kołami. Jechała drogą, którą wybrał Harry na swoją niefortuną eskapadę zakończoną spotkaniem z dzikami, co doprowadziło do wyrzucenia ich z wyspy.

- Musi być powyżej osiemdziesięciu procent mocy! - dobiegł do jej uszu krzyk Darryla.

*

Teraz świst powietrza przechodzącego przez zwój torusa dawał się we znaki w pomieszczeniu kontrolnym. Pierwszy zastępca Jurij Salwanis spojrzął na ekran pokazujący zwierciadło Beta z pewnej odległości. Powietrze wsysane i wyrzucane przez torusa widoczne było jak słaby promień światła na nocnym niebie.

- Wyobraźmy sobie cały krąg torusów wokół naszych miast - tokował dumnie Koniew. - Już nigdy nasz naród nie zazna strachu. Nikt już nigdy nie napadnie na naszą ojczyznę. - Spojrzął wyczekująco na generała Zworkina, spodziewając się oznak aprobaty, ale radziecki generał siedział w milczeniu, nieruchomo.

- A co się stanie, jeśli zwój torusa zawiedzie już po detonacji pocisku? - dopytywał się

Jurij Salwanis, choć podejrzewał, że dokładnie zna odpowiedź.

- Mogę towarzysza zapewnić, że nie zawiedzie - powiedział przymilnie Koniew. - Kilka mniejszych testów, które przeprowadziliśmy do tej pory, zakończyło się absolutnym sukcesem.

- Ale gdyby? - nalegał pierwszy zastępca.

- Wtedy się przekonasz, co to znaczy znaleźć się w centrum eksplozji atomowej - warknął generał Zworkin. - Zamknij się teraz.

- Dwie minuty do zapłonu - powiedział spokojnie Pachmann.

- Przekroczymy poziom C możliwości przerwania zadania - powiedział Hegel.

- Na poziomie A nic nie powstrzyma wybuchu - wyjaśnił gościom Koniew.

- Minuta do wybuchu.

- Dziewięćdziesiąt procent mocy.

*

Lesia uznała, że nie ma co szukać na oślep dźwigni uruchamiającej wywrotkę. Zatrzymała ciężarówkę, znalazła dźwignię i podniosła. Silnik dieslowski zmniejszył obroty, jako że motor hydrauliczny wywrotki pobierał część energii. Gałęzie wciskały się do szoferki, kiedy skrzynia sunęła w górę. Lesia obróciła się na siedzeniu i wyjrzała przez tylne okno szoferki. Widok błyszczących suwaków hydraulicznych ucieszył ją niepomrotnie. Dodała gazu, wielka ciężarówka skoczyła w przód przez dżunglę. Wydawała się przerażająco niestabilna i przy najmniejszym ruchu zmieniała kierunek. Początkowo Lesia była tym przerażona, zwłaszcza kiedy o mało nie uderzyła w drzewo, które wyglądało na wystarczająco potężne, by zatrzymać pędzący wehikuł. Lesia walczyła z kierownicą i nagle uświadomiła sobie, że brak stabilności spowodowany jest zmianą środka ciężkości pojazdu jadącego z wywrotką podniesioną na maksymalną wysokość.

Szalona jazda szlakiem dzików trwała w nieskończoność. Powtarzały się tępe uderzenia łamanych gałęzi, rozbijających się o podniesioną wywrotkę.

- Gdzież ta polana? - niemal szlochała Lesia. - Gdzie ta przeklęta polana?

- Leso! Leso! Czy mnie słyszysz? Maksymalna moc!

Nagle drzewa przeredziły się. W światłach reflektorów pojawił się odbłask ceramicznych izolatorów i dwie gigantyczne linie przesyłowe zawieszony na betonowych słupach z poprzecznikami.

*

- Trzydzieści sekund, odliczanie...

- Dziewięćdziesiąt pięć procent mocy.

- Przekroczony poziom B.

- Dwadzieścia...

Pachmann spojrział na Hegla i zobaczył, że postawny mężczyzna zaciska i rozprostowuje pięści, patrząc na obraz promu na ekranie celownika.

- Piętnaście...

- Sto procent mocy. Moc sto. Powodzenia, panowie.

Ryk sztucznego huraganu stał się niemal ogłuszający.

- Dziesięć...

- Panowie, to wspaniały dzień dla ojczyzny.

- Przekroczony poziom A.

Hegel położył palec na przycisku detonatora.

„Colorado” znajdował się dokładnie w centrum ekranu.

- Pięć... cztery... trzy... dwa...

*

Dokładnie w momencie kiedy Pachmann odliczył „pięć”, Lesa docisnęła pedał do dechy. Ciężarówka skoczyła do przodu. Linia przesyłowa zbliżała się w błyskawicznym tempie. Lesa otworzyła drzwi i najlepiej, jak mogła, wyprostowała podskakującą kierownicę. Pięćdziesiąt metrów... czterdzieści, coraz bliżej... Nie., tak! Tak lepiej! Uderzyć w linię pomiędzy słupami!

- Leso! Na miłość boską, odezwij się!

Trzydzieści metrów... dwadzieścia... dziesięć! Skacz!

Wyskoczyła z szoferki, ciało, przejąwszy impet szarżującego pojazdu, potoczyło się po ziemi. Lesa, prawie bez tchu, zdążyła jednak spojrzeć do góry, by zobaczyć, jak rozpędzony, niestabilny pojazd z podniesioną wywrotką trzasnął w linię przesyłowe niczym wielki stalowy potwór. Siła uderzenia oderwała je od izolatorów i połączyła razem, powodując krótkie spięcie.

Nastąpił oślepiający błysk. Na siatkówkach oczu tańczyły żywe wzory. Grzmot eksplozji spowodował tak silne wstrząsy podziemne, że Lesa przewróciła się na plecy, choć i tak leżała już na ziemi. Słyszała wokół odgłosy łamiących się drzew. Kiedy tylko jako tako odzyskała zmysły, zapagnęła przede wszystkim jak najszybciej wydostać się z polany. Stanęła niepewnie na nogi i pokuśtykała wzdłuż głębokich kolein wyżłobionych przez opony ciężarówki.

*

Tymczasem w odległości zaledwie kilku kilometrów na szczycie góry Kuromia działa

się znacznie gorsze rzeczy.

51.

Trimaran „Sparkle” znajdował się w odległości dwóch mil od wyspy, kiedy trzech mężczyźni dostrzegli jasne światło na szczycie góry Kuromia. Najpierw nastąpił błysk, który pozostawił po sobie jasność rozświetlającą dżunglę na stokach góry.

- Cholera! - szepnął Krantz.

Przypominało to lampę gazową podkręcaną stopniowo do pełnej jasności. Nagle pozornie spokojne, choć błyszczące światło przekształciło się w rozszerzającą się kulę energii. W sekundę po pierwszym błysku dotarł do trimarana odgłos gigantycznego wybuchu, za którym nadeszła wysoka fala. Gdyby „Sparkle” płynął pod żaglami, zostałyby poszarpane na strzępy. Trzej mężczyźni odzyskali równowagę i w osłupieniu wpatrywali się w upiorny spektakl, gdy szczyt góry rozpląnął się w nicość w wyniku niewielkiej eksplozji termojądrowej.

52.

Kiedy Diem usłyszał potworny wybuch, pomyślał najpierw, że to wulkan Kuromia. Kiedy jednak zobaczył ze swojego okna straszliwy widok, pomyślał o zabezpieczeniu ukochanego „Rasputina”. Obserwatorium zniknęło. Na jego miejscu było błyszczące piekło podświetlające od dołu coraz większą chmurę w kształcie grzyba. Diem naciągnął szorty, wepchnął stopy w sandały, pochwycił klucze od jachtu i wybiegł w noc. Wszędzie dookoła ludzie otwierali okna i krzyczeli. Nie zwracał na nich uwagi. Skuter nie chciał zapalić, zostawił go więc i pobiegł do przystani.

53.

Lesy dotarła do opuszczonej Skody i oparła się o nią, żeby odzyskać siły. Zniszczenie góry Kuromia było całkowite. Na miejscu obserwatorium powstał krater, promieniujący krwistą czerwień i wymiotujący w niebo płynnym ogniem. Na stokach góry paliły się dodatkowe pożary. Słyszała nadjeżdżające pojazdy, ale zanim zdążyła się poruszyć, rozległ się zgrzyt hamulców. Niewielka furgonetka musiała zjechać na skraj drogi, żeby wyminąć Skodę. Kierowca rzucił głośne przekleństwo pod adresem Lesy i dodał gazu, gnając do osady.

Słyszała silniki wielu innych samochodów, ale wszystkie skrzyły na drogę prowadzącą na szczyt góry.

Kiedy Lesa doszła do siebie na tyle, by móc zebrać myśli, wsiadła do samochodu i skierowała się w stronę Kurogradu. Orzeźwiający podmuch wiatru po wybuchu pozwolił jej zorientować się w sytuacji. Zatrzymała się tuż przed wjazdem do osady i przyglądała się rezultatom eksplozji na górze Kuromia. Nie miała wątpliwości, że właśnie jej interwencja spowodowała to, co się stało. Hegel i Pachmann, a także czwarty mężczyzna, gruby i łysy, którego nazwiska nigdy nie poznała, niewątpliwie zginęli, ale fakt, że nie zabiła ich w walce twarzą w twarz, wydawał jej się kolejnym niedotrzymaniem przysięgi, że pomści masakrę rodziny.

Czy mogłabyś ich zabić, gdybyś zetknęła się z nimi twarzą w twarz?

Ciągle te pytania, ten zdradliwy głos wewnątrz, kwestionujący jej motyw, odwagę, podważający szacunek dla samej siebie. Mijało ją coraz więcej samochodów. Słyszała krzyki. Ludzie bezładnie biegali po osadzie.

Jest jeszcze Diem! Udowodnię ci to, Neti! Zabiję go! Przysięgam!

Uruchomiła silnik Skody i wściekłym ruchem wrzuciła pierwszy bieg. Minęła zakręt; zobaczyła włączone światła nawigacyjne na „Rasputinie” i kłęby dymu z silnika unoszące się wokół pawęży. Postać w białych szortach odwiązywała cumy.

Diem!

Wjechała na nabrzeże i dodała gazu.

Diem zobaczył światła zbliżającego się samochodu i pomyślał, że kapitan portu nie pozwoli mu zabrać „Rasputina” - podejrzenie o tyle nie pozbawione podstaw, że samochód, który ukradła Lesa, należał do kapitana portu. Odwiązał ostatnią linę, wskoczył na pokład i pognął do sterówki modląc się, by silniki rozgrzały się na tyle, żeby bez zwłoki udało się wyciągnąć z nich całą moc. Włączył bieg i otworzył przepustnicę. Silniki zamilkły, po czym ruszyły na pełnych obrotach. Spojrzał przez ramię, ale za późno, by zauważyć skaczącą do wody Lesę.

*

Dwoma ruchami ramion dopłynęła do pawęży. Złapała drabinkę dla pływaków; nagle przyspieszenie „Rasputina” o mało nie wyrwało jej barków. Na sekundę zatraciła zdolność logicznego myślenia, kiedy zalała ją fala obrzydliwych wspomnień. Przed laty trzymała się tego samego szczebla... Ale tym razem wszystko było inaczej. Nauczyła się nienawiści, nauczyła się zabijać, a może, co najgorsze, straciła tę odrobinę wiary, którą przekazał jej Lin, wiary, że mężczyźni i kobiety mogą się darzyć nawzajem miłością i zaufaniem. właśnie ta

nienawiść płonąca w jej wnętrzu dodała jej siłę, pozwoliła przezwyciężyć opór, jaki stawały rękoma fale wywołane ruchem „Rasputina”. Udało jej się chwycić następny szczebel. I następny. Nogi jej dyndały bezwładnie w wodzie, a fala wzbudzona przez śruby utrudniała zaczepienie ich na drabince, ale w końcu jej się to udało.

„Rasputin” wypłynął z przystani i Diem poczuł się lepiej. Wyregulował szybkość z powrotem na osiem węzłów. Nie ma powodu marnować paliwa - na Kuro i tak nie było statku, który mógłby go dogonić. Spojrzał na licznik paliwa i błogosławił własną dalekowzroczność, która kazała mu zawsze mieć pełne zbiorniki. Miał dosyć paliwa, by dopłynąć do Hongkongu, do Makao czy gdziekolwiek indziej, zgodnie z własną fantazją.

I wtedy przemówił do niego głos z przeszłości.

- Diem.

Obrócił się na fotelu sternika i spojrzął na stojącą w progu zjawę, której sylwetka rysowała się na tle wschodzącego dnia. Była to dziewczyna, nie, kobieta, piękna kobieta w bardzo dopasowanym kostiumie. Jej urocza twarz i okrągłe oczy Euroazjatki miały w sobie tę niezwykłą, ponadczasową urodę. Ale w tych oczach malowało się zmęczenie, zmęczenie podróżą niemal dobiegającą kresu. I nagle wnętrzości Diema ścisnęło przerażenie, gdy uświadomił sobie, że oczy te są mu znajome.

Kiedy się odezwał, jego chrypliwy głos był ledwie słyszalny w ryku silników:

- Lesa!

- Jak się masz, Diem.

Umysł Diema usiłował w błyskawicznym tempie wynaleźć najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie w całym kalejdoskopie niemożliwych do przyjęcia wyjaśnień, które zakłębiły się w jego głowie.

- Lesa! To nie możesz być ty!

Lesza odpowiedziała po wietnamsku.

- Nie jestem Leszą, którą znałeś, Diem. Nie jestem już tą Leszą, którą zgwałciłeś przed wieloma laty.

- Ty nie żyjesz! Ciebie zastrzelili!

Lesza wolno pokręciła głową i uniosła rękę.

- Nie, Diem. Ja żyję, ale ty wkrótce nie będziesz żył.

Diem zobaczył, że trzyma w ręku procę, podobną do tej, jaką miała w dzieciństwie. Powoli rozprostowywała naciągi, tak że pocisk wycelowany był bezbłędnie w jego głowę. Zauważył, że bierze poprawkę na kołysanie jachtu i że ani na chwilę nie traci celu. Pamiętał o jej umiejętności posługiwania się procą, którą lubiła się popisować we wsi, pamiętał, że

chłopcy nigdy nie chcieli z nią współzawodniczyć, bo nie lubili tracić twarzy. Pamiętał, jak celnym strzałem zabiła żołnierza. W ciągu kilku sekund Diem przypomniał sobie wiele rzeczy, które przez te wszystkie lata wymazywał z pamięci. Pamiętał, jak patrzył na jej nagość, kiedy obsiadły ją pijawki. I wspomnienia, o których trudno było zapomnieć: morderstwa... i aksamitny dotyk jej skóry, kiedy ją gwałcił...

Osunął się na kolana, złożył ręce w błagalnym geście.

- Leso, przebacz mi. Błagam cię, błagam, oszczędź mnie. - Patrzył jej w oczy w poszukiwaniu iskierki współczucia, lecz niczego takiego nie zobaczył. Nie zobaczył nawet nienawiści. Ale proca ciągle wycelowana była w jego głowę, naciągi wyprostowane, od śmierci dzieliła go tylko ręka Lesy trzymająca ładownicę z pociskiem.

Lesa pokręciła przecząco głową.

- Tego nie mogę zrobić.

- Błagam!

- Co się stało z grubym?

To pytanie dało mu nadzieję.

- Z Leo? Umarł przed kilku laty. W wypadku.

- A ruda?

- Nie mam pojęcia. To była prostytutka z Makao.

Naciągi wyprężyły się.

- Czyli zostałeś tylko ty i ona.

Diem zaczął płakać.

- Leso, nie wyobrażasz sobie, czym było życie przez te wszystkie lata, życie z tymi wspomnieniami. Każdej nocy byłem karany tysiącrotnie! Musisz mi wierzyć!

- W takim razie, Diem, twoje cierpienia dobiegły końca. Brałeś udział w zabiciu piętki własnych rodaków. Twoje życie jest mizerną zapłatą za ich życie.

- Nie, nie piętki.

Lesa zmarszczyła brwi.

- Neti, Thi, Hinny, Lin i mała Suzi. To pięć.

- Ale Suzi nie zginęła. Ruda zabrała ją do Makao.

Lesa wpatrywała się w Diema. Naciągi procy nagle się rozluźniły.

- Twierdzisz, że Suzi żyje? - Ta wiadomość wywołała wstrząs, który kazał jej zapomnieć o wszystkich przestrożach Ko w Sham Shui Po.

Diem dostrzegł okazję i rzucił się do ucieczki. Zamierzyła się nogą, ale nie zdążyła. Diem miał zamiar skoczyć na nią, lecz zobaczywszy, że mierzy z procy, postanowił dać nurka

do wody. Kiedy jego głowa wynurzyła się na powierzchnię, Lesa chciała strzelić, ale uświadomiła sobie, że potrzebny jej żywy Diem. Musiała się dowiedzieć, co się stało z Suzi. Diem płynął teraz szybko i pewnie w kierunku świateł Kurogradu, oddalonego o dwie mile. Odległość między nim a „Rasputinem” powiększała się gwałtownie, bo jacht ciągle płynął z szybkością ośmiu węzłów.

Lesa obróciła ster, „Rasputin” gwałtownie przechylił się na bok. Usiłowała ustawić cyrkle na kurs prowadzący do samotnego pływaka, ale się przeliczyła. Z uczuciem rozpaczki uświadomiła sobie, że panowanie nad jachtem wielkości „Rasputina” wymaga dużego doświadczenia. Trochę przymknęła przepustnice i udało jej się wyprostować cyrkle. Diem oddalił się od jachtu o dwieście metrów i dalej płynął szybko. Tym razem nie przeholowała przy cyrkłach, nie wzięła jednak pod uwagę szybkości statku.

„Rasputin” zmierzał wprost na Diema. Lesa zdała sobie sprawę, że go zatopi, zamknęła więc przepustnice. Głowa Diema zniknęła z boku statku i pojawiła się za nim. Lesa ustawiła biegi na luz i wychyliła się przez burtę.

- Diem! - wołała. - Nie zabiję cię! Muszę się dowiedzieć o Suzi! - Chcąc podkreślić swoje intencje, wrzuciła do morza procę. Diem przestał płynąć i unosił się pionowo w wodzie. Był teraz około dwudziestu metrów za rufą jachtu.

- Proszę cię, Diem! Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy.

Przez moment Wietnamczyk wydawał się niezdecydowany, po czym skierował się w stronę jachtu. Lesa wrzuciła wsteczny bieg i otworzyła przepustnice z zamiarem podpłynięcia bliżej, żeby oszczędzić mu długiej drogi.

„Rasputin” ruszył do tyłu wprost na Diema.

- Nie! Lesa! - Diem nagle zaczął płynąć w innym kierunku, żeby uciec przed kadłubem jachtu.

Lesa ogarnięta paniką rzuciła się do deski rozdzielczej. Zamiast ustawić oba silniki na jałowy bieg, przez przeoczenie zostawiła prawy na biegu i jacht nagle wykonał obrót. Głowa Diema zniknęła pod pawężą. Jego straszny krzyk zmroził Lesie krew w żyłach. Szybko naprawiła swój błąd i podbiegła do pawęży. Diem wypłynął na powierzchnię pośrodku czerwonej kałuży.

- Lesa! - jęknął i chyba zemdłał. Lesa wskoczyła do wody i złapała go za włosy, zanim się zanurzył ponownie. Podniosła mu głowę do góry i uczepiła się drabinki. Czerwień rozlewała się wszędzie. To nie mogła być krew, było jej za dużo.

Głowa Diema kołysała się bezwładnie, a oczy zachodziły mgłą, kiedy Lesa starała się wyciągnąć go z wody jedną ręką, podczas gdy drugą trzymała się drabinki. Nastawiła się na

to, że Diem będzie bardzo ciężki. Tymczasem okazał się niespodziewanie lekki. Jęknął, a z ust trysnęła mu strużka krwi. Lesa zdała sobie sprawę, jak okropnych doznał obrażeń, dopiero kiedy wciągnęła go na pierwszy szczebel drabinki; śruba przecięła go w talii na pół.

- Leso... - Patrzył na nią jak człowiek, który wie, że umiera.

- Diem! - Lesa płakała. - Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro, ale to był wypadek. Musisz mi uwierzyć! Błagam cię, Diem! - Pozwoliła mu znowu osunąć się do wody, żeby nie musiała oglądać jego koszmarnego okaleczenia.

Skinął głową.

- Wierzę... - Słowo to wyszło z jego ust razem z czerwoną pianą.

- Diem, proszę cię, powiedz mi o Suzi. Co się z nią stało?

- Ruda... wzięła... wzięła...

Lesa czuła, jak uchodzi z niego życie.

- Jak miała na imię? - W rozpaczy potrząsała głową Diema.

- Marie...

- Marie, i co dalej? - Choć nienawidziła siebie za to, co robiła, musiała jednak znowu nim dość silnie potrząsnąć, żeby przemówił. Jakby utrzymywała go przy życiu swoją żelazną siłą woli.

Kiedy się odezwał, słowa mieszały się z coraz większą ilością purpurowej piany.

- Jimmy Pria będzie wiedział. To była jedna z jego dziewcząt w Makao.

Było to ostatnie i najbardziej przytomne zdanie, jakie wypowiedział Diem. Lesa podtrzymywała go jeszcze przez kilka sekund, nie bardzo wiedząc, co robić. Wreszcie puściła go i przez kilka chwil obserwowała straszliwie rozplatanę ciało unoszące się na fali, zanim wróciła z powrotem na pokład jachtu.

Rozejrzała się wokół, nie uświadamiając sobie do końca, że stoi dokładnie w miejscu, w którym rozegrały się straszliwe wydarzenia roku 1985. Zmobilizowała się, miała przecież tyle do zrobienia. Przede wszystkim należało spuścić na wodę łódź motorową. Kiedy już przycumowała łódź, poszła do salonu na dziobie. W przeciwieństwie do bungalowu wszystko tu świadczyło o częstej obecności Hegla i Pachmanna. Znienawidzone twarze patrzyły na nią z licznych fotografii. Szufladki niewielkiego biurka zapchane były papierami i notatkami. Profesjonalizm zwyciężył, przyjechała na Kuro, żeby wykonać pracę. Wszystkie te papiery stanowiły dowód działalności Hegla i Pachmanna na wyspie. Znalazła w kuchni wielką torbę plastikową i wypełniła ją papierami, zabrała także elektroniczny notatnik z bardzo pojemną pamięcią. Zwinęła gazety w luźne kulki i ułożyła je w wielki stos na środku kabiny. Potem otworzyła wszystkie okna i podpała gazety. Cofnęła się i obojętnie obserwowała, buchający

plomień. Kiedy zajęły się meble, zarzuciła plastikową torbę na ramię i wrzuciła do łodzi. Niebo na wschodzie było jaśniejsze, za godzinę już wszędzie słońce. Zeszła do łodzi i odpłynęła.

Oddaliła się na bezpieczną odległość od „Rasputina” i obserwowała, jak płonie. Dym wydobywający się z okien kabiny kręcił się na wietrze i gęstniał coraz bardziej. Po pięciu minutach musiała odpłynąć dalej z powodu intensywnego gorąca. Była tak pogrążona w kontemplacji płomieni ogarniających mostek, że usłyszała silniki trimarana, dopiero kiedy „Sparkle” znalazł się w odległości dwustu metrów. Obrzuciła trimaran przelotnym spojrzeniem i powróciła do obserwacji płonącego „Rasputina”. Dwa morskie ptaki, zwabione obecnością tyłu statków, krążyły z krzykiem w pobliżu. Kołowały przez kilka minut, ale widać zdecydowały, że nie zanoszą na żadną zdobycz, bo odleciały w kierunku Kuro.

- Ktoś będzie miał łatwą sprawę z towarzystwem ubezpieczeniowym - zawołał Harry przez megafon.

Lesia w dalszym ciągu ignorowała „Sparkle”. Des zatrzymał silniki. Morze przelało się przez kształtne kadłuby trimarana.

- Chcesz, żeby cię podwieźć, czy zamierzasz spędzić tu cały dzień?

Lesia obrzuciła Harry’ego miażdżącym spojrzeniem. Stał na zewnętrznym kadłubie i trzymał się wanty masztu, żeby nie stracić równowagi.

- Strzelałeś do mnie z karabinu - rzuciła mu oskarżenie.

Harry zrobił zdziwioną minę.

- Ja? Kiedy?

- Kiedy wzięłam Zodiaka.

Twarz Harry’ego rozjaśniła się.

- A, wtedy!

- Tak! Wtedy!

- Leso, przysięgam, że nikt do ciebie nie strzelał. Wystrzeliłem parę razy w górę, żeby zwrócić twoją przekłętą uwagę. Bóg mi świadkiem, że jesteś ostatnią osobą, do której chciałbym strzelać.

Lesia spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach autentyczną troskę i przerażenie. Nagle się poddała. Ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Płakała z powodu swojej rodziny, kochanej Neti, Lina, płakała z powodu nędzy życia, z powodu okropności z dzieciństwa, bo to one nie pozwalały jej uwierzyć, że są na świecie mężczyźni, którym można ufać, którzy interesują się nią dla niej samej.

54.

Pentagon, Waszyngton, 10 maja

Generał Gus Whittaker podał Harry'emu przez biurko oprawione sprawozdanie. Harry zaczął je kartkować.

- Co mam z tym zrobić, panie generale? Przeczytać i zjeść?

- To jeszcze nie jest wersja ostateczna. Przeczytaj i powiedz mi, czy czegoś nie pominęto.

- Czy jest coś w papierach, które odnalazła Lesa Wessex?

- Jeszcze jak! Nie ma wątpliwości, że zbudowali torusa.

- To teraz my zaczniemy?

- Tak i nie.

Harry czasami nienawidził Gusa Whittakera. To był właśnie jeden z takich momentów.

- Będziemy budować wspólnie z Rosjanami. Bliższe szczegóły ogłosi prezydent w przyszłym miesiącu.

- Generale, jaki będzie pożytek ze wspólnego amerykańsko-radzieckiego torusa? W ten sposób obie strony zostaną pozbawione wroga, przeciw któremu mogłyby użyć tej broni.

- Harry, to nie będzie broń. Będzie to podstawowa jednostka napędowa, kiedy zorganizujemy wyprawę człowieka na Proximę Centauri pod koniec następnego dziesięciolecia.

Harry otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast się rozmyślił. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Co cię tak rozśmieszyło, Harry?

- To było pierwotne marzenie Aleksego Hegla, panie generale.

- Szkoda, że się go nie trzymał. Czy panna Wessex jest z tobą w kontakcie?

Harry pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje. Wiem, że jest w Ameryce, bo odciski jej palców przeszły przez biuro imigracji. Problem polega na tym, że Agencja Ochrony Środowiska wyposażyła ją w tyle dowodów tożsamości, że nie sposób jej wyśledzić.

Generał Whittaker chrząknął.

- Daj mi znać, kiedy ją znajdziesz. Może uda nam się załatwić dla niej jakiś medal, chociaż nie jest obywatelką amerykańską. Zasluguje na to. I jej partner, Darryl Grade.

Harry żałował, że nie może wspomnieć o ojcu Lesy Wessex, który był amerykańskim żołnierzem. Kiedy wrócili do Hongkongu, Lesa opowiedziała mu całą swoją historię, ale

musiał przysiąc, że zachowa to w tajemnicy. Specjalny rodzaj uczuć Harry'ego dla niej sprawiał, że zamierzał na zawsze dochować tej tajemnicy, mimo że Lesa splątała mu figła i uciekła z Hongkongu.

- Znajdę ją i jej to powiem - obiecał.

- Koniecznie, Harry. Dobrze, a jutro powiesz mi, co myślisz o tym sprawozdaniu.

- Miło z pana strony, że daje mi pan czas na przeczytanie. - Harry wstał i podeszedł do drzwi.

- I jeszcze jedno, Harry.

- Słucham, panie generale?

- To wszystko cholerny klops, ale sprawiłeś się dzielnie.

Harry uśmiechnął się.

- Dziękuję, panie generale.

- Ale żeby mi to było ostatni raz.

55.

Jacksonville, Floryda. 1 czerwca

Elegancki domek w eleganckiej dzielnicy znaczył koniec szlaku, który prowadził niemal dookoła świata.

Lesza zaparkowała wynajęty samochód w miejscu, skąd mogła obserwować dom. Włożyła okulary słoneczne i udawała, że studiuje mapę. W gazecie na siedzeniu pasażera ukryła procę PebbleZing, którą zakupiła w sklepie sportowym w pobliskim centrum handlowym. Niewielki zapas okrągłych, lekko spłaszczonych kamieni był rezultatem spaceru wzdłuż plaży.

Mimo niezwyklej długości szlaku, nie był on zbyt trudny. Najtrudniej było odnaleźć Jimmy'ego Pria w jego luksusowym domu w Portugalii, dokąd przeniósł się jako emeryt. Kiedy się przekonał, że Lesa nie jest przedstawicielką Chińskiej Republiki Ludowej na tropie zysków, które przesmuglował z Makao, okazał się nawet pomocny. Z zainteresowaniem oglądał portrety rudej, które Lesa szkicowała ołówkiem.

- Dobrze uchwycone podobieństwo - powiedział. - Ale teraz będzie wyglądała starzej... jak my wszyscy. To prawda, ma na imię Marie. Była jedną z moich najlepszych dziewczyn. I najmądrzejszych. Oszczędziła dużo pieniędzy, a nie przyznawała mi się do wszystkich zarobków. Głupie dziewczuchy, wydawało im się, że mogą oszukać Jimmy'ego Pria. Dziecko? Tak, pamiętam, że miała to dziecko. Opowiadała, że faceci z jachtu, którzy wynajęli jej

usługi, znaleźli dzieciaka jako jedyną żywą istotę na dryfującym sampanie pełnym trupów. Władze w Makao zaakceptowały tę historię. Jak została z tym dzieckiem, zrobiła się przyzwoita, znalazła pracę w Pan Amie i wyszła za mąż za mechanika pokładowego. On umarł parę lat temu. Marie ciągle jeszcze do mnie pisuje. Czy chce pani jej adres?

Głęboki dźwięk chłodzonego powietrzem silnika przerwał rozmyślenia Lesy. Podniosła wzrok i zobaczyła Thi zeskakującą z wózka plażowego. Thi odwróciła się, żeby pomachać ręką piegowatemu chłopcu, który prowadził wózek.

To nie mogła być Thi, a jednak była: ta sama twarz, figura, włosy, wszystko. Ale nie, to nie była Thi. Ta urocza młoda dziewczyna uśmiechała się promiennie, patrząc za odjeżdżającym wózkiem. Thi nie uśmiechała się nigdy. Thi widziała zbyt wiele cierpienia, żeby się uśmiechać, podczas gdy ta dziewczyna znała takie życie, o jakim Lesa marzyła w swojej wiosce, kiedy przeglądała kolorowe pisma przywożone przez matkę z Da Nang.

Z domu wyszła kobieta koło pięćdziesiątki i czekała na dziewczynę na progu. Uśmiechała się ciepło, jakby chciała usłyszeć, czy randka się udała. To była ruda. Nie zmieniła się zbyt wiele. W sercu Lesy odezwała się nagle gwałtowna nienawiść. Wsunęła rękę pod gazetę, ale nie poruszyła jej, kiedy kobieta wyszła na spotkanie dziewczyny. Ucisnęły się, wyciąły i ze śmiechem poszły w stronę domu, obejmując się w pół.

W tym momencie Lesa zrozumiała, że zabicie rudej zniszczy więcej niż jedno życie. Łzy popłynęły jej z oczu. Jej bezradność stanowiła kolejną zdradę w całym zdradzieckim życiu. Oparła głowę na kierownicy.

Neti, droga, kochana Neti! Nie mogę tego zrobić! Po prostu nie mogę! Proszę cię, zrozum. I wybacz mi, Neti, błagam cię.

Ze złością włączyła stacyjkę, wrzuciła bieg i dodała gazu. Na przedmieściach zatrzymała się przy koszu na śmieci, wyrzuciła procę i kamyczki.

Dwie mile dalej zahamowała gwałtownie, kiedy zorientowała się, że nie ma na ręku zegarka, który podarował jej Lin. Patrzyła na biały pasek skóry. Nosila ten popsuty zegarek przeszło dwadzieścia lat, stał się częścią jej samej, częścią jej przeszłości. A teraz zniknął. Musiał zsunąć się z przegubu, kiedy wyrzucała procę. Już miała zawrócić samochód, ale zmieniła zdanie. Nagle uniosła się ciemna chmura. Poczula się oczyszczona, odnowiona. Zegarek należał do przeszłości, która nagle przestała nad nią panować. Czula potrzebę usłyszenia przyjaznego głosu. Potrzebę porozmawiania z kimś, z kim mogłaby się podzielić tym wspaniałym doświadczeniem, tym cudownym przebudzeniem. Wzięła do ręki Klipsofon i wybrała numer Harry'ego. Przeciągnęła się leniwie, kiedy usłyszała jego głos.

- Halo, Harry. Zgadnij, kto mówi.

- Lesa! Boże! Czy to naprawdę ty?

- To na pewno ja. Jak się czujesz, Harry?

- Czuję się okropnie nieszczęśliwy, kiedy wszystkie moje telefony do ciebie są ciągle przełączane. Gdzie jesteś?

- Jacksonville, Floryda.

- Jacksonville! Leso, to cudownie! Jesteś prawie pod moim domem! Musisz do mnie przyjechać i położyć kres mojemu nieszczęściu.

- Bardzo bym chciała, ale muszę jechać do Nowego Jorku. A potem do domu. Zostawiłam Darryla samego zbyt długo. To po prostu przyjacielski telefon, żebyś wiedział, że o tobie nie zapominam.

- Leso, proszę cię! Musisz tylko jechać na południe dziewięćdziesiątą piątą, a w ten sposób zmniejszysz statystykę samobójstw o jedno.

Leso roześmiała się i włączyła silnik.

- Harry, pojedę dziewięćdziesiątą piątą, tylko na północ. Tu już wszystko załatwiłam. Naprawdę muszę wracać do domu. - Samochód zaczął nabierać szybkości.

Rozmawiali z ożywieniem przez kilka następnych minut.

- Harry, muszę się skoncentrować na prowadzeniu. Zbliżam się do drogi dziewięćdziesiąt pięć. Zadzwoń do ciebie z motelu. Niech cię Bóg błogosławi i wspiera. Do widzenia. - Na zakończenie rozmowy posłała mu całusa.

Po pięciu minutach już tęskniła do tego, by znowu usłyszeć jego głos. Był cudowny dzień. Spojrzała na bezchmurne błękitne niebo i dostrzegła klucz pelikanów lecących na południe. Chciała się zatrzymać i obserwować te pełne wdzięku ptaki, ale ruch w pobliżu wjazdu na drogę dziewięćdziesiąt pięć stawał się coraz większy.

Pięć minut później wprowadziła wynajęty samochód na dziesięciopasmową autostradę. Nacisnęła gaz do dechy i jechała z najwyższą dopuszczalną szybkością.

Zmierzała na południe.